

CATHY KELLY

Taka jak ty

Rozdział 1

Hanna wyciągnęła długą, zgrabną nogę i zręcznie odkręciła kurek moką stopą. Po chwili z kranu popłynęła cudownie gorąca woda.

- Nieźle ci to idzie - zauważył Jeff rozbawiony. Hanna oparła się o niego wygodnie. Dzieliła ich tylko piana pachnąca werbeną.

- Lubię czytać w wannie, za to nie znoszę zimą wynurzać się, żeby dolać ciepłej wody, więc nauczyłam się odkręcać kurek nogą - mruknęła.

Woda podnosiła się powoli, wypełniała starą wannę, rozgrzewała. Hanna była zmęczona, ale szczęśliwa, choć w nocy praktycznie nie zmrużyła oka. Wspólna kąpiel po miłosnym maratonie to dobry pomysł. Gorąca woda koi mięśnie obolałe po erotycznych zapasach. Raz omal nie spadli z łóżka, a innym razem Hannie tak strzyknęło w krzyżu, że miała ochotę wrzeszczeć z bólu. Takie są skutki podrywania młodych facetów, stwierdziła z zadowoleniem. Nie mająkłopotów z kręgosłupem i pociągających gimnastyczne akrobacje z lustrami, fotelami i paskiem od szlafroka. Jedyna sztuczka z paskiem od szlafroka, na jaką było stać biednego Harry'ego, to wleć go za sobą po ziemi, zamiatając kurze i rozsypane płatki śniadaniowe.

Dlaczego właściwie myśli o nim „biedny Harry”? Biedny, a jakże. Wredny, Samolubny, Kłamlivy, Pasożytniczy Harry pasuje o wiele lepiej. Skoro o pasożytach mowa, Hanna z całego serca życzyła Harry'emu, żeby doświadczył na własnej skórze spotkania z osławionym stworzonkiem z rzek tropikalnych, które podobno umie się dostać do ciała mężczyzny po strumieniu moczu. Oczywiście, jeśli facet jest na tyle głupi, żeby sikać do rzeki. Hanna miała nadzieję, że pozbycie się pasożyta wiąże się ze skomplikowaną i bolesną operacją, po której Harry przez tydzień

nie będzie mógł wygodnie usiąść. I że do tej operacji używa się straszliwego narzędzia tortur, sto razy gorszego niż wziernik ginekologiczny.

- Znasz inne sztuczki ze stopami? - Jeff uwodzicielsko ugryzł ją w ucho, skutecznie ściągnając ją z powrotem na ziemię z amazońskiej dżungli. Zapomniała o bolesnych zabiegach medycznych.

- Nie - odparła stanowczo. Czekwała, aż ciepła woda ukoi ból w prawym biodrze. Zamknęła oczy i wyobrażała sobie, jak upłynie następna godzina. Mała walizka czeka na szafie. Ubrania, które zabiera do Egiptu, leżą na łóżku w pokoju gościnnym. Pakowanie zajmie pół godziny. Z listą w ręce sprawdzi, czy zabrała wszystko, co potrzeba. Potem opróżni lodówkę. Głupio by było wracać do śmierdzącej kuchni tylko dlatego, że przed wyjazdem nie chciało jej się do niej zajrzeć. Właściwie zostało jej jeszcze tylko kilka minut bezczynności w wannie.

Jeff był innego zdania. Poczwała jego usta na karku, jego dłonie błądziły pod wodą, dotykały jej ud.

Wyprostowała się gwałtownie i zakręciła wodę. Długie włosy oblepiały jej plecy jak splątane wodorosty.

- Nie mamy czasu, Jeff- stwierdziła surowo. - Jest wpół do dziesiątej. Za dwie godziny muszę być na lotnisku, a jeszcze się nawet nie spakowałam.

Przyciągnął ją z powrotem bez wysiłku - w końcu na siłowni wyciskał dwa razy większe ciężary.

- Gdybym jechał z tobą, niewiele musiałabyś zapakować - mruknął. - Tylko skąpe bikini i seksowną sukienkę, jak ta wczoraj.

Hanna uśmiechnęła się do siebie. Ametystowa sukienka była bardzo śmiała i niepodobna do niczego w jej skromnej, konserwatywnej garderobie. Kupiła ją ponad rok temu na wyprzedazy w butiku znanego projektanta i do tej pory nie odważyła się jej założyć. Dopiero wczoraj zdecydowała się w niej wystąpić na uroczyste otwarcie Jupitera, nowego klubu nocnego w hotelu.

- Będą tłumy sławnych ludzi! Lista gości wygląda jak spis treści w „Hello” - koleżanki Hanny z hotelowej recepcji rozprawiwały o przyjęciu od kilku tygodni. - Musimy zrobić się na bóstwa, dziewczyny. Nie możemy zawieść firmy.

Hanna zrobiła się więc na bóstwo, ułożyła ciemne włosy tak, że opadały na ramiona miękko jak jedwab i włożyła szalenie drogą sukienkę. Nieraz myślała, czy nie oddać jej z powrotem do sklepu tylko dlatego, że była taka droga. Wszystkie recepcjonistki hotelu Triumph wstrzymały oddech, widząc stateczną zazwyczaj pannę Campbell w czymś innym niż uniform recepcjonistki albo dzinsy, biała koszula, marynarka i mokasyny.

Niesamowite, szeptały z niedowierzaniem. Kto by pomyślał, że z chłodnej recepcjonistki można zmienić się w kusicielkę tylko za sprawą sukienki?

Jeff Williams od niedawna prowadził hotelową siłownię. Nie słyszał jeszcze o reputacji Hanny - uważano ją za oschłą i oziębłą - i westchnął z zachwytem na widok smukłego, zgrabnego ciała w cieniutkim szyfonie, obcisłym w najbardziej pożądanym miejscach.

Prawie cały hotelowy personel zajął się podglądaniem wielkiego świata. Recepcjonistki szeroko otwartymi oczami wpatrywały się w gwiazdy ekranu i innych znakomitych gości wychylających duszkiem szampana w oddzielonej części klubu. Jeff i Hanna woleli spędzić wieczór na parkiecie. Oboje odkryli, że uwielbiają tańczyć. Pili więcej wody mineralnej niż alkoholu i tańczyli: boogie, salsę, nawet walca. Rozbawionej Hannie wystarczyły dwa kieliszki białego wina, by odebrała pocałunki Jeffa jako coś naturalnego, a nie kompletną pomyłkę.

- Jestem od ciebie starsza o dziesięć lat - zauważyła, gdy ścisnęli się na jednym siedzeniu. Obejmowały ją silne ramiona Jeffa, widziała nad sobą jego jasną głowę. Czuła się jak nastolatka na randce, ale doskonale się przy tym bawiła.

- Trzydzieści sześć lat to jeszcze nie starość - mruknął z ustami wtulonymi w jej włosy.

Mieszkał na drugim końcu miasta i na dodatek miał dwóch współlokatorów, o wiele rozsądniej było więc pójść do Hanny, która mieszkała o rzut beretem od hotelu.

Jeff przysiadł na małej, twardej kanapie, popodziwiał brokatowe poduszki, które Hanna własnoręcznie wyhaftowała pewnego weekendu, po czym zabrał się za robotki ręczne innego rodzaju. Nie poganiał jej. Wiedziała, że tak będzie. Jako instruktor na siłowni, Jeff przywykł, że przyciąga piękne kobiety. Zawsze dbał, by wiedziały, co robią, zanim będzie za późno.

- Naprawdę tego chcesz? - Zapytał w pewnym momencie. Jego płonący wzrok dobitnie świadczył o pożądaniu.

Hanna nie wahała się, bo już wcześniej doszła do wniosku, że należy jej się intensywna sesja w łóżku po dwunastu miesiącach celibatu. Było wspaniale, jakby znalazła w kącie starą raketę tenisową zapomnianą od szesnastu lat, kiedy kochała się w Ivanie Lendlu i udowodniła, że nadal umie przebić piłkę nad siatką, nie robiąc z siebie kompletnej idiotki.

Jeff nie musi wiedzieć, że ostatnio równie zmęczona była po zajęciach step-aerobiku; spocona jak prosie, w mokrej od potu koszulce, obolała, a instruktorka o figurze supermodelki darła się na nią przez godzinę.

I nie musi wiedzieć, że oprócz Hanny jest pierwszą osobą, która śpi na wielkim łożu z zagłowieм z żółtego brokatu. Mężczyźni, zwłaszcza, jak zauważyła, młodzi mężczyźni, denerwują się na myśl i o celibacie, i o kobietach podejmujących świadomą decyzję o pójściu z kimś do łóżka. Świadome decyzje są równie niebezpieczne jak zaangażowanie.

Gdyby Jeff domyślał się, że upatrzyła go sobie na tego, który zakończy rok wymuszonego celibatu, uciekałby gdzie pieprz rośnie przekonany, że pakuje się w związek z neurotyczną histeryczką. Gdyby tylko wiedział.

Życie pokazało Hannie, że mężczyźni nadają się tylko do jednego, i nie jest to bynajmniej zarabianie pieniędzy. Nauczyła się tego bardzo wcześnie, jeszcze od ojca. Tam gdzie się urodziła, w Connemara, gdzie przeżyją tylko najtwardsze sztuki bydła, rolnicy albo pracują ponad siły, aż artretyzm wykręca im ręce, a trudy i zmartwienia dodają lat przed czasem, albo sięgają po butelkę i zwalają żony ciężar utrzymania rodziny i płacenia rachunków. Ojciec Hanny wybrał to drugie.

To jej matka postarzała się przedwcześnie. Miała zaledwie czterdzieści lat, a jej twarz już poorly zmarszczki i bruzdy. Kiedy Hanna obserwowała, jak Ann Campbell wraca błada ze zmęczenia po sprzątaniu kuchni w miejscowym hotelu i zabiera się za robienie na drutach swetrów, za które płacono jej grosze, obiecała sobie, że nigdy nie skończy jak matka. Żaden mężczyzna nie uwięzi jej w małżeństwie, nie będzie wracał do domu pijany, nie będzie domagał się obiadu, na który nie zarobił. O, nie!

Zrobi karierę, osiągnie niezależność, nie będzie sobie marnować oczu, dziergając przy mdłym świetle, żeby zarobić te kilka fontów.

Oblane egzaminy końcowe i Harry to dwie nieprzewidziane przeszkody w szczegółowo opracowanym planie. Ale teraz wróciła na prostą, stwierdziła, zgrzytając zębami, choć dentysta upominał, by tego nie robiła. Mniej więcej. Ma nową pracę, wybiera się na ciekawy urlop, który - miała nadzieję - pozwoli jej uzupełnić braki w wykształceniu, zaczyna nowe życie. Dla Jeffa nie ma w nim miejsca. Przeszkadzałby, przywoziliby na myśl miłość i małżeństwo. A miłości ma dosyć do końca życia, wielkie dzięki.

Woda stawała się nieprzyjemnie zimna. Spóźni się, jeśli się zaraz nie ruszy. Wstała z gracją i wyszła z wanny.

- Jesteś w doskonałej formie - stwierdził Jeff, z podziwem patrząc na wąską talię i jędrne ramiona.

- Chcesz powiedzieć, jak na panią w moim wieku ~ zażartowała, owijając się ręcznikiem. Odruchowo masowała szczękę, obolałą od ciągłego zaciskania zębów.

- W każdym wieku - poprawił. - Pewnie dużo ćwiczysz. Wiele kobiet bardzo się zaniedbuje. Uważają, że skoro natura nie dała im mięśni, nie warto zawracać sobie głowy. A ty naprawdę o siebie dbasz.

Przestała wycierać włosy i pomyślała o niekończących się godzinach na siłowni w zeszłym roku, gdy z zaciśniętymi zębami starała się wyrzucić Harry'ego z myśli. Trudno przyszło jej pozbyć się go ze swojego życia; ze wspomnieniami było o wiele gorzej.

Przed Harrym (czyli pH, taki prywatny skrót) była w niezłej kondycji jak na dwudziestosiedmioletnią nałogową palaczkę. Średniego wzrostu, z wrodzoną skłonnością do tycia, była na tyle młoda, że nie musiała ćwiczyć, wolała dietę Marlboro Light, czyli papierosa zamiast przekąski.

Lecz czas spędzony z Harrym to lata na kanapie przed telewizorem, bombonierek i *potężnych porcji na wynos. Żyli jak bohaterowie Domku na prerii*, objadali się smakołykami, wieczorami gapili w ogień, Harry rozprawiał o powieści, którą kiedyś napisze, a Hanna zastanawiała się, czy rzucić nudną pracę w sklepie i zrealizować wreszcie plan zdobycia pozycji i pieniędzy. Przestała o siebie dbać, rzuciła palenie tylko dlatego, że Harry to zrobił - pisał artykuł o tabletkach z nikotyną. Rozstanie z papierosami oznaczało jeszcze więcej czekolady i potrójnie słodzoną herbatę -przecież jakoś musi sobie wynagrodzić rozstanie z nałogiem. Harry nie przytył ani grama, Hanna - siedem kilo.

W domowej sielance jej ambicje zniknęły, tak jak talia. Tak było do tamtego straszego sierpniowego dnia, gdy wyrzuciła Harry'ego za drzwi i odgrzebała stare ambicje - i figurę.

- Chodzę na siłownię, aerobik, stretching i biegam dwadzieścia kilometrów tygodniowo - powiedziała do Jeffa.

- To widać - stwierdził poważnie. - Jeśli chce się dobrze wyglądać, trzeba nad tym pracować.

Hanna skinęła głową. Szkoda, że odchodzi z hotelu. Z Jeffem fajnie by się ćwiczyło, choć ich romans skończyłby się szybko.

Mężczyźni tacy jak Jeff zawsze oglądają się przez ramię ciekawi, kto *nadchodzi. Wystarczy śliczna dwudziestolatka w skąpych body, by zupełnie* tracili głowę.

Z drugiej strony, gdyby została w hotelu, między nimi do niczego by nie doszło. Plotki w Triumphie rozchodziły się szybciej, niż można to sobie wyobrazić. Gość w pokoju czeka na omlet pół godziny, tymczasem co bardziej pikantne plotki obiegały cały hotel w dziesięć minut, od kuchni po recepcję, nie omijając biur zarządu ani sali restauracyjnej. Hotel huczałby od plotek, gdyby ktoś zauważył Hannę wychodzącą z przyjęcia w towarzystwie nowego trenera.

Po roku izolacji - z nikim nie plotkowała, nikomu się nie zwierzała, z nikim się nie umawiała - nie zniosłaby fali plotek na swój temat. Na szczęście nie wraca już do hotelu - ma referencje, po urlopie czeka ją nowa praca i nikt niczego nie może jej zarzucić. „Spraw sobie przyjemność” radzą kobiece pisma czytelniczkom ze złamanym sercem. „Zapisz się na serię masażu, idź na aromaterapię”. Jeff był pierwszym smakowitym kąskiem bH (bez Harry'ego). Przyjemniejszy niż aromaterapia, mniej bolesny niż lifting twarzy sprawił, że lśniła wewnętrznym blaskiem, którego nie zapewni najlepszy krem.

Błogo nieświadomy swojej roli nagrody za rok celibatu, Jeff odkręcił kurek i opadł z powrotem do wanny. Najwyraźniej nie kwapił się do wyjścia. Hanna starała się opanować irytację. Nerwowo klepała w twarz krem nawilżający.

Dzięki niekończącym się godzinom ćwiczeń zmieniała figurę, ale jej twarz była taka sama jak dawniej: okrągła, z wąską brodą, zadartym nosem i piwnymi oczami w kształcie migdałów. Na nosie i policzkach złościły się bursztynowe piegi, orzechowe włosy układały się lekko. Ktoś, kto jej nie widział, wywnioskowałby z opisu, że jest ładna, ale daleko jej do piękności.

Lecz zwykły opis pomijał coś niezwykle istotnego. Hanna miała ową ulotną cechę za którą ludzie, którym los jej poskapił, oddaliby wszystko - seksapil. Cokolwiek robiła, emanowała zmysłowością: kiedy chodziła, powoli, leniwie, lekko kołysząc krągłymi biodrami, kiedy piła herbatę, lekko wydymając usta przed pierwszym łykiem. Wcale się nie starała, po prostu tak było. Hanna Campbell, panna, lat trzydzieści sześć, recepcjonistka, już taka się urodziła. I doprowadzało ją to do szaleństwa.

Z włosami upiętymi w ciasny kok, w okularach w szylkretowej oprawce wyglądała surowo jak przełożona pensji dla panien. Dlatego nigdy nie nosiła szkieł kontaktowych. Chciała ukryć swoją zmysłowość, zamaskować ją ubraniem i surowym spojrzeniem matki przełożonej.

Seksapil nie przyniósł Hannie nic poza kłopotami, dużymi kłopotami. W rodzinnym miasteczku miała do wyboru albo zdobyć reputację łatwej dziewczyny, albo narazić się na dąsy chłopców, którym nie podobało się, że odrzuca ich zaloty.

Seksapil pasuje do gwiazd Hollywoodu, doszła do wniosku, ale zwykłe kobiety mają przez niego tylko kłopoty. Cóż, poprawiła się po chwili, ma to także swoje zalety, jak choćby wspaniały Jeff. Ale został dłużej, niż tego chciała. Czas, by miejsce seksownej Hanny zajęła panna Campbell, żelazna dziewica.

Z wprawą zwinęła wilgotne włosy w ciasny kok i posłała Jeffowi surowe spojrzenie, które doskonaliła na gościach hotelowych upierają-

cych się, że wieczorem w barze wypili tylko jednego drinka, podczas gdy na rachunku widniało dziesięć.

- Jeff, wyjdź z wanny i idź. Za trzy kwadranse muszę wyjść. No, już.

Zlekceważył poprzednie prośby, ale posłuchał głosu surowej nauczycielki. Wyszedł z wanny i przeciągał się powoli, zalewając podłogę z czarno-białych kafelków.

Hanna nie mogła go nie podziwiać. Jezu, ależ on piękny, od czubka blond głowy po palce u nóg. Metr osiemdziesiąt samych mięśni. Biedny Michał Anioł oddałby wszystko, byle wyrzeźbić Jeffa Williamsa.

Głośno przełknęła ślinę i starała się przypomnieć sobie, co właściwie ma jeszcze zrobić. Spakować się i zabrać przewodniki. Podczas tej podróży chciała się czegoś nauczyć i zamierzała poczytać trochę o Egipcie, żeby nie wyjść na idiotkę w oczach współtowarzyszy, którzy na pewno znają się na historii i mitologii... A potem Jeff uśmiechnął się powoli, leniwie. Przesunął palcem po jej dekolcie, zaczął o ręcznik i pociągnął. Ręcznik poszedł w zapomnienie, podobnie jak jej plany.

A co tam, pomyślała. Po tylu samotnych wieczorach zasłużyła na to. Spakuje się szybko, a przewodnik poczyta w samolocie.

Rozdział 2

Boże! Spójrz tylko na ten bałagan! Nie mam nic przeciwko sałatkom, ale zaraz po powrocie do domu trzeba je przełożyć z tych okropnych plastikowych pojemniczków! Przeciekają! A co to? - Anne-Marie O'Brien zsunęła okulary na czubek nosa i spojrzała na paczkę kuskusu, sprawcę tłustej plamy w nieskazitelnie czystej lodówce. - Kuskus? Bałagan, ot co.

Emma Sheridan milczała, gdy jej matka szukała czystej szmatki. Gdy ją znalazła, zmoczyła ją w gorącej wodzie i z zapalem szorowała środkową półkę płynem do dezynfekcji lodówki, o którego istnieniu Emma na śmierć zapomniała. Całe pomieszczenie wypełnił sosnowy zapach środka dezynfekującego.

- No, o wiele lepiej - pani O'Brien, wyprostowała się z zadowoleniem. Szybko wypłukała ściereczkę, obrzuciła całą kuchnię czujnym wzrokiem i zręcznie połała płynem do czyszczenia blat szafki. Gdyby sprzątanie było dziedziną nauki, matka już dawno zostałaby profesorem

zwyczajnym. Dopiero gdy wszystko lśniło, wyjęła z torby starannie opakowane naczynia, wstawiła do lodówki i pouczyła córkę, co robi:

- Przecież biedny Pete nie może żyć na tych śmieciach z supermarketu. Porządne obiady, to jest to. Wiesz, twój ojciec nie tknąłby niczego z mikrofalówki, ale gdybym wyjechała na tydzień, zmieniłby zdanie. Mężowie! Zrobiłam lasagne - wystarczy mu na dwa dni, placek z mięsem, placek z kurczakiem, placek z grzybami... Wsadzę je do zamrażalnika. Emma, doprawdy! Kiedy ostatnio rozmrażałaś lodówkę? To się samo nie zrobi! Nie przejmuj się, jakoś sobie poradzę...

Emma się wyłączyła. Przez trzydzieści jeden lat życia u boku matki zdążyła nauczyć się jednego: jeśli nie wyłączysz się odpowiednio wcześnie, monolog „nikt poza mną się na niczym nie zna” zaprowadzi cię prosto do szpitala dla psychicznie chorych. Zwłaszcza, jeśli ten monolog miał ci udowodnić, jaką jesteś niechlujną gospodynią/studentką/córka/żoną i wyrazić obawę, że twój nieszczęsny mąż padnie trupem zatruty salmonella, jeśli natychmiast nie zaczniesz gotować ścierek do naczyń i jego bielizny.

Nieważne, że przez cały poprzedni dzień Emma pucowała i szorowała dom przy Beeches 27, nieważne, że poświęciła cenny wolny dzień na porządki, a nie na zakupy i przygotowanie do podróży. Rozważała wczoraj, czy nie wymknąć się do Debenhams i nie sprawić sobie czarnego bikirii ze stanikiem na fiszbinach. Widziała taki w jakimś piśmie. W takim staniku nawet najbardziej płaski biust przyciąga wzrok, zapewniała gazeta.

Jako że rozpaczliwie płaski biust Emmy (rozmiar A) mógłby zwrócić uwagę tylko w jeden sposób, a mianowicie gdyby ktoś dostał w oko drutem z fiszbin, gorąco pragnęła stać się posiadaczką bikini push-up.

Jak zwykle jednak jedyna nadmiernie rozwinięta część osobowości, czyli poczucie winy, wzięło się do roboty i wybiło jej z głowy głupi pomysł z zakupami. Jej poczucie winy przypominało opis serca z podręcznika anatomii dla studentów medycyny: ogromny mięsień, który pracuje bezustannie. Wyrzuty sumienia, że zostawia biednego Pete'a na cały tydzień, a sama wybiera się na rejs po Nilu z rodzicami, skutecznie zgasiły zapał do nowego bikini, więc zamiast za zakupy w Debenhams, zabrała się za sprzątanie. Pete, który nie zwróciłby uwagi, gdyby podała mu kolację na gazecie, bo wytłukła wszystkie talerze, nie zauważył jej gorączkowych porządków, lecz wewnętrzny winomierz Emmy wskazywał, że całodzienne porządki to częściowa (powiedzmy, pięćdziesiąt pięć procent) pokuta za wakacje bez ukochanego męża. Kupi mu drogi prezent, na który ich nie stać, po powrocie przez tydzień będzie gotowała wyłącznie jego ulubione dania i może odpokutuje pozostałe czterdzieści pięć procent.

Niestety, zapomniała kupić gumowe rękawice na porządkowe szaleństwo i po szorowaniu muszli klozetowej wybielaczem miała ręce suche jak pieprz. Za to dom przypominał pałac: czyste dywany, lśniąca łazienka, wszystko starannie wyprasowane.

Tyle pracy i wysiłku, a matka krzywi się na widok jednej jedynej plamki w całym domu. Emma widziała oczami wyobraźni, jak Pete otwiera pojemnik, je palcami, stojąc przy lodówce, nieuważnie chowa pudełko z powrotem. Uwielbiał kuskus, za to nie znosił placka z mięsem. Ale po co mówić to matce? Anne-Marie O'Brien i tak nie posłucha; nigdy nie słucha nikogo, z wyjątkiem swojego męża, Jamesa P. O'Briena, szefa O'Brien Heating Constructions, pana i władcy, człowieka, który absolutnie zawsze musi mieć ostatnie słowo.

Emma ciężko przysiadła na stołku, wbiła wzrok w świeżo pomalowane paznokcie. Ładny różowy lakier, który kupiła specjalnie na urlop, nie zdołał ukryć poobgryzanych paznokci. Zaledwie poprzedniego wieczoru starannie obgryzła paznokieć na palcu wskazującym. Odbyła wówczas długą i męczącą rozmowę telefoniczną z matką, która narzekała na upały w Egipcie, na jedzenie, tubylców, konieczność zakrywania ramion w meczetach i wyraziła obawę, czy ojciec dostanie mleko do herbaty? Wyobraźnia natychmiast podsunęła Emmie dziwaczną wizję ojca usiłującego wydoić wielbłądzicę: spocony, czerwony na twarzy, stał z filizanką w jednej i wymieniem wielbłądzicy w drugiej ręce.

Odruchowo odgryzła zadarty paznokieć na sąsiednim palcu. Co tam, kto niby będzie patrzył na jej paznokcie? Była zbyt zmęczona, by się tym martwić. Oby udało jej się zasnąć w samolocie. Jeśli uda się jej podkraść matce tabletkę valium, prześpi cały lot.

Matka buszowała w lodówce, a Emma dyskretnie dotknęła piersi przez sprane dżinsowe ogrodniczki. Robiła to od rana i za każdym razem przeżywał ją dreszcz rozkoszy, niemający nic wspólnego z seksem. Nerwowo wsunęła rękę pod koszulkę i dotknęła nagiej piersi. Zdecydowanie bardziej wrażliwa, na pewno.

W lustrze też wydawały się większe, była gotowa przysiąc. Brodawki się powiększyły, może nie? Tak, tak, tak, powtarzała radośnie. Jest w ciąży. Nie posiadała się z radości na myśl o dziecku, jej dziecku. Szczęście wypełniało ją, chyba cała lśniła, jak ci ludzie w reklamach płatków gold flakes, którzy świecą po zjedzeniu. Emma miała wrażenie, że bije od niej radość i ulga. Ulga, że po tylu nadziejach i marzeniach to się wreszcie stało. Najchętniej tańczyłaby i śpiewała na całe gardło, ale wrodzona ostrożność nakazała spokój. Nic nie mów, żeby nie zapeszyć. Poczekaj, aż będziesz pewna, dopiero wtedy podzielisz się z Petem cudowną nowiną,

powtarzała sobie. Musi tylko przetrwać koszmarne tygodnie z rodzicami i wszystko będzie dobrze. Wtrzyma ten tydzień. W końcu to tylko tydzień.

Puściła mimo uszu monolog „ależ tu brudno”, pochyliła się nad kartką napisała kilka słów do Pete'a - że go bardzo kocha i będzie tęskniła.

- Widzę, że jaśnie pani odpoczywa, a biedna matka jak zwykle haruje bez wytchnienia.

Ledwie ojciec się odezwał, Emma podskoczyła nerwowo. Poczowała się winna, jak zawsze, gdy obok przejeżdża radiowóz na sygnale. Nie ważne, że jedzie na pierwszym biegu. Sama jego obecność budziła w niej niepokój, nawet teraz, gdy tak bardzo cieszyła się na samą myśl o dziecku.

- Anne-Marie, nie rozumiem, dlaczego odwalasz za Emmę jej robotę - stwierdził Jimmy O'Brien, patrząc na starszą córkę z pogardą. - Jest na tyle dorosła, że może sama u siebie sprzątać. Nie życzę sobie, żebyś się dla niej zamęczała.

- Nie zamęczałam się. - Z głosu matki zniknęła żywotność i energia, pozostało zmęczenie i czujność.

- Mama tylko wytarła rozlaną wodę - zaprotestowała Emma. Po dobrym humorze nie było śladu, jak zawsze w towarzystwie ojca. —Wczoraj posprzątałam...

Ale ojciec już nie słuchał. Pochylony nad koszem na śmieci, starannie wytrząsnął z fajki stary tytoń i zdał żonie relację ze swoich poczynań.

- Zatankowałem samochód, sprawdziłem opony, dołałem oleju - oznajmił. - Wszystko gotowe, Anne-Marie.

Można by pomyśleć, że jedziemy samochodem do tego cholernego Egiptu, przemknęło Emmie przez głowę.

Mniej więcej po raz setny zastanawiała się, czemu właściwie zgodziła się na tę wycieczkę. To był pomysł ojca: wakacje życia, żeby godnie uczcić trzydziestą piątą rocznicę ślubu.

Emma nie pojmowała, czemu wybrał akurat Egipt. Od piętnastu lat wytrwale co roku jeździł do Portugalii, oglądał w barze transmisje sportowe i z zapalem rozprawiał, jak to kraj schodzi na psy, wszędzie szwendają się chuligani, pseudokibice i polujące na mężczyzn, beczelne młode dziewczyny z walizkami prezerwatyw.

- Dziwki - mrucał pod nosem, ilekroć na widoku pojawiła się grupa beztroskich opalonych dziewcząt w kusych koszulkach i obcisłych szortach.

Emma odprowadzała je tęsknym wzrokiem: takie dziewczyny nie muszą jeździć na wakacje z rodzicami tylko dlatego, że nawet propozy-

cja wyjazdu z chłopakiem wywołałaby burzę w domu. Dopóki nie wyszła za Pete'a, wyjechali razem tylko raz - powiedziała wtedy, że wyjeżdża z koleżankami.

Mimo niewybrednych komentarzy, ojciec lubił Portugalię. Lecz wystarczył jeden program podróżniczy w telewizji, by wszystko się zmieniło. Prezenter z takim zachwytem rozprawił o rejsie po Nilu, że Jimmy zamówił wszystkie możliwe katalogi i czytał na głos co ciekawsze fragmenty przy niedzielnym obiedzie.

- Posłuchajcie tylko - wtrącał, z beztrąską despoty przerywając każdemu, kto akurat mówił. - Zobaczysz majestatyczne świątynie Karnaku i Luksoru, wspaniałe przykłady starożytnej architektury egipskiej. Niektóre części świątyni w Karnaku powstały w 1375 roku p.n.e. - odczytywał z katalogu. - Nie do wiary! Musimy to zobaczyć.

„My”, niestety, oznaczało także Emmę i Pete'a.

- Nie ma mowy. Niech jada sami i zdręczają tylko siebie, a nie wszystkich dokoła - sprzeciwił się Pete, co jak na niego było bardzo ostrą wypowiedzią. Spokojny i łagodny nie potrafiłby nikomu sprawić przykrości, ale nawet jego święta cierpliwość wobec rodziców Emmy miała swoje granice. A właściwie wobec jej ojca. Jimmy O' Brien działał na nerwy wielu ludziom.

- Wiem, kochanie. - Emma była już tym zmęczona. Czuła się rozdarta między życzeniem spokojnego Pete'a i rozkazem dominującego ojca. - Tylko widzisz, on ciągle o tym opowiada i zakłada, że pojedziemy z nimi. Jeśli odmówimy, będzie się rozwodził nad naszą niewdzięcznością. - Nie musiała mówić nic więcej. Odkąd ojciec pożyczył im pieniądze na dom, dług wdzięczności wisiał nad nimi jak miecz Damoklesa.

Jakiegokolwiek wyjście z przyjaciółmi w sobotni wieczór to oznaka niewdzięczności - powinni przecież iść na kolację do O'Brienów. Tak jak brak czasu, by odebrać od optyka nowe okulary Jimmy'ego czy żeby zawieźć Anne-Marie do sklepu - ostatnio nie wiadomo dlaczego bała się prowadzić. Jeśli dalej tak pójdzie, ojciec zarzuci Emmie niewdzięczność, jeśli podziękuje za deser, bo nie lubi budyniu.

Pete nie powiedział nic więcej. Na pewno chciał, żeby wreszcie postawiła się ojcu i żeby wyjechali na urlop we dwoje. Ona jednak wiedziała, że choć wyrzuty sumienia z powodu Pete'a nie dadzą jej spokoju, dziesięć razy bardziej da jej się we znaki Jimmy O'Brien i dlatego wpadła na doskonałe, jej zdaniem, rozwiązanie.

~ Pete nie może wyjechać w tym czasie, tato - skłamała. - Ma ważną dwudniową konferencję w Belfaście. Ale ja pojedę - pomyśl, jak będzie fajnie - tylko nasza trójka jak za dawnych czasów.

To przesądziło sprawę. Co za ironia losu, zauważyła Emma. Wakacje z rodzicami polegały głównie na tym, że zmieniał się otoczenie, w którym ojciec wygłaszał swoje uwagi. On jednak zdawał się wcale tego nie dostrzegać: był zachwycony.

Pete zostanie w domu. Zapewniał Emmę, że to nie szkodzi, później wyrwie się z chłopakami na piłkarski weekend, nie ma sprawy. Tylko Emma musi jakoś przeżyć ten cholerny Egipt.

- Chyba przed wyjściem napiłabym się herbaty - stwierdziła matka. Odłożyła ściereczkę i ciężko oparła się o zlew; idealny obraz zapracowanej, zmęczonej kobiety. Takie zachowanie działało na ojca jak płachta na byka. Ktoś jest winny zmęczeniu matki.

Emma wiedziała: teraz będzie musiała zaparzyć herbaty i wysłuchać wymówek, że biedna matka musi za nią sprzątać. Lepiej się nie sprzeciwiać i nie wdawać w dyskusję. Emma przerabiała to już tyle razy, czasem zdawało jej się, że są aktorami w pantomimie i odgrywają swoje role - te same od trzydziestu lat.

- Jesteś leniwa i głupia, Emmo.
- Nie jestem!
- Owszem, jesteś!

Obserwowała, jak rodzice panoszą się w jej domu jak u siebie. Nie miała nastroju na powtórkę z rodzinnej kłótni.

Odkąd kupiła pierwszy poradnik, wiedziała, z czym ma do czynienia. Ojciec był domowym tyranem, chciał dominować, matka przyjmowała postawę agresywno-pasywną. Ledwie mąż stanął w drzwiach, przybierała minę niewiniątka i biedulki, którą ktoś musi się zająć. Mniej więcej. W różnych poradnikach Emma znajdowała różne wersje tego układu, ale rodzice pasowali do każdego.

Ale wiedzieć, z czym ma się do czynienia to jedno, a poradzić sobie z takim problemem to już zupełnie inna para kaloszy. Emma określiła także swój typ osobowości, przynajmniej w relacjach rodzinnych - bierna, o bardzo niskiej samoocenie; a przy takim podejściu niewiele może zrobić, by zmienić ich zachowanie.

Jej największym problemem jest ona sama, zrozumiała to po lekturze rozdziału 7: „3ierz odpowiedzialność za własne błędy”. Nie może godzinami użalać się nad zachowaniem rodziny, nie zmieniając swego postępowania. Przecież pozwala, by ją tak traktowali. Tylko ona jest w stanie to zmienić.

„Władza jest w zasięgu ręki” twierdzi guru Cheyenne Kawada, autor poradnika *Masz tylko jedno życie - nie zmarnuj go*.

Problem w tym, że istniały jakby dwie Emmy: wobec rodziców była niezdarna i brzydka; nieudana starsza córka, przeciwieństwo młodszej Kir-

sten - oczka w głowie tatusia. Była niewdzięczna i niedobra - odrzuciła propozycję pracy w firmie ojca (jeden jedyny raz mu się sprzeciwiła). W biurze była Emmą Sheridan, podziwianą i lubianą koordynatorką organizacji dobroczynnej KrisisKids. Sprawnie zarządzała fundacją, organizowała dwie konferencje rocznie, założyła telefon zaufania dla dzieci.

Rodzice nie mieli pojęcia o istnieniu profesjonalnej, zorganizowanej Emmy. Jej współpracownicy nie poznaliby szefowej w spiętej, znerwicowanej kobiecie, jaką była przy rodzicach.

- Usiądź, kochana, zaraz zrobię ci herbatki. - Jimmy O'Brien rytersko rzucił się spełnić zachciankę żony; buszował w szafkach Emmy w poszukiwaniu herbaty. Stracił przy tym kilka torebek przypraw i butelkę sosu sojowego.

Matka machnęła ręką, jakby marzyła o łyku herbaty, ale bohatersko rezygnuje; zrobiła to tak dramatycznie, jakby odmawiała co najmniej kamizelki ratunkowej na pokładzie „Titanica”.

- Nie mamy czasu, Jimmy.

- Mielibyśmy, gdybyś nie zaharowywała się na śmierć, sprząając po tej tutaj leniwej paniusi. - Jimmy podkreślił ostre słowa, trzaskając drzwiczkami kredensu. Wypełniał sobą całą ciasną kuchnię. Był wysoki i potężny, z długą białą brodą, która upodobniała go do świętego Mikołaja.

Na szczęście Anne-Marie O'Brien nie przypominała w niczym Pani Mikołajowej. Wysoka, ale szczupła, farbowała długie włosy na jasnozłoty kolor. Zawsze spinała je szylkretową klamrą, która wyglądała na jej karku jak wielki żuk. W letniej sukience w kwiaty, ściśniętej w talii szerokim paskiem, przypominała gospodynie domowe z reklam z lat pięćdziesiątych. Wyglądała bardzo młodo - o dziesięć lat młodsza od męża, miała gładką cerę osoby święcie przekonanej, że po życiu wypełnionym dobrocią i modlitwą żywcem pójdzie do nieba. Nigdy nie przemknęło jej przez myśl, że zamięłowanie do plotek może ograniczyć jej szanse na zbawienie.

Emma, wysoka i szczupła jak ona, ale z ciemnymi jedwabistymi włosami, obserwowała w milczeniu, jak matka starannie pucuje chromowany opiekacz i czajnik. Ignorowała przy tym fakt, że należy je polerować na sucho, a nie wycierać mokrą szmatką, bo wtedy zostają brzydkie smugi.

Dostali je w prezencie ślubnym trzy lata temu. Pete bardzo je lubił; stanowiły najbardziej luksusowe elementy w ich skromnej kuchni. Kochany Pete. Ilekroć ojciec ją irytował, mówił, żeby nadstawiła drugi policzek. W religijnym domu rodzinnym przesiąkł biblijnymi cytatami na każdą okazję. Ma rację. Nieważne, z jakim trudem przychodzi jej nadstawić drugi policzek i przyjąć więcej złośliwych uwag Jimmy'ego O'Briena

- to jedyne wyjście. Próby dyskusji doprowadzały ojca do szału: To wszystko dla twojego dobra, moja droga!

Nadstaw drugi policzek, powtarzała jak buddyjską mantrę. Wymknęła się z kuchni, pobiegła na górę, do sypialni. Utrzymana w zieleni i kha-ki była najbardziej męskim pomieszczeniem w całym domu.

Emma sama wybrała te kolory. Postanowiła, że jej pierwsza małżeńska sypialnia w niczym nie będzie przypominała kiczu w różowych koronkach, na który w domu nalegała matka. Po całym życiu wśród takiej ilości falbanek, że nawet Scarlett O'Hara nie miała tyłu na sukni ślubnej, Emmie marzyła się prostota. Pete nie przywiązywał wagi do wystroju wnętrza, mógłby spać gdziekolwiek. Powiedział, że spodoba mu się wszystko, co ona wybierze.

A wybrała proste oliwkowe zasłony, łóżko z jasnego drewna z ciemnozieloną kapą, pomalowała szafę na chłodny kremowy odcień. W całym pokoju nie było ani jednej kokardki, wstążeczki, ani skrawka tiulu. Reprodukcje z wrózkami i elfami, prezenty od matki, „żeby rozjaśnić waszą sypialnię” wylądowały w toalecie dla gości na dole - Emma zaglądała tam tylko po to, żeby posprzątać.

- Idziesz, Emmo? - wrzasnął ojciec z dołu.

Porwała torebkę z łóżka, wyszła na korytarz, obrzuciła sypialnię tęsknym wzrokiem. Będzie tęskniła za domem. I za Petem. Będzie jej brakowało jego bliskości, tak lubiła zasypiać wtulona w jego silne ciało. Będzie jej brakowało jego poczucia humoru i jego miłości. W oczach Pete'a Sheridana była idealna, choć jej rodzice mieli inne zdanie.

Stali u stóp schodów, jedno zdenerwowane, drugie niespokojne.

- Emmo! Chyba w tym nie pojedziesz - jęknęła matka.

Emma instynktownie uniosła rękę do piersi i dotknęła spranych ogrodniczek. Chłodne i wygodne, wydawały się idealnym strojem na podróż.

- Przecież miałam je na sobie, kiedy przyszedł - mruknęła, zła na siebie, że czuje się jak nastolatka, która wybrała się na kolację u biskupa w szortach z plastiku.

Ma trzydzieści jeden lat, na Boga! Jest mężatką! Nie pozwoli sobie rozkazywać.

- Myślałam, że poszłaś się przebrać - stwierdziła matka męczeńskim głosem. - Moim zdaniem musimy wyglądać elegancko. Czytałam gdzieś, że dobrze ubrani pasażerowie mają szanse na lepsze miejsca. - Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak pracownicy linii lotniczych eskortują O'Brienów w najlepszych ubraniach do wejścia dla VIP-ów.

- No to się pośpiesz i przebierz, bo się spóźnimy - burknął Jimmy ze zniecierpliwieniem.

Emma postanowiła nie informować ich, że na lepsze miejsca nie mają co liczyć, bo w lotach czarterowych nie ma podziału na klasę pierwszą, i drugą. Wyobrażenia matki nijak się miały do rzeczywistości, zawsze tak było, po co więc zwracać sobie głowę?

Przez chwilę rozważała, czy nie odmówić zmiany stroju. Wystarczył jednak jeden rzut oka na zaciętą minę ojca, by podjęła decyzję. Dwadzieścia osiem lat pod dachem Jimmy'ego nauczyło ją aż za dobrze, co sędzi o kobietach w spodniach i „robociarskich” ubraniach.

- Zaraz będę - zaszczębiotała z fałszywą wesołością i wróciła na górę.

W sypialni osunęła się na kolana, walnęła głową o materac. Tchórz! Wczoraj uznałaś, że ogrodniczki doskonale nadają się na podróż! Trzeba było coś powiedzieć!

Nadal wściekała na siebie, wyjęła spod łóżka małą czerwoną książeczkę i otworzyła na stronie z afirmacjami:

- Jestem dobra. Jestem dzielna. Moje myśli i odczucia są ważne i właściwe.

Powtarzała trzy zdania jak mantrę, gdy ściągała koszulkę przez głowę i zakładała komplet z beżowej tkaniny; czasami ubierała się tak do pracy, ale tylko jeśli wszystkie inne ciuchy były w praniu.

Dzisiaj wszystkie letnie rzeczy leżały w walizce. Kupiła ten komplet na strasznych zakupach z matką. W beżowej dzianinie wyglądała mdło jak nieapetyczna i bez smaku kawa z mlekiem.

Sprany błękit dżinsów podkreślał bursztynowe plamki w niebieskich oczach, podczas gdy beże i brązy sprawiały, że wydawała się nijaka: blada cera, blade włosy, blade wszystko. Westchnęła; nagle poczuła się brzydka.

Nigdy nie umiała się malować, zresztą jej cienkie usta po umalowaniu wydawały się jeszcze węższe. Co innego, gdyby zdobyła się na odwagę i zoperowała sobie nos. Był okropny, długi i za duży w jej twarzy. Można go ukryć tylko za pomocą długiej grzywki. Rodzinną pięknoscią była jej siostra, Kirsten. Pełna wdzięku przyciągała mężczyzn jak magnes radością życia i oryginalnym gustem. W Emmie oryginalny był jedynie głos - niski, ochrypły, który nie pasował do osoby tak niepewnej siebie i nieśmiałej. Pete twierdził, że z takim głosem powinna pracować w radiu.

- Innymi słowy, nadaję się do radia, bo mam głos jak seksbomba, ale nikt nie zobaczy, jaka jestem brzydka - przekomarzała się.

- Dla mnie zawsze będziesz seksbombą - zapewnił wtedy.

- Chodź już, bo się spóźnimy! - wrzasnął ojciec z dołu.

Na moment zamknęła oczy. Robiło jej się słabo na myśl o całym tygodniu z rodzicami. Chyba postradała zmysły, godząc się na tę wycieczkę.

Zawsze marzyła o wyprawie od Egiptu, o rejsie po Nilu, marzyła o tym, odkąd w dzieciństwie przeczytała o pięknej królowej Nefretete i wspa-
niałej świątyni w Karnaku. Tylko że chciała pojechać z Petem, stwierdzi-
ła z goryczą, upychając poradnik do torby podręcznej.

Wcale nie planowała zabrać *Pozytywnego podejścia do życia - Po-
radnika dla lepszej samooceny* doktor Barbry Rosę. Chyba kompletnie
jej odbiło. Na tej wycieczce nie pomoże książeczka - nie wiadomo, czy
poradziłaby sobie doktor Rose we własnej osobie. Chyba że nafaszero-
wałyby ojca środkami uspokajającymi... To dopiero byłby urlop.

Zadowolona, że córka nie przyniesie rodzinie wstydu w drodze nad
Nil, Anne-Marie O'Brien radośnie paplała przez całą drogę na lotnisko.
Tym razem był to monolog z serii: „Nie macie pojęcia, kogo dziś spotka-
łam”. Mówiła tak szybko, że Emma i jej ojciec nie zdążyliby nawet wy-
sunać przypuszczenia.

- Panią Page! Mój Boże, żałujcie, że nie widzieliście, co miała na
sobie. Dżinsy! W jej wieku! Nie rozmawiałabym z nią, gdyby nie to, że
stała akurat przy pastach do zębów, a chciałam kupić dodatkową tubę na
wszelki wypadek. Nie sądzę, żeby Egipcjanie przesadnie dbali o higienę
-dodała po chwili.

Emma, wciśnięta na tylne siedzenie opła modliła się na każdym zakrę-
cie, by nie runęła na nią góra bagażu. Uznała, że nie warto przypominać
matce, że Egipcjanie stworzyli potężną cywilizację. Budowali piramidy
i zgłębiali tajniki astronomii, podczas gdy przodkowie O'Brienów uderzali
kamieniem o kamień i kombinowali, jak tu zrobić proste narzędzia.

- Szkoda, że nie słyszeliście, jak rozprawia o tej swojej Antoinette. -
W głosie pani O'Brien pojawiła się dezaprobata. - Skandal, ot co. Miesz-
ka z mężczyzną, ma dwoje dzieci, ale obrączki na palcu - nie! Nie przyj-
dzie jej do głowy, że biedne maleństwa zasługują na porządnych rodzi-
ców, a nie pochodzenie z... - dramatycznie ściszyła głos - nieprawego
łoża!

- Dzisiaj nikt już nie zwraca na to uwagi - zauważyła Emma. Musia-
ła coś powiedzieć. Antoinette to jej przyjaciółka.

- Łatwo ci tak mówić - stwierdziła matka. - Ale to nie takie proste. To
kпина z kościoła i wiary. Ta dziewczyna sama kręci sobie stryczek, zapam-
iętaj moje słowa. Ten facet pewnego dnia odwróci się na pięcie i odej-
dzie. Powinna za niego wyjść.

- On jest w separacji, mamó. Nie może się ponownie ożenić, póki
nie otrzyma rozwodu.

- To jeszcze nie wszystko. Nie rozumiem dzisiejszej młodzieży. Czy
katechizm już nic dla nich nie znaczy? My przynajmniej nie mieliśmy

z wami takich problemów. Powiedziałam pani Page, że jesteście z Petem bardzo szczęśliwi i że Pete jest zastępcą dyrektora w Devine's Paper Company. - Na wspomnienie przechwałek Anne-Marie uśmiechnęła się błogo.

- Mamo, Pete jest jednym z zastępców dyrektora. - Emma powoli traciła cierpliwość. - Jest ich sześciu, o ile pamiętasz.

- Nie skłamałam. - Matka obruszyła się. - Ty też masz dobrą pracę. Jesteśmy z ciebie dumni, prawda, Jimmy?

Ojciec nie odrywał oczu od szosy. Z zapałem utrudniał życie rowerzystom.

- Oczywiście - mruknął od niechcenia. - Bardzo dumni. Z was obu. Zawsze wiedziałem, że nasza Kirsten sobie poradzi - oznajmił radośnie. - Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Emma uśmiechnęła się tylko i pomyślała, że po powrocie musi koniecznie zadzwonić do Antoinette Page i przeprosić za zachowanie matki. Do tego czasu Antoinette na pewno już się dowie, co opowiadała Anne-Marie. Jeśli matka nadal będzie ich przedstawiała jako młodych yuppie w porsche i z milionem na koncie, wkrótce zostaną bez przyjaciół. Pete był handlowcem w firmie rozprowadzającej artykuły biurowe, jej praca polegała częściej na składaniu listów do kopert niż pokazywaniu się na ekskluzywnych przyjęciach, choć właśnie tak przedstawiała matka KrisisKids każdemu, kto chciał jej słuchać.

Emma zajmowała się zarządzaniem, nie zbieraniem funduszy. Zorganizowała telefon zaufania, pod który maltretowane dzieci mogą dzwonić anonimowo. Dbała także, by w biurze KrisisKids wszystko było dopięte na ostatni guzik. Oczywiście, zdarzały się obiady i przyjęcia, na które bilet kosztował setki funtów, ale Emma, ku rozpaczy matki, nigdy na nich nie bywała.

Mimo wszystko, stwierdziła zdecydowana myśleć pozytywnie, dobrze wiedzieć, że rodzice są z niej dumni, nawet jeśli mówią to tylko wtedy, gdy chcą dokuczyć innym, nigdy po to, by sprawić jej przyjemność. Oczywiście, o wiele bardziej są dumni z jej młodszej siostry Kirsten. Na szczęście Emma uwielbiała siostrę; gdyby nie to, ciągłe wysłuchiwaniejaka to Kirsten jest mądra/ładna/zdolna, zniszczyłoby ich wzajemne stosunki.

- Pani Page nie wierzyła własnym uszom, gdy opowiadałam o nowym domu Kirsten - ciągnęła Anne-Marie. - Powiedziałam, że mają tam pięć ogromnych łazienek i że Patrick jeździ tym, no... Ojej, jak się nazywa ten samochód?

- Lexus - podsunął Jimmy.

- No właśnie. Świetnie się ustawiła, prawda? Opowiadałam też, że Kirsten wcale nie musi pracować, ale zaangażowała się w działania na rzecz ochrony środowiska...

Emma mogłaby napisać książkę o osiągnięciach młodszej siostry, tak często wysłuchiwała od matki peanów na jej cześć. Kirsten rzeczywiście wygrała los na loterii: wyszła za bajecznie bogatego maklera, unikała rodziców, z wyjątkiem świąt, i mimo tego pozostała ukochaną córeczką.

Kochała Kirsten. Był między nimi tylko rok różnicy, dorastały więc właściwie jak siostry bliźniaczki, ale miała po dziurki w nosie opowieści o tym, jak to Kirsten angażuje się w działalność dobroczynną, zwłaszcza że wiedziała doskonale, że Kirsten interesuje się ekologią z jednego względu. Miała nadzieję, że kiedyś tym sposobem pozna Stinga, no i miała czym się przechwalać przed innymi paniami z towarzystwa. Emmę wkurzało także to, że Kirsten i Patrick zawsze zdołali się wykręcić od niedzielnego rodzinnego obiadku i tym sposobem była jedyną publicznością na wykładzie „Kłopoty tego świata” w wykonaniu Jimmy’ego O’Briena. Po ostatnim takim obiedzie (tematem przewodnim byli imigranci szukający pracy w Irlandii) Pete zapytał w drodze do domu:

- Czy istnieje słowo panfob?

- A co to znaczy? - Nie słuchała uważnie, zadowolona, że mają spokój na najbliższe dwa tygodnie.

- Ktoś, kto nie znosi wszystkich i wszystkiego. Wiesz, pan z greckiego jak pandemonium.

- Do tej pory chyba nie, ale założę się, że jeśli nagramy tatę i wyślemy im taśmę, pojawi się w następnym wydaniu słownika Oxford English Dictionary.

Anne-Marie denerwowała się coraz bardziej w miarę jak zbliżali się do lotniska.

- Mam nadzieję, że Kirsten sobie poradzi. Mówiła przez telefon, że Patrick wyjeżdża.

Emma wzniosła oczy ku niebu. W przeciwieństwie do niej, Kirsten była typem zwycięzcy. Gdyby ją zostawić na Mont Blanc z namiotem i puszką mielonki, zjawiłaby się w domu dwadzieścia cztery godziny później, pięknie opalona, w nowych ciuchach i z plikiem karteczek z numerami telefonów nowych znajomych, którzy wszyscy mają jachty, wille, roleksy i osobistych trenerów. Tydzień bez Patricka oznacza, że nikt nie będzie kontrolował jej wydatków i Kirsten może bezkarnie szaleć w nocnych klubach otoczona wianuszkami zachwyconych wielbicieli. Zdaniem Emmy siostra była wierna solidnemu, spokojnemu mężowi, ale lubiła flirtować.

- Nic jej nie będzie, mamu - mruknęła sucho.

Na lotnisku ojciec wysadził je przy hali odlotów, a sam odjechał szukać parkingu. Anne-Marie zmieniła się błyskawicznie; spokojna i potulna w obecności męża, bez niego stawała się nerwowa i nadpobudliwa.

- Moje okulary - rzuciła nagle, ledwie ustawiły się z Emmą w kolejce do odprawy biletowej. - Chyba nie wzięłam okularów!

Słyszając nutę hysterii w jej głosie, Emma delikatnie poklepała ją po ramieniu.

- Sprawdź, może są w torebce, mamó.

Anne-Marie skinęła głową i wcisnęła córce małą torebkę z kremowej skóry. Okulary były tam, gdzie zwykle, w bocznej kieszonce, widoczne na pierwszy rzut oka, gdyby tylko matce chciało się zajrzeć.

- Są, mamó.

Uspokoiła się trochę.

- Na pewno czegoś nie wzięłam - stwierdziła po chwili. Zamknęła oczy i umilkła na chwilę, jakby przypominała sobie, co zabrała. - A ty niczego nie zapomniałeś? - rzuciła nagle.

Emma pokręciła przecząco głową.

- A kobiece sprawy? Higieniczne, wiesz? - Matka zniżyła głos do szeptu. - Nie wiadomo, co tam można dostać w sklepach. Miałam ci kupić dzisiaj rano, ale pani Pace mnie zagadała i zapomniałam...

Emma starała się nie słuchać, ale słowa matki powracały jak echo. Kobiece sprawy. Rzeczywiście, powinna była spakować tampony, ale uznała, że zabranie ich byłoby kuszeniem losu.

Za cztery dni przypada jej miesiączka, ale miała nadzieję, że się nie pojawi. Przecież może jest w ciąży! Od tygodnia chodzi zmęczona, jej piersi są bardzo wrażliwe, dokładnie tak jak opisano w książkach. Dlatego nie wzięła nawet jednego tamponu, nawet jednej podpaski. Bała się, że przyniosą jej pecha.

Gdy zjawił się ojciec, z daleka informując je, jak się zmęczył, idąc od samochodu, zdobyła się na współczującą minę.

- Gotowe? - zapytał. - No to stańmy w kolejce.

Objął żonę ramieniem.

- Egipt, co? To będą cudowne wakacje, Anne-Marie. Szkoda tylko, że Kirsten nie mogła z nami pojechać. Jest wymarzoną towarzyszką. Niestety, ma tyle pracy z tą organizacją, a jeszcze Patrick... - Westchnął, jak wdychają kochający ojcowie, a Emma zabrała się za obgryzanie kciuka, który do tej pory zostawiała w spokoju.

Uspokój się, powtarzała sobie, stosując technikę zaciętej płyty, bardzo polecaną przez wszystkie poradniki. Nie pozwól, by cię zdenerwował. Nadzieja pomoże jej przetrwać. Dziecko. Tym razem jest w ciąży, na pewno.

Rozdział 3

Penny leżała na łóżku, obejmowała łapami sfatygowanego pluszowego misia i patrzyła na Leonie z wyrzutem. Niełatwo uwierzyć, że smutne psy oczy są w stanie wyrazić coś więcej niż bezgraniczną miłość, ale też Penny to nie był zwykły pies. Po rodzicach - labradorze i retrieverze, odziedziczyła nie lada osobowość, i teraz robiła co w jej mocy, by wzbudzić we właścicielce poczucie winy. Tylko szaleńcze podniecenie na widok miski z żarciem uświadamiały Leonie, że jej przyjaciółka jest jednak psem, nie człowiekiem. Chociaż, z drugiej strony, stwierdziła rozbawiona, niby dlaczego uważamy żarłoczność za cechę wyłącznie zwierzęcą? Przecież sama objada się jak prosię. Nie ma dwóch zdań, że psy i ich właściciele upodabniają się do siebie. Nic dziwnego, że Penny ma lekką nadwagę i słabość do pedigree pal, skoro jej pani to duża blondyna z brzuszkiem i słabością do ciastek. Są prawie jak siostry bliźniaczki, tyle że jedna woli snickersy, a druga chappy.

Leonie wyjęła z dna szafy wiekową spódnicę khaki i cisnęła do walizki, na jedwabne bluzki koszulowe, jej znak firmowy. Penny prychnęła pogardliwie.

- Wiem, Misiu-Pysiu. - Leonie przerwała pakowanie, przysiadła na skraju łóżka i pogłaskała niezadowoloną sukę. - Ale to niedługo. Tylko osiem dni. Mamusia zaraz wróci. Nie podobałoby ci się w Egipcie, skarbie. Za gorąco dla ciebie.

Penny, obiekt adoracji i miłości od siedmiu lat, nie dawała się przekonać. Obrażona, odsunęła się od Leonie i burknęła cicho na znak, że zwykłe pieszczoty tu nie wystarczą - żeby ją ubłagać, nie obejdzie się bez smakołyków.

Leonie pracowała jako pomoc weterynaryjna w klinice dla zwierząt. Nie dalej jak wczoraj tłumaczyła właścicielce pekińczyka, że psy to okropni szantażyści i że małemu Kibuszi pod żadnym pozorem nie należy dawać „ludzkiego” jedzenia, choćby nie wiadomo jak żałośnie zebrał przy stole. Teraz chyżo pobiegła do kuchni po ciasteczka.

Jak perski możnowładca przyjmujący daninę, Penny łaskawie przyjęła smakołyki, nakruszyła na narzutę w kwiaty, i zaraz obraziła się ponownie. Brutalnie przyciskała misia łapą. Jej pysk, zazwyczaj radosny i bez troski, zasepił się i spochmumiał. Jej oczy mówiły: Zaraz zadzwonię do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, i wiesz, jak się to dla ciebie skończy? Wylądujesz w więzieniu, oskarżona o znęcanie się nad zwierzętami, tak, tak, moja droga. Coś takiego, zostawić mnie, żeby jechać na jakieś tam wakacje!

- Może nie powinnam jechać. - Zrozpaczona Leonie doszła do wniosku, że za żadne skarby świata nie może na całych osiem dni porzucić Penny, Clover i Hermana. Penny tego nie przeżyje, choć matka Leonie, Claire, będzie ją rozpieszczała: pozwoli jej spać w łóżku i będzie ją karmiła gotowaną wątróbką jagnięcą.

Clover, ukochana kotka Leonie, nie znosiła trzech kotów Claire i przez cały czas zapewne nie opuści swojej klatki, ogłosił koci strajk głodowy i przywita Leonie z figurą anorektyczki. Nawet Hermana, chomika, czekają ciężkie chwile, gdy jego luksusowe domostwo stanie u Claire. No dobrze, trzy syjamskie koty Claire rzeczywiście przejawiają niezdrową fascynację małym Hermanem, owszem, godzinami siedzą przy jego domku i kombinując tu otworzyć klatkę i dobrać się do takiego smakowitego kąska... Ale przecież Leonie nie porzuca go na zawsze!

Mimo tego miała wyrzuty sumienia, że zostawia ukochane zwierzątka na pastwę losu, a sama wyrusza w rejs po Nilu w luksusowej kajucie na pokładzie statku Queen Tiye (dodatek za niewykorzystane łóżko — sto dwadzieścia dwa funty, wycieczka do Abu Simbel i lot balonem nad Doliną Królów płatne dodatkowo, można zarezerwować przed wyjazdem).

- Może nie powinnam jechać - powtórzyła.

Penny wyczuła jej słabość, leciutko machnęła ogonem i uśmiechnęła się odrobinę. Na wszelki wypadek walnęła misia łapą, ugryzła go lekko, jakby zapraszała do zabawy. Mogłabyś porzucić takiego słodkiego, kochanego pieska? - Zdawała się mówić, po raz kolejny dowodząc, że jest mistrzynią w sztuce manipulowania ludźmi.

Właściwie co za problem, zastanawiała się Leonie. Spędzi te osiem dni w domu i w końcu zajmie się ogrodem. Po co komu domek z ogródkiem, skoro wszystko zarasta chwastami?

I jeszcze pomaluje szafki w kuchni. Zabiera się za to, odkąd tu zamieszkała, czyli od siedmiu lat. Nigdy nie lubiła ciemnego drewna.

Właśnie, i jeszcze posprząta w pokoju Danny'ego. On i dziewczynki polecili do Bostonu dziesięć dni temu, a nawet nie zajrzała do jego nory. Zapewne pod łóżkiem kryją się, jak zwykle, sterty śmieci, typowe dla nastolatków: skarpetki śmierdzące jak stary ser i brudne koszulki - doskonały materiał do badań nad ludzkim DNA, tyle na nich potu. Pokój dziewczynek był idealnie czysty, bo dzień przed wyjazdem Abby ogarnęła mania sprzątania i zapędziła nawet Mel do roboty. Wyniosły kilka toreb starych tygodników, pluszowych zabawek, których nawet Penny nie chciała obgryzać, wypisanych flamastrów i pomazanych zeszytów. W rezultacie nikt by się nie domyślił, że w tym pokoju mieszkają dwie czternastolatki mające fioła na punkcie muzyki. Nawet stary

plakat z Robinem Williamsem nie psuł wrażenia. Mel nie pozwoliła go zdjąć.

- Nie martw się, mamó - pocieszała Abby, gdy Leonie zajrzała do pokoju i stwierdziła, że wygląda, jakby dziewczynki nie miały zamiaru do niego wrócić. - Wyjeżdżamy tylko na trzy tygodnie. Będziesz się świetnie bawiła w Egipcie, nawet nie zauważysz, że nas nie ma.

- Wiem, wiem - mruknęła, zła na siebie, że złamała żelazną regułę: pozwoliła dzieciom zorientować się, jak bardzo cierpi, gdy spotykają się z ojcem. To nie tak, że żałowała Rayowi tych kilku tygodni. Nie. Po prostu bardzo za nimi tęskniła, a Boston wydaje się tak daleko. Dawniej, kiedy mieszkał w Belfaście, dzieliło ich tylko kilka godzin. Leonie za żadne skarby świata nie zepsułyby im pobytu z ojcem, zjawiając się niespodziewanie. Wystarczała jej świadomość, że jeśli zechce, może do nich pojechać.

Między innymi dlatego wybierała się do Egiptu na urlop, na który jej właściwie nie stać - żeby zapomnieć o tęsknocie. I żeby zmienić coś w swoim życiu. Egzotyczne wakacje to dokonały początek nowego życia. Przy najmniej tak jej się wydawało.

Dzwonek telefonu wyrwał ją z zadumy. Przysiadła na łożku, podniosła słuchawkę i odruchowo poprawiła zdjęcie jej i Danny'ego w EuroDisney. Dziewiętnastoletni mężczyźni nie wyjeżdżają w towarzystwie matki, stwierdziła. Już nigdy nie wyjadą we czwórkę.

- Mam nadzieję, że nie zmieniałś zdania - huknęło w słuchawce. Anita. Głośna, kochana i władcza, była przyjaciółką Leonie od wielu lat. Mówiła na dwa sposoby: albo głośno, na całe gardło, albo scenicznym szeptem. W obu wypadkach słyszało się ją nawet z pięćdziesięciu metrów:

- Musisz odpocząć, a skoro nie chcesz jechać do West Cork z naszą paczką, Egipt to idealne rozwiązanie. Tylko nie daj się temu cholernemu psu, który na pewno chce cię zatrzymać.

Leonie uśmiechnęła się pod nosem.

- Penny jest bardzo smutna - przyznała. - I rzeczywiście zaczęłam się zastanawiać, czy ten wyjazd w ogóle ma sens.

- Co? Chcesz zmarnować tyle pieniędzy? - huknęła oburzona Anita, bardzo oszczędna matka czwórki dzieci, specjalistka od zakupów na promocjach i wyprzedażach. Gdyby to uchodziło, z oszczędności wykorzystywałyby po kilka razy torebki herbaty.

Leonie nie zniosłaby kolejnych wakacji w wynajętym domu razem z „paczką”, jak Anita określała grupę znajomych. Poznali się dwadzieścia lat temu jako młode małżeństwa. Takie paczki są w porządku, jeśli

należysz do nich razem z partnerem. Sytuacja zmienia się, kiedy jesteś jedyną samotną rozwódką.

Status jedynej wolnej kobiety w tym gronie był okropny. Teraz będzie jeszcze gorzej, bo Tara (samotna przez pewien czas) ponownie wyszła za mąż i już nie będzie razem z Leonie narzekać na samotność i brak porządnym facetów. Po zeszłorocznym incydencie, gdy jeden z mężów obściskał ją w kuchni po pijanemu, Leonie obiecała sobie: nigdy więcej.

Kiedy dziesięć lat temu rozstawała się z Rayem, miała głowę pełną marzeń. Po niemal dekadzie przyjaznego, ale nie namiętnego małżeństwa oboje mieli plany i marzenia na przyszłość. Lecz to Ray ułożył sobie życie, zmieniał przyjaciółki jak rękawiczki, a Leonie nadal marzyła o jedynej wielkiej miłości.

Od sześciu lat nie była na randce, zresztą ta ostatnia to też niewypał - randka w ciemno, na którą namówiła ją Anita. Partnerem okazał się wykładowca uniwersytecki, sobowtór Anthony'ego Perkinsa z *Psychozy Hitchcocka*. Nie trzeba dodawać, że nic z tego nie wyszło.

- Leonie, zawsze znajdzie się dla ciebie łóżko, jeśli zechcesz do nas dojechać. - Anita przerwała jej rozważania. - Wszyscy bardzo się ucieszą, i jeśli uważasz, że Egipt to był zły pomysł...

- Nie, nie, żartowałam - zapewniła Leonie pospiesznie. - Już nie mogę się doczekać, naprawdę. Zawsze chciałam tam pojechać. Już sobie wyobrażam, jak kupuję tony fantastycznej biżuterii - dodała z autentycznym entuzjazmem. Na jej toaletce już brakowało miejsca dla egzotycznych kolczyków i naszyjników. Niestety, większość kupowała w etnicznych sklepach w Londynie i Dublinie.

- Bądź ostrożna na bazarach - ostrzegła Anita, przekonana, że wszystko po drugiej stronie kanału La Manche to dzika głusza. - Wiesz, oni tam na Wschodzie lubią duże kobiety.

- Cudownie - zaszczębiotała Leonie i odruchowo wcieliła się w Leonie Delaney: dziką, szaloną, kuszącą boginią seksu, za jaką od lat starała się uchodzić. Nawet jeśli Anita wiedziała, że to nieprawda, nawet jeśli domyślała się, że namiętne randki Leonie odbywa z telewizorem i lodami truskawkowymi, nigdy nie dała tego po sobie poznać.

Po kilku minutach Leonie odłożyła słuchawkę. W głębi duszy była przekonana, że handlarz kobietami, który chciałby ją porwać i uczynić z niej nałożnicę, musiałby być diabelnie silny. Miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, ważyła osiemdziesiąt kilo i absolutnie nie przypominała wiotkiej niewolnicy z haremu.

Anita jest kochana, że to powiedziała, stwierdziła później, przeglądając się w lustrze. Włożyła ulubioną spódnicę w kolorze szafranu, długą

czarną koszulę i korale z drobnych bursztynów. Czerń nie nadaje się na podróże w tropiki, wiedziała o tym, ale w tym kolorze czuła się najlepiej. Nic nie ukryje jej rozmiarów, ale czarny przynajmniej je zatuszuje.

Głębokie, nasycone kolory podkreślały jej urodę i nosiła je chętnie: zwiewne szkarłatne tuniki, obszerne peleryny z fioletowego aksamitu, długie do kostek barwne, indyjskie spódnice. Jak kreacji ekscentrycznych wróżek i arystokratek czy ostentacyjnie eleganckich aktorek z lat 30., strojów Leonie trudno było nie zauważyć. Najbardziej jednak lubiła czerń. Zadowolona z siebie, o ile przy jej figurze można to tak nazwać, zajęła się makijażem.

Gdyby nie lubiła pracy ze zwierzętami, chciałyby być wizażystką. Los nie obdarował jej ładną twarzą, ale kosmetyki sprawiały cuda. Dzięki kredkom do oczu, pudrom, podkładom i pędzłom wydawała się sobie tajemnicza i egzotyczna. Jak dziewczyny ze starych plakatów reklamujących chałwę. Siedziały na pustyni i tęsknym wzrokiem wypatrywały swojego szejka. Z całą pewnością nie były grube, stare i przerażone perspektywą samotnej starości.

Duże, ładnie wykrojone usta wyglądałyby cudownie, gdyby tylko należały do drobnej, chudej modelki, a nie do takiej wielkiej baby.

Miała okrągłą twarz, ale wystające kości policzkowe sprawiały, że nie wydawała się taka pulchna, bez względu na to, ile utyliła. Włosy, naturalnie mysie, jak to określała, farbowała od lat na jasnożółty odcień.

Najpiękniejsze w twarzy Leonie były oczy. Duże, ocienione ciemnymi rzęsami, były intensywnie błękitne jak Adriatyk. Wydawały się zbyt niebieskie, by były prawdziwe.

- Oczy sprawiają, że jesteś piękna-powtarzała jej matka przed laty.
- Nie musisz nic mówić, Leonie. Twoje oczy mówią za ciebie.

Matka zawsze uważała, że każda kobieta może być piękna, jeśli tylko zechce. Śliczna i zadbana Claire powtarzała córce, że prawdziwa uroda pochodzi z wnętrza.

Niestety, jako dziewiętnastolatka Leonie uznała, że matka nie ma racji i ładne oczy to za mało, by osiągnąć ideał, czyli upodobnić się do Catherine Deneuve. Doszła do tego wniosku, gdy zaczęła studia, ukończywszy żeńskie liceum prowadzone przez zakonnice. Na University College of Dublin odkryła mężczyzn. Odkryła także, że ci, którzy się jej podobali, woleli koleżanki głupsze, ale drobniejsze. Jej proponowali udział w przeciąganiu liny, a inne dziewczyny zapraszali na dyskoteki.

Załamana doszła do wniosku, że jest gruba, brzydka i nijaka. I postanowiła stworzyć się na nowo. Leonie Murray, nieśmiała dziewczyna z tylnego rzędu grupowych zdjęć, stała się szaloną ekscentryczną Leonie,

miłośniczką oryginalnych ubrań, dziwacznej biżuterii i ostrego makijażu. Pełną życia, dowcipną i zabawną dziewczynę zapraszano na wszystkie imprezy, ale nie na spacerzy przy księżycu.

Jej pierwsza i jedyna prawdziwa miłość, Ray, dostrzegł pod grubą warstwą makijażu wrażliwą, nieśmiałą osobę, którą naprawdę była. Ale nie zaznała szczęścia u boku Raya. Ich małżeństwo okazało się błędem. Była mu wdzięczna, że ocalił ją przed samotnością, a wdzięczność to za mało, by stworzyć udany związek, teraz to wiedziała. Podobnie jak ciąża. Czasami miała wyrzuty sumienia, że wyszła za niego z niewłaściwych powodów, a potem rozstała się z nim po dziesięciu latach wspólnego życia.

Byli zupełnie różni. On był cichym spokojnym studentem wydziału sztuki, w każdej wolnej chwili zaszywał się w bibliotece i nigdy nie chodził na imprezy. Leonie była najbarwniejszą postacią pierwszego roku wydziału biologii.

Poznali się na seansie *Annie Hall* i przez cały wieczór zaśmiewali się z dowcipów Woody Allena. Później, po kilku latach małżeństwa, Leonie doszła do wniosku, że podobne poczucie humoru i miłość do Woody Allena to jedne z niewielu rzeczy, które ich łączyły. Poza tym różnili się jak dzień i noc. Ray lubił książki popularnonaukowe, dyskusje polityczne i domowe zaciszę. Leonie prowadziła bujne życie towarzyskie, kochała dyskoteki, powieści i czekoladki. Nie zostaliby razem, gdyby się nie okazało, że za siedem miesięcy Leonie urodzi dziecko. Pobrali się szybko i byli bardzo szczęśliwi, dopóki nie skończył się miesiąc miodowy. Choć tak wiele ich dzieliło, przetrwali razem jeszcze dziesięć lat, i to w przyjaźni i harmonii, choć nawet lodówka iskrzy bardziej niż ich związek. Żyła z tą świadomością przez dłuższy czas, ale godziła się na taki układ ze względu na Danny'ego, Melanie i Abigail. W końcu jednak coś w niej pękło i poczuła, że musi być wolna. Miała wrażenie, że się dusi, że umiera, że życie przecieka jej między palcami.

Nie wiedziała, skąd zdobyła odwagę, by usiąść naprzeciwko Raya i zapytać, co sądzi o rozstaniu.

- Kocham cię, Ray, ale żyjemy jak w pułapce - tłumaczyła, odważna dzięki dwóm szklankom grzanego portu. - Jesteśmy jak rodzeństwo, nie jak małżeństwo. Pewnego dnia jedno z nas kogoś pozna i wtedy dojdzie między nami do wojny. Znienawidzimy się i skrzywdzimy dzieci. Chcesz tego? Nie uważasz, że powinniśmy postawić sprawę jasno, a nie mydlić sobie oczy?

Nie było łatwo. Ray upierał się, że jest szczęśliwy, że odpowiada mu taki układ.

- Nie jestem romantykiem, Leonie, w przeciwieństwie do ciebie. Nie szukam wielkiej miłości - powtarzał ze smutkiem. - Przecież jest nam dobrze, prawda?

Po pierwszej rozmowie ta sprawa była jak niezabliźniona rana. Stopniowo Ray i Leonie oddalali się do siebie, aż pewnego dnia przyznał jej rację, ich małżeństwo praktycznie już nie istnieje. Zdziwiło ją, jak szybko odnalazł się w nowej sytuacji, lecz nie miała kiedy się nad tym zastanawiać, za bardzo absorbowało ją tłumaczenie sytuacji trójce nic nierozumiejących dzieci. Z dala od niej Ray rozkwitł. Miał grono przyjaciół, jeździł w egzotyczne zakątki, zmieniał często pracę. Spotykał się z coraz to innymi kobietami, ubierał się w markowych sklepach i przedstawiał kolejne narzeczone dzieciom. Leonie ciężko pracowała, wychowywała dzieci i czekała, aż mężczyzna jej życia wreszcie się pojawi. Przecież jest już wolna. Niestety, czekała na próżno.

Jak czasami tłumaczyła Penny:

- Trzeba było się nie rozwodzić i mieć romanse. To jest to! Wielka miłość i namiętność z parasolem ochronnym. Ale to cała ja: tak bardzo chciałam coś naprawić, że wszystko popsułam.

Nadal uważała Raya za przyjaciela. Był wspaniałym ojcem.

Teraz tylko dzieci znały Leonie taką, jaką była naprawdę.

Tylko one widywały ją w szlafroku i prawie bez makijażu. Boże, jak bardzo za nimi tęskni.

Za nic nie chciała się znowu rozkleić, więc przypomniała sobie, jak marzyła o wyprawie do Egiptu. Strach przed lataniem to nie powód, żeby się wycofać. Po pierwsze, nie może sobie pozwolić na wyrzucenie tylu pieniędzy w błoto, a po drugie, od kiedy to Leonie Delaney boi się czegośkolwiek? Złapała za kredkę do oczu i ozdobiła powieki kreską, której nie powstydziałaby się sama Kleopatra.

Jak niby ma się wziąć z życiem za bary, skoro waha się przy pierwszym zakręcie - wyjeździe w pojedynkę?

Rozdział 4

Cztery godziny później Leonie stała na lotnisku, tuliła do piersi przewodnik i wyobrażała sobie, że podróż samolotem ma już za sobą. Odkąd obejrzała film o rozbitkach, którzy w górach Peru przeżyli tylko dzięki kanibalizmowi, nie znosiła latania. Nienawidziła.

- Zaaplikuję ci ketaminę na podróż - zażartowała poprzedniego dnia Angie. W klinice często podawały ketaminę nadmiernie pobudzonym zwierzętom.

- Wiesz co, chętnie - stwierdziła Leonie całkiem poważnie. Zaopatrzyła się w ziołowe tabletki na uspokojenie, proszki przeciwko chorobie lokomocyjnej i olejek eteryczny do wcierania w skronie, a i tak była bardziej zdenerwowana niż nadpobudliwy kot pani Reilly podczas przycinania pazurów. W domu rozkoszny, spokojny i łagodny, przynajmniej według pani Reilly, w klinice zamieniał się w dziką bestię i miał opinię kota „niebezpiecznego”. Sootie nie pozwalał się dotknąć, nawet przy najprostszym zabiegu nie obešlo się bez środków uspokajających i ochronnych rękawic. Szkoda, że personel samolotu nie znieczulił pasażerów przed startem.

Leonie pchnęła wózek z bagażem i ukradkiem przyglądała się innym pasażerom lotu MS634 do Luksoru. Chyba nikt poza nią nie umierał ze strachu. Z całą pewnością nie ta szczupła kobieta na przedzie kolejki. Była nerwowa i płochliwa jak chart czystej krwi. Długie, jedwabiste włosy opadające na duże okrągłe oczy tylko potęgowały to wrażenie. W komplecie z beżowej dzianiny wydawała się blada, chuda i nieszczęśliwa. Ma koło trzydziestki, oceniła Leonie, ale zachowuje się jak nieszczęśliwa nastolatka, która wybiera się na wakacje z rodzicami.

Obok stała starsza kobieta, zapewne jej matka, i rozprawiła z żywieniem. Miała na sobie staromodną sukienkę w kwiatki. Matka Leonie, Claire, nawet przed laty nie włożyłaby czegoś takiego. Krecja aż się prosiła o rękawiczki i staroświecki kapelusik. Po chwili podszedł do nich potężny mężczyzna z brodą i zaraz nakrzyczał na pracownicę linii lotniczych. Wrzeszczał tak, że słyszała go chyba cała kolejka.

- Złożyłbym na panią skargę, młoda damo, ale nie widzę sensu - zagrmiał. - Dałem tym z biura podróży nader jasno do zrozumienia, co o tym sądzę. Zapamiętaj sobie, nie dam się wykorzystać.

Kobieta chart odwróciła się zawstydzona i napotkała spojrzenie Leonie. Leonie, speszona, wbiła wzrok w torbę podróżną. Uwielbiała obserwować innych ludzi, ale nie lubiła, kiedy łapano ją na gorącym uczynku. Lubiła zgadywać, kim są i czym się zajmują inni, zaglądając do ich koszyków w supermarketach. W pociągu zdarzało jej się zastanawiać, co łączy siedzących naprzeciwko ludzi. Są małżeństwem? Zamierzają się pobrać? A może myślą o separacji? Albo czy kobieta z koszykiem pełnym lodów czekoladowych i o figurze Kate Moss naprawdę zjada tyle kalorii? A może ma na strychu portret siebie tłustej i brzydkiej jak Dorian Grey?

Pracownica linii lotniczych zawołała następnych z wyraźną ulgą w głosie. Konfliktowa rodzina oddalała się od stanowiska. Leonie celowo

nie podnosiła głowy, ale ukradkiem jeszcze raz zerknęła na młodszą kobietę.

Kiedy ją mijała, upychając dokumenty do malutkiej torebeczki, w której nie zmieściłaby się nawet połowa kosmetyków Leonie, dostrzegła, że pomalowane na różowo paznokcie są poobgryzane niemal do krwi. Dziewczyna patrzyła przed siebie, unikając ludzkiego wzroku. Zdecydowanie nie ma ochoty na wakacje z rodzicami, stwierdziła Leonie.

Kolejka posuwała się do przodu. Ponieważ nikt na nią nie patrzył, Leonie rozważała, czy nie uciec do domu. Nikt się nie dowie. No, tylko jej matka, bo pierwsze, co zrobi, to pojedzie po kochaną Penny. Ale nikt więcej się nie dowie.

Nikt, czyli Anita. Anita jest już na szczęście w drodze do West Cork, nie wróci do Wicklow przez następne trzy tygodnie i nie dowie się, że jej pełna życia, odważna, rozwiedziona przyjaciółka, lat czterdzieści dwa, zrezygnowała z pierwszych samodzielnych wakacji, bo się boi latać.

- Idę do łazienki. Zaraz wracam - usłyszała za sobą cichy kobiecy głos.
- Będę tęsknił - odparł mężczyzna.
- Och - westchnęła. - Kocham cię.
- Ja ciebie też.

Młodożeńcy, stwierdziła Leonie z zazdrością.

Obejrzała się od niechcienia i kątem oka dostrzegła całującą się parę. Kobieta miała na sobie różową sukienkę, niezbyt odpowiednią na podróż. Po chwili odeszła w stronę łazienki, co chwila odwracając się do męża. Machała i posyłała mu całusy.

Uśmiechał się co chwila. Trzymał walizkę, na której jakiś dowcipniś napisał korektorem: Państwo Smith.

Leonie zastanawiała się, czy była kiedykolwiek tak zakochana. Chyba nie. A przecież na to zasłużyła. Czy dla niej nie ma nikogo? Nikogo, kto by jej machał, kiedy idzie do toalety? Musi być. Ale nie znajdzie go, pieląc ogródek. Z determinacją pchnęła wózek. Egipcie, nadchodzę.

Dostała miejsce 56C, przy oknie, w tyle samolotu. Skrzywiła się boleśnie, gdy doszła do swego fotela, i tęsknie spojrzała na dwa sąsiednie miejsca. Może uda się zamienić z sąsiadami. A jeśli nie zechcą? Zła na siebie, że jest taka zdenerwowana, rozglądała się w poszukiwaniu stewardesy, którą mogłaby zapytać o zmianę miejsca. Zamiast tego zobaczyła, że w jej stronę idzie bardzo efektowna kobieta, pewna siebie, szczyła, w dżinsach, białej koszulce i granatowym swetrze nonszalancko narzuconym na ramiona.

Trzymała niedużą torbę podręczną przed sobą, żeby nikogo nie uderzyć, ale kiedy wpadła na mężczyznę, który usiłował wepchnąć swoje pakunki do schowka nad głową, błysnęła zębami w uśmiechu, odrzuciła długie orzechowe włosy i poszła dalej. Mężczyzna odprowadzał ją wzrokiem, podziwiał wąskie biodra i niebotycznie długie nogi. Czuła na sobie jego spojrzenie, Leonie widziała to po uśmiechu, który czaił się w kąciakach jej ust. Była bardzo elegancka i pewna siebie, jakby urodziła się po to, by odbyć ten rejs po Nilu. Wszystko w niej było idealne, poczynając od czystych adidasów po drogie okulary słoneczne na czubku głowy. Okulary Leonie zawsze spadały, gdy usiłowała je tam umieścić.

- Nie chciałam miejsca przy oknie - wypaliła prosto z mostu do pięknej brunetki. Obawa przed lataniem zwyciężyła niechęć do zawracania innym głowy.

- Możemy się zamienić - odparła spokojnie, z ledwo słyszalnym akcentem zachodniej Irlandii. - Ja mam środkowe.

Zamieniły się. Leonie poczuła zapach perfum obsession, gdy brunetka usadowiła się przy oknie, wyjęła okulary w szylkretowej oprawce i zagłębiła się w bardzo poważnym przewodniku. Nie ma obrączki, zauważyła. Może też jest sama i będą trzymały się razem. Podziękowała losowi, że posadził ją koło tej miłej kobiety. Wszystko się jakoś ułoży.

Starła się odprężyć, z bezpiecznego środkowego fotela zaryzykowała nawet spojrzenie przez okno. Bagażowi właśnie ładowali walizki do wnętrza samolotu.

Niemal wszyscy byli już na pokładzie, zanim znaleźli się pasażerowie siedzący tuż przed nimi. Leonie znudzona obserwowaniem bagażowych - wołała nie myśleć, w jakim stanie będą jej ciuchy po takim traktowaniu - wypatrywała spóźnialskich. Wąskim przejściem maszerowała ta dziwna rodzina, którą Leonie obserwowała na lotnisku. Młodsza kobieta szła pierwsza. Wbiła wzrok w ziemię, na wszelki wypadek, byle tylko nie patrzeć nikomu w oczy. Szybko wepchnęła mały plecaczek do schowka nad głową i usiadła przy oknie. Za nią szła pozostała dwójka. Leonie skrzywiła się. Jeśli sądzić po próbcie przy odprawie bagażowej, lot będzie urozmaicony dzięki tej rodzinie.

- 55B - mruknęła starsza kobieta. - To tutaj. Wolałabym usiąść przy oknie.

Młoda kobieta wstała bez słowa. Czekwała, żeby ojciec usiadł koło żony.

- Wchodź, Emmo - burknął mężczyzna niecierpliwie.

- Przepraszam - odparła cicho. - Myślałam, że...

- Anne-Marie, połóż ci torbę na górę? - przerwał jej obsesowo.

- Zaraz, muszę pomyśleć. - Starsza pani schyliła głowę. - Okulary do czytania, tabletki...

Leonie wróciła wzrokiem do okna. Życie rodzinne, co za nuda. W wieku tej młodej za żadne skarby świata nie pojechałaby na urlop z rodzicami. Jest albo głupia, albo szalona.

Samolot w końcu wystartował. Leonie zamknęła oczy ze strachu, Hanna - bo wspominała umięśnionego Jeffa, dzięki któremu zaledwie parę godzin temu wznosiła się ku niebu jak jumbojet. Emma ssała mię-tusa, spokojniejsza dzięki połówce valium, którą łyknęła ukradkiem w toalecie. Starła się usiąść wygodnie, ale to niełatwe, bo ojciec rozpychał się niemiłosiernie.

Półówka valium chyba nie zaszkodzi dziecku, ale ojciec był w złym humorze i robił, co w jego mocy, by zepsuć nastrój wszystkim dokoła. Emma widziała, jak ludzie się na nich gapia, kiedy robił awanturę, że nie będzie mógł palić fajki w samolocie. Jeśli cały czas będzie się tak zachowywał, szykują się koszmarne wakacje. Dlaczego w ogóle się na to zgodziła?

Hanna z ulgą opadła na fotel w klimatyzowanym autobusie. Było wpół do siódmej wieczorem, a umierała z gorąca po zaledwie piętnastu minutach na dworze. Dotarłaby wcześniej do autokaru, ale dwaj bagażowi walczyli o przywilej taszczenia jej walizki.

- Doskonałe przedstawienie, panowie - stwierdziła z uśmiechem i dała każdemu napiwek.

Jest co najmniej dwadzieścia siedem stopni, a przecież ciemno, choć oko wykol. Lepiej nie myśleć, jak gorąco będzie w ciągu dnia. Wachlowała się programem wycieczki, który przewodniczka rozdała wszystkim w trzydziestodwuosobowej grupie.

- Zapraszam do autokaru, ja zbiorę resztę współtowarzyszy. - Machnęła ręką w stronę autokarów, które wyglądały jak srebrzyste jaszczurki.

Przewodniczka, młoda kobieta imieniem Flora, w białych szortach i błękitnej bluzeczce, wręcz emanowała spokojem i pewnością siebie. Dobrze, że jest spokojna, pomyślała Hanna, to jej się przyda przy rozmowie z tym strasznym facetem, który siedział przed nimi w samolocie. Narzekał przez cały lot, a to że jedzenie za zimne, a to że nie ma drinków i czy dostaną zwrot kosztów za godzinne opóźnienie lotu. Co za cham!

Był niegrzeczny wobec uprzejmej stewardesy, która poinformowała go, że nie podają alkoholu podczas lotu. Na lotnisku, w kolejce po wizy, tylko głuchy nie usłyszałby jego komentarzy na temat egipskiej ospałości i biurokracji.

- To ma być lotnisko? - zachnął się, gdy tłum pasażerów zebrał się w hali przylotów. Jedni szukali swoich przewodników, inni stali w kolejce po wizę, jeszcze inni chcieli wymienić pieniądze.

- Wstyd, żeby przywozić Europejczyków do takiej prowizorki! Nie ma odpowiednich znaków, personelu, klimatyzacji, nic tu nie ma. Nic dziwnego, że tak długo panowali tu cudzoziemcy! Te dzikusy na niczym się nie znają, jeśli chcecie znać moje zdanie. Zaraz po powrocie napiszę o tym do „Irish Times” i do Ambasady Egiptu.

Hanna nie pojmowała, po co w ogóle wyjeżdżał za granicę, jeśli cały czas tylko robi rasistowskie uwagi i narzeka na upał.

Napiła się wody mineralnej z butelki i obserwowała, jak spoceni turyści wspinają się do autokaru. Dyszeli ciężko i co chwila informowali się wzajemnie, że jest bardzo gorąco.

- Bardzo gorąco! - sapnęła duża blondynka, jej sąsiadka z samolotu. Wepchnęła torbę podręczną na półkę pod sufitem i ciężko opadła na siedzenie obok Hanny.

- Nasza wina, trzeba było posłuchać ostrzeżeń w biurze podróży, że w sierpniu jest straszny upał - odparła Hanna z uśmiechem.

- Ostrzegali? - Blondynka grzebała w obszernej torbie, aż z triumfem wyciągnęła kartonik soku pomarańczowego. Wbiła słomkę, upiła •potężny łyk i stwierdziła:

- Nikt mnie nie ostrzegał przed upałem. Powiedziałam, że mogęjechać tylko w sierpniu i zarezerwowali mi kajutę. Teraz wyjechały moje dzieci. Jestem Leonie - przedstawiła się.

- Miło mi. Hanna.

Leonie wiedziała, że jest bardziej czerwona na twarzy niż zwykle, a jej pierzaste jasne włosy sterczą na wszystkie strony. W samolocie prawie nie odzywała się od sąsiadki. Usiłowała czytać powieść sensacyjną. Miała nadzieję, że lektura wciągnie ją do tego stopnia, że zapomni, gdzie jest. Teraz, gdy poczuła grunt pod nogami, paplała jak nakręcona, szczęśliwa, że doleciała cała i zdrowa.

Hanna wcale nie wyglądała na zmęczoną czy zgrzaną; sprawiała wrażenie osoby, dla której temperatury bliskie wrzenia to najzwyklejsza rzecz pod słońcem.

- Istny dom wariatów! - Leonie spojrzała w stronę hali przylotów. - Ci faceci co chwila wrywali mi walizkę i stawiali na swoim wózku, a ja walczyłam o nią jak lwica. Za którymś razem zabrałam ją tak gwałtownie, że chyba naderwałam sobie ścięgno. - Masowała bolący bark.

- To bagażowi. Liczyli, że dasz im napiwek, jeśli zaniosą ci bagaż do autokaru - wyjaśniła Hanna.

- Och, nie przyszło mi to do głowy. Ale i tak nie mam egipskich pieniędzy - zauważyła Leonie. - Wymienię pieniądze na statku.

Ponownie zajęła się szukaniem czegoś w torbie, dzięki czemu Hanna miała okazję się jej przyjrzeć. Miała zadarty po dziecinnemu nos i zdecydowanie zbyt obfity makijaż jak na Afrykę Północną, ale najbardziej rzucała się w oczy jej żywotność. Miała bardzo przejrzystą twarz; można w niej czytać jak w książce, zdradzała wszystkie uczucia. Nie była ładna, ale bijące od niej ciepło dodawało jej atrakcyjności. I te niesamowicie niebieskie oczy lśniące jak cejlońskie szafiry. Hanna nigdy nie widziała kogoś o równie niebieskich oczach, nie licząc modelek w gazetach, reklamujących kolorowe szkła kontaktowe. Oczywiście niewykluczone, że oczy Leonie zawdzięczają swoją barwę właśnie soczewkom, ale Hanna była gotowa się założyć, że tak nie jest. Leonie powinna tylko zmyć gruby podkład i mocne kreski. Wyrazisty, sceniczny makijaż sugerował, że chciałaby się ukryć. Hanna uśmiechnęła się pod nosem. Każdy ma coś do ukrycia. Ona sama od lat skutecznie ukrywa brak wykształcenia.

- Może któregoś dnia zjemy razem kolację. - Leonie była na siebie zła, że cały czas papple bzdury jak sroka po kwasie. Przeżona perspektywą tygodnia w samotności, bardzo się ucieszyła, że poznała inną kobietę w podobnej sytuacji. Nie chciała jednak sprawiać wrażenia osoby bardzo samotnej czy wystraszonej; może Hanna, taka spokojna i zrównoważona, wcale nie pragnie towarzystwa. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu... - dodała ciszej.

- Pewnie, że nie. - Hanna nie miała nic przeciwko samotności, ale odniosła dziwne wrażenie, że musi się opiekować Leonie, dwa razy od niej grubszą i o głowę wyższą. - We dwie prędzej opędzimy się od zabójczo przystojnych Egipcjan. A może to oni będą się opędzać przed nami? - zażartowała.

Leonie roześmiała się i z goryczą spojrzała na siebie.

- Mnie nic nie grozi, spokojna głowa. - Po raz pierwszy od dawna nie zrobiła głupiej uwagi, jak to uwielbia mężczyzn i nie może bez nich żyć. Te komentarze miały ukryć jej nieśmiałość i niepokój. Dzisiaj uznała, że nie musi udawać. Hanna jest miła, spokojna. To będzie świetny urlop.

Brodacz malkontent, jego żona i córka wsiedli do autokaru i zajęli miejsca z przodu. Hanna i Leonie obserwowały z zaciekawieniem, jak ojciec wygłasza kolejny krytyczny monolog, a matka wachluje się idiotycznym w tym miejscu hiszpańskim wachlarzem. Miała długie, jasne rozpuszczone włosy, fryzurę odpowiednią dla nastolatki, a nie kobiety w jej wieku, sukni w kwiatki, jak z lat pięćdziesiątych. Wyglądała na

niezadowolona, jakby Egipt nie spełnił jej oczekiwań. Córka siedziała za nimi, blada i milcząca.

- Modłę się, obyśmy nie miały kabin koło nich - mruknęła Leonie. - Tacy ludzi narzekają, kiedy nie ma na co narzekać.

- Ojciec na pewno - zgodziła się Hanna. - Ale szkoda mi córki. Pomyśl, co ona ma za życie z takim tyranem.

Hanna obserwowała jaąd dłuższej chwili i była przekonana, że wstydzi się za ojca, dlatego sprawia wrażenie oschłej i dalekiej.

- Wygląda, jakby miała się zaraz rozpłakać. Może zaprosimy ją tu do nas - zaproponowała Hanna. Skoro opiekuje się jednym brzydkim kaczątkiem, wyratuje z opresji i drugie.

Leonie skrzywiła się.

- Sama nie wiem... A co będzie, jeśli rodzice zechcą się z nami zaprzyjaźnić i będziemy miały ich na głowie do końca rejsu?

- Leonie! - skarciła ją Hanna. - Trochę odwagi! Zaryzykujmy! Zresztą na statku będą stoliki sześćo- albo ośmioosobowe i jeśli posadzą nas z nimi, jesteśmy załatwione.

Autokar przemierzał ciemne uliczki Luksoru w drodze do przystani. Flora stała z przodu, opowiadała o Egipcie i czekającej ich wyprawie.

- Czeką państwa bardzo intensywny tydzień - mówiła. - Wiele wycieczek zaczyna się z samego rana. Wyruszamy o świcie, bo w ciągu dnia w świątyniach są tłumy turystów, zresztą rano jest chłodniej i przyjemniej. Jutro damy państwu odpocząć na pokładzie - zawiniemy do Edfu, naszego pierwszego postoju, dopiero po południu. Dzisiaj spotkamy się w barze o - zerknęła na zegarek — wpół do dziewiątej, czyli za godzinę. Wtedy przedstawię państwu szczegółowy program. Kolacja o dziewiątej.

Hanna i Leonie wyglądały przez okna na ciemne, zakurzone uliczki i patrzyły na niskie domeczki, zupełnie inne niż w Anglii. Wiele domków wyglądało tak, jakby właściciele planowali dobudować jeszcze jedno piętro, ale w ostatniej chwili zmienili zamiar. Gdzieniedzie kołysały się zielone pióropusze palm.

W pewnym momencie Leonie zobaczyła osiołka, przywiązanego pod daszkiem z palmowych liści. Jaki chudy, zauważyła ze ściśniętym sercem. Żebra niemal przebijały skórę. Nie chciała patrzeć na cierpienie zwierząt; w domu na co dzień płakała nad bezdomnymi psami potraconymi przez samochody. Tam przynajmniej może im pomóc, ale tutaj nie jest pomocą weterynaryjną tylko zwykłą turystką.

Nagle Penny stanęła jej przed oczami; czekoladowe ślepia pełne rozpaczy, że pani ją porzuciła. Leonie bardzo za nią tęskniła i za wszystkimi swoimi zwierzakami. Biedna Clover siedzi w klatce, a mały Herman poci się ze strachu osaczony przez żarłoczne koty matki. Do tego dzieci są tak daleko. Irlandia leży jednak bliżej Bostonu niż Egipt. Na odległość telefonu. A Egipt? Dwa kontynenty dalej, na dodatek będzie podróżowała, więc jej nie znajdują. A jeśli coś się stanie i Ray nie zdoła się z nią skontaktować i...

Prześnięta już, skarciła się. Nic się nie stanie. Chcąc się czymś zająć, wyjrzała przez okno. Wiejski krajobraz ustąpił miejskim uliczkom. Panował tu duży ruch; sfatygowane łady ze znakiem TAXI walczyły o miejsce na jezdni z wiekowymi samochodami, Nad małymi sklepikami kusiły egzotyczne napisy po arabsku i ich angielskie tłumaczenia.

Przed domami siedzieli w małych grupkach mężczyźni, pili kawę, rozmawiali, oglądali telewizję. Większość z nich miała na sobie proste białe szaty i turbany na głowach. Młodzi chłopcy przyglądali się turystom w autokarze, niektórzy machali energicznie.

- Nie widzę żadnych kobiet - szepnęła Leonie do Hanny, jakby mężczyźni z Luksoru mogli je usłyszeć.

- Tak, to męskie społeczeństwo. Na lotnisku też nie było kobiet. Ale to kraj muzułmański, prawda? A to oznacza, że kobiety muszą ubierać się skromnie.

Hanna z żalem pomyślała o swojej garderobie wakacyjnej; zabrała kilka nader skąpych kostiumów, w których chciała opalać się na pokładzie statku. Czytała w przewodnikach, że w świątyniach kobiety nie powinny pokazywać się w szortach i z odkrytymi ramionami, zabrała więc i odpowiednie ubrania. Jeśli Egipcjanie będą mieli coś przeciwko bikini, kostium zostanie w walizce. Nie chciała nikogo urazić. Chociaż z drugiej strony, stwierdziła z krzywym uśmiechem, stary proboszcz w domu, w Connemara, byłby tego samego zdania co religijny Egipcjanin, gdyby zobaczył jej różowe bikini.

- Po prawej stronie zobaczą państwo Nil. - Ledwie Flora skończyła mówić, pasażerowie już wyciągali szyje, by zobaczyć rzekę. Początkowo Hanna nie widziała nic ponad ich głowami.

A potem zobaczyła ogromną taflę wody lśniąca od świateł statków. Mityczny Nil, dar Egiptu, jak powiedział Herodot - a może odwrotnie? Może to Egipt jest darem Nilu? Zapomniała. Tą rzeką żeglowali faraoni, królowie i królowe Egiptu nad jej brzegami oddawali cześć swoim bogom. Tutanchamon, Ramzes, królowa Hatszepsut. Ich imiona przywoływały tajemniczą, egzotyczną przeszłość...

- Spójrz na statki - szepnęła Leonie. Umierała z ciekawości, na którym z nich spędzi najbliższy tydzień. Nie mogła się skupić na podziwianiu widoków, póki się nie dowie, czy w kajucie starczy miejsca na jej bagaże. - Ale wielki - stwierdziła, gdy podjeżdżali do pływającego pałacu oświetlonego setkami lampek. - Może to nasz.

Autokar minął go, nie zatrzymując się.

- No cóż... - Leonie wzruszyła ramionami.

Autokar zatrzymał się gwałtownie przy dużo mniejszym stateczku. Na błękitnej burcie widniała nazwa „Queen Tiye”. Miał trzy pokłady. Nad najwyższym rozpięto płócienną markizę, na środkowym leżaki zapraszały, by odpocząć. Na najwyższym pokładzie paliły się świece, dostrzegły także kilka osób przy stolikach.

- Ładny - stwierdziła Leonie z zadowoleniem.

Wysiedli z autokaru, wskazali swoje walizki bagażowym sprowadzonym przez Florę, zesli kamiennymi schodkami na nabrzeże i ostrożnie weszli na pokład po drewnianym trapie.

Leonie złapała się sznurowej poręczy, spojrzała na Hannę przez ramię i oznajmiła z radością:

- Czuję się jak w filmie o Indiana Jonesie! Ty też?

- Sama nie wiem. - Hanna odczuwała skutki szalonej nocy z energicznym Jeffem. Teraz marzyła tylko o jednym - spać. Nie może jednak przegapić spotkania z Florą. Przecież może się okazać, że nie dowie się wszystkiego, co trzeba, a tego nie lubiła najbardziej. Nigdy nie wiadomo, czy inni wszystko ci przekażą.

Gdy wszyscy wypełnili karty meldunkowe, Flora rozdała klucze do kajut. Hanna i Leonie zamieszkały naprzeciwko siebie.

- Super, prawda? - Leonie cieszyła się jak dziecko, gdy szły wąskim korytarzykiem. Nigdy dotąd nie byłam na takim statku.

Promy do Francji to co innego. Są duże, nowoczesne i nudne. Ten statek był zupełnie inny, taki egzotyczny. Na ścianach obitych ciemną drewnianą boazerią wisały małe obrazki, reprodukcje wiktoriańskich akwarelek o tematyce pustynnej. Breloczek przy kluczu miał kształt piramidy. Szkoda, że nie ma z nią dzieci. Mel cieszyłaby się na myśl o zakupach, Abby nie mogłaby się doczekać świątyń, a Danny zanudzałby załogę, żeby dali mu poprowadzić statek. Miała nadzieję, że w Bostonie dzieci dobrze się bawią.

Podniecona, otworzyła drzwi swojej kajuty. Jej entuzjazm znikł równie szybko, jak się pojawił. Kajuta była mikroskopijna, mniejsza niż łazienka w domu. Na ścianach nawet śladu obrazków czy boazerii - zwykła jasna farba i zasłony w żółte pasy dobrane do narzut na dwóch wąskich łóżkach.

Toaletka i stoliczki nocne wołały o pomstę do nieba. Szafa była właściwie wnęką przy drzwiach. W łazience z trudem mieściła się umywalka, sedes i prysznic. Nie ma szans, żeby upchnęła w szafie swoją garderobę. Za toaletkę posłuży jej wolne łóżko, nie ma innego wyjścia.

- Małe, co? - Hanna zajrzała przez uchylone drzwi.

- Małe to niewłaściwe słowo. Dobrze, że nie zabrałam żigolaka na namiętny tydzień na Nilu - zażartowała Leonie. - Po jednej nocy mieliśmy wstrząs mózgu od walenia głową w toaletkę!

- Dobrze ci, że masz żigolaka - roześmiała się Hanna. - Później wymienimy doświadczenia. - Zniknęła, bo bagażowy przyniósł jej walizkę.

Ja tam nie mam co wymieniać, stwierdziła Leonie ze smutkiem.

Rozsunęła zasłony i po chwili kabinę zalało światło z nabrzeża. Otworzyła okno i wyjrzała na ciemne spokojne wody Nilu. Naprawdę tu jestem, uświadomiła sobie z dreszczem podniecenia. Nie stchórzyła, nie wróciła do domu. Odważyła się na pierwsze samotne wakacje. To już coś.

Rozpakowała się, wzięła szybki prysznic. Dobrze, że lustro w łazience jest takie małe, przynajmniej nie musi na siebie patrzeć. Jak zawsze, przez dziesięć minut przymierzała różne kreacje, niezadowolona ściagała je z siebie i rzucała na łóżko.

W aksamitnej sukni w kolorze burgunda będzie zdecydowanie za ciepło, choć to najładniejsza rzecz, jaką zabrała. Czarna na ramiączkach odsłania za dużo tłuszczu, Leonie nie mogła patrzeć na swoje pulchne ramiona. Hanna nie ma takich problemów, westchnęła z zazdrością. Nowa przyjaciółka miała doskonałą figurę. Szczupła i elegancka, wyglądała świetnie w zwykłym podróżnym ubraniu. Leonie wiele by dała za taki wygląd.

W końcu stanęło na czarnej na ramiączkach i rozpiętej koszuli z różowego jedwabiu. Wyszła z kajuty ciekawa, co jeszcze przyniesie wieczór.

Miała pół godziny do spotkania przed kolacją, ale postanowiła już teraz usiąść na górnym pokładzie, obserwować świat i marzyć.

Wyobrażała sobie, jak siada przy stoliku z kieliszkiem wina w dłoni, a wokół kręci się tłum wielbicieli jak z powieści Scotta Fitzgeralda. Niestety, po drodze zobaczyła swoje odbicie w zamglonym lustrze. Widziała to co zawsze - mocno zbudowaną wieśniaczkę z burzą włosów, których nie poskromi żaden lakier.

Bohaterowie Scotta Fitzgeralda wzięliby ją za służącą i poprosili o nowe martini.

Zła, że przed urlopem nie wytrzymała na diecie, pobiegła na górę, do baru.

Był jak z innej epoki, francuskie litografie i ciemne drewno przywoziły na myśl lata dwudzieste. Zamówiła kieliszek białego wina, podpisała rachunek, który podał jej uśmiechnięty, ciemnooki kelner i wyszła na dwór. Chciała poczuć na skórze nocne powietrze i posłuchać odgłosów rzeki.

Była sama. Rozkoszowała się ciszą, którą zakłócała jedynie arabska muzyka dobiegająca z oddali. Nadal było ciepło i Leonie wreszcie poczuła, że opuszcza ją napięcie. Nie będzie się zamartwiać, że jest po czterdziestce i samotna. Nie, zamierza się dobrze bawić.

Przy drugim brzegu widniały wysokie maszty i żagle. Feluki, wyczytała w przewodniku. Można wynająć taką łódkę i przez kilka minut żeglować po Nilu tak, jak robią to Egipcjanie od tysięcy lat. Jakie to romantyczne.

Sięgnęła po kieliszek. Już unosiła go do ust, gdy usłyszała ochrypy kobiecego głosu nieśmiało zamawiającego wodę mineralną.

Uśmiechnęła się pod nosem i oddała ulubionej zabawie - starała się odgadnąć, do kogo ten głos należy. Przypomniała sobie dwie starsze panie o siwobłękitnych włosach - ostatnie wsiadły do autokaru i opowiadały wszystkim dokoła, że mało brakowało, a ich bagaże pojechałyby gdzie indziej. Tak, to pewnie jedna z nich. Tylko że głos był zdecydowanie seksowny i jakby lekko przepity. Zbyt seksowny jak na dystygowaną siedemdziesięcioletnią damę, chyba że całe życie paliła jak komin.

Odwróciła się lekko i ku swemu zdumieniu zobaczyła nerwową kobietę charta, córkę tych okropnych rodziców, ciągle w beżowym kostiumie, schludną i zadbaną. A mimo to wyglądała jakoś inaczej.

Zamiast chłodu i rezerwy na jej twarzy malowało się zmęczenie i, prawdę, Leonie dobrze widziała, ulga. Nawet ruszała się inaczej, nie była już taka spięta, rozglądała się śmieiej, jakby zdjęto jej ciężar z pleców. Przedtem za wszelką cenę starała się uniknąć ludzkiego wzroku. Teraz rozglądała się ciekawie, napotkała spojrzenie Leonie i uśmiechnęła się nieśmiało.

Leonie, otwarta i przyjacielska z natury, odpowiedziała również uśmiechem i natychmiast tego pożałowała. Co będzie, jeśli ta kobieta i jej straszliwa rodzina zechcą dołączyć do niej i do Hanny przy kolacji? Albo przyczepią się do nich na cały rejs? Boże, co za myśl. Leonie czuła się podle, ale spoważniała i odwróciła się gwałtownie. Studiowała krajobraz z taką uwagą, jakby zaraz miała zdawać egzamin z przedmiotu Co Można Zobaczyć Na Rzece w Letni Wieczór.

- Wyglądasz, jakby ktoś uszczypnął cię w tyłek - zagaiła Hanna. Usiadła naprzeciwko i postawiła na stole szklanekę soku pomarańczowego.

- A może chodzi o to, że jeszcze nikt tego nie zrobił? - W białych płóciennych spodniach i beżowej koszulce wyglądała zarazem elegancko i bezpretensjonalnie. Leonie poczuła się głupio w różowym jedwabiu.

- Staram się nie patrzeć na tę babkę, która ma rodziców z piekła rodem - wyjaśniła szeptem. - Uśmiechnęła się do mnie, kiedy tu przyszła i teraz się obawiam, że nie uda nam się jej spławić. Nie znoszę ludzi pokroju jej ojca. Zazwyczaj panuję nad sobą, ale wobec takich typów wybucha jak bomba.

- Chciałabym to zobaczyć. Biedaczka na pewno jest samotna. - Hanna nie dawała za wygraną.

- W domu opiekuję się tyłoma nieszczęśnikami, że nie chcę tego robić i na urlopie - jęknęła Leonie, choć w głębi duszy wiedziała, że Hanna ma rację. Biedaczka jest samotna i nie można jej przekreślać jedynie ze względu na ludzi, z którymi podróżuje.

Przyglądały się jej dyskretnie. Przesiadła przy stoliku koło baru i starała się dyskretnie wyjąć coś z torebki. Ma najwyżej trzydzieści lat, oceniła Hanna. Wyglądała jak kupka nieszczęścia, jak kociak, którego złapała ulewa. Miała końską twarz, co do tego Leonie się nie myliła, a proste długie włosy zachodzące na oczy nie dodawały jej urody. Hanna podejrzewała, że ktoś kiedyś wmówił jej, że długa grzywka odwróci uwagę od dużego nosa. Pewnie ten okropny ojciec. Hanna była gotowa założyć się, że gdyby dziewczyna się uśmiechnęła albo włożyła coś mniej bezbarwnego niż okropny staroświecki beżowy kostium, byłyby nawet ładna.

- Zaprośmy ją do nas - zaproponowała. - Tylko ją, nie całą rodzinę - dodała. Skoro już zaprzyjaźniła się z jedną ofiarą losu, równie dobrze może przygarnąć i drugą. - Obiecuję ci, Leonie, że jeśli rodzice zechcą się dołączyć, a ojciec będzie nam grał na nerwach, spławię go!

Leonie parsknęła śmiechem.

- Jeśli nas wkurzy, ja się nim zajmę!

Hanna z wdziękiem podeszła do stolika nieznanym. Leonie zazdrośnie obserwowała nową przyjaciółkę. Jest taka szczupła, taka boska! Odałaby pięć lat życia, byle przez jedną noc wyglądać jak ona.

- Cześć, jestem Hanna Campbell. Może się z nami napijesz?

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko. Miała słodki, nieśmiały uśmiech i śliczne oczy ocienione jasnymi rzęsami. Gdyby tylko zrobiła coś z tymi włosami.

- Bardzo chętnie - odezwała się ochryplym głosem. - Zawsze mi głupio, gdy sama siedzę. Jeszcze się nie przedstawiłam. Emma Sheridan.

Wzięła swoją szklanekę, podeszła za Hanną do ich stolika i bardzo oficjalnie przedstawiła się Leonie.

- Emma Sheridan.

Leonie uśmiechnęła się szeroko.

- Leonie Delaney.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym się do was dosiadła? - niepokoila się Emma.

- Skądże.

- Świetnie - Hanna uznała że musi trochę ożywić rozmowę. - Wszystkie musimy siejeszcze czegoś napić. Na co macie ochotę, dziewczyny?

- Mam jeszcze dużo wody mineralnej - Emma uniosła swoją szklanę.

- Bzdura - zbyła ją Hanna. - Potrzebujesz prawdziwego drinka.

- Sama nie wiem. Mój ojciec... - zawahała się, w ostatniej chwili ugryzła się w język. Przecież nie powie im, że nie napije się, bo ojciec nie lubi, gdy kobiety piją coś mocniejszego. - Mój ojciec twierdzi, że tutejsze piwo jest bardzo mocne.

- Kieliszek wina ci nie zaszkodzi.

Coś upadło na podłogę. Hanną schyliła się i podniosła flaszeczkę ziołowych kropli na uspokojenie. Cztery krople na język, przypomniała sobie. Brała je po rozstaniu z Harrym.

Emma spojrzała na nią z ukosa.

- Podróże działają mi na nerwy - wyjaśniła gładko. Nie dodała „podróże z ojcem”.

Hanna oddała jej buteleczkę.

- Więc tym bardziej musisz się napić.

Leonie orzekła, że białe wino jest dziwne, ale da się pić, i na tym stanęło. Barman podał trzy kieliszki białego wina.

Emma odprężała się z każdą chwilą. Upiła potężny łyk i wzdrygnęła się.

- Tego mi było potrzeba. Pewnie przyjaźnicie się od dawna - zagaiła.

- Nie - sprostowała Leonie. - Poznałyśmy się w samolocie. Boję się latać i Hanna zamieniła się ze mną miejscami. Ponieważ obie podróżujemy same, postanowiłyśmy połączyć siły.

- A ja jestem tu z rodzicami - powiedziała Emma i zaraz się zaczerwieniła, przecież już wiedzą.

Wszyscy pasażerowie wiedzą: nie sposób nie zauważyć jej ojca. Teraz naprawdę wezmą ją za wariatkę, jak dziecko przywiązaną do rodziców.

- Mój mąż miał ważną konferencję i nie mógł z nami przyjechać - dodała. Ze zdenerwowania zapomniała o taktice:

- Wasi mężowie nie lubią takich wycieczek?

Hanna uśmiechnęła się lekko:

- Obecnie nie mam nikogo, ale nie sędzę, by mój ostatni kochanek - uśmiechnęła się na myśl o Jeffie - gustował w wyprawach do Egiptu.

- Jestem rozwódką. - wyjaśniła Leonie. - Chcieliśmy jechać do Egiptu w podróż poślubną, ale nie mieliśmy grosza przy duszy. Uznałam, że jeśli mam liczyć na następny miesiąc miodowy, mogę się przeliczyć. - Opa-
dła z powrotem na krzesło. To chyba zmęczenie podróżą.

- Więcej optymizmu - zauważyła Hanna łagodnie. - Jeśli czegoś chcesz, zdobądź to. Chcesz mężczyzny? Szukaj go.

Leonie przyglądała się jej z niedowierzaniem. Jej przyjaciółki - no, dokładnie mówiąc, Anita i inne kobiety z paczki, zmieniały gwałtownie temat, ilekroć pojawiała się kwestia jej statusu osoby samotnej. Mrucza-
ły, że mężczyźni to nie wszystko, na Boga, przecież one same co pięć minut mają ochotę zamordować Tony'ego/Billa itp. Za lenistwo i nie-
chlujstwo.

- Nie masz czego żałować - zapewniały fałszywie. - Nikt ci nie ze-
psuje pralki. Zresztą masz dzieci...

Hanna podeszła do sprawy bezpośrednio i szczerze.

- Pomożemy ci znaleźć sympatycznego faceta w czasie rejsu - oznaj-
miła. - Na pewno jest na tym statku ktoś, kto szuka miłości.

- To nie takie proste - zaprotestowała Leonie.

- Nie twierdę, że proste, ale możliwe, jeśli naprawdę chcesz. W dzi-
siejszych czasach trzeba się do tego inaczej zabrać. Leonie, jesteś tak atrak-
cyjna, że bez problemu zdobędziesz mężczyznę, jeśli naprawdę tego chcesz.
- Poklepała ją po ramieniu.

Leonie zaniemówiła ze zdumienia. Miła ta Hanna, że powiedziała jej
komplement, ale przecież zdobycie mężczyzny to nie tylko kwestia podjęcia
decyzji. Może tak jest z Hanną, ale nie z nią. Bo niby gdzie ci wszyscy męż-
czyźni podziwiali się przez ostatnie lata? Czekali, aż jej dzieci dorosną?

- Co rozumiesz przez „naprawdę tego chcesz”? ~ zapytała w końcu.

- Agencje matrymonialne, ogłoszenia, nawet kursy naprawy samo-
chodów - wyjaśniła Hanna rzeczowo. - Musisz wszystkiego spróbować.
W dzisiejszych czasach tak się poznaje nowych ludzi.

- Moja przyjaciółka Gwen poznała narzeczonego na kolacji - wtrą-
ciła się Emma.

- Na kolacji?

- No, w takim klubie dla samotnych. Co miesiąc chodzi się na kola-
cję do restauracji. Poznała wtedy wielu mężczyzn. Także dziwaków,
ostrzegam. Ale również Paula i to jest najważniejsze.

- Faceci uciekaliby, gdzie pieprz rośnie, gdyby zobaczyli, jak jem -
zauważyła Leonie pół żartem, pół serio. - Chyba że zachowam się jak

Scarlett O'Hara i najem się przed wyjściem, żeby później tylko skubać co nieco. Mężczyźni boją się kobiet z dużym apetytem.

- A ja na pewno zamówiłabym najtrudniejsze danie z karty i zaraz upaprałabym się sosem i nakruszyła dokoła talerza. - Kieliszek wina miał na Emmę cudowny wpływ. Rozluźniła się wyraźnie. - Kiedy się denerwuję, jestem strasznie niezdarła.

- No pewnie, ja też. Jak wszyscy - stwierdziła Hanna.

Emma i Leonie uznały, że to mało prawdopodobne. Hanna wydawała się taka opanowana i spokojna. Nawet włosy były jej posłuszne. Żaden kosmyk nie ważył się wysunąć z końskiego ogona.

- Naprawdę, ja też - zapewniła, widząc ich niedowierzające miny. - Miesiąc temu byłam na rozmowie w sprawie pracy. Miałam wyjąć z aktówki zaświadczenie o kursie komputerowym, ale jak idiotka sięgnęłam do torebki i wbiłam sobie w palec kolec od szczotki. Wicie, jak boli, kiedy coś wejdzie pod paznokieć...

Skrzywiły się wszystkie trzy.

- Krwawił okropnie, więc owinięłam go chusteczką, cały czas w torebce, i do końca rozmowy udawałam, że nic się nie stało. Chyba myśleli, że się bardzo denerwuję, bo cały czas zaciskałam rękę. Chowałam w niej chusteczkę, inaczej wyglądałabym jak ofiara wypadku w drodze na transfuzję.

- Biedactwo - przejęła się Leonie. - I co, dostałaś tę pracę?

Hanna uśmiechnęła się triumfalnie.

- Tak jest, z krwawiącym palcem, ale dostałam.

Skinęła na kelnera, żeby zamówić jeszcze wina.

- Dla mnie wodę - poprosiła szybko Emma, zarówno ze względu na dziecko, jak i na ojca. Nie zapomniała jeszcze strasznej chwili na weselu Kerstin, gdy ojciec publicznie, przy wszystkich, nakrzyczał na nią, że za dużo wypija.

- Więc co to za praca? - zainteresowała się Leonie. - Czym się zajmujesz?

- Byłam recepcjonistką w hotelu, ale uznałam, że to mało rozwojowe zajęcie. Zatrudniłam się tam, żeby uciec z jeszcze gorszej pracy, ze sklepu. Teraz jestem dyrektorem administracyjnym w agencji handlu nieruchomościami. To coś zupełnie innego i właśnie o to mi chodziło. Chodziłam na wieczorowe kursy zarządzania, zapisałam się też na kurs dla agentów nieruchomości. Nie liczę, że uda mi się w to wkręcić, trzeba mieć wysokie kwalifikacje, żeby zostać agentem. Ale dobrze wiedzieć, co się dzieje na rynku.

Zabawne, przemknęło jej przez głowę. Od czasów Harry'ego nikomu o sobie nie opowiadała. A tutaj proszę, właściwie opowiada całe swoje

życie tym nieznanym. Urlop dziwnie działa na ludzi - może to przez zmianę klimatu.

- Och -jęknęła Emma z podziwem - Kobieta z misją w życiu.

- A jakże, mam misję - chcę zrobić karierę. Na kilka lat zajęłam się innymi rzeczami - dodała, nie chcąc jeszcze tłumaczyć, że kilka lat innych rzeczy to dekada z Harrym, który ją porzucił dla Ameryki Południowej.

- A twoją misją- chcąc zmienić temat, zwróciła się do Leonie- jest zdobyć mężczyznę. Skoro ja mogłam zostać menedżerem, ty znajdziesz faceta.

- Mężczyźni, źródło wszelkiego zła. - Leonie z westchnieniem przechyliła kieliszek. - Właściwie wcale tak nie uważam. Uwielbiam mężczyzn. I na tym polega problem - dodała pośpiesznie. - Chyba ich przerażam. Nigdy nie brałam pod uwagę biura matrymonialnego. Zawsze mi się wydawało, że tylko świry chodzą na randki w ciemno. Znajac swojego pecha, trafie na seryjnego mordercę albo wariata fetyszystę, albo na entuzjastę duszenia autoero tycznego.

Hanna uśmiechnęła się ponuro.

- Na świrów trafia się i bez pośrednictwa biura matrymonialnego. Mój ostatni chłopak powinien mieć wytatuowane na czole ostrzeżenie ministra zdrowia, jak na paczce papierosów, a poznałam go w najbezpieczniejszym miejscu na świecie - w McDonalddie w czasie lunchu. Więc niczego się nie obawiaj, Leonie, spróbuj. Przynajmniej sama wybierasz, kim chcesz sobie zawracać głowę.

- Harrisonem Fordem - odparła rozmarzona. - Klonem Harrisona Forda, który kocha dzieci, zwierzaki i pulchne rozwiedzione blondynki.

- A twój mężczyzna? - Hanna zwróciła się do Emmy, która rozpromieniła się na samą myśl o Pecie.

- Jest wspaniały - wyznała. - Miałam wielkie szczęście. Jest cu-downy i bardzo go kocham. - Twarz Pete'a stanęła jej przed oczami: spokojna, uśmiechnięta, z błyskiem w ciemnych oczach. Strzygł się bardzo krótko. Nie ma sensu nosić dłuższych włosów, tłumaczył, jeśli ma się ich tak mało. Kochała jego coraz większą łysinę, zapewniała go, że łysi mężczyźni są bardziej męscy. Nie chciała Harrisona Forda ani nawet Toma Cruise, jeśli już o tym mowa. Nie wyobrażała sobie, by podawali jej śniadanie do łóżka, ilekroć się źle czuła, masowali plecy po męczącym dniu albo wyręczali w kuchni. Albo wsuwali do walizki karteczkę, że kochają i nie mogą się doczekać jej powrotu. Pete za nią przepadał. Tylko niechęć do ojca powstrzymała go od przyjazdu.

- Jesteśmy małżeństwem od trzech lat - powiedziała. A potem opowiedziała o karteczce w walizce, nie zdołała się powstrzymać.

Leonie i Hanna kończyły drugi kieliszek wina. Rozprawały właśnie radośnie, dlaczego wybrały się akurat do Egiptu, gdy od drzwi rozległ się tubalny głos Jimmy'ego O'Briena:

- Jeśli to jest według nich statek pierwszej klasy, zamienię kilka słów z tą młodą przewodniczką, a jakże - mówił do innego pasażera. - Przynic zepsuty, zasłona do niczego, zalałem sobie wszystkie ręczniki. I to ma być pierwsza klasa? O, nie. Krwiopijcy i naciągacze, tak, tak.

- Nie siadamy na dworze - poinformował żonę. - Komary zeżrą nas żywcem.

Hanna obserwowała, jak Emma dosłownie wbiła się w fotel. W jej oczach dostrzegła czujność; znała dobrze ten wyraz twarzy, pamiętała go z domu, z dzieciństwa. Matka tak patrzyła na ojca, gdy wracał po wyścigach, pijany, zły, gotów wyładować się na pierwszej lepszej ofierze. Był mały i gruby, przede wszystkim od piwa, w przeciwieństwie do potężnego ojca Emmy. Ten bez alkoholu był w złym humorze; widać gołym okiem, że to u niego stan chroniczny.

Emma miała taką minę, jakby wolała dać się pogrzebać żywcem niż spędzić wieczór z rodzicami. Ogarnięta współczuciem, Hanna zaproponowała delikatnie:

- Może zjesz dziś z nami kolację?

Emma wydawała się zachwycona pomysłem, ale pokręciła przecząco głową:

- Nie mogę, oczekują...

- Powiedz, że dziś na pewno chcą spędzić romantyczny wieczór tylko we dwoje.

Mało brakowało, a Emma parsknęłaby śmiechem na myśl o rodzicach spędzających romantyczny wieczór we dwoje. Zdaniem ojca romantyzm jest dla mięczaków. Wyśmiał Pete'a, gdy ten dał Emmie bukiet czerwonych róż na walentynki.

- No właśnie - Leonie zrozumiała, o co chodzi. - Brakuje nam trzeciego muszkietera. - Biedna Emma to przemiła dziewczyna, trzeba ją ocalić przed tym potworem. - Powiedz, że znamy się od dawna i chcemy pogadać.

- Nie uwierzą.

Jimmy O'Brien dostrzegł córkę z dwoma obcymi kobietami i już maszerował do ich stolika. Żona posłusznie dreptała za nim.

- Mam niewielu przyjaciół. Ojciec zaraz was o wszystko wypyta i zorientuje się, że kłamiemy.

Leonie uśmiechnęła się pod nosem.

- Tak się składa, że jestem znakomitą aktorką. Powiemy, że znamy się z pracy. Czym ty się właściwie zajmujesz?

- Pracuję w organizacji dobroczynnej KrisisKids.
- Prowadzi ją Edward Richards, emerytowany polityk, prawda? - dopytywała się Leonie. - Do jego rodziny należy zamek Darewood, hodują konie.

Emma ucieszyła się, że Leonie tyle wie o fundacji. To znaczy, że dział public relation dobrze się spisuje. Wciąż nie rozumiała jednak, jak to się ma do dzisiejszego wieczoru.

- Jestem asystentką weterynarza - wyjaśniła Leonie. - Kiedyś leczyliśmy ich zwierzęta.

- Dzień dobry - huknął Jimmy O'Brien. Z niezadowoleniem stwierdził, że przy małym stoliku jest miejsce tylko dla trzech osób.

Emma wstała, pożegnała się i zaprowadziła rodziców do innego stolika.

- Nie przedstawiś nam swoich znajomych? - zapytała matka.

- Myślałam, że chcesz usiąść, mamo - Emma nie chciała stracić nowych przyjaciółek, skazując je na towarzystwo Jimmy'ego. Był zły po podróży, Bóg jeden wie, z czym dzisiaj wyskoczy. - Później je wam przedstawię. Zamówić wodę?

Matka natychmiast zaczęła się wachlować.

- O tak, jest bardzo gorąco.

- Siadaj, Emmo, i przestań się kręcić - polecił ojciec szorstko. - Kelner do nas podejdzie... w końcu. W domu dostajesz coś do picia ledwie przekroczysz próg baru, ale tutaj... o nie, zupełnie co innego. - Łypnął w stronę baru, gdzie kelner obsługiwał sporą grupę nowo przybyłych gości. - Fatalna obsługa - stwierdził głośno.

Hanna i Leonie skrzywiły się, słysząc te słowa. Emma skuliła się na bambusowym krześle. Katastrofa. Nieważne, że noc jest ciepła i piękna, że kilka metrów dalej pulsuje życiem Luksor, że skarby Nilu czekają, by je podziwiała: przyjechała tu z ojcem, który wszystko popsuje.

- Przyniosę wodę - powiedziała nagle. Musi odejść, zanim ojciec powie coś okropnego.

Leonie odprowadziła wzrokiem czerwoną ze wstydu Emmę i trąciła Hannę w bok:

- Biedaczka nie odpocznie, jeśli cały czas będzie się tak denerwowała. Jej ojciec jest straszny.

- Wiem, ale co możemy na to poradzić?

Leonie uśmiechnęła się pod nosem.

- Zobaczymy.

Głęboko zaczerpnęła tchu, wstała i podeszła do stolika O'Brienów.

- Cóż za zbieg okoliczności! - zaszczębiotała. Podała rękę obwieszoną bransoletkami zdumionemu Jimmy'emu z gracją księżnej matki. -

Coś takiego, Emma pracuje z kuzynem Edwardem w KrisisKids! Ależ ten świat mały! Leonie Delaney, z odłamu rodziny z Wicklow. - Delikatnie uściśnęła rękę Anne-Marie. Udało jej się nie skrzywić, gdy matka Emmy podała jej zimną, wiotką dłoń.

- Zajmujemy się bankierstwem, nie polityką. Tatuś nie zniósłby polityki. To takie małostkowe - dodała ciszej, jakby powierzała im sekret. - Jakże się cieszę, że państwa poznałam.

Hanna obserwowała ją z niedowierzaniem. W jednej chwili Leonie siedziała spokojnie, w następnej emanowała energią, bransoletki brzęczały głośno, gdy kręciła loki na palcach i udawała, że jest córką bankiera. Tym brawurowym występem zasłużyła sobie na Oscara.

- Edward Richards - powtórzyła z naciskiem do pani O'Brien, chcąc, by to do niej dotarło. - Kochany kuzyn Edward, w domu nazywamy go Neddy.

Hanna o mały włos się nie udławiła, gdy Leonie określiła tak arystokratycznego, eleganckiego mężczyznę, jakiego pamiętała ze zdjęć z czasów jego aktywności politycznej.

- Niestety - ciągnęła Leonie z nowo nabytym akcentem wyższych sfer - nie było go u nas, w Delaney Towers, *od* wielu miesięcy. Rodzice już za nim tęsknią.

Anne-Marie O'Brien w końcu zrozumiała. Ta dziwna kobieta z odważnym makijażem i dziwaczną biżuterią jest spokrewniona z szefem Emmy, szalenie bogatym i ustosunkowanym panem Richardsem. Pochodził z jednej z najstarszych irlandzkich rodzin, a ta Leonie to pewnie jego kuzynka ze strony matki. Cóż, pomyślała Anne-Marie, uśmiechając się serdecznie, bogaci mogą sobie pozwolić na ekscentryczność. Milionerzy komputerowi ubierają się w dżinsy i koszulki. W dzisiejszych czasach nic już nie wiadomo.

Ale skoro kuzynka Edwarda Richardsa jest na pokładzie, musi to być jeden z lepszych statków, choć Anne-Marie na widok mikroskopijnej kajuty nabrała podejrzeń, że to byle jaka łajba.

- Bardzo mi miło - uśmiechnęła się ciepło. - Anne-Marie i James O'Brien, z O'Brien Contractors, wie pani? Emmo - zagaiła, gdy córka podeszła z wodą mineralną i bojaźliwym uśmiechem na widok Leonie przy stoliku rodziców - niegrzeczna dziewczyna, trzeba było przedstawić nam Leonie i powiedzieć, kim jest! - Pogroziła córce palcem. - Może panie przysiąda się do nas?

- Szczerze mówiąc, planowałyśmy porwać Emmę - odparła Leonie bez zająknięcia. - I pozwolić państwu cieszyć się romantycznym wieczorem *a deux*.

Anne-Marie otworzyła szeroko oczy, ku zdumieniu Emmy. Matka uwielbiała wtrącać do rozmowy francuskie słówka, a gapi się na Leonie, jakby nie rozumiała *a deux*. Dziwne. No, ale cała ta rozmowa była jak z *Archiwum X*.

Trochę głupio, że Leonie oszukała rodziców, ale za to jak miło będzie mieć z kim porozmawiać w czasie rejsu. Po dniu spędzonym z ojcem z radością powitałaby towarzystwo wariata w kaftanie bezpieczeństwa.

- Bardzo miło z pani strony - odparł Jimmy O'Brien, który nie znał francuskiego, ale nie chciał się do tego przyznać.

Matka nadal gapiła się na Leonie.

- Przepraszam, o czym rozmawialiśmy? - zapytała cicho. Tego wieczoru coś z nią było nie tak, Emma czuła to wyraźnie.

Leonie wzięła wszystko w swoje ręce. Wyjęła Emmie szklanekę z ręki, postawiła na stole i objęła ją ramieniem.

- A zatem miłego wieczoru - powiedziała ciepło.

- Co ty im naopowiadałaś? - zapytała Emma, gdy odeszły.

- Skłamałam, powiedziałam, że znam twojego szefa - odparła Leonie, nie chcąc wdawać się w szczegóły. - I że chcemy pogadać. Sama wiem, jak to jest z rodzicami, pewnie im się wydaje, że bez nich zginiesz. Musisz przecież trochę odpocząć. A oni pobędą trochę sami, jak w drugiej podróży poślubnej.

Emma uniosła brew. Ładna podróż poślubna.

Rozdział 5

Leonie stanęła przed świątynią bogini Hathor i już wiedziała, dlaczego przyjechała do Egiptu. Słońce prażyło niemiłosiernie, przydawało zakurzonej scenerii dodatkowej intensywności. Świątynia, którą dumny Ramzes II wybudował dla ukochanej Nefretete, zapierała dech w piersiach.

O wiele wspanialsza była świątynia Ramzesa w Abu Simbel; potężne rzeźby faraona górowały nad tłumami turystów. Warto było tłuc się autobusem, żeby zadrzeć głowę do góry i spojrzeć w kamienne oblicze dumnego władcy. Właśnie tam, w słońcu pustyni, wsłuchana w odwieczne pokrzykiwania handlarzy, Leonie miała wrażenie, że cofnęła się w czasie. Wyobrażała sobie, co czuł archeolog, który odnalazł świątynię po tym, jak trzy tysiące lat leżała zapomniana w piaskach pustyni. Albo jeszcze

lepiej, zacisnęła dłoń na złotym egipskim kartuszu na piersi i wyobraziła sobie, że jest samą Nefretete czczoną przez wszystkich, piękną, obwieszoną biżuterią. Czeką na uroczyste otwarcie świątyni. W magicznym świetle swojej wyobraźni Leonie była upojona i oszołomiona zarazem.

Takich uczuć doświadczają ludzie na widok Tadż Mahal, pomyślała rozmarzona. Brak słów, by to wyrazić. Podobnie jak Tadż Mahal, największy na świecie dowód miłości, świątynia Nefretete jest owocem miłości jej męża. Żaden inny władca egipski nie zbudował niczego podobnego, tłumaczyła przewodniczka, gdy autokar wyruszał z Asuanu w głąb pustyni nubijskiej. Budowali świątynie na własną cześć, szykowali sobie bogato zdobione grobowce na życie po śmierci. Ale świątynia dla ukochanej? Nigdy.

Ciekawe, jak to jest, być kochaną przez potężnego władcę, rozmarzyła się Leonie. Jak to jest wiedzieć, że dla ciebie powstaje świątynia...

- Leonie, wchodzimy do środka. Idziesz?

Czysty głos Hanny wyrwał ją z zadumy. Hanna i odprężona Emma weszły już do świątyni. Jak Leonie się przekonała podczas ostatnich dwóch dni, bardzo łatwo zgubić swoją grupę wśród tysięcy turystów. Mało brakowało, a zostałyby sama w olbrzymiej świątyni w Karnaku. Wtedy obiecała sobie, że to się nie powtórzy. Złapała płócienną torbę i pobięła za grupą.

- Jezu — sapnęła, ledwie dobiegła do skrawka cienia, gdzie czekała Flora i reszta grupy. - Za gorąco na bieganie.

- Za gorąco na cokolwiek — mruknęła Hanna. - Nie wiem, czy wytrzymam jeszcze godzinę na tym skwarze.

- A potem jeszcze taka długa jazda - włączył się ktoś z grupy, zmęczony trzyipółgodziną jazdą przez pustynię.

- Jest wspaniale - włączyła się Emma radośnie. - Opaliła się odrobinę, zebrała włosy w koński ogon. W niebieskiej koszulce i kraciastych szortach wyglądała na dwudziestolatkę. Nie była też taka spięta, stwierdziła Hanna z zadowoleniem.

Po raz pierwszy podczas tej podróży Emma poczuła się młodziej. Matka miała kłopoty żołądkowe i uznała, że nie wytrzyma długiej jazdy do Abu Simbel. Wobec tego ojciec także zrezygnował i tak Emma miała cały dzień wolny od rodziców. Odczuwała ulgę Jakby zażyła środki przeciwbólowe po trzydniowym bólu zęba.

O'Brienom nie podobała się wycieczka. Matka była ciągle podenerwowana, o wiele bardziej niż zazwyczaj. Wczoraj wieczorem zachowywała się bardzo dziwnie, nic nie jadła, przesiadzała całą kolację pogrążona we własnym świetle wpatrzona w dal. Upał daje się jej we znaki,

zawyrokował Jimmy. On, który zainicjował wyprawę do Egiptu, opowiadał teraz wszystkim dokoła, że to nie był jego pomysł i że w Portugalii zawsze było im dobrze.

Co więcej, nadal nie dostała okresu. Jest w ciąży, na pewno. Ilekroć szła do łazienki, umierała ze strachu, że zobaczy zdradziecki ślad na bieżni. Ale nie. Co za ulga.

Westchnęła zadowolona, wzięła Leonie i Hannę pod ręce i zaprowadziła je do świątyni, gdzie już czekała Flora, wymachując błękitną teczką z logo firmy Incredible Egypt.

Gdy po półgodzinnej jeździe zepsuł się autokar, Emma była jedną z nielicznych osób, które wcale się tym nie przejęły. Na obrzeżach małego miasteczka autokar odmówił dalszej współpracy i nie zdołały go przekonać przekleństwa i krzyki kierowcy. Autokary i taksówki do Abu Simbel zawsze jeżdżą w konwojach, opowiadała przedtem Flora, żeby w razie czego wzajemnie sobie pomagali. Niestety, jechali przedostatni w konwoju do Asuanu, a minibus za nimi był tak zatłoczony, że nie pomieściłby więcej pasażerów.

- Nie martwcie się, wszystko będzie dobrze - zapewniała dzielnie Flora, gdy kierowcy obu pojazdów majstrowali coś przy silniku i wymachiwali rękami.

Leonie, zafascynowana wszechobecną egzotyką, cieszyła się, że może siedzieć przy oknie i patrzeć, ale z czasem robiło się coraz goręcej, bo po wyłączeniu silnika nie pracowała także klimatyzacja.

Emma była szczęśliwa, koniec kropka. Nic nie popsuje jej humoru. Prędzej czy później wrócą na statek. Na razie będzie tu siedziała, z dłonią instynktownie opartą na brzuchu. Drobnie ciemnookie dzieci machały do turystów w autobusie. Emma odpowiadała uśmiechem. Wkrótce i ona będzie miała dziecko. Będzie podobne do Pete'a czy do niej? Wołałaby, żeby miało ciemne oczy. Wizja ciemnookiego malarstwa w słodkich dżinsowych ogrodniczkach sprawiła, że zapomniała o bożym świecie.

Hanna, jak zawsze przygotowana na wszystko, miała w plecaku dodatkową butelkę wody, którą wypili we trzy. Emma miała słodycze, które zaspokoili pierwszy głód Leonie.

- Przyzwyczaiałam się już do trzech obfitych posiłków na pokładzie - mruknęła. - Umieram z głodu.

- Ja też - przyznała Emma. - Ale nie martwcie się, naprawią autokar - dodała optymistycznie.

- Wątpię. - Hanna nie podzielała ich nadziei. Nie znosiła zmian w planie. Autokar miał wrócić do Asuanu na wpół do ósmej, żeby zdążyli na kolację. Stoją już od - spojrzała na zegarek - dwudziestu minut, czyli na pewno się spóźnią. Cholera. Nienawidziła się spóźniać, nienawidziła bałaganu w uporządkowanym życiu. Czuła, jak jej puls przyspiesza, w miarę jak narasta niepokój. Strużki potu na czole nie miały nic wspólnego z upałem. Narastało znajome zdenerwowanie. Uspokój się, powtarzała sobie. Spóźnisz się? I co z tego? Nic na to nie poradzisz, zresztą wszyscy się spóźnią. Od dawna nie doświadczyła ataku paniki, nie chciała, żeby stało się to teraz.

Flora wdrapała się do autokaru.

- Wysiadamy - oznajmiła spokojnie podenerwowanym pasażerom. - Dzwoniłam do biura, za półtorej godziny przyślą po nas inny autokar. Wiem, to długo, ale przyjedzie z Wadi-al-Sabu, w połowie drogi stąd do Asuanu. Hassan mówi, że w miasteczku jest bardzo miła knajpka. Zapraszam wszystkich na kolację, na statek wrócimy za późno.

Pasażerowie z przodu pomrukiwali coś gniewnie, natomiast ci z tyłu przyjęli nowinę z rezygnacją.

- Umieram z głodu - odezwała się Leonie. - Pospieszmy się.

Rozejrzała się dokoła i zauważyła, że Hanna jakoś dziwnie wygląda. Zawsze wydawała się taka spokojna i opanowana. Nigdy nie martwiła się, co na siebie włożyć ani co ludzie o niej pomyślą. Teraz wyglądała, jakby miała się rozpłakać. Jakby przymusowy postój i zmiana planów kompletnie wytrąciły ją z równowagi.

Leonie nie wiedziała, jak ją uspokoić, natomiast Emma, która przywykła do takich sytuacji w pracy, załatwiła sprawę błyskawicznie.

- Nic na to nie poradzimy, Hanno - powiedziała stanowczym głosem, którego nigdy u niej nie słyszały. - Nie mamy wyjścia, musimy to przetrzymać. Prędzej czy później wrócimy na statek, nie ma powodu do paniki. Jedzenie dobrze nam zrobi.

- Wiem. - Hanna głęboko zaczerpnęła tchu. - Nie znoszę spóźnień, jestem bardzo niecierpliwa. Denerwuję się, kiedy muszę siedzieć bezczynnie.

Posłusznie wysiadła za Emmą, Leonie szła na końcu. Nie mogła się nadziwić, jak szybko ludzie się zmieniają. Zdumiewające, cicha, nerwowa Emma jest chłodna i opanowana, a Hanna stała się kłębkim nerwów.

W miarę jak zbliżali się do miasta, obserwowało ich coraz więcej gapiów: śliczne ciemnookie dzieci chichotały i pokazywały ich sobie palcami, śmiech budziły zwłaszcza gołe nogi i jasna karnacja Emmy. Mężczyźni o dumnych twarzach zerkali na Leonie, wspaniała w kwiecistym

jedwabiu, z burzą niesfornych włosów na ramionach. Starannie umalowana, ze sznurami kolorowych paciorków na szyi, wydawała się egzotyczna i obca w tym małym miasteczku.

- Twój mąż to szczęściarz - uśmiechnął się sprzedawca widokówek.

Leonie starała się zachować powagę, ale i tak kąciki ust powędrowały ku górze. Przynajmniej raz jeden ona przyciąga uwagę.

- Dziękuję - odparła skromnie i złapała Emmę pod ramię, tak jak pisali w przewodniku.

- Nie bój się, nie pozwolę nikomu cię porwać - zażartowała Emma, widząc, z jakim zachwytem mężczyźni obserwują Leonie. - Jesteś tu gwiazdą, to widać.

- Nie wygłupiaj się - zbesztła ją Leonie, bardzo zadowolona, choć starała się tego nie okazywać. - Jestem matką trójki dzieci, nie syreną.

Ale prawdę mówiąc, czuła się odrobinę jak uwodzicielka. Ludzie - no, mężczyźni - patrzyli na nią. Nie na Hannę, piękną i elegancką, nie na szczupłą, zwinną Emmę, tylko na nią.

W restauracji, chłodnej, przestronnej, z podniszczonymi stołami, trzech kelnerzy nie posiadali się z zachwytu, że zawitała do nich wspaniała blondynka.

- Udawaj, że jesteś Madonną - podsunęła Hanna, już w lepszym humorze. Co za idiotyzm, denerwować się popsutym autokarem. Musi się nauczyć nad sobą panować.

Emma podśpiewywała *Like A Virgin*, gdy prowadzono je do stolika-najładniejszego, w rogu sali, pod pięknym kandelabrem.

Leonie, która nie umiała zaśpiewać najprostszej melodii, dołączyła beztrudnie. Umilkła, gdy najstarszy kelner wskazał jej miejsce honorowe i skłonił się przy tym nisko. Uśmiechnęła się promiennie i błysnęła szafirowymi oczami. Skłonił się jeszcze niżej i wrócił z trzema malowanymi szklankami.

- Znowu ribena - stwierdziła Hanna po powąchaniu zawartości. Na statku przyzwyczały się już do owocowego napoju.

- Widzę, miłe panie, że nie muszę wam życzyć dobrej zabawy. - Flora podeszła do ich stolika. - Chciałam tylko przypomnieć, że za alkohol płacimy sami. Autokar będzie tu koło ósmej.

- Odjechać stąd? - Leonie przeraziła się komicznie. - Ja zostaję!

Choć egipskie restauracje zazwyczaj nie podają alkoholu, Leonie zobaczyła, że kelner wynosi z zaplecza butelkę czerwonego wina, i zdecydowała, że one też się muszą napić.

- A teraz pogadamy - stwierdziła radośnie, gdy podano im przystawki i wino Cru de Ptolemees.

Przy daniu głównym - jagnię dla Hanny i Emmy, wegetariański humus dla Leonie - zdążyły już przedyskutować mężczyzn jako takich i słuchały opowieści Hanny o Harrym. Odczuła ulgę, zwierając się, jak cierpiała tamtego dnia, gdy oznajmił, że wyrusza do Ameryki Południowej i że z nimi koniec.

- Wydaje ci się, że kogoś znasz, a potem taki numer. - Nawet teraz, rok później, bolało. Czuła się zdradzona i porzucona. Zainwestowała w ich związek tyle miłości, czasu i nadziei, a Harry cisnął jej wszystko w twarz tylko dlatego, że się dusi i potrzebuje odmiany. Był jak wszyscy faceci: nieczuły i samolubny. A tak bardzo go kochała. Żaden aerobik nie zagłuszy jej bólu. Przynajmniej jej nowy plan - trzymać się z dala od mężczyzn, za wyjątkiem Jeffa i jemu podobnych - oszczędzi jej cierpienia. Po prostu nie warto ryzykować.

- Co on robi w Ameryce Południowej? - zainteresowała się Leonie.

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi - odparła Hanna stanowczo. - Nie odezwał się od tamtej pory. Ani słowa. Zabrał swoje rzeczy podczas mojej nieobecności i zostawił karteczkę, żebym przesyłała korespondencję na adres jego siostry. Ha! Miałam dwie sposobności, żeby to zrobić. Najpierw cisnęłam do śmieci jego nową książeczkę czekową i formularze podatkowe. - Uśmiechnęła się do siebie. - Potem ciągle wydzwaniał do mnie jego szef z gazety. Harry miał napisać książkę o skandalu politycznym, a tymczasem wyjechał bez słowa. Cały on - wolał uciekać niż stawić czoło rzeczywistości - dodała z goryczą.

I Emma, i Leonie zobowiązały się wykastrować Harry'ego, jeśli kiedykolwiek stanie im na drodze, a Hanna przytępiła się na myśli, jak ważne są przyjaciółki, którym można się zwierzyć. Odejście Harry'ego bolało tak bardzo, że nie umiała odnowić starych przyjaźni zaniedbanych przez lata. Dobrze mieć na kim polegać.

- Chyba już nigdy nie zaufam mężczyźnie - stwierdziła powoli. - Popełniłam błąd, ufając Harry'emu. Mogłam to przewidzieć.

- Jak? - zdziwiła się Emma. - Przecież nie umiesz czytać w myślach.

- Nie chodzi o czytanie w myślach, tylko o mężczyzn. Im nie można ufać, koniec kropka - Hanna upierała się przy swoim. - W każdym razie ja nie mogę im ufać. Twój Pete wydaje się idealny, ale może po prostu nie wszyscy się nadają do życia w stałych związkach. Jak ja. Niektóre kobiety lepiej sobie radzą na własną rękę, ja też. Sama dam sobie radę, nikogo nie potrzebuję. To mój plan.

- Chyba nie mówisz poważnie! - obruszyła się Leonie. - Jesteś piękna, Hanno, możesz mieć każdego, kogo zechcesz. Po prostu trafiłaś na

nieodpowiedniego faceta, był za słaby i dlatego cię zostawił. Nie musisz rezygnować z mężczyzn jako takich. Jeśli coś się nie układa, weź się w garść, odpocznij i zacznij jeszcze raz.

Przy deserze - owoce dla całej trójki - omawiały sposoby zdobycia mężczyzny. Emma nie miała wielu chłopców przed Petem, więc zaznaczyła, że nie jest ekspertem.

- Poznałam Pete'a, gdy miałam dwadzieścia pięć lat. Przedtem spotykałam się z trzema chłopcami. Ostatniego ojciec przepędził, bo palił skręta.

Wszystkie parsknęły śmiechem.

Leonie wyznała, że Ray był jej pierwszym chłopakiem i że rozstali się za obopólną zgodą, więc nie miała się z czego otrząsać. Nie pojmowała natomiast, jakim cudem Hanna podjęła decyzję, żeby się więcej nie zakochać, dopóki nie stanie na nogi. Słyszały o wspaniałym Jeffie i o tym, że Hanna uznała go za środek terapeutyczny po roku celibatu.

- Jak możesz? - Leonie była zafascynowana.

- Ale co? - Hanna wbiła zęby w soczystego arbuza.

- Decydować, że się nie zakochasz, że facet będzie tylko przyjacielem, z którym chodzisz do łóżka. A jak poznasz kogoś wspaniałego i zakochasz się po uszy?

Leonie wierzyła święcie, że ktoś wspaniały czai się tuż za rogiem i to tylko kwestia przeznaczenia czy odpowiedniego horoskopu, kiedy go spotka. Prędzej czy później każdy się zakocha. Hanna nie była o tym przekonana.

- Mogę, bo nauczyły mnie tego miesiące cierpienia po odejściu Harry'ego - wyjaśniła. - Nie chcę jeszcze raz przez to przechodzić. Nie obchodzi mnie, że stanę się zimną suką, która wykorzystuje mężczyzn. Wicie gniazdko we dwójkę to nie dla mnie. Robiłam to przez dziesięć lat i co mi z tego przyszło? - zapytała. - Nic. Harry odszedł, a mi został tłusty brzuch i praca bez perspektyw. Mężczyźni nie nadają się do niczego poza gimnastyką w sypialni.

Emma parsknęła śmiechem. Dawno się tak dobrze nie bawiła jak teraz, siedząc z podkulonymi nogami, rozprawiając o mężczyznach i seksie.

Poruszyła się, chcąc usiąść wygodniej i przeszył ją znajomy ból. Narastał, stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Miesiączka. Boże, nie, jęknęła w duchu. To niemożliwe. Przecież jest w ciąży.

Patrzyła na Leonie i Hannę z nadzieją, że poczuły to samo, że to wina jedzenia, może zepsuta krewetka albo coś takiego... Znowu poczuła ten ból. Jedyne w swoim rodzaju, dlatego dziewczęta nigdy nie umieją wytłumaczyć młodszym koleżankom, na czym polega.

Miesiączka. Nie ma dziecka, stwierdziła. Nigdy nie było. I pewnie nigdy nie będzie. Popadła w rozpacz.

Niezdarnie wstała od stołu, zrzuciła serwetkę, rozlała resztkę wina.

- Idę do łazienki - mruknęła niewyraźnie.

W zakurzonej toalecie bez zamka w drzwiach potwierdziły się jej obawy. Odrętwiała patrzyła na zdradzieckie czerwone krople. Zrobiła prowizoryczną podpaszkę z papieru toaletowego i wróciła do stolika, bez zycia i humoru.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by Hanna i Leonie zorientowały się, że coś jest nie tak.

- Źle się czujesz? - zaniepokoiła się Hanna.

- Coś ci zaszkodziło? - zawtórowała Leonie.

Emma pokręciła przecząco głową.

- Dostałam okres - odparła prosto z mostu. - Już myślałam, że jestem w ciąży. Byłam pewna, a teraz... - rozplakała się. - Nie będę miała dziecka.

Przysiadła koło Leonie, która natychmiast objęła ją serdecznie.

- Moje biedactwo - mruknęła jak do swoich dzieci, gdy je pocieszała.

Emma szlochała, spazmy wstrząsały jej drobnym ciałem. Leonie dopiero teraz przekonała się, jak przeraźliwie chuda jest jej nowa przyjaciółka. Nie elegancko szczupła, tylko koścista, żebra wystawały jak żeberka kaloryfera.

- Biedactwo. Wiem, to okropne, ale jesteś jeszcze młoda, masz dużo czasu - próbowała pocieszać. - U wielu małżeństw mija kilka miesięcy, zanim spodziewają się dziecka.

- Tylko że my próbujemy od trzech lat - chlipnęła Emma. — Trzy lata i nic. To na pewno moja wina i nie wiem, co zrobię, kiedy się okaże, że nigdy nie będę mieć dzieci. Boże, dlaczego mnie to spotyka? Ty masz dzieci, dlaczego ja nie mogę?

Leonie i Hanna spojrzały na siebie niepewnie. Obie gorączkowo zastanawiały się, co powiedzieć. Nigdy nie zetknęły się z tym problemem osobiście. Leonie starała się przypomnieć sobie, co czytała o niepłodności. Czy przypadkiem nie jest tak, że niektóre kobiety zachodzą w ciążę dopiero wtedy, kiedy przestanie im tak strasznie zależeć na dziecku? Przedtem są za bardzo zestresowane. Na pewno nie zaszkodziłoby też, gdyby Emma trochę utyla. Biedaczka niknie w oczach. Jeśli będzie się tak bardzo denerwowała, nigdy w życiu nie zajdzie w ciążę.

- Niewykluczone, że stres cię blokuje - powiedziała w końcu. - Wiesz, czasami kobiety tak bardzo chcą dziecka, że prawie świrują, a potem się uspokajają i już są w ciąży. - Brzmiało to bardzo nieprzekonująco, jak naiwna dziecinna bajeczka.

- Więc dlaczego nie zaszłam w ciążę zaraz po ślubie? - chlipnęła Emma. - Wtedy nie staraliśmy się o dziecko. Albo przed ślubem. Pete wiecznie się obawiał, że nam pęknie prezerwatywa i wpadniemy. Twierdził, że mój ojciec go zabije. Może to kara za coś, nie wiem, seks przed ślubem albo co... Sama nie wiem. - Spojrzała na nie z rozpaczą. - Za co? Nie jestem religijna, ale modliłabym się dniami i nocami, gdyby to coś dało.

- Posłuchaj - poprosiła Hanna. - To nie kara, Emmo, co ty opowiadasz. Jestem od ciebie o pięć lat starsza, a jeszcze nawet nie poznałam faceta, którego chciałabym na ojca moich dzieci, więc i tak masz lepiej niż ja. Jeśli trzymać się twojej teorii, że to co nas spotyka, to kara za błędy, nie wiem, co strasznego zrobiłam, że musiałam odpokutować dziesięć lat z Harrym. A teraz na horyzoncie nie ma nawet jednego potencjalnego ojca moich nienarodzonych dzieci. - Rozsądnie nie dodała, że dzieci to ostatnie, na co ma ochotę.

Emma uspokoiła się trochę.

- Może powinnaś popytać - podsunęła Leonie. - W dzisiejszych czasach lekarze potrafią zdziałać cuda przy leczeniu bezpłodności. Zobacz, tyle dzieci przychodzi na świat dzięki metodzie *in vitro*.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie, nie mogłabym zrobić tego Pete'owi. To koszmar, widziałam kiedyś taki program w telewizji. Poza tym.. - otarła łzy. - On chyba nie widzi, co się dzieje. Lubi dzieci, ale nie rozumie, że jeśli po trzech latach nie zaszłam w ciążę, nic z tego. Chyba nawet nie wie, co ja tak naprawdę czuję.

Przyjaciółki spojrzały na nią przerażone.

- Czyli nic mu nie powiedziałaś? — zapytała Hanna delikatnie.

- Wie, że chciałabym mieć dziecko, ale nie wie, jak bardzo.

- Dlaczego? - Leonie nie wierzyła własnym uszom. - Musisz mu powiedzieć. On się kocha.

Emma bezradnie wzruszyła chudymi ramionami.

- Bo jak nic nie powiem, mogę się dalej łudzić, że to tylko moje głupie lęki i jeszcze kiedyś zajdę w ciążę. A jak coś zrobimy, jakieś badania czy coś, na pewno okaże się, że to moja wina i nigdy nie będę miała dzieci... Wiem to i już. - Znowu miała łzy w oczach.

- Drogie panie, jedziemy. Autokar przyjechał. - Żwawy głos Flory wyrwał je z zadumy. Rozejrzały się po restauracji. Wszyscy zbierali się do wyjścia, tuląc do siebie nieodłączne butelki wody mineralnej.

Hanna skinęła na kelnera i zapłaciła, ignorując namowy Leonie, by pokryły rachunek po połowie. Emma milczała.

W milczeniu wsiadały, do autokaru, Emma zapłakana, Hanna zamyślona. Ona nigdy nie chciała mieć dzieci. Może coś z nią jest nie tak? Czy

jest nienormalna? Nigdy ich nie uwzględniała w swoim planie, który dotyczył jednego: bezpieczeństwa. Chciała mieć pewność, że nigdy nie będzie zdana na mężczyznę, tak jak matka była zmuszona polegać na tym draniu, ojcu. Lata z Harrym to jedna wielka pomyłka. Zaszyła się w domowym zaciszu, straciła ambicję, zapomniała, że mężczyźni odchodzą, gdy najbardziej ich potrzebujesz. Cóż, nigdy więcej. Zrobi karierę i nigdy więcej nie podporządkuje się mężczyźnie.

Przygody takie jak z Jeffem to co innego, nie pokrzyżują jej szyków. A jeśli chodzi o dzieci, nie ma dla nich miejsca w jej planach. Zresztą chyba nie byłaby dobrą matką. Mimo to współczuła Emmie. Wiedziała, jak boli, gdy pragnie się czegoś, czego nie można mieć. Wiedziała aż za dobrze. Znowu przez Harry'ego. Pieprzyć go.

Leonie, Hanna i Emma siedziały na górnym pokładzie. Statek płynął w górę rzeki, w stronę Luksoru. Sączyły słabe koktajle i obserwowały słoneczną kulę po lewej stronie. Góry po prawej stronie wydawały się tajemnicze i groźne. Nad brzegami rzeki kołysały się palmy.

- Cały czas wydaje mi się, że na brzeg wyjdą słońce, jak w Afryce - mruknęła Emma sennie.

- Przecież jesteś w Afryce - przypomniała Leonie.

- O, nie. Słońce uszkodziło mi mózg - jęknęła Emma.

- Słońce, akurat! To drinki - zauważyła Hanna. - Co prawda są słabe, ale wypijaś już dwa.

Była to idealna pora, by w spokoju podziwiać krajobraz. Było chłodniej niż po południu, lekka bryza rozwiewała włosy Emmy jak suszarka.

Był to przedostatni dzień podróży, więc chłoneły wszystko chciwym wzrokiem, nie chcąc niczego zapomnieć. Następnego dnia nie będzie chwili spokoju, rano zwiedzą Dolinę Królów, po południu świątynię w Karnaku. Jak ostrzegała Flora, nie będzie ani jednej wolnej chwili, więc niech wszyscy rozkoszują się leniwym popołudniem.

Hanna i Leonie posłuchały z przyjemnością. Rodzice Emmy grali w karty w barze. Jimmy O'Brien robił co mógł, by namówić również Emmę.

- Wolę się opalać, tato - odparła stanowczo.

Wydawał się autentycznie zaskoczony.

- Nie chcesz spędzić trochę czasu ze mną i z mamą? - zapytał.

Hanna i Leonie dopiły kawę i dyskretnie oddaliły się od stolika, nie chcąc, by nieunikniona, jak się zdawało, kłótnia Emmy z ojcem odbyła się przy świadkach. Emma jednak czerpała siłę z ich obecności. Nie obrażała sobie, by któraś z nich uległa własnemu ojcu.

- Ależ tato - odezwała się spokojnie, ale stanowczo. - Oczywiście, że chcę spędzać z wami czas, ale nie jesteśmy połączeni pępowiną. Chcę się opalać, nie mam ochoty grać w karty. Bawcie się dobrze. - Zanim odeszła, pocałowała go w policzek, licząc na to, że czuły gest złagodzi ostre słowa. Udało się. Ojciec milczał.

Może jest w szoku, że Emma mu się sprzeciwiła, spekulowała Hanna. Gdyby Jimmy O'Brien dostał się w ręce psychiatrów, na pewno mieliby co badać. Po pięciu dniach obserwacji uznała go za okropnego człowieka z przesadnym mniemaniem o sobie.

W środę obraził śliczną tancerkę, która miała wykonać taniec brzucha, zwracając jej głośno uwagę, że „powinna się ubrać, a nie pokazywać wszystko co ma, jak jakaś ulicznica”. Gdyby nie błyskawiczna interwencja Flory, doszłoby do poważnego kryzysu międzynarodowego, bo muzyk z zespołu miał minę, jakby chciał rozbić Jimmy'emu gitarę na głowie.

- Nie przesadzajmy — uspokajała Flora, prowadząc O'Brienów do odległej części baru, gdzie wysłuchała dziesięciominutowego wykładu z serii: „To skandal, że ci ludzie nie są porządnymi katolikami”. Emma była purpurowa ze wstydu i cały czas unikała wzroku tancerki.

Nigdy nie przeciwstawi się ojcu, stwierdziła Hanna, sącąc drinka. Jej matka była dziwna. Gadatliwa w jednej chwili, w następnej milczała jak zaklęta i wpatrywała się w dal tęym wzrokiem.

- Zazwyczaj się tak nie zachowuje - tłumaczyła Emma któregoś dnia, gdy Anne-Marie urwała wypowiedź w połowie zdania i zaczęła coś nucić pod nosem. - Ojciec twierdzi, że to skutek upału, ale boję się, że to coś poważniejszego.

We trójkę opalały się na górnym pokładzie, czytały, rozmawiały, piły wodę mineralną i słuchały w kółko tych samych piosenek. Pokładowy didżej miał raczej skromną kolekcję płyt - puszczał na zmianę hity dyskotekowe z lat siedemdziesiątych albo piosenki z musicali.

- Jeśli jeszcze raz usłyszę *Disco Inferno*, zamorduję kogoś. - Leonie dopiła drinka.

- Dobrze chociaż, że ściszyli - zauważyła Emma.

- Nie chcą spłoszyć krów - zachnęła się Leonie.

W miejscach, gdzie rzeka rozlewała się szerzej, widniały na niej kępy traw oddzielone od ładu. Pasły się tam krowy. Chyba wcale się nie przejmowały, że nie mają jak wrócić na brzeg.

- Na pewno są jakieś ścieżki niewidoczne z wody - oceniła Hanna, wychylając się przez burtę. - Przecież chyba nie wracają wpław? Krokodyle by je dopadły.

- Sobki - poprawiła Leonie - potomkowie Sobka, boga-krokodyla.
- Leonie fascynowali egipscy bogowie i co wieczór pilnie studiowała swój przewodnik, ciekawa, co ich czeka następnego dnia.

- Kujon - Hanna żartobliwie pogroziła jej miniaturową parasolką, która ozdabiała jej koktajl.

- Jesteś zazdrosna i tyle - odcięła się Leonie i rzuciła w nią swoją parasolką. Nie trafiła, parasolka odbiła się od stolika i spadła za, burzę. - Dostanę piątkę za rozwiązanie zagadki ryb.

- Spisałaś się znakomicie - przyznała Hanna.

Poprzedniej nocy zrywały boki ze śmiechu, gdy Leonie spekulowała, czemu na żadnym reliefie, w żadnej świątyni, nie widziały ofiary z ryb. Flora, przewodniczka, zazwyczaj zadawała im różne zagadki pod koniec dnia i podawała rozwiązanie następnego ranka.

Wczoraj tłumaczyła, czemu królowa Hatszepsut jako jedyna ma świątynię w Dolinie Królów i zadała następną zagadkę - o ofiarach z ryb.

Leonie doszła do wniosku, że odpowiedź kryje się w micie o bogu Ozyrysie. Hanna i Emma, rozwalone wygodnie w kajucie Hanny, gdzie przed snem raczyły się brzoskwiniową brandy, zaśmiewały się z jej teorii.

Set, niedobry brat Ozyrysa, zamordował go, rozczłonkował ciało i rozrzucił po całym Egipcie. Zona Ozyrysa, bogini Izyda, zebrała szczątki. Nie znalazła tylko członka, bo zjadły go ryby. Tak, o to chodzi! - entuzjazmowała się Leonie.

Hanna wyła ze śmiechu.

- Chcesz powiedzieć, że nie składali ryb w ofierze, bo ryba zjadła ptaszka Ozyrysa?

- Tak, właśnie tak.

Emma, która właśnie odkryła, że bardzo lubi brzoskwiniową brandy, dostała napadu śmiechu.

- Dziś na kolację mieliśmy rybę - wykrztusiła - Jezu, chyba zaraz zwiemiotuję!

- Niekulturalne prostaczki - oznajmiła Leonie wyniośle. - Nie pojmuję, czemu w ogóle przyjechałyście do Egiptu. Trzeba było polecieć na Ibizę, najlepiej z wytatuowanym mięśniakiem i ryczącym magnetofonem.

Emma spadła z łóżka z głuchym łoskotem. Zakryła usta dłońmi śmiała się na całe gardło.

- Zaraz przyjdzie po ciebie ojciec! - pisnęła Hanna. - Naśle na niego Seta... - zaoferowała się. - Rozumiesz, Seta... - ryknęła śmiechem. Emma jej zawtórowała.

- Chciałabym zobaczyć jego minę, kiedy ryba połknie mu ptaszka! - pisnęła Emma.

Leonie, którą do tego stopnia pochłonęła starożytna zagadka, że wypiła o połowę mniej od przyjaciółek, dała sobie spokój. Jak wszystkie to wszystkie, zdecydowała.

- Nie wiem, co powiem, kiedy znajomi zapytają mnie, kogo poznałam w Egipcie - stwierdziła, opróżniając szklankę trzema haustami. - Myśla, że zadaje się z kulturalnymi ludźmi, a ja się męczę z dwoma szalonymi pijaczkami, które mają obsesję na punkcie seksu i wierzą święcie, że piramidy to latające talerze.

- A może nie? - zaperzyła się Hanna.

- Zamknij się i pij - poleciła Leonie.

Następnego dnia leczyły kaca koktajlami na górnym pokładzie.

- Zamów następną kolejkę, dobrze? - zwróciła się Hanna do Emmy, która siedziała najbliżej niewielkiego barku.

- Muszę iść do łazienki - mruknęła Emma - ale słyszę, że tam jest ojciec. Nie mogę się stąd ruszyć, bo będzie chciał mnie zatrzymać na dole.

- Jest trochę zaborczy - przyznała Leonie. Tak naprawdę uważała, że Jimmy O'Brien to wredny tyran, ale nie mogła tego powiedzieć.

- Nawet nie macie pojęcia - stwierdziła Emma zapalczywie. Alkohol uderzał jej do głowy. - Zawsze musi mieć rację, zawsze wie najlepiej. Koszmar.

- Ale postawiłaś mu się - zauważyła Leonie.

- I zapłacę za to. Nie znosi, kiedy się publicznie podważa jego autorytet.

- Często widzisz się z rodzicami? - zainteresowała się Hanna.

- Co chwila - mruknęła Emma. - Mieszkają niedaleko. Nie było nas stać na dom, więc ojciec pożyczył nam pieniądze na zaliczkę, ale nalegał, żebyśmy kupili taki dom, jaki jemu się podobał. Pięć minut od rodziców.

Hanna się skrzywiła.

- Więc może w każdej chwili wpaść i krytykować.

- Bingo - Emma przypomniała sobie zabiegi ojca, by co dwa tygodnie jadal niedzielne obiady u O'Brienów. Nigdy nie zastanawiali się, gdzie spędzić Boże Narodzenie. U rodziców Emmy, koniec dyskusji.

- Jesteś jedynaczką? - Leonie włączyła się do rozmowy.

- Nie, mam młodszą siostrę. Kirsten wyszła za człowieka sukcesu. Ojciec za nią przepada. Nie wiem, jakim cudem jej się to udaje. Wymigała się także od pracy, bo Patrick, jej mąż, jest bogaty. Mówiąc krótko, Kirsten robi, co chce.

- Wiem coś o tym - zauważyła Hanna. - Mój brat, Stuart, jest taki sam. W dzieciństwie latem pomagałam mamie przy kurach, opiekowa-

łam się dziećmi krewnych. Stuart nawet po sobie nie zmywał. Śmierzący leń. Był oczkiem w głowie mamy, a teraz żona traktuje go tak samo, jak jaśnie pana. Nie jesteśmy sobie zbyt bliscy.

- A ja i Kirsten tak. Jest bardzo zabawna, lubię się z nią spotykać. Właściwie powinnam jej nienawidzić, skoro ojciec tak za nią przepada. A ty, Leonie, masz rodzeństwo?

- Nie, jesteśmy same z mamą. I doskonale się rozumiemy. - Prawie miała wyrzuty sumienia, że nie ma rodzinnych kłopotów, jak one. - Mój ojciec umarł już dawno, a mama ma własne życie. Pracuje trochę, chodzi do teatru i po górach, a od niedawna gra w golfa. Właściwie robi więcej niż ja. Wiezorami nigdy nie majej w domu. Jest bardzo miła i kontakto-
wa.

- Jak ty - zauważyła Hanna.

- Tak, jestem kontaktowa. Najczęściej. Ale mam temperamencik i czasami wybucham... A wtedy miejcie się na baczności.

Udały, że chowają się pod stół.

- Uprowadzisz nas? - zapytała Emma strachliwie.

- Nie martw się, sama zobaczysz, że burza nadchodzi! Nie chcę wracać do domu - stwierdziła Leonie, ze smutkiem patrząc na zachodzące słońce.

- To znak, że urlop się udał - orzekła Emma.

- Właściwie nawet się cieszę, że wracam, ale będzie mi was brakowało.

Hanna uśmiechnęła się bez słowa.

- Mnie też - przyznała Emma.

Hanna przerwała milczenie.

- Mówi się, że wakacyjne romanse nie mają szans po powrocie do normalnego życia, ale to chyba nie dotyczy wakacyjnych przyjaźni. Doskonale się razem bawiłyśmy. Fajnie by było, gdybyśmy się nadal spotykały. Co wy na to?

Emma uśmiechnęła się szeroko:

- Wspaniale. Tak dobrze się rozumiemy.

- Tak, możemy raz w miesiącu umawiać się na kolację! - Leonie zapaliła się do tego pomysłu. - Będziemy spotykać się w połowie drogi między naszymi domami.

Przemysłała to. Mieszka w Wicklow, na południe od miasta, godzinę jazdy od centrum Dublina. Emma - w Clontarf, na północy, trzy kwadransy od centrum. Hanna mieszka przy Leeson Street Bridge.

- Ja mieszkam w połowie drogi między wami - zauważyła Hanna. - Przykro mi, to wy będziecie jeździć.

- Nie ma sprawy - zapewniła Leonie. - Ten urlop miał być początkiem nowego życia. Co prawda nie zakochałam się w sobowtórze Omara Shariffa, ale zdobyłam dwie wspaniałe przyjaciółki.

- Zaraz, zaraz, jesteście nagrodą pocieszenia? - tym razem to Emma rzuciła w Leonie swoją parasolką.

Leonie odrzuciła ją ze śmiechem.

- Żartowałam. Dobrze, umówmy się na pierwsze spotkanie. Za dwa tygodnie, żebyśmy jeszcze były opalone. Wiecie co? Wywołamy zdjęcia i będziemy obgadywały innych pasażerów.

- Umowa stoi - powiedziała Hanna.

Stuknęły się pustymi szklankami.

- Za spotkanie poegipskie - wzniosła toast Emma. - A teraz powiedzcie, zamawiamy następną kolejkę?

Rozdział 6

Emma ciągnęła za sobą ciężką walizkę, kiedy otworzyła drzwi wejściowe, poczuła zapach domu niewietrzonego od tygodnia. Lilia w holu przypominała wierzbę płaczącą, tak smętnie zwiesiła listki, na poręczy piętrzyła się kolekcja płaszczy przeciwdeszczowych i kurtek Pete'a. Nie zwracając uwagi na bałagan, zostawiła walizkę u stóp schodów i poszła do kuchni.

Wśród stosu gazet z zeszłego tygodnia czekała kartka. Emma odstawiła torbę podręczną, wzdrygnęła się z zimna, bo po Egipcie irlandzki sierpień wydawał się lodowaty, i nastawiła wodę na herbatę. Dopiero wtedy sięgnęła po kartkę.

Nie mogę się ciebie doczekać, kochanie. Jestem na meczu. Wracam o siódmej. Kolacja pod kontrolą, niczego nie rób.

Kocham cię.

Pete

Uśmiechnęła się. Kolacja pod kontrolą oznacza zapewne, że w drodze do domu kupi pizzę na wynos.

Zaniosła walizkę i herbatę na górę i zabrała się za rozpakowywanie. Wyjmowała z walizki spódnice, koszulki, bieliznę, pocztówki, którym nie mogła się oprzeć, i śliczne figurki z alabastru, kupione na bazarze

w Luksorze. Odwinęła jedną z bibułki i obejrzała z zachwytem. Przedstawiała Horusa, boga-sokoła.

Rozpadnie się na kawałki przy pierwszej okazji, ostrzegą ją Flora. Tłumaczyła, że figurki z prawdziwego alabastru są trwałe i mocne, w przeciwieństwie do bazarowych podróbek. Emmy to nie obchodziło. Szukała czegoś taniego i ładnego na upominki dla koleżanek z biura, a figurki po trzy funty egipskie za sztukę doskonale się nadawały. Zadowolona z zakupów rozpakowała pozostałe pięć i zastanawiała, kto dostanie którą.

Wyjęła sandały z plastikowego worka, cisnęła brudne rzeczy do kosza na bieliznę, pełnego ubrań Pete'a.

Nie mogła się skupić na rozpakowywaniu, cały czas myślała o mężu, chciała mu wszystko opowiedzieć, o nowych przyjaciółkach, o miejscach, które zwiedziła... I wtedy spomiędzy ubrań wyjęła paczkę egipskich podasek z białym gołębkiem na opakowaniu. Powrócił ból, gorzka świadomość, że nie rośnie w niej dziecko, bezpieczne i kochane. Nie będzie maleństwa, nie przytuli małej główki do piersi, nie będzie słodkiej istotki całkowicie zdanej na nią.

Dławiło ją w piersiach, miała zawroty głowy. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że dźwięk, który słyszy, to jej własny szloch. Zawodziła jak płaczka na pogrzebie.

Po tylu dniach samokontroli dała upust emocjom. Było tak, jakby puściła tama.

Teraz, we własnej sypialni, skulona przy łóżku, mogła płakać do woli nad niepoczętym dzieckiem. Czuła się tak, jakby straciła dziecko. Straciła kolejną szansę. Leonie i Hanna były dla niej dobre, robiły co mogły, by ją pocieszyć i zrozumieć. Ale nie rozumieją. Leonie ma dzieci, uroczą trójkę... Hanna nie chce mieć dzieci, jeszcze nie, choć Emma nie pojmowała, jak to możliwe, żeby kobieta nie chciała dzieci. W każdym razie Hanna nie chciała. Więc jej nie rozumieją.

Emma pragnęła dziecka aż do bólu. Ten ból ją zabijał, odbierał radość życia. Był jak rak, zżerał ją od środka, aż zostanie sama skorupa, tylko gniew i nienawiść, pretensje do wszystkich, którzy mieli to, czego los jej odmówił.

Wszyscy dokoła mieli dzieci bez żadnego wysiłku. W dodatku rodziło się tyle nieplanowanych, niechcianych dzieci, niektóre kobiety decydowały się na aborcję... Emma ciągle trafiała w gazetach na zwierzenia typu: Mały Jimmy pojawił się przez przypadek, mieliśmy już szóstkę, nie planowaliśmy następnego...

Co gorsza, w KrisisKids wiecznie miała do czynienia z problemami nieszczęśliwych i maltretowanych dzieci skrzywdzonych przez ludzi,

k którzy mieli je kochać i chronić - przez rodziców. Całe szczęście, że zajmuje się administracją; nie wiedziała, jak by się zachowała, gdyby odebrała telefon od szlochającego dziecka. Nawet terapeuci nie zawsze mogli się z tym uporać. Czasami po zakończeniu zmiany wychodzili bez słowa, pobladli i wyczerpani, niezdolni zamienić z kolegami choćby słowa, bo jak tu rozmawiać o pogodzie czy serialu w telewizji, jeśli akurat wysłuchało się zwierzeń dręczonego dziecka. Emma nie mogłaby słuchać nieśmiałych opowieści o przypalaniu papierosem czy o tym, jak tatuś co wieczór przychodzi do łóżka i mówi, że to ich wspólna tajemnica. To nie rodzice; to demony. Nie pojmowała, czemu Bóg obdarzył ich potomstwem.

No właśnie; właściwie na jakiej podstawie Bóg decyduje, kto ma dzieci, a kto nie? Dlaczego zdecydował, że Emma jest bezdzietna, a inne kobiety mają rodziny liczne jak drużyny piłkarskie? Przerażał ją gniew, jaki budziły w niej te matki. Miała ochotę je zabić, te kobiety, którym się wydawało, że wszystko im się należy. Które nie wiedziały, jak to jest pragnąć dziecka latami, które śmiały się, widząc pozytywny wynik testu ciążowego i mówiły: Cóż, następny piłkarz do drużyny albo: I tak chcieliśmy mieć dzieci, równie dobrze możemy zacząć już teraz!

Nienawidziła ich całą sobą.

Nienawidziła ich prawie tak bardzo, jak kobiet, które obnosiły się ze swoim macierzyństwem, pokazywały całemu światu, że mają dzieci. Emma nie znosiła ich; miała wrazenie, że traktują ją z wyższością.

Na przykład Weronika z biura; obnosiła się z macierzyństwem jak z medalem zasługi, opowiadała wszystkim dokoła, jaki słodki jest mały Phil i złośliwie pytała Emmę, czy nadal nie chce dzieci.

Weronika wiedziała, Emma była tego pewna. Dzięki tej wiedzy miała przewagę nad Emmą, swoją szefową.

- Phil raczkuje jak mały samochodzik - oznajmiła ostatnio przy lunchu. I zaraz zwróciła się bezpośrednio do Emmy:

- Nie rozumiem, czemu nie zdecydowaliście się jeszcze na dziecko. Nie czekaj za długo, bo może się okazać, że jesteś bezpłodna - zaszcebiotała.

Emma mogłaby zamordować ją gołymi rękami, ale uśmiechnęła się z trudem i wykrztusiła:

- Mamy dużo czasu, nie spieszy nam się.

Myślała o Weronice, siedząc na podłodze sypialni. Jak zdoła spojrzeć jej w twarz w poniedziałek rano? Phil na pewno zrobił coś wspaniałego w zeszłym tygodniu i Weronika nie omieszka jej o tym poinformować, ba, pewnie będzie się zastanawiała, czy już dzwonić do *Księgi rekordów Guinnessa* czy może jeszcze poczekać. Zapyta wszystkich o zdanie i po-

święci tej kwestii więcej czasu niż pracy. Nie była dobrą asystentką. Może dlatego nie znosiła Emmy i ciągle prawiała jej złośliwości. Emma była skuteczna w pracy i bezdzietna. Weronika nie umiała nic, ale była matką. Miała tylko tę przewagę nad Emmą i wykorzystywała ją umiejętnie.

Wzdrygnęła się. W domu było zimno, Pete'owi nie przyszło o głowy, żeby włączyć ogrzewanie. Zdrętwiała z zimna, poza tym nadal czuła miesięczkowy ból w dole brzucha. W końcu wstała i poszła do łazienki umyć twarz.

Z brudnego lustra w łazience patrzyła na nią zapłakana kobieta. Młoda, jeśli sądzić po gładkich policzkach i delikatnej opaleniznie, ale bardzo stara, jeśli spojrzeć w smutne, umęczone oczy.

Znajoma butelka oliwki dla dzieci stała na półce. Emma zmywała nią makijaż. Nie dlatego, że nie miała zwykłych środków do demakijażu, po prostu lubiła ten zapach, zapach dziecka. Czasami używała jej zamiast kremu nawilżającego i wyobrażała sobie zapach maleństwa. Dzisiaj wepchnęła buteleczkę do szafki pod umywalką. Nie chciała na nią patrzeć.

Opryskała twarz wodą i z obowiązku umalowała oczy. Nie może powitać Pete'a zapłakana i smutna. Nie w porządku byłoby zarazić go rozpaczą, wylać na niego rozczarowanie, że znowu nie zaszła w ciążę. Wystarczy, że ona cierpi przez swoje beużyteczne, jałowe ciało; czemu dręczyć jeszcze i jego? Czasami zastanawiała się, czy słusznie postępuje, skrywając przed nim swoje obawy. Czyjej obsesyjne pragnienie dziecka ich nie rozdzieli? Nie, stwierdziła. Nie dopuści do tego.

Na wszelki wypadek zażyła valium. Po pewnym czasie poczuła się lepiej na tyle, że załadowała pralkę ubraniami. Nadal poruszała się jak automat, ale przynajmniej mogła coś robić.

Siedziała na kanapie w dużym pokoju i oglądała dramat kostiumowy, który Pete specjalnie dla niej nagrał, kiedy usłyszała szcęk klucza w zamku.

- Wróciłem, kochanie! Gdzie jesteś?
- W salonie.

W ułamku sekundy był przy drzwiach. Miał ciągle wilgotne włosy, pewnie nie chciało mu się ich wysuszyć po prysznicu. Silnie zbudowany i poważny, był doskonałym obrońcą na boisku i przedstawicielem handlowym na co dzień.

Miał niewinną, sympatyczną twarz, przez którą niejedna szefowa działu zamówiła więcej artykułów papierniczych, niż zamierzała, jeśli Pete takiej doradził. Ale też radził zawsze szczerze, nie naciągał klientów. Bo nie udawał niewinności i szczerości - Pete Sheridan był jednym z nielicznych prawdziwych dżentelmenów - delikatny, uprzejmy, troskliwy

wobec dzieci i zwierząt. Nigdy nie zawyżał kosztów, nigdy nie oszukał sprzedawcy w sklepie - był uczciwy do szpiku kości.

Rzucił się na Emmę, obsypał jej twarz i szyję pocałunkami.

- Stęskniłem się - mruknął.

- Ja też - przywarła do niego, czerpała pociechę z jego bliskości. Tak bardzo go kocha. Najbardziej na świecie pragnie jego dziecka, pomyślała z twarzą wtuloną w szorstką wełnę swetra. Poczuła łyzy w oczach i zagryzła dolną wargę. Nie rozpłacze się przy nim, przecież sobie obiecała.

- Złaż ze mnie, ty niezdarco - skarciła go żartobliwie. - Zadzuszysz mnie.

- Przepraszam.

Kiedy na chwilę się odwrócił, Emma skorzystała z okazji, żeby otrzeć łyzy.

Pete rozsiadł się na sąsiednim fotelu i wziął ją za rękę.

- Opowiadaj wszystko po kolei. Jak wycieczka i jak ojciec? Nie zamknęli go w egipskim więzieniu?

Uśmiechnęła się mimo woli.

- Nie, ale dziwię się, że przewodniczka się o to nie postarała. Było go słyhać w całej okolicy, kiedy się dowiedział, że musimy dodatkowo płacić za fotografowanie w niektórych miejscach... - Wzdrygnęła się na samo wspomnienie i zarumieniła ze wstydu.

- O Boże, przewodniczka! - jęknął Pete. - Pewnie źle to przyjął. - Było powszechnie wiadome, że Jimmy O'Brien wyznaje pogląd, że kobiety osiągnęły niższy szczebel ewolucji niż mężczyźni. Z pewnością wiedziała to jego córka, która dorastała, słuchając wywodów na ten temat. Zostaw, ja to zrobię, kobiety się na tym nie znają, słyszała od dziecka. Kirsten nigdy się nie przejmowała, lubiła, kiedy ją we wszystkim wyręczano i nie miała zamiaru uczyć się niczego praktycznego.

- Komu to mówisz - westchnęła Emma. - W Dolinie Królów przeszedł samego siebie. Nawrzeszczał na Florę, że zapłaciliśmy za wycieczkę i nie powinniśmy jeszcze płacić za zdjęcia. I że wszyscy robią z niej idiotkę, bo jest kobietą i wiadomo, że nabierze się na każdą bzdurę, najlepiej więc będzie, jeśli on sam wszystko załatwi.

- To co zwykle - stwierdził Pete. - Nieżyły z niego numer.

Numer to za małe słowo, przemknęło jej przez głowę.

- W Egipcie było cudownie - uściśnęła jego rękę, żeby dać mu do zrozumienia, że cieszy się z powrotu do domu. - Ale gdyby nie Leonie i Hanna, poznałam je na statku, wróciłabym chora psychicznie. Ojciec doprowadzał mnie do szału, a mama traci rozum albo co innego, w każdym razie coś traci.

- Przez ojca - mruknął Pete. - On tak działa na wszystkich.

Emma pokręciła głową.

- Nie, tym razem nie chodzi o niego. Mama wszystko zapomina. Cały czas przeliczała funty egipskie na irlandzkie. Dawniej zostawiała takie rzeczy ojcu, ale tym razem miała jakąś obsesję. Wydawała się zagubiona, jakby nie do końca wiedziała, gdzie jest. Nie wiem, nie umiem tego określić, ale mam wrażenie, że dzieje się z nią coś złego.

- Daj spokój. - Wstał i podał jej rękę.

- Wsadzimy pizzę do pieca i opowiesz o tych kobietach ze statku, Skoro zdołały dokonać cudu i dzięki nim nie myślałaś cały czas o rodzicach, może odwiedzą nas w święta?

- Doskonały pomysł! - Aż się wzdrygnęła na myśl o bożonarodzeniowym obiedzie w domu O'Brienów, gdzie świąteczna dobroć i pokój były raczej abstrakcyjnymi pojęciami. - Polubisz je, Pete. Hanna jest bardzo pewna siebie. Ojciec jej, oczywiście, nie znosił. A Leonie jest taka kochana. Ma troje dzieci, jest rozwiedziona i chyba bardzo samotna. Hanna stwierdziła, że naszym zadaniem jest znaleźć Leonie fajnego faceta.

- Neil szuka miłej rozwódki - zauważył Pete. Miał na myśli kolegę z ławy szkolnej. - Może ich wyswatamy?

- Neil szuka seksbomby i gosposi, której nie musiałyby płacić. Nie, za żadne skarby świata nie przedstawię mu Leonie - odparła Emma surowo. - Przeszła w życiu dosyć, nie dodamy jej Neila z jego łupieżem i zamiłowaniem do piłki nożnej.

- Powtórzę mu to. - Pete niezdarnie zdarł z pizzy folię. Piekarnik aż się kleił od przypalonego sera, i Emma domyśliła się, że od tygodnia żywił się tylko pizzą. - Spotkamy się z nim w pubie.

Jęknęła.

- Musimy? Myślałam, że posiedzimy sobie razem w domu.

Pete zakończył popis sztuki kulinarnej włączając piecyk.

- Wiem, ale nic się nie dało zrobić. Janine ma dziś urodziny i Mike nas zaprosił.

Mike pracował z Petem i obie pary często się spotykały. Emma bardzo ich lubiła, ale dziś nie miała ochoty na towarzystwo. Najchętniej przytuliłaby się do Pete'a i może, ale tylko może, porozmawiała z nim o dziecku.

- A czemu Neil przychodzi? - zainteresowała się.

- Był dziś na meczu i Mike go zaprosił. Janine przyprowadzi koleżankę, wolną, a znasz Neila, powiedz przy nim słowo kobieta, a ślini się jak pies.

- Powiedz przy nim wolna samica, a się ślini - poprawiła Emma. - I ty chciałeś go wyswatać z Leonie?

- Nie wiem, jaka ona jest! - obruszył się. - Może są dla siebie stworzeni!

Zła na siebie, że tak mało entuzjastycznie zareagowała na jego dzisiejsze plany, poklepała go po pośladkach w obcisłych dżinsach.

- Nie, mój drogi, stworzeni dla siebie jesteśmy my. A teraz powiedz szczerze: jadłeś pyszne posiłki, które ci zamroziłam, czy przepuściłeś całą pensję w dziale mrożonek w supermarkecie?

W sobotni wieczór w pubie było pełno gości. Pete i Emma przedzielali się przez tłum w róg sali, gdzie siedzieli Mike i Janine.

- Cześć! - wrzasnął Mike i zaraz ustąpił Emmie miejsca na wysokim barowym stołku. - Siadaj koło Janine. Jest na mnie wściekła, bo nawet w jej urodziny gadam tylko o futbolu.

Janine była całkowitym przeciwieństwem Emmy. Jak współczesna Giną Lollobrigida była zaokrąglona tam gdzie trzeba, lubowała się w mocnym, wyzywającym makijażu - grube kreski, szkarłatne usta. Do tego obcisłe ubrania. Polubiły się z Emmą od pierwszego spotkania; miały to samo poczucie humoru i te same problemy rodzinne. W przypadku Janinę to jej matka trzymała cały dom żelazną ręką w kuchennej rękawicy. Godzinami rozprawiły o domowych kłopotach, a ich mężczyźni - o sporcie.

- Witaj w domu! - Cmoknęła Emmę w policzek i zostawiła na nim ślad krwistoczerwonej szminki. - Opowiadaj. Jak Egipt?

Było bardzo późno, gdy wyszli z pubu. Janine dała sygnał do odwrotu, bo inaczej chłopcy zostaną tu do rana, jak stwierdziła. Pete przez cały wieczór uśmiechał się do Emmy i szeptał jej do ucha, co robi, kiedy już będą w domu, więc nie obawiała się, że zechce zostać dłużej.

- Jestem ledwo żywa, zasnę na stojąco, jeśli zaraz nie pójdę do łóżka - oznajmiła Janine, gdy czekały przed budynkiem. - Wczoraj mieliśmy urwanie głowy. Były chrzciny dziecka siostry Mike'a.

Emma znieruchomiała. Kolejne dziecko; Jezus, czy przed tym nie ma ucieczki?

- Żałuj, że nie słyszałaś matki Mike'a. Oszalała z radości, że wreszcie została babcią i robi niewybredne aluzje na temat mnie i Mike'a. - Janine zachichotała na samą myśl. Nie zauważyła, że Emma umilkła. Poszukała w torebce i zaprezentowała polaroidowe zdjęcie uśmiechniętego bobasa z dużymi oczami i bez jednego włosa na głowie.

Emma zachwyciła się, jak tego po niej oczekiwano. Cudowne dziecko, pomyślała, czując, jak wzbiera w niej rozpacz.

- To przemiły dzieciak, nie zrozum mnie źle, ale na Boga, ten bałagan! Ma tylko dwa miesiące i żeby go gdzieś zabrać, potrzeba co najmniej ciężarówka! Butelki, pieluchy, wózki! Spadaj! - pisnęła, gdy Mike niespodziewanie objął ją od tyłu. - Myślałam, że dzisiaj będziesz zbyt zmęczony na takie figle! - zaśmiała się.

- Zmęczony? - zdziwił się Pete z błyskiem w oku. - Przecież na boisku nic nie robił, dwa razy nie trafił do bramki, myślałem, że zaraz zaśnie! Jest pełen energii!

Rozstali się, wsiedli do taksówek, umówili się na telefon w tygodniu. Emma zdawała sobie sprawę, że w drodze do domu jest nienaturalnie milcząca, ale nic nie mogła na to poradzić. Uwagi Janine o dziecku zepsuły jej wieczór. Znowu ktoś ma dziecko. Siostra Mike'a jest o rok od niego młodszą, czyli ma dwadzieścia dziewięć lat. A Emma trzydzieści jeden. Dobijała ją świadomość, że kobiety młodsze od niej zachodzą w ciążę. Czy to właśnie czuły przed wiekami kobiety, gdy ich młodsze siostry wychodziły za mąż? To był dopiero wstyd, stara i niezamężna. A teraz Emma wstydzi się, że nie ma dzieci, gdy młodsze kobiety mnożą się jak królice.

W domu powoli wchodziła na górę pogrążona w marzeniach o dzieciach. Była niemal zaskoczona, gdy Pete, zamiast iść do łazienki, pociągnął ją na łóżko i delikatnie rozpiął guziki bluzki. To nie jego wina, pomyślała smętnie. Szeptał jej czułe słówka, ale nic do niej nie docierało.

Przypomniała sobie, jak namiętnie kochali się na początku. Nie mieli wielkiego doświadczenia, ale szybko się przekonali, ile rozkoszy mogą sobie dać. Kirsten dała im w prezencie zaręczynowym, w tajemnicy przed rodzicami, ma się rozumieć, *Joy Of Sex*. Przestudiowali książkę od deski do deski, choć nigdy nie opanowali bardziej akrobatycznych pozycji.

Teraz to się zmieniło. Emma nie kupowała już truskawek ani czekoladek do erotycznych zabaw w łóżku, od miesiący nie przyniosła z Body Shop aromatycznego olejku do masażu. Seks to walka o dziecko. Pete chyba niczego nie zauważył. Starał się zaspokoić siebie i Emmę, ale nie wiedział o jej obsesji.

Całą siłą woli poganiała każdy plemnik, żeby płynął szybciej, żeby znalazł jajeczko i jak dzielny wojownik wdarł się do wnętrza. Pete jęczał z rozkoszy, a Emma wyruszała w fantastyczną podróż w głąb własnego ciała, jak na filmach dokumentalnych o fizjologii człowieka.

Joy Of Sex nie podniecała jej teraz nawet w połowie tak bardzo jak książki o pielęgnacji niemowląt. Ukrywała je na dnie szafy, czerpała z nich otuchę i nadzieję. Tak jak z dzieciennych ubranek z Mothercare. Czuła się niemal winna, kiedy tam szła, wydawało jej się, że ma na czole wypisane: intruz. Wszyscy się od razu domyśla, że nie ma dzieci; tylko matka wie,

jakie buciki kupić dla maleństwa. Przygotowała sobie nawet gładką opowieść, że szuka prezentu dla przyjaciółki, gdyby zaczepiła ją wścibska sprzedawczyni. Nikt jednak o nic nie pytał, i z dumą kupiła małą sukieneczkę z różowego aksamitu. Skoro kupujesz dziecięce ubranka, kiedyś będą ci potrzebne, prawda? Bóg na pewno nie jest taki okrutny. Ubranka na pewno się przydadzą. Może jeszcze nie teraz, ale już niedługo.

W niedzielny poranek zadzwoniła do Leonie. Nie wiedzieć czemu, nagle zapragnęła z nią porozmawiać. Leonie umiała pocieszyć, co więcej, ona i Hanna wiedziały, jak bardzo Emma pragnie dziecka. Przy nich nie musiała udawać.

- Emma! - Leonie ucieszyła się wyraźnie, słysząc jej głos. - Jak się masz, skarbie?

Emma głośno zaczerpnęła tchu.

- Okropnie, Leonie. Dlatego do ciebie dzwonię. Jestem w strasznym stanie, przepraszam, może zadzwonię później...

Leonie nie dała jej dokończyć.

- Ani mi się waż odłożyć słuchawkę, ty wariatko. Okropnie jest wrócić do domu i przekonać się, że wszystko jest po staremu. Oczekujesz, że świat się zmieni, tak jak ty, a tu nic z tego. Chodzi o dziecko? - zapytała miękko.

- Tak.

- Jakie masz plany na dzisiaj?

Emma pokręciła głową, zaraz jednak uprzytomniła sobie, że Leonie jej nie widzi, i powiedziała:

- Nie wiem. Żadne właściwie. Wieczorem pójdziemy do kina, powinienam też posprzątać i zrobić pranie.

- Niczego nie planujecie? Jak myślisz, będzie zły, jeśli cię porwę na godzinę?

- Nie.

- Więc załatwione - stwierdziła Leonie stanowczo. - Zadzwonię do Hanny, zobaczymy, czy jest wolna. Wsiadam w samochód. Za godzinę będę u ciebie, dobrze?

- Dobrze - Emma była potulna jak dziecko.

- Poczekaj, zaraz oddzwonię.

Hanna długo nie odbierała.

- Przepraszam, odkurzałam - wytłumaczyła. - Jestem na nogach od ósmej, straszny tu bałagan. Posprzątałam wszędzie i zrobiłam pranie.

Leonie uśmiechnęła się szeroko.

- Może posprzątasz i u mnie? - zażartowała. - Ja od rana zdobyłam się tylko na spacer z Penny i rozważania, czy rozpakować już walizkę. Dzwonię, bo rozmawiałam z Emmą i jest bardzo przybita. Zaproponowałam, żebyśmy się spotkały na kawę. Wchodzisz w to?

- Pewnie. Możecie przyjechać do mnie - zaproponowała Hanna. - Jest tu czysto.

- Jakby do tej pory było jak w chlewie, co? - zakpiła Leonie.

- Cóż, trochę było - zaczęła Hanna, ale zorientowała się, że Leonie z niej żartuje. - Świnia. Przywieź ciastka, ja już nastawiam kawę.

Leonie zapisała, jak do niej dojechać, zadzwoniła do Emmy i umówiła się za godzinę.

- Pete, kochanie, wychodzę - zawołała Emma do męża, pogrążonego w lekturze niedzielnej gazety. - Muszę oddać Leonie książkę. - Nie chciała się przyznać, że umówiła się z przyjaciółkami, bo potrzebuje wsparcia. Zdradzała go w ten sposób, szukając pociechy u nich, nie u niego, ale nie mogła mu powiedzieć, jak się czuje. Jeszcze nie.

Mieszkanie Hanny było jak ona - eleganckie i nieskazitelne. Przyjaciółki przywitały się i podziwiały mały salonik. Zachwycały się nowoczesnym kominkiem, grubymi świecami w świecznikach z kutego żelaza. Wnętrze było bardzo ładnie urządzone, poczynając od muślinowych zasłon, kończąc na beżowych narzutach na fotelach. Na kremowych ścianach wisały czarno-białe fotografie miast. Nie zauważyły ani jednej fotografii rodzinnej, nie było zdjęć roześmianej Hanny w otoczeniu bliskich. Jakby chciała zapomnieć o przeszłości.

- Przepraszam za kawę - Hanna tłumaczyła się mniej więcej piątą raz. Wniosła trzy pękate żółte kubki. Kiedy chciała zaparzyć kawę, wpadła w panikę, widząc, że ma w domu tylko rozpuszczalną. Bardzo ją lubiła, ale to chyba nieelegancko podawać gościom kawę rozpuszczalną? Nie znosiła takich sytuacji. Ilekroć przyjmowała gości, uświadamiała sobie, jak mało wie. Kiedyś nie miała pojęcia, jak nakryć do stołu ani jak przedstawiać sobie nieznanym. Żałowała, że nie wie tego od dziecka, że musi pilnie obserwować innych, żeby się nie zbłądzić.

- Nie przejmuj się - zbesztła ją Leonie. - Wszystkie dorastałyśmy bez prawdziwej kawy. Ja w ogóle nie kupuję naturalnej, poszłabym z torbami, bo Danny pije kawę litrami.

- Rozpuszczalna jest bardzo dobra - zawtórowała Emma. - Masz ładne mieszkanie. Wiesz, jak stworzyć atmosferę. Nie poradziłabym sobie z tymi zasłonami.

- U mnie nie wisiłyby nawet tygodnia. Penny zaraz by je zerwała, uwielbia chować się za zasłoną, kiedy jest smutna - roześmiała się Leonie. - Pewnie teraz właśnie tam siedzi zła, że wyszłam. Wczoraj nie posiadała się z radości, ale dziś od rana obserwowała mnie podejrzliwie, pewna, że znowu chce ją porzucić. Wyła, kiedy zakładałam płaszcz.

- A biedna Clover? - zainteresowała się Hanna. - Wyszła z klatki? Leonie skinęła głową.

- Tak, ale od razu uciekła do pokoju Danny'ego i nie pokazała się do tej pory. Pewnie siedzi pod kołdrą. Za to Herman ma się dobrze. Koty mamy nie zdołały go zastraszyć. Nawet trochę utył.

Emma parsknęła śmiechem.

- Pewnie jadł to samo co Pete - mruknęła. - Żył na pizzy i frytkach i dam sobie rękę uciąć, że trochę przytył. Wszyscy się z niego nabijali w pubie. - Spochmurniała. - Dlatego rano byłam taka roztrzęsiona - powiedziała do Leonie. - Nie przez Pete'a, tylko... - Westchnęła. - Byliśmy w pubie ze znajomymi i Janine opowiadała o siostrze Mika, która dopiero co urodziła dziecko. To mnie dobiło. Głupie, prawda? Wystarczy przy mnie powiedzieć „dziecko”, a rozklejam się jak pięciolatka.

Upiła łyk gorącej kawy. Tutaj mogła o tym mówić zupełnie normalnie. W domu bała się, że jest na krawędzi załamania nerwowego i że Pete uznałby ją za wariatkę, gdyby zdradziła się ze swoimi uczuciami. Ale Hanna i Leonie uważały, że rozmowa o uczuciach to normalna sprawa. Wydawały się rozumieć, jak łatwo byle drobiazg może wyprowadzić z równowagi.

- Wcale nie głupie - zapewniła Hanna cicho. - Tak samo reaguję na Harry'ego. W jednej chwili wszystko jest w porządku, w drugiej widzę kogoś w podobnej kurtce i szaleją, nie wiem, ze złości czy z tęsknoty. Wyobrażam sobie, co mu powiem, jak go zobaczę, i jakie narzędzie ogrodnicze na nim wypróbuję...

Emma uśmiechnęła się.

- Wyobrażam sobie dzieci - przyznała. - Siedzę w samochodzie i zastanawiam się, jak to jest z dzieckiem na tylnym siedzeniu, wiecie, rozmawiać, opowiadać, co zaraz zrobimy. - Nigdy nikomu o tym nie mówiła.

Leonie poklepała ją po ramieniu.

- Nam możesz powiedzieć wszystko, Em - powiedziała, jakby czytała w jej myślach. - Po to są przyjaciele. Może dlatego, że znamy się krótko, przyjmujemy siebie takimi, jakie jesteśmy.

Emma skinęła głową.

- Tak. I bardzo dobrze.

Z godziny zrobiło się półtora. Skończyła się kawa i Emma uparła się, że przygotuje świeżą.

- Jeśli jesteśmy przyjaciółkami, nie możesz nas ciągle obsługiwać - zwróciła się do Hanny.

- Boże - westchnęła po chwili. - Twoja kuchnia jest idealnie czysta. Na pewno nie jesteś spokrewniona z moją matką? Byłaby tobą zachwycona.

Hanna puściła płytę Harry'ego Connicka Juniora przez chwilę słuchały jego melodyjnego głosu i kończyły rogaliki, które przyniosła Leonie.

- Ładnie śpiewa ten Harry - zauważyła nagle Emma.

- Tak, ale jego imię wszystko psuje - roześmiała się Hanna. - Zresztą mam dosyć ciemnowłosych mężczyzn. Mój Harry był brunetem, chyba się przerzucę na blondynów.

- A dokładnie? - zainteresowała się Leonie. - Opisz nam swój ideał.

Hanna objęła kolana ramionami i zaczęła mówić.

- Wysoki, bo lubię buty na obcasach i nie znoszę facetów niższych ode mnie. Muskularny, z niebieskimi oczami, jak twoje, Leonie, tak przenikliwymi, jakby chciał zajrzeć mi w głąb duszy. I żeby miał piękne ręce. Do tego złociste włosy i opalenizna.

- Robert Redford, wypisz wymaluj - zauważyła Leonie - A on jest mój. Jeśli go spotkasz, nie waż się dotknąć, albo stracisz przyjaciółkę.

- Musisz sobie wymyślić swój ideał - sprzeciwiła się Hanna. - Nie papuguj po mnie.

- Dobrze, dobrze - Leonie bardzo się spodobała ta zabawa. Właściwie i tak ciągle wyobrażała sobie mężczyznę, który uwolni ją od samotności. - Przykro mi, Hanno, nie papuguję, ale on naprawdę musi być wysoki i silny, inaczej nie przeniesie mnie przez próg. I jeszcze... Po czterdziestce, brunet, ale może mieć siwe skronie. To bardzo seksowne. Wyobrażam sobie, jak zanurzam palce w siwych kosmykach...

- Nie ma seksu, póki go nie opiszesz do końca - zażartowała Hanna.

- Ciemne oczy i podbródek jak Kirk Douglas.

- Czyli jaki? - zdziwiła się Emma.

- Z dołączkiem - wyjaśniła Leonie. - Jako dziecko namiętnie oglądałam stare filmy i kochałam się w Kirku do szaleństwa. Miesiącami wyobrażałam sobie, że jestem dziewczyną z filmu o piratach. Oczywiście, musi być bajecznie bogaty, lubić dzieci, zwierzęta i kobiety, które nie są w stanie dbać o linię. Twoja kolej, Em.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Uznacie, że jestem głupia, ale Pete jest moim ideałem. Nie jest zbyt wysoki ani umięśniony, i łysieje, ale go kocham.

Hanna i Leonie uśmiechnęły się ciepło.

- To wspaniale - mruknęła Hanna.
- To prawdziwa miłość - dodała Leonie. - Szczęściara z ciebie, wiesz?

Rozdział 7

Hanna miała wspaniały dzień, dopóki wieczorem nie spotkała listonosza. Nie powiedział, co prawda, nic przykrego, nie zapytał jak kiedyś, czy zamierza wstąpić do zakonu - miała wtedy na sobie długą wąską szarą spódnicę, żakiet i białą bluzkę. Nie, po prostu wrzucił do skrzynki plik listów, ale wieczór był do niczego. Hanna natychmiast rozpoznała pismo na kopercie - Harry.

Bazgrał jak kura pazurem. Dawniej żartowali, że nigdy nie nauczył się w szkole pisać literek razem. Ha ha ha! To wcale nie jest śmieszne, tylko głupie. Coś takiego, facet ma trzydzieści sześć lat, a nawet nie umie porządnie pisać. Zanim weszła na górę, strząsnęła z włosów krople deszczu, który pojawił się nie wiadomo skąd. Do tej pory dzień był cudowny.

Tego dnia rano zaczęła pracę w firmie Dwyer, Dwyer & James. Przyjechała przed czasem, zaparkowała naprzeciwko wejścia i głęboko zaczerpnęła tchu. Nabrała powietrza w płuca, przytrzymała, wypuściła ponownie. Doskonały sposób, żeby się przygotować na ciężki dzień. Nagle ktoś zapukał w okno. Hanna podskoczyła nerwowo. Wytarła zaparowaną szybę, chcąc się przekonać, kto to. Nieznajoma kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie. Chyba nieszkodliwa, oceniła Hanna, w przyzwoitym płaszczu przeciwdeszczowym, perłowym naszyjniku, w średnim wieku. Mimo wszystko, nieznajoma. Z wahaniem opuściła szybę.

- Słucham?

- Jesteś Hanna, prawda? Gillian z Dwyer, Dwyer & James. Zobaczyłam cię przez okno i pomyślałam, że nie wiesz, czy możesz tu zaparkować.

- Miło z twojej strony - odparła Hanna grzecznie. Wysiadła z samochodu. Chyba niewiele się dzieje w firmie, jeśli pracownicy gapią się przez okna i wypatrują nowych.

- Wydawałaś się zagubiona... - zaczęła kobieta.

- Zastanawiałam się, gdzie zaparkować - skłamała Hanna gładko. Nie powie przecież, że kwestia parkowania nawet nie przeszła jej przez myśl, siedziała w samochodzie i starała się opanować rozdygotane nerwy

przed pierwszym dniem w nowej pracy. Uważała, że wtajemniczanie innych w sprawy prywatne zawsze kończy się kłopotami. Jakim cudem robi wrażenie chłodnej, opanowanej pani Campbell, jeśli współpracownicy dowiedzą się, że stara się opanować nerwy, ćwicząc jogę?

Dwie godziny później Hanna wiedziała już, że Gillian pracuje na recepcji od wielu lat, jest także osobistą sekretarką Dwyera seniora, uroczego starszego pana, który w swoim gabinecie studiował prasę i oznajmił Gillian, że nie ma go dla nikogo.

- Na recepcji jest tyle pracy, że wolałabym zajmować się tylko panem Dwyerem - szepnęła Gillian, jakby pan Dwyer wymagał szczególnej troski.

Hanna dowiedziała się także, że jest problem z wywietrznikiem w damskiej toalecie (co Gillian zdradziła jej szeptem), że młody Steve Shaw na pewno zacznie japończyć, choć dopiero co wrócił z podróży poślubnej, że Donna Nelson, jedna z najlepszych agentek, jest samotną matką, choć wydaje się bardzo miła, jak dodała Gillian, jakby samotne macierzyństwo i bycie miłym wykluczały się wzajemnie. Hanna milczała.

Sama Gillian miała kłopoty z kręgosłupem:

- Mój kręgarz twierdzi, że nie powinnam pracować, ale co miałabym robić w domu? - szczebiotała. Hanna z trudem ugryzła się w język, by nie zaproponować: Prowadzić kronikę towarzyską?

Miała męża Leonarda, syna jedynaka, okropną synową i papużkę imieniem Clementine, która - już po nadaniu imienia - okazała się samczykiem.

Hanna spodziewała się, że dowie się od Gillian szczegółów funkcjonowania firmy, jacy agenci działają w jakich dzielnicach, a nie jaki mądry jest Clementine i jakie sztuczki wyprawia z lusterkiem. Szybko stało się jasne, że po osobistej spowiedzi Gillian oczekuje, że Hanna udzieli również wyczerpujących informacji o swoim życiu.

Hanna nie pisnęła ani słowa na swój temat mimo wysiłków Gillian. Nie powiedziała także, że obejmie stanowisko dyrektora administracyjnego, a zaczyna od recepcji po to, żeby lepiej poznać działanie firmy. Pierwsze, co robi, to wyszkoli nowe recepcjonistki. Skoro Gillian jest taka dumna z funkcji sekretarki pana Dwyera, nie będzie zadowolona, że w hierarchii firmy Hanna stoi wyżej. Trudno, i tak niedługo się dowie.

- Jesteś mężatką? - zapytała Gillian prosto z mostu. Szare oczy lśniły niewinnie w różowej twarzy. To potwór, stwierdziła Hanna. Potwór, który żywi się cierpieniem innych i chce dołączyć skalp Hanny do swojej kolekcji.

- A może zaręczona?

Nie na darmo Hanna dorastała w małej wiosce, gdzie plotki były chlebem powszednim połowy mieszkańców.

- Ani jedno, ani drugie - odparła śmiało, patrząc Gillian prosto w oczy przez dobre pół minuty, aż starsza kobieta opuściła wzrok, zmieszana.

Zrozumiała, stwierdziła Hanna.

- Zaparzę nam herbaty - zaproponowała ciepło. Było nie było, nie chciała mieć w Gillian wroga. Chciała tylko dać jej do zrozumienia, że nie będzie opowiadała na prawo i lewo o swoim życiu prywatnym.

Mniej więcej w porze lunchu zjawił się David James, który prowadził z Hanną rozmowę kwalifikacyjną.

- Pracuje w biurze przy Dawson Street, ale czasami do nas zagląda - wyjaśniła Gillian, nerwowo szukając szminki, gdy zobaczyła Jamesa wysiadającego z jaguara.

Za rzadko, stwierdziła Hanna, rozglądając się po zaniedbanym wnętrzu, jakże różnym od eleganckiego biura przy Dawson Street. Tam panował duch minimalizmu, meble znanych projektantów i nowoczesne grafiki na ścianach nadawały mu elegancki, szykowny charakter.

Filia firmy Dwyer, Dwyer & James w Dun Laoghaire była równie elegancka, tyle że we wczesnych latach siedemdziesiątych. Pod ścianami koloru kawy z mlekiem stały miękkie, kwadratowe fotele dla klientów, modne mniej więcej wtedy, gdy *Aniołki Charliego* święciły największe triumfy. Adres był imponujący, biuro mniej.

W przerwach między monologami Gillian Hanna zastanawiała się, czy aby nie popełniła błędu, rezygnując z poprzedniej posady, żeby tu pracować. Dwyer, Dwyer & James to potężna, prężna firma i uważała przejście do nich za dalszy krok w karierze, ale w tym biurze czas stanął w miejscu.

David James, wysoki, silnie zbudowany, wszedł do środka, przywitał się z Hanną, wyraził nadzieję, że przyzwyczai się do nowego miejsca i zaprosił do siebie do gabinetu na rozmowę. Cisnął płaszcz przeciwdeszczowy na krzesło, zamasyżuje zdjętą marynarkę, odsłonił muskularne ramiona opięte błękitną koszulą. Przystojny, zauważyła. Nie zwróciła na to uwagi podczas rozmowy kwalifikacyjnej, była zbyt zdenerwowana. W jego szerokiej męskiej twarzy o regularnych rysach było coś fascynującego. Miał chyba niewiele ponad czterdzieści lat, choć zmarszczki w kącikach oczu sprawiały, że wydawał się starszy. Mimo dobrego, drogiego ubrania wyglądał, jakby równie swobodnie czuł się, machając siekierą w puszczy jak piórem Mont Blanc w eleganckim biurze. Sądząc po jego karnacji, spędzał dużo czasu na świeżym powietrzu. Wyglądał na człowieka, z którym lepiej nie zadzierać.

- Poznałaś już mojego współnika, Andrew Dwyera? - zapytał, siadając w obszernym fotelu. Nie patrzył na Hannę. Przeglądał stertę dokumentów na biurku.

- Jeszcze nie. Gillian mnie oprowadzała - odparła.

Porozumiewawczo spojrzeli sobie w oczy. W spojrzeniu Davida błysnęły iskierki.

- Ach tak, Gillian - mruknął. - Gillian właściwie nie powinna pracować na dwóch stanowiskach. Właśnie dlatego cię zatrudniłem. Pewnie się zastanawiasz, czy słusznie zrobiłaś, przechodząc do nas z hotelu Triumph.

Właśnie tak było, lecz Hanna ani myślała się do tego przyznać. Nie odpowiedziała.

- To nasze pierwsze biuro. Nie pracuję tu od dziesięciu lat - zaczął.

Zdziwiła się. Słuchając Gillian miała wrażenie, że pan James odszedł stąd najdalej pół roku temu.

- Mój siostrzeniec Michael zajął się organizacją biura w Howth osiem lat temu. Miał tu wrócić, ale przeszkodziły mu powody natury prywatnej. Nie miałem czasu, żeby się tym zająć. Nie miałem czasu, żeby wszystko doprowadzić tu do przyzwoitego stanu. Od śmierci drugiego pana Dwyera ta filia podupadła. Czeka nas wiele zmian i dlatego uznałem, że potrzebny nam menedżer z prawdziwego zdarzenia. Ktoś, kto poradzi sobie ze starym personelem i zatrudni nowe osoby. I dlatego zatrudniłem ciebie. Wiem, że nie boisz się ciężkiej pracy. Zaimponowałaś mi, Hanno. - Do tej pory nie mieliśmy stanowiska dyrektora administracyjnego. Gillian prowadziła biuro, gdy firma była jeszcze w powijakach, ale od pewnego czasu nie daje sobie rady. Potrzebny nam specjalista, ktoś, kto dopilnuje, by wszystko było na czas. Dochodzi także kwestia bezpieczeństwa. Nie można o tym zapomnieć. Na wszelki wypadek mamy zasadę, że do agentek dzwoniemy co godzinę, żeby mieć pewność, że nic im nie grozi. Jestem pewien, że sobie poradzisz.

- Dziękuję.

- A teraz bardzo proszę, przyślij do mnie Donnę Nelson. Muszę z nią porozmawiać.

Hanna była zadowolona, że pracuje z Davidem Jamesem. Szczery i prostolinijny, nie marnował czasu na owijanie w bawełnę. Z takimi ludźmi pracowało się najlepiej, nie trzeba zawracać sobie głowy pogawędkami o pogodzie czy kawie z automatu.

Gillian umierała z ciekawości, jak jej poszło.

- Czyż pan James nie jest rozkoszny? - westchnęła. - Jego małżeństwo się rozpadło, ale nigdy się z tym do końca nie pogodził. To znaczy

spotykał się później z innymi kobietami, ale nic z tego nie wyszło. Chyba jest samotny, nie odniosłaś takiego wrażenia?

Hanna, owszem, odniosła wrażenie, ale całkiem inne - że Gillian bez mrugnienia okiem porzuciłaby męża Leonarda i zdolną papużkę Clementine, gdyby miała okazję pocieszyć pana Jamesa w bynajmniej nieplatoniczny sposób.

Zanim dzień się skończył, poznała wszystkich agentów handlu nieruchomości. Najbardziej przypadła jej do gustu Donna Nelson. Elegancka, ciemnowłosa, w granatowym kostiumie, wyraźnie trzymała się z dala od Gillian i powitała Hannę ostrożnym uśmiechem, jakby chciała powiedzieć: Opowiadała ci o mnie, prawda?

Hanna uśmiechnęła się najcieplej, jak umiała.

- Proponuję, żebyśmy umówiły się na lunch. Opowiesz, co powinienam wiedzieć o twoich klientach.

- Świetnie. - Donna wyglądała na zadowoloną. Pewnie ma po dziurki w nosie zachowań Gillian wobec klientów i cieszy się, że wreszcie znalazł się ktoś, kto nie wpada im w słowo i nie przerywa w połowie zdania.

Interesy szły raczej powoli, ale też lodowaty głos Gillian nie zachęcał potencjalnych klientów, by wystawili domy na sprzedaż akurat przez ich agencję.

Hanna była świadkiem, jak jeden rozmówca usłyszał ostrą odpowiedź:

- Jeśli będzie miała czas, oddzwoni.

- Rozmowa prywatna - wyjaśniła Gillian, odkładając słuchawkę.

Hanna nic nie powiedziała, ale przysięgła sobie, że kiedy obejmie władzę nad biurem, pozałatwia takie sprawy. Recepcjonistki, które przeszkoli, nie odważą się tak niegrzecznie rozmawiać przez telefon.

David James zamienił z nią jeszcze kilka słów, zanim wyszedł. Przesiadł na jej biurku.

- Jak leci? - zapytał.

Kątem oka dostrzegła, jak Gillian się prostuje w nadziei, że i na nią zwróci uwagę.

- W porządku. Za kilka dni będzie lepiej, choć już teraz widzę, że centralka telefoniczna jest przestarzała i nieefektywna.

Gillian prychnęła coś pod nosem, oburzona, że nowa pracownica mówi coś takiego do samego szefa. David James tylko skinął głową.

- Porozmawiamy o tym. Do widzenia.

- Jesteś bezpośrednio, nie ma co - mruknęła Gillian po jego wyjściu.

- Przecież sama powiedziałaś, że centralka jest przestarzała - zauważyła Hanna delikatnie. - Ja tylko stwierdziłam fakty.

- Pan James nie lubi, kiedy mu się zawraca głowę takimi drobiazgami - syknęła Gillian.

Hanna nie odpowiedziała.

Wracała do domu zadowolona z siebie: dokonała słusznego wyboru, zmieniając pracę i chyba dzisiaj dobrze jej poszło. Cholerny Harry i jego głupi list wszystko zepsuli.

Weszła do mieszkania, rzuciła płaszcz na wieszak i otworzyła kopertę.

Kochana Hanno!

Jak leci, skarbie? Pewnie zdążyłaś już przejąć wszystkie hotele w Dublinie.

Nadal włączę się po Ameryce Południowej. Ostatnio przez kilka tygodni siedziałem w BA (Buenos Aires, malutka).

Malutka! Ze złości zazgrzytała zębami. Jakim cholernym prawem zwraca się do niej per malutka?

Podróżuję ze znajomymi, posiedzimy tu jeszcze miesiąc, potem skoczmy do Chile...

Pisał i pisał o tymczasowych zajęciach: tu pracował jako przewodnik, tam opublikował kilka artykułów w gazecie anglojęzycznej. Nic osobistego, ani jednej wskazówki, dlaczego nagle napisał, po raz pierwszy od roku. W pierwszym miesiącu po jego odejściu oddałyby wszystko za kilka słów od niego. Wystarczyłaby zwykła pocztówka albo gdyby zadzwonił i powiedział, że tęskni i że niepotrzebnie wyjeżdżał. Gdyby poprosił, żeby go odwiedziła, rzuciłaby wszystko i poleciała pierwszym samolotem. Chociaż sama go wyrzuciła, gdy oznajmił, że odchodzi, żeby zwiedzać inny kontynent, chociaż wygarnęła mu, że jest mięczakiem, który boi się trwałego związku, chociaż wrzeszczała, że nie chce go nigdy więcej widzieć. Ale tak bardzo za nim tęskniła.

Po raz pierwszy w życiu Hanna zrozumiała: jeśli kogoś bardzo kochasz i bardzo za nim tęsknisz, tak bardzo, że nocami budzisz się, wołając jego imię, chcesz, żeby wrócił, bez względu na to, co zrobił.

Nawet nie doczytała do końca. Wsunęła list z powrotem do koperty i rzuciła do szuflady w kuchni. Nie chce myśleć o Harrym. Nie chce sobie przypominać, jak wyglądał...

Jedenaście lat temu był przystojnym mężczyzną z chłopięcą urodą. Ciemne włosy sięgające kołnierzyka, mokre zwijały się w ciasne pierścienie. Szaroniebieskie oczy, zawsze smutne i zagubione oraz szerokie, ruchliwe usta, które uśmiechały się rozbrajająco. Ubierał się w luźne marynarki i workowate spodnie, które wyglądały, jakby były co najmniej

dwa numery za duże. To stanowiło część uroku Harry'ego Spendera: wszystkie kobiety chciały mu matkować.

Hanna matkowała mu przez dziesięć długich lat, od pierwszego spotkania w McDonalddie, gdy oblał koktajlem truskawkowym jej schludny mundurek sprzedawczyni z drogerii.

- O Boże, bardzo przepraszam, zaraz pani pomogę to wytrzeć - zaproponował się z miną skruszonego niewiniątka, gdy oboje wpatrywali się w blad różowy płyn spływający z Hanny na podłogę.

Poszła z nim do łazienki. Nie bała się, że idzie do damskiej toalety z mężczyzną, nawet, gdy wszedł tam z nią i starannie zbierał koktajl papierem toaletowym.

Powinna była odmówić, gdy zaprosił ją na drinka wieczorem. Lecz Hanna była nieodrodną córką swojej matki. Zaimponował jej prawdziwy dziennikarz.

W domu, w Connemara, rodzina Campbellów czytała dwie gazety: „Western People” i „Sunday Press”. Wyrastała wśród nich, obserwowała, jak matka wyścieła gazetami z zeszłego tygodnia klatki dla kurcząt. Układała je na podłodze, żeby mężczyźni nie zabrudzili buciorami wysprzątane go domu. Umówić się z kimś z prasy to nie było co!

Oczywiście, kiedy w końcu matka poznała Harry'ego, wcale jej nie zaimponował, mimo swego zawodu. Lecz wtedy było już za późno. Hanna zakochała się, oczami wyobraźni widziała, jak u jego boku kroczy do ołtarza, rozpromieniona, w pięknej białej sukni, szeroko uśmiechnięta do zdjęcia, które ukaże się w niedzielnym dodatku gazety. Razem na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie. Hannie przypadł do gustu ten pomysł, wizja stabilizacji i bezpieczeństwa.

Harry ani myślał o małżeństwie.

- Potrzebuję wolności, Hanno, wiedziałś od początku. Myślałem, że właśnie to ci się we mnie podoba - stwierdził tamtego dnia, gdy powiedział o wyjeździe do Ameryki Południowej, a Hanna gapiła się na niego z szeroko otwartą buzią.

- Owszem, ale do tej pory przez potrzebę wolności rozumiałeś słuchanie Hendrixa, chodzenie na koncerty i czekanie z rachunkami, póki nam nie zagrozą odcięciem telefonu i prądu! - wrzasnęła, gdy w końcu odzyskała głos.

Wzruszył ramionami.

- Czas płynie, lata lecą - zauważył. Był w wieku Hanny. - Nie chcę zmarnować życia. Ta wyprawa jest mi potrzebna. Zasiedziałem się, Hanno. Ty też.

Właśnie wtedy wyrzuciła za drzwi jego skórzaną kurtkę.

- Więc idź! - Wrzasnęła. - Idź, zanim zmarnujesz jeszcze chwilę z twojego cennego życia! Bardzo mi przykro, że przeze mnie zmarnowałeś tyle czasu!

Od tej pory nie dawał znaku życia. Wyszedł i nie widziała go więcej, wracał do mieszkania po swoje rzeczy chyłkiem, pod jej nieobecność. Była wściekła i urażona. Zaraz po rozstaniu przeprowadziła się ze wspólnego mieszkania do innego, mniejszego, a za uzyskane pieniądze kupiła nowe łóżko i sofę. Za żadne skarby świata nie spałaby dłużej w łóżku, które dzieliła z tym draniem. Jeśli chce odzyskać swoje pieniądze, może ją pozwać, proszę bardzo. I tak jest jej dłużnikiem - zmarnował dziesięć lat jej życia, że już nie wspomni o pieniądzach, które ciągle mu pożyczała, bo Harry beztrudnie przepuszczał całą pensję.

Od roku ani słowa. Aż nagle list, jak grom z jasnego nieba. I to akurat dziś, gdy zaczęła nową pracę. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w przesłane. Potem energicznie otworzyła szufladę i przeczytała list do końca.

Dwa akapity przed końcem Harry wreszcie przeszedł do rzeczy.

Pewnie się zastanawiasz, czemu do ciebie napisałem. Ale nie można tak po prostu zapomnieć dziesięciu lat wspólnego życia.

Owszem, można, syknęła do siebie.,

Za kilka miesięcy wracam do domu i chciałbym się z tobą spotkać. Wiem od Mitcha, co porabiasz. Podał mi twój nowy adres.

Cholerny Mitch, zakłęta pod nosem. Był to stary znajomy Harry'ego; kilka miesięcy temu spotkała go w supermarkecie i nieopatrznie podała nowy adres.

Bardzo chciałbym się z tobą zobaczyć, Hanno, choć nie wiem, czy ty też tego chcesz. Zrozumiem, jeśli nie, ale mam nadzieję, że już nie czujesz goryczy.

Goryczy! Gorycz to za mało powiedziane. Śmiertelna trucizna to lepsze określenie.

Dużo o tobie myślę. Mam wrażenie, że zostało między nami wiele niedokończonych spraw. Jeśli chcesz, przyślij mi e-maila.

Do zobaczenia,

Harry.

Na dole strony podał swój adres e-mailowy, ale Hanna nawet na niego nie spojrzała. Była wściekła. Jak śmiał? Akurat stanęła na nogi, odzyskała kontrolę nad swoim życiem, a on chce znowu namieszać. Spotkać się z nim? Prędzej da sobie wyciąć wyrostek robaczkowy bez znieczulenia.

Biuro Emmy w fundacji KrisisKids było puste i ciche, gdy weszła w poniedziałek kwadrans po ósmej. Biuro to za dużo powiedziane, była to mała klitka, skromna i ciasna. Bardzo ją lubiła. Ściany pomalowano, jak w całym biurze, na łagodny cytrynowy kolor, meble z jasnego drewna były pogodne i lekkie, kwiaty w doniczkach rosły bujnie dzięki promieniom słonecznym wpadającym przez duże okna. Na ścianach widniały wielkie plakaty **OBSERWUJ DZIECI - MOŻE TYLKO TY MOŻESZ IM POMÓC** z numerem telefonu zaufania. Emma zajęła się telefonem zaufania rok temu i po wielu wysiłkach przekształciła go ze zwykłego telefonu zaufania, czynnego o określonych godzinach kilka razy w tygodniu, w całodobowe centrum pomocy. Było to kosztowne i skomplikowane, ale udało się jej zgromadzić odpowiednio wykwalifikowanych terapeutów i psychologów. Poza wyjątkowymi sytuacjami, gdy na przykład cztery osoby zachorowały, wszystko działało jak w zegarku. Dzięki telefonowi zaufania KrisisKids otrzymało dużą dotację państwową. Częste wzmianki w prasie przyczyniły się do wzrostu datków od zwykłych ludzi.

Sukces telefonu zaufania cieszył, ale Emma często łapała się na myśli, że straszna jest sama konieczność tworzenia takiej instytucji. Gruboziarniste czarno-białe zdjęcie płaczącego chłopca na plakacie to fałsz. Chłopczyk, o ile się orientowała, jest zawodowym modelem dziecięcym. Wybrano go do tego zdjęcia ze względu na mały wzrost. Mimo tego zdjęcie robiło wrażenie. Duże smutne oczy chłopca zdawały się towarzyszyć jej w wędrówce po biurze, przypominały, jak okropnie ludzie traktują dzieci.

To ironia losu, zauważyła już dawno, że ona, bezdzietna, pracuje w fundacji zajmującej się dziećmi.

Na biurku Emmy panował porządek, taki sam jak przed jej wyjazdem tydzień temu. Na drewnianym blacie nie poniewierały się żadne dokumenty, zdjęcie Pete'a stało tam, gdzie zawsze, drewniane pudełko ze spinaczami leżało koło monitora. O jej nieobecności świadczyła tylko plastikowa półeczka ze sprawami do załatwienia; kserokopie, faksy i notatki już się nie mieściły, sterta dokumentów chwiała się groźnie.

- Udał się urlop? - zagaił Colin Mulhall. Zjawił się nie wiadomo skąd, przysiadł na biurku Emmy i przyglądał się jej uważnie.

Colin miał dwadzieścia kilka lat i opinię nieposkromionego plotkarza, Emma często miała wrażenie, że wywiad dużo stracił, nie werbując Colina. No dobrze, nie zna rosyjskiego, arabskiego ani nawet porządnie angielskiego, ale nikt mu nie dorówna w wyciąganiu informacji. Gdyby nie opcja sprawdzania pisowni w komputerze, nic z tego, co wyprodukował, nie nadawałoby się do druku, ale jeśli interesuje cię, dlaczego nowa asystentka z działu księgowości ma co rano oczy zapuchnięte od płaczu, Colin się dowie. Tylko że jej nigdy nie interesowały plotki. Matka żyła plotkami i sensacjami i Emma miała tego powyżej uszu. Nawet jeśli nowa asystentka z księgowości ma ośmiu kochanków, kłopoty z narkotykami, fioła na punkcie kabaretek i chodzi bez majtek, Emma nie chce o tym wiedzieć.

Finn Harrison, przełożony Colina, nie gardził plotkami, ale uszanował decyzję Emmy, że nie chce brać w tym udziału.

~ Nie rozumiem, czemu pracuje w fundacji dobroczynnej, skoro wcale nie czyni dobra i nie obchodzi jej zwykli ludzie. Pewnie jej się wydaje, że jest ponad to - skomentował Colin. Zazdrościł jej pozycji. Była jego przełożoną, a to boli. To on, Colin, powinien zarządzać fundacją, odpowiadać bezpośrednio przed Edwardem Richardsem, a nie świętoszkowata Emma Sheridan.

- Idealna Emma, idealny mąż, idealna figura. Idę o zakład, że coś ukrywa. Pewnie ma romans z szefem. Zauważyliście, że jej drzwi są zawsze zamknięte? Spotkania, akurat.

Nic dziwnego, że w tych okolicznościach Emma i Colin nie byli najlepszymi przyjaciółmi. Emma omijała kserokopiarkę szerokim łukiem, gdy Colin odbijał swoje wypociny. Jako szefowa, Emma miała dostęp do smakowitych, poufnych informacji, więc Colin zawsze starał się nawiązać z nią przyjacielską rozmowę.

Nie, niemożliwe, stwierdziła podejrzliwie. Colin chce jej coś powiedzieć.

- Nie zgadniesz - zaczął. Wyprostował się dumnie i poprawił idyotyczną muchę (mój znak firmowy, zwykły mawiać) i kołnierzyk żółtej koszuli, która tylko podkreślała jego bladość.

- Masz rację, nie zgadnę - zgodziła się.

Zmrużył oczy.

- Edward ściąga agentów public relation z zewnątrz, żeby zajęli się telefonem zaufania. Jego zdaniem za mało się o nas pisze.

- To szaleństwo, wszystko działa jak w zegarku! - wybuchła. - Nie mieści mi się w głowie, że podjął taką decyzję bez rozmowy ze mną! - Nagle uświadomiła sobie, że powiedziała za dużo. Umillda. - Muszę zabrać się od pracy, Colin - oznajmiła po chwili. - Nadrobić wakacyjne zaległości.

- Byłaś w Egipcie, tak? - Colin wiedział, że go wyrzuca, ale jeszcze nie chciał odejść. - Pete zadowolony?

Nie oparła się pokusie. Dramatycznie otworzyła oczy.

- Pete ze mną nie pojechał, Colin. Zobaczymy się później.

Niech biedny Colin pogłowi się nad tą zagadką. Emma przeglądała korespondencję. Może małe zamieszanie w pracy pozwoli jej zapomnieć o kryzysie w życiu osobistym.

Rozdział 8

Ze swego miejsca przy schodach ruchomych Emma doskonale widziała Kirsten przedzierającą się przez tłum w centrum handlowym. Siostra była ładna, bogata i pewna siebie. I spóźniła się tylko piętnaście minut, to nowy rekord. Kirsten wyglądała zabójczo, jak zawsze. Włosy, obecnie kasztanowe, harmonizowały z kurteczką z miodowego zamszu narzuconą na białą koszulkę i sprane dzinsy. W takim stroju Emma wyglądałaby jak idiotka, natomiast Kirsten nosiła to ze swobodą i wdziękiem. Znajomi Emmy nie wierzyli własnym oczom, gdy poznawali Kirsten; siostry tak bardzo się różniły.

- Nie przyszłoby mi do głowy, że jesteście siostrami - mruzcili, gapiąc się na Kirsten, jak wyciętą z żurnala w porównaniu z konserwatywną, żeby nie powiedzieć staroświecką Emmą. Kirsten chętnie używała kolorowych spinek do włosów i nosiła dziwaczne modne buty, Emma uparcie używała tylko szybkretowych grzebieni, lubiła mokasyny i półbuty.

Lecz jeśli pominąć kolor włosów, makijaż i strój, siostry były do siebie bardzo podobne. Ten sam duży nos, jasne oczy w bursztynowe cętki i wąskie usta. Na tym podobieństwo się kończyło.

Pewność siebie sprawiała, że Kirsten wydawała się piękna, czego nie można było powiedzieć o Emmie. Kiedy siostra była w połowie wysokości schodów ruchomych, Emma wstała i pomachała do niej.

Kirsten z westchnieniem usiadła przy stoliku i zajęła się poszukiwaniem papierosów w torebce od Louisa Vuittona. Torebka była autentyczna, podobnie jak pierścionek ze szmaragdem.

- Przepraszam za spóźnienie - mruknęła jak zawsze. - Zadzwoiła do mnie znajoma z komitetu i za żadne skarby nie mogłam jej spławić. Wiedziałam, że napijesz się kawy, czekając na mnie. - Zapaliła i zaciągnęła się głęboko.

Emma nie zdołała się powstrzymać, spojrzała z dezaprobatą. Nie podobało jej się, że siostra pali.

- Na rany boskie, Em, to białe silk cuty - zachnęła się Kirsten. - Zanim się cokolwiek poczuje, wyrobisz sobie policzki jak Tina Turner, tak mocno trzeba ciągnąć. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Patrick powinien być zadowolony, że tak ćwiczę. Nie żeby często z tego korzystał - dodała po chwili namysłu. - Jeśli to się wkrótce nie zmieni, podam mu viagrę,

- Jesteś okropna, Kirsten - stwierdziła Emma spokojnie. - Co by sobie pomyślał biedny Patrick, gdyby wiedział, co tu o nim opowiadasz? Padłby trupem, że omawiasz wasze życie erotyczne. - Bardzo lubiła spokojnego, poważnego szwagra i często się głowiła, jak to możliwe, że od czterech lat wytrzymuje z Kirsten i do tej pory żadne z nich nie wylądowało na ławie oskarżonych pod zarzutem morderstwa.

- Przecież opowiadam tylko tobie, Em - obruszyła się Kirsten. - Muszę z kimś pogadać, inaczej zwariuję. Ostatnio liczy się dla niego tylko praca - narzekała. - Tylko o tym myśli.

- Może gdybyś i ty poszła do pracy, nie nudziłabyś się tak bardzo - odpowiedz Emmy zabrzmiała ostrzej, niż tego chciała.

- Nie wrócę do pracy, nie ma mowy. - Kirsten wzdygnęła się i przysunęła sobie pustą filiżankę jako prowizoryczną popielniczkę - siedziały w części dla niepalących. - Nie potrzebuję pieniędzy, a nie nadaję się do pracy, Em. Nie znosiłam pracy w firmie budowlanej, wstawania rano, korków na ulicach i wrzasków, kiedy się spóźniłam. Zresztą Patrick chce, żebym czekała na niego z kolacją. Przecież nie mogę pracować i gotować, prawda?

- Kirsten, ty nie gotujesz. Gdyby nie gotowe dania, biedny Patrick umarłby z głodu.

- Daj spokój. Napijemy się jeszcze kawy?

Przy kawie omawiały plan: chciały kupić prezent na sześćdziesiąte urodziny matki, na przyszłą środę.

- Coś wyjątkowego - zdecydowała Emma - ale nic takiego nie przychodzi mi do głowy.

- Nigdy nie wiem, co jej kupić. Chodź, zobaczymy. - Kirsten zgasiała trzeciego papierosa i podeszła od schodów ruchomych. - Coraz trudniej jej coś znaleźć. Niedawno pytałam, czy wykorzyststała talon do salonu piękności, który jej dałam na Gwiazdkę. Zapytała: jaki talon? Traci rozum, mówię ci.

Drepczący Emmę niepokój nagle przybrał na sile.

- Co powiedziałaś?

- Że traci rozum. Bo tak jest, Em. Zanim pojechaliście do Egiptu, zadzwoniła do mnie i pytała, co słyhać u rodziców Patricka. A przecież jego ojciec nie żyje od dwóch lat. Myślisz, że bierze jakieś prochy? Na pewno. Koniec końców, żeby wytrzymać z ojcem, trzeba się naćpać...

Kirsten paplała dalej, a Emma zmusiła się, by spojrzeć w oczy strasz-nemu podejrzeniu, które od kilku miesięcy chodziło jej po głowie: z matką jest coś nie tak. Coś nie tak z głową.

Napady paniki za granicą, gorączkowe ściskanie pieniędzy, ciągły strach, że handlarze ją oszukują. Często błędziła, nie trafiała do kajuty. I ciągle coś gubiła: okulary, książkę, watek. To nie jest normalne.

- Chyba masz rację - powiedziała powoli.

- Naprawdę? - Kirsten wydawała się zadowolona. Przeczesała włosy palcami. - Myślałam, że wolisz mnie w jasnych. Patrickowi podoba się ten odcień, uważa, że jest bardzo seksowny.

- Nie, miałam na myśli mamę. Chyba traci rozum. Jezu, co za okropne sformułowanie, takie poniżające. Chciałam powiedzieć, że ostatnio dziwnie się zachowuje. Jakby cierpiała na... - Emmie nie chciało to przejść przez gardło. - Na demencję.

- Nie wygłupiaj się, Em - skarciła ją siostra. - Jest na to za młoda. Nie rozmawiajmy o tym więcej, dobrze?

Kirsten nie lubiła konfrontacji z przykrymi sprawami i jako dziecko często odmawiała rozmowy na takie tematy, jak na przykład złe oceny, kąśliwe uwagi nauczycieli czy nieodpowiednie zachowanie na lekcji.

- Przykro mi - Emma nie ustąpiła. - Musimy o tym porozmawiać. Milczenie nie załatwi sprawy. To tak, jakbyś miała guzek w piersi i nie poszła do lekarza, na zasadzie: nie ma tego, o czym nie wiem.

- Gdybym miała guzek, poszłabym do lekarza - oburzyła się siostra.

- Mówi to kobieta, która przez trzy lata unikała dentysty.

- To co innego. Em, mamy coraz z mniej czasu. Musimy coś kupić mamie, a najpierw chciałam zajrzeć do Mango, może mają coś fajnego.

Zrezygnowana, Emma poszła za siostrą. Nie ma sensu przekonywać Kirsten, gdy coś sobie postanowi. Zresztą, akurat w tym wypadku chyba ma rację. Na demencję matka jest jeszcze za młoda.

Kirsten oddała się w kierunku wieszaków ze skąpymi szmatkami, a Emma oglądała ubrania do biura. Pobieżnie przejrzała kolekcję szarych i czarnych spódnic, takich samych jak te w jej szafie, i wróciła do Kirsten, która buszowała w stosach koszulek tak obcisłych, że wydawały się za małe na ośmiolatkę. Wybrała dwie, wściekle różowe, które przy jej włosach będą wyglądały albo fantastycznie, albo okropnie, i przeszła do następnego rzędu.

- Super! - zachwyciła się wąskimi czarnymi spodniami ze srebrnymi szwami.

- Przymierz - zaproponowała Emma odruchowo, jak zawsze, gdy jako nastolatki robiły razem zakupy. Jej rola ograniczała się do noszenia toreb i podawania różnych rozmiarów i kolorów, a Kirsten blokowała kabinę na co najmniej pół godziny, czym doprowadzała kolejkę czekających do szału.

- Tak, zaraz przymierzę, ale jeszcze czegoś poszukam, nie ma sensu się rozbierać dla dwóch koszulek i spodni.

Kirsten przeszukiwała wieszaki z wprawą eksperta, a Emma myślała o matce. Żałowała, że nie jest takajak Kirsten, nie potrafi zapomnieć o problemach, przynajmniej na chwilę. Matka jest chora, czuła to. Miała tylko nadzieję, więcej, modliła się, aby to nie była choroba Alzheimera.

Parę razy wpadło jej w oko coś o Alzheimerze, jakieś artykuły w kobiecych pismach, między listami czytelniczek i modą. Nigdy jej to specjalnie nie interesowało, ale zapamiętała co nieco. Choroba zakrada się chyłkiem, ujawnia stopniowo, najpierw jakieś kłopoty z pamięcią, a potem... co? Nie wiedziała. Czy na to się umiera?

Czekając na Kirsten przed przymierzalnią, starała się o tym nie myśleć. Kirsten ma rację. Matka jest za młoda... prawda?

- Ciotka Petra chyba nie przyjdzie? - jęknęła Kirsten, widząc prowizoryczny plan usadzenia gości na urodzinowej kolacji dla matki.

- Oczywiście, że przyjdzie - Emma wyprostowała się znad piekarnika, gdzie sprawdzała, jak wygląda pieczona gęś. - To jedyna krewna ojca, dostałby szału, gdybym jej nie zaprosiła.

- To wredna suka i nikt jej nie lubi - zaprotestowała Kirsten. - Jeśli ojciec chce ją znieść u siebie, proszę bardzo, ale czemu mają cierpieć wszyscy inni?

- Tak? - Emma traciła cierpliwość. Kirsten nie paliła się do pomocy, choć właśnie dlatego przyszła godzinę przed innymi. - A kto musiałby wysłuchać awantury na cały dom, gdybym jej nie zaprosiła? Ja. Ty zawsze zdążysz uciec.

- Emmo, posłuchaj, co mówisz. Jesteś dorosła, to twój dom, możesz zapraszać, kogo zechcesz. Niech ojciec się piekli, proszę bardzo, to jego sprawa. Ignoruj go, jak ja. - Kirsten przesunęła liliowy paznokiec w dół listy. - Monika i Timmy Maguire! Jezu, zaciągnie biednego Patricka w kąć i będzie wypytywał, co zrobić z akcjami, jak zwykle. Mówiłam Patrickowi, żeby najpierw ustalił opłatę.

- Lubisz mówić innym, co mają robić, prawda? - Emma miała już tego dosyć. Była zmęczona, spocona, spragniona i zła na siostrę. - Przyszłaś tu, żeby mi pomóc czy żeby mi wytykać, jaka ze mnie nieudacznica?

Kirsten nie dała się sprowokować.

- Spokojnie, siostrzyczko - mruknęła. - Piekłisz się, bo wiesz, że mam rację. Jeśli w końcu nie postawisz się ojcu, równie dobrze możesz wrócić do domu, bo i tak ma cię w garści.

Emma czuła, że jej gniew uchodzi jak powietrze z przekłutego balonika. Miała łzy w oczach. Gęś jest na wpół surowa, goście przyjdą za pół godziny, a Pete, który obiecał wrócić wcześniej, miał spotkanie z klientem w Maynooth i będzie dopiero o siódmej.

- Łatwo ci mówić — chlipnęła przez łzy. - Zawsze byłeś jego ulubienicą. Powiesz mu, żeby się odp... i uśmiechnie się czule. Mnie nienawidzi, według niego zawsze robię wszystko źle. Chcę tylko odrobiny szacunku; czy to tak dużo? - nie mogła przestać płakać.

Ani gniew, ani płacz nie robiły na Kirsten wrażenia; właśnie dlatego tak dobrze radziła sobie z ojcem.

~ Nieprawda, że cię nienawidzi - powiedziała spokojnie. - To tyran, a ty pozwoliłaś, żeby cię zdeptał. Nie pomogę ci ani ja, ani Pete. Musisz sobie poradzić sama. Jezu, Emma, skoro radzisz sobie, prowadząc całe cholerne biuro, chyba dasz sobie radę i z ojcem! A teraz powiedz, co mam zrobić, ty idź na górę i zrób coś z sobą, chyba że chcesz, żeby straszliwa Petra zwana Gorgoną dowodziła na twoim przykładzie, jak to kobiety zaniedbują się w małżeństwie.

Jeśli kolacja urodzinowa czegoś dowiodła, to tylko tego, że wszelkie obawy o matkę są bezpodstawne. Anne-Marie wkroczyła do domu wsparta na ramieniu męża, błyskała zębami i nowymi kolczykami, które wszyscy musieli podziwiać.

- Czyż nie są śliczne? - pytała kokieteryjnie, unosząc pasmo jasnych włosów. - Prezent od ojca.

- Kirsten, kochanie, nie wiem, co mi się stało podczas naszej ostatniej rozmowy. Znalazłam talon do zakładu kosmetycznego, który mi dał na Gwiazdkę. To okropne, wiem, ale na śmierć o nim zapomniałam. Przez stare okulary nic nie widziałam, ale popatrz - triumfalnie zaprezentowała nowe okulary w złotych oprawkach. - Mam nowe i czytam bez problemu. Witaj Emmo, kochanie. Co tak smakowicie pachnie? Mam nadzieję, że to nie gęś; wiecie przecież, że ciotka Petra twierdzi, że po gęsi cierpi na niestrawność. Powtarza to od 1957, od chrzcin jej Rolanda.

Emma i Kirsten wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Tym lepiej, że to geś, co? - szepnęła Kirsten.

Emma skinęła głową. Z matką wszystko w porządku. Widać, że nic złego się nie dzieje. Jeśli ktoś pamięta opłakane skutki geśi na chrzci-
nach w 1957, musi mieć doskonałą pamięć.

Pół godziny później goście przechadzali się po domu i rozmawia-
li. Emma w kuchni szybko prasowała serwetki. Przed chwilą wyjęła je
z suszarki. Gdyby zaproponowała serwetki papierowe, matka dostałaby
atak serca,

- Ładny salon - usłyszała Monikę Maguire. - Śliczne obrazki - do-
dała. Pewnie podziwiała reprodukcje Paula Klee.

- Nie w moim stylu - odparł ojciec szorstko. - Ale cóż można na to
poradzić. Daliśmy im z Anne-Marie pieniądze na dom i chętnie doradzili-
byśmy w sprawie urządzenia, ale wiesz, jacy są młodzi. Niewdzięcznicy.

Emma zastygła w bezruchu, sparaliżowana wściekłością. Jak on śmie
opowiadać obcym, że dał im pieniądze na dom! Jak śmie! To są ich pry-
watne sprawy. Zresztą wcale im nie dał tych pieniędzy. Uparli się, że to
będzie pożyczka i co miesiąc wpłacali określoną sumę na konto rodzi-
ców. Ale żeby tak od niechcienia opowiadać o tym sąsiadce, jakby ona
i Pete byli dziećmi albo naciągaczami... Straszne. Spokojna zazwyczaj
Emma zaczerwieniła się ze złości. Jezu, jak ona go nienawidzi!

Rozdział 9

Leonie nie była z siebie zadowolona. Tyle godzin malowania, a kuch-
nia wcale nie wyglądała tak, jak powinna. Plan był prosty; Leonie
zainspirowana niezliczonymi poradami w telewizji jak łatwo zmienić
wystrój wnętrza, postanowiła przekształcić małą ciasną kuchnię w po-
mieszczenie z motywami egipskimi. Posłużyła się w tym celu intensywnie
niebieską farbą, szablonami i metalicznym sprayem. Niestety, to co
wydawało się bajecznie proste w telewizorze, wcale takie nie było
w rzeczywistości. Trzy wieczory i całą niedzielę później (spędziła je wśród
starych gazet po kolana. Zwierzęta, obrażone, siedziały w innych po-
kojach) kuchnia wyglądała okropnie. Dwie ściany były przeraźliwie
granatowe, upstrzone srebrnymi gwiazdkami, które miały podkreślać
srebrne uchwyty szafek. Same szafki Leonie pomalowała na jasny, łoso-
siowy kolor, lecz farba, zamiast przylgnąć do starannie przygotowanej

powierzchni, zaschła w tysiącach kropli, tak że drzwiczki wyglądały, jakby dostały ospy.

Pomysł z gwiazdami na suficie był cudowny, ba, niebiański, lecz wszechobecny granat sprawił, że kuchnia, i bez tego mała i ciasna, stała się bardzo ponura. Więc, znużona, przemalowała dwie ściany. Po trzech warstwach łososiowej granat już nie przebijał.

Wzorek, który wybrała z książki pożyczonej z biblioteki, a który określano mianem „zainspirowany starożytnym Egiptem motyw ptaków i zwierząt”, przypominał dzieło niedoświadczonego czterolatka pierwszego dnia w przedszkolu, stworzony między sikaniem w majtki i szlochaniem za mamusią.

- Dosyć ambitne, Leonie - zauważyła matka delikatnie. Zjawiła się z naręczem kwiatów, by powitać dzieci.

- Dzisiaj jest lepiej - stwierdziła Claire, jednocześnie wstawiając róże do wazonu. - W granacie było tu za ciemno.

- Wiem. - Umazana farbą i zmęczona, Leonie padała z nóg. Czarne niegdyś spodnie stanowiły abstrakcyjną mieszaninę plam łososiowych i granatowych, podobnie jak szara bluza Danny'ego. Na rękach Leonie miała skorupę zaschniętej farby. Potrzebuje co najmniej godziny w łazience.

- Jak minął dzień, mamo? - zapytała i pogłaskała jedwabiste uszy Penny. Penny, lekceważona w czasie malowania, mruzczała z rozkoszą.

- Przez kilka godzin wykańczałam suknię ślubną córki pani Byrne. Powinno się je obie powiesić. Ilekroć coś skończę, zmienia zdanie i muszę wszystko pruć. Pani Byrne upiera się, że musi być obecna przy tym, jak szyję, koty się o nią ocierają i chodzi wiecznie pokryta kocimi kłakami. Jeszcze trochę i skończy mi się taśma klejąca do czyszczenia jej strojów.

Matka Leonie była krawcową. Na emeryturze otworzyła własny mały zakład. Była bardzo dobra w swoim fachu i w małym mieszkanku w Bray wiecznie tłoczyły się klientki.

Claire zapaliła papierosa.

- Skończyłam o piątej i przyjechałam do ciebie, żeby odpocząć. Zaparzyć herbaty czy się spieszysz?

- Skończyłaś o piątej? - Leonie zerwała się jak oparzona. - Która jest teraz? Zdjęłam zegarek, żeby go nie pobrudzić. Myślałam, że jest najpóźniej trzecia.

- Wpół do szóstej.

- O mój Boże, dzieci wracają za godzinę! - jęknęła. - Za nic nie zdążę się przebrać i dojechać na lotnisko.

- Cóż, rzeczywiście wydało mi się, że bardzo spokojnie do tego podchodzisz. Ale po co się przebierać? Jedź w tym, co masz na sobie - zauważyła matka rozsądnie.

- Chciałam być ładna na ich powrót. - Leonie grzebała wśród gazet w poszukiwaniu kluczy. - I żeby w domu było ładnie.

- Będą takie szczęśliwe, że cię widzą, że nawet nie zauważą farby. Przygotuję kolację, dobrze?

Zmęczeni długim lotem, wyszli spóźnieni o pół godziny. Na wózku piętrzyły się plecaki, walizki, plastikowe torby. Mel i Abby były modnie blade, skutek lektury niezliczonych artykułów o raku skóry w prasie młodzieżowej. Danny natomiast był czarny. Wszyscy mieli na sobie nowe ciuchy, co natychmiast wzbudziło w Leonie poczucie winy; ojciec najwyraźniej uznał, że wyglądają jak bezdomni i ubrał ich od stóp do głów. Leonie jest wredną, niedobłą matką, która marnuje pieniądze na wycieczki, a jej dzieci nie mają co na siebie włożyć. Fakt, że trzy czwarte jej garderoby pochodzi ze sklepów z używaną odzieżą, uszedł jej uwadze.

Matki mogą nosić łachmany, byle ich potomstwo miało najnowsze, najmodniejsze ciuchy i akurat ten model sportowych butów Nike, które w kółko reklamują w MTV.

- Nigdy nie zgadniesz! - piszczała Mel, gdy Leonie skończyła się zachwycać jej nowymi ciuchami i wszyscy wsiedli do samochodu.

- Nie zgadniesz, Mel ma chłopaka - wtrącił się Danny.

- Nie mam! - pisnęła Mel.

- A właśnie że masz. - W takich chwilach Danny nie zachowywał się jak dziewiętnastolatek, raczej jakby był rówieśnikiem bliźniaczek i miał czternaście lat. Czyli jak Mel. Nie jak Abby. Abby była tak dojrzała, że czasami zachowywała się nie jak czternasto- ale jak czterdziestolatka.

- Nieprawda! I wcale nie to chciałam powiedzieć! - wrzasnęła Mel.

- Przestańcie — poprosiła Leonie. Miała nadzieję, że zaczną się kłócić trochę dalej od lotniska. Danny działał na Mel jak płachta na byka i vice versa. Każda ich rozmowa kończyła się kłótnią. Pewnie dlatego, że są do siebie bardzo podobni. Abby była rozsądna i poważna, jak ojciec. Mel i Danny byli jej całkowitym przeciwieństwem.

Najczęściej powtarzaniem przez czteroletnią Mel zdaniem było:

- Chcę Danny'ego to, chcę Danny'ego tamto... Danny'ego obiad, Danny'ego picie, Danny'ego zabawki. Cokolwiek należało do niego, Mel tego chciała. A on, mądry, doświadczony dziewięcioletek, był równie nieznośny. Ukochany pluszowy zwierzak Mel, bez którego nie mogła

zasnąć, przeleżał trzy upiorne, mordercze noce wśród żołnierzyków Danny'ego, zanim Leonie nie znalazła go przy odkurzaniu.

Obecna kłótnia nie doszła do skutku tylko dlatego, że Danny skupił się na nowym discmanie i wsadził sobie słuchawki do uszu. Leonie wołała nie myśleć, ile kosztowało to cacko. Kilkaset dolarów, co do tego nie ma wątpliwości. Ray pewnie zarabia fortunę.

- Mam jej powiedzieć? - szepnęła Abby do Mel.

- Tak. - Mel się obraziła. Naburmuszona, wyglądała przez okno. Odziedziczyła po ojcu duże ciemne oczy, delikatnie zarysowane brwi, przezroczystą skórę i pełne usta. Wyglądała jak nastoletnia modelka dąsająca się na życzenie fotografa.

- Powiedzieć mi? O czym? - wtrąciła się Leonie zaintrygowana.

- Chodzi o tat^--. - zaczęła Abby.

Mel nie wytrzymała. Musiała się wtrącić:

- Żeni się! - krzyknęła. - Z Fliss! Jest bardzo fajna, jeździ na nartach. Zaprosili nas do Colorado na ślub! Zamówi dla nas sukienki. Chciałabym krótką, z wysokimi butami...

Umilkła, gdy siostra dźgnęła ją pod żebro.

- Wiem, że to trochę nieoczekiwane, mamó - łagodziła Abby. Mądra nad wiek. Wiedziała, że matce niełatwo będzie się pogodzić z tą wiadomością.

Nieoczekiwane, pomyślała Leonie, z trudem koncentrując się na jeździe. Nieoczekiwane to niewłaściwe słowo. Ray się żeni. Nie mogła się z tym pogodzić. Ona jest sama i bez szans na stały związek, a on, który, jak myślała, zestarzeje się samotnie, taki cichy i zamknięty w sobie, taki załamany po ich rozstaniu przed dziesięciu laty, on się żeni.

Miała gułę w gardle. Dziękowała Bogu, że na przednim siedzeniu obok niej siedzi Danny, nieuważny Danny, pochłonięty rytmiczną muzyką. Bystra Abby natychmiast dostrzegłaby łyżę w jej oczach.

- Cóż - wykrztusiła w końcu. - To wspaniale. Kiedy nastąpi ten wielki dzień?

- W styczniu - westchnęła Mel. Oczyma wyobraźni już widziała się w zwiewnej, jedwabnej sukieneczce mikroskopijnej wielkości i w butach do kolan. Faceci w średnim wieku padną na serce.

- Rodzina Fliss ma dom w Colorado. To będzie zimowy ślub, wśród śniegu. Wyobrażasz sobie? Będziemy jeździć na nartach. Głupia Dervla Malone przestanie się chwalić wakacjami! Głupiej krowie wydaje się, że wyjazd do Francji to jest to! Niech mnie w dupę pocałuje!

- Melanie! - Leonie w ostatniej chwili uniknęła zderzenia z brawurowym kierowcą autobusu. Surowo spozrzała na córkę. - Jeśli takiego

języka uczysz się na wakacjach, nigdzie nie pojedziesz. U nas w domu się nie przeklina.

Zniecierpliwiona Mel odrzuciła ciemne włosy, marszcząc przy tym zgrabny nos.

- Wyluzuj - mruknęła pod nosem.

- Słyszałam - syknęła Leonie.

- Och, mamó! - Mel spuściła z tonu w obawie, że matka nie puści jej na ślub. - Przepraszam. Ale to nic złego. W Bostonie wszyscy tak mówią. A tu w Irlandii wszyscy co chwila mówią „pieprzę”. Tak twierdzą wszyscy przyjaciele taty. Myślą, że my tutaj mówimy: Idę do pieprzonego supermarketu.

- Mel! - syknęła Abby.

- My tego słowa nie używamy i nie chcę go więcej słyszeć, jasne? - warknęła Leonie. Co się stało z kliwym powitaniem jak z kina rodzinnego? Tyle, jeśli chodzi o uściski, szloch i szepty w stylu: Och mamó, tak za tobą tęskniliśmy. Nigdy więcej nie wyjedziemy!

Jedna córka po trzech tygodniach stała się Amerykanką i nie może się doczekać, kiedy wróci do Stanów na ślub ojca, syn tylko słucha muzyki i nawet jej nie przytulił. Tylko kochana Abby cieszy się z powrotu do domu.

- Opowiedz mi o tym chłopcu, z którym się nie spotykasz - poprosiła Leonie, chcąc sprowadzić rozmowę na bezpieczne tory.

Dziewczynki zachichotały.

- Ma na imię Brad - wyjaśniła ochoczo Abby. - Ma szesnaście lat, jasne włosy, jest wysoki i jeździ dżipem. Oszalał na punkcie Mel. Zabrał nas na pizzę.

- Brad, powiadasz? - Leonie uśmiechnęła się sztucznie, choć kręciło jej się w głowie. Szesnastolatek z własnym samochodem umawia się z jej córeczką! Melanie ma dopiero czternaście lat. Co prawda jest bardzo dojrzała jak na swój wiek, ale to fakt - ma dopiero czternaście lat. Co ten Ray sobie myśli! Melanie mogła zostać pobita, zgwałcona, zamordowana!

- Jego rodzice przyjaźnią się z tatą i wyszliśmy na krótko - dodała Abby. - Tatuś powiedział, że zamorduje Brada, jeśli nie wrócimy za półtorej godziny. A pizzeria była niedaleko.

- Nie obchodził mnie - rzuciła Mel wyniośle. - Jest dla mnie za szczeniacki.

- Nieprawda - zaprotestowała Abby i dodała cicho. - Był bardzo miły. Szkoda, że spodobała mu się Mel, nie ja, chciała przez to powiedzieć.

Leonie ścisnęło się serce z żalu nad ukochaną córką, tak bardzo podobną do niej. Abby nie miała ani odrobiny beztroskiej urody siostry.

Była równie wysoka jak Mel, ale silnie zbudowana, masywna, o myślich włosach, takich jak Leonie, zanim nie zaczęła ich farbować. Miała przyjemną, okrągłą twarz, którą rozjaśniały oczy, błękitne jak u matki. Jeśli porównać dziewczynki do samochodów, Abby była stabilnym, masywnym kombi, a Melanie kapryśnym, wysmukłym ferrari.

Leonie uwielbiała ją i dostrzegała w jej twarzy siłę i piękno charakteru. Tylko że czternastolatki nie chcą siły charakteru; chcą wyglądać jak zabójczo piękne aktorki, chcą, żeby chłopcy się za nimi oglądali. Mel była atrakcyjna, Abby nie. I matka nie mogła nic zrobić, by to zmienić.

Przed domem dziewczynki wyskoczyły z samochodu, by jak najszybciej przywitać się z ukochaną Penny, kotką Clover i chomikiem Hermanem.

- Penny! - Krzyknęły jednocześnie, gdy babcia otworzyła drzwi i Penny wyskoczyła jak tygrys z klatki, oszalała z radości. Clover natomiast, z typową kocią obojętnością, zignorowała towarzystwo, odwróciła się i odeszła.

- Pewnie opary jej zaszkodziły - mruknęła Claire pod nosem.

W holu poniewierały się walizki. Czekwały, aż Leonie zanieś je do pokoi.

- Mamo! - Mel zatrzymała się progu kuchni, magnoliowej, gdy wyjeżdżała. - Coś ty zrobiła?

- Zaprosiła Francisa Bacona na małą orgię! - zażartował Danny, zagładając siostrze przez ramię. - Pomagałaś jej, babciu?

- Nie, ale nie nabijajcie się z mamy. Chciała trochę upiększyć kuchnię - odparła surowo. Pochyliła się nad smakowicie pachnącym garnkiem. - Trzeba pomóc mamie przy sprzątanii.

- Muszę zadzwonić. - Mel wycofała się pospiesznie, przerażona, że zniszczy sobie paznokcie szorując kuchnię. Fliss zrobiła jej francuski manikiur przed wyjazdem. Sprzątanie zepsułoby cały efekt, a chciała, żeby paznokcie wyglądały pięknie jeszcze jutro, kiedy odwiedzi swego wroga i rywalkę numer jeden, Dervlę Malone.

- Ja też. - Danny wybiegł jak oparzony. W kuchni zostały Abby, jej mama i babcia, no i Penny.

- Ja ci pomogę, mamo - zaofiarowała się Abby lojalnie.

- Nie, kochanie, nie trzeba, zjemy w salonie - zdecydowała Leonie. Uznała, że nie ma siły na sprzątanie. Później pozbiera gazety i tyle.

- Dzięki za wszystko i za kolację - pocałowała matkę w policzek.

Jedli w salonie, z talerzami na kolanach. Danny bez przerwy zmieniał kanały w telewizorze i pochłaniał dokładki potrawy kurczaka z ryżem.

Zieleń, stwierdziła Leonie, patrząc na pastelowe ściany małego saloniku. Zielony pasuje do kuchni, nie straszliwy granat i nie ten okropny

łosoś. Przemaluje wszystko w przyszły weekend. Może wybierze jaśniejszy odcień...

Dotarły do niej słowa Mel i zapomniała o malowaniu.

- Fliss jest bardzo fajna - szeptała Mel do babki, która tylko kiwała głową i starała się nie patrzeć na córkę.

Leonie poczuła, że się czerwieni. Wiedziała, że matka jej współczuje i bardzo jej się to nie podobało. Claire kochała Raya i była zrozpaczona, gdy się rozeszli.

- W morzu nie ma tylu ryb, jak ci się zdaje, Leonie - powiedziała delikatnie. - Kochacie się; czy to ci nie wystarczy? Musisz szukać prawdziwej miłości? Boję się, że tego pożałujesz.

Dziesięć lat później okazało się, że miała rację, pomyślała Leonie z goryczą. Ray miał liczne przyjaciółki, a ona, orędowniczka wielkiej miłości, umawiała się tak rzadko, że nawet flirt z listonoszem budziłby w niej dreszczyk emocji. A listonosz był zgryźliwy i stary.

Udawała, że ogląda razem z Dannym serial komediowy, a w rzeczywistości podsłuchiwała, co Mel opowiada babci:

- Tata ma duży dom, ale za mały dla nas wszystkich - mówiła dziewczynka, która dorastała w klitkach, a teraz mieszkała w domku z jedną łazienką, do której zawsze była kolejka.

- Fliss chce przerobić jeden pokój na garderobę. Ma tyle ciuchów!

Pewnie, zachnęła się Leonie w duchu. Pewnie same mikroskopijne spódniczki i obcisłe szmatki. Wyobraziła sobie blondynkę o długich włosach, z białymi zębami i zdrową cerą. A może to twarda bizneswoman, prawniczka, w konserwatywnych kostiumach, jak z *Prawników z Miasta Aniołowi*. Co się ze mną dzieje, opamiętała się nagle. To ona chciała rozwodu, ona wszystko zaczęła. Więc dlaczego jest teraz zazdrosna o boską Fliss? Ray ma prawo do nowego życia; właściwie sama go skierowała na te tory, może nie?

Co z niej za potwór, skoro zazdrości Rayowi odrobiny szczęścia? Suka i tyle. Wredna suka.

Abby zjadła bardzo mało. Zazwyczaj pochłaniała wszystko o wiele szybciej niż siostra, która tylko grzebała widelcem w talerzu. Tym razem to ona bawiła się sztuczkami.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się Leonie.

Abby uśmiechnęła się szeroko.

- Tak, mamo. Po prostu nie jestem głodna.

- To coś nowego! - zarechotał Danny.

Oczy Abby załśniły podejrzenie, ale nic nie powiedziała.

Leonie uśmiechnęła się do niej ciepło i przysięgła sobie w duchu, że przy pierwszej okazji obedrze Danny'ego ze skóry. Nawet nie wie, jak

się pisze „wrażliwość”, co dopiero rozumieć to słowo. Abby w milczeniu zebrała talerze i wyniosła do kuchni. Mel tymczasem grzebała w bardzo modnej winylowej torebce - kolejnym prezencie od kochanego tatusia.

- Zdjęcia z wakacji - oznajmiła radośnie, wymachując grubym plikiem. - Muszę ci je pokazać, mamo.

Leonie uśmiechnęła się z trudem. Może uda jej się okazać zachwyt na widok pięknej Fliss.

Leonie, Claire i Mel usiadły razem na małej kanapie i oglądały zdjęcia. W pierwszej kopercie były dzieła typowe dla Mel - ludzie bez głowy albo słynne sklepy Bostonu, tylko że odbicie flesza w szybie skutecznie zasłaniało wystawę.

- Nie wiem, czemu nie wyszły - dziwiła się Mel skonsternowana, gdy głowiły się nad wyjątkowo niewyraźną fotografią.

Druża koperta była o wiele lepsza.

- To moje - rzucił Danny od niechcenia, na chwilę odrywając się od telewizora.

Jeszcze kilka zdjęć dziewczynek i Raya, opalonego i uśmiechniętego, i zobaczyła Fliss.

- Popłynęliśmy wtedy promem do Martha's Vineyard - wyjaśniła tęsknie Mel, podając matce zdjęcia.

Leonie nie wierzyła własnym oczom. Wyobrażała sobie młodziutką i piękną blondynkę, tymczasem Fliss była mniej więcej w jej wieku. Na tym kończyły się podobieństwa. Fliss była wzrostu Raya, miała krótkie, ciemne włosy i gładką cerę. Leonie zastanawiała się, czy Revlon już zaproponował jej kontrakt na reklamę kremów dla pań po czterdziestce. Miała sprane dzinisy i granatową koszulkę wpuszczoną do spodni. Na wszystkich zdjęciach uśmiechała się, czy to u boku Raya, czy z roześmianą Mel czy z nieśmiałą Abby. Nawet Danny pozwolił się uwiecznić z włosami rozwianymi wiatrem.

- Jest bardzo ładna i bardzo mądra. Jest prawnikiem w firmie taty - paplała Mel, nieświadoma, że Leonie podaje zdjęcia matce mechanicznymi ruchami robota. - Ma cudowne ciuchy. Tata z niej kpi, że dwa lata z rzędu uznano ją za najlepiej ubraną osobę w firmie!

Leonie wiedziała, że jej nikt nigdy nie uzna za najlepiej ubraną osobę, chyba że obszerne jedwabne koszule i spódnice nagle okażą się ostatnim krzykiem mody.

- Co więcej, prawie się nie maluje. - Mel wbiła ostatni gwóźdź do trumny matki. - Używa tylko tuszu do rzęs i błyszcząca do ust. I robi sobie manikiur, ale to powszechne w Stanach.

Leonie pomyślała o grubej warstwie makijażu na swojej twarzy. Nie wychodziła z domu bez konturówki, różu i kredki do oczu.

Duma, z jaką córka rozprawiła o przyszłej macosze, kazała jej się zastanowić, co właściwie Mel o niej myśli. Czy wolałaby mieć matkę jak Fliss, zamiast radosnej i głośnej, śmiejącej się z najgłupszych kawałów, byle ukryć niepewność? Z bólem spojrzała na siebie oczami Mel: duża, gruba, w obszernych ubraniach i z przesadnym makijażem.

- Czas na *Coronation Street* - oznajmiła Claire głośno. - Jutro pokażesz mi resztę zdjęć, Mel, teraz muszę obejrzeć serial. Idź do kuchni i zrób nam herbaty. W moim wieku trzeba się regularnie odżywiać. I podaj ciasteczka.

Mel posłuchała bez słowa sprzeciwu. To sposób bycia Claire, oceniła Leonie, wdzięczna za interwencję. Gdyby to ona poprosiła o herbatę, Mel zbyłaby ją:

- Niech Abby ci zrobi, i tak jest w kuchni.

Tymczasem posłusznie zebrała zdjęcia i poszła do kuchni, nucąc coś pod nosem.

- Zmień kanał, Danny - rozkazała Claire władczo.

Po chwili pokój wypełniła znana melodia. Claire poklepała córkę po kolanie, chcąc dodać jej otuchy. Leonie wiedziała, że matka pierwsza nie poruszy tematu nowej miłości Raya, choć dobrze wie, jak córka cierpi.

Oglądali telewizję przez dwie godziny, dopóki Claire nie oznajmiła, że wychodzi.

- W tym tygodniu muszę uszyć cztery suknie druhen, więc jutro wstanę bardzo wcześnie - wyjaśniła, szukając kluczy w holu. Dziewczynki pocałowały ją na dobranoc, Danny pomachał na pożegnanie z kuchni, gdzie robił sobie kanapkę z serem.

Claire uściskała córkę na końcu.

- Zadzwon jutro, jeśli chcesz pogadać - powiedziała tylko, co miało oznaczać: Jeśli chcesz się wypłakać z powodu Raya i Fliss.

Po jej wyjściu Leonie posprzątała w salonie i zabrała się za pobojo-wisko, czyli kuchnię. Mel zostawiła zdjęcia na stoliku w salonie. Przyciągały Leonie jak magnes. Chciała obejrzeć je jeszcze raz, zobaczyć, jaka szczupła jest Fliss, jaka piękna, jaka doskonała.

Danny oglądał serial kryminalny w telewizji, chyba nie zauważył. Ostrożnie wzięła zdjęcia i zabrała je do sypialni. Penny towarzyszyła jej wiernie, gdy z poczuciem winy przeglądała fotografie.

Z obawy, że Mel się zorientuje, Leonie starała się nie pomieszać kolejności. Było tam dużo zdjęć Fliss, o wiele więcej, niż Mel im pokazała.

Na jednym z nich siedzieli przy stole w wyraźnie drogiej restauracji. Mel siedziała obok Fliss w bardzo dorosłej, bardzo drogiej błyszczącej bluzeczce, której Leonie nigdy nie widziała. Abby wyglądała tak samo jak zawsze w białej koszuli, za to Ray zmienił się całkowicie. Błyszczał

jak bluzka Mel. Na następnym zdjęciu stał przy Fliss. Był szczęśliwy. Przy mnie nigdy tak nie wyglądał, stwierdziła Leonie ze smutkiem.

W fatalnym humorze przejrzała resztę zdjęć. Potem zaniosiła je do kuchni i położyła w wiklinowym koszyku, w którym trzymała rachunki i korespondencję. Tym sposobem jeśli Mel zapyta o zdjęcia, powie, że położyła je tam, żeby się nie pogubiły.

W pokoju dziewczynek Abby czytała ulubioną książkę, *Dumę i uprzedzenie*, a Mel starannie zmywała makijaż.

To coś nowego, uświadomiła sobie Leonie. Zazwyczaj Mel nie zwracała sobie tym głowy, beztrudnie sadziła, że trądzik zdarza się innym, brzydszym dziewczynom i nie raczyła nawet zmyć tuszu do rzęs, którego zresztą nie powinna używać. Teraz starannie zmywała makijaż, podchodząc do tego z ostrożnością konserwatora zabytków ratującego Moneta.

Leonie przysiadła na łóżku Mel.

- Cieszę się, że wróciłyście - zaczęła. Nie wiadomo dlaczego czuła się w ich pokoju jak intruz.

- No - mruknęła Mel. - Szkoda tylko, że musimy iść do szkoły. Nie mogę się doczekać stycznia.

Inaczej niż zwykle, Abby nie była w nastroju do rozmowy. Często szła za matką do jej sypialni, siadała w nogach łóżka i gadały, aż spojrzenie na zegar uświadamiało im, że jest już wpół do dwunastej, a jutro trzeba wstać o siódmej. Dzisiaj uśmiechnęła się tylko i wsadziła nos w książkę, wyraźnie nie mając ochoty na rozmowę. Może i ona tęskni za wspaniałą Fliss, pomyślała Leonie.

Zła i smutna, wyszła. Zgasiła światło w holu, poczekała, aż Penny wróci z ogrodu, zamknęła drzwi, poprosiła Danny'ego, żeby ściszył telewizor i poszła do siebie.

W nocy rzadko włączała radio, ale dziś doskwierała jej samotność, więc sięgnęła do przełącznika. Toczyła się nocna dyskusja na temat biur matrymonialnych.

- Niby gdzie można znaleźć faceta? - dopytywała się słuchaczka. Kłóciła się z mężczyzną, który upierał się, że biura matrymonialne to ostatnia deska ratunku dla nieudaczników.

- Stara krowa! - przerwał kobiecie w pół słowa i dodał, że ma żonę i czworo dzieci.

- A ciebie żona zdradza, stary capie! - odcięła się kobieta.

Prowadzący audycję interweniował, bo rozmowa niebezpiecznie obniżała loty.

- Słuchajcie nas po serwisie informacyjnym - oznajmił. - Będziemy gościć parę, która przez biuro matrymonialne znalazła miłość i szczęście.

Leonie nie mogła się oderwać. Godzinę później wyłączyła radio i leżała w ciemności. Więc nie jest jedyna. Wiele osób cierpi z powodu samotności. Nie wiedzą, gdzie szukać *nowych* partnerów. Są za starzy na kluby pełne dwudziestolatków i za młodzi na popołudnia przy herbatce. Ta kobieta była jak Leonie: samotna i spragniona miłości. Po dwóch ogłoszeniach w codziennej gazecie poznała wspaniałego mężczyznę. Teraz planują ślub. Stacja telewizyjna nakręci o nich film. Może ja też powinnam spróbować, zastanawiała się. Gdyby kogoś miała, nie cierpiałaby tak bardzo z powodu Raya i Fliss.

Uśmiechnęła się, snując śmiały plan: napisze ogłoszenie albo zgłosi się do biura matrymonialnego. Jej celem jest zdobyć mężczyznę. To proste. Potem będzie lepiej. Prawda?

- Co to znaczy: z p. hum.? - Leonie studiowała swój horoskop w malutkiej kuchni. Codziennie starały się wygospodarować sobie dziesięciminutową przerwę między rannymi wizytami i operacjami po południu.

Angie, jedyna kobieta weterynarz w klinice, poderwała się od krzyżówki, którą co rano rozwiązywała w niecałe siedem minut.

- Z poczuciem humoru - odparła z wyraźnym australijskim akcentem. Szare oczy ciekawie przyglądały się koleżance. - A czemu pytasz?

- Tak sobie.

Chwila milczenia.

- Ogłoszenie towarzyskie? - zapytała Angie.

Leonie zarumieniła się. Nikomu nie uda się nabrać Angie, najmądrzejszej kobiety, jaką знаła.

- Tak. To okropne, prawda? Ale tutaj nie poznam żadnego faceta.

- Chyba że uciekniesz z listonoszem, który, moim zdaniem, ma na ciebie oko. Ilekroć otwierasz drzwi, bardzo grzebie się z pocztą.

- Jesteś okropna. Przecież to stary dziad. Jeśli nie stać mnie na nic lepszego, dam sobie spokój. Wiesz, to mnie strasznie gryzie. Wszystkim się wydaje, że w klinice weterynaryjnej buzują hormony. Nie rozumiem tego - poskarżyła się. - Co jest pociągającego w asystowaniu Timowi, gdy wycina kotu gruczoły okołoodbytnicze?

- Chodzi o mit o lekarzach i pielęgniarzach - wyjaśniła Angie poważnie. - W romansach aż się roi od pielęgniarek i lekarzy kochających się do nieprzytomności między wszczepieniem zastawek a operacjomózgu. To oczywiście bzdura, ale wszystkim się wydaje, że u nas jest tak samo. Tak działa biały kitel. Kobiety marzą, że lekarz posuwa je jak szalony, bo

jest zwierzchnikiem, a one mogą się wykręcać, że nie miały na to wpływu, szef im kazał.

- Wszystko bardzo pięknie, ale rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej - stwierdziła Leonie. Odłożyła horoskop, bo przeczytała, że Penny czeka ciężki dzień i będą się ze wszystkimi kłócić.

- Tim jest żonaty, Raoul zaręczony, a my musiałybyśmy zmienić orientację seksualną. Może gdyby Raoul wrócił do Ameryki Południowej i zatrudnilibyśmy nowego przystojnego weterynarza... nasze spojrzenia spotkałyby się nad sterylizowanym właśnie rudym kocurem... - Westchnęła głośno. - I tak musiałyby być szalony, żeby związać się z rozwódką z trójką dzieci. Na dodatek niewypłacalną. Znowu nie mam grosza przy duszy, Angie. Mój debet sięga nieba, a Mel domaga się nowych ciuchów...

- Ogłoszenia towarzyskie to świetny pomysł - stwierdziła Angie, zanim Leonie rozczuliła się nad sobą. - W dzisiejszych czasach wiele osób z nich korzysta. Co napiszesz o sobie?

Leonie wyjęła z kieszeni stronę wydartą z gazety.

- To z Guardiana, z poczekalni. Są tam całe strony tych ogłoszeń. Nazywają je „Bratnie dusze”. Najgorsze, że połowy z nich nie rozumiem. Czytam je i czytam i nic, jakby były po chińsku. Posłuchaj tylko: „Ładna b. z p. hum. eh. p. kreatywnego m. Najchętniej w.b.p. Ldn.”

Angie przetłumaczyła:

- Ładna blondynka z poczuciem humoru chciałyby poznać kreatywnego mężczyznę, najchętniej wysokiego, bruneta i przystojnego. Z Londynu.

- Ach, rozumiem. - Leonie przestudiowała pozostałe ogłoszenia.

- Jest jeszcze jeden problem. Wszystkie kobiety są szczupłe, i mężczyźni szukają tylko szczupłych. Posłuchaj: „...szczupłej, atrakcyjnej kobiety”. Może być morderczynią, byle była chuda.

- Nie wygłupiaj się - zbyła ją Angie, wysoka, atrakcyjna i bardzo, bardzo szczupła.

- To prawda. Spójrz tylko.

We dwie przejrzały resztę ogłoszeń. Mężczyźni opisywali się różnie, od „przytulny” (czyli gruby - wyjaśniła Angie) po „zbyt skomplikowany, by się opisać w kilku słowach” (mały, gruby, często mylony z wieprzem).

Chwilami chichotały jak dzieci. Rozbawił je zwłaszcza sir Lancelot szukający swojej Ginewry.

- Ciekawe, czy pas cnoty będzie w użyciu? - zastanawiała się Angie.

- Posłuchaj tego: nieśmiały, 35 lat, prawiczek, szuka bratniej duszy. Związek niewykluczony. Jakim cudem jest prawiczkiem w tym wieku?

- Może jest religijny - zauważyła Angie.

- No tak, nie pomyślałam o tym. A co oznacza „związek niewykluczony”?

- Że na pierwszej randce, po obiedzie, za który zapłacicie po połowie, chce cię zaciągnąć do łóżka i później już się nie odezwać - wyjaśniła Angie. - To się zdarzyło mojej znajomej w Sydney. Facet twierdził, że jest lekarzem. Nie kłamał, więc dała sobie spokój z odgrywaniem niedostępnej i zrobili to na pierwszej randce. Szampan, truskawki w łóżku, wspólne zdjęcia, te sprawy. Nigdy więcej go nie widziała. Drań.

Leonie wzdrygnęła się na myśl o swoich zdjęciach nago. Czytała dalej: „Szuka blondynki z klasą w celu rozrywkowym”. Czemu po prostu nie zatrudni prostytutki?

- Słuchaj, to są modne ogłoszenia. Ty musisz zamieścić swoje w lokalnej gazecie.

- Jesteś pewna?

- Na sto procent. Szukasz kogoś o dobrym sercu, ze zwierzakami, workiem pieniędzy, kto nie wstydzi się chodzić w kaloszach.

- W Wicklow aż się roi od takich facetów - zażartowała Leonie. - Pewnie teraz tłoczą się w poczekalni z bukietami czerwonych róż. I z chorą owcą na dodatek. Daj spokój, lepiej bierzmy się do pracy.

Rozmawiały o ogłoszeniach przez cały ranek. Angie tymczasem wysterylizowała cztery koty, dwa psy i zdjęła kamień nazębny staremu ogarowi.

Leonie jej asystowała, goliła zwierzakom brzuchy i dezynfekowała narzędzia. Pilnowała także tętna i oddechu. Starszym zwierzętom trzeba było często podawać tlen podczas operacji. Młodsze zazwyczaj tego nie potrzebowały. Ale Leonie i tak sprawdzała, czy wszystko w porządku. Jeśli zobaczy, że język robi się szary, zaraz poda czysty tlen.

- Musisz być szczerą - instruowała Angie, starannie zaszywając koci brzuszek. - Napisz „kształtna”, bo taka jesteś. Nie chcemy przecież, żeby twój przyszły mężczyzna postawił sobie za cel odchudzić cię o dziesięć kilo.

- Miło, że chociaż jedna osoba jest ze mną szczerą — powiedziała Leonie, nie spuszczać oka z kotka. - Każdy, kogo o to zapytam, kłamie jak z nut i wmawia mi, że jestem szczupłą. Matka ciągle mi powtarza, że jestem piękna taka, jaka jestem i że nie powinnam zawracać sobie głowy odchudzaniem.

- Twoja matka jest wspaniałą kobietą i ma rację. Połowa kobiet w tym kraju wyniszcza się odchudzaniem. To tylko strata czasu, wiesz sama. Większość z nich zaraz wraca do starej wagi.

- Komu to mówisz! - jęknęła Leonie, czując, jak gumka spódnicy wpija się w ciało. - Więc co mam jeszcze napisać?

- Kształtna, zmysłowa.. - zaczęła Angie.
- Daj spokój! - pisnęła Leonie, w głębi duszy zadowolona. - Zmysłowa! Nie mogłabym!
- Dlaczego? - Angie zrobiła kociakowi zastrzyk i odniosła go do klatki. Wróciła z yorkshire terierem do sterylizacji i podjęła przerwany wątek.
- Jesteś zmysłowa, w każdym znaczeniu tego słowa. Zmysłowość nie ogranicza się do seksu.
- No tak, ale słowo „zmysłowa” w Wicklow Times ściągnie mi na głowę facetów, którzy pomyślą, że szukam sponsora.
- No dobrze, więc napiszemy: Niebieskooka kształtna blondynka...
- Kochająca dzieci.
- To go może wystraszyć - ostrzegła Angie. - Pomyśli, że szukasz dawcy spermy, nie mężczyzny.
- Ale muszę wspomnieć o dzieciach.
- Może: kochająca dzieci i zwierzęta?
- O, tak.

Angie zapaliła się do pomysłu, ale Leonie nie chciała, żeby cała klinika się dowiedziała. Louise, druga asystentka, co chwila zaglądała do sali operacyjnej.

- Później porozmawiamy - syknęła do Angie.

Kiedy skończyły operacje, Leonie zabrała się za sprzątanie klatek. Jako asystentka pracowała głównie na zapleczu. Stały tam dwa rzędy klatek dla czworonożnych pacjentów. W najgorętszym okresie przebywało w nich do czterdziestu zwierzaków czekających na operację albo dochodzących do siebie po zabiegu. Na dzisiejsze popołudnie zaplanowano kilka sterylizacji i trzy badania krwi.

Bubble, ładna biała kotka, częsta bywalczyni kliniki, ciągle wymiotowała i trzeba było ją dokładnie przebadać. Jak wiele białych kotów miała raka na koniuszkach uszu i przeszła już trzy operacje. Jako doświadczona pacjentka uciekała, ledwo otworzyły się drzwiczki klatki i Leonie oznaczyła jej kwaterę karteczką: „sztukmistrz”. „Sztukmistrz” brzmi lepiej niż „agresywny”, który to napis umieszczali na klatkach bezdomnych kotów. Te zwierzaki, najczęściej schorowane, strasznie cierpiały, trzeba było je usypiać.

Pod Bubble mieszkał Lester, żółta fretka. Szukał nowego domu. Lester też był niezłym sztukmistrzem, niedawno wyrwał się Leonie i ukrył w szafce z lekarstwami. Teraz wyjęła go ostrożnie i posprzątała klatkę. Przez chwilę obserwowała, jak bawi się pluszową zabawką. Rozważała, czy nie zabrać go do siebie, bo cierpiała, widząc porzucone zwierzęta.

Fretki często gryzą, ale Lester jeszcze nikomu nie zrobił krzywdy. Patrząc, jak krwiożerczo wbija zęby w pluszowego misia, zmieniła zdanie.

Ciekawe, jak Lester opisałby siebie w ogłoszeniu towarzyskim?

Szczupły, przyjacielski, szuka domu i pani, która nie boi się ukąszeń. Potencjalne kandydatki muszą lubić zabawy w ogrodzie i silny, męski zapach.

Leonie uśmiechnęła się do siebie. W takim ujęciu Lesterowi nie sposób się oprzeć. Musi pamiętać, żeby czytać między wierszami, gdy studiuje ogłoszenia. W innym wypadku Bóg jeden wie, na kogo trafi.

Rozdział 10

Zainstalowanie nowej centrali telefonicznej miało swoje wady, jak się Hanna przekonała. Była jedną z trzech osób, które umiały ją obsługiwać i ilekroć ktoś nawalił, musiała zastępować recepcjonistkę. A Carolyn, recepcjonistka w Dywer, Dwyer & James od dwóch tygodni, nawalała cały czas. Hanna już żałowała, że ją zatrudniła. Carolyn była na zwolnieniu w zeszłym tygodniu, a dziś zadzwoniła, że złapała grypę.

- Gillian, przejmiesz recepcję? - zapytała starszą koleżankę. Gillian nadal była zła, że Hanna objęła stanowisko dyrektora administracyjnego. Teraz nie miała już kontroli nad tym, gdzie są poszczególni agenci. Lubiła to, dzięki temu czuła się ważna.

- Mogę, ale tylko do południa - usłyszała w odpowiedzi. - Po południu wychodzę.

Co oznaczało, że Hanna nie zdąży zająć się swoją pracą. Przez całe popołudnie siedziała na recepcji, przełączała telefony i starała się ustalić, co się stało z dostawą artykułów papierniczych, które nigdy nie dotarły do biura.

Oczywiście, tego dnia telefony się rozszalały. Klientka akurat stojąca przy recepcji nie wydawała się zachwycona faktem, że Hanna musiała odbyć cztery rozmowy, zanim mogła się nią zająć. Kobieta dygotała z niecierpliwości, ale Hanna poczekała, aż czerwone światełko zgasło. Oznaczało to, że Donna Nelson skończyła rozmawiać.

- Donna, telefon na pierwszej linii. Pan McElhinney w sprawie domu przy York Road.

- Dzięki, Hanno.

Hanna odwróciła się na nowym, bardzo wygodnym krześle obrotowym i spojrzała na kobietę przy recepcji. Błat był nisko, jak tego chciała. Upierała się przy tym, gdy omawiała z Davidem kwestię nowego wystroju wnętrza.

' - Ludzie muszą cię widzieć, nie mogą się czuć, jakby stali w kolejce na poczcie.

- Przepraszam, że musiała pani czekać - zaczęła. - Mamy dzisiaj bardzo duży ruch. W czym mogę pomóc?

- Czy sprzedaliście już dom przy Shardown Terrace 73? - Podnosiła głos z każdym słowem, wyraźnie denerwowała się coraz bardziej. - Dopiero teraz dowiedzieliśmy się, że jest na sprzedaż. Zawsze chcieliśmy mieszkać na tej ulicy. Niech mi pani nie mówi, że już go sprzedaliście.

- Chwileczkę. - Hanna sprawdziła dane w komputerze. Sprzedażą tej posiadłości zajmował się Steve Shaw, arogancki młody agent. Pokazał dom dwóm kupcom, ale nikt nie złożył oferty kupna.

- Trzeba w niego włożyć co najmniej dwadzieścia kawałków, zanim szczury raczą się wprowadzić - oznajmił Steve po pierwszych oględzinach.

- Proszę się nie martwić - odezwała się Hanna. - Dom nadal jest do kupienia. Chciałaby pani porozmawiać z agentem, który zajmuje się sprzedażą?

Już po chwili Steve i klientka siedzieli przy stoliku na beżowej kanapie. Siedzieli, zdaniem Hanny, zdecydowanie za blisko siebie. Na tym polegała technika Steve'a. Flirtował z każdą klientką, jakby w życiu nie widział piękniejszej kobiety.

Od początku próbował zdobyć Hannę w ten sposób. Wrócił z podróży poślubnej na Wyspach Bahama opalony na brąz i wydawało mu się, że jest boski. Uważał, że Hanna także jest boska i tak ją cały czas nazywał.

- Dlaczego przyszedł do firmy, Boska? Chcesz złamać mi serce? - zapytał, gdy po raz pierwszy nie dała się zaprosić na lunch. Zaproponował jej to pięć minut po tym, jak się poznali. Nawet surowe spojrzenia znad okularów a la siostra przełożona nic nie dały.

- Seksownie wyglądasz, kiedy tak łypiesz - mruknął beczelnie.

Zachowywał się tak od trzech tygodni. Na razie Hanna oparła się pokusie i nie przywołała go do porządku. Na razie.

Obserwowała, jak kładzie rękę na kolanie klientki. Całkiem nie na miejscu, pomyślała. Kobieta była zachwycona, że dom jest jeszcze do kupienia i na nic nie zwracała uwagi.

Tego popołudnia miała dużo pracy. Odkąd David James przejął ich filię, w biurze aż huczało. Zasyпали okolice ulotkami na temat firmy, za-

trudnili dwóch nowych agentów, zmienili wystrój wnętrza w jeden weekend. Zniknęły ściany koloru kawy z mlekiem i czekoladowe fotele. Ich biuro przypominało teraz filię przy Dawson Street, było eleganckie i nowoczesne. Hanna nadzorowała wszystko. Na recepcji z jasnego klonu stał wazon ze świeżymi kwiatami. Naprawiono nawet wentylator w kobiecej ubikacji. David James powiedział, że zmiany mają być gruntowne.

Nie mówił dużo, ale zauważał najdrobniejsze szczegóły. Rozumieli się z Hanną doskonale. Dwa razy w tygodniu mieli spotkania służbowe i Hanna złapała się na tym, że niecierpliwie czeka na godzinne sesje. David wcale nie był typem milczka, na jakiego wyglądał. Kiedy uporali się już ze sprawami służbowymi, prosił Gillian o kawę i ciasteczka z czekoladą, jego ulubione.

- Nie powinienem ich jeść - stwierdził tego ranka, maczając trzecie ciastko w kawie. - Ale przepadam z nimi.

- Myślałam, że tylko kobiety są łasuchami - zażartowała Hanna. Przekonała się, że David ma poczucie humoru.

- Nie wszyscy ćwiczą równie zajadle jak ty - mruknął, z uznaniem obrzucając wzrokiem jej szczupłe ciało w bordowym sweterku i szarych spodniach.

Gdyby powiedział to ktoś inny, Hanna obruszyłaby się na seksualny podtekst. Przy Davidzie jednak czuła się swobodnie. Choć blisko ze sobą współpracowali, nigdy nie odnosił się do niej niewłaściwie. Byli kolegami z pracy, niczym więcej.

- Gdyby Gillian nie kochała się w tobie do nieprzytomności, nie dostawałbyś tych ciasteczek - zauważyła złośliwie.

- Nie! - Spojrzał na nią przerażony.

Parsknęła śmiechem.

- Przykro mi, Davidzie, ale ma do ciebie słabość.

- Żartujesz, prawda?

- Tak - skłamała. - Żartuję. Lepiej pójde trochę popracować.

Wysłała, rozbawiona faktem, że David tak spostrzegawczy w interesach, nie ma najmniejszego pojęcia o ludziach. Gdy Hanna usiadła za biurkiem, Gillian posłała jej wrogie spojrzenie. Zazdrościła jej spotkań przy kawie.

Już mieli zamykać, gdy David zadzwonił z komórki.

- Umówiłem się z klientem, ale spóźnię się dwadzieścia minut. Powiedz mu to i podaj kawę, dobrze, Hanno? Mam nadzieję, że możesz zostać trochę dłużej. To ważne. To mój stary przyjaciel. Nazywa się Feliks Andretti.

Jak egzotycznie, pomyślała, zapisując nazwisko. O szóstej wszyscy wychodzili, zostawali ci, którzy umówili się na spotkania albo pokazywali klientom domy.

- Siedzisz po godzinach? - zapytała Donna. Szła do drzwi z Janice, nową pośredniczką.

- Właściwie nie - odparła Hanna. - David prosił, żebym jeszcze trochę została.

- Może później zajrzysz do McCormack's na drinka? Uznałyśmy z Janice, że mamy dziś ochotę się napić. Zazwyczaj nie mam czasu, ale akurat dzisiaj mogę wrócić trochę później.

- Chciałabym, ale nie mogę. Już się umówiłam.

- Nie martw się, innym razem.

Tego wieczora spotykała się z przyjaciółkami z Egiptu. Umówiły się na drinka w hotelu Sachs, później pójdą na kolację, a potem do klubu nocnego, na co nalegała Leonie.

- Nie mam okazji pochodzić po klubach - użalała się przez telefon.

Hanna uśmiechnęła się na myśl, że we trzy będą płaszały dokoła swoich torebek i niczego nie obiecała. Na wszelki wypadek jednak zabrała swoją seksowną ametystową sukienkę.

O wpół do siódmej zdążyła rozpuścić włosy, umalować się, pociągnęła usta różowym błyszczkiem pasującym do sukienki i spryskała się obficie perfumami. Za kilka minut musi wyjść, a jeszcze się nie przebrała.

Niech szlag trafi Davida i jego klienta. Minęło kolejne pięć minut i nie pokazał się żaden z nich, więc wzięła sukienkę i schowała się za regałem z dokumentami, tak że widziała drzwi wejściowe, ale sama była niewidoczna. Właśnie obciagała sukienkę na biodrach, gdy masywne szklane drzwi się otworzyły.

Poprawiła sukienkę i już-już miała wyjść, gdy dotarło do niej, że seksowna obcisła kreacja to niewłaściwy strój na spotkanie z przyjacielem szefa, więc szybko narzuciła płaszcz przeciwdeszczowy. Gdy mocowała się z guzikami, po raz pierwszy zobaczyła Feliksa Andrettiego.

Dobrze, że nie przyszedł w czasie pracy, pomyślała jak przez mgłę, bo chyba nie byłaby w stanie skupić się na swoich obowiązkach, patrząc na takie zjawisko. Aż jej zaparło dech w piersiach. Nie był brunetem, co sugerowało włoskie nazwisko; był złoty jak jesienne liście.

Miał skórę koloru miodu, włosy jak zboże, bujną, jedwabistą czuprynę, która opadała na oszałamiające piwne oczy. A twarz... Przystojny to za mało powiedziane. Szeroka szczęka, wąski, arystokratyczny nos i wystające kości policzkowe. Młody Robert Redford może się przy nim schować, stwierdziła ze zdumieniem. Leonie oszalałaby z zachwyty.

W garniturze z kremowego lnu był smukły i męski jak kowboj. Gapiła się bez słowa.

- Ładny strój - zauważył leniwie. Poczwała na sobie pewne spojrzenie: widział rozpięty płaszcz przeciwdeszczowy, krótką, bardzo krótką sukienkę i cienkie czarne rajstopy, w których, o dziwo, nie poszło jeszcze oczko mimo całego dnia w biurze.

Po opanowaniu Hanny nie było śladu. Uśmiechnęła się nerwowo.

- Wychodzę i musiałam się przebrać. David się spóźni, proszę, żebym na pana poczekała.

- Nie wiem, jak mu dziękować - mruknął.

Nie mogła określić jego akcentu. Ani brytyjski, ani irlandzki. Wytworny, jak powiedziałyby jej matka. Po latach sprzątania w hotelu Dromartin Castle pani Campbell bardzo nie lubiła wytwornych ludzi.

- Kawy? - zaproponowała, chcąc sprowadzić rozmowę na normalne tory. To przyjaciel Davida - nie może z nim flirtować.

- A mogę dostać coś innego? - zapytał, unosząc brwi.

- Eee tak, oczywiście.

~ W takim razie poproszę... panią.

Zatrzepotała rękami.

- Niestety, nie ma mnie w karcie - odparła. Bawiła ją ta rozmowa.

- Ach, czyli proponowała mi pani herbatę? - zapytał z błyskiem w oku. Uśmiechnęła się.

- Niestety, tylko herbatę. Skończył się nam sok pomarańczowy.

Przysiadł na biurku i przyglądał się jej z wyraźnym zainteresowaniem.

- Czy David mówił, kiedy wróci? ~ zapytał. - Chociaż wolałbym, żeby w ogóle nie przyszedł.

Hanna odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się gardłowo, co bardzo zaskoczyło ją samą.

Nie do wiary, ona, lodowata panna Campbell, która przepłoszyła by Wikingów jednym spojrzeniem, flirtuje jak szalona z tym przystojniakiem! Niewiarygodne. Ale przyjemne.

Może Jeff z hotelu sprawił, że odważyła się znowu zaufać płci odmiennej, pomyślała z podnieceniem. Właściwie czemu nie? Wystarczająco długo była sama. Należy jej się mężczyzna.

- Pewnie jest pan z zawodu uwodzicielem? - Uśmiechnęła się zachęcająco i odrzuciła maskę niedostępnej profesjonalistki. Nie zdawała sobie sprawy, że zmieniała się przy tym fizycznie. Odprężyła się, przyjęła naturalną, zmysłową pozę.

- Nie. Aktorem - odparł.

- Aha.
- Rozczarowana.

Pokręciła głową, pozwoliła, by włosy zafalowały koło twarzy. To dobrze wygląda, chciała, żeby to zauważył.

- Nigdy nie poznałam żadnego aktora. To znaczy, nie poznałam porządnie.

- Czyli poznawała pani nieporządnie? - uśmiechnął się.

Pokiwała palcem.

- Niech pan się liczy ze słowami.

- Sam nie wiem po co. - Przynął się odrobinę bliżej. - Jak na razie nic złego mi z tego nie przyszło. Choć odkąd panią poznałem, wiele dobrego.

- Nie poznaliśmy się - stwierdziła. - To miałam na myśli mówiąc, że porządnie nie poznałam żadnego aktora. Nie przedstawiono nas sobie, więc nie poznaliśmy się porządnie. Z innymi też nie.

- Nie wiem, gdzie mieli oczy, jeśli nie chcieli się pani przedstawić. - Oficjalnie podał jej rękę. - Bardzo mi miło panią poznać. Feliks Andretti, do usług.

Ucisnęła jego dłoń, rozkoszując się ciepłym dotykiem i narastającym podnieceniem.

- Hanna Campbell, mnie także bardzo miło.

- Więc skoro porządny kawałek mamy już za sobą, może przejdziemy do nieporządnego? - zaproponował z błyskiem w oku. - Z kim się umówiłaś? Możesz to odwołać?

- Nie - odparła z uśmiechem. - Nie mogę, to wyjątkowe spotkanie z bliskimi mi ludźmi.

- Kobiety czy mężczyźni?

- Kobiety.

- Świetnie. Idę z tobą.

- Nie możesz.

Udał, że się nad tym zastanawia.

- Nie przyjmuję do wiadomości słowa „Nie możesz”.

- Pewnie nie rozumiesz także „Nie” - domyśliła się.

Potwierdził ruchem głowy.

Zadzwoił telefon. Hanna szybko podniosła słuchawkę. David do Feliksa. Oddała mu słuchawkę i słuchała, jak umawiają się gdzie indziej, bo David nadal był daleko od biura.

- Pójdę już - rzuciła od niechcenia.

- Zobaczmy się jeszcze? - zapytał Feliks. Dzieliło ich tylko kilka stóp, czuła zapach jego wody po goleniu. Kręciło jej się w głowie.

- Tak. A teraz do widzenia.

- Może cię podwieźć?
- Pojadę autobusem, zostawiłam samochód w domu. Uśmiechnął się niemal drapieżnie.
- Pozwól, że cię zawiozę, opowiesz mi o sobie. Chce wiedzieć wszystko.

Hanna pomyślała o drugim liście od Harry'ego. Miała go w torebce. Prosił o odpowiedź. Dostała go dziś rano i przeczytała dwukrotnie.

Błagam, zgódź się na spotkanie, to ważne.

Wypchaj się, Harry. Zaczynam nowe życie.

Leonie wkroczyła do baru hotelu Sachs spowita w cyklamienową tunikę i starała się wyglądać na osobę pewną siebie. Żle się czuła bez ukochanej czerni, poza tym znacznie ograniczyła ilość makijażu i czuła się jakby wyszła z toalety z zadartą spódnicą. Jednak nikt z gości się tego nie domyśli. W ich oczach będzie odprężona i spokojna. Zaraz spotka się z przyjaciółkami i podzieli radosną nowiną.

Niemal od razu dostrzegła Emmę. Jak myszka kuliła się w kącie, nijaka i blada w beżowym kostiumie. Popijała, sądząc z wyglądu, wodę mineralną. To się musi zmienić, zdecydowała Leonie, krocząc przez bar królewskim krokiem. Specjalnie nie wzięła dziś samochodu, żeby móc się napić, i Emma robi to samo, najwyżej wróci do domu taksówką, a jutro przyjedzie po samochód. Przez telefon Emma wydawała się smutna, choć starała się tego nie okazywać. Leonie od lat hołdowała przekonaniu, że choć alkohol nie rozwiąże problemów, kilka kieliszków od czasu do czasu łagodzi ból i ułatwia spojrzenie z dalszej perspektywy.

- Emma, kochana, jak się cieszę, że cię widzę.
- Leonie!

Objęły się serdecznie i Leonie z radością stwierdziła, że przyjaciółka nie jest już tak przeraźliwie chuda jak w Egipcie. Emma nigdy nie będzie kandydatką do Strażników Wagi, ale przynajmniej nie wygląda jak kościotrup.

- Świetnie wyglądasz - zauważyła Emma. - Dobrze ci w tym kolorze. Nowa sukienka?

- Stara jak świat, prawie w moim wieku - przyznała się Leonie. - Do tej pory wstydziałam się ją założyć, ale dzisiaj świętujemy... - Urwała, uśmiechnęła się szeroko. - Nie, nie powiem ci, póki nie przyjdzie Hanna. Musimy być wszystkie trzy.

- Dobrze, że chociaż jedna z nas ma dobre wieści - mruknęła Emma. Z powrotem opadła w swój kącik, przywarła do miękkiego oparcia, jakby powitanie całkowicie pozbawiło ją sił.

Leonie przyjrzała się jej bacznie. Emma miała bardzo jasną karnację i nawet gorące egipskie słońce zdołało przez tydzień tylko przysypać jej nos piegami i leciutką opalenizną. Była bledsza, niż można by się spodziewać, wróciły zaledwie trzy tygodnie temu, i Leonie nadal była opalona, co zresztą podtrzymywała, nie żałując sobie ciemnego pudru.

- Co jest? - zapytała, energicznie klepiąc Emmę po kolanie.

- Od czego zacząć? - Emma nie wiedziała, co gorsze, zamartwianie się o matkę czy wściekłość na ojca z powodu komentarzy na temat pożyczki na dom.

- Nie beze mnie, niczego nie zaczynaj beze mnie! - rozległo się za nimi i zjawiła się Hanna w towarzystwie zachwyconych spojrzeń i kelnera, który do tej pory starannie ignorował obie kobiety.

Hanna usiadła obok Emmy i starała się zetrzeć z twarzy promienny uśmiech. Na darmo.

- Nigdy nie zgadniecie, co się stało! - powiedziała szybko. Co chwila nerwowo zwilżała usta językiem, co wyraźnie miało fatalny wpływ na psychiczną równowagę kelnera.

- Coś pani podać? - zapytał z dziwnym niemieckim akcentem, starając sienie ślinić.

Hanna podniosła na niego błyszczące oczy.

- Tak - szepnęła przeciągle. - Martini z lemoniadą.

Kelner miał minę, jakby słowa „martini z lemoniadą” oznaczały w tajnym szyfrze „zaprowadź mnie na zaplecze i posuwaj do nieprzytomności”, stał i miłośnie gapił się na Hannę, aż Leonie miała tego dosyć. Bardzo już chciała usłyszeć nowiny, a nie dowie się niczego, jeśli kelner będzie tu sterczał z językiem do kolan i oczami na wierzchu.

- Dla nas białe wino - powiedziała głośno.

Emma nawet nie zaprotestowała. Kelner odszedł.

- Posłuchaj - Leonie zwróciła się od Hanny. - Jeśli Mel Gibson we własnej osobie przyszedł do waszej agencji i poprosił ciebie osobiście, żebyś mu pokazała co ładniejsze garsoniery, masz mi natychmiast podać jego numer telefonu, inaczej nici z przyjaźni. Rozumiemy się?

Hanna zachichotała jak niegrzeczna uczennica ze szkoły klasztornej, która zamiast iść na lekcję gotowania, uciekła na papierosa.

- Jest o wiele lepszy od Mela Gibsona.

- Co? - Emma nie wierzyła własnym uszom.

- Jak to? Lepszy od Mela Gibsona? Kto? - zawtórowała jej Leonie, która nie dalej jak wczoraj spędziła z Melem uroczy wieczór przy butelce wina, a to za sprawą filmu *Zabójcza broń*.

- Feliks Andretti - odparła Hanna.

- Kto?-zapytałyjednocześnie.

- Aktor, najprzystojniejszy facet, jakiego w życiu widziałam. Starszy niż Brad Pitt, ale podobny do niego, taki złoty i jasny, i och, brak mi słów, żeby go opisać.

- No to poszukaj! - zapiszczała Emma. - Od naszego spotkania najbardziej ekscytującym przeżyciem było dla mnie podjęcie decyzji w supermarkecie, czy zaszaleć i kupić steki, czy może wieprzowinę z przece-ny! Opowiadaj!

- No, dobrze.

Pochyliły się nad stolikiem, ciekawe wszystkich szczegółów, ale musiały zdobyć się na cierpliwość, bo kelner bardzo powoli serwował im napoje.

- Dziękujemy - mruknęły, chcąc się go pozbyć jak najszybciej.

- Jest gejem czy może ma żonę wariatkę, jak pan Rochester z *Dziwnych losów Jane Eyre*? - dopytywała się Leonie.

Hanna udała, że się nad tym zastanawia.

- Wiecie co - powiedziała po chwili. - Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Jest fantastyczny i mam na niego ochotę. Zwała z nóg, dziewczyny.

Napiła się martini, ale prawie nie poczuła smaku; była tak nakręcona, że nie potrzebowała alkoholu.

- Jest półkrwi Hiszpanem i od kilku lat mieszka w Londynie. Przez najbliższe pół roku będzie kręcił serial w Wicklow i szuka mieszkania. Przyjaźni się z moim szefem, choć nie *mam* pojęcia, skąd się znają. Nie wyobrażam sobie dwóch bardziej różnych mężczyzn. David jest poważny i solidny, Feliks - egzotyczny, inny, wolny, nie planuje niczego, przyjmuje, co mu los przyniesie - ciągnęła rozmarzona, wspominając, jak to był gotów zmienić plany, żeby się z nią spotkać. Ot, tak. Zrobiła na nim takie samo wrażenie, jak on na niej.

Emma w głębi ducha uznała, że Feliks bardzo przypomina Harry'ego, który złamał Hannie serce, gdy, chcąc być wolny, inny i egzotyczny wyjechał do Ameryki Południowej. Milczała jednak. Hanna obiecała sobie, że żaden mężczyzna już jej nie skrzywdzi, będzie ostrożna, na pewno.

Leonie miała w oczach łzy wzruszenia. Praktyczna i rozsądna w innych sprawach, traciła głowę jeśli chodzi o miłość, oceniła Emma.

- Co powiedział na początku, dlaczego w ogóle z tobą rozmawiał, jeśli przyszedł do pana Jamesa? - dopytywała się Leonie.

Hanna opowiadała, jak się przebierała i właściwie miała spódnicę na wysokości talii, gdy Feliks wkroczył w jej życie.

- Nie wyobrażam sobie, co by było, gdyby jakiś fantastyczny facet zjawił się u mnie w pracy, gdy zdejmuję fartuch - zażartowała Leonie. - Pewnie byłby to nasz wikary i jego pudel. Obaj mają słabe serca. Nie wytrzymałoby tego widoku.

Emma lekko dźgnęła ją w bok.

- Co ty opowiadasz? W Egipcie byłaś gwiazdą. Nie popadaj nam w kompleksy.

- Żartuję - zapewniła Leonie pospiesznie. - Jestem w świetnym humorze, naprawdę. Hanna, opowiadaj jeszcze.

Nie trzeba jej było zachęcać. Zauroczonej Feliksem, ciągle na nowo przeżywała ich spotkanie. W innym towarzystwie byłaby bardziej opamiętana, ale przy Leonie i Emmie... to prawdziwe przyjaciółki, nie znajome z pracy czy krewne. Może im zaufać, może być sobą.

- Wydawało mi się, że chwilowo masz dosyć mężczyzn - zauważyła Leonie po kolejnym kwadransie zachwyty, jaki Feliks jest przystojny, jak świetnie się ubiera, jak porusza się z gracją dzikiego kota...

Hanna zagryzła dolną wargę.

- Miałam, ale nie mogłam przepuścić takiej okazji. Spodoba ci się, Leonie. Wicie co, chciał tu dziś ze mną przyjść.

- I czemu go nie zabrałaś? — westchnęła Leonie. - Pewnie i tak nie mam szans na nic więcej niż uścisk dłoni twojego supermana.

Hannie zrobiło się głupio, że tyle paplała o Feliksie.

- To nic poważnego - zapewniła. - Wątpię, czy go jeszcze kiedyś zobaczę. Podniecam się nie wiadomo czym. Zresztą rzeczywiście zaklinałam się, że teraz skoncentruję się na pracy i nie będę sobie zawracała głowy mężczyznami.

- Nie możesz podejmować takich decyzji. Może to prawdziwa miłość - skarciła ją Leonie. - Zresztą od początku mówiłam, że jesteś szalona, składając takie deklaracje, może nie, Emmo?

- Mówiłaś. A teraz powiedz, co u ciebie. Ona też ma jakąś sensację - zwróciła się do Hanny.

- Cóż - zaczęła Leonie. - To nic w porównaniu z Bradem Pittem II.

- Mów! - syknęła Hanna.

- No dobrze. Zamieściłam ogłoszenie matrymonialne w „Evening Herald”

- Hurra! - wrzasnęła Hanna.

- Doskonale - zawtórowała Emma. - Co napisałaś? Kiedy się ukaże?

- Przyniosłam je ze sobą - Leonie pochyliła się nad torebką. - Nawet sobie nie wyobrażacie, jak się namęczyłam, pisząc je. No bo jak opisać siebie w kilku słowach?

- Pełna życia, dowcipna, ładna blondynka... - zaczęła Hanna

- ...wrażliwa i romantyczna, szuka mężczyzny, który ją pokocha - dokończyła Emma.

Leonie zaczerwieniła się.

- Jesteście bardzo miłe. Szkoda, że nie pomagaliście mi przy pisaniu. Gdyby nie Angie, koleżanka z pracy, nie dałabym sobie rady.

- Pokaż - zażądała Hanna.

- We trzy pochyliły się nad ręcznie napisanym ogłoszeniem Leonie:

Rozwiedziona blondynka o posagowych kształtach, *tuż po czterdziestce*, kochająca dzieci i zwierzęta, poszukuje odpowiedniego mężczyzny z poczuciem humoru.

Skrytka nr 12933

- Od jutra będzie się ukazywało przez trzy dni - wyjaśniła.

- Cieszysz się? - Hanna skinęła na kelnera.

- Cieszę się i boję - przyznała Leonie.

- Ale to zrobiłaś ~ cieszyła się Emma. - To najważniejsze.

- Przyznam się wam od razu - Leonie poprawiła się na krześle. - Zdobyłam się na to właściwie przez Raya, mojego byłego męża. Nie mogłam wam tego powiedzieć przez telefon, bo dzieci ciągle kręciły się w pobliżu, ale od powrotu ze Stanów są strasznie nakręcone, bo ojciec się żeni. Z czego się bardzo cieszę - dodała szybko, na wypadek, gdyby uznały, że nadal zależy jej na Rayu. - Chodzi o to, że...

- Poczułaś, że coś z tobą nie tak, skoro w jego życiu tyle się dzieje, a w twoim nie - dokończyła za nią Hanna.

Leonie skinęła głową.

- Ray i ja nie pasowaliśmy do siebie, zrozumiałam to już dawno, a on z czasem zaakceptował, ale wiele razem przeszliśmy, w końcu mamy troje dzieci. Bardzo go lubię, ale szczerze mówiąc, zawsze myślałam, że poradzę sobie lepiej niż on.

Przypomniała sobie, jak na początku dręczyły ją wyrzuty sumienia, bo miała chociaż dzieci, zresztą to ona zainicjowała rozwód.

- Myślałam, że będzie samotny - ciągnęła smutno. - Tymczasem on się żeni, a ja nie mam nikogo.

- Masz wspaniałą rodzinę i fajną pracę - zaprotestowała Hanna. - A to bardzo dużo. Odpowiedni partner to dodatkowa premia od losu.

Słyszałam, że w roku 2050 jedna trzecia ludzi będzie samotna. To normalne.

- Mówi to kobieta, która przez cały wieczór trajkoce jak katarynka o hiszpańskim aktorze.

- To nic poważnego, tylko zabawa - obruszyła się Hanna.

- Jaka ona jest? Jego narzeczona? - Emma wyczuła, że Leonie nie powiedziała im wszystkiego. Pewnie bardzo się przejęła, jeśli przyszła żona Raya jest atrakcyjna.

- Boska - odparła Leonie sucho, czym potwierdziła przypuszczenia Emmy. - Mel za nią przepada, ma dziesiątki jej zdjęć. Jest w moim wieku, to żadna głupia blondynka. Jest prawnikiem, moim całkowitym przeciwieństwem: elegancka, szczupła, krótkie ciemne włosy, zero makijażu, nawet w dzinsach i koszulkach wygląda rewelacyjnie. Mówiąc krótko, ma klasę.

- Ty też - zapewniła Emma lojalnie.

- Nie oszukujmy się - przerwała jej Leonie. - To nie moja liga.

- Wmawiasz to sobie - Hanna zamówiła następną kolejkę.

- Kiedyś pokażę wam zdjęcia. Patrząc na nią, można odnieść wrażenie, że gdy miała siedemnaście lat, zaproponowano jej karierę modelki, ale wybrała studia na Harvardzie, bo wołała zarabiać miliony jako prawniczka niż reklamując szminki. - Leonie gapiła się w pustą szklanekę.

- W takim razie na pewno jest beznadziejna w łóżku - zawyrokowała Hanna. - Pewnie jej się wydaje, że seks przy zapalonym świetle to szczyt wyuzdania.

- Właśnie - zawtórowała Emma. - I że seks oralny to rozmowy o seksie. Musi mieć jakąś wadę. Nikt nie jest doskonały.

Po długich spekulacjach, jaką okropną tajemnicę ukrywa pozornie idealna Fliss - przy czym brały pod uwagę wszystko, od choroby wenerycznej po operację zmiany płci, której jakoby miał się poddać tenisista imieniem Alan, przyjaciółki w końcu postanowiły poszukać restauracji, zanim alkohol uderzy im do głowy. Przy Baggot Street weszły do małej włoskiej knajpy i wypiły dwie butelki wina do lasagne, pizzy i spaghetti carbonara, najlepszego, zdaniem Hanny, poza granicami Włoch.

- Nigdy nie byłam we Włoszech - rozmarzyła się Leonie. - Chciałabym tam pojechać.

- I warto - zapewniła Hanna. - Ale po Egipcie nie mam grosza przy duszy. Jeszcze długo nigdzie się nie wybiorę.

- Egipt był wspaniały - mruknęła Leonie.

- Tak, bo się poznałyśmy - zauważyła Emma - ale planowałam tam wiele rzeczy i żadnej nie zrealizowałam. - Utkwiła smutne spojrzenie

w resztkach lasagne. - Chciałam porozmawiać z Petem o zapłodnieniu *in vitro* i nic z tego. Do tego niedawno ojciec zachował się okropnie, a ja nic nie powiedziałam. Jestem strasznym tchórzem.

- Co się stało?

- Były urodziny mamy, zaprosiłam krewnych na obiad. W samym środku imprezy, po tym, jak urwałam się z pracy i zasuwałam jak niewolnica, żeby wszystko przygotować, ojciec powiedział publicznie, że dał nam pieniądze na dom.

- Co? - Hanna nie wierzyła własnym uszom.

- Pożyczył nam dwanaście tysięcy funtów. Mówiłam wam o tym. No właśnie, pożyczył, nie dał. Spłacamy go, ale sąsiadce powiedział, że dał. Przedstawił to jako ogromną sumę - dodała z goryczą - że niby zapłacił za dom, a *my nawet* nie okazujemy wdzięczności. To uwłacza Pete'owi.

- Wam obojgu-poprawiła Leonie.

- Nie, Pete'owi bardziej - Emma upierała się przy swoim. - Ciężko pracuje, żeby nam na wszystko wystarczyło, a ojciec traktuje go jak nieudacznika tylko dlatego, że nie mieliśmy wystarczających oszczędności, I to mnie wkurza - nie stanęłam w obronie Pete'a.

Bolało do tej pory, drażniło jak kamyk w bucie. Przywykła, że ojciec poniża ją, ale nie zgodzi się, by tak traktował Pete'a. A jednak zgodziła się. Nic nie powiedziała.

- Trudno się kłócić z rodziną- zauważyła Leonie dyplomatycznie.

- Wcale nie - sprzeciwiła się Hanna. - Musisz mu się postawić. Inaczej nigdy nie przestanie.

Emmę, nie wiedzieć kiedy, rozboleła głowa.

- Dajmy temu spokój, dobrze? Nie chcę o tym rozmawiać, nie wiem, czemu w ogóle poruszyłam ten temat.

- Ale poruszyłaś - Hanna nie dawała za wygraną. - Musisz coś z tym zrobić...

- Dobrze, ale nie teraz! - wrzasnęła Emma ku zdumieniu całej trójki. - Chcę o nim zapomnieć, jasne?

Leonie poklepała jej dłoń.

- Dobrze, już zmieniamy temat. Hanno, poproś kartę deserów. Czas na pyszne włoskie lody.

O wpół od trzeciej w nocy Emma, nadal rozkosznie wstawiona, przytuliła się do śpiącego męża. Zazwyczaj nie budziła go, jeśli zasnął, ale dzisiaj chciała, żeby ją przytulił.

- Jak się masz, Em - mruknął. Przewrócił się na bok i objął ją mocno.

- Dobrze - wślizgnęła się pod kołdrę i przyłgnęła do niego. - Tęskniłeś za mną?
 - Bardzo - wtulił twarz w zagłębienie jej szyi i pocałował lekko. - Dobrze się bawiłaś?
 - Doskonale. Wypiłyśmy zdecydowanie za dużo, zostawiłam samochód przy hotelu Sachs. Podwieziesz mnie tam jutro?
 - Dla ciebie wszystko - wymamrotał. - Wiesz co, Em?
 - Co? - pocałowała go w czubek łysej głowy.
 - Kocham cię, chociaż śmierdzisz czosnkiem!
- Połaskotała go za karę.
- Specjalnie, żeby zatrzeć zapach mojego kochanka, wiesz, dwumetrowego instruktora karate. Używa bardzo intensywnej wody po goleniu i tylko czosnek dławi jego zapach.
 - Zamorduję go - mruknął Pete niewyraźnie. - A teraz śpimy, szalona kobieto.

Rozdział 11

Czekanie na telefon od Feliksa Andrettiego jest, stwierdziła Hanna, gorsze niż czekanie na Godota. Kiedy nie zadzwonił następnego dnia, odetchnęła głęboko i powiedziała sobie, że to normalne, facet udaje opawanego. Zrozumiała. Co nie zmieniało faktu, że nerwowo podskakiwała na krześle, ilekroć zadzwonił telefon. Chciała, żeby to był on. W czwartek nawet nie wyszła na lunch, poprosiła Gillian, żeby kupiła jej kanapkę.

- Mam dużo pracy - mruknęła, starając się sprawiać wrażenie tak zapracowanej, że nie może sobie pozwolić na pięciominutowy spacer po kanapkę.

Koniec końców zjadła kanapkę z tuńczykiem, rozwiązując krzyżówki. Cały czas czekała.

W piątek wystąpiła w butach na zabójczo wysokich obcasach, wąskiej czarnej spódnicy z wysokim rozcięciem i kaszmirowym sweterku w ciepłym odcieniu brązu. Na wszelki wypadek włożyła szkła kontaktowe, okulary niektórych odstraszaają. Rozpuściła włosy. Włożyła przezroczysty koralowy staniczek i stringi, dzięki czemu czuła się bardzo atrakcyjna. Feliks, stwierdziła po namyśle, to typ, który zjawia się niespodziewanie i porywa cię na obiad. Serce jej pęknie, ale będzie musiała mu

odmówić. Przez cały dzień wyobrażała sobie, jak go skarci. Co za bezczelność, wyobrażać sobie, że rzuci wszystko.

- Czy wyglądam na taką, która umawia się z minuty na minutę? - zapyta gardłowo, a on zblednie z pożądania i bólu. - Niestety, najwcześniej w przyszłym miesiącu... - Sama chyba tyle nie wytrzyma, ale niech Feliks nie myśli, że jej zależy.

- Hanno - Gillian brutalnie wyrwała ją z marzeń. - Przyszedł hydraulik do umywalki w męskiej toalecie. Powiedz mu też o kuchni.

- Wybierasz się gdzieś, skarbie? - zainteresował się beczelnie hydraulik, z podziwem patrząc na długie nogi widoczne w rozcięciu spódnicy.

Hanna posłała mu mordercze spojrzenie.

- Przepraszam, tylko pytałem - mruknął i zabrał się do pracy.

Wpół do szóstej i żadnych telefonów osobistych, Hannie chciało się płakać.

Powoli porządkowała dokumenty na biurku. Feliks odezwie się najwcześniej w przyszłym tygodniu, jeśli w ogóle. Przecież nie ma jej domowego telefonu.

David James wyszedł z gabinetu z aktówką w rękę.

- Wychodzisz gdzieś, Hanno? - zapytał, z podziwem patrząc na jej strój.

- Lepiej nie pytaj, bracie - mruknął hydraulik w drodze do drzwi. — Jeszcze cię oskarży o molestowanie seksualne.

Przemknął się obok Hanny, zanim ukatrupiła go wzrokiem.

David się uśmiechnął.

- Podrywał cię?

- Nie, właściwie nie - przyznała. - Trafił na nieodpowiednią chwilę.

- Może wyskoczmy na drinka i zrobimy z tego dobrą chwilę? - zaproponował od niechcienia, bębniąc palcami o biurko.

Pokręciła głową. Była zbyt nieszczęśliwa. Nie chciała pocieszenia.

- Na jednego drinka. Wyżalisz mi się. - David nie dawał na wygraną. Zmiękła. Jeden drink to nic takiego, a rozmawiając z Davidem nie będzie przynajmniej myślała o cholernym Feliksie.

- Telefon na pierwszej linii - zawołała Donna. — Prywatny.

Hannę przeszył dreszcz podniecenia.

- Nie - powiedziała do Davida. — Umówiłam się.

Wzruszył ramionami.

- Więc do poniedziałku.

Porwała słuchawkę.

- Hanna, tu mama. Posłuchaj, wiem że to późno, ale czy Stuart i Pam mogą u ciebie przenocować w ten weekend?

- Co? - Hanna była wściekła, że to nie Feliks, wściekła, że brat i bratowa mają się u niej zatrzymać. Mieszkanie jest za małe dla trzech osób, co gorsza, nie znoszą się z Pam. Ze Stuartem też, szczerze mówiąc. - Późno, ładnie powiedziane. A właściwie dlaczego ty dzwonicz, mamó? Czy Stuartowi obcięło palce? - dodała złośliwie. Brat był oczkiem w głowie matki. Zawsze wszystko za niego robiła.

- Nie denerwuj się, Hanno - matka była niewzruszona. - Przyjechali na ślub i coś nie wyszło z rezerwacją hotelu. Przynajmniej tyle możesz zrobić. Będą koło dziesiątej. Pam prosiła, żebyś nie zwracała sobie głowy kolacją.

Prychnęła. Nawet jej to do głowy nie przyszło.

Jechała do domu wściekła. Mieszkanko było idealnie czyste, jak zawsze, choć po dwudniowej wizycie Stuarta zostanie koszmarny bałagan. Położyła czystą pościel na łóżku w gościnnym pokoju, niech brat sam sobie pościeli. Ona w końcu nie prowadzi hotelu. No właśnie, pewnie dlatego Stuart zatrzyma się u niej. Jest za skąpy, żeby zapłacić za nocleg, domyślała się słusznie.

Usmażyła sobie omlet i oglądała telewizję. Gotowała się ze złości na myśl o swoim bracie i o Feliksie. Po co w ogóle zadawał sobie trud i z nią flirtował? Czemu udawał, że mu się podoba, a teraz milczy jak zaklęty? O co mu chodziło? Nie pojmowała. Może to taki sport? Czy przystojni faceci prowadzą statystyki i tym sposobem wyliczają sobie, jak bardzo nie można im się oprzeć? Wyobraźnia zaraz podsunęła jej obraz Feliksa, jak się przechwała: dziewczyna w agencji nieruchomości śliniła się na mój widok! Mówię wam, chłopaki, po prostu jadła mi z ręki.

Stuart i Pam przyszli o wpół do jedenastej. Hanna drzemała przed telewizorem.

- Nie spodziewałem się, że w piątkowy wieczór siedzisz w domu - stwierdził Stuart. Odstawił wielką walizkę na podłogę i ciekawie rozglądał się po małym mieszkanku.

- A gdzie miałam iść, skoro musiałam na was czekać? - Hanna od razu się zirytowała.

- Mogłaś zostawić klucze u sąsiadów - podsunął Stuart.

- Mogłaś zarezerwować hotel - odcięła się.

Pam nie zwracała uwagi na odwieczne kłótnie męża i szwagierki. Poszła do kuchni i nastawiła wodę na herbatę.

- Proszę bardzo, czuj się jak u siebie w domu - warknęła Hanna, wściekła, że bratowa panoszy się bez pozwolenia.

- Dobrze - odparła Pam, zadowolona z siebie. Nie pojmowała najbardziej przejrzystych aluzji.

- Ładnie tu. - Stuart ciężko usiadł na kanapie. Poruszył się, żeby sprawdzić sprężyny. - Znalazłaś sobie wreszcie faceta?

Hanna przypominała sobie, czemu w dzieciństwie żyli jak pies z kotem. Fizycznie podobni - oboje wysocy, ciemnowłosi, o takich samych oczach, całkowicie różnili się charakterem. Stuart był leniwy, lekkomyślny i, jak sam to dumnie określał, mówił co myśli. Według Hanny był po prostu brutalnie szczery. Uważała go za darmozjadą, a on ją - za sztywną nudziarę. Kiedy pracowała w hotelu Triumph, Stuart nie miał żadnych oporów, gdy prosił, by zarezerwowała mu najlepsze pokoje na wieczory kawalerskie dla niego i jego kolegów, ale ilekroć prosiła, żeby spojrzął na jej samochód - był mechanikiem - tak z tym zwlekał, że w końcu zdenerwowana szła do warsztatu.

- Tak, Stuart, znalazłam sobie faceta - warknęła. - Jest aktorem, teraz wyjechał - skłamała. - W pokoju gościnnym jest czysta pościel, ręczniki i koc. Dobranoc.

- Nie chcesz herbaty? - Pam stanęła w drzwiach z dzbankiem herbaty i paczką biszkoptów na tacy.

- Nie.

Dobrze chociaż, że wyszli wczesnym rankiem, choć nie obeszło się bez kłótni w łazience. Pam narzekała, że Stuart nigdy nie prawi jej komplementów.

Hanna nie spała, ale nie wstawiała, nie chcąc z nimi rozmawiać. Słyszała wszystko przez cienkie ściany.

- Kupiłam ten kapelusz specjalnie na ślub! - wrzeszczała Pam. - Mógłbyś choć raz powiedzieć, że mi w nim ładnie!

- Ale ci nieładnie! - odparł. - Czerwony kapelusz na rudych włosach! Idiotyzm!

Kiedy wyszli, głośno trzaskając drzwiami, Hanna wreszcie się odprężyła. Wstała, zaparzyła sobie kawy i zaplanowała cały dzień. Najpierw zakupy, potem siłownia, a wieczorem kino z Leonie i bliźniaczkami. W tym momencie przypominała sobie, że nie dała Stuartowi zapasowego klucza. Trudno, pomyślała zawzięcie. Nie wróci do domu przed jedenastą, a jeśli oni przyjdą wcześniej, ich sprawa. Nie trzeba było żałować na hotel.

Wróciła o wpół do dwunastej, zmęczona, ale zadowolona. Mel i Abby były takie zabawne, przy nich nie sposób się smucić. Obserwowanie, jak wyszukują w kinie co przystojniejszych chłopców było o wiele ciekawsze niż film. Doszła do szczytu schodów i zastała tam Stuarta i Pam. Wściekli, siedzieli przed drzwiami.

- Jak weszliście? - Zainteresowała się, zła, że inni mieszkańcy wpuścili ich do budynku.

- Nieważne - wybełkotał Stuart, zalany w trupa. - Dlaczego do cholery nie dałaś nam klucza? Albo nie czekałaś na nas w domu?

~ Wysłałam z chłopakiem - odparła słodko. - Zresztą nie spodziewałam się was tak wcześnie. Co, skończyła się darmowa woda, tak?

Otworzyła drzwi. Stuart zwałił się na kanapę, w ubraniu i w butach, i natychmiast zasnął. Jego głośne chrapanie niesło się po całym mieszkaniu. Hanna spojrzała na niego z niesmakiem.

- Nie rozumiem, czemu ciągle z nim jesteś - zwróciła się do bratowej. - To pijak, jak ojciec.

- Nieprawda. Nie jest taki jak ojciec - zaprotestowała Pam.

- Nie? - Hanna nie ukrywała goryczy. - Moim zdaniem jest identyczny: beużyteczny, śmierdzący leń. Nie mogę się nadziwić, że nadal chodzi do pracy. Myślałam, że już tylko ty zarabiasz, a on traci pieniądze na zakładach.

- Stuart już nie gra i nie pije dużo. W końcu byliśmy na weselu. Nie pamiętam, kiedy się ostatnio upił. To, że masz pretensje do ojca, nie znaczy, że masz tak samo oceniać Stuarta.

- Nie robię tego! - burknęła Hanna. - Ale widzę, że robi to samo. Jaki ojciec, taki syn.

- A może jaka matka, taka córka? - zauważyła Pam.

Hanna odwróciła się na pięcie.

- Nie jestem taka jak matka. Nie zwiążę się z beużytecznym frajerem, który nic nie robi.

- A jak określisz Harry'ego? - Pam wpadła jej w słowo.

Hanna zagryzła dolną wargę. To cios poniżej pasa.

- To ty wiążesz się z beużytecznymi frajerami - ciągnęła bratowa bezlitośnie. - Stuart przynajmniej się ze mną ożenił - prychnęła. Zaciągnęła protestującego Stuarta do pokoju gościnnego. Hanna została sama.

Nieprawda, nie wiąże się z beużytecznymi frajerami, nie, nie, nie. Miała pecha i tyle. Pam sama nie wie, o czym mówi. Gdyby Hanna miała męża takiego jak Stuart, wcale by się tym nie chwaliła. Doprawdy, niektórym kobietom się wydaje, że jak wyszły za mąż, to jakby złapały Pana Boga za nogi. Jak można być tak głupim?

Zmęczona po dwóch bezsennych nocach, gdy rozmyślała nad słowami Pam, Hanna zasnęła w poniedziałek. Obudziły ją wiadomości o ósmej.

- Cholera, cholera, cholera-jęczała. Nie zdąży umyć włosów. Szybko wzięła prysznic, włożyła pierwszy lepszy ciuch - brązową sukienkę, w której wyglądała dobrze właściwie tylko ze świeżo umyтыми puszystymi włosami i ostrym makijażem, i wybiegła z domu po piętnastu minutach. W samochodzie umalowała usta i oczy i klęła, że nie mogła umyć włosów. Nie zносиła tłustych kosmyków.

- Udany weekend, Hanno? - zapytała Gillian głośno. Spojrzała przy tym znacząco na zegarek. Było dziesięć po dziewiątej.

Hanna tylko prychnęła. Nie da się dzisiaj sprowokować.

Nalała sobie kawy i zabrała się od pracy. Miała duże zaległości, bo w czwartek i piątek głównie myślała o Feliksie. O wpół do jedenastej dopiła kawę zaledwie do połowy. Głodna jak wilk, przecież wyszła bez śniadania, poszła nalać sobie świeżej kawy. Może zostały jeszcze jakieś ciasteczka? Niestety, ekspres był pusty, podobnie jak talerz z ciastkami. Chciało jej się płakać. Była zmęczona, głodna i nieszczęśliwa. Cały świat się sprzyjszył przeciwko niej.

Zadzwoił telefon. Podeszła do swojego biurka.

- Jakie ma pani plany na dzisiaj, pani Campbell? - zamruczał Feliks. Mało brakowało, a upuściłaby słuchawkę ze zdumienia.

- Eee... żadne - odparła zaskoczona, całkiem zapomniawszy, że miała cierpieć.

- To dobrze. Wybierzesz się ze mną do teatru? A potem na kolację.

- Bardzo chętnie - odparła z mieszaniną radości i tęsknoty. - O której?

- Spotkamy się w pubie przy Gate o siódmej. Nie mogę się doczekać. - I już go nie było.

Zadzwoił w końcu. Zaraz jednak radość ustąpiła zdenerwowaniu. Ma brudne włosy, nieodpowiedni strój i żadnej nadziei, że zdąży do domu, żeby się przebrać przed spotkaniem.

Nie zapytała nawet, jaką sztukę wybrał. Proszę, taka z niej feministka, jeszcze wczoraj mówiła, że małżeństwo jest dla mięczaków, myślała tylko o niezależności i planowała karierę, a dziś zachowuje się jak rozpieszczony kot, łasi i odwraca na grzbiet, żeby ktoś podrapał ją po brzuszku. Zaraz jednak się uśmiechnęła. Jeśli to Feliks podrapie ją po brzuszku, nie ma nic przeciwko temu.

Wiedziała, że rozmyślanie o nim oznacza kolejny dzień zaległości, dlatego starała się skupić na pracy. Powie Davidowi, że musi dziś wyjść wcześniej, tym sposobem zdąży się przebrać. I umyć włosy.

Lecz nie tak miało być. O piątej David wezwał wszystkich do siebie. Omawiał strategię firmy i plany na przyszłość, a Hanna nerwowo wierciła się na krześle. Nie słyszała ani słowa z tego, co mówił. W wyobraźni

przeglądała swoją garderobę, starała się sobie przypomnieć, czy uprasowała nową czerwoną jedwabną bluzkę, tę związaną w talii. A bielizna? Zabije się, jeśli nie uprała beżowego stanika z koronki. Był to najseksowniejszy stanik na świecie. Świetnie wyglądał z czerwoną bluzką, jeśli rozepnie kilka górnych guzików. Zazwyczaj zapinała się pod szyję, ale sprawdzała to w domu przed lustrem i wiedziała, że wygląda bardzo pociągająco z odsłoniętym dekoltem. Dobrze, że ma szkła kontaktowe, nie okulary.

- Zdaję sobie sprawę, że już późno - powiedział David, patrząc na nerwową Hannę - ale moja stara znajoma ze Stanów zgodziła się łaskawie opowiedzieć nam o sytuacji na rynku nieruchomości w Ameryce. To dla nas bardzo przydatne ze względu na klientów ze Stanów, którzy przeprowadzają się do Irlandii. Pozwólcie, że wam przedstawię Martę Parker...

W innych okolicznościach Hanna byłaby zafascynowana panią Parker, elegancką kobietą o pięknych siwych włosach i emanującą pewnością siebie. Dzisiaj nie mogła się doczekać końca wykładu, żeby pognać do domu i zrobić się na bóstwo. Niestety, pani Parker miała wiele do powiedzenia. Skończyła o wpół do siódmej. Nie ma szans, żeby Hanna zdążyła do domu. Musi zdziwiać cuda z kosmetykami i dezodorantem i modlić się, żeby światła w teatrze były stłumione. Zaraz, zaraz, co takiego wyczytała kiedyś w prasie kobiecej? Jeśli chcesz odświeżyć włosy, nasyp na nie talku, poczekaj chwilę i wyczesz. Doskonale. Kupi talk w kiosku obok.

W damskiej toalecie niemal się udusiła od dezodorantu, nasypała sobie za dużo talku na głowę, więc nerwowo ścierała go z sukienki. Przez te przygotowania spóźniła się dziesięć minut. Była pewna, że jest spocona jak mysz. Na nic dezodorant i obficie użyte perfumy Opium, pożyczone od Donny.

Nawet w tonie przy barze Feliks się wyróżniał. Od samych drzwi widziała piękną jasną głowę. Rozmawiał z kimś. Z profilu wyglądał jeszcze lepiej; prosty nos mógł równie dobrze pochodzić ze średniowiecznego portretu dumnego księcia, silny podbródek był taki męski. Feliks odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Uśmiechnęła się mimowolnie, idąc do niego. Odwrócił się, zobaczył ją i w ciemnych oczach błysnął zachwyt.

Pod Hanną ugięły się nogi. Podeszła bliżej. Zamiast podać jej rękę albo cmoknąć w policzek, przyciągnął ją do siebie, schylił złotą głowę i pocałował w usta. Było to nieoczekiwane i cudowne. Przywarła do niego instynktownie.

- Może sprawdzicie, czy nie mają tu pokoi na godziny? - zażartował ktoś.

Oderwali się od siebie, Hanna czerwona ze wstydu, Feliks roześmiany.

- Jest piękna, chyba mi się nie dziwicie? - zapytał zebranych. Nie wypuszczają Hanny z objęć.

- Jak się masz, kochanie - zapytał niskim głosem. - Cały czas o tobie myślałem.

Złośliwy duszek podsunął jej odpowiedź.

- Doprawdy? W każdym razie nie śpieszyło ci się, żeby do mnie zadzwonić.

- Ojej - lekko uszczyptała ją w tali. - Pokazała pazurki. Cóż, zasłużyłem na to.

Hanna skrzywiła się. Ale głupio jej się wyrwało! Szkoda, że od razu nie powiedziała, jak przez dwa dni nie odchodziła od telefonu. Że też w porę nie ugryzła srę w język!

- Byłem bardzo zajęty na planie - wyjaśnił Feliks. - To moje wytłumaczenie. A teraz powiedz, czego się napijesz?

Już kręciło jej się w głowie. Nie potrzebuje alkoholu, więc zamówiła wodę mineralną.

- Napij się porządnie - nalegał. - Myślałem, że jesteś twardą dziewczyną, taką, co to odpala wibrator, sama skręca sobie tampony i pije czystą szkocką.

Zebrani ryknęli śmiechem.

- Jestem twarda tylko wobec mężczyzn - odparła Hanna słodko. - Poza tym jestem kwintesencją kobiecości.

- To mi się podoba! - stwierdził. - Więc niech będzie mineralna.

Nie przedstawił jej znajomym, i dobrze. W towarzystwie był inny niż wtedy w biurze. Wolała go samego.

O wpół do ósmej przeszli do teatru. Była to premiera sztuki *Wachlarz Lady Windermere*, jak się dowiedziała z plakatów. Rzadko bywała w teatrze i bała się, że to się wyda. Feliks, aktor, pewnie w kółko ogląda różne spektakle. Nie podobało jej się, że jej brak oglądy wyjdzie na jaw. Jej samokształcenie nie doszło jeszcze do teatru. Według Campbellów kultura to było coś, co jest w jogurcie. Tego zdania byli w każdym razie Stuart i ojciec, którzy uważali lekturę czegoś innego niż wyniki wyścigów za stratę czasu.

Ledwie weszli do środka, Feliks przeprosił ją na moment.

- Muszę się z kimś przywitać, zaraz wracam - powiedział i zostawił ją we foyer.

Zagubiona rozglądała się dokoła. Miała nadzieję, że sprawa wrażenie, jakby rozglądała się z zainteresowaniem, nie ze strachem. Obok niej dwie kobiety rozmawiały o sztuce, bręcząc bransoletkami i pijąc wino.

- Słyszałam, że Lubarte Players chcą wystawić *Verę* - powiedziała jedna.

- Tak? To straszne - mruknęła druga. - Nie do wiary, że Wilde to napisał. Zawsze powtarzam, że to mógł być on. - Zaśmiały się.

Feliks wrócił.

- Uwielbiam Wilde'a - westchnęła Hanna. - Podobno ktoś, nie pamiętam w tej chwili kto, chce wystawić *Verę* - dodała. - Nie lubię tej sztuki, zawsze miałam wrażenie, że Wilde nie był wtedy w szczytowej formie.

Spojrzał na nią uznaniem.

- Nie wiedziałem, że interesujesz się teatrem, moja droga - stwierdził.

Uśmiechnęła się niewinnie.

- Niewiele o mnie wiesz - stwierdziła żartobliwie.

Nie wiedziała, czemu tak bardzo podobała jej się sztuka - naprawdę była dobra, czy może w doskonały nastrój wprawiała ją bliskość Feliksa i jego dłoń na jej udzie.

Podczas przerw przechadzali się po foyer i rozmawiali. Feliks to gwiazdor, stwierdziła, gdy piąta osoba objęła go serdecznie i gratulowała świetnych recenzji za ostatnią rolę. Z rozmów wyniosowała, że grał niewielką rolę w brytyjsko-kanadyjskiej koprodukcji osadzonej napoczątku dziewiętnastego wieku. Obecnie kręcił angielski film. Chyba połowa aktorów irlandzkich była w jakiś sposób zaangażowana w produkcję.

- Straszna szmira, ale starczy na czynsz - westchnął elegant w aksamitnym garniturze. Miał małą rolę.

- Za żadne pieniądze nie zagrałabym w czymś takim! - prychnęła aktorka, która, jak jej szepnął Feliks, nie dostała roli.

Po wielu cmoknięciach w powietrze i zaproszeniach:

- Drogi chłopcze, musisz, po prostu musisz nas odwiedzić. - Hanna i Feliks wrócili na widownię.

- Po spektaklu natychmiast uciekamy - szepnął jej do ucha, pieszcząc oddechem. - Chcę mieć cię dla siebie, a później nie pozbedziemy się towarzystwa.

W trakcie oklasków złapał ją za rękę, pociągnął do taksówki i zawiózł na drugą stronę rzeki, do Trocadero, tradycyjnej knajpy aktorów.

Usiedli przy małym stoliku w rogu sali. Nie pytając jej o zdanie, Feliks zamówił łososia i szampana.

Nie wiedziała, co ją bardziej podnieca - jego wygłodzony wzrok, gdy na nią patrzył, czyjego władczość. Zadrżała z podniecenia na myśl o kochaniu się z nim.

Podano bułeczki. Feliks posmarował jedną masłem i karmił ją po kawałku.

- Jest delikatna i rozkoszna - powiedział - tak samo jak nasza miłość. Rozkoszna, ale - uśmiechnął się znacząco - nie delikatna.

Głośno przełknęła ślinę. Wszystko dzieje się za szybko, ale nie mogła nic na to poradzić - ona też tego pragnęła.

Podano szampana. Feliks nie odrywał od niej oczu. Płyn eksplodował w jej ustach, na języku tańczyły malutkie igiełki.

- Jesteś piękna - powiedział cicho i dotknął jej twarzy długimi palcami. Obrysował wysokie kości policzkowe, pełne, drżące usta. Wsunął palce w rozchylone wargi. Instynktownie zamknęła usta, uwięziła go, uczyła się językiem jego słonej skóry. Nigdy nie doświadczyła czegoś równie ekscytującego, a przecież są w restauracji! Bóg jeden wie, co się wydarzy w sypialni, z dała od kelnerów i innych gości w roli przyzwolitek.

Szerokie usta Feliksa rozciągnęły się w uśmiechu. Ogarnęło ją pożądanie. Wyjął palce z jej ust i dotknął swoich warg, jakby chciał poznać jej smak. Przechylił głowę na bok.

- Słodka - orzekł. - Słodka i... - obniżył głos do miodowego szeptu.
- Dojrzała.

Hanna dyszała ciężko.

Kelner przyniósł dwa talerze wędzonego łososia.

Najchętniej zrezygnowałaby z posiłku, zaciągnęła Feliksa do siebie i udowodniła mu, jaka jest słodka.

Lecz Feliks zajął się łososiem z takim samym zapałem, jak przedtem nią.

- Umieram z głodu - mruknął jedną ręką wyciskając cytrynę, drugą szybko machając widelcem. Obserwowała go. Nie chciało jej się jeść, pożądanie stłumiło inne instynkty. Zachwycona patrzyła, jak jasne włosy opadają mu na oczy, jak otwiera usta pełne lśniących białych zębów. To mężczyzna pełen namiętności, zauważyła rozmarzona, kocha jedzenie, kobiety, życie i seks.

- Nie jesteś głodna? - zdziwił się, patrząc na jej nietkniętą porcję. Uśmiechnęła się lekko.

- Nie. Odebrałeś mi apetyt.

Przysunął sobie jej talerz. Hanna dopiła szampana i dołała im obojgu.

- Opowiedz mi o sobie - szepnęła.

Zazwyczaj ludzie niechętnie spełniali tę prośbę. W przypadku aktora, jak się przekonała, było to zaproszenie do niekończącego się monologu. Feliks uwielbiał opowiadać o sobie.

Jadł zachłannie, popijał szampanem i opowiadał o swojej karierze i marzeniach. Hanna dotrzymywała mu kroku przy szampanie i słuchała zafascynowana.

Nie rozwodził się nad dzieciństwem i rodziną.

- Nie lubię o tym mówić - wyznał, patrząc jej w oczy. Lubił za to mówić o wszystkim innym. Miał trzydzieści siedem lat i wreszcie szanse na karierę. To była długa, trudna droga. Opowiadał, jak pierwszy serial, w którym grał, okazał się fiaskiem, a jego pierwsza mała rólka filmowa wylądowała na podłodze montażowni. Ale teraz wszystko się zmieni. Serial, w którym gra drugoplanową postać, cieszy się coraz większą popularnością i agenci wydzwanają do niego bez przerwy. Nadeszła jego pora, oznajmił dumnie.

Żył szybko i intensywnie, przyjęcia, premiery, castingi. Hanna czuła jednak instynktownie, że w głębi serca Feliks pragnie bezpieczeństwa. Jest taki jak ona, wiedziała to. Przeszłość sprawiła, że szuka bezpiecznej przystani. A ona mu ją da.

Towarzystwo z teatru dotarło i tutaj, posyłało wszystkim całusy, machało przyjaciółom i wrogom.

- Zastanawialiśmy się, gdzie zniknęliście - rzucił mężczyzna w akksamitnym garniturze o skarżycie! skim tonem.

- Życie prywatne to moja sprawa - burknął Feliks.

Skwitowali to wybuchem śmiechu i spojrzeli na sąsiedni stolik.

- Usiądźcie gdzie indziej - warknął Feliks. - Chcemy być sami.

Zazwyczaj oburzyłoby ją takie zachowanie, ale u Feliksa to co inne! Jest taki przystojny i zdolny, że ludzie lecą do niego jak ćmy do ognia i tylko tym sposobem może się ich pozbyć.

Rozmawiali, aż ochrypli, a w drugiej butelce szampana pokazało się dno. Wtedy zjawił się kelner z sambucca.

- Nie dam rady - zachichotała Hanna, patrząc na płonące szklaneczki. - 1 bez tego jestem pijana. Nie wiem, co zrobię, jeśli to wypiję.

Feliks błysnął oczami.

- Nie wiesz?

Siedział rozparty na krześle, patrzył na nią zachłannie i wodził palcem po kieliszku. Nagle przysunął się bliżej. Poruszyła się niespokojnie, gdy poczuła jego dłoń na udzie. Uniósł jej długą sukienkę.

Choć pijana, starała się go powstrzymać.

- Ktoś zobaczy - szepnęła zgorziona.

- I co z tego? - uniósł brwi. - Niech patrzą.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Nic nie widać - uspokoił ją. - Obrus nas zasłania.

W końcu zadarł jej sukienkę i jego dłoń spoczęła na jej udzie, okrytym tylko cienkimi rajstopami. *Zadrżała* pod jego dotykiem. Doszedł dopiero do połowy uda, ale jeszcze centymetr i zacznie krzyżeć. Była podniecona jak nigdy, jakby podłączył ją do maszyny wysyłającej ero tyczne bodźce do co wrażliwszych zakamarków jej ciała. Przesunął dłoń wyżej.

- Następnym razem załóż pończochy - mruknął. Jęknęła głośno i nagle Feliks cofnął rękę.

- Idziemy - powiedział szorstko.

W taksówce tylko ją całował, nic więcej. Tylko całował, a i tak traciła głowę z pożądania. Jej serce biło jak metronom, gdy szli na górę do jej mieszkania. Mocowała się z pękiem kluczy. Feliks milczał. W końcu znalazła właściwy klucz i otworzyła drzwi.

- Co prawda to *nie* pałac Buckingham... - zaczęła, kładąc torebkę na stoliku. Nigdy nie dokończyła tego zdania.

Drzwi zamknęły się i nagle znalazła się w ramionach Feliksa, jego dłonie mocowały się z jej płaszczem. Całowali się, mocno, gwałtownie. Feliks zdarł z niej płaszcz, podciągnął sukienkę, Hanna ściągnęła mu marynarkę i szarpała koszulę, aż urwały się guziki i jak grad rozsypały po podłodze.

- Jesteś piękna - mruczał z dłońmi pod jej sukienką. Pochylił złotą głowę nad jej piersiami. Nagle, jak doświadczeni tancerze, oderwali się od siebie na tyle, że zdążyła zdjąć sukienkę, a on spodnie. Przypomniała sobie, że ma na sobie rajstopy, które skutecznie gaszą męskie pożądanie, więc szybko je zdjęła. Dzięki Bogu, że ma przynajmniej ładne czarne jedwabne majteczki, szkoda, że stanik jest zwykły, biały, bawełniany. Co za pech, że nie włożyła korалowego przezroczystego kompletu. Bez namysłu ściągnęła i stanik. Podniosła wzrok i napotkała oczy Feliksa. Został tylko w bokserkach. Miał wspaniałe ciało: szczupłe, silne, umięśnione, złote. Widziała, jak bardzo jest podniecony. Jednym szybkim ruchem wziął ją na ręce i zaniósł na kanapę. Położył się na niej, triumfalnie wcisnął w poduszki, badał dłońmi całe jej ciało, szorstko pieścił nabrzmiałe piersi, ukrył usta we włosach.

- Jesteś piękna i seksowna, wiedziałem to od pierwszej chwili - szepnął ochryple.

Był bardzo podniecony, lecz znalazł w Hannie godną siebie partnerkę. Zmysłowość, którą przez tyle lat trzymała na wodzy, wyzwoliła się nagle jak tygrys, który znudzony więzieniem ucieka do dżungli tętniącej życiem. Kochali się gwałtownie i namiętnie, nie spokojnie i delikatnie, jak z Harrym. Wtedy seks był łagodny i powolny, teraz - dziki, prymitywny i intensywny. Feliks wpił się w jej usta, jakby chciał poznać każdy ich zakamarek. W odpowiedzi wbiła paznokcie w jego plecy i krzyknęła, gdy w nią wszedł, gdy wreszcie stali się jednością. Jęczeli i dyszeli, pragnąc

spełnienia i jednocześnie nie chcąc, by nadeszło. Hanna, lśniąca od potu, oplótła Feliksa ramionami i nogami, przyciągnęła go jak najbliżej, aż eksplodowała w dzikim, prymitywnym, wspaniałym orgazmie.

Jakby tylko na to czekał, jęknął, zeszywniał i także skończył, wołając jej imię raz za razem, póki nie opadł na kanapę koło niej, spocony i wy-czerpany.

Leżeli bez ruchu i dyszeli ciężko. Hanna czuła wszystkie mięśnie. Była cudownie odprężona i zarazem ogarnął ją spokój, jakby całe życie czekała na tę chwilę. A może, pomyślała czule, czekała na Feliksa.

Uniósł jej dłoń do ust i pocałował.

- Jesteś cudowna - powiedział.
- I kto to mówi! - zażartowała. - Jestem ledwo żywa. Zaraz tu zasnę...
- Do łóżka - zdecydował. Wstał i podał jej rękę.

Następnego ranka obudził ją radosny śpiew ptaków i tępy ból głowy - za dużo szampana. Poruszyła się i dotknęła Feliksa. Więc to nie był sen, pomyślała zadowolona. Cóż znaczy kac wobec takiego szczęścia?

Na paluszkach, żeby go nie obudzić, przemknęła się do kuchni i zażyła dwie tabletki przeciwbólowe. Jeszcze szklanka wody, żeby ugasić pragnienie, i poszła do łazienki. Włosy sterczały jej na wszystkie strony. Oczywiście wczoraj wieczorem nie w głowie było jej zmywanie makijażu, więc teraz miała na policzkach zacieki z tuszu, a usta opuchnięte od mocnych pocałunków Feliksa. Mówiąc krótko, wyglądała okropnie. Lecz dzisiaj emanowała czymś, co sprawiało, że nie liczyły się sińce pod oczami i potargane włosy. Jej oczy błyszczały, uśmiechała się bez przerwy. Jest zakochana! Uśmiechnęła się do siebie. Zakochana, zakochana, zakochana.

Doprowadziła się do porządku, z obawy, że ma nieświeży oddech, wyszorowała zęby, aż ją rozboleły dziąsła, i wróciła do sypialni. Wślizgnęła się pod kołdrę, położyła na Feliksie. Udawał, że dalej śpi, ale od razu odnalazł dłonią jej pierś. Jęknęła głośno. Uniósł jedną powiekę.

- Czy jesteś skowronkiem w łóżku? - zapytał ochryple. - Po ostatniej nocy myślałem, że raczej sową.

W odpowiedzi przesunęła się, tak że całkiem na nim leżała. Rozkoszowała się kontrastem - jej chłodne ciało na jego, rozgrzanym snem.

- Zdecydowanie skowronkiem - odparła.
- To dobrze. - Przyciągnął ją do siebie.

Jesienne słońce rozjaśniało fasadę siedziby firmy Dwyer, Dwyer & James. Hanna szła do pracy, beztrzesko wymachując torebką. Biuro wyglądało teraz zupełnie inaczej, pojaśniało, odkąd wypełniły je kolory firmy - biały i żółty. Uśmiechnęła się pod nosem. Dzisiaj wszystko wydawało się ładne. Nawet skwaszony policjant z drogówki jakoś wyprzystojniał. Nie miała już pretensji, że tydzień temu wlepił jej mandat. Miłość jest wspianała, stwierdziła. Lepsza niż różowe okulary.

- Dzień dobry, Hanno. - David James wysiadł ze srebrnego jaguara.

- Rzeczywiście dobry, nie uważasz? - rozpromieniła się.

David przyjrzał się jej uważnie.

- Jesteś na prozaku czy co? - zażartował.

- Nie. — Poczekała, aż otworzy jej drzwi. - Szczęśliwa, i tyle. Nie uwierzysz, kogo wczoraj spotkałam - zaczęła, nie mogąc się powstrzymać. Wiedziała, że nie powinna, ale musiała wypowiedzieć jego nazwisko: - Feliksa Andrettiego.

David zmarszczył brwi.

- Gdzie?

- W teatrze - odparła beztrzesko. - Wydaje się miły - zaczęła, licząc na to, że może się czegoś dowie.

- Tak? - David uniósł brew. - To niepodobne do Feliksa, którego znam i cenię. Miły? Nie takimi słowami określa się Feliksa. Ludzie albo go kochają, albo nienawidzą. Kobiety go kochają, póki ich nie rzuci, mężczyźni nienawidzą, bo podrywa najpiękniejsze dziewczyny.

- Tak? - Hanna starała się ukryć zaskoczenie. - Mnie w każdym razie wydał się miły. - Chciała pytać dalej, ale bała się.

- Był z kimś? - David zatrzymał się przy jej biurku.

- Nie. — Odparła z niewinną minę.

David uśmiechnął się pod nosem.

- Chyba traci formę - rzucił przez ramię. - Nigdy go nie widziałem bez wianuszka pięknych kobiet.

Hanna miała cały ranek, by to przemyśleć. Feliks i wianuszek pięknych kobiet. Była zbyt zazdrosna, by docenić fakt, że najwyraźniej i ona jest piękna, skoro boski Andretti uznał ją za godną siebie towarzyszkę. Analizowała fakt, że facet, z którym poszła do łóżka na pierwszej randce, jest kobieciarzem i zawsze ma pod ręką chętne kobiety, które rzuca, gdy mu się znudzą.

A czego się właściwie spodziewała? Feliks ma trzydzieści siedem lat, na pewno miał wiele kobiet. A jeśli umówił się z nią ten jeden raz, zaciągnął do łóżka i straci całe zainteresowanie, skoro już osiągnął cel? Może dlatego kobiety go nienawidzą. Po raz drugi w ciągu doby serce

Hannie zamarło, laka była głupia, idąc z nim do łóżka na pierwszej randce. Za kogo ją teraz ma?

Nerwowo przypomniała sobie ich rozstanie rano.

Pocałował ją namiętnie, powiedział: *Adios, bebe* i obiecał, że zadzwoni. No, właściwie nie obiecał, rzucił tylko: zadzwonię.

Czuła się jak ktoś, kto zawsze obstawia te same numery w lotto, ale akurat dziś, gdy padła na nie wygrana, nie wykupił losu. Co z ciebie za idiotka? Wymyślała sobie po raz setny tego ranka, gdy przy jej biurku stanął posłaniec, niemal niewidoczny za bukietem jasnoróżowych róż.

- Och! -jęknęła. - Dla mnie?

- Jeśli pani jest Hanną Campbell, tak - odpowiedział. - Proszę tu podpisać.

Ukryła twarz w kwiatach, ale nie pachniały. Mimo tego były piękne.

- Od kogo? - dopytywali się inni pracownicy.

Przeczytała bilecik.

„Dla Hanny, mojej pięknej, dojrzałej brzoskwini. Do zobaczenia wieczorem. Przyjadę o ósmej”.

Szczęście wypełniło ją całą. Nie uważa jej za głupią dziwkę; chce się z nią spotkać. Rozkosz.

Rozdział 12

Leonie przyglądała się uśpionemu kotu. Leżał skulony w kłębek, jak Lruda poduszeczka. Biedny Freddie. Usunięcie gumek, które połknął, nie było łatwe i nic dziwnego, że Angie bardzo się denerwowała przed zabiegiem.

- Ma czternaście lat, może nie przetrzymać narkozy - powiedziała do Leonie.

Pani Erskine wiedziała, jak wygląda sytuacja. Rozpłakała się, trzymając kota w objęciach, i powtarzała, że od śmierci męża ma już tylko jego.

- Jest stary, ale ja też. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

Leonie ścisnęło się serce, gdy patrzyła, jak Angie klepie starszą panią po ramieniu i wyprowadza do poczekalni. Freddie na szczęście przetrzymał narkozę śpiewając. Wyjęły z jego wnętrza pięć gumek. Nie przeżyłby, gdyby nie operacja.

Pogłaskała go delikatnie.

- Twardy z siebie zawodnik, Freddie - szepnęła, obserwując, jak kociak oddycha miarowo. Louise, druga asystentka w klinice, była zajęta, więc Leonie zaoferowała się, że zadzwoni do pani Erskine z dobrą nowiną. Staruszka będzie wniebowzięta, choć Freddie pójdzie do domu dopiero za kilka godzin, gdy się wybudzi z narkozy.

Zajrzała do sąsiednich klatek. Sąsiadki Freddiego, dwie kotki, które dziś wysterylizowano, nadal spały. Natomiast mieszkaniec klatki położonej niżej miał szeroko otwarte oczy. Był to czarny kocur, lokalny koci Don Juan, ojciec niezliczonych miotów kociąt. Nóż nie ominął i jego, Angie wykastrowała go w środę po południu. Czaił się w kącie klatki i syczał gniewnie na Leonie, jakby wiedział, co mu zrobiono i chciał pomścić utratę kociej męskości.

- Czy dziś jest ten dzień? - Angie wyłoniła się z małej łazienki, gdzie przebrała się w zwyczajne ubranie.

- Cicho! - syknęła Leonie przerażona. - Jeszcze ktoś cię usłyszy. Nikomu nic nie mówiłam. Tak, dziś jest ten dzień.

Leonie zdążyła już pożałować, że się umówiła na randkę w ciemno. Przed wszystkim żałowała, że w ogóle zamieściła ogłoszenie matrymonialne w gazecie. Wiedziały o tym tylko Hanna, Emma i Angie, ale to wystarczy. Przyjaciółki zachowały się cudownie, natomiast Angie coraz bardziej ekscytowała się całą sprawą, jakby oczekiwała, że Leonie lada dzień ogłosi zaręczyny. Gdyby nie spokojne, rozsądne uwagi Hanny, Leonie wyrzuciłaby wszystkie odpowiedzi do kosza.

Na ogłoszenie „rozwidzionej blondynki o posagowych kształtach” odpowiedziało dziesięciu panów. Dwóch wyraźnie zrozumiało, że pod płaszczkiem przyzwoitej kobiety oferuje usługi towarzyskie. Trzeci nabazgrał długopisem: matka dzieciom powinna się wstydić, żeby rzucać się na mężczyzn jak bezwstydnica. Rozważała, czy nie zachować tego listu dla potomności, ale zrezygnowała. Pozostała siódemka wydawała się normalna. No, powiedzmy, normalna. Ale z drugiej strony, co to znaczy: normalna?

Czy mężczyzna, który przedstawia się jako „wielbiciel golfa” będzie chciał rozmawiać na jakikolwiek inny temat poza piłkami, kijami i polem? I czy porzuci ją na całe lato, gdy czynne są pola golfowe? A „dobroduszny intelektualista, miłośnik teatru i literatury”? Może to arogancki snob, który z pogardą spojrzy na egzemplarz „Hello” na jej stole, a w łóżku na dobranoc będzie czytał Kafkę?

Hanna bardzo się ucieszyła, że Leonie dostała tyle odpowiedzi.

- Mówiłam ci, że na świecie jest pełno samotnych mężczyzn, którzy też chcą kogoś poznać - stwierdziła dumnie, gdy Leonie zadzwoniła z wiadomością. - Komu odpiszesz?

- Chyba tylko najlepszemu- stwierdziła Leonie. Nadal święcie wierzyła, że wystarczy spotkać się z jednym i to będzie miłość jej życia.

Hanna tego nie skomentowała, poprosiła tylko, żeby Leonie przeczytała kilka listów na głos. Zgodziły się, że najlepszy wydaje się Bob, nauczyciel, „wysoki, po czterdziestce, traci włosy, ale nie poczucie humoru”.

- Zachowaj resztę - poradziła rozsądnie Hanna. - Jeśli Bob okaże się świrem, zadzwonisz do kogoś innego.

Leonie zgodziła się, choć w głębi ducha była przekonana, że właśnie Bob jest mężczyzną z jej marzeń. W jego liście wszystko było tak jak trzeba;

To mój pierwszy raz. Pomocy! Jestem facetem po czterdziestce. Mój ostatni związek rozpadł się rok temu. Nie mam pojęcia, jak się dziś poznaje nowych ludzi. Wszystko się zmieniło od mojej młodości. Lubię dzieci, zwierzęta, góry i kino. Po raz pierwszy odpowiadam na ogłoszenie. Może to przeznaczenie?

Ostatnie zdanie przeważało szalę. Przecież Leonie żyła wiarą w przeznaczenie, los, kismet; wizją kochanków, którzy mieszkają na krańcach świata, ale i tak się kiedyś spotkają, bo są sobie pisani...

- Gdzie się umówiłaś z księciem z bajki? - zapytała Angie, malując usta.

- China Lamp.

Powiedział, że usiądzie po lewej stronie. Będzie miał na sobie dzinsy i tweedową marynarkę. Ma miły głos, ciepły i spokojny. Chińska restauracja w Shankhill jest chyba na tyle daleko od Greystones, że nie spotka nikogo znajomego, ale nigdy nic nie wiadomo. To byłoby okropne.

- Boże drogi, chyba zwariowałam -jęknęła. - Mam czterdzieści dwa lata i idę na randkę w ciemno. To szaleństwo, prawda?

- Wcale nie. To normalne w naszych czasach - odparła spokojnie Angie.

- A jeśli to świr? Może powinnam to odwołać albo po prostu nie przyjść. - Powoli ogarniała ją panika. To ostateczny krok, dużo gorszy niż wrzucenie koperty z ogłoszeniem do skrzynki pocztowej. Tamto było dziecinnie proste. Nikt cię nie zna, nikt się do ciebie nie odezwie, chyba że na twoje życzenie. Ale teraz to co innego.

- Uspokój się. Ten facet pewnie w tej chwili skarży się kumplom, że umiera ze strachu, bo na pewno umówił się z nienasyconą nimfomanką, która wabi niczego niepodważających mężczyzn niewinnymi ogłoszeniami.

Leonie wzdrygnęła się, zdejmując niebieski strój asystentki.

- Właściwie tak się czuję. Normalni ludzie nie piszą ogłoszeń matrymonialnych, prawda?

- Owszem, jeśli wszyscy ich przyjaciele mają kogoś i mogą liczyć jedynie na propozycje pijanych mężów - odparła Angie. - Zakładam, że nikomu w domu o tym nie mówiłaś?

Leonie uśmiechnęła się smutno. Nie pisnęła ani słowa matce. Nie żeby Claire miała coś przeciwko temu. Wręcz przeciwnie, byłaby zachwycona, że Leonie wreszcie wzięła sprawy w swoje ręce. Tylko że to takie żenujące, mówić najbliższemu, że uciekasz się do... ogłoszeń matrymonialnych. Dlatego przemilczała wszystko przed dziećmi. Myśla, że umówiła się na kolację z Emmą i Hanną. Co za upokorzenie, gdyby się dowiedziały i, prędzej czy później, wypaplały wszystko Rayowi! Matka umawia się na randki w ciemno, a jej były mąż szykuje się do ślubu z Najlepiej Ubraną, Najmądrzejszą i Najpiękniejszą Panią Mecenas w całym Bostonie! Jezu, jak ona jej nienawidzi.

- Daj mi jego telefon - zażądała Angie.

- Telefon?

- Na wypadek, gdyby okazał się świrem, głuptasie. Jeśli jutro nie przyjdiesz do pracy, zawiadomią policję i we wszystkich brukowcach opiszą pikantne szczegóły z twojego życia.

Angie osiągnęła zamierzony efekt. Leonie roześmiała się głośno.

- Nie wiem, co cię tak bawi - burknął Tim, główny weterynarz. Wszedł do gabinetu z psiskiem wielkości kuczka.

- Muszę zostać dłużej i wyjąć obecnemu tu maluchowi drzazgę z łapy. Leonie, będziesz mi asystowała?

- Nie może - Angie odpowiedziała za nią. - W tym tygodniu już dwa razy została po godzinach. Poproś Louise.

Leonie pomachała jej z wdzięcznością, porwała płaszcz z wieszaka i wybiegła z kliniki.

W domu trwała w najlepsze trzecia wojna światowa. Leonie nie zdążyła się rozebrać, a już musiała pośredniczyć w rozmowach pokojowych. Poprzedniego dnia Mel skorzystała z rzadkiej okazji, że matka wychodzi i zapytała, czy mogą z Abby zaprosić koleżanki na kolację. Nie ma sprawy, powiedziała Leonie i posłusznie podreptała do supermarketu po szaszłyki warzywne i wegetariańskie hamburgery, ostatnio najpopularniejsze posiłki nastolatek z Greystones. Niestety, dziś Danny sprowadził kolegów - równie potężnych i żarłocznych jak on, i we trzech splądrowali lodówkę, pożarli smakołyki Abby i Mel, a także sałatkę kartoflaną, którą Leonie chciała zjeść następnego dnia.

- Przecież on nie lubi takich rzeczy! - wrzeszczała Mel z oczami błyszczącymi od łez i wściekłości.

- To także mój dom! Trzeba było powiedzieć, że to dla twoich przyjaciółek! - prychnął Danny. Był wyjątkowo arogancki, bo chciał zaimponować kolegom. Wrócił do siebie, ostentacyjnie trzaskając drzwiami. Po chwili rozległa się głośna muzyka, a Mel zalała się łzami.

- Nienawidzę go! - szlochała. Leonie pocieszała ją i zastanawiała się, jak i kiedy zdaży się wyszykować na randkę w ciemno. Penny, która nie znosiła kłótni, skuliła się w koszyku przy toaletce i obserwowała wszystkich smutnymi ślepiami. Gdy poczuła na sobie wzrok pani, zaszkomlała cichutko. Leonie posłała jej całusa nad głowę Mel. Sądząc po nieszczęśliwej minie Penny, jeszcze nie była na spacerze.

- Posłuchaj - zwróciła się do córki. - Pobiegniemy zaraz do sklepu i kupimy coś dobrego, w porządku?

Mel wytarła nos rękawem. Mimo dorosłych ciuchów - miała na sobie obcisły różowy sweterek i workowate dzinsy - wyglądała na młodszą niż czternaście lat, jak zawsze, gdy była smutna. - W porządku - zgodziła się pochmurnie.

Akurat wtedy rozległ się dzwonek do drzwi.

- Już tu są! - Mel rozszochała się na nowo.

W holu dziewczynki paplały radośnie. Po chwili Abby zajrzała do kuchni.

- Liz i Susie mają ochotę na frytki, Mel. Mamo, możemy skoczyć po frytki? Wrócimy za kwadrans, najwyżej za dwadzieścia minut.

- Tak, ale wróćcie, zanim wyjdę. - Leonie odetchnęła z ulgą, że burza została zażegnana.

- Dzięki, mamo - Mel uśmiechnęła się szeroko. Wrócił jej dobry humor. - Pożyczysz mi trochę pieniędzy?

- Weź z portmonetki, ale nie ruszaj banknotu!

- Dobrze. - Mel wybiegła z kuchni roztańczonym krokiem.

- Jest boski! - rozległo się w holu.

- Czy to kolega Danny'ego? - zapytał zachwycony głos, który zidentyfikowała jako należący do Liz. Jeden z kolegów Danny'ego, pewnie sobowtór Ricky'ego Martina, wyjrzał z pokoju ciekaw, co to za hałasy.

- Tak, przedstawię ci go, jak wrócimy. - Mel chyba zapomniała, że jeszcze kilka minut temu najchętniej zamordowałyby brata i jego kolegów. Dziewczynki wyszły. Muzyka w pokoju Danny'ego przybrała na sile.

Kiedy w domu zapanował względny spokój, Leonie z westchnieniem zastanowiła się, czy zdaży się wykapać. Mel zaraz łypnie podejrzliwie, czemu matka tak się szykuje na zwykłe spotkanie z przyjaciółkami. Mel

stroїła się wyłącznie na uzytek płci przeciwnej i zaczęłaby coś podejrzewać, gdyby Leonie szykowała się dłużej niż zazwyczaj. Piętnaście minut wystarczy na kąpiel, rozważała. Niestety, Penny miała inne plany. Teraz, kiedy nikt już nie krzyczał, wylazła z koszyka, przeciągnęła się i otrzepała.

Wyraźnie miała ochotę na spacer, a było oczywiste, że żadne z dzieci, które wiecznie się kłóciły, kogo Penny kocha najbardziej, nie wyprowadzi jej teraz. Leonie uległa i wypowiedziała magiczne słowo: spacerek? Penny udawała, że nie rozumie wypowiedzi typu: Złaż z kanapy! Albo: Niegrzeczny pies zjadł resztki kurczaka! Ale „spacerek” rozumiała doskonale. Pytania typu: Czy ktoś pójdzie ze mną na spacerek? budziły w niej dziką radość.

- Chodź, Penny. - Leonie poklepała najwierniejszą przyjaciółkę po grzbiecie. - Idziemy.

Włożyła starą kurtkę, wyciągnęła smycz z kieszeni i wyszła w październikowy wieczór. Dochodziła szosta piętnaście, było jeszcze widno, ale lodowaty wiatr szeleścił wśród liści. Zadowolona ze spaceru, Penny szarpała się na smyczy, radośnie wbiegła do kałuży, szukała czegoś w stertach liści. Zimny wiatr przenikał kurtkę Leonie. Przeszły na drugą stronę jezdni i skrzyły w wąską krętą uliczkę, z dala od głównej szosy Greystones. Było to idealne miejsce do spacerów, jeśli było za ciemno, żeby iść na pola. Latem Leonie chętnie chodziła na pola, gdzie spuszczała Penny ze smyczy, ale po ciemku wolała wąską uliczkę, tu przynajmniej jest gdzie uciekać, gdyby na drodze pojawiała się ciemna groźna postać. Mel i Abby nie pozwalała na spacer po polach - nigdy nie wiadomo, kogo można tam spotkać.

Dzisiaj maszerowały wyjątkowo szybko. Penny co chwila zatrzymywała się i węszyła intensywnie w miejscach, gdzie inne psy zostawiły swoje ślady. Przy każdym szczególnie interesującym miejscu musiała i ona się załatwić. Patrzyła przy tym na Leonie przepraszająco, jakby chciała powiedzieć: Przykro mi, ale tak trzeba. Zazwyczaj Leonie nie miała nic przeciwko temu, ale dzisiaj się spieszyła.

- Chodź, Misiu-Pysiu - poganiała ją. - Nie możesz przecież wszędzie siusiać. Mamusia się spieszy. Jutro pójdziemy na długi spacer, obiecuję.

- Dzień dobry.

Przestraszyła się śmiertelnie. Nie zauważyła mężczyzny, który wyszedł z bramy, prowadząc dwa owczarki collie. Zawstydzona, że przytępała ją na gaworzeniu do psa jak do dziecka, wymamrotała:

- Dzień dobry - i poszła dalej.

Co za wstyd. Nie wyglądał na kogoś, kto gaworzy do psa jak do dziecka, pewnie nawet nie pozwala im wchodzić do łóżka. Potężny, zwałyty

mężczyzna mieszkał od niedawna w ich okolicy. Kupił dom starego lekarza. Biedne psy pewnie marzną w psiarni na dworze. Leonie przyspieszyła kroku. Nie może jeszcze zawrócić, bo znowu na niego wlezie i wtedy facet uzna, że ona jest niedobrą panią, bo zabiera Penny na taki krótki spacer. Było już w pół do siódmej, ale szła dalej. Po kolejnych dziesięciu minutach uświadomiła sobie, że za żadne skarby nie zdaży wejść pod prysznic, nie mówiąc o kąpeli. Zawróciła i pognała do domu.

Ledwie otworzyła drzwi, powitał ją podmuch ciepłego powietrza i zapach frytek. Od razu zgłodniała. Dziewczynki siedziały w kuchni i od niechcienia skubały frytki. Ostatnimi czasy Mel głównie grzebała w talerzu z determinacją supermodelki, która liść sałaty zjada w dziesięć minut. Ale przynajmniej je, pomyślała Leonie. Abby natomiast nie jadła nic. Dolewała wszystkim soku pomarańczowego i z zaciekawieniem słuchała wywodu Liz, że nauczycielkę francuskiego należałoby zastrzelić.

- Dobry wieczór, pani Delaney! - powitały ją chórem Liz i Susie.

- Dobry wieczór, dziewczynki. - Leonie z trudem się powstrzymała, by nie ukraść paru frytek. - Nie jesz, Abby?

- Już skończyłam - wyjaśniła szybko. - Byłam bardzo głodna.

- No, dobrze, dziewczynki, zostawiam was na gospodarstwie.

Kwadrans później wyszła z domu. Miała nadzieję, że nie wygląda beznadziejnie. Bob zapewne spodziewa się eleganckiej kobiety, obwieszanej biżuterią i pewnej siebie, a czeka go spotkanie z zaniedbaną rozwódką. Na pewno śmierdzi potem, frytkami i kliniką weterynaryjną.

China Lamp w Shankhill otwarto kilka miesięcy temu, ale budynek z czerwonej cegły wydawał się znajomy. Po chwili Leonie uświadomiła sobie, że pamięta go sprzed lat, restauracja nazywała się wtedy Punjab Kingdom. Była tu jeszcze jako żona Raya. Rzeczywiście wieki temu. Wysiadła z samochodu, w ostatniej chwili opanowując odruch, by sprawdzić w lusterku, jak wygląda. Trudno, muszą wystarczyć resztki porannego makijażu. Jest normalną nowoczesną kobietą i idzie na randkę w ciemno. Wiele osób to robi, nie ma się czym denerwować, naprawdę.

W środku odwaga znikła. Najchętniej uciekłaby od razu. Jak szukać nieznanego faceta? Może ma podejść do kelnera i wymamrotać:

- Przepraszam, gdzie siedzi samotny facet w dzinsach i tweedowej marynarce? Mam z nim dzisiaj randkę.

Zaczerwieniła się ze wstydu na tę myśl. Co za głupota. Powinna teraz siedzieć w domu, rozmawiać z przyjaciółkami córek, zajądać frytki i myć naczynia, a nie stać tu i czekać na nieznanego faceta...

- Leonie?

Zamrugnęła szybko i spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę. Rzeczywiście miał na sobie tweedową marynarkę, dżinsy i starannie wyprasowaną niebieską koszulę. Podniosła głowę. Był wysoki. Bardzo wysoki. I nie wygłupiał się, twierdząc, że łysieje. Miał sympatyczną twarz, wymiersoną i zmęczoną, ale miłą. Dzięki Bogu, nie wygląda na psychopata.

- Bob? - uśmiechnęła się z trudem.

- We własnej osobie! - Niezdarnie cmoknęła ją w policzek. - Żeby nikt się nie domyślił, że spotykamy się po raz pierwszy - wyjaśnił bojaźliwie. - Pomyślałem, że jeśli podamy sobie ręce, będzie jasne, że się nie znamy. Usiądziemy?

Podszedł do stolika w rogu i przytrzymał jej krzesło, jakby bardzo mu zależało, żeby w końcu usiedli. Leonie nie zauważyła, żeby zwracali na siebie uwagę całej restauracji. W końcu żadne z nich nie trzymało czerwonej róży w zębach ani nie obnosili się ostentacyjnie z poranną gazetą pod pachą.

Usiadła posłusznie. Kelner podał kartę dań, ten sam kelner, którego pamiętała z dawnych lat, zauważyła ze zdumieniem. Gdy odszedł, spojrzała na Boba i usiłowała sobie przypomnieć, co się mówi na pierwszych randkach.

- Więc - zaczęła radośnie - Cieszę się, że cię poznałam. W końcu. - Mimo woli znowu się uśmiechnęła, szeroko i fałszywie.

- Ja też - odparł Bob z podobnym grymasem. - Eee, może wybierzemy coś do jedzenia?

- Tak! - zareagowała entuzjastycznie. Wszystko, byle nie rozmawiać. Udawała, że studiuje zestawy obiadowe, a w rzeczywistości ukradkiem obserwowała swojego towarzysza. Wyglądał raczej na pięćdziesiątkę niż czterdziestkę z okładem; może to przez pracę w szkole. Był siwy, miał liczne zmarszczki. Z drugiej strony, nie powinna się czepiać. Co rano studiowała swoje odbicie w lustrze i coraz częściej dochodziła do wniosku, że jej twarz przypomina szczegółową mapę Paryża z obwodnicami zaznaczonymi na czerwono.

Bob miał sympatyczne niebieskie oczy, był miły, ale zdenerwowany. Doskonale go sobie wyobrażała w klasie, jak z powagą i skupieniem wprowadza młodzież w arkana... No właśnie, czego?

- Czego uczysz? - zapytała, dumna, że wymyśliła temat do rozmowy. Jego oczy rozbliły.

- Matematyki i fizyki.

Po uśmiechu Leonie nie było śladu. Gdyby uczył historii albo biologii, mieliby o czym rozmawiać. Ale fizyka i matematyka... Przed jej oczami

stała siostra w czarnym habicie, jak czeka przy tablicy, aż piętnastoletnia Leonie udowodni twierdzenie Talesa. Długo czekała, o ile jej pamięć nie zawodzi.

- Jezu -jęknęła bezradnie. - Matematyka nigdy nie była moją mocną stroną, delikatnie mówiąc...

- Nie ma sprawy - nie dał jej dokończyć. - Matematyka nie jest mocną stroną wielu osób. Zwłaszcza tych dzieciaków, które teraz ucę - skrzywił się zabawnie. - Zresztą nie rozmawiajmy o mojej pracy. To straszne nudy w porównaniu z tym, co ty robisz. Moja była zawsze powtarzała, że byłbym mistrzem nudziarzy w opowieściach o pracy. Lepiej opowiedz, czym ty się zajmujesz.

Leonie zapamiętała gorzką uwagę o byłej (dziewczynie czy żonie?), pomyśli o tym później, i uraczyła go zabawną, lekką opowieścią o tym, jak to w jednej chwili trzymasz na ręku słodkiego zwierzaka, a w następnej płaczesz z bólu, bo słodki zwierzak okazał się krwiożerczą bestią. Wspólny śmiech pomógł przełamać pierwsze lody. Bob zrewanżował się opowieścią o Brandy, ukochanym terierze, który miał słabość do bułeczek drożdżowych i resztek likieru Bailey's.

- Wspaniały pies - stwierdziła. Jeśli Bob ma psa, sytuacja wygląda o wiele lepiej. Nie mogłaby się spotykać z kimś, kto nie lubi zwierząt.

- Niestety, nie mieszka już ze mną - dodał z westchnieniem. - Jest z moją byłą i jej mężem. Mają więcej miejsca, więc tak jest lepiej. Zresztą, mnie cały dzień nie ma w domu, a ona wychowuje dziecko.

- Aha.

Kelner nie miał nawet pojęcia, jak mało brakowało, a Leonie ucałowałyby go z wdzięczności, że zjawił się akurat wtedy.

- Chcemy zamówić - oznajmiła radośnie.

- Ja jeszcze nie wiem - wykręcał się Bob.

Kelner oddalił się dyskretnie.

- Nie! - wrzasnęła Leonie. - Zaraz zdecydujemy. - Przynajmniej dzięki temu przestaną rozmawiać o byłych.

Niestety, przeliczyła się w tym względzie. Bob się nie zniechęcał. Najwyraźniej hołdował przekonaniu, że nowa kobieta w jego życiu musi wiedzieć wszystko o poprzedniej i sumiennie opowiadał Leonie wszystko o Colette. Kiedy podano chrupiącą kaczkę, wiedziała o Colette więcej niż o Bobie. Także uczy, ale teraz jest na urlopie wychowawczym. Mieszka w Meath, chodzi na kurs aromaterapii, a jako dziecko doskonale grała na skrzypcach, co za szkoda, że przestała.

- Ale życie toczy się dalej, prawda? - zasugerowała Leonie, gdy miała już dosyć i Colette, i kaczki. - Właśnie dlatego tu jesteśmy, Bob. Bo

życie toczy się dalej. - Posłała mu surowe spojrzenie, które ćwiczyła w klinice na dzieciakach, tłumacząc im, że zwierzęta wymagają opieki i troski, a nie tylko pieszczot i zabaw.

- Tak - przytaknął gorliwie, jakby długo o tym rozmyślał. - Życie toczy się dalej, trzeba poznawać nowych ludzi, którzy rozumieją, co się z tobą dzieje; rozpacz, cierpienie, bezsenne noce. Wiem, że ty mnie rozumiesz, Leonie - dodał z przejęciem, głodnym wzrokiem patrząc na wyraźniejsze niż zazwyczaj wypukłości jej biustu pod aksamitną sukienką. - Wyglądasz na wyrozumiałą.

Leonie tylko skinęła głową, ciekawa, czy wyrozumiałość według niego polega na posiadaniu obfitego biustu. Pewnie tak. Rola kobiety idealnej dostała się Colette, Leonie może się tylko bawić w opiekuńczą pocieszycielkę, dzięki której Bob na krótko zapomni o samotności.

- Niewiele osób rozumie, jak to jest, gdy ukochana cię zostawia tylko dlatego, że się zmieniłeś i nie jesteś już taki jak na początku - Bob smętnie utkwiał wzrok w resztkach posiłku. - Ludzie się zmieniają, teraz to wiem, ale przecież można zmieniać się razem. To trudne, ale możliwe. Po prostu trzeba chcieć.

- A Colette nie chciała? - Leonie dała za wygraną. Nie ma co się łudzić, że ten wieczór upłynie bez Colette.

Smutno pokręcił głową.

Westchnęła. Jasne jak słońce, że Bob nie szuka nowej partnerki, tylko terapii dla Anonimowych Porzuconych. Nie wiadomo dlaczego założył, że „rozwidziona blondynka o posagowych kształtach” zalicza się do tej samej kategorii i dlatego odpowiedział na jej ogłoszenie. On nie szuka miłości, bo ciągle jest zakochany. W Colette.

Bob z każdą chwilą pogrążał się coraz bardziej w depresji, ale przynajmniej przestał się tak strasznie denerwować. Jeśli Leonie była niepokojna przed pierwszą randką w ciemno, to Bob miał chyba istną fobię. Ilekroć w zasięgu wzroku pojawiał się kelner, Bob prostował się gwałtownie, jakby zaraz się spodziewał, że przedstawiciele komitetu rodzicielskiego spojrzą na niego z góry i orzekną, że nauczyciele, którzy chodzą na randki w ciemno, nie stanowią odpowiedniego przykładu dla młodzieży.

Co on tu robi, zastanawiała się, leniwie żując krewetkę. Udało im się porozmawiać o innych zainteresowaniach Boba: kinie i górach.

- Kiepski ze mnie piechur, choć codziennie chodzę z Penny na spacer. Za to uwielbiam dobre filmy. Tylko że nie mam z kim chodzić, bo moja mama woli teatr, a dzieciaki Jamesa Bonda albo filmy z nastoletnimi idolami, których nie znam.

- Więc pójdziemy razem - zaproponował Bob zadowolony. - Może za tydzień? Wybierz film.

Przynajmniej umówili się na coś w rodzaju randki, stwierdziła w drodze do domu zmęczona, choć chińskie jedzenie podchodziło jej do gardła. Bob z pewnością nie nadaje się na towarzysza życia, ale jest dobrym przyjacielem, a czyż nie to zawsze radzili w gazetach? Poznawaj nowych ludzi, nowych przyjaciół, a mężczyzna twojego życia pojawi się w najmniej oczekiwanym momencie. W gazecie wyglądało to przekonująco.

Dziwny wieczór. Uświadomiła sobie, że nawet opowiadała o Rayu. Cóż, przebywając z kimś obsesyjnie zainteresowanym związkami z przeszłości, nie sposób nie wtrącić swoich trzech groszy. Zresztą, Bob był żywo zainteresowany, ale i zaszokowany gdy się dowiedział, że to ona zainicjowała rozwód.

- Tak po prostu doszłaś do wniosku, że wszystko skończone? - dopytywał się.

Leonie wzruszyła ramionami.

- Po co mieliśmy być dalej razem, skoro do siebie nie pasowaliśmy? Wiele osób tak robi z czystego wygodnictwa. Nie pojmuję tego. To tak, jakbyś miał wielką ochotę coś zrobić, ale za bardzo się boisz. To strach przed nieznanym, a nie miłość. Nie potrafiłabym tak żyć. Wierzę, że każdy z nas kiedyś odnajdzie swoją drugą połówkę.

Bob spojrział na nią tępym wzrokiem. Było jasne, że niczego nie rozumiał. Podobnie jak matka, zauważyła Leonie przed domem. Co jakiś czas Claire, zazwyczaj abstynentka, zmieniała sok pomarańczowy na wino i robiła córce wyrzuty, że się rozwiodła z Rayem.

- Nigdy nie znajdziesz drugiego takiego faceta - powtarzała smutno.

Leonie dziękowała opatrności, że Claire nic nie wie o randce w ciemno. Bob z pewnością w niczym nie przypominał Raya - innymi słowy, nie nadawał się na męża.

Po dobrym humorze Mel nie było śladu.

- Danny to kretyn - oznajmiła gniewnie, zanim matka zdążyła zdjąć płaszcz.

- Nie wyrażaj się, Melanie - skarciła ją Leonie. - Co znowu zrobił?

- Cały czas oglądał film na wideo i nie mogliśmy z dziewczynami obejrzeć *Ostrego dyżuru* - poskarżyła się. - I na dodatek pozwala im palić w domu.

- Nie możesz trzymać buzi na kłódkę, co? - Dobięł z salonu wrzask Danny'ego.

- No, przecież pozwalasz im palić - Mel upierała się przy swoim.
- Oczywiście, a ty, świętoszko, za żadne skarby świata nie weźmiesz papierosa do ust, prawda?

Mel umilkła podejrzenie szybko. Pewnie popała, domyśliła się Leonie. To się musi skończyć. Mel może się pożegnać z tygodniówką, jeśli pali. Ale niech to będzie kłótnia na jutro. Na dzisiaj miała już dosyć.

- Przestańcie - powiedziała stanowczo. - Nie mam ochoty tego słuchać. Chociaż raz zachowujcie się odpowiednio do waszego wieku.

Abby siedziała w kuchni z Penny. Powitała matkę radosnym uśmiechem.

- Doskonale, mamó! Skakali sobie do gardeł, odkąd wyszłaś. Już chciałam zadzwonić do babci i zapytać, czy mogę u niej przenocować. A tak przy okazji, Hanna dzwoniła i prosiła, żebyś się odezwała, jak wrócisz. - W oczach Abby błysnęły psotne iskierki. - Nie powiedziałam jej, że przecież spotyka się dzisiaj z tobą i z Emmą.

Leonie uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Zdradzę ci mój sekret, jeśli obiecasz, że dotrzymasz tajemnicy.
- Mamó! - Abby się obruszyła. - Przecież wiesz, że potrafię trzymać język za zębami!

- Wiem, wiem. - Abby rzeczywiście nie zdradziłyby tajemnicy, w przeciwieństwie do siostry, która owszem, przysięgłaby milczeć do grobowej deski, ale wytrzymałaby najwyżej jeden dzień. Leonie nie podobało się, że przez nią Abby będzie coś ukrywała przed siostrą, ale znała swoje córki. Abby się ucieszy, że matka się z kimś spotkała, Mel nie. Kapryśna i wymagająca, chciała być zawsze w centrum uwagi i nie przyjełaby dobrze pojawienia się rywala, nawet gdyby to był tylko Bob.

- Byłam na kolacji... Hanna umówiła mnie ze swoim znajomym - zaimprowizowała naprędce. - Jest bardzo miły i myślałam, że może coś między nami zaiskrzy. I zaiskrzyło - dodała delikatnie - ale to tylko przyjaźń.

- Nadal kochasz tatę? Czy dlatego nikogo nie masz? - zapytała Abby nieoczekiwanie.

Leonie poczuła się, jakby dostała pięścią w żołądek.

- Czy tak sądzisz? Że nadal kocham tatę w ten sposób? Że jestem zła z powodu Fliss?

Z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę, j akby się bała, że powiedziała coś nie tak, Abby tylko skinęła głową.

- To wcale nie tak, kochanie - tłumaczyła Leonie. - Cieszę się, że tata jest szczęśliwy, i nie kocham go w ten sposób. Kocham go, owszem, ale jako przyjaciela, jako waszego ojca, nie jak mężczyznę. - Boże, zastanawiała się gorączkowo, co jeszcze powiedzieć, jak przekonać Abby, że nie przejmuje się matrymonialnymi planami Raya?

- Nie martwisz się ślubem..., Ale sprawiałaś takie wrażenie - wykrztusiła Abby.

- Naprawdę?

Skinęła głową.

- Byłam w szoku i tyle - Leonie się speszyła. Pewnie wyglądała strasznie tamtego dnia, gdy dzieci wróciły z Ameryki. Myślała, że dobrze ukryła swoje reakcje. Najwyraźniej się myliła.

- Nie chciałam się z nikim spotykać, kiedy byliście młodszy - wyjąśniła pospiesznie. - Nie miałam głowy do romansów, musiałam się wami zająć. - Czule pogłaskała córkę po policzku.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa - Abby była bliska łez. - Skoro tata jest szczęśliwy, ty też możesz. Jaki on jest, ten facet, z którym się dzisiaj spotkałaś?

Po raz pierwszy podczas trudnej rozmowy Leonie uśmiechnęła się szczerze:

- Miły, ale daleko mu do Brada Pitta. . . .

Abby zachichotała.

- I dobrze, Mel by ci tego nie darowała.

- Jest nauczycielem. Bardzo sympatyczny, ale będziemy tylko przyjaciółmi. Ale fajnie jest poznawać nowych ludzi.

- Tatusz bardzo chciałby, żebyś przyjechała na ślub - oznajmiła Abby. Leonie nie wierzyła własnym uszom.

- To bardzo miło z jego strony, ale... To chyba nie jest dobry pomysł.

Abby jeszcze nie skończyła. Wydawało się że za wszelką cenę chce doprowadzić temat do końca, skoro już zaczęła.

- Któregoś dnia Fliss zabrała Mel na zakupy i długo rozmawiałam z tatą. Pytał o ciebie, czy jesteś szczęśliwa. Opowiedział, że jest szczęśliwy jak nigdy dotąd.

- To dobrze - powiedziała cicho. - Oczywiście, że jestem szczęśliwa, Abby. Mam waszą trójkę, Penny i Clover. Nie potrzebuję mężczyzny do szczęścia. Zobacz, babcia mieszka sama i jest szczęśliwa, prawda?

- Babcia to co innego. Ona nikogo nie potrzebuje.

To prawda, zadumała się Leonie. Jej matka to samotnica, do szczęścia wystarczyło jej towarzystwo ukochanych kotów i wizyty u córki, a potem powrót do swojego sanktuarium. Leonie żałowała, że nie odziedziczyła po niej tej cechy.

- Wczoraj myślałam o tym, co będzie, gdy Danny, Mel i ja się wyprowadzimy i zostaniesz tu sama z Penny - zaczęła Abby. - Będziesz samotna. Wiem o tym.

- Abby- Leonie pocałowała ją w czoło. - Do tego jeszcze dużo, dużo czasu. Na razie nawet o tym nie myślmy, dobrze? A teraz, kochanie, spać, jutro idziecie do szkoły, chociaż twoja siostra chyba o tym zapomniała.

Abby poszła po Mel, a Leonie złapała za telefon i zadzwoniła do Hanny. Przyjaciółka bardzo przepraszała, że zadzwoniła za wcześnie.

- Zadzwoniłam o jedenastej, a pamiętałam, że umówiłaś się z nim na wpół do ósmej, więc byłam pewna, że już wróciłaś. Chyba dobrze poszło? - zapytała znacząco.

~ Eeee - Leonie się zawahała. - To zależy, co rozumiesz przez „dobrze poszło”.

- Aha.

- No właśnie, aha. Powiedzmy tak: na twoim miejscu nie spodziewałabym się żadnych zaproszeń na ślub w najbliższym czasie.

- Cóż, nie wiedziałam, że chcesz go zaciągnąć do ołtarza, ale rozumiem, że Bob nie okazał się ucieleśnieniem marzeń samotnej kobiety?

- Owszem, jeśli kobieta jest psychiatrą i pisze doktorat o traumie rozstania z poprzednią ukochaną.

- Żartujesz.

- Niestety, nie. To uroczy, przemiły człowiek, ale ma obsesję na punkcie swojej byłej. Na następnej randce spodziewam się albumu ze zdjęciami - zażartowała Leonie.

- Czyli umówiłaś się na drugą randkę!

- Właściwie nie. Idziemy do kina. Prawdopodobnie na coś czarno-białego i szwedzkiego - dodała ze wzruszeniem ramion - ale przynajmniej wyjdę z domu.

- Zadzwonź do następnego faceta z listy - podsunęła Hanna.

Leonie pokręciła przecząco głową i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że przecież Hanna jej nie widzi.

- Na razie mam dosyć randek w ciemno - powiedziała.

- Leonie, nie możesz się teraz wycofać. Pomyśl o innych, którzy odpisali na *twój* anons. Może wśród nich jest ten jeden jedyny.

- Więc niech jeszcze poczeka - odparła twardo. - Muszę dojść do siebie po wspaniałej randce z Bobem. Zresztą, kto wie - dodała, choć ona już wiedziała. - Może to on jest tym jednym jedynym. Może po prostu potrzebuje więcej czasu.

- Czasu u psychiatry, chciałaś powiedzieć - poprawiła Hanna. - No dobra, wygrałaś. Nie będę cię ponaglała, ale do czasu. Czekałam na romans stulecia i nie dam ci spokoju, póki mi go nie dostarczysz!

Hanna wróciła do łóżka i przejrzała egzemplarz *Przewodnika po handlu nieruchomościami*. Dał jej go David James. Przebrnęła do połowy i czytała chciwie, chcąc jak najwięcej się nauczyć o nowej pracy. Po rozmowie z Leonie nie mogła się skupić.

Leonie umiała wspaniale opowiadać. Najgłupsze historyjki stawały się w jej wykonaniu szalenie śmieszne, zwłaszcza jeśli przy okazji kpiła z siebie. Opis randki z Bobem był fantastyczny, ale szkoda, że się nie udało. Leonie zasługuje na porządnego faceta. Takiego jak Feliks. Odłożyła książkę, objęła kolana ramionami. Feliks, Feliks, Feliks... Nawet jego imię było podniecające. Fantastyczny facet, utalentowany, charyzmatyczny. Brak słów, by opisać wszystkie jego zalety.

Jest ambitny, jak ona. To jedna z ich wspólnych cech.

- Jesteś jak moja druga połówka - mruknął za ledwie poprzedniej nocy. Leżeli w jej łóżku, Feliks z jej strony. Przeciągnął się leniwie w świeżej pościeli, zdawał się ją prowokować do dalszych pieszczot.

- Wiesz, co nas łączy, Hanno? Oboje pragniemy podbić świat. To niebezpieczna obsesja - bawił się jej włosami, okręcał je dokoła długich, zwinnych palców. - Kariera nie jest moją jedyną obsesją - wyznał. - Szaleję za tobą, wiesz? - stwierdził nagle, patrząc jej w oczy.

Milczała, bojąc się, że czar pryśnie. Nie może przecież powiedzieć, że też za nim szaleje, choć to była prawda. Nie mogła myśleć o niczym innym. To cud, że w ogóle była w stanie pracować, tak często marzyła o nim. Sama tego nie rozumiała. Jak to się stało, że z dnia na dzień zmieniła się tak bardzo? Emma i Leonie nie poznałyby jej; dawniej opanowana i chłodna, teraz drżała, ilekroć poczuła na sobie wzrok Feliksa.

Usiadł i pochylił się nad nią, pieścił wzrokiem jej nagość.

- Jesteś piękna - powiedział.

Jak zwykle poczuła, że się rozplywa w ciepłe jego głosu. Dotychczas nie znała mężczyzny z takim głosem. Ciekawe, jak brzmi na scenie, jak przykuwa uwagę widzów w najdalszych rzędach?

- Chciałabym zobaczyć cię na scenie - szepnęła.

- Niewiele grywam w teatrze - odparł, leniwie kreśląc zawiłe wzory na jej ramieniu. - Wolę film. Jeśli ten serial wypali, może mi się wreszcie uda. Jeśli tak, pojedziesz ze mną? Do Londynu?

Milczała. Nie wierzyła własnym uszom. Styl życia Feliksa wymagał, by pozostał wolny. Pamiętała o tym i starała się nie zaangażować. Nigdy nie oczekiwała następnego spotkania i traktowała każdą randkę, każdy telefon jako nieoczekiwany prezent. Podświadomie wyczuwała, że Feliks nie znieś kobiecy, która zechce go zatrzymać. I nagle on mówi o przyszło-

ści! Musi być ostrożna. Miłość rani bardziej niż nienawiść. Bała się, że Feliks ją rzuci, gdy odda mu serce i ciało.

- To bardzo miłe z twojej strony, ale nie miałam w planach trwałego związku - powiedziała, starannie dobierając słowa. - Feliks, nie wyobrażam sobie nic piękniejszego niż życie z tobą, ale oboje mamy swoje plany i marzenia, a ja nie znoszę ograniczeń.

Ukrył twarz na jej ramieniu, pieścił językiem jej skórę, zanim zamknął jej usta głębokim pocałunkiem.

- Właśnie to w tobie kocham, Hanno. Jesteś taka niezależna, jesteś panią samej siebie - stwierdził podziwem. - To takie inne, nowe. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Właśnie takiej kobiety potrzebuję. Aktor potrzebuje silnej partnerki, kogoś takiego jak ty. Nie histerycznej paniusi, która *szłocha, ilekroć jej facet gra scenę miłosną. Hanno, jesteś gwiazdą.*

Uśmiechnął się triumfalnie. Odpowiedziała uśmiechem i pogratulowała sobie w duchu właściwej reakcji. Dzięki Bogu, nie zapiszczała z radości na samą wzmiankę o wspólnym życiu. Feliks lubi kobiety silne i niezależne, więc Hanna Campbell taka będzie. Nie dla niej rola zależnej, słabej kobietki, zżeranej zazdrością o przystojnego kochanka. Silna i niezależna, oto ona. Wsunęła dłoń pod kołdrę, odnalazła brzuch Feliksa.

- Sto brzusków dziennie - powiedział dumnie, gdy po raz pierwszy zachwycała się jego mięśniami. Brzuch miał płaski i twardy jak deska do prasowania. Dzisiaj jednak nie tą częścią jego ciała się zainteresowała.

- Masz pistolet w kieszeni czy tak bardzo się cieszysz na mój widok? - szepnęła.

- Nie mam kieszeni - odparł ochryple. - Ale bardzo się cieszę, że cię widzę.

- Spędziłaś miły wieczór, co? - Gillian powitała ją kwaśno. Hanna promieniała. Wypała się. Feliks nalegał na solidną dawkę snu.

- Inaczej moja cera wygląda fatalnie - wyjaśnił przeproszająco, gdy poprosił, by zgasiła światło. Lecz wynagrodzili sobie wczesną noc bardzo erotycznym rankiem. Jakie rzeczy potrafią jego piękne usta, jakby stworzone do telewizji... Hanna westchnęła.

- Owszem - odparła odruchowo, nie zważając na wrogi ton. - A ty? Leonard już wyzdrowiał?

Jak zdążyła zauważyć, Gillian lubiła poranne pogawędki i pytania o zdrowie. Jeśli tego zabrakło, do końca dnia siedziała naburmuszona i nie reagowała na przyjazne uwagi. Po kilku dniach Hanna nauczyła się, że krótka rozmowa rano znacznie umila atmosferę w Dwyer, Dwyer & James.

- Chciałam obejrzeć film na podstawie powieści Jane Austen, ale zapomniałam go nagrać, a nie było mnie w domu. Dobry?

- Szczerze mówiąc, wolę filmy dokumentalne - prychnęła Gillian. - Włączyłam go, ale właściwie nie oglądałam - dodała, po czym opowiedziała cały film scena po scenie.

Hanna słuchała jednym uchem i jednocześnie porządkowała biurko. Od pewnego czasu w biurze wrzało jak w ulu, ostatnie podrygi przed martwym sezonem, jak to określił David James. Ostatnie czy nie, Hanna chciała jak najszybciej zatrudnić nowego fotografa. Obecny przedstawiał nawet posiadłość wartą wiele milionów funtów jako podupadłą rudere. Był beznadziejny i postanowiła się go pozbyć, zanim klienci odejdą do konkurencji. Oczywiście, nieudane zdjęcia mają swoje zalety - klienci nie posiadali się z zachwytem, gdy jechali oglądać rudere, a zastawali perełkę. Niestety, o wiele częściej nawet się nie fatygowali, by obejrzeć źle sfotografowany dom. Fotograf musi odejść i tyle. Już dzisiaj zaczniesz szukać kogoś na jego miejsce.

- Więc gdzie wczoraj byłaś, skoro nie oglądałaś telewizji jak my wszyscy? - zapytała Gillian, strzepując z biurka nieistniejący pyłek.

- Na mieście - Hanna nie miała zamiaru opowiadać biurowej plotkarce o Feliksie. Jednak zmiękła, widząc, jak Gillian zaciska usta w wąską kreskę. - Z przyjaciółkami, poszłyśmy do indyjskiej knajpy. - Właściwie nie skłamała, rzeczywiście jedli hinduskie jedzenie. Nie powie przecież Gillian, że kochanek zlizywał z niej sos jogurtowy, bo byli nago.

- Nie znoszę hinduskiego jedzenia - burknęła Gillian.

Zmieniłabyś zdanie, gdyby podano ci je na blond bogu, pomyślała Hanna z uśmiechem.

Do południa umówiła się na spotkania z czterema fotografami i zatrudniła tymczasowego zastępcę...

- Nie możesz mi tego zrobić! - wrzeszczał w słuchawkę zwolniony fotograf, gdy zadzwoniła, by go uprzejmie poinformować, że ma miesięczne wypowiedzenie. - Pracuję w firmie od lat. Pójdę wyżej i wylecisz! Nie możesz mnie zwolnić.

- Owszem, mogę - odparła spokojnie. - Pracujesz dla nas jako wolny strzelec, więc nawet nie muszę dawać ci miesięcznego wypowiedzenia, robię to ze względu na te lata, które u nas przepracowałeś. A jeśli chcesz, proszę bardzo, zadzwoń do szefa. Dowiesz się tylko, że to decyzja ostateczna.

- Nie spodziewałem się tego - warknął. — Nie miałem pojęcia, że zrobisz mi coś takiego. Kiedy pomyślę, jak bardzo się zaangażowałem w pracę dla was, w każdą pogodę starałem się, żeby okropne rudery wy-

glądały jak porządne domy! I takie podziękowania? Wyrzuca mnie głupia lala, która pewnie dotarła na to stanowisko przez łóżko! A może twój chłopak ma ochotę na moje miejsce? Co?

Hanna miała tego dosyć.

- Jeśli naprawdę się tego nie spodziewałeś, chyba żyjesz na innej planecie - odparła. - Odkąd odnowiliśmy biuro, wszyscy narzekali na twoje zdjęcia. Pamiętasz nieruchomości przy Watson Drive? Musiałeś fotografować ją dwukrotnie, bo zdjęcia były do niczego. Za pierwszym razem nic nie było widać, nawet nie było wiadomo, gdzie się kończy dom, a zaczyna garaż. Właściciele chcieli się zwrócić do innej agencji, zostali u nas tylko dlatego, że obniżyliśmy im ceny i obiecaliśmy nowe zdjęcia. Chyba wiedziałeś, że twoje prace są poniżej poziomu. I jeszcze jedno, nie zwalniam cię, żeby zatrudnić narzeczonego. Jutro przyjdzie tu czterech nieznanych mi fotografów. Jestem dyrektorem administracyjnym tego biura i moim zadaniem jest dbać o odpowiedni poziom wykonywanej pracy. Gdybyś robił dobre zdjęcia, nie prowadzilibyśmy tej nieprzyjemnej rozmowy. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę i zorientowała się, że świadkami tej rozmowy był David James i co najmniej połowa biura. Gillian była zbulwersowana, David rozbawiony, w ciemnych oczach tańczyły iskierki uśmiechu.

- Doskonale sobie poradziłaś - powiedział. - Byłem ciekaw, ile ci to zajmie. Jego zdjęcia są tak dziwaczne, że właściwie podchodzą pod sztukę współczesną.

Hanna pozwoliła sobie na delikatny uśmiech.

- Nikt nie lubi zwalniać ludzi, ale czasami trzeba, jeśli firma ma się rozwijać - stwierdziła poważnie. Nie żebym dotychczas kogoś zwolniła, dodała w duchu, ale o tym nikt nie musi wiedzieć.

Owszem, pochodzi z rodziny raczej przywykłej do słuchania poleceń niż wydawania ich, ale zrobi wszystko, żeby to ukryć. Jeśli zechce, zagra pannę z dobrego domu.

Telefon na jej biurku zadzwonił. Odebrała szybko w nadziei, że to Feliks, lecz był to tylko David James.

- Mogę cię prosić do siebie?

Kiedy weszła, wpatrywał się w rozłożone dokumenty, ale miała dziwne wrażenie, że sam nie wie, co czyta. Wydawał się roztargniony, ba, zmęczony, a to do niego niepodobne. Był tak pełen energii, że czasami sobie wyobrażała, że gdyby zabrakło prądu, David zasiliłby całe biuro. Dzisiaj jednak miał cienie pod oczami, dostrzegła także nowe zmarszczki na twarzy. Wyglądał jak ktoś, kto spędził bezsenłą noc przy łóżku chorego dziecka, choć wiedziała, że David nie ma dzieci.

Gillian często opowiadała o jego byłej żonie, z którą łączyły go niełatwe stosunki. Według Gillian od kilku lat są w separacji, ale jeszcze się nie rozwiedli. David nadal ją kocha, twierdziła Gillian tęsknym głosem, lecz ona nie odwzajemnia jego uczucia. W tę akurat informację Gillian Hanna uwierzyła; z jakiego niby innego powodu taki przystojny, mądry facet jak David James byłby ciągle samotny?

Zastanowiła się przez chwilę, co spowodowało jego kiepski wygląd - kłopoty uczuciowe czy zawodowe. Nawet jej jednak do głowy nie przyszło, żeby o to zapytać. Mimo niewymuszonej swobodnej atmosfery rozmawiali tylko i wyłącznie o pracy.

Ustalili, jaką kserokopiarkę mają zamówić. Hanna nie wstała z fotela.

- Jeszcze coś, Davidzie? - zapytała, przekonana, że chce z nią przedyskutować coś jeszcze.

- Nie.

Z gracją podniosła się z fotela.

- Właściwie tak.

Nerwowo bawił się długopisem, wydawał się nieswój, gdy zaczął mówić:

- Wiem, że to nie moja sprawa, ale podobno spotykasz się z Feliksem Andrettim.

Hanna gapiła się tępo, zaskoczona tak osobistym pytaniem.

- To rzeczywiście nie twoja sprawa, Davidzie - odparła oficjalnie. - Ale tak, spotykam się z nim. Czy to negatywnie rzutuje na moją pracę?

Westchnął głośno.

- Daj spokój, Hanno - rzucił zirytowany. - Nie bawię się w surowego szefa. Nikt ci nie zabrania spotykać się z moim przyjacielem. Pytam tylko. Ostatnio często się widuję z Feliksem i nic o tym nie mówił.

Hanna gapiła się nadal. Dziwne. Feliks jej także nie wspomniał, że widział się z Davidem. Ale żeby nie powiedzieć o niej Davidowi? Może chciał zachować dyskrecję ze względu na nią.

- Mój znajomy producent filmowy wspominał, że Feliks spotyka się z tobą. Zdziwiłem się i tyle. Nie sądziłem, że jest w twoim typie. - Podniósł wzrok znad biurka. Z jego miny nie dało się, jak zwykle, niczego wyczytać. Donna mawiała, że szef na pewno świetnie gra w pokera. Nigdy nie wiadomo, co myśli.

- A skąd niby wiadomo, kto jest w czyim typie - odparła beztrąsko, choć wzbierała w niej fala mieszanych uczuć wywołanych tajemniczą dyskrecją kochanka. Dlaczego Feliks spotyka się z jej szefem i nic o tym nie mówi? Co jeszcze ukrywa? Jest tak cholernie enigmatyczny, z takim uporem zataja pewne fakty ze swego życia.

- Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę - David mówił powoli i ostrożnie, jakby przed godziną wyrwano mu ząb. - Martwię się o ciebie i tyle. Jesteś gwiazdą tego biura i nie chcę, żebyś cierpiała tylko dlatego, że niechcący przedstawiłem cię komuś, kto...

Hanna miała tego dosyć.

- Niechcący przedstawiłeś mnie komuś, kto co? - zapytała gniewnie, oburzona niedopowiedzianą krytyką.

David z kamienną twarzą wbił pióro w blat biurka.

Nie podoba mu się ta cała sytuacja, pomyślała nagle. Był cały spięty. Nie lubi mieszać się w życie prywatne innych, ale najwyraźniej hołduje przekonaniu, że jest odpowiedzialny za swoich pracowników. Boże, to takie staroświeckie i... wiktoriańskie.

- Komuś, kto ma opinię playboya - powiedział w końcu, jakby od doboru słów zależało ludzkie życie.

- Jestem dużą dziewczynką, Davidzie. Dam sobie radę - powiedziała stanowczo. - Coś jeszcze?

Pokręcił głową, popatrzył na nią przez chwilę i ponownie zagłębił się w dokumentach.

Dzień minął błyskawicznie. Hanna starała się nie myśleć o dziwnym zachowaniu Feliksa. Nie szkodzi, że jej nie powiedział o spotkaniach z Davidem. To na pewno nic nie znaczy.

Nie chciała o tym myśleć, zajęła się więc planowaniem kolacji. Feliks przyjedzie po pierwszym dniu zdjęciowym w Wicklow. Obiecała mu, że przygotuje kolację, choć wpadała w panikę, ilekroć na stole miało się pojawić coś innego niż pizza na wynos albo kurze piersi w sosie z puszki.

Zazwyczaj rezygnowała z pełnej przerwy na lunch, zjadała szybko kanapkę w biurze i szła na dziesięciominutowy spacer, żeby nabrać sił na popołudnie. Dzisiaj jednak, ledwie wybiła pierwsza, pobiegła na główną ulicę Dun Laoghaire po zakupy. Butelka dobrego wina, postanowiła. Tylko które wino jest najlepsze? To najdroższe? David by jej pomógł, przemknęło jej przez myśl, gdy bezradnie stała przy półkach. Miała zamiar poprosić go o radę, ale po dziwnej rozmowie zmieniła zdanie. Skoro uważa, że nie umie o sobie zadbać, za nic nie zdradzi się przed nim, że nie ma pojęcia o winie. Po prostu zapyta sprzedawcę.

- Nie znam się na winach - zaczęła - ale szukam czerwonego, hiszpańskiego... - Usiłowała sobie przypomnieć, co Feliks zamówił do pierwszej kolacji. Hiszpańskie, to na pewno. Jej akcent jest okropny.

- Marques de... - zaczęła z wahaniem, pewna, że wszystko popłatała.

- de Caceres - dokończył sprzedawca z przekonaniem.

Przyznanie, że nie ma o czymś pojęcia, to dla niej nowe doświadczenie, ale opłacało się, stwierdziła, wracając do biura z dwoma butelkami wina, horrendalnie drogą szynką parmeńską i tartą prowansalską. Feliks będzie pod wrażeniem. Gotowanie nie było jej mocną stroną. Za czasów Harry'ego żywili się głównie kurczakiem z sosem z puszkii i daniami na wynos.

- Ilekroć sięgam po telefon, odruchowo dzwonię do Chińczyka - żartował Harry. Wydawało mu się to bardzo śmieszne. No, ale sam też nie miał zadatków na szefa kuchni. Gotowanie w jego wydaniu polegało na odgrzewaniu resztek.

Feliks tymczasem twierdził, że uwielbia gotować.

- Niedługo zrobię dla ciebie moją popisową cielęcinę - obiecał. Nie mogła się już doczekać. Tymczasem udowodni mu, że ona też potrafi gotować, choć to akurat nieco mija się z prawdą. Ciasto jest z cukierni, ale przecież nie musi się do tego przyznawać.

Po południu była tak zajęta, że prawie nie miała czasu myśleć o Feliksie. „Prawie” nie znaczy jednak „w ogóle”. Wróciła do domu o wpół do siódmej i nucąc pod nosem ułożyła lilie w wazonie. Nastawiła płytę z operą *Carmen*, nalała sobie wina i zabrała się za przygotowanie kolacji. Obiecał, że zjawi się najpóźniej o wpół do ósmej.

O ósmej szynka parmeńska, kunsztownie ułożona na talerzach, zaczęła wysychać, schowała więc wszystko o lodówki. Dolała sobie wina i czekała.

O dziesiątej bez apetytu zjadła swojaporcję i obejrzała *Miłość, szmaragd i krokodyl*. Cały czas nasłuchiwała kroków na dworze. Jeden z kamieni, którymi wyłożono dróżkę, wydawał charakterystyczny odgłos, gdy się na niego stanęło. Nawet ze swego mieszkania na pierwszym piętrze słyszała, ilekroć ktoś się zbliżał. Poderwała się radośnie, gdy usłyszała znajomy odgłos, zaraz jednak opadła z powrotem na kanapę - to tylko małżeństwo z mieszkania piętro niżej. Gdy Kathleen Turner i Michael Douglas całowali się na jachcie ciągniętym ulicami Nowego Jorku, butelka była pusta. Hanna zgasiła telewizor, wyrzuciła porcję Feliksa do śmieci i poszła spać. Właściwie nie wiedziała, czemu w ogóle się kładła, bo cały czas wpatrywała się w ciemność. Nie mogła zasnąć, ale odruchowo położyła się do łóżka. I odruchowo rano wstała i poszła do pracy.

W Dywer, Dwyer & James nikt nie zauważył smutku w jej zazwyczaj błyszczących oczach. Tak sobie postanowiła. Przyjaźnie pogawędziła z Gillian, odbyła rozmowy kwalifikacyjne z czterema fotografami, a nawet

wyskoczyła na szybki lunch z Donna Nelson. Rozmawiała, uśmiechała się i pracowała jak robot. W duszy cierpiała. Wściekała się na siebie, że była taka głupia, że znowu zaufała mężczyźnie, wściekała się na Feliksa, że tak ją potraktował. Jeśli jeszcze stanie jej na drodze, rozszarpie go gołymi rękami.

Nie tylko ona przyszła do pracy wściekła jak osa. David James także wstał lewą nogą.

Nietypowo dla siebie, nawrzeszczała na Steve'a za nieudaną transakcję. Później tak bardzo krzyczał przez telefon, aż drżały szklane ściany jego gabinetu. Hanna wiedziała doskonale, jak się czuje. Sama najchętniej by mu zawtórowała.

Kiedy gwałtownie otworzył drzwi i wrzasnął, że chce kawy - i to zaraz! - wszyscy pracownicy skulili się na swoich miejscach i modlili się, aby nie oni musieli stawić mu czoło.

- Ty idź - Gillian zwróciła się do Hanny. - Mnie boli głowa. Nie jestem w stanie teraz z nim rozmawiać.

Oczywiście. Hanna zaparzyła kawę, położyła na tacy cztery czekoladowe ciasteczka i poszła do gabinetu Davida. Łypnął na nią groźnie. Jego uwadze nie uszedł mocny makijaż mający zamaskować ślady nieprzespanej nocy i czerwona sukienka, która miała poprawić jej humor. Choć skromna, odsłaniała jednak smukłe nogi i podkreślała figurę. Tego dnia Hanna rozpuściła włosy w nadziei, że poczuje się kobietą godną pożądania, a nie głupią krową, która nie jest w stanie utrzymać przy sobie faceta dłużej niż kilka tygodni. Lśniące loki okalały jej twarz, zasłaniały perłowe kolczyki.

Na Davidzie to nie zrobiło wrażenia.

- Wolałbym, żeby twoje życie prywatne nie przenosiło się na teren firmy - warknął. - To nie jest odpowiedni strój do Dwyer, Dwyer & James.

Wulkan w Hannie wybuchł.

- O co ci chodzi? - nie wytrzymała. - Byłam w tym w pracy już wiele razy. Nie ubrałam się tak dlatego, że idę na randkę, raczej wręcz przeciwnie. Wy faceci jesteście wszyscy tacy sami! - syknęła.

Zimne oczy Davida spojrzały odrobinę cieplej.

- Co to znaczy: wręcz przeciwnie? - zapytał spokojnie.

Hanna miała tego dosyć. Zawsze opanowana i chłodna, prędzej przeszłaby po rozżarzonych węglach niż straciła panowanie nad sobą w sytuacji zawodowej, ale dzisiaj, zrozpaczona i załamana, nie była sobą.

- Ubrałam się tak, żeby sobie samej uprzytomnić, że jestem inteligentną, rozsądną kobietą, która nie potrzebuje żadnych cholernych facetów, zwłaszcza nie marudnych szefów, których onieśmiela widok pracownicy w ładnej sukience. Poza tym - dodała głosem drżącym z wściekłości

- mam mężczyzn o, potąd, koniec, kropka. Jesteście bandą zakompleksionych, wystraszonych kłamców!

Z tymi słowami postawiła tacę na jego biurku, aż kawa wylała się z filiżanki. Podniosła dwa ciasteczka i ze złością wrzuciła do kawy.

- Smacznego, jaśnie panie. Masz, udław się!

Zatrzasnęła za sobą drzwi i schroniła się do damskiej toalety, chcąc choć trochę ochłonać. Nie przeprosi, o nie! David przekroczył wszelkie granice swoimi uwagami. Nie ma prawa wypowiadać się na takie tematy, a jeśli wydaje mu się, że jest inaczej, niech lepiej przejrzy na oczy albo poszuka sobie nowej szefowej biura. Żałowała tylko, że powiedziała tak dużo. O ile David nie jest opóźniony w rozwoju, zorientuje się, że nie układa jej się z Feliksem. Niech go szlag trafi.

- Nie wiem, co mu powiedziałaś, ale jest teraz w doskonałym humorze - szepnęła Gillian, gdy Hanna wróciła do biurka z dumnie uniesioną głową. Niech tylko ktoś spróbuje robić jej wymówki!

- Śmieje się na całe gardło, słysząc go chyba na drugim końcu ulicy!

Hanna zerknęła przez przeszkloną ścianę i rzeczywiście, David śmiał się serdecznie, rozmawiając przez telefon.

- Trzeba go krótko trzymać, jak wszystkich mężczyzn - odparła pośpiesnie. - Tylko wtedy są posłuszni.

Godzinę później David zatrzymał się przed jej biurkiem z aktówką i płaszczem w dłoni. Zazwyczaj uśmiechała się ciepło i podziwiała, jak dobrze włoski garnitur leży na jego potężnym ciele. Dzisiaj łypnęła groźnie.

- Mówiłem ci, że lecę do Paryża na długi weekend — zaczął.

Oczy Hanny przypominały kostki lodu. Niechby sobie jechał łodem do samego Katmandu na kulawym wielbłądzie, ją to nic nie obchodzi.

- Chyba musimy porozmawiać, dlatego żałuję, że teraz wyjeżdżam - dodał, patrząc na nią smutno.

Miała w nosie, czy jest mu przykro, czy ma wyrzuty sumienia. Niech cierpi, niech cierpią wszyscy mężczyźni na świecie. Zasłużyli na to.

- Wracam we wtorek; może wyskoczmy na lunch? - Jego twarz nie wyglądała już jak wyciosana z kamienia. Patrzył na nią z... nadzieją. Tak, to odpowiednie słowo. Z nadzieją, że nie odejdzie z pracy, dopowiedziała sobie w myśli.

- Zgoda - mruknęła lodowato i wyniosłe jak królowa.

Odszedł uśmiechnięty. Zanim zamknął za sobą drzwi, odwrócił się i uśmiechnął do niej zawadiacko. Widziała to połowa biura. Niepoprawny, przemknęło jej przez myśl.

Nie pamiętała, co robiła przez resztę piątku. Perspektywa weekendu bez Feliksa wydawała się mało kusząca, więc Hanna postanowiła pracować w sobotę. Albo to, albo przez cały dzień będzie się czuła jak przekłuty balonik. Nie wiedziała, czemu bez niego wszystko straciło sens. Przez ostatnie półtora roku doskonale sobie radziła sama, więc czemu teraz, po zaledwie miesiącu, Feliks Andretti stał się tak ważnym elementem jej życia? Dlaczego wszystko, co do tej pory sprawiało jej przyjemność, jak wizyty na siłowni i czytanie książek w małym przytulnym saloniku, nagle wydało się takie nudne?

- Myślałam, że dałaś sobie spokój z pracą w weekendy, odkąd wszystko w biurze jest dopięte na ostatni guzik - zauważyła Donna, gdy Hanna weszła do biura kwadrans po ósmej w sobotę rano.

- Mam kilka rzeczy do zrobienia, a w tygodniu jest tyle pracy, że nigdy nie zdążam - odparła, pochylając się nad ekspresem do kawy. Nie chciała, żeby Donna zobaczyła jej podkrążone oczy. Miała zamiar podreperować wygląd makijażem, zanim ktokolwiek przyjdzie. Skoro jednak Donna już przyszła, lepiej z nią porozmawiać. Donna jest bardzo spstrzegawcza, a Hanna nikomu nie chciała przyznawać się do rozpacz.

Ziewnęła szeroko, dając do zrozumienia, że mało w nocy spała, sięgnęła po torebkę i mruknęła nonszalancko:

- Idę się umalować, bo wypłoszę wszystkich klientów. Przypomnij mi, żebym nigdy więcej nie przesadzała z hiszpańskim winem - dodała.

- Zalewałaś problemy? - zapytała Donna łagodnie.

Hanna zatrzymała się w pół kroku. Donna nie była wścibska ani nie rozsiewała plotek. Po prostu miała intuicję.

- Aż tak widać? - zapytała w końcu.

- Nie, ale wczoraj byłaś załamana. Nie żeby inni to widzieli - dodała Donna szybko. - Dobrze to ukrywałaś, ale wiem, jak to jest, aż za często sama przez to przechodziłam. Jeśli chcesz pogadać, proszę bardzo. Nie przekażę serwisu do radiowęzła Gillian. A jeśli nie chcesz - nie ma sprawy. Wczoraj, kiedy szłyśmy na lunch, myślałam, że chcesz się wypłakać, ale rozumiem, że nie chcesz opowiadać o życiu prywatnym.

Hanna odłożyła torebkę i opadła na najbliższy fotel.

- Żeby rozmawiać o życiu prywatnym, trzeba je jeszcze mieć - odparła, siląc się na dowcip.

- Chodzi o Davida Jamesa? - zapytała Donna delikatnie.

Hanna na chwilę zapomniała o swoim nieszczęściu, do tego stopnia zaskoczyły ją te słowa.

- O Davida? - powtórzyła. - Skąd, na Boga, przyszło ci to do głowy? Wczoraj zachował się jak kompletny dupek, ale to wszystko. Nic specjalnego.

- Aha - mruknęła Donna. - Miałam wrażenie, że między wami coś jest... - Urwała, czując na sobie wzrok Hanny.

- Skąd ci to przyszło do głowy? To świetny szef, ale nic między nami nie ma. - Nerwowo szukała słów, by opisać, co ją łączy z Davidem, udowodnić, że to bardzo platoniczne. - To miły facet i w ogóle, ale... Poza tym, nadal szaleje za swoją byłą, prawda?

Donna uniosła brew.

- Nie mam pojęcia, skąd ta wiadomość. Chyba nie ma na świecie dwojga ludzi równie szczęśliwych, że zeszedli sobie z oczu. Z tego, co słyszałam, to było jakieś upierne małżeństwo, a słyszałam od kogoś, kto znał oboje.

- Gillian twierdzi, że on nadal ją kocha.

~ Gillian łudzi się, że David nadal kocha żonę, bo wtedy nie zakocha się w nikim innym... na przykład w tobie - wyjaśniła Donna.

Tym razem Hanna roześmiała się na głos.

- To absurd.

- Wcale nie. Nie tylko ja uważam, że David jest tobą zainteresowany i że Gillian nie zniosłaby tego. Nie znosi cię i chyba padłaby trupem, gdyby jej ukochany pan James się tobą zajął.

- Cóż, jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, bo mu na mnie nie zależy.

- Szczerze mówiąc, jestem innego zdania - mruknęła Donna.

Hanna nie zdołała ukryć zdumienia.

- Ja...ja... Jestem zakochana w kimś innym - wydusiła w końcu. - David to tylko znajomy z pracy, szef. Zna mojego przyjaciela, wie, z kim się spotykam - dodała.

- I przez tego przyjaciela nie sypiasz po nocach?

Zadowolona, że zeszedły z nieprzyjemnego tematu, Hanna skinęła głową.

- Lubię trochę pocierpieć - rzuciła zgryźliwie. - Złamane serce to u mnie stan chroniczny. Ale Bogu dzięki, nie kocham się w Davidzie. Boże! - wzdrygnęła się - wyobraź sobie, kochać się w szefie! Co za koszmar!

Rozmowa z Donną pomogła, stwierdziła Hanna tego popołudnia. A jeszcze bardziej pomoże siłownia. Nic tak nie odświeża umysłu jak rytmiczne ćwiczenia na stepperze, aż pot zalewa oczy, a mięśnie boją z wysiłku. Pomogło przy Harrym, pomoże i przy Feliksie, podłym draniu!

W niedzielę wstała raniutko i pojechała na siłownię. Góra-dół, góra-dół, ćwiczyła jak maszyna; pozwalała, by rytmiczne ruchy usunęły złość

z jej organizmu. Już ona pokaże pieprzonemu Feliksowi Andrettiemu, jeśli jeszcze kiedyś go spotka. Góra-dół, góra-dół. Będzie miał szczęście, jeśli odejdzie o własnych siłach. Drażniło jątyko, że podświadomość co chwila podsuwała jej twarz Davida Jamesa. Nie dalej jak kilka dni temu narzekał, że od dwóch tygodni nie był na siłowni.

- W moim wieku trzeba bardzo o siebie dbać - westchnął, klepiąc się po brzuchu. - Uwierzysz, jak ci powiem, że kiedyś biegałem w maratonach?

- Doskonale wyglądasz - zaprotestowała.

- Odkąd przestałem biegać, przytyłem dziesięć kilo - zauważył. - Powinienem chodzić na siłownię trzy razy w tygodniu. Teraz jednak jest tyle pracy, że chyba zainstaluję sobie atlas w gabinecie.

Hanna przyspieszyła kroku. Donna się myli, Davidowi na niej nie zależy. Chociaż rzeczywiście zachowywał się trochę dziwnie. Chciał z nią o czymś porozmawiać we wtorek, ale o czym? I poprawił mu się humor, gdy wrzasnęła, że mężczyźni są nieodpowiedzialni. Wiedział, że chodzi o Feliksa i domyślił się, że między nimi wszystko skończone. Może chciał jej powiedzieć, że jest nią zainteresowany. Poczwała falę gorąca, która nie miała nic wspólnego z intensywnością ćwiczeń. Co za zamieszanie. W jej sercu nie ma miejsca dla nikogo poza Feliksem, niech go szlag trafi.

Po dwóch godzinach intensywnych ćwiczeń wyjęcie torby z samochodu wydało się jej nie lada wyczynem. Bolały ją wszystkie mięśnie, ale to było przyjemne zmęczenie. Umierała z głodu. Chyba nie da rady niczego ugotować, wrzuci coś do mikrofalówki i tyle.

Usiłowała sobie przypomnieć, co ma w zamrażalniku, gdy zobaczyła jasną czuprynę. Siedział pod drzwiami, ubrany na czarno, z miną dziecka, które przed chwilą widziało, jak samochód przejechał kociaka, i nie wie, płakać czy nie.

Opierał się o ścianę z czerwonej cegły i patrzył przed siebie. Ze swego miejsca doskonale widziała jego piękny profil. Pewnie o to mu chodziło, pomyślała i zdziwiła się, że coś takiego przyszło jej do głowy. Miał nos jak grecki bóg, złote włosy opadały na oczy smętnie utkwione w dali. Przez obiektyw kamery wyglądałoby to wspaniale, pomyślała gorzko. Cóż, jeśli kochany Feliks ma zamiar odegrać scenę godną Oscara, czeka go niespodzianka.

Z takim impetem zatrasnęła za sobą furtkę, że płatki niebieskiej farby opadły na ścieżkę.

- Czego chcesz? - zapytała zimno, zatrzymując się o kilka stóp od niego.

Spojrzał na nią oczami przepełnionymi rozpaczą. Nic nie mówił, tylko patrzył tak smutno, że poczuła, jak jej złość wyparowuje. Boże, tak bardzo za nim tęskniła. To był ból, prawdziwy fizyczny ból. A teraz tu jest... Czeka na nią, wygląda, jakby też cierpiał.

Wyczuł w niej zmianę, podszedł bliżej i otoczył ją ramionami. Ledwie jej dotknął, upuściła torbę i przywarła do niego, pozwoliła, by ukrył twarz w jej włosach, by szeptał czułe słówka. Zapach jego wody po goleniu wypełnił jej nozdrza, cudowny znajomy korzenny zapach, który rozgrzewał serce i wzbudzał dreszcze. Dreszcze podniecenia. Po trzeciej randce zastanawiała się, czy sobie nie kupić tej wody po goleniu tylko po to, żeby czuć jego zapach, gdy go przy niej nie ma. Dziś poczuła ten zapach w siłowni, cudowny zapach, który sprawił, że kolana ugięły się pod nią z tęsknoty.

I oto jest tutaj, pod drzwiami, równie stęskniony. Odsunęła się na chwilę, by spojrzeć na niego pytająco.

- Nie mogłem się urwać, najdroższa. Reżyser... - Feliks przyglądał jej się chciwie, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół. - Obawiałem się, że mi nie wybaczysz, ale było już bardzo późno, gdy skończyliśmy zdjęcia, zresztą mało brakowało, a straciłbym panowanie nad sobą. Bałem się, że mi nie wybaczysz. Jesteś taka dzielna, taka pewna siebie. Ale tak bardzo za tobą tęskniłem, że musiałem tu przyjść, nawet jeśli mnie wyrzucisz. - Pochylił smutno głowę. Nie mogła tego znieść.

- Oczywiście, że cię nie wyrzucę, głuptasie - powiedziała, ni to ze śmiechem, ni to z płaczem. - Ja też za tobą tęskniłam. Martwiłam się, bo nawet nie zadzwoniłeś. Nie mogłam się z tobą skontaktować.

- Przepraszam, w kółko powtarzaliśmy te same sceny. Reżyser to istny poganiacz niewolników, mówiłem ci. - Feliks uśmiechnął się, piękny jak zwykle i zadowolony, że mu wybaczyła. - Chodźmy do środka, a udowodnię ci, jak bardzo za tobą tęskniłem.

Później leniwie leżeli w łóżku, a Feliks oddawał się sekretnemu nałogowi - palił. Nawet pali pięknie, przemknęło jej przez głowę, gdy oparta na łokciu obserwowała, jak trzyma białego papierosa w długich palcach i puszcza kółka dymu.

- W dzisiejszych czasach wszyscy są przeciwnikami palenia - burknął, zaciągając się głęboko. - Już się nawet nie przyznaję, że palę. Boję się, że jakiś świr od castingu zacznie narzekać, jak to niszczy skórę i powoduje zmarszczki wokół ust.

- Nie masz zmarszczek wokół ust - sprzeciwiła się Hanna.

- Dzięki Bogu. Kiedy tylko się pokażą, zrobię sobie głęboki peeling -mruknął, badając twarz palcami.

- Ty głuptasie, przecież mężczyźni lepiej wyglądają ze zmarszczkami! - skarciła go żartobliwie. - To aktorki muszą być wiecznie młode. Aktorzy zmieniają się w Clintę Eastwooda. Chociaż ty jesteś o wiele przystojniejszy od niego.

Pocałował ją.

, - Jesteś balsamem na moje ego - mruknął.

- Opowiedz, co się działo na planie - zaczęła Hanna tonem, jak miała nadzieję, spokojnym i beztroskim.

Oczekiwała wyjaśnień. Nie dość, że nie przyszedł na umówioną kolację, to jeszcze zniknął bez wieści na cały dzień. Mógł przecież zadzwonić. Wicklow nie leży za kołem polarnym.

Westchnął.

- Reżyser i ja różnimy się w rozumieniu postaci, którą gram. Bardzo się różnimy. Jego zdaniem Sebastian jest prostym głupcem, bez cienia wyrafinowania. A mnie się wydaje, że powinien tylko takiego udawać, bo w rzeczywistości jest zupełnie inny.

Feliks opowiadał jej wcześniej o swojej postaci; grał młodego oficera z czasów pierwszej wojny światowej, oddanego patriotę, którego wysłano na front jako mięso armatnie. Hanna nie pojmowała, jakim cudem ta postać miałaby nabrać wyrafinowania. Przecież właśnie niewinność Sebastiana zafascynowała Feliksa. Była to rola zupełnie inna od dotychczasowych, do świadczonych, cwanych, twardych facetów.

- Sebastian wie, co się dzieje, ale uważa walkę za swój obowiązek, choć zdaje sobie sprawę, że może zginąć - tłumaczył zapalczywie. - Tym się kieruje - poczuciem obowiązku, nie głupotą.

- Czy doszliście z reżyserem do porozumienia? - zapytała Hanna delikatnie.

- Nie wiem. Nie, właściwie nie. - Feliks odrzucił kołdrę i wstał. Zduślił niedopałek i zaraz zapalił następnego papierosa.

- Nie mogę zagrać głupka, to by mi zaszkodziło. Feliks Andretti grający przygłupa. Od tej pory do końca świata grałbym świrów.

Błede październikowe słońce dawno zaszło, jego twarz kryła się w mroku. Hanna obserwowała go z łóżka. Zastanawiała się, co powiedzieć. Przecież nie będzie mu przypominać, jak bardzo mu zależało na tej roli. Z każdym dniem przekonywała się, że ego aktora jest bardzo wrażliwe. Z drugiej strony, jeśli Feliks będzie się kłócił z reżyserem, może wylecieć z obsady. Takie rzeczy się zdarzają, a on nie jest gwiazdą, nie-trudno będzie go zastąpić.

Nagle wpadła na pewien pomysł.

- A twoja agentka? Może zapytasz ją o zdanie? - podsunęła.

- Musiałbym skorzystać z twojego telefonu - odparł przeciągle. —
Moja komórka jest zepsuta.

- Nie wiedziałam, że masz komórkę.

Wzruszył ramionami, nieobecny myślami.

- Bo od dawna jest zepsuta.

Zostawiła go przy aparacie, jak wykręcał numer Billie, swojej agentki w Londynie, i poszła do kuchni. Musi wymyślić coś na kolację.

Pół godziny później, gdy roześmiany, radosny Feliks wkroczył do kuchni tanecznym krokiem, w piecyku złocił się omlet hiszpański. Feliks objął ją w talii.

- Jesteś cudotwórczynią, wiesz?

Zadowolona, że przeszedł mu zły humor, uśmiechnęła się ciepło.

- Naprawdę?

- Zadzwoiłem do Billie i przyznała mi rację. Powiedziała, że Sebastian rzeczywiście jest o wiele mądrzejszy, niż im się wydaje, ale na razie mam ustąpić reżyserowi, niech sam zobaczy, że jego pomysł jest do niczego. Reżyser już do niej dzwonił i mówił, że sceny ze mną są świetne, więc dam mu szansę. Właśnie do niego dzwoniłem. Jest zachwycony.

- Dzwoniłeś na plan? - zainteresowała się niewinnie, wyjmując dwa talerze z kredensu. Więc na planie są telefony. Poczwała, jak jej żołądek ściska się boleśnie. Gdyby chciał, mógł do niej zadzwonić. Tak samo jak mógł jej powiedzieć o spotkaniu z Davidem Jamesem. Opuściła wzrok. Talerz w jej dłoni drżał niebezpiecznie. Przestań, powiedziała sobie. Pamiętaj, kim jesteś: silną, niezależną Hanną Campbell.

- Tak, bardzo się ucieszył. - Feliks niczego nie zauważył. - Pachnie smakowicie. Zjemy, a potem wyskoczymy do Lillie's. Znajomi z planu będą tam dzisiaj. Będzie fajnie. Masz ochotę?

- Jeszcze się pytasz? - odparła machinalnie.

Nigdy dotąd nie była w tym klubie przy Grafton Street. Harry wołał puby i jeśli wychodzili gdzieś razem, najczęściej lądowali w pubie Ryan przy Parkgate Street, niedaleko starego mieszkania. Uwielbiała tańczyć i z przyjemnością włożyła słynną ametystową sukienkę. Dobrze, że po siłowni umyła włosy. Feliks oszalał na punkcie sukienki i upierał się, że w jej konserwatywnej garderobie trzeba więcej takich ciuszków. Tak bardzo mu się spodobała, że mało brakowało, a kazałby taksówkarzowi zawrócić do mieszkania Hanny.

- Myślałam, że j edziemy się pobawić - mruknęła, lekko zawstydzona, że Feliks obmacuje ją pod sukienką, a taksówkarz co chwila zapuszcza żurawia w lusterko.

- Czyli jednak jesteś osobą towarzyską? - Feliks wsunął palec pod jej sukienkę.

- Jeszcze jak. - Wymierzyła mu delikatnego klapsa w rękę.

Po kilku drinkach w Shelbourne poszli do Lillie's. Choć dochodziła dopiero jedenasta, Hanna padała z nóg - wstała o siódmej i przez dwie godziny intensywnie ćwiczyła. Feliks natomiast był jak gwiezdna konstelacja - ożywał w nocy.

- Szaleję za tobą, kochanie - szepnął jej do ucha, gdy szli Grafton Street. Był nakręcony, jakby coś wziął, zaniepokoiła się nagle. Nie, to niemożliwe, cały czas byli razem.

Przy małym wejściu do klubu nocnego tłoczyła się długa kolejka. Wszyscy chcieli się dostać do klubu, w którym bawią się modelki i muzycy rockowi. Przez chwilę Hanna martwiła się, jak wejda, ale przecież Feliks, choć przebywał w Dublinie zaledwie od sześciu tygodni, dobrze znał bramkarzy. Powitali go z otwartymi ramionami. Chwilę później jasnowłosa kelnerka zaprowadziła ich do, jak to określiła, „czytelni”, gdzie spora grupa rozsiadła się na fotelach i sączyła szampana, który chłodził się w kubełkach. Mimo muzyki i alkoholu wszyscy wydawali się znudzeni.

- Feliks, mój kochany! - zapiszczał chudy drapieżny rudzielec w sukience ze skóry. Wstała z oparcia kanapy i owinęła się dokoła Feliksa.

- Carol! - Mocno pocałował ją w policzek, oparł dłoń na jej chudych pośladkach. - Przecież obiecałem, że przyjdę, prawda?

- Ale nic nie wspomniałeś, że z kimś - odparła Skórzana Sukienka i obrzuciła Hannę badawczym spojrzeniem.

Hanna wyczuwała rywalki na kilometr. I wiedziała, jak sobie z nimi radzić.

Wygięła pełne usta w kocim uśmiechu, powoli, zmysłowo zrzuciła z ramion płaszcz. W obcisłej ametystowej sukience, przylegającej do jej kształtów, podkreślonych przez stanik Wonderbra, nie musiała się obawiać chudych rudzielców.

- Wszędzie chodzimy razem - poinformowała.

Feliks wypuścił Carol z ramion i podszedł do Hanny.

- Niezłą dziewczynę sobie znalazłeś - skomentował któryś z mężczyzn z aprobatą w głosie.

- Owszem - Feliks władczo otoczył ją ramieniem.

Hanna spojrzała na Carol znacząco. Nie zadzieraj ze mną, mówił jej wzrok.

Polał się szampan, papierosy krążyły bez przerwy, nikt nie tańczył. O wiele bardziej zależało im na udawaniu zblazowanych i znudzonych, ilekroć ktoś spoza paczki zajrzał do ekskluzywnej salki. Hannie wydawało się, że w przeciwległym końcu dostrzegła muzyków z amerykańskiego zespołu rapowego, ale ponieważ nikt nie zwracał na nich uwagi, doszła do wniosku, że się pomyliła. Dopiero gdy jakiś fan przekradł się obok bramkarzy, żeby poprosić o autograf, zrozumiała, że oczy jej nie zawiodły. Po prostu aktorzy nie uznawali innych sław. Chcieli sami być rozpoznawani i udawali, że nie rozpoznają innych. Pierwsze spojrzenie za kulisy show-biznesu nauczyło ją najważniejszej lekcji: tylko jedno jest ważniejsze od sławy - udawanie, że nic cię nie obchodzi. Wszyscy bardzo się starali. Hanna też radziła sobie całkiem nieźle.

Sączyła szampana i siedziała spokojnie koło Feliksa nakręconego bardziej niż króliczek z reklam baterii Duracell. Była ciekawa, kto jest kim. Kto gra jaką rolę, czy w ogóle wszyscy ci ludzie to aktorzy? Chyba wszyscy pracowali na planie serialu, ale tylko mgliście mówili, czym się zajmują, za wyjątkiem Carol, która informowała każdego w promieniu pięćdziesięciu metrów, że gra pielęgniarkę i studiowała w Royal Academy of Dramatic Arts.

- A czym ty się zajmujesz? - zwróciła się do Hanny, gdy Feliks wyszedł do łazienki.

Hanna skłamała bez mrugnięcia okiem.

- Prowadzę agencję handlu nieruchomościami.

Carol wyraźnie się zmartwiła. Pewnie myślała, że Hanna to słodka idiotka.

- Jak się poznaliście? - nie dawała za wygraną. Obserwowała ofiarę zmrużonymi oczami, jak *żarłoczne ptaszysko obserwuje upatrzonogo robaka*. Tylko że Hanna nie jest robakiem. Zmyśla równie dobrze jak pozostali,

- Carol wzięła mnie w krzyżowy ogień pytań - powiedziała później Feliksowi.

- O co pytała?

- Czym się zajmuję i na ile jestem ubezpieczona, wiesz, takie tam bzdury.

- Co jej powiedziałaś? - zapytał leniwie, ale nie patrzył jej w oczy. Delikatnie ugryzła go w ucho.

- Że mam własną agencję nieruchomości i że poznaliśmy się, gdy ci pokazywałam najlepsze mieszkanie, które obecnie mam do sprzedania - apartament z widokiem na port w Dun Laoghaire.

Uśmiechnął się zadowolony.

- Moja dziewczynka. W tym biznesie wszyscy kłamią. Im więcej im się wydaje, że masz, tym bardziej cię pragną - wyjaśnił. - Zrobiłaś na nich duże wrażenie. Stanowimy zgrany zespół - powiedział, zanim zamknął jej usta pocałunkiem.

Rozdział 13

Feliks miał wolny poniedziałek i namówił Hannę na coś, czego obiecywała sobie nigdy nie zrobić — zadzwoniła od pracy i powiedziała, że jest chora.

- Spędzimy cały dzień w łóżku - kusił, całując ją w ucho, jakby zlizywał czekoladę z orzeszka. - To tylko jeden dzień, pomyśl, a przez cały następny weekend pracuję.

Drezczona wyrzutami sumienia Hanna zadzwoniła do Gillian, skłamała, że leży w łóżku z grypą i wróciła pod kołdrę, do Feliksa.

We wtorek wkroczyła do biura nasycona miłością i zmęczona po weekendzie w łóżku. Spóźniła się o całe niesłychane pół godziny i wcale się tym nie przejęła. Miłość działała jak środek znieczulający. Nawet głębokie cienie pod oczami nie zdołały stłumić bijącej od niej aury seksualności.

Choć prawie nie spała, promieniała. Nawet myśl o stanie konta bankowego nie zdołała zetrzeć z jej twarzy sennego uwodzicielskiego uśmiechu.

- Ukochany wrócił w domowe pielesze? - zapytała Donna, gdy Hanna usiadła, krzyżując długie nogi w cienkich rajstopach. Poprawiła przy tym kusą czarną spódniczkę, której nigdy dotąd nie zakładała do biura.

Hanna roześmiała się gardłowo:

- Aż tak widać?

Donna puściła oko.

- Równie dobrze mogłabyś sobie napisać na czole: mam fantastycznego kochanka. Facet dobrze ci robi na cerę, to pewne. Może przyniesiesz mi odrobinę tego, co ci aplikuje? Mojej skórze przydałby się zastrzyk energii.

Obie parsknęły śmiechem.

- Hanno - odezwał się David James. - Masz chwilę?

Weszła do jego gabinetu rozkołysanym krokiem, niezdolna powstrzymać się przed cudowną myślą, że jest zakochana. Była pełna życia. To Feliks tak na nią działa; jest jak narkotyk, cudowny erotyczny narkotyk.

- Wyglądasz... inaczej - zauważył David, gdy usiadła i przeczesała włosy palcami powolnym gestem. Nigdy tego nie robiła.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Miałam wspaniały weekend - oznajmiła radośnie. - A ty?

- Cóż, niezły.

Wcale na to nie wygląda, zauważyła. Wydaje się niespokojny, nieswój.

- Chciałem powiedzieć, że... - zaczął.

Nie dała mu dokończyć. Wiedziała, co powie - będzie przepraszał, za to co powiedział o Feliksie, a była zbyt szczęśliwa, by patrzeć, jak David się męczy i wstydzi. Lepiej zapomnieć o przeszłości.

- David - przerwała mu - wiem, co chcesz powiedzieć. Ja też przepraszam za piątek. Byłam zła, bo pokłóciłam się z Feliksem i powiedziałam ci rzeczy, których nie powinnam. To niewybaczalne. Miło z twojej strony, że się o mnie martwisz - dodała poważnie - ale nie ma takiej potrzeby. Feliks i ja jesteśmy dorośli i damy sobie radę. Wiem, to twój przyjaciel, ale wolałabym, żebyśmy oddzielali życie prywatne od zawodowego, dobrze?

Wydawało się, że nie jest w stanie spojrzeć jej w oczy.

- Więc znowu z nim jesteś, tak? - zapytał szorstko, nagle całkowicie pochłonięty sprawdzaniem poczty elektronicznej.

- Tak - rozpromieniła się.

Powoli wypuścił powietrze z płuc, jakby sprawiało mu to ból.

- Jeśli kiedykolwiek zechcesz się wypłakać - powiedział - służę ramieniem.

- Davidzie, jesteś prawdziwym przyjacielem - odparła serdecznie.

- Tak-powtórzył posępnie.-Prawdziwym przyjacielem.

Wyszła z gabinetu roztańczonym krokiem. Życie jest takie piękne.

Nadszedł grudzień. W życiu Hanny i Feliksa ustalił się pewien wzorzec. Co piątek przyjeżdżał późnym wieczorem, czasami taksówką prosto z planu, czasami w limuzynie pełnej innych aktorów pijanych i roześmianych, wtedy czekali na Hannę i razem jechali na imprezę albo do klubu nocnego. Hanna wolała, gdy przyjeżdżał taksówką. Miała go wówczas tylko dla siebie. Wypijali to, co przywiózł - w zależności od stanu jego finansów był to zazwyczaj gorszy lub lepszy szampan i szli do łóżka, gdzie kochali się głośno, jakby Hanna chciała się zemścić na sąsiadach za ryczące odbiorniki telewizyjne. W sobotnie poranki jedli śniadanie w łóżku - razowe grzanki z miodem i mocna kolumbijska kawa, którą Feliks tak lubił. Po południu szli do siłowni. Nie można było Feliksowi

zarzucić, że nie dba o siebie. Hanna nie mogła wyjść z podziwu, ile czasu spędza przy poszczególnych przyrządach, jak ćwiczy każdy miesiąc z niemal obsesyjną precyzją. Nie spotkała dotąd mężczyzny, który tyle pracowałby nad sobą, zdecydowany, by jego ciało było doskonałe. Feliks miał więcej balsamów do ciała niż ona i nakładał je z o wiele większym pietyzmem. Z czasem jednak przywykła do jego próżności.

Przywykła także, że inne kobiety na siłowni podrywają go bezczelnie, gdy ona ćwiczy na stepperze. No, powiedzmy, prawie przywykła. Nie tylko mięśnie nóg się napinały, gdy widziała, jak różne ślicznotki wpatrują się z zachwytem, jak Feliks wyciska kolejne kilogramy i szpanuje mięśniami widocznymi pod skapą koszulka.

Kiedyś nie wytrzymała i warknęła, że nic dziwnego, że tak się na niego gapia, skoro nosi koszulkę, jaką zazwyczaj zakładają męscy strip-tizerzy. Roześmiał się wówczas głośno.

- Jesteś zazdrosna, kochanie? - rzucił beztrosko. - Musisz się do tego przyzwyczaić. Aktorzy są ciągle podrywani; wiesz, sława działa jak afrodyzyjak.

Sam nalegał, by Hanna ćwiczyła w bardziej konserwatywnych strojach. Podobało mu się, że budzi zainteresowanie płci przeciwnej, ale nie chciał, by inni mężczyźni ją podziwiali. Kiedy miała na sobie obcisłe body i fioletowe legginsy, podrywał ją napakowany kulturysta wyższy nawet od Feliksa. Bardzo mu się to nie spodobało.

- Nie chcę, żeby obcy cię zaczepiali - stwierdził zaborczo i dodał mimochodem, że wolałby, żeby nosiła koszulki i szorty, a nie obcisłe body.

Emma uznała, że to co najmniej dziwne, gdy Hanna ze śmiechem opowiedziała jej całe zajście przez telefon.

- Co wolno jemu, wolno i tobie - stwierdziła Emma. - Skoro on może szpanować, czemu ty nie?

Hanna natychmiast pożałowała, że cokolwiek powiedziała. Starła się wytłumaczyć Feliksa, że ją uwielbia, szaleje za nią i dlatego nie może znieść, kiedy inni mężczyźni na nią patrzą. Ale Emma zrozumiała wszystko opacznie i twierdziła, że Feliks jest zaborczy.

Emma nie rozumie, zirytowała się Hanna. Nie rozumie, że między zaborczością a prawdziwą namiętnością jest różnica. Zresztą, kto to mówi: Emma, która za żadne skarby świata nie sprzeciwi się własnemu ojcu.

Łyżką dziegciu w tej beczce miodu był David James. Nie wiadomo dlaczego, w miejsce niewymuszonej przyjaźni pojawiła się oficjalna sztywność. Hanna cały czas się głowiła, co się zmieniło.

To nie tak, że David przestał odnosić się do niej uprzejmie czy przyjaźnie; przeciwnie, był taki cały czas. I tylko taki. Nie było już posiedzeń

przy ciasteczkach z czekoladą; spotkania w gabinecie były krótkie i oficjalne, nie było moczenia ciastek w kawie.

Hanna wmawiała sobie, że martwi go coś innego, że to nie ma nic wspólnego z nią. Nie mogła się jednak pozbyć przykrego wrażenia, że Donna miała rację i David był nią zainteresowany bynajmniej nie tylko profesjonalnie.

Sytuacja nie rozjaśniła się ani odrobinę, gdy Feliks przyjechał po nią pożyczonym porsche. Nonszalancko jak zwykle zostawił samochód przed wejściem i w drzwiach wpadł prosto na Davida, który akurat odprowadzał klienta.

- Witaj, Feliks - odezwał się sucho, gdy klient wyszedł. Hanna obserwowowała wszystko zza biurka.

- Cześć, stary - Feliks klepnął go w ramię, jakby nie wyczuł chłodu.
- Przyjechałem po Hannę.

- Przepraszam, dzisiaj wyjdę trochę wcześniej. - Hanna podeszła do ukochanego. Niech go szlag trafi, że przyjechał przed czasem.

David uśmiechnął się z trudem.

- W porządku - powiedział spokojnie - Dbaj o moją najlepszą pracownicę - zwrócił się do Feliksa.

- Co jest? - zapytał Feliks, przytrzymując jej drzwi.

- Nic, trochę boli mnie głowa - skłamała. Feliks, i bez tego zazdrosny, nie musi wiedzieć, że szef chyba coś do niej czuje. A może nie. Wcale nie wydawał się zmieszany spotkaniem z Feliksem. Pokręciła głową, jakby chcąc się pozbyć tych myśli. Chyba sobie to wszystko wmawia.

- Dzięki Bogu, że jesteś. - Chyba po raz pierwszy Gillian wydawała się zadowolona na widok Hanny.

- Dlaczego? Co się stało? - Zdawała sobie sprawę, że się spóźniła, ale chyba w biurze nie mogło dojść do żadnej tragedii w ciągu pół godziny?

- Donna musiała zabrać córkę do szpitala, chyba atak astmy.

- Biedna Tania. I biedna Donna - mruknęła Hanna. Donna często opowiadała jej o siedmioletniej córeczce, chorej na astmę. Od dawna już nie była w szpitalu i Donna miała nadzieję, że córka wyrosła z naprawdę poważnych ataków. Najwyraźniej się myliła.

- Miała dzisiaj trzy spotkania i nie ma kto jej zastąpić - Gillian z przerażeniem przeglądała terminarz.

- Ktoś będzie musiał. - Hanna się niecierpliwiła. - To nie koniec świata, Gillian. Pokaż. - Przejrzała terminarz, gorączkowo przypominając sobie, gdzie dziś będą pozostali agenci i kto mógłby zastąpić Donnę.

Krótkie rozmowy telefoniczne i dwa spotkania uratowane. Nikt jednak nie miał czasu o dziewiątej czterdzieści pięć, żeby zastąpić Donnę w Killiney. Hanna wiedziała, o jaki dom chodzi; był to brzydki bliźniak, jego obecni właściciele chcieli kupić dom w Drumcondra. Zależało im na jak najszybszej sprzedaży, zwłaszcza że poprzedni kupiec wycofał się w ostatniej chwili. Jeśli nie podpiszą umowy w ciągu najbliższych dni, stracą szansę na Drumcondra. Donna polubiła ich i miała nadzieję, że dzisiejsi klienci zdecydują się kupić dom. Gdyby chodziło o inną nieruchomość, Hanna odwołałaby spotkanie, ale wiedziała, jakie to ważne. David James był nieosiągalny, więc nie mogła zapytać go o radę. Zdecydowanym ruchem zamknęła terminarz.

- Sama zastąpię Donnę na pierwszym spotkaniu - oznajmiła zdumionej Gillian.

Po drodze zadzwoniła do Donny i nagrała się na pocztę głosowej.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Dzwoni, jeżeli ci czegoś trzeba, i nie martw się pracą. Dopilnuj, żeby Tania szybko zdrowiała. Wszyscy trzymamy za was kciuki.

Przed domem w Killiney już czekało lśniące białe czteroletnie bmw. Hanna zostawiła swój samochód za rogiem. Zdawała sobie sprawę, że jako godna zaufania agentka handlu nieruchomościami nie powinna jeździć takim gratem. Ale przynajmniej swojemu wyglądowi nie miała nic do zarzucenia. Kostium w kolorze burgunda i pantofle na wysokim obcasie idealnie pasowały do jej nowego stanowiska.

Klienci czekali pod drzwiami. Kobieta znacząco spojrzał na zegarek, gdy Hanna pewnym krokiem szła do furtki.

Jasnowłosa, świetnie umalowana i ubrana w drogie markowe ciuchy, Denise Parker najwyraźniej uważała się za znawczynię mody i lubiła sprawiać wrażenie, że jej czas jest bardzo cenny. Jej mąż, Colin, rudowłosy i niezbyt przystojny, wydawał się równie niecierpliw.

- Spiesz się nam - zauważyła Denise, zanim Hanna zdążyła się przywitać.

- Rozumiem - odparła spokojnie. - Pani Nelson opowiadała mi o państwu. Wiem, że macie bardzo mało czasu.

Właściwie nie rozumiała, czemu fryzjerka i sprzedawca komputerów mieliby mieć mniej czasu niż pozostali ludzie, ale wyczuła już, że przy tej parze pochlebstwem można wiele zdziałać.

- Bardzo mi miło państwa poznać - zapewniła z uśmiechem. - Hanna Campbell. Zazwyczaj nie oprowadzam klientów - dodała mimochodem

- ale pani Nelson, niestety, coś wypadło, a ponieważ nie chcieliśmy odwołać spotkania z państwem, podjęłam się tego zadania. - Właściwie nie skłamała, dała im tylko do zrozumienia, że zajmuje się rzeczami o wiele poważniejszymi. Miała nadzieję, że wyrzeze to na nich odpowiednie wrażenie i nie pomyliła się.

Denise pociągnęła nosem.

— Dziękuję-mruknęła.

Para bez pośpiechu przechadzała się po domu. Denise potarła palcem ciemną plamę na ścianie, żeby sprawdzić, czy to brud czy wilgoć. Colin skrzywił się na widok poobijanego kominka i beżowych zasłon wliczonych w cenę.

Hanna spodziewała się, że obejrzenie całego domu zajmie im sporo czasu, dlatego rozsiała się na kanapie, jakby miała cały dzień do dyspozycji. Klient musi mieć wrażenie, że poświęcisz mu tyle czasu, ile potrzebuje, pouczał podręcznik, który studiowała do poduszki.

„Niech im się wydaje, że są wyjątkowi, że znalezienie domu spełniającego ich wymagania to twoja misja”. Z trudem się powstrzymała, by nie przewracać oczami. Misja, a jakże. Dokładnie mówiąc: *Mission: Impossible*.

Przypomniała sobie, co Donna mówiła o prezentowaniu domów.

— Niektórzy agenci chwalą wszystko, wmawiają klientom, że dom jest wspaniały i jak dla nich stworzony - tłumaczyła. - Ja nie. Jestem bardzo rzeczowa, nie ukrywam, że będą musieli zainwestować. Zawsze ich interesuje, co trzeba wymienić, zwłaszcza trzy najważniejsze i najdroższe elementy: okna, elektryczność i ogrzewanie. Szczerze się opłaca.

Szczerze, pomyślała Hanna nerwowo. Uda się.

Kiedy Parkerowie w końcu wrócili, robiła co w jej mocy, by wyglądać na zaskoczoną, że uwinęli się tak szybko.

— Ma ogromny potencjał, prawda? — zauważyła rzeczowo. - Oczywiście, trzeba wymienić kominek. Ale proszę sobie wyobrazić ten salonik z nowoczesnym czarnym kominkiem.

Parkerowie zdumieni gapili się na kominek, jakby nie mieściło im się w głowie, że agentka handlu nieruchomościami zwraca im uwagę na wady domu.

— Oczywiście - Hanna niedbale wzruszyła ramionami - niektórym ten kominek się podoba, pewnie nawet by im przez myśl nie przeszło, by go zmieniać. Lecz każdy, kto ma choć blade pojęcie o dekorowaniu wnętrz, widzi, że tu nie pasuje. Zauważyłam, że chyba się państwu nie spodobał. - Uśmiechnęła się pod nosem. - Ale nie wszyscy mają taki dobry gust.

Denise wydawała się zadowolona.

- Ma pani rację. Właśnie mówiłam Colinowi, że zaczęłabym od zmiany kominka.

Hanna skinęła głową z aprobatą.

- I łazienki. Granat tak bardzo kojarzy się z latami osiemdziesiątymi.

- Och, tak - zagruchała Denise. - Właśnie o tym rozmawialiśmy.

Hanna pochyliła się nad papierami.

- Jestem ciekawa, jak państwo urządziliby ten dom - powiedziała od niechcienia. - Mają państwo takie oryginalne pomysły, zresztą to dobra okolica.

- Rzeczywiście. - Colin był już mniej nadęty.

- Sprawdzę, czy wszystkie okna na górze są zamknięte - z tymi słowami uciekła na piętro, żeby mogli się naradzić. Gdy wróciła, czekali szeroko uśmiechnięci.

- Bierzemy - oznajmiła Denise triumfalnie. - Już widzę ten salon w zieleniach i szarościach, z czarnym kominkiem. Musimy go mieć.

- Wspaniale - Hanna pogratulowała im i poprosiła o wstępny czek.

Dziesięć minut później bmw odjechało, a Hanna krzyknęła z radości.

Udało się! Jest w tym dobra! Cholernie dobra! Parkerowie to niełatwi klienci - z jednej strony chcieli, żeby ich namawiać i przekonywać, z drugiej - byli aroganccy i gotowi się bronić. Zaskoczyła ich, mówiąc otwarcie o wadach domu i zachowując się, jakby uważała ich za koneserów. Nie mieli okazji się zdenerwować.

Nie podobało jej się tylko, że los dał jej tę szansę kosztem biednej Donny. Włączyła telefon komórkowy i zadzwoniła do Gillian, ciekawa, czy wiadomo coś o małej Tani.

- Nie - Gillian była jakaś zgaszona. - Dzwonił pan James, kazał ci przekazać, że bardzo mądrze postąpiłaś, przejmując klientów Donny.

Hanna uśmiechnęła się pod nosem. Gillian zapewne z radością poinformowała szefa, że Hanna przekroczyła swoje kompetencje, liczyła, że młodsza koleżanka oberwie za to po łapach. Biedna Gillian, jej plan spał na panewce.

- Dziękuję, że mi powiedziałaś, gdzie jestem - powiedziała spokojnie. - To było rozsądne. Niedługo wracam do biura.

Dokładnie mówiąc, mogłaby tam być za kwadrans, ale była taka dumna i szczęśliwa, że potrzebowała chwili dla siebie.

Wstąpiła do małej kawiarenki, kupiła cappuccino na wynos i usiadła na nabrzeżu Dun Laoghaire. Obserwowała ruch i zamęt dużego portu. Kochała morze. W domu, w Connemara, Atlantyk też był blisko, ale wydawało się, że miliony mil dzielą skaliste urwisko nad spienionymi

falami od staroświeckiego uroku Dun Laoghaire. Miała wrażenie, że z eleganckich hoteli za jej plecami lada chwila wyjdą damy z parasolkami, w popołudniowych sukniach. Nawet piękne jachty wydawały się pochodzić z innej epoki, jeśli się nie zwracało uwagi na nieistotne szczegóły, na przykład anteny radiowe.

Nabrzeże oplatające zatokę jak ramiona kochanka sprawiało, że morze zdawało się bezpieczne, ujarzmione. W domu zawsze czuła, że natura zwycięża. Małe łódki cumowały przy wiekowym kamiennym moło. Ilekroć szalał sztorm, przysięgała sobie, że za żadne skarby nie wejdzie do łodzi. Tutaj morze jest o wiele bezpieczniejsze, zauważyła, sącząc kawę.

- Było wspaniale - opowiadała wieczorem Feliksowi, gdy do niej zadzwonił. Nadal nie oddał telefonu komórkowego do naprawy, więc w ciągu tygodnia odzywał się rzadko. - Donna nie mogła uwierzyć, że sprzedałam dom akurat tej parze. Dzwoniła, żeby powiedzieć, że Tania jutro wychodzi ze szpitala i...

- Cudownie, kochanie - Feliks wpadł jej w słowo. - Mam tylko chwilę. Dzwonię z komórki Leona. Chciałem ci tylko powiedzieć, że w ten weekend nie przyjadę, bo przenosimy się do Waterford na dwa ostatnie tygodnie zdjęć przed świętami.

- Aha. - Nie zdołała ukryć rozczarowania; zaplanowała specjalny lunch z Leonie, Emmą i Petem. Przyjaciółki umierały z ciekawości, jaki naprawdę jest boski Feliks, a Emma od dawna obiecywała przedstawić im Pete'a.

- Innym razem - rzucił zniecierpliwiony.

Odłożył słuchawkę. Hanna ze smutkiem patrzyła na telefon. Kochać aktora to jak kochać żonatego, pomyślała ze złością. Nigdy nie można niczego planować.

Rozdział 14

Matka mięła materiał w palcach. Jasnoniebieski w żółto-błękitne kwiatki, był bardzo ładny i bardzo w stylu Laury Ashley. Właśnie taki, jak matka najbardziej lubi. Emma już sobie wyobrażała, jak instruuje krawcową, która uszyje nowe zasłonki: falbanki, falbanki i jeszcze raz falbanki!

Anne-Marie O'Brien dotknęła sąsiedniej beli materiału, także niebieskiego, ale z kremowym szlaczkiem.

- Śliczny - mruknęła odruchowo. Znajdowały się w dziale materiałów Laury Ashley od dobrych dziesięciu minut i przez cały czas matka powtarzała w kółko to jedno słowo. Zazwyczaj wyprawa po materiał na zasłony wprawiała ją w stan podniecenia, nie posiadała się z radości, że zmienia wystrój w kolejnym pomieszczeniu. Pete twierdził, że u O'Brienów wystrój całego domu, od piwnicy po dach, zmienia się co dwa lata.

- Twoja matka ma fioła na tym punkcie - powtarzał, ilekroć zaczynały się dyskusje, na jaki kolor pomalować ściany.

Emma zastanawiała się, czemu rodzice nie zatrudnią tapeciarza na stałe. Opłacałoby się to chyba bardziej niż płacenie wysokich stawek za godziny. Tym razem zmieniano wystrój pokoju gościnnego, bo wybierała się do nich z wizytą kuzynka matki z Chicago, a pokój był tak zaniedbany, że nie sposób położyć w nim gościa. Zwłaszcza gościa z Chicago, jak dawniej powiedziałyby Anne-Marie oburzonym głosem.

Tylko że tym razem milczała, nie zaproponowała zmiany wystroju; zrobił to jej mąż. Chociaż, gdy tylko pomysł się pojawił, podchwyciła go entuzjastycznie.

- Pójdiesz ze mną wybrać zasłonki, dobrze, Emmo? - błagała.

Emmie nawet do głowy nie przyszło, by odmówić. Kolejny zmarnowany sobotni ranek, pomyślała gniewnie. Planowali z Petem zakupy świąteczne. Do Gwiazdki zostały zaledwie trzy tygodnie. Nie chcieli w ostatniej chwili stać w długich kolejkach i walczyć z innymi spóźnionymi klientami o bezużyteczne prezenty.

Może, jeśli uda im się szybko wybrać zasłony i tapetę, zdąży jeszcze zajrzeć do Alias Tom's; ciekawe, czy znajdzie coś ładnego dla Pete'a. Jakiś oryginalny sweter albo koszulę od znanego projektanta. To rozrzutność, ale zasłużył na coś wyjątkowego. Ostatnio ciężko pracował, często brał nadgodziny.

Emma nie wspomniała ani razu okrutnych uwag ojca na temat pożyczki na dom, wydawało się jednak, że Pete jakoś to wyczuł i teraz robił co w jego mocy, by spłacić dług. Westchnęła. Kochany Pete. Jest dla niej taki dobry, a ona zachowuje się jak ranny niedźwiedź.

~ Gdzie ojciec? - zapytała nagle matka, wytrącając ją z zadumy.

- Co?

- Gdzie jest ojciec? Nigdzie go nie widzę.

Emma gapiła się zdumiona. Co też matka wygaduje. Anne-Marie rozglądała się nerwowo, mrugała szybko. W bladym spojrzeniu czaił się strach.

- Taty tu nie ma - zaczęła Emma powoli i z przerażeniem obserwowała, jak matka wygina usta w podkówkę i zaczyna płakać.

- Musi być! Gdzie jest? Okłamujesz mnie! - mówiła coraz głośniej.

Atak paniki, domyśliła się Emma.

Energicznie wzięła matkę za rękę w nadziei, że to ją uspokoi, i przypomniała, że Jimmy O'Brien jest teraz w pracy. Lecz matka wyrwała się jej z zadziwiającą siłą i uciekła, wołając męża po imieniu.

Ciągle w szoku, Emma pobiegła za nią i złapała za ramię, nie wiedząc, co innego mogłaby zrobić. Zatrzymały się przy stoisku z poduszkami. Anne-Marie porwała pierwszą z brzegu i zaczęła okładać Emmę.

- Puść mnie! Odejdź! Gdzie jest mój mąż?

Dostała wylewu, przemknęło Emmie przez głowę, gdy uchylała się przed ciosami. Albo czegoś innego, straszego, co zaćmiło jej umysł. Nie poznawała Emmy.

- Mamo, mamo, już dobrze. To ja, Emma. Nie bij mnie. Znajdziemy tatę, dobrze? Obiecuję. - Bała się i nie była w stanie nad tym zapanować. Anne-Marie krzyczała coraz głośniej, zagłuszyła dyskretną sklepową muzykę:

- Gdzie jest mój mąż? Muszę go odnaleźć!

Emma trzymała ją kurczowo z obawy, że Anne-Marie znowu ucieknie. Wrzaski i okładanie poduszką przybrały na sile. Emma robiła, co mogła, by wyrwać matce prowizoryczną broń. Na darmo. Anne-Marie okazała się bardzo silna. Miały teraz publiczność, otaczało je spore kółko. Sprzedawczyni zbliżała się z wahaniem.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

Równie nagle jak zaczęła, Anne-Marie przestała. Ze zdumieniem przyglądała się poduszce, jakby nie wiedziała, skąd się wzięła w jej rękę.

- Emma? - szepnęła.

- Jestem, mamo. Jestem tutaj. - Przytuliła ją delikatnie, bała się, że przy mocniejszym uścisku matka znowu się zdenerwuje. - Wszystko w porządku. Znajdziemy tatę. - Wyjęła jej poduszkę z ręki i cisnęła na ladę.

- Przepraszam - zwróciła się do sprzedawczyni. - Sama nie wiem, co się stało... Chyba się zdenerwowała. - Sprzedawczyni spojrzała na Anne-Marie, która wyglądała już całkiem normalnie, i na Emmę. Widać było, że nie wierzy w ani jedno słowo. Starsza pani i córka pewnie się pokłóciły. Co innego?

Matka czule poklepała ją po policzku i z entuzjazmem oglądała poduszki, które nie tak dawno służyły jej za broń. Gapie się rozeszli, została tylko Emma na miękkich nogach, z sercem walącym jak bębny w piosence techno.

- Ładna - matka z zachwytem oglądała kolorową poduszkę.

- Chodźmy, mamo. - Przerażona, że wszystko zacznie się od początku, Emma wyprowadziła matkę ze sklepu. Poszły do małej kawiarenki.

Cały czas trzymała matkę za rękę. Zamówiła dwie kawy i ciastko dla Anne-Marie.

Znalazła wolny stół. Cały czas paplała o świątecznych zakupach i remoncie pokoju, zachowywała się jak matka, która chce rozweselić nadąsane dziecko. Wsyłała matce łyżeczkę cukru do kawy i podsunęła ciastko.

Anne-Marie wypijała chciwie pół kubka i zabrała się za ciastko. Emma, której nic nie przeszłoby przez gardło, obserwowała ją bacznie.

- Czy teraz obejrzymy tapety? - zapytała matka normalnym, pogodnym głosem.

- Nie wiem. Mam migrenę - skłamała Emma. Wszystko, byle nie wracać do sklepu.

- Pojedziemy do domu? - matka ożywiła się jak dziecko.

Emma skinęła głową. Nie mogła mówić. Analizowała dziwne zachowanie Anne-Marie w sklepie. Za każdym razem dochodziła do tego samego wniosku: choroba Alzheimera. Nie ma innego wytłumaczenia. W kawiarence było ciepło, niemal upalnie, w przeciwieństwie do lodowatego grudniowego wiatru na dworze. Lecz mimo ciepła, Emma poczuła zimny dreszcz, który nie miał nic wspólnego z pogodą. Matka jest chora. Bardzo chora. Co teraz?

- Kirsten - jęknęła z ulgą do słuchawki. Jak dobrze usłyszeć głos siostry, głos normalności. - Nie wiem, co robić, nie uwierzysz, co się stało.

- Możesz się streszczać? - usłyszała w odpowiedzi. - Zaraz idę do manikiurzystki. Złamałam sobie paznokcie, otwierając puszkę coli, a wieczorem idziemy na bal.

Emma wzniosła oczy ku niebu. Nieważne, jaka rodzinna tragedia się właśnie rozgrywa, Kirsten i tak ma na głowie coś o wiele pilniejszego. Gdyby zbliżał się koniec świata, Kirsten uparłaby się, że najpierw musi ufarbować odrosty.

- Odechce ci się balu, kiedy ci powiem coś o mamie - Emma ściągnęła ją na ziemię.

- Nie wygłupiaj się - zbyła ją Kirsten, gdy skończyła opowiadać. - Z mamą wszystko w porządku. Wmawiasz to sobie. Wiesz, jak się denerwuje, kiedy ojca nie ma w pobliżu, jak każdy drobiazg urasta do rangi nieszczęścia. I tyle.

- Nie - Emma nie dawała za wygraną. - Wcale nie. Nie widziałaś jej, Kirsten. Była... zachowywała się jak wariatka, waliła mnie poduszką i wrzeszczała na całe gardło. To było straszne. Myślałam, że oszalała.

Chyba wiem, co to jest. Alzheimer. O Boże, nawet nie chce mi to przejść przez gardło.

Na drugim końcu zapadła cisza.

- Nie mówisz poważnie - odezwała się w końcu Kirsten.
- Chyba nie myślisz, że żartuję? - oburzyła się Emma.
- Ale teraz już z nią wszystko w porządku, prawda? Już minęło, więc nie ma się czym martwić. Robisz z igły widły.

- Kirsten! - Emma nie wytrzymała. - Posłuchaj mnie. Mama mnie nie poznawała. Ostatnio zachowywała się dziwnie, sama wiesz. Zapomniała słów. W zeszłym tygodniu chciała mi powiedzieć, że zepsuła się pralka i zapomniała tego słowa.

Przypomniała sobie tamtą rozmowę telefoniczną:

- Zepsuło się - szlochała matka. - Jest woda, ale nie działa. Nie wiem, co robić.

- Co się zepsuło? - dopytywała się Emma łagodnie.

- To... to duże, w kuchni - krzyknęła matka zdenerwowana. - Ta rzecz na ubrania, w kuchni, nie wiem, jak to się nazywa, nie drażnij mnie. Zepsuła się.

Lecz gdy Emma zadzwoniła ponownie wieczorem, matka była w doskonałej formie, a w tle cicho szumiała pralka.

- Powtarzałam sobie, że nic jej nie jest - tłumaczyła Emma siostrze - ale to nieprawda, widziałam na własne oczy: jest chora. To coś poważnego, nie wiem, demencja, Alzheimer - urwała, zmęczona przekonywaniem siostry. - Musimy się na coś zdecydować. Nie rozmawiałam z ojcem. Odwiozłam mamę i wróciłam do siebie. Nie wiem, co mu powiedzieć. Dlatego do ciebie dzwonię. Musimy razem podjąć decyzję.

Prychnięcie z drugiej strony nader jasno świadczyło, że Kirsten jest innego zdania.

- Nie ma o czym decydować. Wszystkim nam zdarza się o czymś zapomnieć. Ja nigdy nie pamiętam imion. Mama jest zdrowa, wiem to. Myślisz, że nie zorientowałabym się, że moja matka choruje?

- To nie jest konkurs, Kirsten - Emma nie dawała za wygraną. - Nie licytujmy się, która zauważyła to pierwsza, która jest lepszą córką. Musimy coś zrobić. Może tata nic nie wie, może to pierwszy raz, ale musimy coś zrobić.

- Proszę bardzo, ale beze mnie. Moim zdaniem przesadzasz. No, muszę już kończyć. - I rozłączyła się.

Emma gapiła się na słuchawkę z niedowierzaniem. Wiedziała od dawna, że Kirsten nie lubi myśleć o przykrych sprawach. Przez dwa dni ukrywała przed rodzicami wiadomość, że zawieszono ją w prawach ucznia za

palenie papierosów; dopiero świadomość, że lada dzień przyjdzie oficjalne pismo ze szkoły, zmusiła ją do działania. Ale zaprzeczać, że z matką dzieje się coś złego, gdy jest to tak oczywiste... Zdumiewające.

Rozdział 15

Chyba połowa psów w okolicy przeziębila się w tym miesiącu. Leonie myślała, że jej serce pęknie, jeśli jeszcze raz usłyszy bolesny psi kaszel albo zobaczy cierpiącą, smutną mordkę. Zazwyczaj właściciele regularnie przyprowadzali psy do weterynarza, ale zdarzali się tacy, dla których coroczna kontrola to zbędny wydatek. Płacili tylko za szczepionki dla szczeniaka, a później nie przekraczali progu kliniki. Ostatni klient był tego najlepszym przykładem. Angie badała chorą suczkę w korytarzu.

- Nigdy nie choruje - tłumaczył właściciel nonszalancko, choć spanielka wyraźnie cierpiała.

- Poprzednia suka nigdy niczego nie złapała - narzekał.

Rzeczywiście cud, pomyślała Leonie ze złością, jeśli opiekował się nią równie troskliwie jak ta. Biedactwo choruje od kilku dni, a dopiero dzisiaj ją przywiózł. I przecież nie jest biedny, to widać, facet bawi się kluczykiem do saaba, pod kurtką z owczej skóry ma koszulę Lacoste. Leonie miała ochotę mu wygarnąć, co o nim myśli, jedno badanie termometrem doodbytniczym i wszystko będzie jasne. Nigdy nie choruje, dobre sobie. Co za wredny...

- Leonie - Angie widziała, że przyjaciółka wpada w szal. - Proszę, przytrzymaj Flossie, a ja osłucham serce i płuca, dobrze?

Flossie, kochane małe stworzonko, zamerdała przyjaźnie ogonkiem.

- Jesteś śliczna, wiesz o tym? - mówiła cicho. - Poczekaj, pomożemy ci i niedługo będziesz zdrowa. Dobra suczka.

Właściciel opierał się o ścianę. Miał taką minę, jakby uważał, że ta cała wyprawa to tylko marnowanie jego cennego czasu.

Raz nawet westchnął i ze zniecierpliwieniem zerknął na zegarek. Spojrzenia Angie i Leonie spotkały się nad psim grzbietem. Obie były równie zdenerwowane.

Po skończonym badaniu Angie zwróciła się do właściciela.

- Pański pies jest bardzo chory - oznajmiła lodowato. Facet nie zareagował. - Właściwie dziwię się, że nie przyprowadził jej pan do nas

wcześniej. Zazwyczaj właściciele zjawiają się po pierwszych objawach, a pańska suka choruje co najmniej od dwóch tygodni.

Oderwał się od ściany.

- No wie pani, Boże Narodzenie i w ogóle... - wymamrotał.

- Tak. Łatwo jest tłumaczyć zaniedbanie zwierząt świętami - odcięła się Angie. - Ale jeszcze kilka dni i byłoby z nią bardzo źle. Poza tym, jest bardzo chuda. Kiedy była ostatnio odrobaczana?

Facet miał tyle przyzwoitości, że się zawstydził.

- Niestety, ciągle o tym zapominamy.

Leonie nie mogła się powstrzymać.

- Więc po co panu pies? - zachnęła się.

Angie spojrzała na nią ostrzegawczo. Lepiej nie mówić takich rzeczy. Rozzłoszczeni właściciele nie wrócą do kliniki, gdzie się na nich krzyczy.

Właściciel Flossie był zbulwersowany.

- To pańska sprawa, czy i jak często pan ją odrobacza - zauważyła sucho Angie, ignorując Leonie. - Żeby wszystko było jasne: mamy obowiązek powiadomić władze, jeśli uważamy, że zwierzęta są zaniedbywane.

Pobladł na słowo „zaniedbywane”.

- To kochana psina, dzieci za nią przepadają - mruknął. - Nie chcieliśmy, żeby jej się działo krzywda.

- Oczywiście - zgodziła się Angie. - Ale teraz musimy podać jej antybiotyk. Chciałabym ją zobaczyć za tydzień, wtedy ją odrobaczymy. Czy to panu odpowiada?

- Oczywiście, oczywiście. - Nerwowo pogłaskał psa. Leonie kamień spadł serca, gdy zobaczyła, że suczka go lubi. Przynajmniej jej nie bije.

To był ostatni klient tego dnia. Po jego wyjściu Leonie sprzątała, a Angie wypełniała kartę choroby psa. Tak jak przypuszczały, Flossie była w klinice cztery lata temu, jako szczeniak, i od tego czasu nie badał jej żaden lekarz.

- Pewnie za drogo - syknęła Leonie. - Jak dla tamtego faceta z pubu.

Angie tylko skinęła głową. Cała klinika była oburzona zachowaniem właściciela dwóch knajp w centrum Dublina. Nie zgodził się na operację usunięcia katarakty, bo to „cholernie drogie”.

Wszyscy wiedzieli, że go na to stać, choć to kosztowna operacja. On jednak wolał patrzeć, jak piękny owczarek niemiecki wpada na ściany, potyka się o meble, aż któregoś dnia pies pomylił kierunki, wyszedł na ulicę i zginął pod kołami samochodu. Właściciel, częsty bohater kroniki towarzyskiej, miał wtedy czelność powiedzieć, że strasznie mu żal, bo „uwielbia zwierzęta i zrobiłby dla nich wszystko”.

- Hipokryta. Mniej więcej tyle samo zapłaciłyby za reflektory w swoim cholernym rollsie - pomstowała wówczas Leonie. Nikt z personelu kliniki nie miał ochoty z nim rozmawiać, choć właściciel pubów codziennie przejeżdżał obok w jasnoniebieskim rolls roysie.

Angie zaklinała się, że rozsypie na drodze tłuczone szkło, żeby złapał gumę. Leonie twierdziła, że powinno się zawiązać mu oczy, żeby się przekonał, co to znaczy żyć po ciemku.

- Dlaczego tacy ludzie nie sprawiają sobie cholernych rybek? - zastanawiała się teraz, zmywając stół środkiem dezynfekującym. - Wystarczy rzucić raz na tydzień trochę karmy do akwarium i ma się spokój.

- Ryby wymagają troskliwej opieki - zauważyła spokojnie Angie.

- Tak? Nic mnie to nie obchodzi, dla mnie miejsce ryby jest na talerzu - burknęła Leonie. Nic nie mogła na to poradzić: doprowadzały ją do szału te świny, które udają, że kochają zwierzęta, ale wcale o nie nie dbają. Nie, nie świny. Świny to zwierzęta, a żadne zwierzę nie traktuje tak innego. Kiedy myślała o biednych psach, które czasami przyprowadzano do kliniki, wycieńczonych, chudych stworzeniach, najchętniej gołymi rękami połamałaby karki ich właścicielom. Takim ludziom się chyba wydaje, że zwierzę to taki samochód, który nie potrzebuje benzyny, wody ani oleju.

- Uspokój się, Leonie - mruknęła Angie. - Masz zły dzień. Idź do domu, napij się wina i zapomnij. Kiedy nadejdzie rewolucja, wszyscy niedobrzy właściciele staną pod ścianą. W porządku?

Leonie uśmiechnęła się z trudem.

- Pod warunkiem, że ja pociągnę za spust-zgodziła się.

Zamknęły klinikę. Leonie wracała do domu, choć nie miała na to specjalnej ochoty. Dom nie był już ostoją, głównie dlatego, że Abby i Mel się kłócili. Jeszcze miesiąc temu nie uwierzyłyaby w to: wojna toczyła się zawsze między Mel a Dannym. Kłócili się o wszystko, poczynając od tego, kto zje ostatnią grzanekę, po kto będzie trzymał pilota od telewizora. Abby była rozjemcą, godziła zwaśnione strony. Lecz od pewnego czasu, z niewiadomego powodu, Abby i Mel kłócili się zajadle.

Wczoraj w łazience darły się na całe gardło, bo Mel założyła nową bluzkę Abby, kupioną specjalnie na świąteczną dyskotekę.

Leonie przywykła, że Mel zachowuje się jak czterolatka, ale nie wierzyła własnym oczom, gdy Abby wrzasnęła:

- Ty świniu, nienawidzę cię! - i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Dzisiaj nie miała siły na ciąg dalszy. Zaparkowała od frontu i podeszła do drzwi wejściowych. Farba znowu odpada, zauważyła jak co wieczór. Ostatnio malowała dom dwa lata temu i, niestety, zielona farba straciła

już wiele uroku. W lecie tego nie widać, pnące róże zasłaniały wszystko, ale w zimie dom wygląda na zaniedbany. Nie tylko mała Flossie jest zaniedbana, zauważyła posępnie.

W domu było cudownie ciepło i cudownie cicho. Nikt na nikogo nie wrzeszczał, Penny nie rzuciła się jej na powitanie, a to oznacza, że jakaś dobra dusza zabrała ją na spacer. Leonie uśmiechnęła się w duchu; jedna rzecz mniej do zrobienia.

- Cześć! Mel, Abby, Danny, wróciłam!

Cisza, Notatka w kuchni informowała, że dziewczynki poszły z Penny na spacer.

Dzwonił Danny, wróci późno. Zostaw dla niego kolację, dodała Mel ładnym, okrągłym pismem.

Jakby mogła mu nie zostawić, zachnęła się. Ma za syna niszczarkę, przecież on nic nie robi, tylko je. Rozkoszując się ciszą i spokojem, postanowiła zrobić dokładnie to, co radziła Angie: otworzyła butelkę wina (pięć dziewięćdziesiąt dziewięć, promocja w Superquinn) i nalała sobie lampkę.

Na kolację będzie chilli, które rano wyjęła z zamrażalnika, pieczone ziemniaki i sałata. Włączyła radio i piecyk, oskrobała ziemniaki. Jednym uchem słuchała wiadomości, ale przede wszystkim rozkoszowała się rzadką chwilą samotności. Kiedy Penny wpadła do kuchni jak burza, szczęśliwa, że zastała ukochaną panią, ziemniaki złociły się w piecu, w lodówce czekała sałata, a Leonie nakrywała do stołu.

- Cześć, mamó - powitały ją dziewczynki.

Mel weszła do kuchni w kurtce i butach i usiadła na krześle najbliższej kaloryfera. Zarumieniła się od biegu i mrozu, duże oczy lśniły. Nawet teraz wyglądała ślicznie.

Abby odwiesiła swoją kurtkę i smycz Penny na miejsce i usiadła obok siostry. Trudno uwierzyć, że to bliźniaczki, pomyślała Leonie, patrząc na okrągłą, szczerą buzię Abby, jakże różną od twarzyczki Mel. Ale Abby chyba ostatnio schudła, zauważyła nagle. Nic wielkiego, ale jakby mniej pełne policzki? Do twarzy jej z tym, stwierdziła zadowolona. Może Abby nie czeka jej los, może nie będzie się męczyła z twarzą wieśniaczki, której tak naprawdę nie pomoże żaden kosmetyk? Nic nie ucieszyłoby Leonie bardziej niż przemiana Abby z brzydkiego kaczątka w pięknego łąbędzia. Wie dobrze, co znaczy być brzydkim kaczątkiem. No, może nie brzydkim kaczątkiem, poprawiła się. Ale osobą dużą, silną i rozsądną, zamiast drobną, wiotką, o słodkich oczach jelonka Bambi.

- Jesteście dzisiaj w dobrym humorze - zauważyła z uśmiechem.

- Tak, przepraszam za wczoraj - odezwała się Abby. - Nie wiem, co mnie ugryzło.

- SteveConelly! - zachichotała Mel. - A raczej chciałybyś, żeby cię ugryzł!

Abby pociągnęła ją za włosy.

- Świnia.

- Au! -jęknęła Mel. Ale to były tylko żarty.

Znowu się przyjaźnią, całe szczęście.

Leonie napiła się wina. Bóg jeden wie, co to za rocznik, ale smakuje wyśmienicie.

- Kim jest Steve Conelly? - zapytała. Wiedziała, że nie powinna, ale nie mogła oprzeć się pokusie.

- A kogo to obchodzi? - Abby udawała niewiniątko. - Zdaniem Mel on mi się podoba. Mamy ci coś ciekawszego do powiedzenia.

- Naprawdę ci się podoba - zauważyła Mel.

- Wcale nie. Zamknij się już. Tata dzwonił - ciągnęła Abby.

- W sprawie ślubu - włączyła się Mel. - Chce, żebyś przyjechała.

- Fliss i on chcą, żebyś przyjechała - poprawiła Abby, kładąc szczególny nacisk na imię Fliss.

Tym razem to Leonie jęknęła pod nosem.

- To miło z jego strony - mruknęła z całą nonszalancją, na jaką było ją stać. - Ale nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, dziewczynki.

- A nie mówiłam? - Mel zwróciła się do siostry. - Wiedziałam, że tak powiesz, mamo.

- Doprawdy? - Leonie krzątała się przy kuchni, chcąc ukryć zdenerwowanie. - Aż tak dobrze mnie znasz? I wiesz, co powiem? A spodziewasz się tego: masz odkurzyć salon przed kolacją? - mówiła lekko, żartowała, chciała zmienić temat.

Mel jęknęła.

- Nienawidzę odkurzania. *Zr&szta teraz kolej Abby,*

- Tata chce, żebyś tam pojechała. My też - odezwała się Abby.

Leonie wyjęła z zamrażarki paczkę fasolki szparagowej, której wcale nie chciała gotować, i wstawiła do mikrofalówki.

- Na autostradzie Stillorgan jest wielomilowy korek - oznajmił radośnie spiker w radiu. - A w Cork obszar Douglas jest całkowicie nieprzejezdny ze względu na...

- Mamo? Bardzo ci się tam spodoba, zobaczysz. Tata chciał, żebyś do niego zadzwoniła. Zrobisz to, prawda? - prosiła Abby.

- Oczywiście, że do niego zadzwonię, ale naprawdę nie uważam, żeby to był dobry pomysł. To znaczy, przecież to kosztuje majątek, a tacie wcale nie zależy na mojej obecności, prawda?

- Powiedział, że mu zależy - zauważyła Mel. - Będzie fajnie, mamo. Tata powiedział, że zapłaci za twój bilet. I za nasze też.

Musi nieźle zarabiać, pomyślała Leonie.

- Dobrze, zadzwonię do niego, ale to wszystko. Nic więcej nie obiecuję.

- Bardzo cię proszę - zaklinał Ray. - Tak bym chciał, żebyś tu była. Zawsze powtarzasz, że ze względu na dzieci musimy trzymać się razem i udowodnić wszystkim, że po rozwodzie możemy się zachowywać jak cywilizowani ludzie.

Trzy tysiące mil dalej Leonie uśmiechnęła się pod nosem. Pobita własną bronią. Rzeczywiście to powtarzała. Nie chciała, żeby dzieci stały się pionkami w rękach rodziców, jak zazwyczaj dzieje się po rozwodzie. Żeby były kartą przetargową w walce o władzę, która nie ma nic wspólnego z rodzicielską odpowiedzialnością.

Widziała zbyt wiele małżeństw, które przy rozstaniu wpadały w niekończącą się litanię win i tłumaczeń, dlatego dzieci za nic nie powinny i się więcej spotykać z „tym draniem” albo „tą suką”.

Chciała mieć pewność, że zawsze będzie mogła porozmawiać z Rayem o dzieciach, zdecydować, co jest dla nich najlepsze. I zawsze im się to udawało.

A teraz, dziesięć lat później, pokonał ją jej własnymi słowami.

- Gdybyś to ty wychodziła za męża, Leonie, byłbym tam - zauważył. I mówił szczerze, wiedziała.

Zastanawiała się, czy chciałaby, żeby był na jej ślubie, gdyby ponownie wychodziła za męża. Tak, stwierdziła. Chciałaby, dodałby jej otuchy. Byłby dowodem na to, że nie zmarnowała mu życia. To śmieszne, stwierdziła. Jediną osobą, której życie zmarnowała, jest ona sama. Ray jest szczęśliwy, dzieciaki też, a przecież to ona marzyła o tajemniczym nieznanym, o którym śniła, odkąd rodzice pozwolili jej oglądać stare filmy w sobotnie popołudnia.

- A co Fliss na to? - zapytała.

- Chce tego tak samo jak ja - zapewnił Ray. - Ma do tego bardzo zdrowe podejście. Jej rodzice się rozwiedli, a spotykają się cały czas. Mają górski domek w Kolorado i jeżdżą tam na wakacje z nowymi małżonkami. Tutaj takie sprawy załatwia się bardzo cywilizowanie. Fliss zależy, żebyś tam była, bo będzie macochą dzieci i chce, żebyś ją poznała. Będzie fajnie, Leonie. Pomyśl, wakacje. Zarezerwowaliśmy dwa domki, więc zamieszkas z dziećmi. Zapłacę za twój przelot.

- Nie, nie - powiedziała odruchowo. - Sama za siebie zapłacę. - Ledwie to powiedziała, zdała sobie sprawę, co toaczy - kapitulacja.

- Więc przyjedziesz! Wspaniale! Cieszę się, że cię zobaczę. Dziękuję, naprawdę mi na tym zależy - zapewnił Ray entuzjastycznie.

Jeszcze chwilę rozmawiali, ale Ray był w pracy, więc musiał szybko kończyć.

- Zadzwoń w tygodniu, jak wszystko zaplanujemy - obiecał. - Cieszę się na spotkanie z dziećmi. I z tobą.

Jak bardzo Ameryka różni się od Irlandii, dumiała po odłożeniu słuchawki. Amerykanie mają wszystko porządnie poukładane. Są oświeceni. Ludzi się rozstają, eksmężowie poznają aktualnych partnerów i nikt nie chce nikogo stłuc na kwaśne jabłko. Leonie usiłowała sobie przypomnieć, czy słyszała o ślubie, na którym był obecny były mąż czy żona. Obecny i zaproszony, ma się rozumieć, nie taki, który zjawił się bez zaproszenia, żeby zepsuć uroczystość. Nic takiego nie przychodziło jej do głowy. Ba, słyszała o takich, co nie szli na ślub własnych dzieci z obawy, że spotkają tam byłego męża lub żonę. Żałosne.

A teraz i ona będzie postępową, poleci do Kolorado na ślub byłego męża. Jakie to nowoczesne. Szkoda, że poleci sama. Fajnie byłoby kogoś zabrać, kogoś, kto przypominałby, że i ona jest warta miłości. I że nie jest nieszczęśliwą bidulką, która musi wysyłać ogłoszenia matrymonialne w nadziei, że wreszcie kogoś znajdzie.

Mel paplała jak nakręcona. Zastanawiała się głośno, co włożyć na ślub.

- Zdaniem Liz powinnam wystąpić w czerni, to takie dramatyczne - rozważała, od niechcienia skubiąc sałatę i chilli. - Sama nie wiem. W czarnym wyglądam blado. Biel byłaby lepsza ze względu na śnieg, ale nie wypada iść na biało na ślub, prawda? Muszę zadzwonić do Fliss, zapytać, co zakłada. Albo może coś obcisłego, z szyfonu. Starsza siostra Susie ma taką mini. Super.

- Nie włożysz nic białego, obcisłego ani z szyfonu - oznajmiła Leonie stanowczo. - Melanie, masz czternaście lat, nie osiemnaście. Gdybym *chciała mieć w domu Lolitę*, dałabym ci *tak* na imię.

Mel skrzywiła się tylko.

- Mamo, muszę super wyglądać, zrozum. Kto wie, kogo tam spotkam. Wszystkie gwiazdy mają domy w Vail.

- To chyba nie w Vail? - przeraziła się Leonie.

- Owszem.

- Boże, no cóż, więc wszystkie wystąpimy w nowych kreacjach - stwierdziła Leonie. - Prawda, Abby? Nie skompromitujemy Irlandii, występując w starych szmatach.

Abby ucichła, gdy rozmowa zesłała na obcisłe sukienki z szyfonu. Biedactwo pewnie się martwi, że Mel będzie gwiazdą, a ona jak zwykle wtopi się w tło.

- Nie jesteś głodna? - zdziwiła się Leonie, widząc, że Abby tylko grzebie widelcem w talerzu. - Ostatnio mało jesz. Źle się czujesz?

Abby szybko pokręciła głową.

- Nie, nie. - Nabrała pełny widelec chilli, jakby chcąc udowodnić, że dużo je. - Nic mi nie jest.

Abby cicho zamknęła drzwi łazienki. Ostatnio zajmowało jej to coraz mniej czasu, ale lepiej robić to cicho, zanim ktokolwiek się zorientuje, że jest w łazience. Poczowała się okropnie, kiedy mama spytała, czy nie jest głodna. Abby od kilku tygodni dokarmiała Permy pod stołem i zawiązywała resztki jedzenia w serwetkę. To było męczące i nieskuteczne. Była wiecznie głodna i wcale nie chudła, mogłaby przysiąc. Na wskazaniach wiekowej wagi łazienkowej nie można polegać. Zresztą chyba nikt jej nie używa. Mama je co chce i nie przejmuje się figurą. Mel jest chudajak szczapa, a Danny'ego interesują tylko mięśnie. Wiecznie podziwiał w lustrze swoje bicepsy, kiedy mu się wydaje, że nikt nie widzi.

Abby mogłaby się ważyć w jeszcze jednym miejscu - w drogerii Maguire's, na wadze, która głośno podaje, ile ważysz. Ale wstydziła się, że lada moment wejdzie koleżanka ze szkoły, i nigdy z niej nie korzystała.

W każdym razie wcale nie chudła, choć nie jadła frytek i ulubionej lasagne. Myślała, że wszystko na nic, póki nie odkryła idealnej metody. Przeczytała o tym dwa tygodnie temu w gazecie mamy. Można jeść co się chce i mimo tego schudnąć. Tylko że od tego boli gardło. Ale i tak warto, jeśli dzięki temu będzie taka szczupła jak Mel. Właśnie tego chciała: choć raz, tylko na ślub taty, być piękną jak Mel. Potem przestanie.

Abby związała włosy gumką, żeby jej nie przeszkadzały, i pochyliła się nad muszlą klozetową.

Tylko błagalny wzrok Penny zmusił Leonie, by włożyła kurtkę i wyszła na dwór, na okropną grudniową pogodę. Lało od trzech dni; monotony deszcz przenikał nawet najgrubsze płaszcze przeciwdeszczowe i kaptury. Choćby nie wiem jak szczelnie się opatulić, krople i tak znajdowały drogę nad kołnierzem albo pod mankietem.

Dziewczynki siedziały w salonie przy ogrzewaniu włączonym na pełny regulator i udawały, że się uczą do egzaminów. W rzeczywistości oglą-

dały telewizję. W piecyku dopiekał się smakowity kurczak w sosie cytrynowym. Leonie planowała przejrzeć gazetę, i po męczącym dniu w klinice wegetować aż do kolacji. Lecz Penny, która od trzech deszczowych dni nie była na porządnym spacerze, patrzyła tak żałośnie, że Leonie zmięła.

- Gdyby zwierzęta dostawały Oscary, już miałybyś kolekcję - mruknęła, gdy Penny rozpląszczyła się na podłodze jak kupka nieszczęścia i na znak rozpacz przykryła nos łapami. - Flipper i Lassie mogą się przy tobie schować.

Włożyła płaszcz przeciwdeszczowy, naciągnęła kaptur na różową czapkę i wyszła na dwór.

Penny tańczyła dokoła niej radośnie. Leonie wzdrygnęła się i pomaszerowała ulicą. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie zwariowała.

Za dziesięć dni Boże Narodzenie, we wszystkich domach stały w oknach zapalone świece. Przez zasłony przenikały kolorowe światełka choinek. Ciepły nastrój za szybami tylko potęgował chłód na zewnątrz. Leonie szczerzej otuliła się kurtką.

Nawet widok Penny, radośnie wbiegającej do kałuży, nie bawił jej tak jak zwykle. Dziesięć minut, to wszystko. Jeszcze kwadrans w ten deszcz i przemoknie do suchej nitki. Kiedy skręciły w boczną uliczkę, spuściła Penny ze smyczy i szła powoli, mrużąc oczy. Ale zimno!

Penny dla zabawy ochlapała ją wodą z wielkiej kałuży. Suce deszcz nie przeszkadzał, nie lubiła tylko, gdy spryskiwało się ją szlauchem po wyjątkowo błotnistej przechadzce, jakby zimna woda z węża była inna niż woda z kałuży.

- Masz szczęście, że cię kocham, Penny - mruknęła Leonie. - Inaczej za żadne skarby nie wyszłabym w taką pogodę. - Przeszła na drugą stronę wąskiej uliczki, wydawało jej się, że tam mniej zacina.

Do tego stopnia pochłoneńo ją chowanie się przed lodowatym deszczem, że nie zauważyła olbrzymiej kałuży tuż przed wielką czarną bramą. Penny ciekawie zaglądała za ogrodzenie, a Leonie potknęła się na kamieniu i ciężko upadła, w ostatniej chwili podparła się rękami. Tkwiła w gigantycznej kałuży, bolały ją kolana i łokcie, ale była w szoku i nie mogła się ruszyć.

- Nic pani nie jest? - zapytał męski głos. Odwróciła głowę i dopiero wtedy dostrzegła samochód za sobą. Nagle ktoś objął ją mocno i pomógł wstać. Zachwiała się niepewnie. Penny nerwowo przestępowała z łapy na łapę, wiedziała, że coś jest nie tak, ale nie mogła nic zrobić.

- Nigdzie pani nie pójdzie - oznajmił mężczyzna. - Proszę wejść do mnie, niech pani wyschnie, a potem wezwiemy lekarza. - Niemal zaniósł ją do wielkiego dżipa.

W innej sytuacji Leonie odmówiłaby, powiedziałaaby, że nic jej nie jest, naprawdę, poza tym Penny nie wsiądzie do samochodu, bo jest brudna, ale teraz była bliska płaczu i zszokowana, Mężczyzna przytrzymał jej drzwiczki i zapędził Penny na tylne siedzenie.

Leonie zamknęła oczy. Łokcie bolały coraz bardziej. Obmacała je ostrożnie. Była pewna, że podczas upadku podarła sobie kurtkę.

- Proszę nie ruszać - poradził. ~ W domu się tym zajmiemy. - Urwał.
- A może od razu zawieźć panią do lekarza?

Pokręciła przecząco głową.

- Nie - szepnęła - Nie trzeba. Nic mi nie jest, naprawdę.

Nagle zdała sobie sprawę, dokąd jada - w tę czarną bramę, przed którą upadła. Więc to jego dom; wiezie ją ten potężny mężczyzna, którego widziała z dwoma owczarkami collie.

- To moja wina - powiedział. - Ta dziura jest coraz większa, już dawno powinienem był coś z tym zrobić.

- To wina radnych - poprawiła Leonie, obmacując spodnie, by sprawdzić, czy i one ucierpiały.

Dżip pokonał kręty podjazd i zatrzymał się przed domem, którego Leonie nigdy dotąd nie widziała. Niewielki zagajnik osłaniał go przed wzrokiem ciekawskich od strony ulicy, i dobrze, pomyślała, bo inaczej gapiliby się bez przerwy. Był to piękny stylowy budynek, z wielkimi oknami i kolumnami po obu stronach drzwi wejściowych. Drzewa otaczały go opiekuńczo.

- Piękny -jęknęła Leonie. - Nie miałam pojęcia, że tutaj jest.

- Odosobnienie jest jedną z przyczyn, dla których go wybrałem - odparł mężczyzna, wysiadając z samochodu.

Pomógł Leonie dojść do drzwi.

- Nie wchodźmy od frontu, Penny ma brudne łapy - opamiętała się.

- Nie ma sprawy, nie mam dywanów.

Powitało ich radosne szczekanie i dwa czarne owczarki collie skoczyły na mężczyznę ledwie otworzył drzwi. Zaraz dostrzegły Penny i trzy psy witały się, energicznie machając ogonami.

- To psy bardzo łagodne - zauważył. - Nie gryzą.

~ To dobrze. - Leonie zbierało się na wymioty. - Gdzie jest łazienka? - zapytała słabo.

Zaprowadził ją do małej, czystej łazienki. Ledwie zamknęła za sobą drzwi, zwymiotowała. Szok i adrenalina, oeniła, dygocząc z zimna na podłodze. Czekwała, aż ustana mdłości. Oddychała głęboko. Po kilku minutach wróciła do siebie na tyle, że ciekawie rozejrzała się po łazience, wykończonych kararyjskim marmurem. Wszystko było nieskazitelnie czyste, nawet

białe ręczniki z brązowym szlaczkiem. Szkoda, że u niej w domu jest tylko jedna łazienka; gdyby ktoś wpadł w kałużę przed jej domem, musiałyby przez pół godziny pucować łazienkę, zanim mogłaby go do niej wpuścić.

- Wszystko w porządku? - zapytał mężczyzna przez drzwi.

- Już tak. - Wstała, nacisnęła klamkę. Po mężczyźnie nie było śladu, natomiast trzy psy wpadły do małej łazienki z wywieszonymi ozorami.

- Położyłem tam pani suche ubranie - krzyknął.

Nie mogła wypędzić psów z łazienki. Owczarki chciały ją dokładnie obwąchać, Penny natomiast domagała się zapewnienia, że nadal jest najładniejsza i najmądrzejsza.

Leonie posłusznie głaskała je przez minutę, potem wzięła ubrania i starała się wyprosić psy.

- Sio - w końcu wypchnęła je z łazienki.

Zostawił jej białą koszulkę, ogromny szary sweter, męskie dzinsy i czarne skarpety. Ostrożnie zdjęła mokre rzeczy, krzywiąc się z bólu. O dziwo, nie miała żadnych skaleczeń, tylko na łokciach pojawiły się dwa potężne siniaki, a trzeci znaczył łydkę brzydką plamą.

Wszystko ją bolało, ale dziękowała losowi, że nie potłukła się bardziej.

Dobrze, że nie planowałam wystąpić w mini na ślubie Raya, pomyślała, oglądając siniak na nodze. Wytarła włosy ręcznikiem, opłukała twarz z błota. Potem staranie złożyła swoje ubrania i ręcznik. Zabierze go do domu i wypierze, nie zostawi przecież brudnego.

Psy bardzo się ucieszyły na jej widok i towarzyszyły jej, gdy szła przez długi hol do kuchni. Utrzymana w drewnie, była bardzo przytulna: przy starej kanapie stały dwa psie koszyki. Mężczyzna pochylał się nad zlewem. Nie obrócił się nawet, kiedy się odezwała.

- Dziękuję za ubranie.

- Jak się pani czuje? Chce pani iść do lekarza? - Nadal stał do niej tyłem.

- Nie, nic mi nie jest, choć na razie mogę zapomnieć o karierze modelki - zażartowała. - Wyglądam jak po kilku rundach z Mikem Tysonem.

Odwrocił się z lekkim uśmiechem na ustach. Dopiero teraz mogła mu się przyjrzeć. Był mniej więcej dziesięć lat od niej starszy, miał gęste miedziane włosy i bujną brodę. Był wysoki, mierzył ponad metr osiemdziesiąt, i potężny, ale ubrania na nim wisały, jakby bardzo schudł. Miał dziwną twarz, jakby pozbawioną wyrazu, krzaczaste brwi skrywały ciemne oczy. Kiedy się uśmiechnął, był niemal przystojny; gdy znowu spoważniał, wydawał się oschły i ponury.

- Mam środki przeciwbólowe, jeśli pani chce - zaproponował. - Zażywam je z powodu twarzy - dodał.

Spojrzała na niego, Z jednej strony twarzy miał blizny, pokrywały cały policzek, nikły w bujnej brodzie. Po oparzeniach, przeszło jej przez głowę. Patrzył jej prosto w oczy, jakby czekał, aż ucieknie wzrokiem. Ale Leonie nie była taka miękka. Widziała zwierzęta tak poparzone, że ich skóra była jedną wielką raną. Pamiętała ich błagalne spojrzenia, żeby wreszcie przestało boleć.

Nie mogła na nie patrzeć. O wiele lepiej radziła sobie z cierpieniem ludzi niż zwierząt.

- Dobrze się goją - zauważyła fachowo. - Pożar?

- Tak - wydawał się zdziwiony, że w ogóle poruszyła ten temat. -

Dwa lata temu.

Wyciągnęła rękę.

- Powinam się przedstawić." Leonie Delaney, a to jest Penny.

Penny pomachała leniwie ogonem, słysząc swoje imię. Ułożyła się wygodnie w koszyku.

- Czas na mnie - powiedziała Leonie. - Moje dzieci czekająca kolację. Co prawda na pewno za mną nie tęsknią, ale muszę już iść.

- Zrobiłem grzaną whisky - zaprotestował. - Pomyślałem, że to pani dobrze zrobi. Nie wiem, czy można to mieszać ze środkami przeciwbólowymi, ale sądzę, że pani to jakoś przeżyje.

- Uwielbiam alkohol i lekarstwa - mruknęła Leonie. Usiadła na kanapie i zaraz otoczyły ją psy. - Napiję się.

Nie wiedziała, dlaczego się zgodziła. Facet jest wyraźnie mało towarzyski i zamknięty w sobie. Najwyraźniej nie lubi gości. I do tego ciągle myśli o swoich bliznach. Nawet się nie przedstawił...

- Doug Mansell - powiedział, podając jej szklankę przez papierową serwetkę.

- Ostrożnie, bardzo mocna i bardzo gorąca.

- Chce pan powiedzieć, że jak to wypiję, tak się zaleję, że znowu wpadnę do tej dziury - stwierdziła.

Roześmiał się głośno. Zabrzmiało to tak, jakby nie śmiał się od wielu miesięcy.

- Odwiozę panią, obiecuję. Obiecuję także, że każę załatać tę dziurę. Nie chciałbym, żeby sąsiedzi zabijali mi się pod domem.

Usiadł na krześle tak, że nie widziała poparzonej części twarzy. Psy usiadły po obu jego stronach i wyciągały łby, domagały się pieszczot. Ma duże dłonie, zauważyła, gdy głaskał dwa owczarki.

Przypomniała sobie, jak go kiedyś widziała na spacerze. Wtedy wydał jej się srogim typem, który trzyma psy w budzie na dworze i traktuje surowo, a już na pewno ich nie rozpieszcza. Uśmiechnęła się. Bardzo się

pomyliła. Psy rządziły w tym domu, w obu koszykach poniewierały się psie zabawki. Nadal jednak nie wyobrażała sobie, by Doug zwracał się do nich jak do dzieci.

- Jak się wabia? - zapytała.

- Jasper - poklepał psa o pięknej, lśniącej czarnej sierści - i Alfie. - Alfie miał białe skarpetki i jasną plamę na piersi. - Alfie jest synem Jaspiera. Ma dwa lata, Jasper osiem.

Rozmawiali o psach. Leonie sączyła swoją whisky.

- Jedyny problem z psami to to, że trzeba z nimi chodzić na spacer - zauważyła i wypięła ostatni łyk

- Zaraz pani doleję - zaproponował.

- Nie, dziękuję, już pan dzisiaj odegrał dobrego samarytanina - uśmiechnęła się. - Nie będę panu więcej przeszkadzała.

- Nie przeszkadza pani - powiedział szczerze. - Nie przywykłem do podejmowania gości. Szczerze mówiąc, wiodłem ostatnio żywot pustelnika. Ale miło się z panią rozmawia.

- Och. - Usiadła i pozwoliła, żeby jej dolał.

- Chyba też się napiję - oznajmił.

- Musi pan wpaść do nas na kolację - zdziwiły ją własne słowa. - Mieszkam niedaleko. Polubi pan dzieciaki. Nie powinien pan się tak izolować.

- Teraz pani bawi się w samarytanę? — rzucił złośliwie.

- Proponuję jedynie kolację, nie pogotowie ratunkowe - odparła lekko. - Mój skromny domek nijak się ma do pańskiego pałacu, więc zrozumiem, jeśli pan odmówi. - Wstała.

- Przepraszam - spieszył się. - Nie chciałem, żeby to zabrzmiało... Ja po prostu... Zapomniałem, jak należy się zachowywać. Przepraszam. I proszę jeszcze nie iść. Pokażę pani dom, choć zapewniam, że to nie jest pałac.

Leonie posłała mu spojrzenie, które Mel, Abby i Danny rozpoznaliby jako zaproszenie do zabawy.

- Aha, chce mnie pan przekupić! Wie pan, że kobiety są niewiarygodnie wścibskie i nie oprą się pokusie rzucenia okiem na cudzy dom, tak?

Skinął głową.

- No, dobra.

Leonie powędrowała za nim, w towarzystwie psów, przez wielki dom. Był piękny, ale bez życia. Przestronne pokoje o wielkich oknach, marmurowe kominki, eleganckie meble były smutne bez domowego bałaganu.

- Właściwie mieszkam w kuchni - przyznał Doug, gdy zaglądali od pokoju do pokoju. - I w atelier. Jestem malarzem.

- Śliczny dom - powiedziała szczerze. Ale wolałaby, gdyby na parapetach stały donice z kwiatami, a na stolikach i fotelach poniewierały się gazety. Czuła się jak w muzeum; płaci się za wejście, podziwia piękne białe fotele i wdzięczne krzeselka, ale nigdy się na nich nie siada. I nigdzie nie było obrazów. Wywnioskowała, że Doug jest tak zamknięty w sobie, że nie chce, by ktokolwiek oglądał jego dzieła.

- Mieszka pani przy głównej ulicy, prawda? - zainteresował się, gdy wrócili do kuchni.

- Tak, w domku mniej więcej osiem razy mniejszym od tego. Można mówić o cudzie, jeśli znajdzie się tam kawałek przestrzeni, na którym nie poniewierają się puste opakowania po chipsach, filmy wideo z wypożyczalni i inne akcesoria nastolatków - powiedziała. - Widać, że pan lubi minimalizm - nie spodobałby się panu nasz dom.

- Szczerze mówiąc, nie lubię minimalizmu - odparł. - Kupiłem ten dom jako inwestycję. Nie miałem zamiaru tu mieszkać. Dopiero... - zaważał się. - Dopiero po pożarze zmieniłem zdanie. Jest odosobniony i to mi odpowiada. Po prostu niczego tu nie zmieniłem, odkąd się wprowadziłem. Nie byłem w nastroju.

- Cóż, z urządzeniem domu jest tyle zachodu... - Leonie celowo udała, że źle rozumiała jego słowa. *Jeśli chce uważać, że jest za brzydki, żeby wychodzić z domu i dlatego nic tu nie zrobił, to jego sprawa. Ona nie będzie go w tym utwierdzała.*

Spojrzał na nią rozbawiony.

- Więc kiedy ta samarytańska kolacja? - zapytał. - Nie znam jeszcze sąsiadów, równie dobrze mogę zacząć od pani rodziny.

- Muszę sprawdzić. Ja, nudna stara matka, zawsze siedzę w domu, ale moja trójka wiecznie gdzieś wychodzi. Odezwę się. Czas na mnie - stwierdziła. - Dziewczynki za mną nie tęsknią, to pewne, ale chyba już się zastanawiają, gdzie się podziałam.

~ Odwożę panią - zaproponował. - Nadal leje.

Jechali w milczeniu, dopóki nie poprosiła, żeby się zatrzymał przed jej domem.

- Do zobaczenia - otworzyła drzwiczki. - Mówię poważnie z tą kolacją. Nic specjalnego, zwykłe towarzyskie spotkanie.

- Dobrze. Nie lubię, kiedy ludzie mnie pytają o różne rzeczy - zaczął niejasno. - A pani tego nie robi.

Leonie wzruszyła ramionami.

- Ja też tego nie znoszę. Ludzie chcą wszystkich zaszufładować - zauważyła z namysłem. - Wie pan, związany, rozwiedziony, wdowiec, samotny, gra w golfa i tak dalej. Jako rozwódka z trójką dzieci mam po

dziurki w nosie wścibskich pytań, czy mam kogoś, czemu się rozpadło moje małżeństwo i tak dalej. Pan, atrakcyjny, prawdopodobnie wolny mężczyzna, sam w wielkim domu, stanowi pan smakowity kąsek dla plotkarzy. Ja do nich nie należę, jeśli ma pan ochotę na zwykłą domową kolację, zapraszam. I jeszcze jedno, nie rzucę się na pana, obiecuję.

Roześmiał się.

- Leonie, jak pani to robi, jednocześnie cudownie szczerza i straszna kłamczucha. Nie wierzę, żeby ktokolwiek miał się jeszcze na mnie rzucać.

- Bzdura - zbyła go. - Nie jest pan Quasimodo. Litości pan u mnie nie znajdzie. Zapraszam najedzenie, nie na terapię. Ale może, żeby zagrać na nosie plotkarzom, zjawi się pan z bukietem czerwonych róż?

Uśmiechał się jeszcze, kiedy odjeżdżał. Sympatyczny facet, pomyślała, biegnąc z Penny do drzwi wejściowych. Ale ma wiele ran, na duszy i na ciele. Zastanawiała się, dlaczego stał się taki wrogi i podejrzliwy. To coś więcej niż wypadek. Na pewno kobieta. Pewnie nie wytrzymała życia u boku zgorzkniałego odludka.

Nie chciało jej się biec dokoła do tylnych drzwi, musiałaby wtedy przejść pod mokrymi krzewami, więc weszła przez drzwi od frontu.

W salonie wrzeszczał telewizor. W całym domu śmierdziało spalenizną.

- Dziewczynki - zawołała łagodnie. - Nic nie czujecie? - Dwie grzane whisky i środki przeciwbólowe znieczuliły ją na tyle, że nie miała siły się złościć.

- Och, jej, zapomnieliśmy. - Mel się zawstydziła. - Przepraszam. Mamo, co ty masz na sobie? - Dopiero teraz zauważyła, że matka jest w jakichś męskich ciuchach.

- Kiedy przechodziłam przez ulicę, porwali mnie obcy, robili na mnie eksperymenty, a potem odesłali w tym - oznajmiła ze śmiertelnie poważną miną.

- Och, mam, co ty? - Mel przewróciła oczami.

- Co się stało? - dopytywała się Abby.

- Wpadłam w kałużę - zaczęła i opowiedziała całą historię. - Mam szczęście, że nie kosmici mnie porwali. Powiedziałam, że wychodzę na dziesięć minut, wracam niemal po półtorej godzinie, a wy nic nie zauważyliście. Mogłam zostać zgwałcona i zamordowana, ale nawet wycie syreny policyjnej nie oderwałoby was od telewizora. Ewentualnie zrobiłybyście głośniej!

- Oglądałyśmy coś fajnego. - Abby wzruszyła ramionami.

- Co z kolacją? - Leonie myślała na głos. Kurczak, wysuszony na wiór, nie nadawał się do jedzenia. Nawet Penny, która niczym nie gardziła, patrzyła na niego pogardliwie.

- Nie jestem głodna - powiedziała szybko Abby.
- Ja też nie - zawtórowała Mel.
- W takim razie grzanki z serem - zdecydowała Leonie. - I wy je zrobicie.

Dwa dni później spotkała Douga, gdy mijała jego dom. Było późne popołudnie; znowu lało jak z cebra. Nawet ostrokrzew smętnie zwiesił kolczaste listki. Na żadnym krzaczku nie było czerwonych jagód - mieszkańcy pourywali coładniejsze gałązki na świąteczne dekoracje.

- Świetna pogoda na kaczkę. - Doug zatrzymał dżipa. - Kiedy będzie ta słynna kolacja?

- Dzisiaj. Jeśli ci to odpowiada - spojrzała na niego spod daszka prze-moczonej czapeczki baseballowej. - Zrobiłam zakupy przedświąteczne, więc możesz wybierać: lasagne, makaron z sosem grzybowym albo chilli.

- Zdecydowanie lasagne.

- Więc do zobaczenia o siódmej. - Pomachała mu i pomaszerowała dalej, w głębi ducha bardzo zadowolona. Miło jest mieć nowych przyjaciół, poza tym cieszyła się, że Doug zaprzyjaźnił się właśnie z nią, a zlekceważył wysiłki innych mieszkańców. Dyskretne dochodzenie ujawniło, że w ciągu półtora roku, odkąd tu zamieszkał, Doug zatrzasnął drzwi przed nosem oburzonego komitetu i kazał się wypchać księdzu, gdy ten zjawił się go powitać.

- Naprawdę? - dziwiła się.

- A czemu pytasz? - zainteresowała się sąsiadka.

- A nic, tak się tylko zastanawiałam, kto tam mieszka. - Leonie kłamała jak z nut. - Czym on się właściwie zajmuje?

- Jakiś artysta, malarz albo coś takiego. Jeśli tak dobrze radzi sobie z pędzlem, mógłby pomalować bramę. Farba odpada z niej płatami i cała okolica przez to gorzej wygląda.

Leonie krzątała się po kuchni i myślała o karierze Douga. Nigdy o nim nie słyszała, no, ale też jej się podobają akwarele z różami i owocami. Abby, która interesowała się sztuką, uważała, że to straszny kicz.

Rozmroziła lasagne, przyrządziła sałatę, wstawiła ziemniaki do pieczenia i zabrała się za sprzątanie. Po półgodzinie doszła do wniosku, że to bez sensu. Dom jest za mały, żeby mieszkały w nim cztery osoby, pies, kot i chomik, i jeszcze by panował w nim duch minimalizmu. Nawet utrzymanie porządku graniczy z cudem. Najważniejsze, że jest czysto.

Już miała się przebrać z domowych ciuchów w coś bardziej eleganckiego, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

Biedny Doug, pewnie ma za sobą zawód miłosny; jeśli zobaczy ją wymalowaną, wystrojoną i pachnącą Samsarą, będzie uciekał, gdzie pieprz rośnie. Obiecała, że się na niego nie rzuci i naprawdę nie miała tego zamiaru; nie jest w jej typie, ani ona w jego.

Więc tylko poprawiła włosy, musnęła usta szminką i zmieniła stare legginsy i bluzę na workowatą koszulę dżinsową i spraną spódnicę, a nie, jak planowała, jedwabną koszulę i aksamitne spodnie. Teraz, stwierdziła patrząc na siebie w lustrze, nikt jej nie zarzuci, że na niego poluje. Bez makijażu, jeśli nie liczyć odrobiny tuszu do rzęs i eyelinera, wyglądała bardzo naturalnie, w niczym nie przypominała femme fatale z połową drogerii na twarzy. Zamiast duszącej Samsary spryskała się wodą wanioliową i wróciła do kuchni.

Doug zjawił się o wpół do ósmej. Danny przestał nawet oglądać telewizję, żeby co chwila nękać ją jęczeniem, jakie to straszne i jakie szkodliwe, tak kogoś głodzić.

- Przecież trzy godziny temu jadłeś pizzę, ty ludzka śmieciarko - odparła brutalnie. - Musisz poczekać na Douga.

- Kupiłeś chipsy? - Danny buszował w szafkach, szukając czegoś do jedzenia.

- Przyszedł Doug! - zawołała Mel. Weszła z nim do kuchni. Niósł dwie butelki wina.

- Mogę się napić wina, mamó? - dopytywała się Mel. - Już prawie święta.

- Kupiłeś piwo? - zainteresował się Danny. Pomachał Dougowi na przywitanie i dalej metodycznie przeszukiwał szafki.

- Wszystko schowałam, bo ty pochłoniesz wszystko na jeden raz, a przed świętami już nie pojedę po zakupy. Tak, kupiłam piwo. - Leonie przewróciła oczami. Wszystkie smakołyki stały w szafce z żarciem Penny. Nigdy tam nie szukają. Dzięki temu potrafi wyczarować tabliczkę czekolady, gdy im się wydaje, że już nic nie ma.

- Pewnie żałujesz, że przyszedłeś - zwróciła się do Douga.

- Wcale nie. - Pogłaskał Penny. - Daj korkociąg, to otworzę wino.

Nikt nie gapił się na jego twarz, nie zwracał uwagi, zauważyła Leonie. Pewnie właśnie tego było mu trzeba.

Kolacja okazał się bardzo przyjemna. Po lampce wina Mel i Abby były bardzo gadatliwe i rozchichotane. Danny wyraźnie rozkoszował się obecnością jeszcze jednego mężczyzny przy stole i narzekał, jak zazwyczaj jest przegłosowywany.

- Nawet pies jest kobietą-jęczał.

Zjedli dużo lasagne, a Doug nawet poprosił o dokładkę.

Był tylko jeden nieprzyjemny moment. Mel spojrzął na Douga i spytała:

- Czy bardzo cię boli, biedaku?

Leonie poczuła, że jedzenie staje jej w gardle. Lecz Doug wcale się nie zdenerwował.

- Już nie - odparł. - Niedługo przyjdzie czas na operację plastyczną, ale nie wiem, czy tego chcę.

- Ja bym chciała, marzę o operacji plastycznej - paplała Mel. - Zraz bym sobie powiększyła piersi.

- Jakie piersi? - zdziwił się Danny. - Żeby coś powiększyć, trzeba to najpierw mieć.

- Zamknij się, dupku - fuknęła Mel. - Dlatego nigdy nie będziesz miał operacji mózgu, ty bezmózgowcu.

Leonie odetchnęła z ulgą, gdy Doug roześmiał się głośno.

Po kolacji Abby oznajmiła, że nie będzie się uczyć, bo został jej tylko jeden egzamin, z historii sztuki, więc nie musi niczego powtarzać.

- Obejrzymy coś na wideo - zaproponowała.

Leonie nie spodziewała się, że Dougowi ten pomysł przypadnie do gustu, i oczekiwała, że się pożegna. On tymczasem zaproponował, że podwiezie dziewczynki do wypożyczalni.

- Ja też pojedę - włączył się Danny. - Beze mnie wybiorą jakieś romantyczne gówno.

- Danny! - syknęła Leonie. - Jak ty się wyrażasz!

- Przepraszam, romantyczną szmirę - poprawił się.

Wrócili z komedią, najlepszy dowód, że osiągnęli porozumienie, co już samo w sobie było cudem. Mel zaparzyła kawę, Abby przygotowała lody i jedli deser, oglądając film.

Abby i Doug po cichu rozmawiali o sztuce. Leonie udawała, że niczego nie słyszy. Jeśli chce, powie, co robi, ona nie będzie go naciskała.

Był to spokojny, przyjemny wieczór. Po filmie Leonie stwierdziła ze zdziwieniem, że dochodzi jedenasta.

- Wpadnij znowu - poprosił Danny, gdy Doug wkładał płaszcz.

- No - zawtórowały bliźniaczki.

- Dobrze się bawiłem - powiedział do Leonie, gdy odprowadzała go do samochodu.

- To dowód, że nie wszyscy sąsiedzi są wścibscy i nie przesiadują całymi dniami w oknie - zażartowała. - Musimy to powtórzyć. Do zobaczenia.

- To malarz - oznajmiła Abby. - Pokaże mi swoją pracownię.

- Naprawdę? - Leonie powiedziała to z takim zdumieniem, że zasłużyła na Oscara.

- Fajny facet. - Danny szedł do kuchni po następną przekąskę. -
Podoba ci się?

W odpowiedzi klepnęła go po pupie.

- Nie, ty żarłoku, nie podoba mi się. Chyba jest samotny, pomyślałam, że spełnimy dobry uczynek, i tyle. Wiesz, nie musisz na kogoś lecieć, żebyś się z nim przyjaźnić.

- Tylko pytałem.

O ileż łatwiej byłoby, gdyby Doug się jej podobał, rozmyślała, zmywając naczynia. Jakie to wygodne, umawiać się z sąsiadem! Ale Doug, choć miły, nie jest w jej typie. Zbyt humorzysty, zbyt trudny we współżyciu. Pożartym nie znosi rudych. Chociaż on właściwie nie jest rudy, raczej ciemnokasztanowy. Dzisiaj było fajnie, bo odpowiadała mu luźna swobodna atmosfera, ale pewnie w związku jest trudny do wytrzymania - spięty, sztywny, poważny. Zupełnie nie jej typ. Leonie pragnie kogoś z pasją i energią, kto co rano weźmie ją w ramiona, a nie kogoś, kto dąsa się i złości i zamyka się w domu jak więzień, bo boi się zwykłego świata.

Rozdział 16

Zasłużyłyśmy na to - Hannie udało się w końcu przekonać je, żeby poszły wszystkie do fryzjera. - Ciężko pracowałyśmy i powinnyśmy ładnie wyglądać przed świętami. Ty masz przecież przyjęcie - przypomniała Emmie o imprezie noworocznej u Kirsten - a ty, Leonie, idziesz na wesele.

A ja, pomyślała uśmiechając się w duchu, spędzę wspaniałe święta z zabójczo przystojnym Feliksem Andrettim, facetem, który lada dzień zostanie gwiazdą BBC. Wprowadzie Feliks nic jeszcze nie mówił o wspólnych świętach, ale nie martwiła się. Był taki zapominalski.

- Chodźcie, dziewczyny. To dokładnie to, czego potrzebujemy!

Leonie od lat strzygła się u tego samego fryzjera. Sięgnęła do włosów; były suche jak drewno na podpałkę. Nic dziwnego, po kilku latach domowego samodzielnego farbowania i tylu rozpaczliwych próbach upodobnienia się do nordyckiej blond piękności z opakowania.

- Chciałabym coś ze sobą zrobić - przyznała. - Ale żaden fryzjer nie zdoła tego ujarzmić. - Jej włosy od wieków wyglądały tak samo - długie do ramion i kręcone, wyglądały, jakby żyły własnym życiem.

Emma nie miała zbytniej ochoty na radykalne zmiany. Od lat nosiła tę samą bezpieczną fryzurę - pasma długich, prostych, jedwabiście lśniących włosów łagodnie okalały twarz, zasłaniając uszy i spadając na oczy.

- Lubię moje włosy - powiedziała obronnym tonem. - Zasłaniają mi nos.

Od dziecka słyszała od ojca, że ma za duży nos, w przeciwieństwie do Kirsten, jego oczka w głowie. Ta nie musiała nic ukrywać, choćby miała nos jak Concorde.

- Przestań! - prychnęła Hanna. - Można by pomyśleć, że masz nos jak słoń! Szczerze mówiąc, podoba mi się twój nos. Dlaczego go nie lubisz? Naprawdę chciałabyś mieć taki guzik jak te wszystkie mdle dziewczyny?

- Tak, chciałabym - zaśmiała się Emma. - Nie rozumiesz tego, bo nie urodziłaś się z taką trąbą jak ja.

, - Jakoś sobie radzę - odparowała Hanna pocierając smukłym palcem haczykowaty nos. - Ale mój służy mi głównie do węszenia w biurze. Zwłaszcza kiedy Gillian narzeka.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała Leonie.

- Ściąć - odpowiedziała zdecydowanie Hanna. - Nosiłam tę fryzurę przez lata, bo była wygodna, lubiłam czesać się w koński ogon, ale nadszedł czas na zmianę. Chcę je obciąć do ramion i rozjaśnić rudawobrazowymi pasemkami.

- Świetny pomysł! O cholera! Przygotowujesz się do rozdania nagród filmowych?

Hanna roześmiała się radośnie.

- Tak, moja droga! Do Oscarów!

Leonie myślała, że pracownica wziętego zakładu fryzjerskiego będzie także wyglądała modnie. Spodziewała się, że zobaczy jedną z tych ostrych dziewczyn ubranych w najmodniejsze ciuchy, z wystrzępionymi włosami i mnóstwem kolczyków w nosie. Fryzjerka okazała się trzydziestoletnią dziewczyną, była w ciąży i nosiła czarne ogrodniczki do różowej koszulki. Miała na imię Nicky, lśniące włosy ostrzyżone na pazia, i małe perełki w uszach. Równie dobrze mogłaby stać za biurkiem i prowadzić lekcję matematyki albo zebranie rodzicielskie. Stanęła za Leonie, przeczesała jej zniszczone włosy fachowym ruchem i powiedziała:

- Proszę mi powiedzieć, co chce pani zmienić, a ja powiem, co o tym myślę.

Leonie przyjrzała się sobie krytycznie. Bezlitosne lustro ukazywało zbyt mocny makijaż podkreślony dodatkowo przez zimne światło. Kiedy

wychodziła z domu wydawało jej się, że wygląda całkiem dobrze. Fryzura była okropna, musiała przyznać w desperacji. Pasowała raczej do dzielnicy czerwonych latarni w Amsterdamie z objazdem przez sex shopy w Sono.

- Nie mam pojęcia, Nicky - powiedziała ponuro. - To wygląda strasznie. Przez lata sama je farbowałam, końcówki są suche i zniszczone. Może jestem już za stara, żeby farbować się na blond - westchnęła.

- Nonsens - prychnęła Nicky. - Tylko ten odcień jest nieodpowiedni. Powinna pani wybrać bardziej subtelny, który podkreśliłby karnację. Dodamy tu trochę brązowych i złotych pasemek. Nad makijażem też popracujemy. Te grube kreski nad oczami będą za ciężkie do nowej fryzury.

- Tak? - spytała Leonie niepewnie. - Zawsze się tak maluję, moje oczy są niewyraźne bez dużej ilości tuszu i kresek.

- Bzdura, ma pani piękne oczy. Nigdy jeszcze nie widziałam tak niebieskich oczu. Kiedy zrobimy pasemka, zawołam jedną z dziewczyn z salonu piękności na górze, żeby przyszła i panią umalowała. Nie pozna się pani, kiedy skończymy. A teraz czego się pani napije?

Pierwsza gotowa była Emma, która chciała tylko skrócić włosy.

- I co myślisz? - zapytała niepewnie, obracając głowę przed lustrem, żeby obejrzeć nową fryzurę z każdej strony. Chociaż pozwoliła obciąć tylko pięć centymetrów, efekt był zaskakujący. Długie kosmyki, które zasłaniały jej ciepłe bursztynowe oczy były obcięte, dzięki temu odsoniła się też jej pełna słodyczy twarz. Z nową fryzurą wyglądała bardziej dojrzała, choć nadal nikt nie dałby jej trzydziestu jeden lat.

- Fantastycznie! - zawołała ciepło Leonie.

Jako następna gotowa była Hanna. Skróciła włosy do ramion, a cyrmonowo-czekoladowe pasemka rozjaśniały jej naturalny ciemnobrązowy kolor. Lśniące pasemka łagodnie okalały twarz. Z pełnymi ustami umalowanymi błyszczącą szminką Hanna wyglądała jak top modelka.

- O rany - jęknęła Leonie, która nagle poczuła się bardzo brzydka w porównaniu z przyjaciółkami. Na całej głowie miała mnóstwo kawałków srebrzystej folii, wyglądało to jak jakiś dziwaczny średniowieczny hełm.

Nowy kolor podkreślał blask migdałowych oczu Hanny i rzucał ciepłe refleksy na jej policzki.

- Myślisz, że może być? - spytała niepewnie, przeczesując palcami fryzurę.

- Fantastycznie - zapewniła z zapałem Leonie. - A jeśli się obawiasz, co Feliks na to, głowa do góry - będzie zachwycony.

Emma i Hanna zdecydowały, że zostawią Leonie pod suszarką i wrócić za godzinę.

- Jeśli do tego czasu nie będę gotowa, źle ze mną - przewidywała ponuro.

Kiedy wyszły, wróciła do lektury magazynów. Po chwili jęknęła ze znużeniem, miała już dość wspaniałych sławnych ludzi, którzy zapełniali kronikę towarzyską w „Tatler”, sięgnęła więc po wyświechtany numer „Hello!”. Ale i tu znalazła tylko artykuły o pięknych i bogatych z wyższych sfer. Na pewno znaleźliby się czytelnicy dla „Tygodnika Ludzi Normalnych”. Gazety ze zdjęciami przeciętnych obywateli, grubych, łysych, z zatkanymi porami, w ciuchach, które wyglądają, jakby kupili je na wyprzedaży i zakładali po ciemku.

Odrobinę poprawił jej się humor, gdy zjawiła się kosmetyczka- sympatyczna pulchna dziewczyna. Niemal wylewała się z białej sukienki.

- Och, jak piękna cera! - ucieszyła się. Mówiła z akcentem z Cork. - Ma pani piękne oczy. Już wiem!

Leonie z przerażeniem obserwowała, jak dziewczyna zmywa jej makijaż. Zamknęła oczy i powtarzała sobie, że przecież może pobiec do najbliższej toalety i umalować się po swojemu, kiedy tylko stąd wyjdzie.

Na szczęście okazało się, że nie ma takiej potrzeby. Kiedy spojrzała w lustro, zobaczyła obcą osobę. Znikły grube kreski i wyraźna konturówka wokół ust, jej znaki firmowe, odkąd skończyła dwadzieścia lat. Ich miejsce zajął subtelny melanz złota i brązów. Jej oczy przykuwały uwagę dzięki odpowiednim cieniom i delikatnej kresce. Smoliście czarny tusz do rzęs ustąpił brązowemu. Na ustach miała karmelową szminkę bez konturówki.

- Jezu — powiedziała tylko.

- Będzie lepiej bez folii na głowie - zauważyła kosmetyczka.

Bez folii Leonie stwierdziła, że jej włosy są jakieś ciemne.

- Są jeszcze mokre - pocieszyła Nicky. - Proszę poczekać, aż wyschną. Nie pozna się pani.

I rzeczywiście. Po trzydziestu minutach suszenia okazało się, że zamiast słomianego blondu ma na głowie burzę miedzianych, złocistych i orzechowych loków. Leonie dotknęła ich z niedowierzaniem. Wyglądała jak nowa wersja siebie samej, lepsza, bardziej luksusowa wersja. Do takiej fryzury i makijażu potrzebuje jeszcze bmw w garażu, dyskretnej, ale drogiej biżuterii i ubrań z kaszmiru, i może uchodzić za damę, j' Uśmiechnęła się do siebie.

- Co tam, że przyjaciółki mnie nie poznają! Nie wiem, czy poznają mnie własne dzieci! - zażartowała.

Rozdział 17

Na świątecznym przyjęciu dla pracowników firmy Dwyer, Dwyer & James w pubie Mc Cormack's Hanna śmiała się najgłośniej. Chichotała jak nastolatka, gdy rozbiierający się wikary okazał się prezentem dla Gillian - dzień po Gwiazdce były jej urodziny. Gdy wikary został w samych slipkach i rozglądał się, kogo by tu pocałować, Hanna uśmiechnęła się zalotnie i dostała soczystego całusa. Nikt się nie domyślał, że w głębi duszy jest załamana.

- Boże, co tu się dzieje? - sapnęła Donna o wpół do jedenastej. Ciężko opadła na ławkę koło Hanny. Ostatnie pół godziny spędziły w kolejce do toafety, *tytu było gości*.

Zwariowałyśmy - zawołała Hanna, pilnując się, by jej oczy błyszcząły przy tym radośnie. Za żadne skarby nie przyzna się Donnie, że Feliks znowu ją zostawił.

- Przede mną jeszcze zakupy świąteczne. Powinam już iść spać, ale lubię się dobrze zabawić.

- Kupowanie prezentów w Wigilię to koszmar - przyznała Donna. - Zwłaszcza na kacu. Ja na szczęście wszystko już mam. Uwierz mi, z dzieckiem jest dużo trudniej. Nie możesz zwlekać z zakupami do ostatniej chwili, bo co będzie, jeśli w sklepie zabraknie konika dla Barbie? Tania wpadłaby w szał, gdyby święty Mikołaj przyniósł nie to co trzeba.

Hanna skinęła głową. Skłamała, miała już prezenty dla wszystkich, których chciała obdarować. Zwlekała tylko z podarkiem dla Feliksa, chciała, żeby to było coś wyjątkowego. Teraz nie ma sensu wybierać się na zakupy, ale nie przyzna się, to takie smutne.

- A co jutro robisz? - Donna dolała sobie wódki do tomku. - Ja dziękuję Bogu, że w tym roku zostaję w domu. Zazwyczaj jeździmy do mojej mamy, do Leterkenny. W tym roku ściągnęłam wszystkich tutaj. Będzie ciasno, ale fajnie. Tylko przeraża mnie myśl o gotowaniu dla dziesięciu osób!

Hanna się uśmiechnęła.

- Nie wiem, dlaczego przeraża cię coś tak prostego! - zażartowała. Donna była jedną z lepiej zorganizowanych osób, jakie знаła, i prawdopodobnie świąteczna kolacja jest już gotowa, trzeba ją tylko rozmrozić i podgrzać.

- Moja kuchnia jest za mała na takie szaleństwo! - oburzyła się Donna, - A ty? Zostajesz tutaj, z boskim Feliksem, czy wracasz do domu?

Przez ułamek sekundy Ftanna rozważała możliwości. Może zostać w domu, zjeść samotnie świąteczną kolację i oglądać telewizję w towarzystwie

butelki wina. Bez Feliksa nie upiecze bażanta, którego specjalnie kupiła, nie ustroi stołu świecami z pszczelego wosku, gałązkami ostrokrzewu i złotymi wstążeczkami. Bo i po co? Może też zrobić coś, co dotychczas nawet nie przeszło jej przez myśl — wrócić do domu, do Connemara, z podkulonym ogonem. Matka nadal ją zapraszała, choć Hanna unikała domowych świąt od dwóch lat. W zeszłym roku skłamała, że pracuje. Był to rok bez Harry'ego i wstydziła się, że jest sama. Jej krewni poznali go i choć nie byli nim zachwyceni, wołała być z nim niż sama. Jej rówieśnicy mieli rodziny i dzieci, a Boże Narodzenie było paradą osiągnięć powracających trzydziestoparolatków. Dziedziniec przed kościołem przypominał wybieg na wyborach piękności, wszyscy dumnie prezentowali pociechy i małżonków. Hanna już sobie wyobrażała, jak w przyszłości zjawia się tam u boku słynnego Feliksa Andrettiego.

Pod koniec listopada powiedziała matce, że ma już plany na święta, co wtedy było prawdą. Zaplanowała romantyczne sam na sam z Feliksem. Wyobrażała sobie długie spacerunki na mroźnym powietrzu i leniwe ranki w łóżku. Nie będą się z nikim spotykali, nie pójda na żadne przyjęcie: tylko oni, we dwoje. Feliks zniszczył te piękne plany, mówiąc krótko, że jedzie na święta do matki, do Birmingham. Nie zaprosił Hanny, nie przeszło mu chyba nawet przez myśl, że sprawił jej przykrość, nie uwzględniając jej w swoich planach.

- Kłopoty rodzinne - zbył ją przez telefon, jakby to zwalniało go z obowiązku powiedzenia czegoś więcej. - Zadzwoń, kiedy tam dojadę.

Ale nie zadzwonił. Pozostawiona sama sobie, Hanna doszła do wniosku, że właśnie dołączyła do długiej listy byłych dziewczyn Feliksa, kolejna w liczonym gronie tych, które go nienawidzą. Od ostatniej rozmowy minęły trzy dni i powoli wpadała w depresję. Nie mogła o nim myśleć, nie mogła wspominać cudownych wspólnych chwil. Bolało jak wyrwanie zęba bez znieczulenia. Feliks był mężczyzną jej życia, tego była pewna. Niestety, ona chyba nie była kobietą jego życia.

Nie czuła się tak fatalnie od odejścia Harry'ego. Robiła wszystko automatycznie i starała się nie myśleć, czemu zakochuje się w facetach, którzy ją rzucają. To zakazany temat, przynajmniej na najbliższe dni. Wołała nie zapuszczać się w swoją podświadomość, nie szukać przyczyn, ale zalać się w trupa, a impreza firmowa była doskonałą okazją.

Podniosła oczy ku niebu, gdy Donna zapytała o jej plany na święta. Planów właściwie nie ma. Chyba że...

- Niestety, jadę do domu. Feliks jest wściekły, chciał, żebyśmy spędzili święta z jego matką, ale w zeszłym roku obiecałam mojej mamie, że przyjadę... - urwała i westchnęła, żeby Donna pomyślała, że niełatwo

jest być taką dobrą córką, ale Hanna po prostu nie ma innego wyjścia. - Będę za nim tęskniła, ale nie mogłam tego zrobić mamie. Mój brat z rodziną wyjeżdża, więc rodzice byłiby całkiem sami. Zresztą spotkamy się z Feliksem w Nowy Rok - skłamała. Kto wie, jakie Feliks ma plany na Nowy Rok? Może skok na bungee gdzieś w Australii albo coś równie szalonego. Może imprezę z długonogą byłą modelką, która chce zrobić karierę filmową i kręci się wśród aktorów. Nieważne, jakie ma plany, w każdym razie nie uzgodnił ich z Hanną.

- Zasłużyłaś na medal! - krzyknęła Donna. - Gdybym była na twoim miejscu, chyba wybrałabym Feliksa i powiedziała biednej matce, że musi na mnie jeszcze rok poczekać. - roześmiała się. - Jesteś niewiarygodna, Hanno Campbell. Nie rzucasz słów na wiatr.

- Wiem, jestem święta. - Hanna dopiła swojego drinka do końca, zła na siebie, że oszukuje Donnę. - Idę do baru po dolewkę. Chcesz?

- Dobrze -jęknęła Donna. - Ale to już będzie ostatni! Potem wyślesz mnie do domu!

- Oczywiście - Hanna uśmiechnęła się szeroko.

O dziwo, kiedy zdecydowała, że jednak pojedzie do mamy, poczuła się niemal szczęśliwa. Pograżyła się w rozpacz, odkąd Feliks zadzwonił trzy dni temu, i nie cieszyły jej przygotowania do świąt. Lecz teraz na myśl o powrocie do Connemara odzyskała humor. Nie jest samotną kobietą skazaną na mrożone obiady dla jednej osoby i gazetę z programem telewizyjnym. Jest Hanną Campbell, ma korzenie i rodzinę. Miała wrażenie, jakby zdjęto jej z pleców wielki ciężar. Energicznie przepchała się do baru, żeby zamówić następną kolejkę.

Przystojniacy w sportowych koszulkach uśmiechali się do niej. Hanna założyła połyskliwą szarą bluzeczkę i celowo rozpięła górne guziki, żeby było widać skraj czarnego stanika. Subtelne, a zmysłowe jak diabli. Poczowała się o wiele lepiej.

- Proszę, skarbie. - Mężczyzna przesunął się na bok, zrobił jej miejsce przy barze.

- Dzięki - powiedziała ochryple, zmysłowo. Co z tego, że Feliks jej nie chce, może flirtować z innymi.

- Może postawię ci drinka? - zapytał z nadzieją.

Spojrzała na niego kątem oka.

- Właściwie czemu nie?

- Widzę, że się dobrze bawisz. - odezwał się znajomy głos. Odwróciła się i zobaczyła Davida Jamesa. Nadal w garniturze, wydawał sienie na miejscu wśród swobodnie ubranych, rozbawionych gości. Miał zmęczone, zaczerwienione oczy.

- A ty skąd się tu wzięłaś? - zapytała, nieprzyjemnie zaskoczona, że nakrył ją na flirtowaniu z nieznanym.

- Pracowałem do późna i dopiero niedawno przyszedłem - wyjaśnił. Jego uwadze nie uszła jej zarumieniona twarz, koralowa szminka, rozmazana na pełnych ustach, i rozpięta szara bluzka.

- Więc czego się napijesz, skarbie? - zapytał przystojniak.

- Niczego - odparł chłodno David. - Pani jest ze mną.

- To się wypchaj - przystojniak się obraził.

Hanna poczerwieniała.

- Myślałem, że potrzebujesz pomocy - wyjaśnił David.

- Nie, nie potrzebowałam - syknęła i odeszła od baru.

Poszedł za nią, złapał za ramię, odwrócił do siebie.

- Przepraszam, Hanno - zaczął. - Widziałem, jak facet cię podrywa i myślałem, że to ci się nie podoba...

- David, mam po dziurki w nosie ludzi, którym się wydaje, że wiedzą lepiej ode mnie, co mi się podoba, a co nie - stwierdziła zmęczonym głosem. - Jadę do domu. Wesołych Świąt.

Odwróciła się i odeszła, zabrała płaszcz i pomachała zdziwionej Donnie. Czuła na sobie wzrok Davida. Pewnie sprawiła mu przykrość swoim zachowaniem. Nie mogła się jednak powstrzymać. Udawanie przez cały wieczór, że wszystko jest w porządku, to trochę za dużo. Przeprosi go po świętach. Odkąd zastąpiła Donnę, był dla niej bardzo miły. Obiecał nawet, że od stycznia Hanna zacznie pracę jako młodszy agent. Wiedziała, że powinna skakać z radości, ale była w depresji. Niech szlag trafi Feliksa.

Rankiem następnego dnia zatrzymała się w Rathtnines, żeby zrobić zakupy - smakołyki, alkohol, flakon nieprzyzwoicie drogich perfum dla matki, inne drobiazgi. Jechała na zachód. O dziesiątej rano w Wigilię na drogach było tłoczno, ale największy ruch dopiero się zaczyna.

Wzmocniła się czekoladką, słuchała koled z radia i jechała do domu. Nie zwracała uwagi na monotony deszcz. Śmiała się, słuchając programu, w którym goście analizowali polityczne wydarzenia upływającego roku. To lepsze niż muzyka, stwierdziła. Słuchanie przebojów, które nuciła z Feliksem, było zbyt bolesne. To samo było po rozstaniu z Harrym. Kochał operę i wiele razy, kiedy się kochali, śpiewała im Maria Callas. Do dzisiaj Hanna nie była w stanie wysłuchać jednej arii bez guli w gardle i łez w oczach.

Cztery godziny później nadal padało. Krajobraz zmienił się całkowicie. Dorny pojawiały się z rzadka, odkąd minęła malownicze miasteczko

Dighterard. Pocztówkowa uroda ustąpiła surowemu, srogiemu pięknu niegościnnych, szarych gór, które wynurzały się z mgły po prawej stronie. Falujące wzgórza były poprzecinane kamiennymi murkami, gdzieś niedziele widniały małe domki, z kominów snuły się smugi białego dymu. W powietrzu unosił się zapach palonego torfu - dla niej zapach domu. Nawykłe do surowego klimatu górskie owce pasły się przy drodze, nie zwróciły uwagi na samochody. Po lewej stronie Atlantyk huczał w wąskich zatoczkach. Tak tu pięknie i tak daleko.

Dojechała do Maam's Cross i czekała, żeby skrócić w prawo, gdy miął ją bardzo nowoczesny traktor. Kierowca machał do niej energicznie, ale nie zareagowała. Wyprowadziła się stąd dwanaście lat temu i nie poznawała kolegów ze szkoły. Wszyscy się bardzo zmienili. Ona na pewno.

Jako nastolatka nosiła długie włosy spięte w koński ogon. Zawsze w dzinsach i obszernych swetrach. Teraz miała włosy do ramion, rozpuszczone, a bezkształtne ubrania zamieniła na podkreślające figurę.

Garderoba „Dla Feliksa” - kolekcja szmatek, które z nią kupował, to całkiem inna historia. Za żadne skarby świata nie włożyłaby ich tutaj. Jej matka dostałaby ataku, a co dopiero inni. Piętnaście lat temu każda dziewczyna na tyle głupia, by założyć mini w okolicy Macky's Pub narażała się na niewybredne zaczepki i wyzwiska bezwstydnicy. Wystarczyła jedna kolacja, Hanna nie powtórzyła drugi raz tego błędu. Nie przypuszczała, by lokalni młodzieńcy bardzo się zmienili. Nie żeby zmienili się starcy, jeśli już o tym mowa.

Jeszcze dwadzieścia minut po bocznych drogach i zobaczyła znajome słupy. Odkąd sięgała pamięcią, nie mieli bramy, tylko te potężne betonowe słupy. Zawiasy już poczerniały od rdzy. Ojciec przez wiele lat obiecywał bramę, ale, oczywiście, nie dotrzymał obietnicy. Hanna skre-
---- -- wyboisty podjazd. Modliła się, aby jej resory przetrwały tę jazdę.

Dom Campbellów stał pół mili od drogi, jak większość domów w tym pięknym i odludnym zakątku. Mała fiesta podskakiwała na wybojach, minęła sosnowy zagajnik - trzydzieści lat temu zasadził go dziadek Hanny, a za zakrętem zobaczyła dom. Nie był imponujący. Początkowo jednopietrowy budynek z dwoma oknami po obu stronach drzwi rozrósł się przez te wszystkie lata. W przybudówce mieściła się łazienka. Ktoś mógłby się zastanawiać, jakim cudem zdobyli zezwolenie na dobudowę łazienki, do której wchodzi się z kuchni, ale w czasach, gdy dziadek Hanny to budował, nikt nikogo nie pytał o zezwolenia.

Za domem były zabudowania gospodarcze - chlew, obecnie używany jako składzik, oraz kurnik dla kur i gęsi. Od lat stały puste, matka już nie hodowała drobiu. Jako dziecko Hanna uwielbiała bawić się z kurami;

wolała towarzystwo czerwonych niosek Rhode Island niż własnej rodziny.

Od jej ostatniej wizyty minęło sześć miesięcy, ale chyba nic się nie zmieniło. Przed domem nadal stała kaczka. Biała farba odłaziła jak dawniej. Ogród był pusty jak zawsze, ale starego forda rodziców nie było na miejscu - ojciec zawsze tak parkował, że pasażer wysiadał prosto w największą kałużę. Dobrze. Nie miała ochoty na spotkanie z nim, nie teraz. Nie ma samochodu, co znaczy, że ojciec pije, a nie odsypia ostatnie szaleństwo.

Hanna dostrzegła ruch w kuchennym oknie ~ ktoś odsunął zasłonę, gdy parkowała. Nie zdążyła jeszcze otworzyć drzwi, a matka już wybiegła na ganek.

- Co za niespodzianka - odezwała się Anna Campbell. Uśmiechała się ciepło. - Mam nadzieję, że przywiozłaś śpiwór. Mary i dzieci do nas przyjechali. - Hanna cmoknęła ją w policzek. Mary? Kuzynka? Co ona tu robi w święta? Matka wydawała się bardzo zmęczona. Jak zawsze zresztą. Były do siebie bardzo podobne: ta sama owalna twarz, te same piwne oczy, te same ciemne niesforne włosy.

Lecz Hanna promieniowała wewnętrznym światłem i często się uśmiechała, a jej matka była znużona i smutna. Pod skórą widać było dokładnie zarysy kości.

Anna Campbell prawie się nie malowała, jeśli nie liczyć szminki na wyjście. Spod grubych, nigdy nie regulowanych brwi patrzyły surowe oczy. Była bardzo szczupła - sprawiły to lata ciężkiej pracy, żeby wykarmić rodzinę, i papierosy, bez których nie mogła się obejść. Na ciele Anny Campbell nie było grama tłuszczu, ale nie zawdzięczała tego ćwiczeniom Jane Fondy. Hanna wiedziała, że matka najczęściej chodzi na piechotę do sklepu w dolinie - ojciec nabrał zwyczaju odsypiania alkoholowych wypraw w ich starym fordzie, gdzieś na polanie, a rodzina nie miała pojęcia, gdzie jest. Utrzymanie starego domu w czystości, porządku i bez wilgoci przekraczało siły jednej osoby i lata harówki odbiły się na Annie.

Dzisiaj, w starych granatowych sztruksach, spłowiełej bluzce i zielonym swetrze wyglądała na więcej niż sześćdziesiąt dwa lata.

- Daj bagaże - powiedziała i bez wysiłku wyjęła z bagażnika ciężką walizkę. - Mary nie miała się gdzie podziać. Nic nie mówi, ale Jackie stracił robotę w fabryce i pewnie się na niej wyżywa, wrzeszczy i krzyczy. Twierdzi, że musiała się wyrwać. Nie chciałam jej przepytować.

I przyjechała tutaj? - zdziwiła się Hanna. Boże Narodzenie w wilgotnym domu ze starym alkoholikiem to kiepski pomysł na święta dla kobiety z dwójką dzieci. No, ale może lepszy niż święta z mężem Mary, Jackiem,

którego Hanna uważała za brakujące ogniwo ewolucji między człowiekiem a małpą. Mary Wynne, siostrzenica matki, nie miała dokąd pójść. Jej rodzice nie żyli, a brat mieszkał w Anglii.

- Jak się tu dostały? - zainteresowała się.

- Ktoś ją podwiózł. Twierdzi, że od niego odejdzie. I najwyższy czas. Przecież nie jest w stanie utrzymać pracy przez pół roku! Akurat dostał awans, ale musiał to zepsuć. Co za *amadan* - użyła celtyckiego słowa, które znaczy tyle co „głupiec”.

Hanna nic nie mówiła. Czasami docierała do niej absurdalność sytuacji - jej matka służyła pomocą i wsparciem wszystkim przyjaciółkom i krewnym, udzielała rad na temat mężów, podczas gdy jej mąż jest nałogowym alkoholikiem i od lat nie zarobił ani grosza. Hanna cieszyła się, że przynajmniej, mimo uzależnienia od alkoholu, Willie Campbell uderzył żonę tylko jeden jedyny raz. Zła wódka, tłumaczył się, gdy Annie składano rękę w szpitalu. Gdyby ją bił, matka wyrzuciłaby go na zbity pysk. Szkoda, że nie uciekał się do przemocy. Może wtedy pozbyłaby się go przed laty.

Jackie Wynne co prawda nie był agresywny, ale Hanna i tak go nie znosiła. A jego miłość do piłki nożnej nawet świętego doprowadziłaby do szaleństwa. Jeśli jego drużyna przegrała mecz, był niepokieszony. Hanna już dawno doszła do wniosku, że gdyby była jego żoną, rzuciłaby go od razu. Nie zniosłaby ciągłej niepewności.

- Mary chce wracać do pracy. Nie wiem, jak sobie poradzi z dziećmi. - Anna westchnęła. - Nic jej nie mów. Wstydzi się za męża, poza tym, wiesz, ona zawsze cię podziwiała i uważała, że ty potrafiłaś ułożyć sobie życie. Będzie załamana, że wiesz, że odeszła od niego w święta. Gdybyś przeczytała coś takiego w gazecie, *me* uwierzyłabyś.

- Oczywiście, nic nie powiem - obiecała. W głębi ducha pomyślała, że gdyby Mary wiedziała, jak dokładnie wygląda owo uporządkowane życie Hanny, nie wstydziłaby się swojej sytuacji. Choć w tym samym wieku, nigdy nie były blisko. Mary przynajmniej ma dwoje dzieci po nieudanym małżeństwie. A jedyne, co zostało Hannie po trzydziestu siedmiu latach na tym świecie, to wspomnienia nieudanych związków i cyniczne podejście do życia. Ach, i jeszcze szef, zły, bo była dla niego nie-miła. Nadal miała z tego powodu wyrzuty sumienia.

Obecność Mary ma jedną zaletę - nikt nie będzie się zbytnio interesował, dlaczego Hanna tak nagle zmieniła plany i przyjechała, o wiele ciekawsze będą narzekania, jaki to sukinsyn z tego Jackiego, rozważania, do którego prawnika Mary ma się zgłosić, żeby ściągnąć z męża ostatnią koszulę.

Przestronna kuchnia była sercem domu. Anna lubiła wzory kwiatowe - były na tapetach, obiciach mebli. Wszędzie stały kwiaty w doniczkach, żywe dowody ogrodniczego talentu Anny.

Jak na stary, zniszczony dom, była to bardzo ładna kuchnia. Hanna już dawno domyśliła się, że matka potrzebowała kwiatowej oazy, żeby uporać się ze swoim życiem, które nie było usłane różami.

Na dworze wiał lodowaty wiatr od Atlantyku, ale w domu było ciepło. Na fotelu, przy wielkim piecu, który ogrzewał cały dom, siedziała kuzynka Mary. Udawała, że czyta gazetę. Na widok Hanny zadrżały jej usta.

- Mama ci powiedziała? - zapytała z niepokojem, gdy Hanna objęła ją serdecznie.

- Troszeczkę - skłamała. Przysiadła na krześle i uważnie przyjrzała się kuzynce. Zmartwienia nie zniszczyły jej urody. Nadal była bardzo ładna: krótkie, ciemne, kręcone włosy, różowe, piegowate policzki i wielkie oczy ocienione długimi rzęsami.

Z sąsiedniego pokoju wpadły dwie dziewczynki, podobne do matki jak dwie krople wody. Miały na sobie dorosłe ubrania. Młodsza, chyba czteroletnia, umalowała się różową szminką, na powiekach miała fioletowe cienie.

- Popatrz, mamusi! - zachichotała. - Idę na tańce. - Okręciła się w kółko i mało brakowało, a klapnęłaby na ziemię.

- Ja też - odezwała się starsza, o ile pamiętała Hanna, sześciolatka. Miała na głowie czarny kapelusz Anny, zakładany jedynie na śluby i pogrzeby. Szare pióra zwisały smętnie, choć przed laty, gdy kapelusz zbył nowy, dumnie sterczały do góry.

- Courtney i Krystle, pamiętacie ciocię Hanna? - przedstawiła Mary.

Wydarzenia domowe nie wywarły wpływu na dziewczynki, oceniła później Hanna. Bawiły się przez kilka godzin, a potem czytała im bajki z grubej niebieskiej książki. Pokochały ją od razu i kłóciły się, która będzie siedziała jej na kolanach przy kominku, gdy czytała im o Kopciusku. Zmieniła nieco zakończenie - Kopciuszek co prawda wyszedł za księżcia, ale na wszelki wypadek poszedł też do pracy. Uważała, że bajki muszą być bardziej realistyczne.

- Umiesz się obchodzić z dziećmi - zauważyła Mary. Po filiżance herbaty i kawałku ciasta była w o wiele lepszym humorze.

Hanna uśmiechnęła się lekko.

- Nikt mi tego jeszcze nie mówił.

O siódmej dziewczynki wreszcie spały. Hanna padała z nóg. Wyczerpała ją długa jazda z Dublina i zabawa z dwójką dzieci. Mary za to wcale nie wyglądała na zmęczoną. Ani wstrząśniętą.

- Wskoczymy do pubu na drinka? - zapytała.

- A dzieci? - zdziwiła się Hanna.

- Ja z nimi zostanę - zaproponowała Anna. - Moja noga nigdy nie powstała w tym pubie i nie wejdę tam teraz. Rozstawię małym łóżko polowe, później je przeniesiemy. Nie wietrzyłam twojej pościeli, Hanno, więc teraz to zrobię. Idźcie i bawcie się dobrze.

Hanna wzruszyła ramionami. Oczywiście, Mary chce się z nią podzielić wszystkimi szczegółami rozstania z Jackiem. Była jednak zbyt zmęczona, żeby jechać samochodem, poza tym wtedy nie wypłaby nawet jednego piwa.

- Chodźmy na piechotę - zaproponowała. - To tylko mila. Zresztą przestało padać.

Pożyczyła od matki buty na płaskim obcasie i na wszelki wypadek wzięła płaszcz przeciwdeszczowy.

- Na pewno będzie tłoczno - zaczęła Mary. Wydawała się podejrzanie pełna entuzjazmu jak na osobę, która uciekła od męża. Pomalowała rzęsy, pociągnęła usta szminką.

- Jak zawsze w Wigilię-uśmiechnęła się Hanna.-Można by pomyśleć, że przez święta nikt nie tknie alkoholu i dlatego dzisiaj muszą się napić na zapas.

Hannę powitano w pubie bardzo serdecznie, i dobrze, inaczej nie znalazłyby wolnego miejsca. Odmawiały zaproszeń na drinka, zamówiły sobie same. Mary postanowiła jeszcze iść do toalety, zanim dostaną swojego guinnessa. Hanna rzadko piła to piwo, ale powrót do domu sprawił, że zatęskniła za tym słodko-gorzkiem smakiem.

- Zaraz wracam - zaszczebiotała Mary i odeszła.

Koło kominka zaczynała się zabawa. Spora grupka wypchnęła na przód starszego człowieka i namawiała, żeby zdjął skrzypki ze ściany.

- Cóż, pamiętam taką melodię... - zaczął z uśmiechem i zagrał skoczno-go jiga. Wszyscy klaskali i śpiewali, niektórzy zaczęli tańczyć. O dziwo, nie wpadali na siebie, choć byli już bardzo pijani.

Hanna wystukiwała rytm stopą i wypatrywała Mary. Zdumiona, zobaczyła kuzynkę wychodzącą nie z toalety, ale z lewej strony baru - a tam był telefon. Mary wróciła do stolika zarumieniona i uśmiechnięta.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś z domu? - dziwiła się Hanna.

Mary poczerwieniała.

- Uznałam, że nie mogę korzystać z telefonu cioci Anny.

- Dlaczego? Nie chcesz chyba wrócić do Jackiego?

Mary przecząco pokręciła głową.

- Obiecujesz, że nie powiesz?

- Obiecuję.

- Nie odeszłam ze względu na Jackiego. Kocham kogoś innego i Jackie się dowiedział.

- Co?

- Obiecałaś, że nie powiesz.

- Nie powiem - powtórzyła Hanna. - A teraz opowiadaj.

Kuzynka opowiadała z błyszczącymi oczami o instruktorkę fitnessu, którego poznała na zebraniu rodziców.

- Jackie zawsze zostawiał wszystko na mojej głowie - tłumaczyła. - Nigdy tam nie chodził. Gdyby Krystle była chłopcem, to co innego, chodziłby na wywiadowki, zapisałby ją do drużyny piłkarskiej, ale nie obchodzą go dziewczynki. A Louis - wyszeptała jego imię - jest zupełnie inny. Jego żona jest dziwna. Dlatego zawsze był sam. Ona ciągle tylko pracuje i on sam wychowuje ich dziewczynki. Starsza jest rok wyżej niż Krystle. I od tego się zaczęło.

- Odjak dawna się spotykacie?

- Pół roku. Odejdzie od żony, ale Jackie się dowiedział i wpadł w szal.

- Nic dziwnego - stwierdziła Hanna spokojnie. - Ale dlaczego nie powiedziałaś mamie, co się stało? To nie fair, wprowadziłaś ją w błąd. Zresztą Jackie może się tu zjawić i mama dopiero się wkurzy, jak się dowie, że ją okłamałaś.

- Nie okłamałam.

- No dobrze, nie powiedziałaś całej prawdy.

Mary skrzywiła się.

- Nie mogłam jej powiedzieć. Przecież ty jesteś idealna. W kółko opowiada, jak ci się dobrze powodzi. A teraz masz tego sławnego chłopaka. Nie mogłam jej przecież powiedzieć, że mam romans z żonatym mężczyzną i że mój mąż się dowiedział.

- Jeśli się dowie, będzie wściekła - Hanna nie wierzyła własnym uszom. Coś takiego, jej matka opowiada wszem i wobec, że ona jest idealna. Zawsze myślała, że matki nie obchodzi jej życie. Tak było, kiedy dorastała. Wtedy Stuart, starszy brat Hanny, był oczkiem w głowie matki. Wystarczyło, że Stuart ledwie zdał jakiś egzamin, już piekła mu ciasto. Kiedy oznajmił, że Pam, jego dziewczyna, jest w ciąży i się pobiera ją, można by pomyśleć, że dostanie nagrodę Nobla w dziedzinie biologii, a nie że schrzanił najprostsza rzecz z ludzkiej fizjologii. Anna szukała doskonałego garnituru i naszyła ubranek jak dla czworaczków. A teraz Mary mówi, że z podziwem wyraża się o Hannie. Nie do wiary.

- Pewnie poradzisz mi, żebym wróciła do Jackiego i była potulną żonką - rzuciła Mary ostro.

Hanna parsknęła śmiechem.

- Zwariowałaś? Nie mam prawa ci radzić, Mary, jesteś dorosła. Pamiętaj o jednym, musisz mieć na względzie siebie i dziewczynki. Nie polegaj za bardzo na żadnym facecie, tyle ci powiem.

- Myślałam, że jesteś zakochana - zdziwiła się kuzynka. - Jakoś tego nie słychać.

Hanna upiła łyk piwa, zanim odpowiedziała. Nie chciała opowiadać o sobie, a gdyby powiedziała, że wszyscy mężczyźni to kłamliwe śmiecie, Mary mogłaby zacząć podejrzewać, że nie wszystko układa się jak po maśle w życiu Hanny Campbell.

- Mężczyźni są w porządku - powiedziała. - Bardzo ich lubię, ale na razie nie jestem zakochana. - Skłamała. Uważaj, Pinokio, zaraz ci nos urośnie, powiedziała sobie w duchu. - Spotykam się z kimś i tyle.

- Miłość jest cudowna - Mary się rozpromieniła. - Kochałaś Harry'ego, prawda? Co wam się nie udało?

- Zaufałam mu - odparła brutalnie. - Nie popełniaj tego błędu, Mary. Ze względu na ciebie i na dziewczynki.

Dzień Bożego Narodzenia zaczął się chłodno, ale słonecznie. Ojca nadal nie było widać. Hanna nie pytała, gdzie jest, domyślała się. Pewnie odsypia piwo na tylnym siedzeniu samochodu. O wpół do jedenastej dziewczynki rozpakowały prezenty od świętego Mikołaja i wszystkie pojechały samochodem Hanny na mszę. Od wielu lat nie była w kościele i ciągle wstawiała w niewłaściwych momentach, co bardzo oburzało sześciolletnią Krystle.

- Nie teraz - syknęła nagle z zapałem dziecka przygotowującego się do Pierwszej Komunii.

- Przepraszam - mruknęła Hanna potulnie i starała się nie roześmiać z poważnej miny Krystle. Courtney bardzo pokochała ciocię Hannę i nie odstępowała jej na krok. Siedziała koło niej i tuliła do siebie nową płaczącą lalkę. Co jakiś czas dawała ją Hannie potrzymać.

Hanna miała wyrzuty sumienia, że od tak dawna nie uczestniczyła we mszy. Religia wydawała się nieistotna w jej życiu, a jednak tego dnia, z matką, Mary i dwoma dziewczynkami, i z ciężko pracującymi ludźmi, wśród których dorastała, poczuła jedność w modlitwie. Była, jak to nazywała Leonie, kryptokatoliczką, przypominała sobie o religii tylko w tarapatkach. Powinnam częściej zaglądać do kościoła, pomyślała.

Kiedy wróciły, przed domem stał stary ford.

- Nie krzycz na ojca, Hanno - poprosiła matka cicho, żeby Mary nie usłyszała. - Nie chcę kłótni. Dziś jest Boże Narodzenie, udawajmy, że jesteśmy normalną rodziną.

Dawniej Hanna złościłaby się za takie słowa. Ojciec taki jest, bo nikt mu nigdy nie zwrócił mu uwagi. Przepija wszystko, a reszta go nie obchodzi.

Ale to była inna Hanna. Dzisiejsza nie chciała awantur, życzyła pokoju wszystkim ludziom dobrej woli, a jeśli to oznacza uśmiech dla ojca, trudno, poświęci się.

Dzieci wpadły do domu i zatrzymały się przerażone widokiem Williego Campbella rozwalonego w fotelu przy kominku. Był gruby, niemal śmieszny w starej tweedowej marynarce i koszuli, kiedyś białej, teraz zalanej piwem. W ciemnych włosach pojawiły się nitki siwizny. Przyglądał się kobietom smutnym wzrokiem.

- Mary - powiedział, lekko bełkocząc. - Witaj. I mała Hanna. Nie pocałujesz starego ojca?

Hanna spoglądała na żalospną postać przy kominku i zastanawiała się, czemu w jej wspomnieniach był takim potworem. Nie jest zły, rozumiała nagle. Po prostu słaby. Słaby i pijany. To nie jego wina, że przez niego od lat nie ufa mężczyznom. I nie jego wina, że ona w kółko wiąże się z niewłaściwymi facetami. Przynoszą jej zawód, jak on.

- Cześć, tato - powiedziała, nie ruszając się z miejsca. - Dawno się nie widzieliśmy. Wesołych świąt.

- Wesołych świąt, wujku Williamie. - Mary zaciągnęła dziewczynki do fotela. Objęła go, ale małe nie miały na to ochoty.

- Chodźcie, dziewczynki - Anna wzięła je za rączki. - Idziemy się przebrać. Willie - zwróciła się do męża. - Idź się wykapać. Dziś Boże Narodzenie, załóż czystą koszulę. Jeśli chcesz odpocząć, obudzimy cię na kolację.

Nic się nie zmieniło, zauważyła Hanna. Matka zachowuje się jak gdyby nigdy nic, daje ojcu sygnały, że może spokojnie odespać kaca i przyjść do stołu trzeźwy i czysty. Kiedy dorastała, buntowała się przeciwko temu; uważała, że matka ślepo akceptuje alkoholizm ojca. Miała ochotę na niego nakrzyczeć, kazać mu wyjść. Ale matka nigdy tego nie zrobiła. Nie miała nic poza małżeństwem, zresztą wychowano ją w przekonaniu, że należy przyjąć, co nam daje los.

Może dlatego, że od dawna nie była w domu, a może dlatego, że i ona się zmieniła, dość, że Hanna nie chciała już z nimi walczyć, ani z jednym, ani z drugim.

- Przyniosę ci herbatę na górę, tato - powiedziała tylko.

Spojrzał na nią z wdzięcznością.

- Dziękuję, skarbie.

Kiedy odszedł, powłócząc nogami, Hanna odetchnęła z ulgą. Miała wrażenie, że przeszła test. Nie jego, ale swój własny. Jeśli chcesz zaak-

ceptować siebie, musisz zaakceptować swoich rodziców takimi, jacy są. Właśnie zdała, ledwo, ale zdała.

O piątej usiedli do świątecznej kolacji. Dzięki obecności dziewczynek upływała w przyjaznej atmosferze. Nakłonienie Courtney, by zjadła warzywa, było nie lada zadaniem. Tego wieczora przypadło ono Hannie.

- Nie chcę! - powtarzała Courtney uparcie i cisnęła widelec na drugi koniec pokoju, kiedy ciocia podsunęła jej różyczkę brokułów.

- Ja też nie - przyłączyła się Krystle.

- Dziwię się wam, dziewczynki - zauważył Willie. - Żeby nie jeść kolacji, kiedy Święty Mikołaj patrzy? - Do tej pory prawie się nie odzywał, tylko jadł i powtarzał, że wszystko jest pyszne.

- Już dostałyśmy prezenty - odcięła się Krystle dumnie.

Willie uniósł brwi.

- Ale Mikołaj może je jeszcze odebrać, prawda, Mary?

Wobec takiej groźby brokuły skonsumowano w okamgnieniu. Hanna nie mogła się nadziwić, że ojciec włączył się w karmienie dziewczynek. Nigdy nie zajmował się dziećmi, prawda? Usiłowała sobie to przypomnieć i nagle powróciło wspomnienie z wczesnego dzieciństwa - lubiła siedzieć mu na kolanach i słuchać, jak opowiada bajki. Miał wtedy wielki brązowy fotel. Kiedy go nie było, siadała tam, kuliła się w kłębek i czekała. Udała, że kicha, żeby ukryć łzy w oczach.

- Hanno, chyba się nie przeziębiałaś? - zmartwiła się matka.

- Nie, mamó.

W domu nigdy nie było alkoholu, ale ojciec i tak jakimś cudem chodził Jekko podchmielony, choć ani razu nie widziała go z butelką. Pewnie coś chowa. Następnego dnia wyszedł przed obiadem i nie wrócił. Trzy kobiety spędziły uroczy dzień, bawiły się z dziećmi, rozmawiały, poszły na długi spacer, a po powrocie piły gorącą herbatę i odpoczywały przy kominku.

Tej nocy Hanna obudziła się o wpół do trzeciej. Ktoś jest przy drzwiach. Zadrzała, jakby znowu była dzieckiem i nasłuchiwała kroków ojca. Nigdy nie wiadomo, w jakim będzie humorze - radosny i rozchichotany, czy zły na cały świat i obwiniający wszystkich oprócz siebie o to, że nie ma pracy i przyszłości.

A co z nami? My jesteśmy twoją przyszłością, a nie dbasz o nas i o mamę - chciała mu zawsze wykrzyknąć w twarz. - Przestań się nad sobą użalać i zrób coś! - Była wściekła, że zmarnował sobie życie przez alkohol.

Nie chciała, żeby obudził dziewczynki, więc wstała i zeszła do kuchni. Siedział na podłodze, starał się cicho zdjąć buty i skarpety.

- Hanno? - szepnął - Zaparz mi herbatki, to nie będę miał takiego kaca.

Był żałosny, śmieszny i niegroźny, gdy tak siedział na podłodze, bezradny jak dziecko. Nie jest wzorem do naśladowania, to pewne, pomyślała, nastawiając czajnik. Ale jest jej ojcem, nie diabłem wcielonym.

- Siadaj na krześle, zdejmę ci buty - poleciła. - I bądź cicho.

- Dobrze, Hanno - zgodził się potulnie. - Zawsze byłeś podobna do mamy, silna, władcza kobieta.

Następnego ranka zapakowała walizkę do bagażnika. Miała wrażenie, że jest kimś innym, nie tą samą spiętą Hanną, która przyjechała tu trzy dni temu. Zawsze tak reagowała na pobyt w domu. Świat wracał na swoje miejsce, problemy wydawały się mniejsze, gdy patrzyła na nie z tej odległości.

Matka stała obok, dźwigała naręcze niekształtnych paczek i słoików owiniętych w gazetę.

- Masz tu dżem z rabarbaru, cztery słoiki, jajka od Doyle'ów, wiesz, za zakrętem. I jeszcze razowy chleb i wczorajszy bekon, tutaj nikt tego nie zje, a nie chcę, żeby się zmarnował. Mary jutro wyjeżdża.

- Dokąd? - Hanna starannie układała paczki w bagażniku.

- Do swojego kochasia.

Hanna wyprostowała się zdumiona.

- Więc ci powiedziała. Myślałam, że będziesz wściekła.

Matka wzruszyła ramionami.

- Nie ma sensu. Czego nie można zmienić, trzeba przetrzymać. Nie słyszałaś tego powiedzonka?

- Mamo, zawsze mnie zadziwisz - stwierdziła Hanna. - Kiedy wydaje mi się, że już wiem, jak zareagujesz, robisz coś wręcz przeciwnego.

- Na przykład?

- Na przykład powiedziałaś Mary, że jesteś ze mnie dumna... - Hanna urwała. Żałowała, że zaczęła tę rozmowę. Przez całe trzy dni chciała matkę o to zapytać, ale teraz pożałowała.

- Myślałaś, że nie jestem z ciebie dumna? - rzuciła Anna szorstko. - Wyrwałaś się stąd i stanęłaś na własnych nogach. Myślisz, że nie zrobiłabym tego sama, gdybym mogła? Oczywiście, że jestem ciebie dumna, ale ty nigdy tego nie widziałaś.

- Byłaś wobec mnie taka surowa - zaprotestowała. - To Stuart był twoim pupilkiem.

Matka prychnęła.

- Chłopcy mają łatwiej. Wyrosną z nich mężczyźni i dostaną w życiu, czego chcą. A kiedy kobieta wie, czego chce i umie to zdobyć, uważa się za starą dziwaczkę, która nie złapała chłopca. Stuart nie potrzebował pomocy, ty tak. Nie chciałam, żebyś była miękka. Traktowałam cię surowo, żebyś stwardniała, żebyś nie skończyła jak ja - wyjaśniała Anna.

- Och!

Stały tak jeszcze przez chwilę. Anna nigdy nie była wylewna, lecz tego dnia Hanna nie zwracała na to uwagi. Objęła ją i przytuliła do siebie. A Anna Campbell przywarła do niej na minutę, zanim wyzwoliła się z jej objęć.

- Jedź już, Hanno - mruknęła. - Dzisiaj na drogach będzie duży ruch.

- Jadę - zgodziła się z uśmiechem. - Zadzwoń, dobrze?

- Nigdy nie ma cię w domu - odparła Anna. - Zawsze się gdzieś włóczęysz. Moja córeczka.

Podróż do domu minęła jak z bicza strzelił. Hanna była w doskonałym humorze. Rozterki ostatniego tygodnia zniknęły bez śladu, wracała odnowiona, pełna energii. No i co z tego, że Feliks nie umie się odnaleźć w stałym związku? To jego problem, nie jej. Ona nikogo nie potrzebuje. Jest silną, inteligentną kobietą, córką takiej samej kobiety. Nie zmarnuje życia przez jakiegoś tam aktora. Chce iść naprzód, już planowała nowe życie i karierę.

Czas zapuścić korzenie, kupić dom. Gdyby jak idiotka nie marnowała pieniędzy na ładne sukienki, żeby się podobać Feliksowi, starczyłoby na pierwszą ratę. No cóż, trudno, jeśli ciężka praca wystarczy, poradzi sobie. Będzie miała pracę, niezależność i dom. A Feliks niech idzie do diabła.

Rozdział 18

Emma nie miała pojęcia, jakim cudem Kirsten wymigała się od przyjęcia świątecznego. W każdym razie udało jej się przekonać Jimmy'ego, że jego ukochana młodsza córeczka jest chora i nie da rady zwlec się z łoża boleści, żeby zjeść z rodziną kawałek indyka.

- Biedactwo, jest wyczerpana - stwierdził, gdy odłożył słuchawkę i wrócił do kuchni, gdzie Emma, mokra od potu, polewała indyka sosem po raz dziesiąty tego dnia.

- Moim zdaniem ona... - Jimmy puścił oko do żony-jest, no wiesz, w ciąży. Jeszcze nic nie mówi, ale jestem pewien. Mówiła przecież, że jej niedobrze. - Nadał się z dumy jak indyk.

Emma z wściekłością zatrzasnęła piecyk. Jednego jest pewna - Kirsten nie jest w ciąży. Raczej ma kaca. Jak co roku umówiła się z przyjaciółmi w Horseshoe bar w Wigilię i pewnie znowu pili koktajle na szampanie, a potem balowali do białego rana, aż Święty Mikołaj skończył roznosić prezenty. Zawsze jeden biedny frajer nie pił i rozwoził pijane towarzystwo do domu. Zazwyczaj ta rola przypadała Patrickowi.

Emma była gotowa założyć się o swój śliczny nowy moherowy sweter, który dostała rano do Pete'a, że jej siostra leży teraz w łóżku, pije alka seltzer i zaklina się, że w życiu nie weźmie alkoholu do ust. Świnia. Wie, że Emma nienawidzi świąt u O'Brienów.

Co roku spotykali się w Boże Narodzenie u O'Brienów, zawsze w towarzystwie ciotki Petry i Eugene'a, brata Jimmy'ego. W najlepszym wypadku była to tortura, a w tym roku będzie gorzej. Matka zachowywała się normalnie od kilku tygodni, napad się nie powtórzył, ale Emma była przekonana, że to tylko kwestia czasu. A Boże Narodzenie i całe zamieszanie wokół świąt mogą taki napad wywołać.

Kirsten jak zwykle chowała głowę w piasek i nie chciała rozmawiać na ten temat, ale wiedziała, jak bardzo Emma się denerwuje na myśl o rodzinnej kolacji. To okrutne, że wycofała się w ostatniej chwili. I przecież nawet nie musi nic robić. Emma pojechała z matką na zakupy trzy dni temu i kupiły wszystko co potrzeba. Nie do pomyślenia, żeby Anne-Marie nie zamówiła indyka miesiąc z góry, lecz w tym roku nic nie załatwiła i wszystko spadło na Emmę. Ojciec nie zauważy, że pudding jest z torebki, stwierdziła, trzeba tylko dolać dużo brandy. Kirsten pomogłaby samą obecnością, wprawiłaby ojca w dobry humor.

- Zadzwońię do Patricka - zaproponowała nagle. - Zapytam go, co się dzieje. Znasz Kirsten, to hipochondryczka. Pewnie się tylko przeziębiła.

- Nie waż się! - ryknął ojciec. - Twoja biedna siostra leży na łożu boleści, a ty myślisz, że to tylko przeziębienie? I to tylko dlatego, że nie chcesz pomóc mamie w kuchni. Lenistwo, ot co. Za moich czasów byliśmy szczęśliwi, że mamy co jeść na święta. Nikt sienie skarżył, że musi pomóc w kuchni.

Emma już-już otwierała usta, żeby powiedzieć, że właściwie to ona wszystko przygotowała, a matka ciągle bawi się puszką. W tym momencie zobaczyła Anne-Marie - obraz nieszczęścia. W jednej ręce trzymała puszkę zielonego groszku, który wujek Eugene konsumował na kilogra-

my. W drugiej - ubijaczkę do piany. Otwieracz do puszek ponieważ się na stole. Matka usiłowała otworzyć puszkę ubijaczką do piany.

- Daj spokój, tato - mruknęła. - Masz rację. - Tak jest prościej. A zadzwoni i tak, potajemnie.

Wyszedł. Emma wyjęła matce z rąk ubijaczkę i puszkę.

- Mamo, tyle się dzisiaj napracowałaś, może usiądziesz i pogadasz z ciocią Petrą? Przyniosę wam sherry, posłuchacie sobie kolęd w telewizji.

Nie była pewna, czy matce można podawać alkohol, ale sherry ją uspokajała i dlatego stanowiła najlepsze lekarstwo. Co więcej, może mocny drink złagodzi trochę ostry język ciotki Petry.

Zostawiła starsze panie z wielkimi szklanicami sherry przed telewizorem, zasłuchane w chłopczyka śpiewającego kolędy. W kuchni sprawdziła, czy wszystko w porządku, i zadzwoniła do rodziców Pete'a. Świętował ze swoją rodziną. Teoretycznie co drugi rok mieli spędzać święta raz u jednych teściów, raz u drugich, ale Emma miała dosyć wojny z ojcem.

W zeszłym roku obiecali sobie z Petem, że następne święta spędzą sami, u siebie, i nie będą zwracali uwagi na prośby obu rodzin. Plan powiódłby się doskonale, rodzice Pete'a rozumieli ich potrzebę prywatności, gdyby nie Jimmy.

- Niech Pete tu przyjdzie - zarządził. - To będziecie razem.

- Nie o to chodzi - tłumaczyła Emma. Na darmo. W rezultacie w tym roku się rozdzielili.

Pete nie miał jej za złe, że tak ulega ojcu. Nie denerwował się, tylko ją uściskał i odwiózł do rodziców. Za rok, obiecała sobie, będzie inaczej.

- Cześć, Pete - powiedziała, zła, że go przy niej nie ma.

- Cześć, kochanie. Tęsknię za tobą.

- Och, nie - jęknęła. - Już się nie mogę doczekać. Twoja mama naprawdę się nie gniewa, że wpadnę dopiero później?

- Skądże, nie może się ciebie doczekać. Pokazała mi, co ci kupiła. Będziesz zachwycona.

Nie mogła się opanować, miała łzy w oczach. Ileż by dała, żeby teraz być z Petem w kuchni Sheridanów. Wszyscy żartują i przekomarzają się, i przeszkadzają jego mamie w przygotowaniach. Zazwyczaj siadali do stołu o wpół do szóstej, po uroczym popołudniu gier i zabaw. U Sheridanów rzadko piło się alkohol, a na święta w ogóle nie był potrzebny. Rozumieli się tak dobrze, czuli tak swobodnie nawet bez drinków. I nie musieli oglądać telewizji, żeby ze sobą wytrzymać. Ulubioną częścią świątecznej kolacji w domu jej rodziców była dla Emmy chwila, gdy po posiłku zasiadali przed telewizorem i oglądali film. Wtedy panował spokój. Jimmy

lubił filmy; chyba tylko przed telewizorem panował nad swoim wybuchowym charakterem.

Nie przez przypadek Emma kupiła mu cztery klasyki filmowe na wideo. Jeśli po kolacji nie będzie nic ciekawego, puszcza *Doktora Żywago*. Ojciec lubił ten film, a jest bardzo długi. Nie mogła się doczekać tych trzech godzin spokoju. Ale najpierw musi przetrzymać kolację.

Pożegnała się czule z Petem i zadzwoniła do siostry. Odebrał Patrick.

- Masz kiepski głos - zauważyła.

- Jaśnie pani leży z potężnym kacem, w domu nie ma nic do jedzenia - skarżył się ponuro. - Czekam na świąteczną kolację: bułki do hot-dogów, pizza i frytki. Ona nic nie je, bo jej się kręci w głowie.

- Już ją jej dam zawroty głowy - Emma zdenerwowała się. - Uduśzę ją własnymi rękami, że wymigała się z kolacji tutaj. To koszmar. Indyk chyba popełniłby samobójstwo, gdyby nie to, że już nie żył.

- Szczęśliwa rodzinka, jak zwykle? - domyślił się Patrick.

- Święte słowa. Poza tym obawiam się, że mama znowu będzie miała atak, a nie wiem, czy sama sobie poradzę, dlatego zależało mi na obecności Kirsten.

- Jaki atak? - Patrick był zdziwiony.

- No wiesz, jak u Laury Ashley.

- Em, nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

- Czyli Kirsten ci nie powiedziała? - Emma była w szoku. Nie do wiary, żeby siostra nie wspomniała nawet o stanie matki. Niemożliwe. - Nie mogę teraz rozmawiać - szepnęła. - Ale zapytaj Kirsten, co się stało, kiedy zabrałam mamę na zakupy. Martwię się, naprawdę się martwię.

Kolacja była koszmarna. Ciotka Petra orzekła że: indyk jest za twardy, fasolka niejadalna, a sos ma grudki. Jimmy przytakiwał i winą za wszystko obarczał Emmę. Anne-Marie grzebała widelcem w talerzu. Bardziej ją bawiło szturchanie groszku nożem niż jedzenie. Tylko wujek Eugene zjadał wszystko z apetytem kawalera, który rzadko jada domowe posiłki.

- Doskonale gotujesz, Emmo - zapewnił, biorąc kolejną dokładkę groszku.

Przynajmniej groszek mi się udał, pomyślała ze złością. Zniosła talerze do kuchni. Dziwne, ciotka narzekała, że indyk jest twardy, ale jakoś dużo zjadła.

Wstawiła naczynia do zmywarki, podała następne danie i słuchała, jak ojciec opowiada o Kirsten, jakby zapowiadał drugie nadejście Chrystusa.

- Jest wspaniała - perorował. - Była na kursie kucharskim w Ballymaloe z Dariną Allen. Jezus, jak ona gotuje! Co ona nam ostatnio podała na kolacji? - zwrócił się do żony.

Anne-Marie wzruszyła ramionami.

Dziwne, że jeszcze tyle pamięta, zżymała się Emma, Kirsten nie jest znana z regularnie wydawanych rodzinnych kolacyjek. Dokładnie rzecz biorąc, żadnych kolacyjek. Biedny Patrick nie musi się obawiać, że utyje na garnuszku żony.

Na sławetnym kursie w Ballymaloe, na który poszła tylko dlatego, że organizowali go jej znajomi z towarzystwa dobroczynnego, Kirsten nauczyła się robić sałatkę z rostbefem, *boeufen croute* i deser z jogurtu. Ale nie ma sensu prosić, żeby upiekła kurczaka, usmażyła omlet czy przygotowała warzywa inne niż z mrożonki.

- Ryba, tak? - matka zastanawiała się na głos. - Nie, nie ryba, ale takie, takie... wiesz, o co mi chodzi! - Zdenerwowana, zwróciła się do Emmy. - Ty na pewno wiesz, o co mi chodzi, Emmo. Nie pamiętam, jak...

- Wołowinajakmarzenie-zachwycał się Jimmy. - Szkoda, że jej tu dzisiaj nie ma.

Emma nie słuchała. Ze smutkiem patrzyła na matkę. Anne-Marie zawsze pamiętała wszystko, co zrobiła kochana Kirsten, ale teraz nie znajdowała na to słów, gubiły się gdzieś w jej głowie. Chciała uśmiechnąć się z otuchą, ale matka utkwiała wzrok w talerzu.

- Emma podała nam pyszną kolację - zauważył lojalnie wujek Eugene.

- Cóż, tak - przyznał Jimmy. Zobaczył córkę, ciągle w fartuchu na nowym sweterku, zmęczoną i smutną, i trochę złagodniał. — To dobra dziewczyna, prawda, Emmo? Mam nadzieję, że budyń nie jest z proszku? Wiesz, że lubię prawdziwy domowy budyń.

- Oczywiście, tato - odparła automatycznie. W kuchni myślała o matce. Wiedziała już, co to jest. Alzheimer. Prawie na pewno. Ale jak spojrzeć prawdzie w oczy? Czy Anne-Marie upora się z tym, że traci rozum? A oni?

- Co z tym budyniem? - wrzasnął ojciec. - Naszym żołądkom się wydaje, że podcięto nam gardła! - zaśmiał się z własnego żartu.

Emma zamieszała budyń, cieszyła się drobnym zwycięstwem - to świństwo z torebki. I to nie takie do gotowania, tylko takie najprostsze, miesza się z wodą i gotowe.

Trudno, tato. Dolała mu sporą porcję brandy. Zaniósła miseczki do pokoju.

- Pyszny - orzekł Jimmy. - Nie ma to jak twój budyń, Anne-Marie - pochwalił. - Wszędzie rozpoznam ten smak.

Brandy odniosła zamierzony skutek. Emma zapędziła wszystkich do salonu i włączyła *Doktora Żywago*.

- Zaraz przyjdę - zawołała radośnie, choć nie miała takiego zamiaru. Posprząta, pozmywa, a potem zaszyje się w oranżerii. Niech zasną przed telewizorem bez niej.

Niestety, nawet najlepszy plan spali na panewce. Jimmy znalazł ją w oranżerii i zagonił z powrotem do salonu, jak byk młodą jałówkę do stada. Lubiła *Doktora Żywago*, ale nie w takim nastroju. Przejmująca muzyka pogłębiała jej zły nastrój. Tylko świadomość, że musi usiąść za kierownicą, powstrzymywała ją przed napiciem się sherry. Kiedy już myślała, że nie wytrzyma tego dłużej, nadeszło wybawienie w postaci dzwonka do drzwi.

- Ja otworzę - zerwała się na równe nogi. Ku jej zdumieniu, na progu stali Patrick i zielona na twarzy Kirsten.

- Nie mogliśmy w taki dzień zostawić cię samej - oznajmił Patrick.

- Owszem, mogliśmy - burknęła Kirsten. Minęła siostrę i poszła do kuchni po wodę, żeby ugasić pragnienie.

- Zmusiłem ją, żeby mi powiedziała, co się stało z mamą - szepnęła Patrick. - To straszne.

- Tylko ty i Pete traktujecie to poważnie - odparła. Ulżyło jej, że Patrick jest tutaj. Dobrze mieć go po swojej stronie.

- Gdzie Pete?

Przewróciła oczami.

- Mieliśmy spędzić te święta u jego rodziców, ale ojciec się uparł, żebyśmy przyszli tutaj. W tych okolicznościach rozdzieliliśmy się. Później do nich pojedę.

- Jedź teraz - zaproponował. - My tu zostaniemy. A jeśli ojciec chce ubić na cześć Kirsten młodego cielca, będzie musiała sama go upiec!

- Nie możesz wyjść - syknęła Kirsten, która usłyszała końcówkę ich rozmowy. - Nie będę tu siedziała z cholerną ciotką Petrą... O, dzień dobry, ciociu! Jaka piękna sukienka! - zaszczębiotała, gdy ojciec i ciotka Petra pojawili się w holu.

- Kirsten, kochana! Wesołych świąt! - zagrzmiął Jimmy.

Pocałunki i uściski. Nawet Anne-Marie jakoś doszła do siebie.

- Prezenty czekają pod choinką - powiedziała do córki - dla Patrika też.

Emma obserwowała to wszystko i zastanawiała się, czy choroba matki naprawdę istnieje tylko w jej wyobraźni. Wcześniej Anne-Marie sie-

działa spokojnie, nie brała udziału w rozmowie, tylko potakiwała mężowi, a teraz była duszą towarzystwa, śmiała się i żartowała. Czy tak bardzo lubi towarzystwo Kirsten, że jest sobą tylko przy niej? Czyżby Emma wmówiła sobie straszną chorobę matki tylko dlatego, że nie może się pogodzić z faktem, że rodzice wolą młodszą siostrę?

Zmęczona i zagubiona, włożyła płaszcz.

- Jadę do Pete'a - powiedziała cicho do Patricka.

Uściskał ją i wyszła. Właściwie nikt tego nie zauważył. Oczywiście, rodzice będą źli, że nie pocałowała wszystkich na pożegnanie, ale dzisiaj nie miała na to siły. Przez cały dzień grała dobrą córkę. Teraz chce być z mężem.

- Czy to moja wina? - zastanawiała się godzinę później. Zdażyła zjeść ciasto, rozpakować prezenty i napić się herbaty. - Wmawiam sobie chorobę mamy? Dzisiaj była w fatalnej formie, ale jak przyszła Kirsten, bardzo się ożywiła i zachowywała całkiem normalnie. Boże, może to ja tracę rozum.

Pete przyciągnął ją do siebie.

- Nie wygłupiaj się, skarbie. Jesteś najrozsądniejsza w twojej rodzinie. Zresztą mówiłaś, że chciała otworzyć puszkę ubij aczką do piany? To nie jest normalne, prawda? Chodzi o to, że twoja matka uwielbia Kirsten. I nie chce jej zdenerwować. Przy niej stara się zachowywać normalnie, za to przy tobie jest sobą.

Emma się z tym nie zgadzała.

- Takich stanów się nie wybiera - stwierdziła znużona. - Powinam dowiedzieć się więcej o chorobie Alzheimera. Może coś przeczytać? Na pewno są jakieś poradniki. A może porozmawiać z lekarzem?

- O czym? - zainteresowała się pani Sheridan, wchodząc do kuchni.

- Och, o niczym - zapewniła Emma pogodnie. Wystarczy, że choroba matki zepsuła święta w jej domu, nie zatruje ich jeszcze jednej rodzinie.

Następnego dnia Patrick i Kirsten zjawili się u Emmy i Pete'a z butelką szampana i bombonierką.

- Przepraszam - oznajmiła Kirsten i z uśmiechem pomaszerowała do kuchni. - Otwórzmy czekoladki, dobrze?

Tego dnia zielone były tylko szmaragdowe kolczyki w jej uszach; pasowały do pierścionka zaręczynowego.

- Dostałam od Patricka - wyjaśniła, kręcąc głową na wszystkie strony, żeby Emma mogła je dokładnie obejrzeć.

- Piękne - powiedziała szczerze. Wyjęła kieliszki do wina - nie mieli z Petem specjalnych do szampana, nie widzieli sensu kupowania ich.

- Płaszcz też jest nowy?

- Ten? Skądże, to starość - Kirsten pogardliwie przejechała dłonią po płaszczu z czarnej skóry. Emma nigdy go u niej nie widziała. — Oprócz kolczyków dostałam tydzień na farmie piękności, właściwie bez sensu.

- Jesteś zepsuta i rozpuszczona, wiesz? - skarciła ją Emma. - Patrick jest dla ciebie za dobry.

- Nie o to chodzi. To po prostu bezużyteczny prezent. Nie chcę schudnąć i nie jestem w stresie.

- Więc mi to oddaj - prychnęła Emma. - Bo ja mam stresu po uszy.

- Wiem, przepraszam. Patrick mało mnie nie zabił, kiedy się dowiedział o mamie. Ale Emma, nie wiemy nic na pewno i może przesadzasz...

Emma wyrwała jej butelkę z dłoni.

- Nie mów mi, że przesadzam! Jeśli chcesz pić, zanieś kieliszki do salonu.

Pete, Patrick i Emma zgadzali się, że z Anne-Marie jest coś nie tak.

- Moja babcia taka była przed śmiercią - powiedział Patrick. - Wtedy mówiono na to starcze zniedołężnienie.

Wszyscy umilkli, nawet Kirsten, która popijała szampana, jakby to wszystko jej nie dotyczyło.

- Co robimy? - zapytała w końcu Emma. — Jeśli się mylimy, nigdy nam nie darują. A jeśli mamy rację, mama może sobie coś zrobić, mieć wypadek, nie wiem, coś jej się może stać. Nie wybaczę sobie, jeśli zrobi sobie krzywdę tylko dlatego, że bałam się powiedzieć ojcu.

We trójkę zgadzali się co do jednego: najlepiej, żeby ten temat poruszyła z Jimmym Kirsten.

~ Powiedz mu, że się martwisz o mamę i że chętnie pojedziesz z nią do lekarza. Kto wie - Emma chwyciła się brzytwy. - Może pomoże operacja. Może stawiamy błędną diagnozę.

Plan miał tylko jeden mankament - Kirsten odmówiła udziału.

- Nie ma mowy - powiedziała. - Chyba wszyscy zwariowaliście. Z mamą jest wszystko w porządku, nic nie powiem.

- Kirsten! - Patrick tracił panowanie nad sobą.

- No przecież wczoraj nie widziałeś nic podejrzanego, prawda? - nie dawała za wygraną. - Sam to powiedziałaś: przez cały wieczór była normalna.

- Tak, ale powiedziałem też, że nie znam się na tym i jeśli Emma twierdzi, że coś jest nie tak, to jest. Nie cytuj mnie, jeśli przytaczasz tylko połowę mojej wypowiedzi.

Był wściekły i Emmę zaintrygowało, co tak naprawdę się dzieje między Kirsten a Patrickiem. Zazwyczaj zgadzał się na wszystko, nie komentował niczego. Ale teraz coś się zmieniło.

- Nie obchodzi mnie, co myślicie - upierała się Kirsten. - Nie powiem nic ojcu. Przy mnie mama zachowuje się normalnie i to mi wystarczy. Jeśli myślisz, że jej odbija, Emmo, sama powiedz to ojcu. Chodź, Patrick, idziemy na przyjęcie.

Później tego wieczora, gdy siedzieli z Petem przy kominku, Emma ponownie poruszyła ten temat.

- Powiedzieć ojcu czy nie?

- Nie wiem, kochanie. Z jednej strony twój ojciec to typ, który zabija posłańca przynoszącego złe wieści. Wiesz, powie, że to twoja wina. Nigdy ci nie wybaczy.

Skinęła głową.

- Masz rację. Żałuję tylko, że mama zachowuje się dziwnie tylko przy mnie. Gdyby to Kirsten widziała...

- Daj spokój z Kirsten - Pete wpadł jej w słowo. - To twoja siostra, wiem, ale ostatnio przekracza wszystkie granice. Widzi tylko to, co chce widzieć, a choroba matki jej nie pasuje. Gdyby nie Patrick, nie wiadomo, co by się z nią stało.

Emma przypomniała sobie złość Patricka. Chyba dobra passa siostry się kończy.

Jeśli Patrick naprawdę zdecyduje, że ma dosyć jej fanaberii, w ich domu rozpęta się istne piekło.

Przestań, powiedziała sobie ostro. Nie martw się o Kirsten. Kirsten nie poświęci nawet pięciu sekund na myślenie o innych. Emma bardzo chciałaby osiąść tę umiejętność.

Miała po dziurki w nosie martwienia się o całą rodzinę: niech sami się sobą zajmą. Ona będzie się cieszyć Petem. Przytuliła się do niego.

- Co powiesz na propozycję, żebyśmy wcześniej poszli do łóżka? - mruknęła.

W odpowiedzi lekko ugryzł ją w ucho i wsunął dłoń pod bluzkę.

• - A może nie pójdziemy do łóżka, tylko zostaniemy przy kominku?

- Doskonały pomysł - odparła. Kochanie się przy kominku ma wyjątkowy urok. Przypominało jej czasy, gdy byli zaręczeni i nigdy nie mogli być sami. Wtedy czekali, aż wszyscy u Sheridanów pójda spać, i pieścili się przed kominkiem. Zawsze się bali, że ktoś ich zastanie w kompromitującej sytuacji. U niej nigdy sobie na to nie pozwalali - wiecznie się obawiała, że ojciec stanie w drzwiach z dubeltówką w jednej i Biblią w drugiej ręce.

Czas powrócić do tamtych chwil, pomyślała, gdy Pete rozpinał jej bluzkę. Kiedyś jedynym jej zmartwieniem w związku z dzieckiem było,

że zajdzie w ciążę przed ślubem. Postanowiła, że przestanie ciągle o tym myśleć; to będzie jej postanowienie noworoczne. Jeśli będzie miała obseję na tym punkcie, nigdy nie zajdzie w ciążę. Od tej chwili *to już* przeszłość. Będą się z Petem cieszyć tym, co im przyniesie los. Jeśli niepisane im dziecko, niech tak będzie.

Rozdział 19

Od świąt Bożego Narodzenia minęło dziesięć dni i Leonie przywykła do nowej fryzury. Niestety, stwierdziła, przeczesać palcami krótsze, bardziej wycieniowane włosy, nie będzie jej stać na takie ekstrawagancje. Fryzjer i farbowanie są strasznie drogie. Mimo wszystko przyjemnie jest mieć włosy w kolorze miodu, z ciemniejszymi pasemkami. Wyglądały prawie naturalnie. Nawet dziewczynki były pod wrażeniem.

- Mamo, super - stwierdziła Mel, chyba zaskoczona.

Do nowej fryzury doszły nowe ciuchy. Hanna okazała się świetnym doradcą, zwłaszcza jeśli chodzi o rzeczy na podróż.

- Nie marnuj nic ładnego na samolot - tłumaczyła. - Przecież chcesz zaimponować Rayowi i Fłiss, a nie pasażerom. Jeśli chcesz, przebierz się w Denver, ale na sam lot załóż coś luźnego i wygodnego.

Bardzo rozsądnie. Hanna instynktownie wyczuła, jakie dla niej ważne, żeby dobrze wyglądać przy spotkaniu z Rayem i jego narzeczoną.

Stewardesa sprawdzała, czy wszyscy zapięli pasy bezpieczeństwa. Bliźniaczki, podeksycytowane, ścisnęły się za ręce.

Ich radość była zaraźliwa. Leonie rozsiadła się wygodnie, zadowolona, bo w torbie czekała gruba powieść kryminalna, specjalnie na lot, a potężna dawka środków uspokajających, którą wymusiła na lekarzu swoim strachem przed lataniem, odniosła zamierzony skutek, przynajmniej na razie.

Danny jakimś cudem zdołał usiąść osobno, rząd wcześniej. Miał za sąsiadkę ładną dziewczynę w spranych džinsach. Na wszelki wypadek, żeby za dużo sobie nie pomyślał, Mel i Abby na cały głos zastanawiały się, czy już bardzo tęskni za swoją dziewczyną.

Co chwila się odwracał i posyłał im mordercze spojrzenia, na co siostry chichotały jeszcze głośniejsze, milkły na minutę i zaraz podejmowały głośną rozmowę o nieistniejącej ukochanej Danny'ego. Leonie uśmiechała się pod nosem, ale kazała im mówić ciszej. Ależ z nich ziółka.

Oby trochę się uspokoiły w Kolorado, inaczej zwariuje, pilnując ich. Jeśli będą się zachowywały jak po wypiciu kontenera coca-coli każda, nici z odpoczynku. Chociaż właściwie ojciec i nowa macocha mogą przejąć część obowiązków, stwierdziła Leonie, wyjmując opasy tom z torebki.

Odpocznie sobie. A gdyby przypadkiem się zestresowała, Emma dała jej flaszeczkę ziołowego leku na uspokojenie. Twierdziła, że bardzo pomaga, Leonie pamiętała, że przyjaciółka miała go ze sobą w Egipcie. Tak na wszelki wypadek zażyła odpowiednią dawkę i skrzywiła się, czując smak alkoholu.

W toalecie na lotnisku dzielnie oparła się pokusie zażycia następnej dawki. Już i tak wzięła za dużo, Ray i Fliss pomyśla, że jest pijana, jeśli łyknie choćby kropelkę więcej. Lot do Atlanty okazał się koszmarem. Na nic zdały się spokojne wyjaśnienia Danny'ego, że turbulencje to nic strasznego, po prostu samolot leci przez określony typ chmur czy pogody czy coś takiego. Ilekroć samolot podskakiwał, miała ochotę wrzeszczeć na całe gardło. Czuła się jak w brzuchu wieloryba, takiego, któremu każą skakać przez poprzeczki i obręcze w delfinariu. Zaraz, zaraz, czy wieloryby też skaczą, czy tylko delfiny? Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że jeśli turbulencje zaraz nie ustaną, umrze ze strachu. Dlaczego do licha zgodziła się na tę podróż? O dziwo, bliźniaczki i większość pasażerów przespała całą podróż. Po kolacji i filmie z Bruceem Willisem, zasnęli spokojnie, tylko Leonie siedziała sztywno w swoim fotelu, niezdolna spać, czytać ani nawet słuchać muzyki. Trzy buteleczki wina niewiele pomogły, wręcz przeciwnie, tylko pogorszyły sytuację, przez nie popadała w jeszcze większą paranoję i cały czas miała wrażenie, że samolot zwali się do morza.

Pół godziny przed lądowaniem turbulencje ustały.

- Jesteśmy na miejscu? - Mel przeciągnęła się z rozkoszą.

W Atlancie czekali przez prawie dwie godziny na dalszy lot do Denver i przez cały ten czas Leonie tłumaczyła sobie, że samolot jest najbezpieczniejszym środkiem transportu i nie ma sensu wynajmować samochodu i jechać do Kolorado.

- Boże, mamó, uspokój się - Danny był wyraźnie zdegustowany jej brakiem luzu.

Mało brakowało, a nie zdążyliby na samolot, a to przez Mel i jej miłość do ubrań. Znikła pięć minut przed wejściem do samolotu i Leonie szukała jej we wszystkich sklepach. Znalazła córkę w eleganckim butik. Przymierzała okulary słoneczne znanego projektanta. Kosztowały więcej niż wszystko, co Leonie miała na sobie.

- Spójrz, mamó, są cudowne. I o wiele tańsze niż w domu. Pożycz mi pieniądze, proszę. Tatuś ci odda.

- Nie - syknęła. - Wszyscy już są w samolocie. Wzywają nas. Pospiesz się!

I tak do Denver przyleciała kobieta zmęczona i zestresowana. Dzieci były roześmiane i podekscytowane; Leonie czuła się, jakby całą drogę pokonała na czworakach. Kiedy przejrzała się w lustrze w damskiej toalecie, doszła do wniosku, że tak też wygląda.

Co takiego mówiła Hanna? Jasna szminka i czerwony sweter na ramiona, wtedy wydasz się pełna życia, nieważne, jak bardzo będziesz zmęczona. Wtedy wydawało się to rozsądne, ale w obecnych okolicznościach Leonie uznała, że jasna szminka i czerwony sweter tylko podkreślają zmęczone, zaczerwienione oczy.

Fliss i Ray mieli na nich czekać. Początkowo Leonie się opierała. Sama dojedzie z dziećmi do Vail.

- To chyba nie takie skomplikowane ~ burknęła do Raya. - Na pewno są autobusy. Damy sobie radę.

Teraz jednak cieszyła się, że po nich przyjadą. Nie miała siły, by zorganizować kolejną podróż, szukać właściwego autobusu i pilnować wszystkich bagaży.

Niestety, fakt, że odbiorą ich szczęśliwi zakochani, miał także minus; Ray i Fliss zobaczą ją w obecnym stanie. Zrezygnowana, umalowała usta i narzuciła czerwony sweter. Trochę lepiej, stwierdziła ponuro.

Danny rycersko dźwignął bagaże.

- Co ty tam masz, Mel, trupa? - stęknął, ładując ostatnią torbę na wózek.

- Wiesz, nie wszyscy chcą wyglądać jak bezdomni - odparła wyniośle. - Zabrałam kilka drobiazgów.

- Ach, tak, kielnię do zaprawy, czyli makijażu - prychnął.

I tak, w zwykłej rodzinnej atmosferze, przeszli przez odprawę celną do jasno oświetlonej hali przylotów.

-Tata! Widzę go! - zapiszczała Mel podekscytowana. Razem z Abby przepychały się przez tłum, Danny pospieszył za nimi. Leonie ociągała się.

Zwolniła kroku. Niech się przywitają sami. Spora grupa oddzieliła ją od dzieci. Czekala cierpliwie. Nie widziała Raya od dwóch lat i denerwowała się coraz bardziej. Potężny mężczyzna przed nią przesunął się na bok i udało jej się dostrzec dzieci przy ojcu i jego narzeczonej. Witali się tak radośnie, że poczuła ukłucie w piersi. Ray wyglądał lepiej niż kiedykolwiek; przytył trochę, nie był taki chudy jak dawniej. Posiwał, ale dzięki opaleniznie bardzo wyprzystojniał. Pełna życia kobieta u jego boku była piękna. W rzeczywistości okazała się jeszcze piękniejsza niż na wakacyjnych zdjęciach. Miała na sobie dżinsy i skórzaną kurtkę, kiedy się uśmie-

chała, białe zęby lśniły w opalonej twarzy. Ciemne włosy, w lecie obcięte krótko, chłopięco, były teraz dłuższe, ale nadal efektowne i szykowne. To odpowiednie słowo, najlepiej ją opisuje, zauważyła Leonie: szykowna. Obserwując ich ukradkiem, poczuła, że do nich nie pasuje, jest intruzem.

Właściwie rodzicami dzieci mogliby być Ray i Fliss, nie Leonie. Ścisnęli się i całowali, śmiali głośno. Ray powtarzał:

- Urosłeś, Danny, naprawdę urosłeś!

Mel była nawet podobna do Fliss; te same długie nogi, ta sama niewymuszona, nonszalancka uroda. Fliss objęła Abby i Leonie z przerażeniem patrzyła, jak dziewczynka uśmiecha się szeroko. Zazdrość owinęła się wokół jej serca jak boa dusiciel wokół małego gryzonia. To jej dzieci, a z takim uczuciem patrzą na tamtą kobietę. Z uczuciem i, tak, Leonie widziała to w ich oczach, z podziwem.

- Leonie! Tu jesteś! - Ray wypatrzył ją w tłumie i uściskał serdecznie. - Pięknie wyglądasz. Tak się cieszę, że przyjechałaś. Chodź, przedstawię ci Fliss.

Chyba dawno nie był u okulisty, pomyślała posepnie. Pięknie wyglądasz, akurat.

Fliss nie objęła Leonie jak dawnej przyjaciółki. Za to uśmiechnęła się, jak się wydawało, szczerze, wyciągnęła rękę i powiedziała:

- Bardzo się cieszę, że w końcu mogę cię poznać, Leonie. Dobrze, że udało ci się przyjechać.

Leonie odpowiedziała uśmiechem. Tak, też się bardzo cieszy, że ją poznała, tak, Denver to piękne miasto, ale, na Boga, oddałaby wszystko za filiżankę herbaty i chwilę odpoczynku, pada z nóg.

Słuchając siebie z niesmakiem, doszła do wniosku, że zachowuje się jak typowa irlandzka baba z wiejskiej sztuki, w szmaragdowej chustce i wełnianym swetrze. Co się z nią dzieje? Gdzie się podziała wyrefinowana dama, którą miała być? Dlaczego zastąpiła ją parodia irlandzkiej wieśniaczki?

- Przepraszam, wybacz. Na pewno jesteś bardzo zmęczona - zreфлектовowała się Fliss. - Chodźcie, kochani, mama musi odpocząć. Danny, tam jest automat. Masz tu dolara, kup mamie coś do picia. - Podała mu garść drobnych. Oddalił się posłusznie.

Leonie odprowadzała go wzrokiem. Niemożliwe, żeby Danny spełnił jakąś prośbę bez kwadransa zrzędenia. Jakim cudem Fliss się to udaje, skoro ona, jego matka, ponosi kłeskę?

- Ray, kochanie, daleko zaparkowaliśmy, idź po samochód. Poczekamy tu z bagażami, nie ma sensu nieść ich taki kawał - zarządziła Fliss.

Odszedł posłusznie. Dziewczynki tymczasem paplały jak najęte, a Danny tylko komentował co atrakcyjniejsze samochody.

- Rany, pontiac firebird - jęknął, gdy przejechało coś bardzo czerwonego i sportowego.

Ray podjechał wielkim dżipem. Załadowali bagaże i wgramolili się do środka.

- Wygodnie ci tam z tyłu, Leonie? - zatroskała się Fliss ze swego miejsca przy Rayu.

- Pewnie, świetnie. - Przestań w końcu! upomniała się. Nie mów z akcentem. - Zimno, prawda? - zauważyła, gdy Ray majstrował przy ogrzewaniu. - Nie mieliśmy pojęcia, że będzie aż tak zimno. Zazwyczaj spędzam urlop w ciepłych krajach. - Cholera. Teraz wyszła na pustą idiotkę, która lubi opalać się na skwarę na Costa del Coстам i nigdzie indziej nie jeździ.

- Dobrze, że przyjechałaś - odezwał się Ray. - Poczekaj, aż zobaczysz Vail. Mamy świetne warunki narciarskie, dzieciaki.

Rozmowa potoczyła się w tym kierunku, a że Leonie nie miała zamiaru jeździć na nartach, usiadła wygodniej i skupiła się na widoku za oknem. Nawet Danny był podniecony perspektywą nauki jazdy na nartach. Cała piątka paplała radośnie, a Leonie wpatrywała się w gwiazdzistą noc. W Denver jest doskonałe muzeum historii naturalnej, wyczytała w swoim przewodniku. I sporo zabytków.

Jeśli za bardzo zdenerwują ją przygotowania do ślubu, wsiądzie w autobus i będzie zwiedzała. To tylko sto mil.

Po koszmarnym locie zasnęła w samochodzie, ku swemu zdumieniu.

- Mamo, jesteśmy na miejscu! - obudził ją głos Mel. Mel, już mówiącej z amerykańskim akcentem.

Wysiadła z dżipa i znalazła się przed małym hotelikiem i grupą drewnianych domków, jakby żywcem wyjętych z Heidi. Drewniane rzeźbione okiennice i ganki wyglądały jak przeniesione z Tyrolu. Nie żeby kiedykolwiek była w Tyrolu, ale obejrzała dość programów podróżniczych, by wiedzieć, że Vail to taka miniaturowa Austria. Wszystko, łącznie z drewnianymi tablicami z nazwami domków, było doskonałe, jak na pocztówce. Tylko liczne dżipy na parkingu przypominały, że to bogate snobistyczne Vail, a nie świat Heidi.

- Uroczy, prawda? - westchnęła Fliss. - W hotelu jest restauracja, bar, sauna, wszystko, czego zapagniesz, ale każdy domek jest samowystarczalny. Najlepsze, że do centrum Vail są tylko dwie mile. Kiedy tylko zechcesz, zawiozą cię do miasta, zresztą na skróty to tylko mila. Ray już was zameldował, nie musisz sobie zawracać głowy formalnościami, możesz to załatwić jutro. Na pewno marzysz o wygodnym łóżku.

- Tak - przyznała Leonie. - Mogłabym spać przez cały tydzień.

- Spać! - pisnęła Mel. - Jak możesz spać, mamó? Myślałam, że za-raz wszystko zwiedzimy.

- Tobie też przyda się trochę snu, młoda damo. - Fliss pieszczotliwie zmierzwiła Mel włosy.

Leonie poczuła kolejne ukłucie zazdrości. Zdziwiła się, że tak bardzo boli widok ich dwóch razem. To śmieszne, być zazdrosną o to, że córka dobrze się czuje w towarzystwie kogoś innego. Co z niej za matka?

- Dziękuję bardzo, Fliss - odparła. Przesadna uprzejmość miała być rekompensatą za wrogie uczucia. - Rzeczywiście tu jest uroczo. To piękne miejsce na ślub. W którym domku mieszkamy?

Domek to niewłaściwe słowo, stwierdziła, gdy Ray wprowadził ich do środka. Leonie oczekiwała czegoś prostego i spartańskiego. Tak wyglądały górskie domki w programach podróżniczych: dużo miejsca na sprzęt narciarski i kuchnia, w której gotuje się ogromne posiłki dla zmęczonych sportowców. To jednak była wersja luksusowa.

Salon, utrzymany w ciepłych kolorach ziemi, zawierał kolekcję sztuki indiańskiej.

- To dzieła Anasazi - wyjaśnił Ray. - Z Mesa Verde. Mieszkali tam dwa tysiące lat temu. Mama Fliss chciałyby nas tam zabrać któregoś dnia. Podobno w zimie niełatwo się tam dostać, ale warto, tak twierdzi.

- Świetnie! - Abby bardzo lubiła historię.

- Wiedziałem, że ci się to spodoba. - Ray uśmiechnął się. - No, zostawiam was. Zadzwoń rano. Dzieciaki, pomyślcie, co chcecie jutro robić.

Danny rozwalił się na ogromnej kanapie przed kominkiem i podziwiał wystrój wnętrza. Dziewczynki pobiegły obejrzeć sypialnie.

- Ta jest wielka. Dla ciebie, mamó - zdecydowała Abby.

- Ale nas jest dwie, potrzebujemy więcej miejsca. A tu jest garderoba - jęknęła Mel, która nie dzieliła się równie chętnie jak siostra i miała wyraźną ochotę na główną sypialnię.

Leonie poszła za nimi.

- Ten pokój jest ładniejszy - Abby zajrzała do sąsiedniej sypialni. - Zobacz, tu jest kominek, dwa łóżka i drzwi na patio.

- Pokaż! - pisnęła Mel.

Leonie obeszła cały domek. Doskonale wyposażona kuchnia, jadalnia, salon, łazienka z wanną na co najmniej trzy osoby i trzy sypialnie.

Danny zamieszka w ostatnim pokoju.

Zabrała swój bagaż, zajęła największą sypialnię, rzeczywiście bardzo ładną, w odcieniach zieleni - i poszła spać.

Dziewięć godzin później uznała, że jest na siłach pomyśleć o śniadaniu. Dziewczynek nigdzie nie było, za to Danny nadal smacznie spał. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, pomyślała czule.

Ktoś przezornie zostawił w kuchni mleko, kawę, cukier, chleb i inne podstawowe produkty, więc Leonie zaparzyła kawę, dumna, że opanowała skomplikowany ekspres. Zrobiła sobie grzanekę z masłem i dziwnym dżemem winogronowym i przeszła do salonu. Wyrzała przez okno, chcąc się przekonać, gdzie właściwie są.

Wspaniałe, pomyślała. Przestała żuć, takie wrażenie wywarły na niej majestatyczne ośnieżone szczyty. Przy nich góry w Irlandii wydały się pagórkami. Słońce odbijało się od śniegu, wypełniało dolinę oślepiającym blaskiem. Światło w Kolorado jest słynne na całym świecie, tak wyczytała w przewodniku. Rzeczywiście, pięknie tu. To będą wspaniałe wakacje.

Ray zadzwonił z wiadomością, że dziewczynki są z nim i że ma nadzieję, że wszyscy spotkają się w Vail na lunchu o pierwszej. - Tu jest przepięknie, Leonie. Spodoba ci się. Nawet jeśli nie chcesz jeździć na nartach, nie będziesz się nudziła: zakupy, sanna, restauracje, mógłbym tak wymieniać w nieskończoność. Jutro zabieram dzieciaki na łyżwy do Beaver Creek - dodał. - Może się z nami wybierzesz? A przy okazji, rodzice Fliss wydajądzisiaj kolację. Mam nadzieję, że przyjdiesz. Oprócz tej kolacji i ślubu, ma się rozumieć, możesz robić, co tylko chcesz.

- W którym domku mieszkacie? - zainteresowała się.

- Zatrzymaliśmy się u rodziców Fliss, pół mili stąd. Tam też odbędzie się ślub - wyjaśnił Ray.

Więc to będzie skromna uroczystość, domyśliła się. Dziwne, spodziewała się hucznego wesela.

- Ilu będzie gości?

- Około dwustu - usłyszała.

- Jezu, to musi być nielichy domek! -jęknęła.

Chwila ciszy.

- Też byłem zdziwiony - przyznał w końcu Ray. - Oni tutaj uparcie mówią na to domek, a tak naprawdę to wielki dom, kilka poziomów i mnóstwo pokoi.

- W takim razie lepiej nie przyznam się, że też mieszkam w domku - zażartowała. - Jeszcze pomyślą^ że jestem bogata.

Vail jest piękne, przyznała w duchu. Od kilku godzin wędrowała z dziewczynkami od sklepu do sklepu i podziwiała ubrania najlepszych projektantów i wszystko, co potrzebne, by jeździć na nartach z klasą.

Dziewczynki zachwycały się malowniczymi budynkami jak z Bawarii. Mel była w siódmym niebie, oglądając ciuchy w niezliczonych butikach.

Nie jest tu tanio. Rodzice Fliss muszą mieć masę pieniędzy, skoro stać ich na domek tutaj.

- Poznałyście rodziców Fliss w lecie? - zainteresowała się.

Abby pokręciła przecząco głową; Mel nie miała na to czasu, za bardzo pochłonięto ją modlenie się do mikroskopijnej błyszczącej sukienki w jednym z nielicznych sklepów, gdzie nie sprzedawano akcesoriów narciarskich.

- Zimno - Leonie zadrżała. Zaczął padać śnieg, duże puszyste płatki. Idealne dla narciarzy, stwierdziła Abby.

- Usiądźmy gdzieś - zaproponowała Leonie. - Już nie czuję nóg w tych buciorach.

Popijały gorącą czekoladę z cynamonem. Mel tęsknie gapiła się w okno, na przechodniów, Abby studiowała przewodnik po Vail, prezent od ojca. Interesowała ją zwłaszcza rozdział o narciarstwie - jutro wybierali się wszyscy razem na stok i nie mogła się już tego doczekać. Leonie sączyła gorący napój i modliła się, żeby dzisiejsza kolacja nie była strasznie oficjalna. W Vail wszyscy tak pięknie się ubierają. W życiu nie widziała tylu futer co tutaj. Najwyraźniej przeciwnicy futer jeszcze tu nie dotarli.

Obserwowały dwie kobiety w norkach po kostki, z pełnym makijażem, w ogromnych okularach słonecznych. Mel twierdziła uparcie, że to gwiazdy filmowe, i wyciągała szyję, chcąc jak najwięcej zobaczyć. Leonie rozmyślała o modzie panującej w Vail. Widziała nawet kombinezony narciarskie wykańczane futrem. Nie pasuje tutaj. Czy popełniła błąd, przyjeżdżając?

Tego wieczora Ray po nich nie przyjechał; zamiast niego zjawił się niski mężczyzna, który z szacunkiem zwracał się od Leonie per Pani Delaney.

- Szoferem rodziny Berkeley - odparł, gdy Mel otwarcie zapytała, kim jest.

- Jak to miło - mruknęła Leonie i skrzywiła się w duchu. Teraz już nie miała wątpliwości - to będzie bardzo elegancka kolacja.

Rodzina, która ma własnego szofera, to nie ta sama liga co Delaneyowie z Greystones. Na kolację nie podadzą lasagne i pieczonych ziemniaków. Jej stary sprzymierzeniec, garnitur z aksamitu koloru miedzi, nie umywa się do kreacji superbogatych Berkeleyów, nawet jeśli obwiesi się egipską biżuterią i nie przesadzi z kreskami do oczu. To pewnie taka kolacja, na której nawet pokojówki noszą sukienki od Gucciego. Z trudem

przełknęła ślinę na tę myśl, szczerzej otuliła się wełnianym płaszczem i wsiadła do dżipa.

Domek Berkeleyów doskonale nadawałby się na pensjonat, zauważyła, gdy szofer wjechał na parking. Stały tam już dwa mercedesy. Rozmiary domu zrobiły wielkie wrażenie na Mel.

- Jezu - szepnęła z podziwem. - Nie do wiary.

- No - zgodził się Danny. - Na pewno są nadziani.

- Danny - syknęła Leonie. - Ciszej. Nie przyjechaliśmy tu po to, żeby oceniać stan ich portfeli. Nie sprawdzaj przypadkiem, czy ich talerze to porcelana czy zwykły fajans.

Wszyscy zachichotali.

Fliss i Ray czekali na nich przy drzwiach i Leonie po raz kolejny uderzyło, jak bardzo do siebie pasują. Ilekroć Fliss się ruszyła, Ray odprowadzał ją wzrokiem, jakby nie mógł znieść myśli, że choć przez chwilę nie będzie jej widział. A Fliss naprawdę wyglądała pięknie.

Nie ubrała się strojnie. Przeciwnie, szare proste spodnie i srebrzysty sweterek były wręcz przesadnie skromne. Były za to doskonale skrojone i bardzo eleganckie. Sweterek jest z kaszmiru i kosztował majątek, oceniła Leonie. W połączeniu z klasyczną urodą Fliss sprawiały, że nie można było oderwać od niej oczu. Rzeczywiście prawie się nie malowała, jeśli nie liść tuzi do rzęs i błyszczyka do ust. A mimo to wyglądała pięknie. Przy niej Leonie czuła się, jakby uciekła z cyrku z przyczepy klaunów.

Tym razem Fliss uściskała ją serdecznie.

- Cieszę się, że tu jesteś, to dużo znaczy dla Raya - szepnęła, gdy Ray i dzieci poszli przodem. - Nie wiem, czy byłabym w stanie wybrać się na ślub byłego męża, jestem na to zbyt zaborcza. To wspaniale, że ty i Ray tak dobrze się rozumiecie. Chciałam, żebyśmy się poznały, żebyś wiedziała, że dzieciom nie stanie się krzywda.

Była to najdłuższa przemowa, jaką wygłosiła do Leonie, która z kolei nie bardzo wiedziała, jak zareagować. Chyba błędem byłoby wyznaczyć, że ilekroć widzi Fliss z dziećmi, zżera ją zazdrość, więc uśmiechnęła się tylko i mruknęła:

- Ja też się cieszę, że tu jestem, Fliss. I że Ray jest szczęśliwy.

I to prawda, mniej więcej. Bo przecież nie chce, żeby był nieszczęśliwy, ale niełatwo patrzeć, jak się żeni z ubóstwianą kobietą, a ona nadal jest sama. Gdyby był choć troszeczkę mniej szczęśliwy, łatwiej zniosłaby cały ten ślub. Niełatwo z bliska patrzeć na tyle szczęścia.

Lecz tego nie mogła powiedzieć, więc tylko poklepała Fliss po ramieniu i powiedziała, że Irlandia staje się krajem cywilizowanym i coraz więcej osób ponownie zawiera związki małżeńskie.

Cywilizowany był także cały wieczór. Rodzice Fliss, rozwiedzeni od dawna, zjawili się w towarzystwie nowych małżonków. Leonie nie pojmowała, jakim cudem w ogóle się zeszli. Przeciwności chyba naprawdę się przyciągają.

Matka Fliss, Lydia, była smukłą, elegancką brunetką. Mówiła cicho i wyglądała na osobę, która nie schyliłaby się po chusteczkę, jeśli może zawołać służącego, żeby to za nią zrobił.

Ojciec Fliss, Charlie, okazał się potężnym zwałistym blondynem z dłońmi jak bochny chleba i ogromnym poczuciem humoru. Niemal cały czas spędzał na ranczo w Teksasie, gdzie, jak się domyślała Leonie, noga nieskazitelnej Lydii nigdy nie powstała. Jego obecna żona, Andrea, miała figurę Bo Derek, grzywę jasnych włosów i przyjazne, ciepłe usposobienie. Od razu przypadły sobie z Leonie do gustu. Ojczym Fliss, Wilson, był prawnikiem. Widać było, że doskonale się z Rayem rozumieją.

Andrea, Charlie i Wilson robili co w ich mocy, by Leonie, Danny, Mel i Abby dobrze się czuli. W ich towarzystwie Leonie odprężyła się nieco. Wszyscy rozmawiali z nimi przyjaźnie. Tylko Lydia, matka Fliss, zachowywała dystans. Ilekroć Leonie na nią spojrzała, napotykała jej surowy wzrok. Zbijało ją to z tropu. Pewnie się głowi, czemu jej przyszły zięć w ogóle się ze mną ożenił, pomyślała pośepnie. Nie mogła się do niej przekonać, nawet gdy Lydia zaproponowała, by usiadła koło niej przy stole, żeby mogli porozmawiać.

Chyba jedyną rzecz, którą Lydia chce z niej wyciągnąć, jest wysokość alimentów, które Ray jej płaci, spekulowała Leonie. Nie żeby Fliss wyglądała na osobę, która liczy na pieniądze męża. Ma bogatych rodziców i dobrą pracę, nie może narzekać.

Już przy pierwszym daniu Lydia zaczęła przesłuchanie z gracją wdziękiem próby nuklearnej NASA. Na szczęście sąsiadem Leonie z prawej strony był Charlie, więc udało jej się dotrzeć do końca kolacji.

Charlie z zapałem opowiadał o swoim ranczu i życiu w Teksasie.

— Musisz nas tam odwiedzić - zachęcał. - Spodoba ci się, zwłaszcza jeśli nie jeździsz na nartach. W Teksasie jest gorąco, uwierz mi.

Kiedy się dowiedział, że pracuje w klinice weterynaryjnej, bardzo zyskała w jego oczach. Charlie hodował najróżniejsze zwierzęta, od krów mlecznych po konie. Obecnie miał, jak to określił, kilka krów i wierzchowców. Andrea parsknęła śmiechem i wyjaśniła Leonie, że kilka krów to stado liczące sześć tysięcy sztuk bydła.

- W naszej klinice zajmujemy się głównie małymi zwierzętami - wyjaśniła Leonie, gdy Charlie wdał się w dyskusję na temat zawłóści nowoczesnego chowu i transplantacji embrionów. - Od dawna nie widziałam

krowy. Leczymy głównie koty, psy i chomiki, raz najakiś czas trafia się urozmaicenie w postaci jaszczurki. Ach, tak, jeden klient hoduje papugi afrykańskie, więc nimi także się zajmujemy. Są cudowne, bardzo uczuciowe. Nie ma to jak papuga iskająca cię troskliwie.

Po kilku kieliszkach wina nawet sztywna Lydia odprężyła się trochę i gawędziła z Leonie o ślubie.

Leonie grzecznie słuchała szczegółowych wywodów o problemach, jak usadzić gości i gdzie znaleźć firmę cateringową, która sprowadzi najświeższe homary, i o tym, jak Fliss zawsze chciała mieć suknię ślubną od Calvina Kleina.

Leonie miała wrażenie, że jeśli jeszcze raz powie „Doprawdy?” udławi się tym słowem. Chcąc nieco urozmaicić swoje odpowiedzi, uchwyciła się wątku sukni.

- I co? Od Kleina? Jak wygląda?

Lydia miała taką minę, jakby Leonie zaproponowała seks grupowy z udziałem służby, i to na zaśnieżonym tarasie.

- Nie tutaj, nie przy Rayu! - syknęła. - To przynosi pecha. Pokażę ci, chcesz?

Leonie nie zdążyła odpowiedzieć że nie, właściwie nie ma ochoty oglądać sukni ślubnej przyszłej żony byłego męża już przed ślubem. Lydia oznajmiła głośno, że kawę podadzą w bibliotece.

I biblioteka tu jest? zdziwiła się Leonie w duchu. Pomyśleć, to tylko domek w górach. Bóg jeden wie, gdzie dorastała Fliss. Na pewno w ogromnej rezydencji. Nic dziwnego, że jest taka chuda, bieganie między pokojami dobrze robi na figurę.

- Fliss - szepnęła Lydia. - Pokażę Leonie twoją suknię.

- Świetny pomysł!

Kobiety wyruszyły masowo na oglądanie sukni, panowie zostali przy kawie. Mel i Abby, lekko wstawione po kieliszku wina, wzięły Fliss pod rękę i chichocząc coś tajemniczo, wędrowały z nią długim korytarzem do sypialni, gdzie suknia ślubna wisiała na manekinie krawieckim. Na jej widok wszystkie panie zamilkły z nabożnym podziwem.

Była bardzo w stylu Calvina Kleina: prosta, uszyta ze skosu, z kremowego jedwabiu. Leonie bez trudu wyobraziła sobie Fliss w tej sukni. Niech się schowają młodziutki supermodelki.

- Och -jęknęła Mel, zaślepiona nazwiskiem projektanta. - Boska.

- Śliczna - przyznała Abby.

- Podoba się wam, dziewczynki? - dopytywała się Fliss niespokojnie, jakby ich opinia była najważniejsza.

- Oczywiście! -Uściskały ją serdecznie.

Leonie coś stanęło w gardle na ten widok. Fliss wycierała oczy ze wzruszenia, a bliźniaczki całowały ją serdecznie i zapewniały, że będzie piękną panną młodą.

Andrea uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

~ Na pewno niełatwo patrzeć, jak twój były się żeni - szepnęła i wspólnie czując uścisnęła Leonie.

- Wcale nie - zaprotestowała szczerze. Bolała nie świadomość, że Ray się żeni, ale że jej córki tak uwielbiają przyszłą macochę. Właśnie to, nie wizja Raya i Fliss przed ołtarzem w roli reklamy miłości w dojrzłym wieku.

- Piękna — oceniła Lydia z dumą, mając na myśli i suknię, i córkę.

- Piękna - zawtórowała Leonie z uśmiechem tak szerokim, że obawiała się, że odpadnie jej makijaż z twarzy.

Wszyscy są dla niej tacy mili, tacy serdeczni, lecz i tak czuła się tu obco. Nic dziwnego, że dzieci chcą należeć do tej bogatej, ustosunkowanej rodziny, skoro alternatywą jest nudne życie w Wicklow.

- Spójrz tylko. Czyż nie piękne? - zapytała kobieta siedząca obok Leonie na małym połączanym krzeselku w salonie Berkeleyów, tymczasowo przekształconym w pałac ślubów. Jasne orchidee wypełniły pokój słodkim zapachem, bładożółte girlandy były eleganckie i gustowne.

- Piękne - zgodziła się Leonie posłusznie. Pośladki ją bolały po trzydziestu minutach na krzeselku zaprojektowanym przez kogoś, kto nie miał zielonego pojęcia o układzie kostno-stawowym normalnego człowieka. Odkąd zjawiła się z dziećmi pół godziny temu, wszyscy powtarzali: Piękne! No, dobrze, jest cholernie piękne, wszystko, poczynając od mężczyzn we frakach po orchidee w każdym możliwym miejscu. Piękny jest kwartet smyczkowy, piękny był powitalny kieliszek różowego szampana, piękna jest Mona, siostra Fliss, która nic sobie nie robiła z tradycji drużny spowitej w koronki i falbanki i wystąpiła w kostiumie z kremowej skóry. Leonie miała po dziurki w nosie pięknych rzeczy i ludzi.

- Mamo. - Mel wróciła na miejsce koło Leonie. - Fliss już idzie. Wygląda...

- Nie mów, niech zgadnę - syknęła Leonie przez zęby. - Pięknie.

Mel była pod wrażeniem, Leonie rozpoznawała objawy. Od trzech dni Mel rozprawiała tylko o domu Berkeleyów i jakie to wspaniałe życie muszą prowadzić. Ray zabrał dzieci na narty, na łyżwy, na przejażdżkę saniami i kolację w drogiej restauracji. Leonie zastanawiała się, czy Mel zdoła wrócić do zwykłego życia w małym domku w Greystones. Domku,

który trzeba odmalować, gdzie kafelki w łazience odpadają, bibliotekę stanowi kilka półek z książkami, a płócienne serwetki pojawiają się na stole tylko podczas wizyt Claire i tylko dlatego, że nie znosi papierowych.

- Mel, nie zapominaj, że to nie nasz świat - upomniała. - Bogaci są rodzice Fliss, nie tatuś czyja. My tak nie żyjemy.

- Nie jestem głupia, mam - obruszyła się Mel. - Ale cieszę się, póki mogę. Czy mogłabyś tego nie psuć?

I dlatego oczy Leonie wypełniły się łzami, gdy Fliss powoli, majestatycznie szła w stronę Raya. Przez łzy widziała, że Fliss wygląda rzeczywiście pięknie w kreacji Calvina Kleina; wysoka, smukła piękność w kremowym jedwabiu, z małym bukietem orchidei.

Andrea posłała Leonie współczujące spojrzenie. Leonie miała ochotę wrzasnąć na całe gardło, że nie obchodzi jej, z kim Ray się żeni, ale ma po dziurki w nosie bogactwa Berkeleyów.

Po uroczystości Mel znikła, a Leonie, Danny i Abby nie wiedzieli, co ze sobą zrobić. Zaraz jednak poproszono gości do jadalni. Zdjęto duże drzwi do oranżerii i tak powstała ogromna sala. Okna na całą ścianę wychodziły na zapierającą dech w piersiach panoramę gór. Dech w piersiach zapierał także stół uginający się pod różnymi smakołykami. Na środku królowała lodowa rzeźba przedstawiająca dwa łabędzie, skrywająca świeże ostrygi.

Oprócz ostryg był łosoś, homary i szynka parmeńska z całych chyba Włoch, mnóstwo rozmaitych sałatek. Kelnerzy we frakach poruszali się bezszelestnie, roznosili szampana, wodę mineralną i połączane talerze. Wkrótce przyjęcie rozkręciło się na dobre, ba, w pewnym szalonym momencie dobrze zakonserwowany osiemdziesięciolatek porwał Monę na parkiet i wywijał z nią dzielnie przy aplauzie pozostałych gości.

Lydia nie oparła się pokusie, by nie pochwalić się przed Leonie:

- Lodowa rzeźba przyleciała z Los Angeles - wyjaśniła wielce z siebie zadowolona. - Chłodzi ostrygi.

Leonie z trudem się powstrzymała, by nie burknąć, że niepotrzebny trud - wystarczyło ułożyć ostrygi koło Lydii, efekt byłby taki sam. Skinęła tylko głową i mruknęła, że zawsze się obawia owoców morza ze względu na salmonellę. Warto było, oceniła, widząc, jak Lydia otwiera szeroko oczy i biegnie do kuchni, pewnie żeby nękać nieszczęsną firmę cateringową pytaniami, czy aby na pewno nikt z gości nie padnie trupem po zjedzeniu ostryg.

- Super, prawda, mam? - Danny podszedł o niej z talerzem pełnym jedzenia i szklanką piwa.

- Ojciec mi przyniósł - mruknął, upijając łyk. - Wie, że nie lubię wina. Wszystko w porządku, mamó? Jesteś jakaś cicha. Mel *cię* wykańcza, co?

Leonie znowu poczuła łyżę w oczach. To śmieszne, może ma zapalenie spojówek. Ale Danny zazwyczaj nie jest taki miły. Zwykle to Abby orientowała się w uczuciach matki. Ostatnio jednak Abby nie odrywała się od Fliss, chichotała, żartowała i bawiła się z nią lepiej niż z rodzoną matką.

- Nic mi nie jest - zapewniła energicznie. - Tylko cały czas porównuję ten pałac z naszym domem. Chyba nic mi nie przejdzie przez gardło z naszych taniutkich talerzy po tym, jak jadłam z pozłacanych półmisek.

Danny prychnął pogardliwie.

- To wszystko na pokaz, mamó - zapewnił. - To pomysł matki Fliss. Strasznie lubi szpanować. Inni są w porządku - dodał. - W ogóle, to przyjęcie to był jej pomysł. Wiem od ojca, że on i Fliss chcieli skromnego ślubu, ale ona się uparła na ten cyrk.

Leonie nagle zrobiło się szkoda Lydii. Pewnie organizowanie hucznego wesela było jej sposobem na nudę.

Zanim nadeszła noc, Leonie także była znudzona. Rozmawiała z niezliczoną ilością sympatycznych par, zjadła zdecydowanie za dużo, ale nawet pyszne jedzenie i doskonały szampan nie łagodziły bólu, który czuła, widząc Mel i Abby z nową macochą. Nie rekompensowały tego, że była jedyną samotną kobietą na przyjęciu.

Ilekcóż spojrzała w ich stronę, Fliss i bliźniaczki śmiały się i żartowały. Młodożeńcy przechadzali się wśród gości w towarzystwie dziewczynek. Abby, kiedyś najwierniejsza towarzyszyca matki, nie odstępowała Fliss ani na krok i uśmiechała się promiennie, gdy macocha poprawiała *jej* włosy pieszczotliwym gestem. Mel wisiła na ramieniu ojca. Jest taka ładna z tą twarzą w kształcie serca. Fliss pozwoliła dziewczynkom skorzystać ze swoich kosmetyków. Patrząc na nie, Leonie poczuła ukłucie strachu.

Fliss wyraźnie je kocha, byłaby wspaniałą matką. Ale co będzie, jeśli zechce Abby i Mel dla siebie? Co będzie, jeśli bliźniaczki wybiorą cudowne życie w Ameryce zamiast szarej egzystencji w Irlandii? A Leonie zostanie zupełnie sama. I co ona wtedy pocznie?

Noworoczne przyjęcie Kirsten i Patricka było bardzo udane. Nawet złośliwa cioteczna babka Petra nie miałyby się do czego przyczepić, gdyby ją zaproszono, ma się rozumieć. Kirsten jej nie zносиła, więc zaproszenia nie było.

- Nie sprowadzę sobie na głowę tej starej krowy - oznajmiła Emmie zdecydowanie. - Niech sobie siedzi w domu i pichci wywar z nietoperza i jaszczurek, stara czarownica.

Emma żałowała, że nie jest tak stanowcza w kwestii ciotki Petry.

Stu pięćdziesięciu gości objęło w posiadanie duży nowoczesny dom w Castlecock. Zajadali się orientalnymi daniami, na które uparła się Kirsten. Wino lało się strumieniami. Koledzy Patricka z giełdy mówili coraz głośniej i bardziej zapalczywie, ale to tylko potęgowało świąteczny nastrój, do którego przyczyniały się także kiczowate kolędy płynące z głośników na pełny regulator.

Kirsten zeglowała po domu w złotej kreacji od Karen Miller, piła drinka za drinkiem i przyjaźnie gawędziła z gośćmi. Zostawiła Emmę z Jimmym i Anne-Marie, którzy podejrzliwie patrzyli na wschodnie specjały na talerzach. Pete poszedł po wino dla siebie i teścia. Podczas jego nieobecności mała grupka milczała, w przeciwieństwie do reszty rozbawionych gości.

Emma, dzisiejszy szofer, nie piła. Wbiła zęby w sajonkę i dyskretnie spojrzała na zegarek. Szósta. Postanowili z Petem, że zmyślajeszczę jedno przyjęcie, żeby szybciej uciec.

- Wiesz przecież, że Kirsten zwali nam twoich rodziców na głowę - jęczał Pete. - Musimy opracować plan awaryjny.

W rzeczywistości chcieli spędzić spokojny wieczór w domu. Dziwny odgłos wyrwał Emmę z zadumy. Spojrzała na matkę siedzącą między nią a ojcem. Przestała grzebać widelcem w talerzu, przechyliła kieliszek i czerwone wino sączyło się cienkim strumykiem na dywan. Z oczu matki płynęły łzy. Emma patrzyła na czerwony strumyk przez dłuższą chwilę, niezdolna cokolwiek powiedzieć.

- Mamo! - syknęła.

- Boję się, Emmo - chlipnęła. - Boję się. Nie wiem, co się z mną dzieje. Nic już nie wiem. - W oczach matki czaiło się przerażenie.

Matka poruszyła ręką i czerwony strumień popłynął na sukienkę, ścielił się na kwiecistym jedwabiu szkarłatną plamą. Jak krew, zauważyła Emma.

- Mamo - starała się wyjąć jej kieliszek z dłoni, ale Anne-Marie trzymała mocno i wino popłynęło na podłogę i sukienkę Emmy. Przykucnęła przy krześle, objęła matkę serdecznie.

- Już dobrze, mammo - szepnęła, - Ja tu jestem, tata też.

- Ale czasami cię nie ma, a ja słyszę głosy i niczego nie pamiętam - szlochała matka.

Emma starała się ją utulić. Na darmo. Czemu ojciec nic nie robi?

- Tato - szepnęła. - Spójrz na mamę. Zrób coś. - Była bezradna. Jimmy także. Zamarł, widząc zapłakaną żonę.

- Pomocy, pomocy! - Anne-Marie zaczęła krzyczeć na całe gardło.

Pete szedł z kuchni z kieliszkami, z bardzo zdziwioną miną. Szedł i szedł, trwało to nieprawdopodobnie długo.

Emma miała wrażenie, że wszystko dokoła rozgrywa się jak na zwolnionym filmie. Ojciec powoli unosi brwi, ludzie leniwie odwracają głowy w ich strony, otwierają usta w ślimaczym tempie.

- Mamo - szeptała - nie denerwuj się. Pomożemy ci, obiecuję.

- Nieprawda, nieprawda! Wszyscy jesteście przeciwko mnie. - Matka gwałtownie zerwała się z miejsca.

- Nie! - wrzasnęła na cały głos, tak że słyszeli ją wszyscy w całym domu, zagłuszyła nawet radosne kolędy. - Nie, nie, nie! - Miotła się, ciskała talerze i szklanki na podłogę. - Jak możesz tak mówić? Co chcesz mi zrobić? - wrzeszczała. - Nie rozumiesz, słyszysz? Nie rozumiesz! Nie pójdę tam, nie, nie, nie!

Pete odstawił kieliszki i starał się, razem z Emmą, uspokoić teściową.

- Mamo, już dobrze. Jesteśmy tutaj, nikt nie chce cię nigdzie wyśłać.

- Chcecie! - zawodziła. - Chcecie! Wszyscy tego chcecie!

- Anne-Marie, spokojnie - łagodził Pete. ~ Zajmiemy się tobą.

Jego spokojny głos na nią podziałał. Przestała się wyrwać i ciężko opadła na krzesło. Pete i Emma kucnęli po obu stronach.

- Mamo to ja, Emma. - Starła się opanować drzenie głosu, choć przychodziło jej to z trudem, bo cała się trzęsła. - Tato, pomóż nam.

Słyszając głos Emmy, Jimmy oprzytomniał; do tej pory był jak w transie.

- Tak.

Odsunął Pete'a i objął żonę.

- Anne-Marie, kochanie, jestem przy tobie. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Wtuliła się w niego, jasne włosy rozsypały się w nieładzie.

- Zabierzmy ją do domu - zdecydował Jimmy, czule tuląc drobne ciało żony.

Kirsten uparła się, że zostanie z gośćmi, ale Patrick odwiózł Jimmy'ego i Anne-Marie swoim bmw. Pete i Emma jechali z nimi.

- Musimy wezwać lekarza. - Emma ciągle dygotała.

- Koniecznie.

Lecz Jimmy był innego zdania.

- Żadnego lekarza! - wrzasnęła. — Nic jej nie jest, była zmęczona i tyle.

Emma pomagała matce się rozebrać.

Pete i Patrick spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

- Przykro mi, Jimmy - odezwał się Pete. - Jesteś przegłosowany. To coś więcej niż zmęczenie. Anne-Marie jest chora, może to coś poważnego. Dzwonię po lekarza. Miałbym wyrzuty sumienia, gdyby się okazało, że jest chora, a my nic nie zrobiliśmy.

Emma starała się usłyszeć, co się dzieje za drzwiami. Ojciec odezwał się cicho i bezradnie:

- Co będzie, jeśli zabiorą ją do szpitala? Co ja wtedy zrobię?

- Przepraszam, kochanie - Anne-Marie uśmiechnęła się do córki. Usiłowała zapiąć guziki bluzki. - Zdenerwowałam się, tak? Przepraszam. Nie wiem, co mnie napadło.

- Nie ma sprawy, mammo. - Emma pomogła jej zapiąć guziki. A matka, która dawniej wpadłaby w szal, że ktoś jej pomaga przy toalecie, odetchnęła z ulgą.

- Powiedz - zaczęła Emma - wspominając, że zapominasz wiele rzeczy. Jakich?

Matka zatrzepotała powiekami.

- Gdzie co jest. Niczego nie mogę znaleźć. I mam kłopoty z czytaniem. Muszę zamówić nowe okulary, te są za słabe. Widzisz - tłumaczyła poważnie - słowa są takie małe i skaczą, i płaczą się. Próbowalam czytać przez lupę ojca, ale to nie pomogło. Zabierzesz mnie do okulisty, Emmo?

Córka zagryzła usta, żeby się nie rozpłakać.

- Tak, mammo. Ale najpierw niech lekarz cię zbada.

Lekarz rodzinny, sędziwy dżentelmen o delikatnych dłoniach i ujmującym stylu bycia, przebadał Anne-Marie od stóp do głów, ale niczego nie znalazł. Matka Emmy gawędziła z nim przyjaźnie, jak zwykle, i wyraziła żal, że musiał się fatygować w Nowy Rok. Doprawdy, zięciowie przesadzają.

- Zdrowa jak rydz, moi drodzy - oznajmił, gdy wyszedł z sypialni.

- Wygląda na depresję - stwierdził później, po chwili namysłu. - Może dlatego wybuchła. Albo coś poważniejszego. Musimy przeprowadzić testy, żeby wykluczyć...

- Żadnych testów - Jimmy wpadł mu w słowo. - Jest zestresowana i tyle.

- To coś więcej - sprzeciwiła się Emma. Zignorowała mordercze spojrzenie ojca. - Mówi dziwne rzeczy, ciągle coś gubi, niedawno chciała otworzyć puszkę ubijaczką do piany. To drobiazgi, ale świadczą, że

coś jest nie tak. A teraz powiedziała mi, że nie może czytać. Myśli, że to wina okularów, ale to chyba co innego.

- Czy dzisiaj po raz pierwszy zachowała się dziwnie? - zainteresował się lekarz.

- Nie. Niedawno miała napad podczas zakupów - powiedziała Emma cicho. - W sklepie z materiałami. Krzyczała na mnie, chyba mnie nie poznawała. Nie mogłam jej uspokoić. Wołała tatę, choć go z nami nie było.

- Nie mówiłaś mi o tym - zauważył ojciec z wyrzutem.

- Mówię teraz - zachnęła się.

- Żona jest zmęczona i zestresowana. - Jimmy upierał się przy swoim. - Pamiętam, jak Kirsten była chora i Anne-Marie się denerwowała, brała takie tabletki i jej przeszło. Teraz też tak będzie.

- Proszę ją przyprowadzić do mnie do gabinetu w przyszłym tygodniu, porozmawiamy sobie - zaproponował lekarz. - Jeśli ma depresję, znajdziemy lekarstwo, ale muszę ją przebadać.

- Była zdenerwowana i tyle - powtarzał Jimmy. - Teraz jest już wszystko w porządku. Gdyby to było coś poważnego, nie można by z nią normalnie rozmawiać, prawda?

- Rzeczywiście. Poza tym jest jeszcze młoda, dopiero sześćdziesiąt lat. Cóż, Jimmy, nie podejrzewam niczego poważnego, ale musimy ją dokładnie zbadać.

- To stary dureń - syknął Pete, gdy Jimmy odprowadzał lekarza do drzwi. - Anne-Marie mogłaby mieć guza mózgu, i tak niczego by nie zauważył. Musimy ją zabrać do specjalisty.

- Nic jej nie będzie - orzekł Jimmy, zamykając drzwi za lekarzem.

Emma odesłała Pete'a i Patricka do domu. Nie miała ochoty zostać z ojcem, ale uznała, że musi tu być ze względu na matkę. Jimmy chyba nie wiedział, jak się nią zająć.

We trójkę oglądali telewizję, aż Anne-Marie powiedziała, że jest zmęczona i chce iść spać. Było dopiero wpół do dziewiątej.

Matka nie protestowała, gdy Emma zaprowadziła ją na górę i pomogła się przebrać w koszulę nocną. Przeciwnie, wydawała się zadowolona. Emma ułożyła ją w łóżku, otuliła kołdrą i przysiadła obok.

- Przykro mi, że tak się zdenerwowałeś - powiedziała cicho.

- Powiedzieliś, że muszę tam iść - mruknęła Anne-Marie sennie, ściskając ją za rękę.

- Nie mówiłam poważnie. - Emma uznała, że lepiej udawać, że wie, o co chodzi.

- Mów do mnie, Emmo - poprosiła matka. - Lubię twój głos.

Emma zaczęła cichy spokojny monolog o tym, co jutro zrobi i że na pewno przyjdzie ją odwiedzić. Jej głos uspokoił matkę, zasnęła, nadal kurczowo ściskając jej rękę.

Emma wspominała dzieciństwo. Dziwne, jak role się odwróciły; ilekroć dręczył ją koszmar senny, matka zjawiała się, zawsze w bawełnianej koszuli nocnej, z dłońmi pachnącymi kremem, siadała koło niej, gładziła rozpalone czoło i zapewniała, że upiory już nie wrócą.

Teraz ona przejęła tę rolę. Co za dziwne uczucie, opiekować się kimś po tylu miesiącach marzeń o dziecku, tylko że jej dzieckiem jest sześćdziesięcioletnia kobieta, jej własna matka, której umysł odmawia posłuszeństwa. Ale dlaczego? Czy będzie gorzej?

Szkoda, że nie ma nocnej lampki, która dodawałaby matce otuchy, gdyby przerażona obudziła się w środku nocy, nie wiedząc, gdzie się znajduje.

Pamiętała małą nocną lampkę, która pojawiła się w pokoju dziecięcym, gdy Kirsten była malutka. Może dlatego Kirsten nie miała koszmarów. Światło je przeganiało.

Matka oddychała głęboko. Emma wstała z łóżka i poskładała ubrania. Spojrzała na bałagan na nieskazitelnej dawniej toalecie. Już to świadczyło, że dzieje się coś złego; Anne-Marie zawsze bardzo dbała o dom. W jej mieszkaniu nie było kurzu czy brudu. Tymczasem na toalecie poniewierały się brudne waciki, chusteczki, talk wysypał się z puszki. Obiecała sobie, że wkrótce to sprzątnie.

Pod krzesłem leżała otwarta torebka matki. Zamiast uporządkowanej kolekcji szminki, puderniczki i chusteczki do nosa, Emma znalazła w niej bałagan i zwitek papierowych skrawków. Czytała je po kolei.

„Herbata w niebieskiej puszcze”, „Okulary na stoliku. Nie zapomnij!”. Na innej widniał numer do Emmy. Dwie cyfry były przekreślone i wpisane ponownie, jakby matka nie mogła go sobie przypomnieć; dopiero za trzecim razem jej się udało.

Powoli czytała każdą smutną wiadomość od Anne-Marie do siebie samej. Pisała, gdzie jest mleko i kiedy ma przyjść człowiek do mycia okien. Najgorsza była karteczka z nazwiskiem i adresem, jakby matka obawiała się, że się zgubi i nie trafi do domu.

Emma wytarła oczy chusteczką z toaletki.

Na dnie torebki znalazła guziki, mnóstwo guzików. Naliczyła piętnaście, od drobnych, z macicy perłowej, po ciężkie, masywne, jakby od płaszcza Jimmy'ego. Niech Bóg ma ją w opiece, pomyślała załamana. Zbiera guziki. Może myśli, że to monety.

- Zasnęła? - Ojciec stanął w drzwiach sypialni.

Emma skinęła głową. Nie była w stanie z nim rozmawiać, nie teraz. Bardzo ją zdenerwował. Dziś postąpił jak zwykle: zignorował zdanie innych i upierał się, że on ma rację. Anne-Marie jest poważnie chora, ale ojciec, jak zwykle, nie uznawał innego punktu widzenia niż swój.

Więc niech dzisiaj sam spojrzy prawdzie w oczy. Emma nie zostanie ani chwili dłużej, nie pomoże mu lekceważyć faktu, że matka jest chora. Zebrała swoje rzeczy. Pójdzie do domu na piechotę, to niedaleko.

Telefon zadzwonił o szóstej trzydzieści następnego ranka. Emma sięgnęła po słuchawkę.

- Halo? - mruknęła zaspana. Obok niej Pete naciągnął kołdrę na głowę, żeby nie słyszeć hałasów.

- Emmo, tu ojciec - usłyszała w słuchawce. - Przyjdź. Nie daję sobie rady.

Rozdział 20

Nie ma to jak satysfakcja z dobrze wykonanej pracy, stwierdziła Hanna i zadzwoniła do biura z wiadomością, że wreszcie sprzedała dom przy Weldon Drive 26. Nie umywa się do tego ani pierwszy drink po długim tygodniu pracy, ani fantastyczny seks, po prostu nic. Cóż, uśmiechnęła się pod nosem, nie można powiedzieć, żeby ostatnio trafiał jej się fantastyczny seks. Od miesiąca nic. Od miesiąca i dwóch dni, dokładnie mówiąc.

Celibat ma swoje dobre strony, stwierdziła. Nie musisz się męczyć w niewygodnych stringach, żeby wyglądać seksownie i kusząco. Nie martwisz się, czy linia bikini to gładka skóra czy raczej wspomnienie hipisa z trwałą. Kiedy jesteś sama, nikt cię nie ogląda poza kobietami pod prysznicem na siłowni, więc po co sobie zawracać głowę?

Zawsze twierdziła, że po linii bikini można określić, czy kobieta jest obecnie zakochana czy nie. Kobieta starannie wywoskowana nie widzi świata poza swoim mężczyzną, jak szalona depiluje, farbuje, maluje i złuszcza co się da w nadziei, że ukochany uzna ją za ideał. Kobiety bardziej owłosione niż Denis Roussos są albo samotne, albo tkwią w długotrwałych związkach i osiągnęły taki stopień intymności, że nie zwracają sobie głowy bolesnymi zabiegami.

To już jednak przesada, stwierdziła Hanna. Nie ma usprawiedliwienia dla niechlujstwa. To, że Feliks nie czyha na nią jak napalony królik, nie znaczy, że ma się zaniedbać.

Zamknęła drzwi domu przy Weldon Drive 26 i z podziwem spoglądała na ogród; pyszniły się w nim krokusy we wszystkich możliwych kolorach. Poprzednia właścicielka kochała ogród, to pewne. Szkoda, że z równym zaangażowaniem nie zajęła się wnętrzem domu, wtedy udałooby się go sprzedać o wiele szybciej, nie po czterech miesiącach.

Był na rynku *od* listopada i dopiero teraz, na początku lutego, znalazł się nabywca. Agencja zdążyła już pożalować, że podjęła się sprzedaży tej nieruchomości. Nieważne, ile kawy było w szafkach, ile bochenków świeżego chleba układali w kuchni, ile bukietów lilii stało na stole, i tak dominującym zapachem był smród niepranych ubrań i niewykastrowanego kocura.

Był to jeden z pięciu domów w portfolio Hanny. Bardziej doświadczeni agenci mieli w ofercie nawet i trzy razy więcej nieruchomości, ona jednak dopiero zaczynała karierę agentki.

Była zachwycona nową pracą. Odpowiadała jej wolność i niezależność, lubiła spotkania z klientami. W innych okolicznościach musiałaby przez co najmniej rok pracować w dziale obsługi klienta, lecz David wierzył, że jej się uda.

Zapisała się na zaoczny kurs dla agentów nieruchomości i obiecała sobie, że zda wszystkie egzaminy w pierwszym terminie. Donna służyła nieocenioną pomocą, udzielała rad, tłumaczyła, jak sobie radzić w trudnych sytuacjach, na przykład, gdy pokazuje dom mężczyźnie. (Stój blisko drzwi. Co prawda mamy pilnować, żeby niczego nie ukradli, ale twoje bezpieczeństwo jest o wiele cenniejsze niż drobiazg, który mogą zwinąć).

Musi się jeszcze tyle nauczyć o negocjacjach, jak sobie radzić z trudnymi klientami, poznać prawne aspekty obrotu nieruchomościami.

- Większość ludzi nie posiada się z wdzięczności, gdy uda ci się sprzedać ich dom - opowiadała Donna - To ogromna zaleta tej pracy. Ale niektórzy są wiecznie niezadowoleni i musisz się nauczyć, jak sobie z nimi radzić.

Donna uśmiechnęła się lekko. Miała w zanadru mnóstwo zabawnych historyjek po latach pracy w zawodzie. Na przykład o pijanym kliencie, który ją podrywał, albo o mokrym psie, który nie wiadomo skąd wziął się w domu.

- Pożarł mi wszystkie herbatniki, zanim go wywabiłam do ogrodu - śmiała się. - Lada moment przyjadą kupcy, a po domu lata wielkie mokre bydlę, wskakuje na łóżka i wszędzie zostawia ślady!

Kiedyś nawet zdarzyło jej się nakryć parę kochanków na stole w jadalni.

- Kobieta była właścicielką, ale facet nie był jej mężem - wspominała. - Zagryzałam usta, żeby się nie śmiać. Było im strasznie wstyd.

Teraz i Hanna miała kilka anegdot. Jak na przykład tamten straszny dzień, gdy zgubiła klucze do domu. Wszędzie szukała i nie znalazła.

David uśmiechnął się, gdy to usłyszał. Myślała, że będzie zły.

- Nie możesz się uważać za prawdziwego agenta nieruchomości, jeśli nie zgubiłaś choć jednych kluczy - powiedział rozbawiony. - Obiecay klientom, że zmienimy zamki na nasz koszt.

Sygnal telefonu komórkowego zakłócił błogą ciszę podmiejskiej uliczki.

- Hanno, pilna wiadomość dla ciebie - odezwała się Sasha, która zajęła jej dawne stanowisko, gdy Hanna została agentem. - Pani Taylor z Blackfriars Lodge w Glenageary właśnie dzwoniła. Jest w panice. Jej córka ma odrę, nie może jej zabrać z domu. Pyta, czy dasz radę pokazać dom nabywcom, nie wpuszczając ich do jednego pokoju. Wiem - Sasha uprzedziła jej komentarz. - To szaleństwo. Ale prosiła, żebym *cią* zapytała.

- Nie zdaje sobie sprawy, że klienci będą chcieli zajrzeć nawet w mi-
siał dziurę? - roześmiała się. - Nie martw się, zadzwonię do niej.

Przekonała panią Taylor, że nie ma powodu do niepokoju, po prostu przełoży spotkanie z klientami, i zadzwoniła do Leonie, żeby potwierdzić dzisiejszy lunch. Hanna wybierała się obejrzeć dom w Enniskerry w Wicklow, więc już wcześniej umówiła się z Leonie na szybki lunch.

- Dasz radę? - zapytała po długim czekaniu. W tle psy wyły rozpaczliwie.

- Tak - chlipnęła Leonie.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Hanna. - Znowu Abby?

- Przed chwilą ugryzła mnie świnka morska.

Hanna nie zdołała powstrzymać się od śmiechu.

- To wszystko?

- Wiesz, skarbie, powinnaś kiedyś tego doświadczyć - odcięła się Leonie. - Mają zęby jak igiełki. A teraz wyje jak włoski tenor - można by pomyśleć, że to jego ugryziono! Rozkoszne futerkowe stworzonko, akurat! Nie uwierzysz, jak się nazywa: Kiciuś! Czego to ludzie nie wymyślą. Powinni go ochrzcić Pavarotti, tak wyje. Albo lepiej Drakula.

- Czy dojdiesz do siebie na tyle, żeby się ze mną spotkać za pół godziny i zjeść kanapkę na lunch? - Hanna przeszła do rzeczy.

- Pod warunkiem, że dostanę też sernik - targowała się Leonie. - Dzisiaj świętuję.

- A co?

- Dowiesz się, kiedy postawisz mi sernik.

- Kawę na ławę, pani Delaney. - Hanna postawiła tacę na stoliku w kącie zatłoczonego pubu. - Co świętujesz? Jeśli to mężczyzna, nie chcę o tym słyszeć. My, biedne stare panny, nie lubimy opowieści o udanym życiu erotycznym innych ludzi.

Leonie parsknęła śmiechem.

- To trochę za szybko jak dla mnie - odparła. - Zwłaszcza że jeszcze nie widziałam go na oczy.

- Więc jednak mężczyzna! - Hanna triumfowała. - Wiedziałam! Jesteś niepoprawna! Wiesz, Leonie, rozpromieniasz się tylko na myśl o facetach.

- Być może wcale się nie rozpromienię po spotkaniu z nim - zauważyła Leonie trzeźwo. - To kolejny facet z ogłoszenia. Kilka dni temu zdobyłam się na odwagę i zadzwoniłam do niego. Wydaje się fantastyczny, taki wrażliwy, sympatyczny, mądry... - Skrzywiła się. - Znowu mnie ciarki przechodzą. Bob też był cudowny przez telefon, a pamiętasz, jaka kłeska? Może ten facet też jest okropny.

- Bzdura. Na pewno jest świetny. - Hanna wbiła zęby w kanapkę z tuńczykiem.

- Marzy mi się dwumetrowy złotowłosy Adonis z boskim ciałem i cudownymi dłońmi - rozmarzyła się Leonie. I zaraz ugryzła się w język. Nie ma co, może sobie pogratulować taktu. Przecież opisała wypisz, wymaluj, Feliksa biednej Hanny. Niedawno widziała go w telewizji. Jest boski. Boski i nieobecny.

- Przepraszam - mruknęła.

- Za co? - Hanna chyba się nie przejęła, dalej zajadała kanapkę z apetytem. - Za pół godziny mam spotkanie z klientami - wyjaśniła - dlatego tak szybko jem. Opowiadaj o tym facecie.

- Ma na imię Hugh.

- Cudownie - ucieszyła się Hanna. - Będziesz mogła śpiewać piosenkę Whitney Houston: „I will always love Hugh”. Łapiesz? Hugh zamiast „You”?

- Dobrze, że zdecydowałaś się na pracę w agencji nieruchomości, a nie karierę w show biznesie jako komik - stwierdziła Leonie spokojnie. - Ale zbaczam z tematu. - Hugh - łypnęła groźnie na Hannę - pracuje w banku. Jest doradcą inwestycyjnym. W separacji.

- To dobrze.

- Jest starszy ode mnie. Ma bzika na punkcie psów. Ma trzy. Wabia się Ludlum, Harris i Wilbur, po pisarzach. Lubi powieści sensacyjne.

- I tego wszystkiego dowiedziałaś się przez telefon? Chyba lubi gadać.

- Owszem - Leonie się rozmarzyła. - Wyobrażasz sobie, co by było, gdybyśmy się pobrali? Na ślubie wszyscy byliby ciekawi, jak się poznałiśmy. Powiedziałabym wtedy, że zakochałam się w nim, kiedy wyratował Wilbura. Bo ktoś chciał utopić tego biednego szczeniaka, wsadził go do worka i wrzucił do kanału. Gdyby nie Hugh, Wilbur już by nie żył. - Sądząc po jej rozmarzonej minie, była myślami bardzo daleko stąd.

Rzeczywiście. Leonie już sobie wyobrażała ślub, na którym cztery psy przejęły rolę drухen (Penny) i družbów (Wilbur, Harris i Ludlum) w najlepszych niedzielnych kreacjach. Na stołach, zamiast pastelowych czekoladek, leżą w małych ślicznych saszetkach psie smakołyki...

Tym razem Hanna łypnęła groźnie.

- Leonie, nie myl miłości do zwierząt z miłością do właściciela! To nie to samo. I wiesz co? Nie od razu mów o ślubie. Faceci chyba nie lubią tego tematu tak bardzo jak kobiety.

Leonie dokończyła kanapkę i zabrała się za sernik ozdobiony górą bitej śmietany.

- Masz rację. Od ślubu Raya i Fliss mam obsesję na tym punkcie. Nic na to nie poradzę. Suknia od Calvina Kleina śni mi się po nocach. Ilekroć przechodzę koło salonu sukni ślubnych w centrum, zaglądam na wystawę, czy mają coś równie eleganckiego, na co mogłabym już wpłacić zadatek. Wiem, to szaleństwo. Mel mnie na tym przyłapała któregoś dnia i musiałam udawać, że sobie poprawiam kapelusz!

- Kiedy wielki dzień?

- W sobotę.

- To dobrze, przynajmniej wiesz, że naprawdę jest w separacji, a nie tylko udaje, żeby kogoś poderwać - stwierdziła Hanna bez zastanowienia.

Leonie spojrzała niepewnie.

- Niektórzy korzystają z ogłoszeń matrymonialnych, żeby się rozrwać, choć są w stałym związku - wyjaśniła Hanna, zła, że w ogóle poruszyła ten temat. - Ale randka w piątek czy sobotę to dobry znak.

- Nie wiem, czy cokolwiek jest dobrym znakiem - burknęła Leonie.

- Przepraszam, Leonie, naprawdę. Powoli zmieniam się w zgorzkniałą przeciwniczkę wszystkich mężczyzn. Właściwie powinnam zamknąć się w domu i zostać zagorzałą feministką. Hugh wydaje się miły i dobrze zrobiłaś, że do niego zadzwoniłaś. Zapytaj go, czy ma braci - zażartowała. - Nie, nie mówię poważnie! Nie mam ochoty spotykać się z nikim. Mężczyźni to same kłopoty.

- Ani słowa od Feliksa? - zapytała delikatnie Leonie.

- Ani słóweczka. Za to znalazłam w koszu na bieliznę bardzo ładną koszulkę Paula Smitha. Z satysfakcją porwałam ją na strzępy i używam

jako szmaty do podłogi - syknęła. - Już się z tym uporałam, Leonie. Feliks to najlepszy dowód, że nie powinnam się z nikim wiązać. To zbyt skomplikowane. Może powinnam być bardziej nowoczesna i mieć kochanka. Czytałam ostatnio o kobiecie, która pracuje, spotyka się z facetem raz w tygodniu i bardzo jej taki układ odpowiada. Brudne skarpetki pierze jego żona.

- Nie wytrzymałabyś tego - sprzeciwiła się Leonie. - Jesteś typem, który chce wszystko albo nic.

- Masz rację. A zatem nic - zdecydowała Hanna. - Koniec z mężczyznami. Na dobre.

Po południu zadzwonił telefon na jej biurku. Podniosła słuchawkę automatycznie, skupiona na wypełnianych dokumentach, i nagle zamarła. Wszędzie rozpoznałaby ten głos. Niski, miękki, rozbawiony, jakby uśmiechał się podczas rozmowy.

- Hanno, tak się cieszę, że cię słyszę.

Cisnęła słuchawkę z taką siłą, że Sasha, Steve i Donna podnieśli głowy, zdziwieni.

- Telefon się zepsuł i zaczął piszczeć - skłamała naprędce. Przecież nie powie im, że zadzwonił pieprzony Harry Spender! Przypomniał sobie o niej po osiemnastu miesiącach! On w tym czasie żeglował po choleralnej Amazonce i świetnie się bawił, a ona starała się poskładać swoje życie do kupy. Jak on śmie? Jak do cholery śmie do niej dzwonić?

Dokument, nad którym pracowała, znikł z monitora, jego miejsce zajął wygaszacz ekranu. Każdy miał zainstalowany inny. Na monitorze Hanny mały kociak uganiał się za kłębkami wełny. Zazwyczaj bawił ją ten widok, ale dzisiaj mocno uderzyła w klawisze. Telefon zadzwonił ponownie. Nie okazując po sobie, jak bardzo ją to zirykowało, podniosła słuchawkę i przytrzymała ją ramieniem, jak zawsze.

- Hanna Campbell, słucham - odezwała się po raz drugi w ciągu minuty, spokojna i profesjonalna jak zawsze.

To znowu on.

- Nie odkładaj słuchawki, Hanno - poprosił, już nie taki rozbawiony. Nic z tego, pomyślała, bez słowa przerywając połączenie.

- Chyba coś nie tak z moją linią- oznajmiła głośno.

Kiedy telefon zadzwonił po raz trzeci, byli to klienci, którym wcześniej pokazywała dom w Enniskerry.

Zadowolona, że to nie Harry, odetchnęła z ulgą. Zrozumiał, dzięki Bogu. Nie zadzwoni jeszcze raz. Zastanowiło ją, skąd wziął numer, ale

uświadomiła sobie, że ludzie uwielbiają plotki, a ktoś z ich wspólnych znajomych na pewno miał jej telefon do pracy. Dublin to małe miasto; nie sposób tu niczego ukryć.

Siedziała w biurze do szóstej, starała się nadgonić papierkowe zaległości. Interes kwitł, ich obroty wzrosły o trzysta procent; oznajmił David z dumą. To świetnie, ale oznaczało także, że dzień miał za mało godzin. Hanna popijała kawę, którą zrobiła jej Sasha, i pracowała. Nie mogła jednak przestać myśleć o Harrym. Złamał jej serce, odchodząc. Po dziesięciu wspólnych latach nie wyobrażała sobie, że tak się stanie. Musiał, żeby odnaleźć siebie, bo, jak powiedział, dusił się w ich związku. Wtedy wydawało się, że to koniec świata, ale czas leczy rany. Nie bez znaczenia okazały się przygody z Jeffem i Feliksem. Tyle tylko, że nie planowała się zakochać. Ani w Feliksie, ani w żadnym innym mężczyźnie. Powinna była to zrozumieć po Harrym. Cóż, dobrze, że rozumiała po Feliksie.

Cały czas wspominała wspólne lata z Harrym. Pamiętała, jak bardzo irytowało ją, że godzinami włóczy się po domu w szlafroku. Był strasznie nieporządny. Jeśli nie musiał iść do pracy, cały dzień siedział w piżamie i dzwonił do Hanny, żeby kupiła mleko/chleb/papierosy w drodze do domu. A ona to robiła, uświadomiła sobie ze wstydem. Była gorsza niż on, skoro mu na to pozwalała. Nigdy nie umył po sobie szklanki, nie opróżnił popielniczki, a ona rzadko zwracała mu uwagę. Hanno, ależ z ciebie idiotka.

Ach tak, jeszcze powieść. Wielkie dzieło Harry'ego. Opowiadał o niej od lat, jak to rzuci pracę, kiedy w końcu ją napisze, i jak zdobędzie wszystkie możliwe nagrody literackie. Pijany był jeszcze gorszy, twierdził, że pewnego dnia będzie sławny, sławny i obrzydliwie, nieprzyzwoicie bogaty. Tak jest, obrzydliwie bogaty i sławny. Pół minuty później pożyczał od niej dychę, żeby skoczyć do sklepu nocnego po papierosy i chipsy.

Donna nadal siedziała przy biurku, gdy Hanna w końcu wyłączyła swój komputer.

- Masz ochotę na drinka? - zapytała. Nagle poczuła, że musi z kimś pogadać o telefonie Harry'ego. Lubiła rozmawiać z Donna, bo ta nigdy nie osądzała ludzi, nie wyciągała pochopnych wniosków i nie plotkowała.

- Owszem - mruknęła. - Ale za godzinę muszę jechać po Tanie, a jeszcze nie skończyłam. Przykro mi.

- Nie ma sprawy. Zobaczymy się jutro. I tak zaczynam bardzo wcześnie, nie wiem, czemu w ogóle pomyślałam o knajpie. - Hanna uśmiechnęła się lekko. - Do jutra.

Nie zauważyła samochodu stojącego po drugiej stronie ulicy. Z całą pewnością nie przyszło jej do głowy, że może to być samochód Harry'ego.

Dawniej jeździł wiekowym, sfatygowanym fiatem, który bardziej nadał się na złom niż na ulicę. Ten wóz wyglądał jakby wyjechał prosto z salonu, nie było na nim ani odrobiny rdzy. Zdziwiła się więc, gdy wysiadł z niego Harry i zawołał ją po imieniu.

Gapiła się na niego, zastanawiała, czy to złudzenie, choć jednocześnie wiedziała, że nie. Milczała przez, jak jej się wydawało, wieczność, choć w rzeczywistości była to zaledwie minuta, i kombinowała, co by tu mądrego powiedzieć. W końcu oprzytomniała.

- Co ty tu robisz, do cholery? - krzyknęła.

- Chciałem się z tobą zobaczyć, Hanno. Musimy porozmawiać. - Harry powiedział to w taki sposób, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie - wracać do kobiety, którą półtora roku wcześniej rzucił, żeby odnaleźć siebie.

- Więc innie zobaczyłeś. A teraz odpieprz się - burknęła, idąc do swojego samochodu.

- Hanno, nie bądź taka. Nie możesz tak po prostu wyrzucić dziesięciu lat.

Zatrzymała się w pół kroku.

- To ja powinnam to powiedzieć, Harry. O ile mnie pamięć nie myli, to ty przekreśliłeś te dziesięć lat. A teraz proszę, wynoś się z mojego życia raz na zawsze, inaczej zawiadomię policję, że mnie prześladujesz, jasne?

Gotowała się z wściekłości, była jak wulkan przed wybuchem. Podeszła do swojej fiesty, otworzyła drzwi, cisnęła papiery do środka. Harry stał za nią. Wiedziała, że bezradnie zwiesił ręce; zawsze tak robił, kiedy ktoś go zbił z tropu. Ignorowała go, zdumiona własną wściekłością. Było tak, jakby Feliks i Harry złali się w jedno.

- Hanno - powtórzył, tym razem z wahaniem w głosie. - Proszę, porozmawiajmy, tylko tyle, nic więcej. Proszę. I przepraszam.

To „przepraszam” przechyliło szalę. Kiedy odchodził, ani razu jej nie przeprosił. Nie był nawet speszony, gdy beczelnie oznajmił jej, że musi się wyrwać. Nie prosił o wybaczenie. Nawet w listach koncentrował się na głupstwach, nie wspominał wspólnych lat, nie przepraszał, że wszystko zepsuł.

Rzuciła torebkę na siedzenie i spojrzała na niego.

- Przepraszasz? - powtórzyła spokojnie. - Teraz? Czy to trochę nie za późno? Myślałam, że czas na przeprosiny był wtedy, kiedy mnie rzuciłeś jak parę starych skarpet, a nie kiedy wracasz dwa lata później, szukając... - Przechyliła lekko głowę i obrzuciła go baczny spojrzeniem. - No właśnie, czego? Mieszkania? A może pożyczki? Bo na pewno czegoś chcesz, Harry.

Zraniła go.

- Masz o mnie bardzo złe zdanie, jeśli myślisz, że przyszedłem po pieniądze.

- A ty, oczywiście, nie dałeś mi najmniejszego powodu, żebym miała o tobie złe zdanie, prawda? - zachnęła się.

Pierwszy opuścił wzrok.

- Naprawdę mi przykro, Hanno, chociaż widzę, że mi nie wierzysz. Zdaję sobie sprawę, że już tego nie zmienię, ale chciałem tylko porozmawiać, wyjaśnić.

Nagle ogarnęło ją zmęczenie. Nie miała siły do dalszej walki. Dobrze, niech spróbuje wytłumaczyć coś, czego jej zdaniem wytłumaczyć nie sposób.

Nic go nie usprawiedliwia, postąpił podle. Ale przetrwała. Wysłała z tego obronną ręką i jak miała nadzieję, silniejsza. Skoro jednak musi jej wytłumaczyć, niech mu będzie.

- Spotkamy się w McCormack's za pół godziny - zdecydowała. - Wtedy porozmawiamy. Daję ci kwadrans, nie więcej.

Nie czekała na odpowiedź, wsiadła do samochodu i odjechała jak rajdowiec.

Nie miała nic do roboty przez najbliższe pół godziny, ale chciała побыć sama. Pojechała do pubu i siedziała w zaparkowanym samochodzie. Rozłożyła gazetę na kierownicy, ale była zbyt zmęczona, żeby czytać. Ilekroć próbowała skupić się na tekście, przed oczami stawała jej twarz Harry'ego. Kiedy go nagle zobaczyła, wiedziała, co powiedzieć. Była gotowa rozetrwać go na strzępy ze złości. Lecz teraz nic nie przychodziło jej do głowy. Co za szkoda, że nie nagrywała pijackich tyrad pod jego adresem, które wygłaszała późno w nocy po tym, jak ją rzucił. Wino rozwiązywało jej język i barwnym, dosadnym językiem tłumaczyła Harry'emu szczegółowo, co by z nim zrobiła i gdzie go teraz ma. Teraz wystarczyłoby wcisnąć guzik odtwarzania i Harry dowiedziałby się wszystkiego ze szczegółami. Na myśl, że słuchałby pijackiej przemowy z dyktafonu, uśmiechnęła się po raz pierwszy od kilku godzin. Dobrze wygląda, trzeba mu to przyznać. Nadal ma chłopięcy urok, ale przytył, a zmarszczki w kącikach oczu dodają mu charakteru. I jest pięknie opalony. Zawsze się ładnie opalał, a Hanna była piegowata jak indyjsze jajo.

Był też dobrze ubrany, nie, jak zwykle, w wiekowych spodniach i sfatygowanej bluzie, której nie przyjąłby nawet szanujący się sklep z używanymi ciuchami. Miał drelichy i kremowy sweter, zupełnie nie ten Harry, którego znała.

Cóż, stwierdziła z ponurym uśmiechem, ona także się zmieniała. Tego dnia włożyła świetnie skrojony kostium ze spódnicą do kolan, która odsłaniała zgrabne łydki w cieniutkich rajstopach. Pod żakietem miała tylko

stanik. A na nogach zabójczo wysokie, prowokacyjne szpilki. Zamiast skromnego koka, w który się chesała w czasach Harry'ego, nosiła włosy rozpuszczone. Zamieniła okulary na szkła kontaktowe. Jej usta lśniły uwodzicielsko dzięki truskawkowemu błyszczycowi.

Atrakcyjna powierzchowność kobiety sukcesu i wyczuwalna aura seksualności - oto nowa Hanna. Mężczyźni tracili głowy. Niech biedny Harry trochę pocierpi, stwierdziła, poprawiając usta błyszczyciem.

Kiedy zobaczyła jego nowy samochód, wysiadła szybko i wbiegła do środka. Usiadła w rogu. Udawała, że do tego stopnia pochłoneła ją lektura gazety, że nawet nie zauważyła Harry'ego, dopóki się nie odezwał.

- Och - podniosła głowę zdziwiona, jakby na śmierć zapomniała, że się z nim umówiła. - Dla mnie wodę mineralną z cytryną.

Wrócił z napojami i usiadł ciężko, jakby przytłaczały go wszystkie problemy tego świata.

- Dzięki - zaszczębiotała radośnie. Uznała, że nie ma siły na kłótnię z obelgami na pół sali. Lepiej zachować się jak mądra przyjaciółka udzielająca rad nastolatce, który wiecznie wpada w tarapaty.

- Świetnie wyglądasz, Hanno - zaczął.

- Mało brakowało, a wygarnęłaby mu, że zerwanie z ukochanym może zastąpić najlepszą dietę i gimnastykę.

- Dziękuję - odparła spokojnie. - Harry, nie mam dużo czasu. Czy możesz przejść do rzeczy?

- Masz randkę? - zapytał.

Zatrzepotała rękami, zanim odpowiedziała:

- To nie twoja sprawa, jasne?

- Dobrze, dobrze, tylko pytałem...

- Więc nie pytaj. Dlaczego tu jesteś? Myślałam, że nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

- Ja mam - stwierdził. - Chciałem cię przeprosić, Hanno. Dużo o tobie myślałem, o tym, jak nam było razem dobrze. Mam wrażenie - zawałał się - że to jeszcze nieskończone. Że nie powinniśmy byli się rozstać, rozumiesz, o co mi chodzi?

- Nie.

- Niemożliwe. Przecież sama powiedziałaś, że do siebie pasujemy.

- Harry, bądź łaskaw sobie przypomnieć, że powiedziałam to, kiedy ty wybierałeś płyty, które bałeś się zostawić w mieszkaniu. Ja powiedziałam, że do siebie pasujemy, a ty rozglądałeś się za co cenniejszymi przedmiotami, które mogłabym zniszczyć w napadzie szału, że mnie rzuciłeś. Od tego czasu dużo się zmieniło. - Harry miał taką minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale Hanna nie dopuściła go do słowa. - Miałeś półtora

roku przygód i czasami pewnie myślałeś o dziewczynie, którą zostawiłeś - stwierdziła ironicznie. - Bo to ty mnie zostawiłeś. Ty dokonałeś wyboru, nie ja, dla mnie to był wielki szok. Cholerny szok. Uporałam się z nim, uporałam się z tobą, uporałam się z własnym życiem. Więc dlaczego sądzisz, że cię powitam z otwartymi ramionami? Naprawdę myślałeś, że się ucieszę na twój widok, że jestem aż taka głupia?

Złapał ją za rękę.

- Nie, nie jesteś głupia.

Wyrwała mu się gwałtownie.

- Nie dotykaj mnie - syknęła.

Para przy sąsiednim stoliku spojrzała na nich ciekawie. Harry uśmiechnął się przeproszająco. Hanna z trudem się powstrzymała, by nie uderzyć go w twarz.

- Czy chcesz mnie przekonać, że znowu mamy być razem? - zapytała prosto z mostu.

- Nie. Tak. W pewnym sensie. Chciałbym, żebyśmy byli przyjaciółmi - tłumaczył mętnie.

- Mam dosyć przyjaciół - stwierdziła. - Nie potrzebuję więcej.

Miała właśnie wylać mu nietkniętą wodę na głowę, gdy jakiś wewnętrzny głos kazał jej podnieść wzrok. Zobaczyła Feliksa.

Ktoś jej podstępnie zaaplikował środki halucynogenne, pomyślała. To jedyne sensowne wytłumaczenie. Jeden był chłopak to wystarczający pech, ale dwaj...

- Cześć, Hanno - mruknął Feliks, patrząc na Harry'ego z niechęcią.

- Liczyłem, że cię tu znajdę. Nie było cię w domu, kiedy dzwoniłem.

- Cześć, Feliks - odparła spokojnie, jakby przez ostatni miesiąc nie wypłakiwała sobie za nim oczu, nie głowiła się, gdzie się podział, i nie rozważała, czy nie kupić sobie poradnika dla kobiet, które uparcie zakochują się w draniach.

Rozejrzała się dokoła, jakby się spodziewała, że lada chwila zza węgła wyskoczy gospodarz *Ukrytej kamery*. Tyle zbiegów okoliczności musi mieć jakieś logiczne wytłumaczenie.

- Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadzam. - Feliks usiadł koło Hanny. Widać było, że nic go nie obchodzi czy przeszkadza. Właściwie rad byłby przeszkodzić, stwierdziła, jeśli jego chłodny uśmiezek cokolwiek znaczy.

- Co cię tu sprowadza? - zapytała. - Nie wiedziałam, że wróciłeś do Irlandii.

- Nie przedstawisz mnie swojemu przyjacielowi? - zdziwił się, kładąc szczególny akcent na słowo „przyjacielowi”.

Hanna zazgrzytała zębami.

- Harry Spender, Feliks Andretti.

- Skąd się znacie? - zainteresował się Harry. Patrzył na Feliksa takim wzrokiem, jakby Hanna była jego córką, a Feliks wyjątkowo nieodpowiednim kandydatem na narzeczonego.

- Spotykaliśmy się - wyjaśniła łaskawie. - Ale to już koniec.

- Aha - Harry był zadowolony. Znowu wziął Hannę za rękę.

Odsunęła się i poczuła przy sobie silne udo Feliksa. Patrzył na nią rozpalonym wzrokiem. Gdyby za takie spojrzenia płacili, byłby miliarderem.

- Dawno zerwaliście? - dociekał Harry.

- Nie zerwaliśmy - burknął Feliks.

Hanna uniosła brew. Proszę, proszę, klęska urodzaju. Niedawno nie miała żadnego faceta. Teraz ma dwóch gotowych o nią walczyć, jak średniowieczni rycerze o damę swego serca. Cóż, ma dla nich złe wieści: dama się nie zgadza. Ma powyżej uszu obu rycerzy. Niech się wypchają.

- Dosyć pogaduszek, chłopcy. Umówiłam się i muszę iść. Miło było cię zobaczyć, Harry. Ciebie też, Feliks. - Uśmiechnęła się szeroko i wstała.

Obaj byli zdumieni, choć na twarzy Feliksa zdziwienie walczyło ze złością.

- Nie możesz odejść - stwierdził, odrzucając włosy do tyłu. Jego firmowy gest.

Mały chochlik, który rozpałał w Hannie gniew, z całej siły dmuchnął w palenisko. Poczuła, że płomyki zamieniają się w buzujący ogień.

Myślała, że zirykowało ją spotkanie z Harrym, ale to nic w porównaniu z tym, co poczuła na widok Feliksa. Miesiąc bez słowa. Harry przynajmniej ją rzucił, Feliks po prostu znikł. Wydzwaniała zalana łzami na komórkę, ale za każdym razem słyszała, że abonent jest niedostępny. I oto zjawia się tutaj i zachowuje jak gdyby nigdy nic.

- Masz randkę? - zainteresował się Feliks, jakby miał coś przeciwko temu.

Wulkan wybuchł.

Hanna zwróciła się do niego. Jeśli oczy są oknami duszy, chyba dostrzegł płomień piekielny.

- To nie twoja sprawa - syknęła. - Nie waż się o tym zapomnieć. Do widzenia.

Wybiegła. Niech tylko któryś spróbuje za nią pójść. Zamorduje go gołymi rękami.

Gniew opadł, zanim dojechała do domu. Kiedy wkładała klucz do zamka, uśmiechała się na myśl, jakie to wszystko szalone. Jedno jest pewne: jej faceci są jak bumerangi. Choć sami tego nie chcą, ciągle wracają.

Za godzinę pojawił się Feliks. Przez dziesięć minut dzwonił do drzwi. Wystawiła głowę przez okno i kazała mu się odczepić. Wtedy zaczął metodycznie dzwonić do wszystkich sąsiadów. W końcu zbiegła na dół i wpuściła go.

- Czego tu szukasz? - zapytała, gdy szedł za nią na górę. Przez moment ucieszyła się, że jeszcze się nie przebrała i demonstruje mu smukłe łydki i biodra.

- Chciałem się z tobą zobaczyć, Hanno. Musimy porozmawiać.

Deja vu czy co? Przemknęło jej przez głowę. Harry powiedział dokładnie to samo.

- Czy to Międzynarodowy Dzień Byłego Faceta? - zapytała. - Było coś w gazetach? Nie, nie mów mi. Utkwiłeś w wehikule czasu i dopiero co wróciłeś do terażniejszości, tak?

- Byłem głupcem, Hanno - mruknął. O ile Harry tłumaczył swoje zniknięcie werbalnie, Feliks sięgnął po zupełnie inne środki. Objął ją i pocałował. Jego usta parzyły. Poczuła, jak jej żołądek fika koziołka z czystego, zwierzęcego pożądania. Feliks świetnie całował. Gdyby kiedykolwiek rzucił aktorstwo, zarobiłby fortunę jako żigolak.

Na chwilę poddała się pocałunkom, wtuliła w niego, rozkoszowała bliskością jego bioder. Po miesiącu bez niego czuła się jak ktoś, kto wędrował przez pustynię i trafił wreszcie na lodowato zimne źródło. Błądziła dłońmi po jego plecach, chciwie przyciągała go do siebie. I nagle przestała. Co ona wyprawia? Jeśli chce taniego seksu bez zobowiązań, może skoczyć do pubu i dać się poderwać pierwszemu lepszemu przystojniakowi, który dyskretnie zsuwa obrączkę z palca. Dlaczego akurat Feliks? Znowu mu zaufa, a on znowu odejdzie. Rzuci ją. Jak Harry.

Wyobraziła sobie, jako niej dyskutująco jej wyjściu z pubu. Głupia Hanna.

- Zrób do niej maślane oczy i je ci z ręki - puszy się Harry.

- Nie, nie. Hanna jest zmysłowa, lubi seks. Całuj ją i pieść, rzuci ci się w ramiona - Feliks uśmiecha się znacząco.

Odepchnęła go z całej siły.

- Hanno? - sapnął.

- Feliks, odszedłeś bez słowa. Nie wybaczę ci tego. Z nami koniec - dyszała ciężko, zarówno z pożądania, jak i ze złości.

- Wiem. Jestem taki słaby - zaczął. - I tchórzliwy. Wstydziłem się do ciebie zadzwonić po Bożym Narodzeniu, wiedziałem, że będziesz zła i nie mogłem... Jesteś taka silna, jesteś moją opoką. Potrzebuję cię.

- Co za bzdura! - syknęła. Nie wiedziała, na kogo jest bardziej zła: na niego, że bez ostrzeżenia wrócił do jej życia, czy na siebie, że uległa i całowała się jak szalona. - Wiedziałaś, że będę zła, miałam do tego prawo. Ale wybaczyłabym ci. Kochałam cię. Tydzień, dwa, w porządku. Ale cztery to trochę za dużo, Feliks. I to na Gwiazdkę! Czas radości, dobre sobie! Przykro mi. Wynos się. Chciałeś porozmawiać, więc porozmawialiśmy. Po to przyszedłeś, prawda? A teraz wynocha!

- Przyszedłem po ciebie. Jesteś moją opoką, Hanno - powtórzył. Brzmiało to strasznie kiczowato, jak z kiepskiego melodramatu.

- Kto ci pisze teksty? - rzuciła. - Nie stara się.

- Z tobajest mi najlepiej - zaczął.

- Tak? Lepiej niż z laskami, które posuwałeś, kiedy mnie rzuciłeś? - wybuchła. - Widziałam artykuł w „Hello” o tobie i twojej pięknej towarzysze na premierze horroru. Kleiła się do ciebie jak bardzo bliska znajoma. Albo ją posuwasz, albo to aktorka udająca twoją dziewczynę. A może córka kogoś ważnego i umawiasz się z nią dla kariery, choć to niewielkie poświęcenie, jeśli jest ślicznotką w ciuchach od Gucciego. Więc jak, pomogła w karierze?

Tamto zdjęcie bardzo zabolalo, widok Feliksa u boku ślicznej dwudziestolatki w skapej jedwabnej kreacji zapierał dech w piersiach. Feliks był, według gazety, gwiazdorem serialu *Bystanders*. Ślicznej blondynki nie przedstawiono, ale patrząc na nią, Hanna poczuła się stara i brzydka.

Nie miała kompleksów, ale wtedy wydała się sobie okropna. Nic dziwnego, że ją rzucił, skoro może mieć kogoś takiego.

- Nie sądzę, żebyś tamtej nocy za mną tęsknił.

Skruszony pochylił głowę,

- Wiem. Nie zasługuję na ciebie. Ale proszę - ciężko opadł na kanapę i ukrył twarz w dłoniach. - Nie każ mi odejść. Potrzebuję cię... Nie powiesz, że też za mną nie tęskniłaś. - Podniósł na nią błagalny wzrok.

Boże, jaki on przystojny, pomyślała zupełnie bez związku. Niemal nie sposób mu się oprzeć.

- Owszem, tęskniłam za tobą - odparła powoli. - Nawet nie wiesz, jak bardzo. I dlatego nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Nie jestem masochistką. Odejdź.

Dźwignął się z kanapy i posłał jej kolejne rozpaczliwe spojrzenie. Zaraz sobie pójdzie.

- Chcę ci jeszcze jedno powiedzieć - zaczął miękko. - Nie rozumiesz. Nie chciałem się w tobie zakochać. Nie planowałem, że kogoś pokocham. Nie chciałem kochać, chciałem się dobrze bawić, ale poznałem ciebie i wszystko się zmieniło. Kocham cię, Hanno. - Mówił cicho,

z dziwnie poważnym wyrazem twarzy. Rzeczywiście jest znudzony, nie udaje. - Zdaję sobie sprawę, że fakt, iż chciałem o tobie zapomnieć, nie stawia mnie w korzystnym świetle. Chciałem, żebyś była jak inne, żebyś mi się znudziła po miesiącu. Ale nic z tego. Kocham cię, wbrew sobie. Taka jest prawda. Chciałem, żebyś to rozumiała. Przepraszam, że cię zraniłem.

Hanna milczała, ze strachu, że się rozklei, jeśli spróbuje coś powiedzieć. Oby udało jej się zachować niewzruszoną minę, dopóki Feliks nie wyjdzie. Odszedł bez słowa, cicho zamknął za sobą drzwi. Poczekwała, aż trzasną drzwi wejściowe i dopiero wtedy się rozsypała.

Szlochała na głos. Do tej pory oszukiwała się. Nieprawda, że jej przeszło, nie przeszło ani troszeczkę. Nadal kocha go do szaleństwa. Pragnęła go, chciała go tulić, całować, kochać się z nim. Tak cudownie było w jego ramionach... Przeraziła ją świadomość, że już nigdy go nie obejmie, nie dotknie, nie poczuje jego oddechu na swojej skórze. Jakby umarł. Życie bez Feliksa? Płakała bezradnie sama w swoim mieszkaniu. Nikt jej nie kocha, nikt się o nią nie martwi. Nie mogła przestać. Szlochała, zdawało się, wiele godzin. Płakała na wspomnienie pięknych chwil razem i na myśl, że zostałyby z nią, gdyby na to pozwoliła. Nieważne, co zrobił, może sobie mieć dziesiątki kobiet, byle co jakiś czas do niej wracał. Odepchnęła go w przepływie szaleństwa i teraz za to płaci. Sama, sama na wieki.

W końcu przestała szlochać. Poszła do łazienki i niemal nie poznała obcej kobiety w lustrze: puste oczy, zacieki z tuszu na policzkach... wygląda na sto lat, nie na trzydzieści siedem. Nic dziwnego, że Feliks wybrał śliczną dwudziestolatkę. Chce radosnej, pogodnej dziewczyny, a nie kobiety z emocjonalnym bagażem zdolnym zatopić okręt. Automatycznie zmyła makijaż i umyła twarz flanelową szmatką. Tarła mocno, jakby chciała się ukarać. Potem zdjęła ubranie i włożyła stare sprane dżinsy i ogromny szary sweter. Boso poszła do kuchni. Kiedy przyszedł, szykowała akurat kolację - makaron z czosnkiem, tuńczykiem i cebulą. Zapach czosnku drażnił zmysły, ale nie była już głodna. Nigdy więcej nie spojrzy na jedzenie.

Wyrzuciła czosnek do śmieci, włożyła deskę do krojenia do zlewu. Posiłki dla jednej osoby, oto jak jej życie będzie od dzisiaj wyglądać. Już nie będzie pichcić dla dwojga. Nie żeby była w tym dobra, ale Feliks doceniał jej wysiłki.

- Nie mogę się nadziwić, co potrafisz wyczarować z makaronu i sosu ze słoika - żartował, gdy szalała w kuchni z otwieraczem do puszek.

Wszystko sprowadza się do Feliksa, westchnęła. Dlaczego się w nim zakochała? Dlaczego mu się nie oparła? Przecież wiedziała, że mężczyźni

są niebezpieczni. Zapomniała o swoich zasadach. Zakochała się po uszy. A teraz zostało jej tylko cierpienie. Coś się w jej życiu skończyło bezpowrotnie. To, co do *tej* pory ceniła, wydało się puste i nieważne - praca, mieszkanie, niezależność. Przy miłości bladły, traciły znaczenie. Miłość jest nieważna, twierdziła kiedyś. Miłość to stek bzdur, teraz to wie. Jedyłą osobą, która naprawdę mnie kocha, jestem ja. Nikomu innemu nie warto ufać. Ludzie tacy jak Leonie, którzy z uporem szukają miłości, to szaleńcy.

Leonie. Nagle przypomniała sobie uśmiechnięte błękitne oczy przyjaciółki. Tak, pojedzie do Leonie. Nie zniesie samotnego wieczoru. Bolała ją głowa, chciała, żeby ktoś ją pocieszył. Leonie wie chyba wszystko o złamanym sercu i o miłości. Hanna zerknęła na zegarek: za dziesięć dziewiąta. Dziwne, świat zawałił się jej na głowę, a minęły zaledwie dwie godziny.

Leonie już przez telefon była jak balsam na rany Hanny.

- Przyjeżdżaj i przenocuj u nas - zaproponowała. - Stąd pojedziesz rano do pracy. Będziemy mogły napić się wina. Jadłaś coś? - zainteresowała się, praktyczna jak zawsze.

- Nie mogłam - mruknęła Hanna.

- Za to teraz możesz. - Leonie była stanowcza. - Mam coś dla ciebie: zupę rybną. Ugotowałam ją dzisiaj na obiad i dużo zostało.

Hanna nie wyobrażała sobie, by zdołała przełknąć chociaż kęs. Alkohol to co innego. W drodze do Leonie pod wpływem impulsu zatrzymała się przed sklepem i kupiła trzy butelki wina. W domu przyjaciółki smaczkowity zapach jedzenia sprawił, że ślinka jej pociekła.

- Nie przypuszczałam, że cokolwiek zjem, ale bardzo apetycznie pachnie - ciekawie zajrzała do garnka, w którym bulgotała zupa. Sliczny złocisty pies ocierał się o jej nogi i domagał się pieszczot.

- Grzeczna psina - mruknęła do Penny, kucnęła koło niej i podrapała za uszami. Penny nie posiadała się z radości.

Mel, Abby i Danny weszli do kuchni się przywitać, ale Leonie wyrzuciła ich po kilku minutach.

- Wszyscy marudziliście, że chciałam oglądać *Bodyguarda*, a nie znosicie tego filmu. Teraz macie telewizor dla siebie, ale przychodzicie do kuchni! Sio!

- Chyba nie wypijecie tego wszystkiego? - Danny był zbulwersowany. Jego matka i Hanna osuszają trzy butelki wina we dwie? On z kumplami uporaliby się z taką ilością bez problemów, ale to jego matka, na mi-

łość boską. Na pewno gdzieś czytał, że kobiety nie mogą pić tyle co mężczyźni.

- Owszem - odparła z uśmiechem i zamknęła za nimi drzwi.

Kiedy w końcu zostały same, serdecznie uściskała Hannę.

- Nie płacz - ostrzegła. - Poczekaj, aż coś zjesz, wtedy zaczniemy pić i będziesz mogła się wypłakać.

Hanna posłusznie skinęła głową. Jak to miło, kiedy ktoś się o ciebie troszczy. Usiadła przy stole, a Leonie nałożyła jej sporą porcję zupy. Hanna posmarowała masłem miękką bułeczkę i wbiła w nią zęby. Penny siedziała u jej stóp z taką miną, jakby od bardzo dawna nie dostała nic do jedzenia i oddałaby wszystko za mały, malutki kawałek.

- Pyszne. - Hanna odłożyła łyżkę i odsunęła od siebie pusty talerz. - Chciałabym tak gotować. Feliks żartował, że powinnam napisać książkę kucharską „Smakołyki z puszki”.

Usta jej zdrzętały. Znowu Feliks. Prześladowuje ją. Rozpłakała się, a Leonie tymczasem sprzątnęła ze stołu, postawiła przed nią paczkę chusteczek i otworzyła wino.

- Opowiadaj — poprosiła, nalewając wina do kieliszków.

Mniej więcej w połowie drugiej butelki Leonie zaczęła jęczeć, że rano będzie miała kaca, a Hanna poczuła się o wiele lepiej. Dobre jedzenie, alkohol i obecność przyjaciółki pomogły bardziej, niż się spodziewała. Podobnie jak obecność uroczego psa. Penny chyba wyczuła, że Hanna ma złamane serce, i przez cały wieczór dzielnie siedziała u jej boku.

Kiedy Hanna opowiedziała już wszystko o Feliksie, Leonie mówiła o ślubie Raya i o tym jak niepokoiła ją bliskość córek i nowej macochy.

- Żałuj, że jej nie widziałas - westchnęła. - Fliss jest idealna. Mądra, szczupła, piękna. A wiesz, co jest najgorsze? Że jest miła, naprawdę miła. Gdyby okazała się wredną suką, łatwiej byłoby ją nienawidzić, ale jest sympatyczna, ciepła i troskliwa. Bliźniaczki za nią przepadają, Danny zrobiłby dla niej wszystko.

Hanna dołała Leonie wina.

- Nie powinnam - stwierdziła Leonie, upijając potężny haust. - Ona i Ray dzwonili trzy razy z podróży poślubnej. Co prawda wiem, że Ray kocha dzieci, ale wiem też, że nie zadzwoniłby trzy razy. To jej pomysł. Żeby dzieciaki nie pomyślały, że odbiera im ojca. Naprawdę jej na tym zależy. Chce, żeby przede wszystkim były częścią jego życia. - Niestety, wychyliła kieliszek do dna. - Jak mogłabym jej nienawidzić? I ciągle przysyła im prezenty. Dziewczynki dostały kurtki dżinsowe od Donny Karan, zapamiętała, że zachwycąły się jej kurtką. A Danny jakiś

gadżet z MP3. Do tego różne perfumy i zabawne głupstwa, jak brokatowy lakier do paznokci. Ja gotuję obiady, nie mam czasu na pamiętanie o takich drobiazgach - zakończyła pośpiesznie.

- Wszystko bardzo pięknie - skostatowała Hanna pijackim głosem.
- Ale to ty jesteś ich matką, Leonie. Nie obawiaj się. Nie zamienią cię na kurtkę znanej projektantki.

Leonie prychnęła pogardliwie.

- To nastolatki! Uciekną z domu z samym Kubą Rozpruwaczem, jeśli będzie miał na sobie fajne ciuchy.

- Ale przecież nie widują się z nią na tyle często, prawda?

- Kolejna sprawa - Leonie podsunęła kieliszek. - Chce, żeby dzieciaki jak najczęściej jeździły do Bostonu. Czy jestem egoistką, że mi się to nie podoba?

- Nie oceniał się zbyt surowo - poradziła Hanna. - To trudna sytuacja. Masz chipsy?

- Jestem taka zmęczona. - Hanna smętnie opuściła głowę po pierwszym kieliszku z trzeciej butelki, chociaż nalegała, żeby ją otworzyć. Dochodziło w pół do pierwszej. - Chyba pójdę spać. Daj mi jakiś koc, Leonie, ułożę się na kanapie.

- Nie ma mowy. Mam małżeńskie łóżce, prześpisz się koło mnie. Koledzy Danny'ego twierdzą, że na kanapie śpi się jak na desce nabitej gwoździami. Nie mam sumienia tam cię kłaść. Moje łóżko jest bardzo wygodne, o ile nie masz nic przeciwko...

- Nie wygłupiaj się - Hanna znowu miała łzy w oczach, tym razem wzruszyła ją dobroć Leonie. - Karmisz mnie, pocieszasz i jeszcze pozwalasz spać w swoim łóżku.

- ...O ile nie masz nic przeciwko temu, że w środku nocy skoczy na ciebie potwór - dokończyła Leonie. - Przez pół nocy Penny śpi na swoim posłaniu, ale potem robi się jej smutno i koło czwartej wskakuje do mnie. Jeśli będziesz grzeczna, rano zliże ci cały makijaż.

Roześmiały się obie. Penny zawtórowała radosnym szczekaniem.

- Chodźmy - Leonie zaprowadziła Hannę do swojego pokoju. - Rozgość się, ja tymczasem wypuszczę Penny na siusiu.

- Wyszłyście w końcu z kuchni? - Danny wsadził głowę do sypialni.
- Umieram z głodu, a nie chciałem przeszkadzać w libacji.

- Chyba ma tasiemca - rzuciła Leonie do Hanny. - Nie przychodzi mi do głowy inne wyjaśnienie, dlaczego je jak koń i jest chudy jak tyka.

- Wiesz, mam, jeśli ty masz tasiemca, to jest teraz zalany w trupa - zażartował Danny kilka minut później, gdy Leonie wróciła do kuchni i zastała go przy otwartej lodówce. - Trzy butelki!

- Ha, ha, ha - klepnęła go w pośladki. - Nie zapominaj, że nadal jestem tu szefem. Cofnę ci przywileje lodówkowe, jeśli nadal będziesz się nabijał z biednej starej matki, jasne?

- Jak słońce, kochana, cudowna, niepijająca matko - wybełkotał Danny z pełnymi ustami. - Twoje słowo jest dla mnie rozkazem.

Hanna obudziła się z koszmarnym bólem głowy. Wyczuła, że jest w obcym miejscu. Łóżko jakieś inne, zresztą chyba nie ma różowego prześcieradła? W tym momencie zobaczyła jeszcze jedną różową rzecz - długi psi język.

- Penny-powitała ją radośnie. Przypomniała sobie, gdzie jest i dlaczego. ~ Moja kochana. Przyjemnie jest być budzoną pocałunkami.

Penny rzuciła się na łóżko i czekała, aż Hanna ją pogłaszcze. Hanna połaskotała ją odruchowo. Łzy zakręciły jej się w oczach na myśl, że już nikt nigdy, no, może oprócz psa, nie obudzi jej pocałunkami. Głośno przełknęła ślinę. Nie, nie będzie więcej płakać. Penny wierciła się i mruzczała, co Hanna słusznie zinterpretowała jako: Jeszcze, głaszcz mnie jeszcze. Może powinna sprawić sobie psa. Miała wielką ochotę, ale to byłoby nie w porządku, zamykać biednego zwierzaka w domu na cały dzień. A może dwa? Razem nie będą się nudziły.

- Może cię porwę, Penny - zaproponowała, siadając.

Penny odpowiedziała głośnym mruknięciem i przewróciła się na grzbiet.

- To straszna pieszczoła - oznajmiła Leonie od drzwi. - Wystarczy, że pogłaszczesz ją po brzuchu, a już jest twoja. Przyniosłam kawę, grzanki i sok pomarańczowy. Danny smaży jajecznicę na bekonie, ale nie sądzę, żebyś miała na to ochotę.

- I masz rację. - Na myśl o tłustym bekonie żołądek podszedł Hannie do gardła. Ale grzanki i kawa to co innego. - Rozpuszczasz mnie, Leonie - stwierdziła. - Nie wiem, jak ci dziękować.

- Och, zamknij się - prychnęła Leonie. - Poczekaj, aż dostaniesz rachunek. Złaz z łóżka, Penny. Rozleje ci kawę przy pierwszym ruchu - wyjaśniła przyjaciółce. Niezadowolona suka zeszła z łóżka, a Leonie postawiła tacę na kolanach Hanny.

- Jest wpół do ósmej, pospiesz się, inaczej nie zdążysz na za piętnaście dziewiąta - uprzedziła. - Idę pod prysznic, muszę się doprowadzić do porządku. To twoja wina, Campbell, że mam kaca - burknęła. - Przez ciebie zużyję połowę kosmetyków, zanim upodobnię się do ludzi.

Hanna uśmiechnęła się pod nosem i łapczywie wypila sok pomarańczowy.

O ósmej czterdzieści pięć zaparkowała przed biurem. Była w o wiele lepszym humorze, niż można by się spodziewać. Rozbawiły ją dowcipne uwagi Leonie, nie mówiąc o porannych przepychankach, gdy trójka zwiariowanych nastolatków walczyła o wejście do łazienki. Mel i Danny kłócili się tak zabawnie, trudno się było nie śmiać. Więc nawet bez Feliksa życie toczy się dalej.

Głęboko zaczerpnęła tchu, chcąc wypełnić się pozytywną energią, jak uczył trener jogi. Wkroczyła do biura zdecydowana dzielnie przetrwać ten dzień.

Nie było łatwo. Gillian miała pretensję do Carrie, recepcjonistki.

- Doprawdy, przemilczałabym to, ale już drugi raz w tym tygodniu powiedziała przez telefon, że mnie nie ma, a przecież tylko wyszłam do toalety - zaliła się Gillian, ledwie Hanna weszła do biura. Na wszelki wypadek chciała, żeby jak najwięcej osób znało jej wersję wydarzeń.

- Co jej powiedziałaś? - Hanna powinna jej właściwie przypomnieć, że już nie zajmuje się łagodzeniem biurowych sporów, teraz to należy do Sashy. Nie miała jednak siły na kłótnię z Gillian.

- Żeby pilnowała swojego nosa, bo nie zagrzeje tu miejsca, jeśli nie widzi różnicy między pójściem do toalety a nieobecnością przy biurku.

Hanna starała się zrozumieć jej pokrętną logikę.

- No ale przecież nie było cię przy biurku, prawda? - mruknęła, już nie siląc się na neutralność. Czasami Gillian jest cholernie irytująca. - Więc Carrie postąpiła słusznie mówiąc, że cię nie ma. Chyba lepsze to niż tłumaczyć, że poszłaś do toalety.

Gillian uniosła się oburzeniem.

- Mogłam się spodziewać, że weźmiesz jej stronę! - syknęła. - To karygodne! Uwzięłaś się na mnie, odkąd tu przyszaś! Znam takie jak ty, Hanno Campbell. Jesteś zwykłą karierowiczką, prowincjuszka z zapa-
dłej dziury! Przejrzałam cię na wylot, wszyscy inni też pewnie wiedzą, jaka jesteś naprawdę!

Błąd, pomyślała Hanna lodowato. Gillian wybrała akurat ten jeden jedyny dzień, kiedy nie warto zadzierać z Hanną Campbell. Powoli, leni-
wie, jak lwica szykująca się od ataku, zbliżyła się do Gillian, aż dzielił je niecały metr. Wszyscy pracownicy słyszeli ostre słowa Gillian i teraz zastygli w oczekiwaniu.

- Właśnie przez takie nieprofesjonalne zachowanie zawsze omijały cię awanse, Gillian - zaczęła na tyle głośno, że wszyscy ją słyszeli. - Umyka twojej uwadze, że to twoja wina. Jesteś leniwa i wścibska, twoje motto to minimum wysiłku i maksimum zamieszania. Gdybyś poświęca-
ła na pracę choć w połowie tyle czasu co na pielęgnowanie uraz do więk-

szóści pracowników, może byłabyś coś warta dla tej firmy. Ale tego nie rozumiesz, prawda, Gillian? Widzisz wady innych, ale nie swoje. Skoro nie ma cię przy biurku, kiedy dzwoni telefon, Carrie postępuje słusznie, mówiąc, że cię nie ma. To nie są docinki osobiste, robi, co do niej należy. A kiedy ci to uświadomiłam, zaatakowałaś mnie, wiedząc, że wszyscy słuchają. Niezbyt to rozsądne, jeśli chcesz zachować tę pracę.

Gillian pobladła.

- Napiszę o tym notatkę dla pana Jamesa, choć bez wątpienia większość słyszał. - Hanna wskazała drzwi. David stał bez ruchu, z gazetą pod pachą i z bardzo ponurą miną.

Gillian zbladła jeszcze bardziej. Nie słyszała, kiedy wszedł.

- Na zakończenie chciałam powiedzieć, że jestem dumna z mojego pochodzenia, a jeśli ktoś uważa mnie za prowincjuszkę, proszę bardzo. Ja przynajmniej nie udaję kogoś, kim nie jestem, mówiąc z fałszywym akcentem. - Do tej pory zachowywała się profesjonalnie, ale była zbyt zmęczona i nieszczęśliwa, i nie powstrzymała się przed ciosem poniżej pasa. Jeśli Gillian chciała komuś zaimponować, starała się mówić z arystokratycznym akcentem.

- Hanno, zapraszam do mojego gabinetu - David James minął ją szybko. - Musimy omówić sprawy personalne.

Gillian kurczowo złapała się krzesła. Hanna poszła za Davidem i do biura wrócił normalny gwar.

- O co poszło, Hanno? - David usiadł za biurkiem i zadzwonił do Sashy, żeby podała kawę. - Nie, lepiej dwie - ty, Hanno, chyba też się napijesz.

Usiadła ciężko. Dobrze, że ma z szefem takie układy, że może powiedzieć prawdę.

- Gillian mnie nie znosi - zaczęła. - Była wściekła na Carrie i chciała, by wszyscy przyznali jej rację, więc opowiedziała mi całe zajście, ledwie stanęłam w drzwiach. Kiedy jej powiedziałam, że Carrie nie zrobiła nic złego, wpadła w szal.

- Słyszałem - mruknął sucho. — Rozumiem, Hanno. Martwi mnie co innego - co by było, gdyby w tym czasie przyszedł klient? Gillian jest głupia i leniwa, nie powinna była mówić takich rzeczy, ale ty nie powinnaś była dać się wciągnąć w pyskówkę przy wszystkich pracownikach. To nieprofesjonalne i - spojrzał na nią badawczo - zupełnie nie w twoim stylu.

Sasha wniosła dwie kawy. Po jej wyjściu Hanna szybko wypita swoją. Oby kofeina zaraz zadziałała,

- To nie jest wytłumaczenie, Davidzie, ale miałam wczoraj kłopoty osobiste i, ze wstydem przyznaję, to się dzisiaj odbija na moim zachowaniu. Zdaję sobie sprawę, że to żadne wytłumaczenie - powtórzyła.

- Czy mam ją zwolnić? - zapytał. - Zasłużyła na to, z pewnością. Pracuje marnie i zachowuje się, jakby to była jej własna firma.

- Nie - sprzeciwiła się Hanna. - Nie chcę mieć jej na sumieniu. Byłoby lepiej, gdyby przestała podejrzewać, że wszyscy ją wykorzystują i zabrała się do pracy. Wydaje jej się, że wszyscy spiskują przeciwko niej. I nie dostrzega własnych wad. Chyba wierzy, że byłaby właścicielką Microsoftu, gdyby inni nie rzucali jej kłód pod nogi.

- Więc dobrze, dostanie jeszcze jedną szansę - zdecydował David. - I zawdzięcza ją tobie, chociaż w to nie uwierz, nawet jeśli jej powiem. Liczę, że dopilnujesz, żeby w przyszłości nie dochodziło do podobnych scen w biurze, a jeśli coś się wydarzy, chcę o tym wiedzieć. To nie jest organizacja dobroczynna. Odkąd stary Dwyer przeszedł na emeryturę, Gillian pracuje u mnie. Jeśli nie może się dogadać z resztą personelu, musi odejść. Jasne?

- Jasne.

- Sasha zaraz ją zawoła. Jeśli... - zawahał się. - Jeśli mogę ci jakoś pomóc, Hanno, moje drzwi są zawsze otwarte.

- Dzięki. - Podniosła się.

- Mój stary kumpel Andretti wrócił do Dublina - zauważył powoli. Przyglądał się jej badawczo. - Znamy się od lat i bardzo go lubię ale, jak już powiedziałem, to straszny kobieciarz.

Hanna skrzywiła się. Nie chciała płakać, ale czuła, że łyzy są niebezpiecznie blisko.

- Przekonałam się o tym na własnej skórze - mruknęła.

- Uważaj. Nie chcę, żeby skrzywdził moją najzdolniejszą młodą agentkę - zażartował David.

- To już nieważne, David - odparła cicho. Zrozpaczona, nie uważała, co mówi. - Między nami wszystko skończone.

- Aha.

Czy naprawdę rozbłysły mu oczy, czy tylko się jej zdawało?

- Wiesz co? Może wyskoczmy na lunch? Żeby ci się poprawił humor? - zaproponował pogodnie.

Już miała odmówić, lecz w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Czemu nie? Bóg wie, kiedy znowu przystojny mężczyzna zaprosi ją na lunch, nawet jeśli to tylko szef i robi to z litości?

- Czemu nie? - zdobyła się na uśmiech.

Gillian posłała jej mordercze spojrzenie, gdy ją mijała, ale Hanna udała, że nic nie zauważyła.

Kiedy Gillian wyszła z gabinetu Davida dwadzieścia minut później, była dziwnie milcząca i czerwona jak burak. Hanna zerknęła na nią ką-

tem oka. Co ją obchodzi ta znerwicowana Gillian? Ma dosyć swoich problemów.

Gillian podeszła od niej.

- Pan James kazał mi przeprosić za to, co powiedziałam - powiedziała sztywno. - To było niewłaściwie i nigdy więcej się nie powtórzy, obiecuję.

Mówiła jak dziesięciolatka klepiąca nudny tekst z pamięci.

- Przeprosiny przyjęte, Gillian. Mam nadzieję, że się nie powtórzy. To za mała firma na osobiste urazy.

Wypełniwszy przykry obowiązek, Gillian odmaszerowała do swojego biurka. Hanna westchnęła głośno. Zrobiła sobie wroga na całe życie.

Prawie zapomniała o lunchu, gdy za kwadrans pierwsza David stanął przy jej biurku, bębniąc palcami o blat. Zauważyła, że spryskał się wodą kolońską.

- Masz lepsze plany na lunch? - zapytał z uśmiechem.

Podniosła głowę.

- Nie, nie, jeszcze tylko chwileczkę.

Poszli do małej knajpki za rogiem i zamówili zupę, kanapki i po lampce wina. David żartoczenie rzucił się na swoją kanapkę z kurczakiem. Był w połowie, kiedy Hanna spróbowała swojej.

- Umieram z głodu - wyjaśnił. - Nie miałem dzisiaj czasu na śniadanie.

Hanna oddała mu pół swojej kanapki.

- Proszę, nie jestem głodna.

- Mam nadzieję, że to nie przez Feliksa - rzucił lekko, patrząc jej w oczy.

Pierwsza opuściła głowę.

- Przepraszam, nie chciałem być wścibski - wycofał się. Nakrył jej dłoń swoją. Poczuła się lepiej, kiedy jej dotknął. Brakowało jej tego. Feliks, choć tak zmysłowy i namiętny, nie przepadał za drobnymi pieśczołkami w ciągu dnia. Dobrze jej zrobił dotyk dużej, ciepłej dłoni Davida. Niestety, nie trwało to długo. Odchrząknął, cornął dłoń, napił się wina.

- Czasami nie wiem, jak się zachować - mruknął. - Nie chciałem cię zdenerwować, naprawdę.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, kobieta przy sąsiednim stoliku pisnęła z zachwytem:

- David James!

Była mniej więcej w wieku Hanny, ale na tym podobieństwo się kończyło. Miała krótkie, modnie ostrzyżone ciemne włosy i ultramodne ciuchy,

na jakie Hannę chyba nigdy nie będzie stać. W spodniach z lycry, dziecięcej koszulce i dżinsowej kurtce wyglądała jak nastolatka.

- Roberta. - David szarmancko wstał z krzesła i wyciągnął rękę. Roberta nie przepadała za ściskaniem dłoni - rzuciła mu się na szyję. Hanna obserwowała całą scenę z zainteresowaniem.

- Tak mi się zdawało, że to ty, Davidzie! Cieszę się, że cię widzę - szczebiotała Roberta. - Jesteś okropny! Zaprosiłam cię na przyjęcie gwiazdkowe, a ty co? Nie przyszedłeś. Moje samotne przyjaciółki nie posiadały się z rozpaczy, obiecałam im fantastycznego wolnego mężczyznę, a ty nie przyszedłeś! Niegrzeczny!

Flirtowała z nim i Hanna ze zdumieniem stwierdziła, że to ją denerwuje. To nie tak, że nie uważa go za atrakcyjnego mężczyznę. Uważa. Niektóre kobiety lubią takich dużych, solidnych facetów ze zmarszczkami w kącikach oczu. Jest taki władczy.

Ale romans z nim - nigdy. Roberta była najwyraźniej innego zdania. Zalotnie kręciła ciemny kosmyk na palcu. Hanna denerwowała się coraz bardziej.

- Zastanawiamy się, czy znowu nie sprzedać - mruknęła Roberta. - Może zrobiłbyś wycenę...

Jeśli dom jest choć trochę podobny do ciebie, skarbie, to tandeta, pomyślała Hanna. Naprawdę, żeby tak się narzucać mężczyźnie. A gdyby była z nim związana, a ta nimfomanka zaczęła z nim tak bezwstydnie flirtować?

Davidowi w końcu udało się wyzwolić z wymanikiurowanych szponów Roberty. Usiadł naprzeciwko Hanny i komicznie przewrócił oczami.

- Jest nieco... męcząca - szepnął.

- Nie w twoim typie, co? - rzuciła Hanna od niechcienia. Ku swemu zdziwieniu z napięciem czekała na odpowiedź.

- Delikatnie mówiąc - skrzywił się. - Rok temu sprzedałem jej dom i od tej pory nie mogę się od niej uwolnić. Myślałem, że jeśli nie pojawię się na przyjęciu gwiazdkowym, zrozumie.

- Nie chciałeś poznać jej samotnych przyjaciółek? - dopytywała się ironicznie.

David podniósł głowę znad kanapki.

- Nie one mnie interesują - odparł, szczególnie akcentując słowo „one”. Ich oczy się spotkały. Szare spojrzenie było cieplejsze niż kiedykolwiek.

Nagle zrozumiała. David jest nią zainteresowany. To takie oczywiste! Dlaczego do tej pory niczego nie zauważyła? To dlatego nie obchodzą go

znajome Roberty. Chcąc ukryć zażenowanie i zmieszanie, zajęła się jedzeniem. Niestety. Zakrztusiła się zupą i zanosła gwałtownym kaszlem.

David uderzył ją w plecy.

- Lepiej?-zapytał.

- Tak - prychnęła, krztusząc się w serwetkę. Otarła łzy z oczu i zastanawiała się, co powiedzieć, żeby rozładować atmosferę. Nie musiała. Jakby wyczuł, że zaskoczył ją tym niedopowiedzianym wyznaniem, poprawił się na krześle i zabrał za kanapkę.

- Roberta miała piękny dom. Stary, wiktoriański. Władowali w niego kupę pieniędzy - stwierdził, jakby cały czas rozmawiali o interesach.

Hanna stawiała się mistrzynią w unikaniu drażliwych tematów. Nauczyła się tego, ilekroć ktoś pytał o Harry'ego, a ostatnio o Feliksa.

- Naprawdę?-zainteresowała się, jakby obchodziło ją, gdzie mieszkała okropna Roberta. - Za ile poszedł?

Rozmawiali o sprawach zawodowych jeszcze przez kwadrans, aż oznajmiła, że musi wracać do pracy.

- Ja też - mruknął David.

Przed wejściem do biura lekko dotknął jej ramienia.

- Umówmy się na lunch z prawdziwego zdarzenia - zaproponował. — Nie tylko kanapkę w pośpiechu.

- Zgoda. - Może za tydzień na tyle dojdzie do siebie, że wyjdzie z facetem, któremu się podoba. Na razie chciała tylko szlochać w poduszkę za tym, któremu się wyraźnie nie podobała.

Tego dnia Hanna wracała do domu zmęczona potężnym kacem, natłokiem zadań w pracy i naburmuszoną miną Gillian. Przez cały dzień starała się nie myśleć o Feliksie, ale to okazało się trudne. Tego popołudnia pokazywała parze klientów przytulny domek w Dalkey. Słuchała zachwytów nad ogródkiem i tarasem, i cały czas wracała myślami do Feliksa. Wyobraziła sobie, że mieszkają razem w tym domku. Byłby dla nich idealny: dwie sypialnie, mała jadalnia, duży salon.

Przestronny i stylowy, doskonale się nadawał na przyjęcia dla przyjaciół Feliksa i spokojne kolacje, na których spotykałoby się ich znajomi z różnych środowisk. Zachwycił ją wstążeczka kominek w sypialni. Jak to miło, rozpalić go i w zimowe wieczory patrzeć z ciepłego łóżka w tańczące płomienie...

Zaparkowała samochód przed swoim domem. Było zimno, nawet jak na styczeń, więc szczelniej otuliła się czerwonym wełnianym płaszczem i podeszła do furtki. I zamarła w pół kroku. Miała wrażenie, że ktoś przeniósł

do ogrodu całą kwaciarnię. Patrzyła na co najmniej piętnaście bukietów: ogromne białe lilie, czerwone róże... Pośrodku tego sztucznego ogrodu siedział Feliks i trząsł się z zimna w skórzanej kurtce i dżinsach.

- Nie chciałem iść do biura, więc czekałem tutaj - wyjaśnił, szcękając zębami.

- Biedactwo. - Podbiegła do niego. - Pewnie przemarzłeś do szpiku kości. To ty przyniosłeś te kwiaty?

Skinął głową.

- Chciałem ci pokazać, jak bardzo cię kocham, a wiem, że uwielbiasz kwiaty. Nie wiedziałem, na które się zdecydować, więc wziąłem wszystkie.

- Długo czekasz?

- Tylko pół godziny. Wiedziałem, że wkrótce przyjdiesz. Mogę wejść?

Rozgrzewał się kawą z whisky, a Hanna zносиła bukiety - dwadzieścia - do domu. Zarumieniła się, gdy sąsiad z dołu spytał żartobliwie:

- Czy nie łatwiej jest po prostu coś zasadzić zamiast upiększać ogród ciętymi kwiatami?

Kiedy wszystkie kwiaty znalazły się w mieszkaniu, głównie w wannie, bo nie miała wazonów na dwadzieścia bukietów, usiadła koło Feliksa na kanapie.

- Nie myślałam, że cię jeszcze zobaczę - zaczęła miękko. Trudno się złościć na kogoś, kto przyniósł dwadzieścia bukietów, zwłaszcza jeśli przez cały dzień się o nim myślało i tęskniło...

- Musiałem ci udowodnić, że mówiłem poważnie - stwierdził, biorąc ją za rękę i głęboko patrząc w oczy. - Tęskniłem za tobą... Potrzebuję cię, zrozum.

Głośno przełknęła ślinę. Tak bardzo się na nim zawiodła, tak okrutnie nadużył jej zaufania, że kwiaty tego nie naprawią, powinna powiedzieć, ale te słowa nie przeszły jej przez gardło. Nic na to nie poradzi; tak bardzo go kocha, że nie jest w stanie mu się oprzeć.

- Wiem - przygryzła dolną wargę. - Ja też za tobą tęskniłam, Feliks. I dlatego nie chcę, żebyś mnie znowu skrzywdził.

Skinął głową i pocałował ją. To było jak powrót do domu po latach nieobecności: cudowne, czułe, pełne miłości. Miał takie miękkie usta. Całował ją delikatnie, powoli, nie namiętnie i gwałtownie, jak dawniej. Kiedy w końcu się odsunął, siedziała z zamkniętymi oczami, nagle spokojna.

Wtedy poczuła coś zimnego na palcu. Otworzyła oczy i zobaczyła, że Feliks wsuwa jej na palec pierścienek z brylantem. Głośno zaczerpnęła tchu.

- Wyjdiesz za mnie, Hanno, prawda? - zapytał. - Powiedz, że tak. Spodziewała się wielu rzeczy, ale nie pierścionka zaręczynowego.

Gapiła się na niego bez słowa. Nigdy nie miała nic równie ładnego; nie stać jej było na brylanty.

- Piękny - szepnęła w końcu. Rzeczywiście, doskonale wyglądał na jej szczupłej dłoni.

- Więc jak? - niecierpliwiał się Feliks.

Rozpromieniła się, w piwnych oczach rozbłyły iskierki.

- Tak!

Tym razem pocałował ją namiętnie. Oderwała się od niego tylko po to, żeby powiedzieć, co *mu* robi, *jeśli* jeszcze raz od niej odejdzie.

- Nie pozwolę na to, rozumiesz? Nigdy więcej. Słyszysz? - powiedziała ostro.

- Tak, kochanie. - Gorączkowo rozpiął jej bluzkę, jego usta znały gorącym śladem jej dekolt.

- Mówię poważnie, Feliks. Jeśli jeszcze raz ode mnie odejdiesz, koniec z nami. Nieważne, jak bardzo cię kocham, nie pozwolę, żebyś mnie zniszczył.

- Nigdy, najdroższa - mruknął. - Przenigdy. Obiecuję. Przysięgam, że już nigdy cię nie skrzywdzę. Za bardzo cię kocham. Zaraz ci to udowodnię.

Później, zmęczeni miłością i syci - zamówili hinduskie jedzenie na wynos - leżeli w łóżku Hanny. Rozkoszowała się bliskością Feliksa. Za ledwie wczoraj mieszkanie wydawało się puste i smutne. Teraz stało się domem, pełnym życia i radości. Przytuliła się do niego. Coś takiego: za ręczyła się z Feliksem.

Nie mogła się doczekać, kiedy opowie dziewczynom. Na pewno się ucieszą. Oczywiście, jest jeszcze dużo spraw do ustalenia - na przykład gdzie zamieszkają. Wiedziała, że Feliks pracuje głównie w Anglii, ale ostatnio tyle się kręci w Irlandii, że na pewno zostaną tutaj. Przecież jeśli będzie musiał, może czasami dojeżdżać. Zresztą, teraz Irlandia to mekka muzyków i aktorów, Feliksowi będzie tu dobrze.

Przez moment zrobiło jej się żal Davida Jamesa. Jest sympatyczny, właściwie nawet przystojny. Łatwo byłoby się w nim zakochać, stanowił cudowną mieszankę odpowiedzialności i szaleństwa. Pan swego losu. I bardzo ją lubi. Ale nie może się równać z Feliksem, diablo przystojnym i namiętnym. Nikt nie może się równać z Feliksem, pomyślała rozmarzona. Z jej Feliksem.

Kwiaty były śliczne, pomyślała sennie. Udało jej się zapomnieć, jak bardzo ucieszyłby ją jeden skromny bukietek tydzień wcześniej, na urodziny.

Ale Feliks nie wiedział, wytłumaczyła sobie. Za rok będzie inaczej. Do-
stanie dwadzieścia bukietów na urodziny, była tego pewna.

Leonie odłożyła słuchawkę. Dzwoniła już piąty raz, ale Hanna nie odbierała telefonu. Oby tylko wszystko było w porządku. Wczoraj Hanna była zupełnie załamana, przez miłość cały świat się jej zawalił. A raczej przez brak miłości. Zazwyczaj to Hanna podtrzymywała przyjaciółki na duchu: pocieszała Emmę, roztrzęsioną po kolejnej przykrej scenie z ojcem, i przekonywała Leonie, że mężczyzna jej życia zjawi się lada dzień. Dlatego widok Hanny załamanej, cierpiącej z miłości był takim szokiem. Ciekawe czy mężczyźni cierpią tak samo. Pewnie nie. Nie marnują cennego czasu na rozważania, czy coś z nimi nie tak, bo nie mają przyjaciółki, nie martwią się, że rozmiar ich stóp odstrasza potencjalne wielbiciele. To ostatnie nie dawało Leonie spokoju odkąd wybrała się po zakupy i odkryła, że lekkie, zgrabne pantofelki nie istnieją w rozmiarze dziewiątym.

Do tej pory nie zwracała uwagi na swoje stopy. Jest wysoka, posagowa... duża, jednym słowem. A to oznacza, że ma duże stopy. Problem w tym, że do tej pory kupowała buty na płaskim obcasie, nie chciała się podwyższać.

Światowcy z Vail zmienili jej punkt widzenia. Małe i wysokie, anorektycznie chude albo grube jak beczki, wszystkie kobiety nosiły buty na obcasach. I tak Leonie zdecydowała, że i ona nie będzie się ukrywać w obszernych szatach i byle jakich półbutach. O nie. Od tej pory będzie kobietą elegancką, będzie farbowała włosy u fryzjera, a nie własnoręcznie, i nosiła pantofelki jak Kopciuszek na balu. Niestety, pantofelki a la Kopciuszek kończą się na rozmiarze siódmym. Zachwycała się także zabójczo wysokimi szpilkami, które wyglądały tak, jakby każdy krok groził skrzyśnięciem nogi- Niestety, powyżej siódemki nie było nic.

- Może szanowna pani zmierzy te? - sprzedawca podsunął jej płaskie sandały, tak toporne, że można by w nich śmiało zdobywać Everest.

Owszem, a do kompletu szanowna pani strzeli sobie ciepłe rajstopy, szlafroczek w kwiatki i balkonik do chodzenia, miała na końcu języka. Ma czterdzieści trzy, nie osiemdziesiąt trzy lata!

Wyszła ze sklepu, taszcząc kolejną parę półbucików bliźniaczo podobnych do innych par w jej garderobie: czarne, płaskie i za grosz niepodniecające. Były także trochę za ciasne, ale szybko się rozejdą.

Z westchnieniem wykreśliła numer Hanny. Znowu nic.

- Mamo, skończyłaś? Chcę zadzwonić do Susie! - wrzasnęła Mel.

- Tak.

Ciągle myślami przy Hannie, zabrała się za kolację. Kroiła właśnie kurczaka, gdy przyszedł Danny, wyraźnie zły. Leonie wywnioskowała to na podstawie awantury, która wybuchła, ledwie wszedł do salonu. Zazwyczaj on i Mel zachowywali się jak ludzie przez mniej więcej dziesięć minut.

- Nie możesz gadać przez telefon i jednocześnie oglądać telewizji! - wrzeszczała. - Chcę obejrzeć *Star Trek*, nie jakąś cholerną operę mydlaną!

- Odwal się, ty świnió! - syknęła Mel.

- Sama się odwal!

Oto skutki wydawania fortuny na prywatną edukację, pomyślała Leonie posępnie, w miarę jak przechodzili na coraz mniej wybredne epitety. Krzyknęła, żeby natychmiast przestali, chyba że chcą sami robić kolację.

Po chwili Danny wszedł do kuchni. Najwyraźniej przegrał walkę o pilota. Mel potrafi być twarda jak kamień.

- Co jest? - zapytała Leonie.

- Nic. - Nerwowo grzebał w szafce. Znalazł paczkę chipsów, ciężko opadł na krzesło i chrupał głośno.

Leonie milczała. Nawet jako malec, radośnie raczkujący po domu z samochodzikiem w garści, Danny najlepiej się czuł we własnym towarzystwie. Nie potrzebował nikogo, oprócz rodzinnego psa, wówczas staro kundla imieniem Otto. Kiedy syn podrośł, nade wszystko cenił prywatność. Kiedyś przez kilka dni się do niej nie odzywał, bo posprzątała w jego szafie. Miał wtedy dziesięć lat. Wiedziała z doświadczenia, że najlepszym sposobem na Danny'ego jest dać mu czas. Jeśli uzna, że musi coś z nią omówić, zrobi to.

Zrumieniła kurczaka na patelni, posiekała pieczarki i cebulkę. Penny zrezygnowała z zebrania o chipsy u Danny'ego i usiadła przy kuchence w próżnej nadziei, że kawałek kurczaka jakimś cudem wyskoczy z patelni prosto w jej pysk. Potrawka już się dusiła, a Leonie odmierzała ryż, gdy Danny zdecydował się przemówić.

- Pamiętasz, jak w zeszłym miesiącu zdawałem egzamin?

- Mhm-mruknęła od niechcienia. Najlepiej udawać, że słuchasz jednym uchem. Gdyby okazała przesadne zainteresowanie, Danny mógłby się rozmyślić i nic nie powiedzieć.

- Obląłem. Mój promotor twierdzi, że jeśli jeszcze czegoś nie zdam, zawalę rok.

Żołądek Leonie fiknął koziołka. Zawali rok! Boże drogi, nie dopuść do tego. Wiedziała, że wielu studentów trzeciego roku daje sobie spokój

ze studiami, kiedy zaczynają się schody. Błagam, błagam, tylko nie Danny.

- Brzmi poważnie - stwierdziła tak nonszalancko, jak tylko mogła.
- Myślisz, że naprawdę tak uważa czy tylko cię straszy?

Danny się zamyślił.

- Naprawdę. Z całej grupy tylko ja oblałem.

Kolejne salto żołądka.

- A co dokładnie oblałeś? - zapytała z nadzieją, że brzmi to jak towarzyska rozmowa, a nie rozpaczliwe pytanie spanikowanej matki.

- Fermentację. Nie znoszę tego. Nie znoszę całego pieprzonego kursu.

Tym razem nie zganiła go za przeklinanie. Wszystko ma swój czas i miejsce.

- Fermentacja to czysta matematyka, dlatego tego nie znoszę. Jestem dobry w przedmiotach niezwiązanych z matką. A tutaj trzeba liczyć proporcje, znać zasady... — mruzczał raczej do siebie niż do niej.

Nie skomentowała, że prywatnie Danny bardzo się interesuje fermentacją. O ile pamiętała, jedynym powodem, dla którego zapisał się do uczelnianego klubu mikrobiologicznego był swobodny dostęp do wina domowej roboty. Kiedyś przyniósł butelkę do domu. Śmierdziało jak ocet, ale Danny'emu smakowało.

- Wiesz, chyba mikrobiologia medyczna bardziej mi odpowiada... - mruzczał.

- Posłuchaj, Danny - wpadła mu w słowo. - Teraz narzekasz na zajęcia pewnie dlatego, że się nie przykładasz. Poczekaj, poucz się, poproś o dodatkowe terminy zaliczeń. Jeśli po tym zavalisz rok, pomyślimy. *Zawsze* możesz powtórzyć rok, zmieniając specjalizację, - W głębi duszy szalała z niepokoju, ale udawała opanowaną. Uznała, że najważniejsze to dać Danny'emu do zrozumienia, że jakoś sobie z tym poradzą.

Poklepała go po ramieniu.

- Nie przejmuj się, kochany. Najważniejsze to nie panikować. Jesteś dorosły, wiesz, jak sobie w życiu radzić. Skoro to oznacza więcej nauki - wierzę, że to zrobisz. Jesteś zbyt mądry, żeby się poddawać po jednej porażce. — Uśmiechnęła się i zmierzwiła mu włosy, jak dawniej, gdy był młodszy. - Idę o zakład, że twój promotor jeszcze nie wie, co to znaczy, zaleźć za skórę jednemu z Delaneyów! Padnie trupem z wrażenia, kiedy będziesz miał najlepszą średnią na roku!

Danny uśmiechnął się i nie zachnął, że go potargała.

- Tak, mamu. Chciałbym zobaczyć jego minę. Tim ma świetne notatki. Zaraz do niego zadzwonię i zapytam, czy mi pożyczy na weekend,

żebym skserował. Chciałem się jutro wybrać z chłopakami do Galway, ale chyba nic z tego. Cholera.

Zostawił na stole pustą torebkę po chipsach i wyszedł. Leonie miała tylko nadzieję, że Mel już skończyła rozmawiać, bo kolejna kłótnia zniszczy kruchy pokój. Wyczerpana, osunęła się na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. W takich chwilach najbardziej brakowało jej Raya albo innego mężczyzny.

Oto najgorsza wada samotnego macierzyństwa: nie kłopoty z nianią, brak czasu na zakupy, nie troska o pieniądze, ale straszliwe sytuacje kryzysowe, gdy nie ma się na kim oprzeć.

Wychowując dzieci, zawsze działała instynktownie. Dzisiaj uznała, że robienie Danny 'emu wyrzutów nie przyniosłoby żadnego skutku. Chciał się jej zwierzyć, ale bał się, że na niego nawrzeszczy. Udawała więc, że jest spokojna, traktowała go jak dorosłego w nadziei, że rzeczywiście postąpi dojrzałe.

Ale może trzeba było się wydrzeć jak przekupka, zapytać, co niby robił przez cały rok, i oznajmić, że koniec z tygodniówką, póki nie poprawi ocen.

Masowała skronie, czuła, że narasta migrena. Hałas w holu sprawiły, że zerwała się na równe nogi. Nie chciała zepsuć wrażenia spokojnej, opanowanej matki, płacząc w kuchni. Gdy Abby weszła do kuchni, krzątała się bez celu.

- Co na kolację? - Abby przycupnęła na krześle, podkuliła nogi w ciemnych dresach.

- Wariacja na temat kurczaka w winie. Wariacja polega na tym, że wina nie ma.

Leonie rzadko używała alkoholu do gotowania. Jeśli już kupowała wino, wołała je wypić, ilekroć czuła, że potrzebuje czegoś na wzmocnienie.

- Błę - mruknęła Abby. - Muszę to jeść? Wołałabym pieczonego ziemniaka.

- Tak, musisz to jeść. Dzisiaj mamy ryż, więc pożegnaj się z myślą o ziemniaku.

- Mamo! Nie powinno się zmuszać ludzi do jedzenia mięsa! Mięso to morderstwo - dodała po chwili.

- Chyba niedawno doszłaś do tego wniosku - zauważyła Leonie, coraz bardziej przekonana, że dzisiaj czas na wino. - Nie dalej jak we wtorek jadłaś kiełbaski.

Abby skrzywiła się.

- Mogę dostać bułkę z warzywami?

- Kochanie, przygotowałam nam kolację. Trzeba było mi powiedzieć, że chcesz bułkę z warzywami, zanim zaczęłam gotować. Zresztą nie mogę dla każdego gotować czegoś innego. To nie McDonald's.

Abby wyszła bez słowa. Leonie zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu. Ostatnimi czasy Abby zrobiła się strasznie marudna, jeśli chodzi o jedzenie. Piła dużo wody, rzekomo w trosce o cerę, i była tak wybredna, że Leonie miała czasami wrażenie, że prowadzi kuchnię na farmie piękności. Abby domagała się na śniadanie płatków i sałatki owocowej, nie chciała już jajek na bekonie, choć kiedyś bardzo je lubiła. Leonie wydawała w supermarkecie fortunę na mango i papaję, bo Abby miała na nie ochotę, a potem stwierdzała, że jednak nie i owoce marniały w lodówce. W dawnych dobrych czasach dzieci zjadały wszystko, co im podsunęła pod nos. Abby zawsze miała apetyt, chyba nawet za dobry, bo przepadała za słodyczami, zwłaszcza za czekoladą. Leonie patrzyła, jak córka tyje, i wzdrygała się na myśl, że jakiś okrutny dzieciak będzie z niej kpił. Ale nic nie mogła na to poradzić. Bała się, że jeśli pierwsza poruszy temat diety i ograniczy córce słodycze, Abby dojdzie do wniosku, że nawet matka uważa ją za grubaszkę. Tak więc Leonie trzymała język za zębami i starała się przyrządzać zdrowe posiłki. Miała nadzieję, że Abby zgubi dziecięcy tłuszczuik prędzej czy później. Wydawało się jednak, że Abby sama odkryła związek między figurą a deserami. Nowy sposób odżywiania dobrze wpłynął na jej figurę. Od lat była grubsza od wiotkiej Mel, ale teraz różnica malała. Nie była jeszcze tak szczupła, ale bardzo chudła.

Oby tylko nie przesadziła. Nadal rośnie, potrzebuje witamin, białka i tak dalej. Porozmawia o tym z nimi przy kolacji.

Przed kolacją Leonie raczyła się lampką wina, a Mel wisiła na telefonie i opowiadała Susie:

- Najbardziej niewiarygodnej rzeczy...

- Czy możesz porozmawiać o tym później? - Leonie wsadziła głowę do salonu.

- I niech to Susie do ciebie zadzwoni - dodała. - Ostatni rachunek telefoniczny przewyższał chyba dług narodowy.

Mel ostentacyjnie przewróciła oczami.

To samo zrobiła Abby, gdy spojrzała na stół.

- Mówiłam ci, nie będę tego jadła - jęknęła.

- Zjem twoją porcję — zaoferował się Danny.

- Nie - ucieęła Leonie. - Musisz coś zjeść, Abigail. I nie odejdziesz od stołu, póki nie skończysz. Jutro zrobię ci kanapkę z warzywami, ale dzisiaj zjesz to, co podałam.

Nie zauważyła paniki na twarzy córki, która nałożyła sobie mikroskopijną porcję kurczaka i odrobinę więcej ryżu.

- To za mało - zauważyła Leonie, niosąc garnek z duszonymi brokami.

- To bardzo dużo. - Abby nabrała sporą porcję warzyw. Wypiła duszkiem szklanekę, wody i zaraz nalała sobie drugą.

: Jedli w milczeniu. Danny pochłonał wszystko w dziesięć minut, Mel jadła powoli, ukradkiem czytając gazetę na kolanach. Leonie nie zносиła, kiedy ktoś czytał przy stole w towarzystwie.

Abby grzebała widelcem w talerzu, aż Leonie kazała jej zjeść wszystko. - Wiem, Abby, że starasz się jeść rozsądnie - zaczęła ostrożnie - ale nadal rośniesz i twój organizm potrzebuje budulca. Nie chcę, żebyś się odchudzała - zastrzegła. - Masz na to czas. Rozsądne odchudzanie to jedno, ale głodowanie to co innego. Od jutra będziecie zażywały witaminy, obie, dobrze?

- Hm - Mel nie podnosiła głowy znad gazety.

- Dobrze - mruknęła Abby.

Nadal grzebała widelcem w talerzu. Leonie wiedziała, że powinna milczeć, ale nie zdołała się powstrzymać.

- Abigail, przestań się bawić jedzeniem! Jedz! - powiedziała ostro.

- Przestań mi mówić, co mam robić! - wrzasnęła Abby. - Nie jestem dzieckiem! Przestań mnie tak traktować! Ojciec i Fliss tacy nie są!

Wszyscy spojrzeli na nią ze zdumieniem. Abby nigdy nie urządziła scen, nigdy. Aż do dzisiaj.

- Nienawidzę takiego jedzenia, nienawidzę cię, że każesz mi to jeść! - wrzeszczała do matki. - Kiedy zrozumiesz, że nie jestem taka jak ty? Jestem inna! Nie jestem cholernym dzieckiem!

Leonie patrzyła na ukochaną córkę ze zdumieniem: szokowały ją nie tylko przekleństwa w jej ustach, ale cała ta sytuacja.

- Abby, przestań.

Ale teraz nic już nie mogło jej powstrzymać.

- To moje ciało i zrobię z nim co chcę! - rzuciła ostro. - Nie rozumiesz, mam. Nikt tego nie rozumie.

Gwałtownie odsunęła krzesło i wybiegła z kuchni.

- Hormony - stwierdził Danny filozoficznie.

- Muszę zadzwonić do Louise. - Meł wybiegła za siostrą.

Była ich kolej na zmywanie, ale Leonie milczała.

Co się z nimi dzieje?

Potrąwka z kurczaka jest okropna, zwłaszcza taka, jaką robi mama, z oliwą z oliwek i w ogóle. Na pewno się od niej strasznie tyje. Ryż też nie jest dobry, trzeba to sprawdzić w tabeli kalorycznej, stwierdziła Abby. Opierała się o drzwi łazienki i oddychała głęboko, żeby się uspokoić, zanim zacznie. Nie chciała krzyżeć, ale była taka zdenerwowana, że rozwrzeszczała się i już. Mama nie może się zorientować, co się dzieje.

Teraz najchętniej jadła kanapki z warzywami: miały tylko dwieście kalorii, a wyglądały na duży posiłek, zwłaszcza jeśli jadła do nich pieczonego ziemniaka. Bez masła, masło to śmierć. A do tego dużo wody. Opowiadała wszystkim naokoło, że tyle pije ze względu na cerę. Mel też zaczęła, chciała ją prześcignąć w wypijaniu ośmiu szklanek dziennie. Ale Mel nie wiedziała, że Abby tyle pije, bo potem łatwiej wymiotować.

Było to przydatne zwłaszcza w szkole, kiedy miała mało czasu. Biegła piętro wyżej, do toalety dla starszych uczennic, czekała, aż ktoś w sąsiedniej kabinie spuści wodę i wymiotowała cicho i szybko. Później zjadała jabłko, inaczej strasznie jej burczało w brzuchu. Kiedyś o tym zapomniała i było ją słychać na historii. Na szczęście pani Parker tak głośno opowiadała o Leninie, że nikt nie zwrócił na nią uwagi, tylko Mel przyglądała się jej podejrzliwie.

Musi uważać, żeby Mel się nie domyśliła. To jest problem z siostrą bliźniaczką: wie o tobie rzeczy, o których inni nie mają pojęcia. Mama na przykład nie widzi, że Abby oddaje Penny swoje śniadanie ani że nie zjada wieczorem ciasteczek, kiedy oglądają telewizję. Abby chowała je do rękawa i odkładała do szafki, chociaż raz ukryła je pod łóżkiem i w nocy zjadła osiem na raz. Strasznie ciężko było je zwrócić, bolało gardło, na dodatek była pewna, że nie wszystko wyszło.

Ale Mel... Choć zawsze interesowała się głównie sobą, może zauważyć, co robi Abby. No, ale w końcu to nie jej sprawa. Mel ma szczęście, że z natury jest taka chuda, zupełnie jak Fliss. Nie musi wymiotować cztery razy dziennie, żeby nie przytyć. Abby musi się bardzo pilnować, żeby nikt nie zauważył.

A mamę przeprosi później. Nie lubiła jej denerwować, ale musiała, po prostu musiała.

Kiedy skończyła, ciężko usiadła na podłodze. Bolał ją żołądek, piekło w gardle. Czuła się okropnie. Poczuła zły na policzkach. Gdy chciała we wytrzeć, zabrzczała bransoletka z jadeitu, prezent od Fliss z podróży poślubnej do Chin. Była śliczna. Fliss jest taka mądra, bez pytania wie, co się im podoba. Fliss by zrozumiała, pomyślała Abby posepnie, nawet jeśli matka nie.

Rozdział 2 1

Oszóstej po południu w następną sobotę Leonie zastanawiała się całkiem poważnie, dlaczego przed laty nie poddała się sterylizacji. Dzieci *to koszmar w biały dzień. Cóż, jej dzieci. Pamiętała stare dobre* czasy, gdy całą ich energię pochłaniało bazgranie po ścianach, zajadanie ziemi z ogródka i walenie rówieśników łopatką po głowie. A jej się wtedy zdawało, że jest ciężko. Jak bardzo można się pomylić! Małe dzieci to nic w porównaniu z nastolatkami. Do niedawna chociaż Abby była słodka i dzięki temu zdarzały się chwile spokoju na polu bitwy, czyli w domu Delaneyów, ale odkąd stała się maniaczką zdrowego odżywiania, piekło rozpełtało się na dobre. Po ostatniej awanturze Leonie ciągle chodziła koło niej na paluszkach.

Dzisiejszy dzień zaczął się całkiem niewinnie. Leonie cieszyła się na pierwszą randkę z doradcą inwestycyjnym imieniem Hugh. Wstała raniutko, zjadła w spokoju śniadanie i poszły z Penny na długi spacer. Były już koło domu, gdy zaczęło lać, tym bardziej więc się cieszyła, że zdążyły przed deszczem. O wpół do pierwszej poszła po zakupy i przy okazji kupiła sobie ładne szklane kolczyki na dzisiejszą randkę. Dorzuciła do wózka kolorowy magazyn i ulubiony niskokaloryczny budyń czekoladowy. Spędzi dzisiaj miłe, spokojne popołudnie, postanowiła. W soboty dzieci sprzątały, co oznaczało dziesięć minut awantur, kto sprząta kuchnię, kto łazienkę, a kto odkurza. Leonie nie zwracała uwagi na ich narzekania. Oduczyła się tego dawno temu. Kiedyś wrzeszczała, że sprzątnęliby wszystko w czasie, który marnują na kłótnie, ale takie ingerencje zawsze kończyły się tak samo - sama musiała wszystko zrobić. Nie, lepiej niech się kłóca.

Lecz gdy wróciła do domu, okazało się, że odkurzacz tkwi dokładnie w tym samym miejscu, gdzie go zostawiła. Zdradziecka warstwa jasnej sierści Penny pokrywała wykładzinę i kanapę, podłoga w kuchni była równie brudna jak przedtem. Co gorsza, w całej kuchni poniewierały się ślady po śniadaniu trójki nastolatków, a pusty karton po mleku stał niecałe trzydzieści centymetrów od kosza na śmieci. Najwyraźniej ten, kto pił mleko, był zbyt leniwy, by wyrzucić pudełko do śmieci. Wściekła, rzuciła torby z zakupami na ziemię i udała się na poszukiwanie winnych. To, niestety, oznaczało przejście obok łazienki. Przez otwarte drzwi zobaczyła stertę brudnych ręczników na podłodze. Otwarta tubka pasty do zębów poniewierała się w umywalce, mydło powoli rozpuszczało się w zalanej mydelnicze.

Cholerne lenie, pomyślała. Myśla, że wszystko za nich zrobi. Cóż, no to się przeliczyli. Tym razan nie ujdzie im na sucho.

- Melanie, Abigail, Diniel! - wrzasnęła. - Dlaczego tu taki bałagan? Mielście posprzątać. Każde po dwadzieścia minut, tylko o to proszę.

Wpadła do pokoju bliźniaczek, ale nikogo tam nie było. Zapukała do Danny'ego i weszła, nie czekając na zaproszenie. Syn, wściekły, że zakłóca mu spokój, wcierał żół we włosy.

- Gdzie moje pieniądze;?-zapytała.

Spojrzał na nią tępo.

- Ponieważ traktujecie mnie jak służącą, zakładam, że będziecie mi płacić jakieś grosze. - Łypięła surowo.

Zawstydził się.

Leonie ciągnęła dalej:

- Ciężko pracuję prze; cały tydzień, oprócz tego gotuję, sprzątam i piorę dla całej trójki. Proszę o pomoc tylko w soboty, ale co dostaję? Nic!

- Uspokój się, mamó. 'araz to zrobię - zaczął.

- A gdzie twoje siostry?

- Tutaj, mamó - mruknęła pokornie Mel. Miała na sobie szlafrok i coś, co podejrzenie przypominało resztki maseczki z awokado Leonie.

- Czy to moja maseczka? - zapytała.

- Ee... tak, wychodzę a pół godziny, a wyglądam okropnie...

- Wychodzisz za pół golziny? A kiedy, przepraszam bardzo, posprzątasz?

- Nie., nie myślałam, że to takie ważne...

- Nie myślałam, że to wiżne - powtórzyła Leonie z goryczą. - Innymi słowy: Niech durna matka wszystko zrobi, tylko do tego się nadaje, tak?

- Nie - Dan i Mel zaprotestowali jednocześnie.

- Gdzie Abby? - zainteresowała się Leonie.

- Biega.

- Biega?! W taki deszcz?

- Nie wiem. Przepraszam, mamó, zaraz posprzątam. - Mel była, jak na nią, zadziwiająco zgodni. - Ja odkurzę, a ty, Danny, sprzątniesz łazienkę, w końcu to ty ją zabrudziłeś - zaczęła, ale umilkła, gdy matka posłała jej mordercze spojrzenie.

- Nie chcę więcej rozmawiać na ten temat - ucięła. - Oczekujecie, że będę was traktowała jak dorosłych, ale zachowujecie się jak dzieci. Nie jestem waszą służącą, zapamiętajcie to sobie!

- Danny, rozpakuj zalany - poleciła. Zabrała Penny, która nie znosiła odkurzania, i zamknęła się w sypialni.

Kiedy wyszła, okazało się, że Abby wróciła i bardzo niestaranie sprzątnęła kuchnię. Choć Leonie już się uspokoiła, wygłosiła pouczającą mowę o tym, że każdy musi wykonywać swoje obowiązki, jeśli ich wspólne życie ma się dobrze układać.

- Dobrze? - wrzasnęła Abby. - Ty to nazywasz dobrze? W takim razie chcę się wyprowadzić. Może tatuś i Fliss mnie przyjmą! Nienawidzę cię! - Z tymi słowami wbiegła do łazienki i zatrasnęła za sobą drzwi. Leonie zamurowało. Po kilku chwilach pozbierała się i uciekła. Jedyne co przyszło jej do głowy: uciec do matki.

Claire ćwiczyła uderzenia kijem golfowym w garażu. Grała dopiero od miesiąca i z zapałem jeździła na pole golfowe ze swoją przyjaciółką Millie co najmniej dwa razy w tygodniu.

- Powinnaś spróbować - stwierdziła Claire, chowając kij do worka.

- I bez tego mam dosyć kłopotów - chlipnęła Leonie. - Po co mi jeszcze sport, w którym i tak będę do niczego?

- Oj, nie gadaj bzdur. - Claire wystarczyło jedno spojrzenie na córkę, by się wszystkiego domyśliła.

- Co takiego Mel znowu powiedziała?

- To nie Mel. Najgorsze, że to Abby.

Kiedy były już w domu, opowiedziała całe zajście, poczuła się trochę lepiej. Tash, jeden z pięknych kotów syjamskich Claire, łaskawie usiadł jej na kolanach, a bliskość zwierząt zawsze poprawiała jej humor. Clover, jej kotka, nie spoufalała się zanadto, więc Leonie czerpała pociechę z bliskości Penny. Tash mruczał cicho i wyciągał smukłą szyję.

- Abby bardzo przypomina mi ciebie, gdy byłaś młodsza - zauważyła Claire po chwili namysłu.

- Nie byłam taka! - obruszyła się Leonie.

- Owszem, byłaś. Kiedy miałaś szesnaście lat i doszłaś do wniosku, że jesteś gruba i brzydka. To było straszne, ale niewiele mogłam zrobić. Obwinałaś mnie, bo nie miałaś innego kozła ofiarnego.

- Ależ Abby jest o wiele ładniejsza ode mnie w jej wieku, i jest taka kochana. Ze mną było inaczej - upierała się Leonie. Przecież od lat robiła co w jej mocy, by Abby nabrała pewności siebie.

Claire wyjęła z lodówki puszkę kociego żarcia i Tash zeskoczył z kolan Leonie, drapiąc ją przy tym lekko. Pozostałe dwa koty zjawiły się nie wiadomo skąd. Miały nonszalancko znudzone miny, jakby w ogóle ich nie obchodziła puszka, ale były gotowe walczyć o każdy kęs.

- Jest coraz ładniejsza, ale nie zapominaj, że mieszka z piękną siostrą - dodała Claire.

- A ja mieszkałam z tobą- burknęła Leonie, z zazdrością patrząc na szczupłą figurę matki. W granatowych spodniach, niebieskim sweterku, z czerwoną chustką na szyi, Claire była ucieleśnieniem dobrego smaku.

- Kiedy byłam nastolatką, byłaś ode mnie dużo ładniejsza. Pamiętasz to straszne bikini w paski, które kupiłam sobie na wakacje do Hiszpanii?

Matka parsknęła śmiechem.

- Tak, oddałaś mi je.

- I wyglądałaś super. Jak Ursula Andress, a ja jak świnka Piggy. - Obserwowała, jak koty nieufnie zaglądnęły do misek. Zachowują się jak wybredni krytycy restauracyjni, którzy po samym zapachu oceniają, czy sos pesto jest domowej roboty, czy ze słoika, przemknęło jej przez głowę.

- Wtedy wszystko było prostsze, prawda?

- Z perspektywy czasu wszystko wydaje się prostsze - mruknęła Claire. - Co jeszcze cię gryzie? Przecież nie przyjechałaś do mnie tylko z tego powodu.

Leonie pokręciła głową.

- Nic, poza tym, że Danny chyba zawiódł, Mel nie obchodzi szkoła, chyba że jako miejsce nowych podbojów, a Abby ze spokojnej, zrównoważonej dziewczyny zmieniła się w rozhisteryzowaną primadonnę, a w dodatku w kółko opowiada o macosze. Mam dosyć szarpania się z tym sama - rzuciła, zanim ugryzła się w język.

Matka prychnęła. Leonie zacisnęła zęby. Wiedziała, co będzie dalej.

- Gdybyś została z Rayem, nie byłabyś sama, a dzieci nie miałyby macochy - zauważyła Claire niewinnie.

- Mamo, nie chcę wykładu.

- I nie dostaniesz. Ale jeśli tu do mnie przyjeżdżasz, oczekujesz rady. Niełatwo jest wychować dzieci samotnie, ale to twój wybór, Leonie. Ty zdecydowałaś, że pragniesz prawdziwej miłości, a Ray nie spełnia twoich oczekiwań. I teraz masz, czego chciałaś. Tylko to chciałam powiedzieć. Koniec wykładu. - Claire się wyprostowała. - Jakie masz plany na dzisiaj? Idziemy z Miliie do kina. Nie wiemy jeszcze na co, na durny kryminał, durny dramat sądowy czy może na film z Seanem Connery. Może się z nami wybierzesz? Zostaw dzieciaki same, dobrze im zrobi, kiedy będą zdani na siebie. Niech zobaczą, że posiłki nie gotują się same, a domu nie sprzątaj krasnoludki.

- Ja... eee... wychodzę - bąknęła Leonie.

- Ze znajomymi? - zapytała Claire, ale zaraz zobaczyła, że Leonie zagryza dolną wargę.

- Z mężczyzną! Mam rację, prawda? Doskonale, Leonie! Najwyższy czas, żebyś sobie kogoś znalazła. Kto to jest? Skąd go znasz?

Ma do wyboru: Świętą Inkwizycję albo wykład na temat: jak prowadzić swoje życie.

- To znajomy Hanny - skłamała.

- Coś takiego. Opowiedz mi o nim. A może się boisz, że wszystko zapeszysz?

- Nie. Nazywa się Hugh Goddard, jest doradcą inwestycyjnym, jest rozwiedziony i kocha psy.

- Doskonale, ale jaki jest? Przystojny?

Leonie umilkła. Nie przyzna przecież, że wie tylko, że jest wrażliwy - musi być, skoro wyratował psa z kanału. Nie ma pojęcia, jaki jest ani jak wygląda. Solidny, miłośnik rugby, nie najmłodszy, z poczuciem humoru - mówi dużo w ogłoszeniach matrymonialnych, ale niewiele zdradza na temat charakteru danej osoby. Udała zniecierpliwienie:

- Och, mamu, to taki przeciętny facet. Poznaliśmy się u Hanny, wydał się w porządku, więc przyjąłem zaproszenie na drinka i tyle.

- No dobrze, dobrze, nie irytuj się tak. Tylko pytałam. Poznam go?

- Jeśli okaże się mężczyzną mojego życia i zechcemy uciec na wyspy Bahama, zostawiając ci dzieci na głowie, owszem. Muszę lecieć, mamu.

Hugh zaproponował spotkanie w dublińskim pubie, więc Leonie zdecydowała, że pojedzie kolejką, a nie samochodem. Utykając lekko w nowych i nieco za ciasnych butach, wybiegła z domu pędem, jeszcze w drzwiach tłumacząc, jak odgrzać lasagne i grożąc, co zrobi, jeśli po powrocie okaże się, że Danny wyszedł i dziewczynki zostały same.

- A właściwie dokąd się tak stroisz? - zainteresował się Danny, patrząc, jak matka ubiera się w czarny żakiet, który zakładała tylko na wyjątkowe okazje. Włożyła tego dnia najlepszą aksamitną spódnicę, czerwoną jedwabną koszulę, powiesiła na szyi egipski wisiołek ze skarabeuszem.

- Na kolację z przyjaciółkami - mruknęła. Abby dąsała się cały dzień i Leonie nie chciała kolejnej awantury, gdyby powiedziała, że umówiła się z mężczyzną. Kto wie, jak by się to skończyło? Abby pewnie zaraz pognałaby na lotnisko i zarezerwowała lot do Bostonu, a po drodze zadzwoniła do towarzystwa przyjaciół dzieci z informacją, że matka się nad nią znęca.

Zanim dotarła do dworca, klęła nowe buty w żywy kamień. Najchętniej poszłaby dalej boso. Co prawda wzbudziłaby sensację, ale chyba nie większą niż teraz, gdy jęczy przy każdym niezgrabnym kroku? Usiadła

przy oknie, żeby patrzeć na morze. Zsunęła pantofle. W cockneyu na stopy mówi się „kawały mięsa”, dumiała. Co za słuszne określenie. Położyła więc „kawały mięsa” na przeciwległym siedzeniu i modliła się, żeby nie zjawił się pracownik kolei z uwagą, że siedzenia nie są dla nóg. Jeśli to powie, oberwie nowym pantoflem.

Mimo obolałych stóp rozkoszowała się podróżą. Zaglądała ludziom do okien, obserwowała, jak spacerują z psami po plaży. Podczas jazdy kolejką to lubiła najbardziej: wrażenie, że może uczestniczyć w życiu innych ludzi, nie będąc przez nich zauważona. Szkoda tylko, że podróż trwała tak krótko.

Na stacji Tara Street doszła do wniosku, że zdjęcie butów było poważnym błędem. Wsadzając je na nogi miała wrażenie, że wpycha wściekłego chomika do ciasnej klatki. Kulała jeszcze bardziej niż przedtem.

Spóźniła się dziesięć minut, stopy nadawały się do natychmiastowej amputacji, a starannie nałożony makijaż spływał z twarzy, tak się spociła w grubym żakiecie. Może Hugh nie przyjdzie i będzie mogła wrócić do domu, pomyślała z nadzieją. W telewizji dają film z Richardem Gere, jeśli dzieciaki się dają, siedzą u siebie i przechwyci pilota.

Ledwie przekroczyła próg baru, dostrzegła Hugh. Zresztą trudno byłoby go nie dostrzec. Był jedynym gościem powyżej trzydziestki, poza nią, oczywiście. Stał przy kolumnie, z kuflem piwa w dłoni i z wyrazem niepokoju na twarzy. Był średniego wzrostu, szeroki w barach, z potężnym karkiem sportowca i krótkimi ciemnymi włosami, przyprószonymi siwizną na skroniach. Przystojny, stwierdziła z zadowoleniem; ogorzały od słońca, miał regularne, silne rysy i szeroki podbródek. W sportowej koszuli i tweedowej marynarce pasował do tego miejsca mniej więcej tak, jak królowa matka na imprezę techno. Busker's to najwyraźniej ulubione miejsce spotkań młodych ludzi, wszędzie tłoczyły się grupy rozśmianych, wystrojonych dziewcząt i chłopców.

W powietrzu unosiły się dławiące opary perfum, lakieru do włosów i wody po goleniu, istne piekło dla alergików. Anemiczne dziewczyny w skąpych skrawkach lycry chichotały nad szklankami piwa i strzelały oczami do świeżo wygolonych chłopaków, którzy ukrywali zdenerwowanie, paląc papierosa za papierosem.

Leonie nie mogła się powstrzymać. Uśmiechnęła się pod nosem. Co za głupota umawiać się w takim miejscu. Akurat w tej chwili Hugh na nią spojrzął i uśmiechnął się porozumiewawczo. Podszedł do drzwi. Ma sympatyczne oczy, zauważyła, i bliznę na podbródku.

- Leonie? - zawołał, żeby go usłyszała mimo głośniejszej muzyki. - To dla mnie kara za to, że udawałem, że się znam na modnych lokalach.

- Jeśli cię to pociesza - odparła pogodnie - jestem równie niedoświadczona w tych sprawach, inaczej bym ci powiedziała, że to nie dla nas. Poszukamy czegoś dla emerytów, gdzie nie musielibyśmy wrzeszczyć na całe gardło? Aparat słuchowy mi wysiada.

Skinął głową, odstawił swoje piwo i wyszli.

Obawiała się w głębi duszy, że z dala od tłumu ich bliskość rozwieje się bez śladu, ale nie. Lubi go, stwierdziła. To głupota wyciągać takie wnioski zaledwie po kilku minutach, ale go lubi.

Szli powoli i zaśmiewali się na myśl, jak zazwyczaj poważni, rozsądni ludzie głupieją przy ogłoszeniach matrymonialnych.

- Za pierwszym razem zaproponowałem kolację w bardzo modnej restauracji, chciałem jej zaimponować. Powiedziała, że nie znosi pretensjonalnych snobów i wyszła po pierwszym daniu - wspominał Hugh. - Tym razem chciałem być modny.

Leonie nie oburzyła się na wspomnienie innej kobiety, nie przestraszyła się, że facet jest notorycznym podrywaczem. Nie jest, była tego pewna. Miała wrażenie, że się znają od lat.

," - Ja też dzisiaj zgrzeszyłam - wyznała, kuśtykając po kocich łbach. - Założyłam nowe buty, żeby zrobić na tobie wrażenie. Te kocie łby zaraz mnie wykończą.

- Trzeba było powiedzieć! - obruszył się Hugh i wziął ją pod ramię. - Zaraz znajdziemy przytulną knajpę, gdzie nikt nawet nie zauważy, że zdjęłaś buty.

- Muszę się położyć - zażartowała i zaraz się zarumieniła, bo uświadomiła sobie, jak dwuznacznie to zabrzmiało.

Hugh się nie przejął.

- To jak dla mnie zbyt wyuzdane - stwierdził beztrasko. - Seks po pierwszych dziesięciu minutach znajomości to lekka przesada, nie sądzisz?

Leonie parsknęła śmiechem.

- Owszem. Ale drink to co innego.

- A może kolacja? - zaproponował. - Umieram z głodu, ale nie chciałem umawiać się na kolację na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że nie możemy na siebie patrzeć.

- Też się tego obawiałam - przyznała. - Wymyśliłam nawet przyjęcie, na którym muszę być o dziesiątej, na wypadek, gdybyś się okazał nudny jak flaki z olejem, aleja też umieram z głodu.

- W takim razie postanowione. Kolacja. Oprzyj się o mnie. A gdybyś o wpół do dziesiątej musiała nagle wyjść, nie martw się, zrozumiem.

Znalezienie stolika na dwie osoby w sobotni wieczór bez uprzedniej rezerwacji graniczy z niemożliwością, ale udało się, nie musieli nawet

zbyt daleko iść. Wcisnęli się do miniaturowej łoży w chińskiej knajpce i Leonie z ulgą zdjęła buty.

- Bez jedzenia nie możesz udawać orgazmu, jak Meg Ryan w *Kiedy Harry poznał Sally*, bo nas wyrzuca za obmacywanie się pod stołem. Może nawet wezwą policję, a to by mi się nie podobało. Jestem szanowanym obywatelem.

Zachichotała. Jak dobrze, że jest taki zabawny. Bob, z którym spotkała się, czysto platonicznie, jeszcze dwukrotnie, był mniej więcej tak zabawny jak pogrzeb.

- Restauracje etniczne to doskonałe miejsce, by stwierdzić, czy do kogoś pasujesz czy nie - zauważył Hugh. Założył okulary i z uwagą studiował kartę dań. - Jeśli ktoś śmieje się na całe gardło, gdy go pytają, czy weźmie „liż ci makajon”, wiadomo, że to swój człowiek.

- Jeśli się nie śmiejesz, uciekam - stwierdziła. - Super te okulary. Wyobrażam sobie, jak zza nich groźnie toczysz wzrokiem po klasie i krzyczysz.

Hugh pytająco uniół ciemne brwi.

- Czy ty przypadkiem nie pomyliłaś ogłoszeń? - zapytał poważnie. - Ja jestem doradcą inwestycyjnym, a myślisz o profesorze Surowym, reklamuje się na sąsiedniej stronie jako ekspert w wymierzaniu kar.

Uśmiechnęła się.

- Więc to nie ty?

Udał, że się zastanawia.

- Wiesz, jeśli to się nie wyda, mogę spróbować. Od ciebie nie wezmę opłaty.

Roześmiała się. Cudownie, on z nią flirtuje. Coś takiego.

Kelner przyjął zamówienie. Kiedy Hugh powiedział, że chce ryż, Leonie z trudem powstrzymała się od śmiechu. Nie, nie teraz, biedny kelner pomyśli, że naśmiewają się z jego akcentu, a przecież nie to ją rozbawiło.

Hugh posłał jej surowe spojrzenie.

- Zachowuj się! - syknął.

- Nie panuje nad sobą po kieliszku wina - wyjaśnił kelnerowi.

Teraz roześmiała się otwarcie.

- Dlaczego przy tobie ciągle chichoczę? - zastanawiała się po odejściu kelnera niezrażonego dziwnym zachowaniem gości.

- Bo mam łysinę? - podsunął.

- Nie, chyba mi ulżyło, kiedy się okazało, że jesteś normalny - stwierdziła. - No, trochę nienormalny, ale tak jak lubię. Mam wrażenie, że znamy się od lat.

Skinął głową.

- Wyjęłaś mi to z ust. Zazwyczaj nie żartuję przy nieznanym. Tak naprawdę jestem bardzo skryty i jak kogoś nie znam, chowam się do skorupy. To przydatne w mojej pracy. Nie można rozmawiać o interesach i dowcipkować. Ale z tobą czuję się swobodnie.

- Ja z tobą też. Więc kiedy zabrałaś tamtą kobietę do tej ekskluzywnej restauracji, nie byłeś duszą towarzystwa? - zapytała ciekawie.

Przeczesał włosy dłonią i skrzywił się boleśnie.

- Skądże. To było jak rozmowa kwalifikacyjna w sprawie pracy. Opowiadałem, co robię, co lubię, gdzie mieszkam. I to wszystko przed drinkiem. Gdybyśmy mieli więcej czasu, opowiedziałbym o planach zawodowych na następne pięć lat. Straszne. Aż dziw, że po tamtej kłęsce odważyłem się spróbować jeszcze raz.

- Dlaczego odpowiedziałeś akurat na jej ogłoszenie? - zainteresowała się Leonie. - A przede wszystkim, dlaczego odpowiedziałeś na moje?

- Powiedziała, że pracuje w finansach i pomyślałem, że fajnie byłoby spotykać się z kimś z mojej branży - wyjaśnił. - Teraz bardzo tego żałuję, bo chyba do emerytury będę się obawiał, żeby jej nie spotkać w pracy. Jest twarda. Trzeba niemało odwagi, żeby wstać i powiedzieć jasno, że do siebie nie pasujemy i nie będzie sobie do końca marnowała wieczoru.

- Ojej. Może to pani Surowa - zauważyła Leonie z przekąsem.

- Nie zdziwiłbym się wcale. A ja wyszedłem przez nią na strasznego mięczaka. Niezbyt to przyjemne, nagle zostać samemu w restauracji. Wszyscy pewnie myśleli, że jesteśmy małżeństwem i właśnie jej powiedziałem, że mam romans czy coś równie strasznego.

Posmutniał tak bardzo, że Leonie zachciało się śmiać.

- To było w listopadzie - dokończył. - Od tego czasu siedziałem w domu i lizałem rany.

Podano alkohol i jedzenie.

- Nie wywiniesz się tak szybko - ostrzegła, gdy nasyciła pierwszy głód. - Dalej, mów prawdę: dlaczego odpowiedziałeś na moje ogłoszenie?

- Wydałaś się bardzo miła, poza tym napisałaś, że kochasz zwierzęta. Ja też, to przesądziło sprawę. Poza tym szaleję za posagowymi blondynkami, a wszyscy przyjaciele mówili mi, że za bardzo zadzieram nosa i powinna mi go przytrzeć kolejna kobieta, zostawiając mnie samego w połowie randki. To ostatnie to żart - wyjaśnił pospiesznie.

- Jeśli myślisz, że komplementami wywiniesz się od zapłacenia swojej części rachunku, jesteś w błędzie - ostrzegła.

- Trudno - westchnął komicznie.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Masz najpiękniejsze oczy, jakie w życiu widziałem - dodał miękko. - Takie błękitne. Cudowne. A to jest cudowny wieczór. Poważnie.

Leonie poczuła drgnienie serca. Zresztą mniejsza o lokalizację, w każdym razie, coś tam w środku drgnęło. Może to wcale nie serce, zakpiła w sobie w duchu, tylko zardzewiałe ze starości inne narządy, których nie używała od niepamiętnych czasów. Głęboko nabrała tchu i oznajmiła:

- Tak przy okazji, okazało się, że odwołali przyjęcie o dziesiątej.

- To dobrze. Kiedy za kwadrans dziesiąta zadzwoni mój przyjaciel, udając, że zatrzaskał sobie drzwi do mieszkania, a tak się składa, że mam zapasowe klucze, powiem mu, że jesteś wspaniałą kobietą.

Chińskie jedzenie dawno im tak nie smakowało. Śmiali się, żartowali i zjedli zdecydowanie za dużo kaczki po pekińsku i duszonej wołowiny. Leonie stwierdziła, że jeszcze jeden kęs i pięknie jej spódnica. Nie wyobrażała sobie takiego wyznania przy innym mężczyźnie, ale z Hugh była bardzo swobodna. Oczywiście, nie bez znaczenia była tu druga butelka wina.

- Zazwyczaj niedużo piję - tłumaczyła się, gdy jej dolewał. - Lubię wino, ale szybko się upijam.

- Mam nadzieję, że nie przejrzałaś mego niecnego planu - odparł Hugh ze śmiertelnie poważną miną. - Za restauracją ukryłem furgonetkę, porwę cię i zrobię co zechcę.

- Na tyle pijana jeszcze nie jestem - Leonie żartobliwie pogroziła mu palcem. - Najbardziej zalałam się na studiach - wzdygnęła się na to wspomnienie. - Na imprezie u studentów medycyny. Robili przeraźliwie mocne koktajle. Upiłam się po czterech szklankach. Pamiętam, że rozmawiałam z młodym ginekologiem. - Zachichotała. - Oczywiście, zadałam mu to pytanie.

Hugh patrzył nic nierozumiejącym wzrokiem.

Leonie zniżyła głos:

- No wiesz, przez cały dzień w pracy ogląda swoje pacjentki, bada je, a potem kocha się z dziewczyną?

W oczach Hugh pojawiły się iskierki rozbawienia.

- I co ci odpowiedział?

- Nie pamiętam, byłam za bardzo pijana. Boże, ależ mi było wstyd. Następnego dnia wszyscy mi opowiadali, co wyprawiałam. Myślałam, że się spalę ze wstydu. A upiłam się tylko dlatego, że rozpaczliwie chciałam się do nich upodobnić i myślałam, że alkohol pomoże.

- Biedactwo. - Czule poklepał jej dłoń. - Ze wstydem przyznają, że jestem nie lepszy, i to w wieku czterdziestu siedmiu lat. Po tamtym feralnym spotkaniu z panią Surową wypiliśmy do końca butelką wina i zamówiłem trzy koniaki. Ty przynajmniej byłaś młoda i głupia, kiedy się zalałaś.

Teraz przyszła kolej na Leonie, żeby poklepać go po ręce.

- To całkowicie zrozumiałe, Hugh - zapewniła. - Na twoim miejscu postąpiłabym jak ty albo poszła do toalety i uciekła przez okno.

Skinął głową.

- Tak, to że jest się rodzicem nastolatków, nie znaczy wcale, że czasami sam nie cierpisz jak nastolatek, prawda?

- Masz dzieci? - ucieszyła się. - Nic nie mówiłeś. - Wspaniale. Rozwodnik z dziećmi jest idealny, zrozumie, jak ważna dla Leonie jest jej rodzina.

- Jane ma dwadzieścia jeden lat, a Stephen osiemnaście. Jane mieszka sama, tu niedaleko, Stephen z matką. Wspaniali - dodał ciepło. - Nie wiem, co bym bez nich zrobił.

~ Opowiadaj - poprosiła.

Opowieść przeciągnęła się na dwie kolejne kawy, nie chcieli więcej alkoholu z przyczyn, jak to ujęli, zdrowotnych.

- Chciałbym jutro zwlec się z łóżka o przyzwoitej porze i nie mieć gigantycznego kaca - wyjaśnił Hugh.

Nie mówił, dlaczego trzy lata temu rozstał się z żoną, a Leonie nie pytała. Jeśli zechce jej powiedzieć, zrobi to. Za to nie miała nic przeciwko temu, że tyle opowiada o dzieciach; jego oczy błyszczały miłością.

O Janet mówił:

- Piękna. Nie wiem, po kim to ma, ale dosłownie zwała z nóg.

Poza tym pracuje w firmie ubezpieczeniowej i świetnie maluje.

- Ciągle ją namawiam, żeby zaniósła swoje prace do galerii, ale nie chce.

Stephen z kolei wydawał się przechodzić fazę buntu, obecnie oszczędza każdy grosz, żeby na rok przerwać studia i podróżować po całym świecie.

- Ilekroć wspomina Daleki Wschód, Rosemary, moja była, dostaje szału.

- Rozumiem ją doskonale - mruknęła Leonie. Gdyby Danny powiedział, że wybiera się na Daleki Wschód, też dostałaby szału. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu znowu czytała artykuł o młodych ludziach z Zachodu, którzy wpadli w tarapaty w Tajlandii. Handlarze narkotyków ukradli

im całe bagaże, a potem pożyczili nowe walizki - tylko że z fałszywym dnem i heroiną o rynkowej wartości kilku milionów dolarów.

Opowiedziała o tym, wspomniała także, co przeczytała w innym artykule - podobno młodzi ludzie, którzy nigdy nie mieli kontaktu z narkotykami, często lądują w więzieniu, bo lokalne władze potrafią podrzucać narkotyki, jeśli ktoś nie chce płacić łapówek i haraczu.

- Bzdury! - zachnął się Hugh. - Gazety wpędzają ludzi w histerię. Młodzi ludzie powinni podróżować, rozwijać skrzydła. O to w życiu chodzi. Żałuję, że w młodości nie miałem ku temu okazji. Całkowicie popieram Stephena w tym względzie. Obiecałem mu, że zapłacę za jego bilet lotniczy i dam tysiąc funtów.

Leonie nie ukrywała zdumienia. Gdyby Danny chciał podróżować przez rok, postawiłaby sprawę jasno - musi sam na to zarobić. Po co zawałać rok, żeby się usamodzielnic i poszerzyć horyzonty, jeśli korzysta się przy tym z pieniędzy rodziców? Gdyby go finansowała, nie nauczyłby się samodzielności.

- Nie byłoby lepiej, gdyby Stephen sam na to zarobił? - podsunęła z wahaniem.

- Mam pieniądze, przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić - Hugh zacisnął usta. - Moim dzieciom oddam wszystko. Zresztą pomogłem Jane finansowo, kiedy kupowała samochód, więc Stephenowi też się coś ode mnie należy.

- Aha - Leonie uśmiechnęła się pod nosem. Tatuś ma wyrzuty sumienia i rozpuszcza dzieciaki. Gotowa była założyć się o swoją pensję, że Hugh odszedł od Rosemary i teraz stara się to jakoś wynagrodzić dzieciom.

- Bardzo przeżywały, kiedy się wyprowadziłeś? - zapytała.

- Nie, nie, to nie było tak - poprawił zdumiony. - Rosemary rzuciła mnie dla innego, ale im nie wyszło. Potem uznaliśmy, że ona zostanie w naszym domu, a ja się wyprowadziłem.

- Przepraszam cię bardzo, nie chciałam być wścibska - Leonie wycofała się szybko. Tyle jeśli chodzi o amatorską psychoanalizę, doktorze Freud.

- Nie ma sprawy. Powinniśmy sobie to wyjaśnić, żeby nie było nieporozumień. Opowiedz mi o twojej rodzinie.

Było już po dwunastej, gdy wychodzili z restauracji. Sprzeczali się trochę przy rachunku, Hugh chciał zapłacić za oboje, ale Leonie uparła się, że zapłaci za siebie. W milczeniu szli na postój taksówek. Leonie chciała się z nim jeszcze spotkać, ale nie wiedziała, jak to powiedzieć, żebyś się nie narzucać. Bo jeśli się odważy, a Hugh powie, że nie chce jej

więcej widzieć, to lepiej, żeby ziemia się rozstała i pochłonęła ją żywcem.

Ustawili się na końcu kolejki. Chyba niewiele się działo w mieście tego wieczora, bo już po kilku minutach przyszła ich kolej. Leonie dostrzegła nadjeżdżającą taksówkę. Hugh mieszkał w Templeogue, zupełnie nie po drodze. Trzeba się pożegnać. Taksówka podjechała. Hugh przytrzymał jej drzwiczki.

Ogarnęło ją rozczarowanie. Nie umówi się z nią więcej. W tym momencie poczuła jego usta na policzku.

- Co robisz w przyszłą sobotę? - zapytał.

Rozpromieniła się.

- Maluję sobie paznokcie, chyba że dostanę lepszą propozycję.

- No to masz - podał jej wizytówkę. - Kolacja o tej samej porze, za tydzień. Zarezerwuję stolik w jakiejś miłej knajpce. Zadzwoni na komórkę.

Jazda do domu zajęła prawie godzinę. Zazwyczaj Leonie nerwowo obserwowała taksometr, który przesuwał się z zastraszającą szybkością. Lecz dziś miała wrażenie, że niesie ją do domu ciepła karaibska bryza. Nie obchodziły ją żadne codzienne problemy, w tym ogromne rachunki za taksówkę.

Powtarzała szeptem jego imię: Hugh. Hugh Goddard. Miłe nazwisko, miły facet. Co prawda mają całkiem odmienne zdanie na temat wychowania dzieci, ale to chyba żaden problem. Przecież nie chcą mieć więcej dzieci. Ważne, że jest zabawny i atrakcyjny, i sprawia, że przy nim i ona czuje się atrakcyjna. Innymi słowy, pasują do siebie.

- Nie, jeszcze nie wyznaczyliśmy daty, ale chcemy, żeby to było jak najszybciej - Hanna z dumą prezentowała przyjaciółkom pierścionełk zaręczynowy. - Feliks nie wie, czy zagra w dwóch serialach, w których ubiegał się o role, więc nie wiemy, na czym stoimy. A to oznacza - westchnęła ciężko - że nie możemy robić żadnych planów.

Piły kawę w kuchni u Hanny, na pospiesznie zwołanej konferencji na temat życia, wszechświata i mężczyzn.

- A ja myślałam, że Feliks zrobi wszystko, żeby cię zatrzymać, skoro zgodziłaś się go poślubić. Spodziewałam się, że powiesz, że uciekacie na Seszele, żeby wziąć ślub na plaży, przy wschodzie słońca - zażartowała Emma.

- Chciałabym - rozmarzyła się Hanna. - Nie lubię dużych uroczystości rodzinnych. Nie przemawia do mnie wizja imprezy z setką starszawych

krewnych, których nie widziałam od wieków. O tym, że mój ojciec zalałby się w trupa, już nie wspomnę. Tak, ślub na plaży to jest to...

Leonie pograżyła się w marzeniach.

- To takie romantyczne, Hanno - westchnęła na myśl o Hugh. - Boso na plaży, piasek, szum morza, palmy kokosowe...

Emma nie wydaje się zachwycona nowiną, zauważyła Hanna. Pewnie sobie to wmawia; Emma jest taka kochana. Na pewno cieszy się jej szczęściem.

"~ Jesteś pewna, że postępujesz właściwie? - Emma nie owijała w bawełnę.

I Hanna, i Leonie gapiły się na nią ze zdumieniem.

- Nie uważasz, że trochę za bardzo się spieszycie? - Emma mówiła dalej. - Wiem, że kochasz Feliksa, ale czy nie rozsądniej byłoby najpierw pomieszkać razem przez rok, a dopiero potem zdecydować? Tak na wszelki wypadek - dodała.

- Nie ma po co - warknęła Hanna. - Jesteśmy dla siebie stworzeni. Szaleję za nim...

Emma wpadła jej w słowo.

- Nie złość się, Hanno. Nie to miałam na myśli. Wiem, że go kochasz, ale małżeństwo to poważny krok, trzeba go dokładnie przemyśleć. Zresztą Feliks znikł bez śladu na cały miesiąc, nie powiedział ci, dokąd się wybiera. Musisz mieć pewność, że to się nie powtórzy.

Hanna zacisnęła usta.

- Nie musisz mi o tym przypominać - zauważyła lodowato. - Wytłumaczył, dlaczego tak się stało. To skomplikowane. Nie prosiłam cię, żebyś oceniała moje decyzje, Emmo.

Emma się zarumieniła. Posunęła się za daleko i sprawiła Hannie przykrość, choć wcale nie miała takiego zamiaru.

- Hanno, nie złość się, proszę. Chciałam tylko powiedzieć, że się boję, że stanie ci się krzywda. Feliks jest wspaniały, wiem o tym, wiem, że przeprosił. Ja też przepraszam, jestem może zbyt ostrożna. Znasz mnie, boję się własnego cienia - zakończyła z bladym uśmiechem.

Mówiła szczerze, ale Hanna była oburzona sugestią, że Feliks tak naprawdę jej nie kocha. Poza tym nadal była zła, że zostawił ją samą na cały miesiąc, ale żeby Emma mówiła o tym w taki sposób, jakby jej współczuła? Nie, tego już za wiele. Jak ona śmie?

- Wiem, Emmo, wydawało ci się, że mi pomagasz, ale tak nie jest - odparła chłodno. - Wychodzę za Feliksa. Myślałam, że będziesz się cieszyła razem ze mną.

- Ależ cieszę się! - zapewniła Emma.

- Dziewczynki, nie kłóćmy się - poprosiła Leonie. - Kiedy skacze cię sobie do gardeł, czuję się jak w domu, z Mel i Dannym.

Hanna uśmiechnęła się lekko.

- Masz rację. Zmieńmy temat, dobrze? - zaproponowała.

Dolały sobie kawy i starały się rozmawiać dalej, ale napięcie zostało. Emma nie mogła tego wytrzymać.

- Muszę już iść - mruknęła. - Zadzwońię do was w tym tygodniu. - I już jej nie było.

Hanna i Leonie popijały kawę w milczeniu. Hanna wbiła wzrok w kominiek

- Chciała ci pomóc i tyle - Leonie, wieczny rozjemca, starała się poprawić atmosferę. - Bardzo cię lubi i jest ostrożna. Obie wiemy, że Feliks za tobą szaleje. - Nie do końca prawda, bo ani ona, ani Emma nie miały okazji go poznać, znały tylko wersję Hanny: Feliks jest boski i za nią szdeje.

- Wiem, wiem - westchnęła Hanna. - Chyba trochę przesadziłam. Zapomnijmy o tym, dobrze?

, Lecz choćby chciała, nie mogła zapomnieć słów Emmy.

Były jak zły omen, posępna wróżba w pogodny dzień. Po wyjściu Leonit Hanna krzątała się po mieszkaniu, poprawiała poduszki, układała bibeloty. Słowa Emmy nie dawały jej spokoju. Właściwie jak bardzo jest pewnauczuć Feliksa? Znikł bez słowa, nie martwił się o nią. Czy to się powtórzy?

- Hanna zwariowała, że za niego wychodzi - oznajmiła Emma tego wieczora. Zmywali z Petem naczynia.

- Dlaczego tak uważasz, Em?

- Nie wiem, jest w tym facecie coś, co mnie odrzuca. Przede wszystkim imię. No wiesz, Feliks? Daj spokój, pochodzi spod Birmingham. Feliks Andretti? Nie uważasz, że to trochę... pretensjonalne?

- Może jego rodzice nie są Anglikami - mruknął Pete.

- Tak, a ja jestem Chinką. Znikł bez słowa na cały miesiąc, a potem wraca i spodziewa się, że Hanna przyjmie go z otwartymi ramionami! Drań i tyle. Poza tym widziałam go w „Hello” na zdjęciu z inną kobietą. Nie powiedziałam tego Hannie, nie mogłam. - Emma zamknęła oczy. - Kto wie, co porabiał przez ten miesiąc. Pewnie dla niego wierność to tylko cecha dobrego psa.

Pete parsknął śmiechem.

- Jesteś cudowna, kiedy się złościś, wiesz o tym?

- Widzisz, gdybym nic nie powiedziała, nie postąpiłabym jak przyjaciółka - wypłukała ostatni talerz i wytarła zlew. - Nie ufam mu, chciałam wytłumaczyć Hannie, o co mi chodzi. Ale tak się zdenerwowała, że stchórzyłam i wycofałam się w ostatniej chwili.

- Jeśli naprawdę jesteś tego zdania, spróbuj jeszcze raz. Zadzwoń do niej i powiedz, że bardzo ją lubisz i nie chcesz, żeby cierpiała - zaproponował Pete.

- Chyba tak zrobię. Z drugiej strony, była wściekła, że w ogóle poruszyłam ten temat. Nie odezwie się do mnie, jeśli zrobię to jeszcze raz. - Westchnęła ciężko. - Za trzy minuty zaczyna się nasz ulubiony serial. Ja zaparzę herbaty, ty przyniesiesz ciasteczka.

Tej nocy znowu śniła o dziecku. Sen był bardzo rzeczywisty, bardzo intensywny. Stała w centrum handlowym, już miała wejść do supermarketu, ale była zmęczona i bała się, że to zaszkodzi dziecku. Dziecko! Pomyślała ze zdumieniem. A potem spojrzała w dół i zobaczyła, że ma wystający brzuch, jak w ciąży. Przez następnych kilka minut kurczowo trzymała się za brzuch, jakby się obawiała, że coś z niego wypadnie. Głaskała go, pieściła, mówiła do niego. Było to cudowne uczucie; świadomość, że jest w ciąży, uczucie, że rośnie w niej mała istotka, którą musi chronić. Mała dziewczynka. Nie wiadomo skąd wiedziała, że to dziewczynka, ale była tego pewna. Rozmawiała z różnymi ludźmi, między innymi z Petem i matką ale nie przyznała się, że jest w ciąży, bała się, że wypowie to w złą godzinę. Postanowiła dla pewności zrobić test ciążowy, ale kiedy szła do apteki, bosy, nie wiadomo dlaczego, apteka zmieniła się w sklep spożywczy. Wiedziała, że musi zrobić test ciążowy, ale nie mogła nigdzie znaleźć apteki. Poza tym musi usiąść, tyle chodzenia może zaszkodzić dziecku, do tego zaczęło padać i... obudziła się. Przez chwilę jeszcze wydawało się jej, że jest w ciąży, sen był taki realistyczny. A potem Pete się poruszył i zachrapał. Senne marzenie rozwiało się, wróciła rzeczywistość. Spojrzała na zegarek: szósta trzydzieści, niedługo zadzwoni budzik. Nie jest w ciąży. Nie musiała dotykać brzucha, żeby sobie o tym przypomnieć.

Wstała, wiedziała, że już nie zaśnie, zresztą wcale by nie chciała. Gdyby wrócił tamten sen, nie zniosłaby ponownego rozczarowania po obudzeniu.

Cichutko zeszła na dół, zaparzyła herbatę. Cały czas dręczyło ją uczucie straty. Skoro tak cierpi po stracie dziecka ze snu, co czują matki, które tracą prawdziwe dzieci, przemknęło jej przez głowę. Jak można po tym żyć? Nie można. Codziennie opłakujesz utracone dziecko.

Znużona, oglądała poranny program w telewizji. Nie chciała o niczym myśleć.

Pete wszedł do pokoju, gdy zgasiła telewizor. Był zaspany, przerzedzone włosy sterczały zabawnie.

Nie wiadomo dlaczego zirytowała ją jego obecność. Pochylił się i pocałował ją w usta.

- Dlaczego wstałaś tak rano? - zapytał. Ciężko opadł na kanapę, zamknął oczy.

- Nie mogłam spać - warknęła. Naprawdę, czy on nic nie widzi? W ogóle nie ma pojęcia, co się z nią dzieje? Ci mężczyźni!

Rozdział 22

Tygodnie mijały. Po kwietniu przyszedł maj, najcieplejszy od wielu lat. Feliks zabijał czas, ucząc się roli w filmie, w którym zagra we wrześniu, i podkładał głos w reklamówkach, żeby z czegoś żyć. Nadal nie wiedział, czy dostał role w dwóch serialach, i codziennie wydzwaniał do swojej agentki do Londynu. Rachunki telefoniczne były niebotycznie wysokie. Feliks miał huśtawkę nastrojów, jednego dnia był pełen optymizmu, drugiego wpadał w panikę.

Hanna cały czas pracowała w agencji nieruchomości. Któregoś dnia wróciła do domu, szalejąc z radości: David James planował otworzyć filię w Wicklow. Czy nie chciałyby awansować?

- To doskonała propozycja - tłumaczyła Feliksowi tego wieczoru. Przechadzali się Dawson Street, umówili się z jego znajomymi w Cafe en Seine. - Nie mieści mi się w głowie, wiele się zmieniło w moim życiu podczas tego roku. Praca, ty, wszystko... - Uśmiechnęła się promiennie. - To cudowne. Ty jesteś cudowny, Feliksie Andretti. David powiedział, że porozmawiamy o nowej filii za miesiąc, więc mam jeszcze czas. Twoim zdaniem powinnam przyjąć tę propozycję?

- Jasne, skarbie - mruknął od niechcienia. Dostrzegł znajomych. Wszyscy mieli na nosie okulary słoneczne, jakby nie zauważyli, że słońce dawno zaszło.

- O, są. Cześć, chłopaki.

W czwartek rano Hannie cały czas chodziło po głowie powiedzonko Emmy: „Człowiek strzela, pan Bóg kule nosi”. Oto kwintesencja mojego życia - powtarzała Emma.

Osobiście Hanna uważała, że to zbyt pesymistyczne podejście. Jej zdaniem nasz los jest w naszych rękach. To, co się dzieje, zależy tylko od ciebie, nie od losu czy przeznaczenia. Gdyby wszyscy myśleli jak Emma, do dziś tkwilibyśmy w średnowieczu.

Więc to nie było motto Fanny, absolutnie nie. Twój los w twoich rękach - tym się kierowała.

Jej wiara zachwiała się poważnie w czwartkowy rano bezpośrednio po amorach Feliksa. Bardzo ubiła kochać się rano i nadal rozkoszowała się jego bliskością, gdy nagle odsunął się od niej i zaklął po nosom.

- Co jest? - zapytała lenwie, z uśmiechem na ustach.
- Prezerwatywa pękła - nruknął.
- Co? - Usiadła.

Obejrzał opakowanie.

- Już drugi raz.

Wyrwała mu paczuszkę.

- Są przeterminowane, Feliks - krzyknęła. - Skąd je masz?
- Skończyły mi się, te znalazłem w plecaku - wzruszył ramionami.
- Termin ważności minął dwa lata temu! - Hanna denerwowała się coraz bardziej. - I mówisz, że to już druga. Nie przypominam sobie pierwszej?

- To tylko cholerna prezerwatywa! - warknął. - Naprawdę, Hanno, czasami robisz dużo hałasu o nic.

- Wiesz, Feliks, z niczego mogą być poważne kłopoty. Na przykład dziecko - rzuciła podniesionym głosem.

Poszła do łazienki, nadal zdenerwowana. Wydawało się jej, że zawsze się zabezpieczali. Emma powtarzała, że po trzydziestym piątym roku życia płodność kobiety się obniża, co dodatkowo uspokajało Hannę, przecież ma trzydzieści siedem lat. Zawsze używali prezerwatyw... Skrzywiła się pod silnym strumieniem wody. Prezerwatywa nic nie pomoże, jeśli data ważności minęła dwa lata temu. To tak, jakby skoczyła z samolotu z wadliwym spadochronem.

Nie zjadła śniadania. Jakoś nie miała apetytu.

W drodze do bungalowu v Killiney, pierwszego domu, który miała dzisiaj pokazać klientom, usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miała okres. Nie zapisywała tego, tylko zapamiętywała wydarzenia związane z miesiączką. W Nowy Rok, to pamiętała, miała wtedy straszne skurcze i skończyły się jej tampony. Ale to była ostatnia miesiączka, któ-

ra pamiętała. Na pewno później też miesiączkowała, ale kiedy? Wściekła na siebie i na Feliksa, zatrzymała się przy aptece i kupiła test ciążowy. Dlaczego nie zażywa tabletek antykoncepcyjnych? W takich sprawach nie można polegać na mężczyznach, twoja płodność to twój problem.

W domku okazało się, że właściciele wyszli do pracy. Hanna, rada nierada, skorzystała z ich łazienki, żeby przeprowadzić test. Czytała gdzieś, że zdarzało się, że agenci handlu nieruchomościami uprawiali seks w domach, które mieli sprzedawać. Była tym oburzona. Ale skorzystanie z toalety to zupełnie co innego.

Zrobiła test, wsadziła go na samo dno torebki i z szerokim uśmiechem na twarzy otworzyła drzwi klientom. Oglądali dom przez ponad pół godziny. Niebieska kreska na teście ciążowym pojawiła się dużo wcześniej.

Kiedy Hanna znowu została sama, spojrzała na test i przeklinała Feliksa, producentów prezerwatywy i siebie, w tej kolejności.

- Dziecko, cholera jasna? - krzyknęła na cały głos.

Co za ironia losu. Biedna Emma oddałaby wszystko, byle być w jej sytuacji. Emma pragnie dziecka całym sercem. I nagle Hanna, która z trzech przyjaciółek jest najmniej macierzyńskim typem, jest w ciąży. Jej zdaniem nawet zwierzęta, które pożerają swoje małe, mają więcej instynktu macierzyńskiego niż ona. Nie interesują jej dzieci. No dobrze, przyznała, maluchy kuzynki Mary są kochane. Krystle i Courtney są milutkie, ale to nie znaczy, że chciałyby z nimi zamieszkać.

W drodze do biura na głos zastanawiała się, dlaczego akurat ona musiała zająć w ciążę. Ma przed sobą karierę, wspaniałego narzeczonego, a teraz mały wrzeszczący bachor wszystko zepsuje. Cudownie, cholernie cudownie.

Carrie, recepcjonistka, powitała ją, wymachując plikiem wiadomości.

- Feliks dzwonił - zaczęła i zaraz się zarumieniła. Widziała go kilka razy, kiedy przyjeżdżał po Hannę, i wyraźnie się w nim zadrzyżała. A Feliks nie ma nic przeciwko temu, pomyślała Hanna z irytacją. Przypomniała sobie, jak przysiadł na biurku Carrie i z nią flirtował.

- Twierdzi, że to pilne.

Niech no poczeka, aż ja mu przekażę moją pilną wiadomość, pomyślała pęsepnie.

- Skarbie! - krzyczał w słuchawkę. - Nie uwierzysz! - Słysząc było, że zaczął już oblewać nowinę, czyli to dobre wieści. - Dostałem się do *A Moment In Time* I to rolę główną! Udało nam się, ta rola to początek kariery! Nie uwierzysz, ile mi zapłacą. Bill mówi, że uparli się na mnie

i mogą zażądać, ile chcą. Edwin Cohen, reżyser, jest bardzo znany w Stanach. Nigdy nie kręci dla telewizji. Wiesz, co to znaczy, że będę z nim pracował?

- Cudownie, kochany. - Naprawdę się cieszyła, ze względu na niego. Ale wynik testu ciążowego skutecznie tłumił jej radość.

- Ja też mam ci coś do powiedzenia. Poczekaj chwilę, zostawiłam coś w samochodzie - skłamała. - Zaraz zadzwonię.

Zadzwoniła z telefonu komórkowego.

- Feliks, to wspaniale. Niestety, moje nowiny nie są równie radosne. - Nie ma sensu owijać w bawełnę. Musi mu to powiedzieć prosto z mostu:

- Jestem w ciąży.

- Fantastycznie!-wrzasnął.

Hanna oniemiała ze zdumienia. Nie takiej reakcji oczekiwała. Spodziewała się jęków i narzekań, że to nieodpowiedni czas na dziecko, że jego płacze i krzyki zakłóca Feliksowi sen i nie pozwolą tak często bawiać. On tymczasem cieszył się jak mały chłopiec.

- Kochanie, tak się cieszę! Zaraz się pobierzemy! Może na Seszelach? To cudowna wiadomość. Bill poszuka nam domu w Londynie, powiem jej, że koniecznie z pokojem dzieciennym. Co więcej - niemal widziała jego uśmiech - Edwin Cohen to taki rodzinny typ. Jego żona jest w ciąży z piątym dzieckiem, przyjedzie tu do niego z LA na czas zdjęć. Zaprzyjaźnisz się z nią, bardzo mi tym pomożesz. Muszę kończyć, skarbie, spieszę się. Wieczorem porozmawiamy. Pa.

Hanna schowała komórkę i analizowała słowa Feliksa. Przeprowadzka do Londynu? Zaprzyjaźnić się z żoną reżysera, która także spodziewa się dziecka? A co z jej *pracą*, życiem, przyjaciółmi? To śmieszne, *nie* miała takich planów, jej życie zaczyna się toczyć w kierunku, którego wcale sobie nie wybrała.

Kocha Feliksa, tak, ale czy chce mieć dziecko? I zamieszkać w Londynie? Nie wiedziała. Nigdy dotąd nie myślała o dziecku.

Przed lunchem zadzwoniła do Leonie.

- Zwariuję, jeśli z kimś nie pogadam - stwierdziła. - Masz pół godziny na kanapkę?

- Nawet całą. Coś nie tak, Hanno?

- Pogadamy, jak się zobaczymy.

- To chyba nie Feliks? - zapytała niespokojnie Leonie. Weszły do małej knajpki położonej mniej więcej w połowie drogi.

- W pewnym sensie - mruknęła Hanna. - Jestem w ciąży.
- To cudownie! - pisnęła Leonie, ale zobaczyła, że Hanna się nie cieszy. - Czy nie? - zapytała. Hanna milczała. - Czyli nie chcesz tego dziecka - stwierdziła powoli.

Przyjaciółka zagryzła dolną wargę.

- Sama nie wiem, czego chcę, Leonie. Nigdy nie planowałam dziecka. Nigdy nie poganiał mnie zegar biologiczny ani nic takiego. Zdaję sobie sprawę - podniosła głowę - że jestem wyjątkiem. Ale naprawdę tak czuję. Niektórzy pragną dzieci. Ja nie.

- Więc to nieplanowane? - zapytała Leonie.

Hanna parsknęła śmiechem.

- A czy Dolly Parton sypia na plecach?

- Co na to Feliks?

- O dziwo, nie posiada się z radości. Myślałam, że sam zapakuje mnie na pierwszy prom do Anglii, żebyśmy usunęła, a on cieszy się jak dziecko. - Nie dodała, że dostrzegł korzyści płynące z posiadania ciężarnej żony - dzięki niej zyska w oczach reżysera. - I chce, żebyśmy się jak najszybciej pobrali - dodała.

- To miłe.

- Tak, ale to nie on będzie chodził z brzuchem jak wieloryb, nie on będzie musiał porzucić pracę i przyjaciół i wyjechać do Londynu.

- Nie musisz rezygnować z pracy tylko dlatego, że spodziewasz się dziecka! Cięża to nie choroba - zachnęła się Leonie.

- Nie o to chodzi - powiedziała Hanna ponuro. - Feliks dostał rolę w filmie. Przenosimy się do Londynu.

- Och!

Zajadały kanapki i rozważały, co Hanna ma zrobić. W końcu stwierdziła, że wszystko dzieje się za szybko.

- Brałam pod uwagę aborcję, ale sama nie wiem - stwierdziła, mieszając kawę. - Czy mogłabym się z tym uporać? Pamiętam, jako nastolatka powtarzałam sobie, że od razu usunęłabym ciążę. Tylko że wtedy nawet nie wiedziałabym, do kogo się zwrócić. Wtedy na samą myśl o „wycieczce do Anglii” wszyscy się rumienili. Ale teraz wydaje mi się, że to egoizm, usunąć ciążę tylko dlatego, że komplikuje moje plany.

- Nic ci nie poradzę, Hanno. Sama musisz zdecydować.

- Wiem.

Wróciła do domu z bólem głowy. Przez cały dzień myślała o ciąży, zastanawiała się, co teraz robić, szukała najlepszego wyjścia.

- Kochana! - Feliks porwał ją na ręce, ledwie stanęła w progu. - Matka mojego nienarodzonego dziecka!

Odepchnęła go z ciężkim westchnieniem.

- Sama nie wiem, Feliks. Czy to odpowiedni moment na dziecko? Nie jesteśmy na to przygotowani, nigdy o tym nie rozmawialiśmy, sama nie wiem, czy tego chcę.

- Jak to? Bierzesz pod uwagę aborcję? - spojrzał na nią chłodno. - Nie mieści mi się w głowie, że w ogóle o tym myślisz, Hanno. Jak mogłabyś to zrobić naszemu dziecku? Myślałem, że mnie kochasz?

- Kocham - potwierdziła nieszczęśliwa. - Po prostu mam wrażenie, że wszystko dzieje się poza mną. Wczoraj miałam przed sobą karierę. Mieliśmy kupić dom tutaj, w Irlandii. A dzisiaj jestem klaczą rozplodową, która musi iść za tobą, gdziekolwiek się wybierasz.

- Hanno, słyszałem, że hormony szaleją w ciąży, ale to przesada. No dobra, martwisz się, że odejdziesz z pracy, ale w Londynie też się handluje nieruchomościami. To nie koniec, tylko początek. Będę zarabiał tyle, że wynajmiemy nianię i wrócisz do pracy. Będziesz wolna i niezależna. - Pociągnął ją na kanapę. - Będziesz miała mnie i dziecko. Czy to nie wspaniałe?

Uległa, spojrzała w przyszłość jego oczami.

- Pomyśl, Hanno, śliczny wiktoriański domek z ogródkiem i pokojem dzieciennym. Przyjęcia. Będziesz idealną panią domu. Pasujemy do siebie. Wiedziałem to od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem cię z tym draniem Harrym. Musiałem cię zdobyć, nawet za cenę ślubu. Nie chciałem, żeby on cię dostał.

Serce Hanny na chwilę zamarło.

- Jak to?

Feliks uniósł brwi.

- Kiedy odeszłaś, ten drań miał czelność powiedzieć, że chciał cię prosić o rękę.

Zamrugwała szybko.

- Harry tak powiedział?

- Tak - odparł Feliks jak gdyby nigdy nic. - Coś takiego, myślał, że wybierzesz jego, nie mnie. Powiedziałem mu, gdzie sobie może wsadzić swoje oświadczyzny, bo już jesteśmy zaręczeni, ale się pokłóciliśmy i dlatego wyszłaś.

- Przecież nie byliśmy zaręczeni - zauważyła spokojnie. - Porzuciłeś mnie, Feliks. Nie miałeś prawa okłamywać Harry'ego.

W odpowiedzi wsunął dłoń pod jej koszulkę, odnalazł zapięcie stanika.

- To już przeszłość, kochanie—mruknął. - Harry to twoja przeszłość, ja też nie byłem święty. Ale to już przeszłość. Zapomnij o nim, teraz jesteś ze mną.

Rozdział 2 3

Emma usiadła przy biurku i otworzyła drugą szufladę. Jak wszędzie w jej maleńkim biurku, panował tam idealny porządek: zapasowe opakowanie zszywek, spinaczy, bloczki samoprzylepnych karteczek, notesy z ważnymi telefonami. Sięgnęła głębiej i wyjęła małą kosmetyczkę. Był to, jak określała, zestaw awaryjny. Mieściły się w niej zapasowe majteczki, tampony, czarne rajstopy, stara puderniczka, przybory do makijażu i środki przeciwbólowe.

Potrzebowała ich. Miała okres i bóle stawały się nie do zniesienia. Tak bardzo cierpiała mniej więcej co trzy, cztery miesiące. Ledwie wsunęła tabletkę do ust, Colin Mulhall wszedł do biura ze znudzoną miną sugerującą, że chce z kimś pogadać.

Emma przełknęła tabletki i popiła wodą, zła, że akurat Colin przyłapał ją na łykaniu prochów. Zanim nadejdzie przerwa na lunch, wszyscy się dowiedzą, że biedna Emma ma migrenę/okres/krwotok wewnętrzny albo Bóg jeden wie co jeszcze. Colin lubił przesadzać. O recepcjonistce, która poszła na trzymiesięczne zwolnienie, mówił, że na pewno umiera na raka. Zdziwił się, gdy wróciła zdrowa jak koń. Najwyraźniej ci, którzy twierdzą, że kobiety to straszne plotkary, nigdy nie poznali Cołina, pomyślała Emma ponuro.

- Żle się czujemy? - zainteresował się. Przysiadł na sąsiednim krześle. Pod szyją miał czerwoną muchę w groszki. Wyglądał koszmarnie.

- Głowa mnie boli - burknęła Emma.

- Najlepsze są medytacje - stwierdził. Był fanatycznym wyznawcą New Age i w kółko pouczał wszystkich, jak mogą ulepszyć swoje życie. Potrzeba tylko czasu i otwartości, tłumaczył, jakby tylko on był otwarty, reszta personelu to zakute łby.

- Najlepszy jest paracetamol - zachnęła się Emma. - O co chodzi, Colin?

- Finna nie ma, a Edward chce porozmawiać o konferencji.

Emma się skrzywiła. Finn był rzecznikiem prasowym fundacji. Zawsze razem z Emmą szykował coroczną konferencję. Teraz go nie ma,

a koszmarne Colin jest ostatnią osobą, z którą chciałyby na ten temat rozmawiać, Colin, który nie jest w stanie napisać czterech linijek tekstu bez ośmiu błędów.

- Tak? - Tylko na to było ją stać. Najchętniej wygarnęłyby Colino-
wi, że jest małym gnojkiem, który tylko sobie szkodzi, za wszelką cenę
chcąc awansować, nawet kosztem innych. Lecz Emma nigdy nikomu nie
mówiła takich rzeczy.

- Był ciekaw, co na razie przygotowaliśmy, a ja pozwoliłem sobie
wyrazić moją opinię, ile ta konferencja powinna trwać.

Poczuła się urażona. Takie szczegóły to jej działka. Colin ma poma-
gać Finnowi w kontaktach z prasą. Nie można powiedzieć, żeby dobrze
się przy tym spisywał.

- Czy aby nie przekroczyłeś swoich kompetencji? - zainteresowała się.
- Widzisz - małe oczka patrzyły niewinnie. - Rozmawiałem z dzien-
nikarzami i wszyscy zgodnie twierdzą, że jeśli chcemy być traktowani
poważnie, powinniśmy organizować tygodniowe konferencje, najlepiej
za miastem. Wiesz, żeby ludzie wyjechali i skupili się tylko na tym. -
Powoli się rozkręcał. - Słuchaj, to świetny pomysł, można by pojechać
do Galway albo do Limerick, wynająć mały hotel...

- Na tydzień? - Nie wierzyła własnym uszom. - A niby z czego mie-
libyśmy za to zapłacić? I nie wiem, z jakimi dziennikarzami rozmawia-
łeś, wystarczająco trudno jest ich ściągnąć na cały dzień, mają tyle in-
nych spraw. Tym razem tylko nieliczni zostaną na drugi dzień, a ty chcesz,
żeby wyjechali na cały tydzień? Colin, nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Prychnął, wstał, dumnie odrzucił głowę.

- Edward uznał, że to świetny pomysł - burknął. - Obiecał, że z tobą
o tym porozmawia, ale wolałem cię uprzedzić, żebyś nie była zaskoczona.
Niepotrzebnie zawracałem sobie głowę. Kiedyś byłaś inna, Emmo.
Miła. Nie wiem, kiedy się zmieniłaś, ale zmieniłaś się, to pewne. Nieste-
ty, nie na lepsze. Jesteś zawistną suką! - Z tymi słowami wyszedł.

Emma gapiła się na drzwi z szeroko otwartą buzią. Naprawdę była dla
niego taka okropna? Skarciła go jak przełożona czy jak suka, która poczuła
się zagrożona? Czy Colin ma rację? Tak bardzo się zmieniła? Cóż, trudno
się nie zmienić, życie jest ciężkie, tłumaczyła sobie. Wszyscy, dosłownie
wszyscy mająto, czego pragnie najbardziej. Dziecko, jedno malutkie dzie-
cko, tylko tyle. Czy prosi o zbyt wiele? Jak można od niej oczekiwać, że
będzie spokojna i łagodna, skoro pragnienie dziecka stawało się obsesją!
Trzask. Opuściła wzrok. Złamała jasnozielony ołówek z logo KrisisKids.

Przerażona zdała sobie sprawę, że znowu dopadły ją natrętne myśli
o dziecku. Powoli stawało się to jej głównym zajęciem. Praca, dom, roz-

rywka, seks, wszystko traciło znaczenie. A teraz nawrzeszczała na podwładnego tylko dlatego, że zaproponował nowe rozwiązanie. Colin jest plotkarzem, to fakt, ale nie jest zły. Może rzeczywiście przeszkadza mu, że Emma stoi wyżej od niego, ale to jej zadaniem jest zadbać, by podwładni pracowali dla niej, a nie przeciwko niej. Jeśli Colinowi nie odpowiada kobieta szef, albo jeśli naprawdę chciał zrobić z niej idiotkę, trzeba było to załatwić profesjonalnie, a nie wrzeszczeć na niego. Posunęła się za daleko, to się musi skończyć.

Kiedy zajrzała do gabinetu Edwarda, rozmawiał przez telefon, ale dał znak, żeby weszła.

Skończył rozmowę, uśmiechnął się do niej trochę nerwowo i stwierdził, że chciałby coś omówić.

- Colin Mulhall zaproponował coś nowego i chciałbym to z tobą przedyskutować - zaczął z wahaniem. To dla niego nietypowe. Edward był wyjątkowo szczerzy i prostolinijny, nigdy nie owijał w bawełnę, jeśli miał coś powiedzieć, po prostu to mówił. Tym razem jednak najwyraźniej obawiał się, że Emma zaraz wybuchnie. To straszne, tak bardzo się zmieniła, wszyscy to zauważyli.

- Zdaję sobie sprawę, że konferencje to twoje oczko w głowie.

Skrzywiła się, słysząc te słowa.

- I dlatego nie chcę, żebyś się denerwowała, ale musimy rozważyć wszystkie opcje, jasne?

Emma położyła kres jej cierpieniom.

- Edwardzie, wiem, co chcesz powiedzieć, bo rozmawiałam przed chwilą z Colinem. Ze wstydem przyznaję, że się na niego zdenerwowałam. Z góry odrzuciłam jego propozycję, bo poczułam się zagrożona. *Zaraz go przeproszę. Przyszłam do ciebie, żeby zapytać, czy uważasz, że ostatnio byłam trudna we współpracy, że źle wykonywałam moje obowiązki...* - Niełatwo było zadać to pytanie.

Chwilowe wahanie Edwarda powiedziało jej wszystko.

- Przepraszam - uprzedziła jego słowa. - Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Teraz przeproszę Colina i pójdę do domu. Jutro będę taka jak dawniej.

- Obiecujesz?

Skinęła głową.

Colin się dąsał, ledwie zobaczył Emmę, złapał słuchawkę i udawał, że gdzieś dzwoni. Lecz gdy zaczęła tłumaczyć, że ostatnio żyje w wielkim stresie, rozpozgodził się.

- Tak myślałem - przyznał. - Nie dalej jak dzisiaj rano mówiłem do Finna, że nie jesteś sobą, miłą i pogodną jak dawniej, i nie wiemy, co się z tobą dzieje. Wszyscy rozumiemy, co to stres, więc jeśli kiedyś zechcesz pogadać nad filiżanką cappuccino, zapraszam. Wiesz przecież, że nie pisnę pary z ust.

- Wiem, Colin - przyznała. Dobrze chociaż, że jeszcze ma poczucie humoru. - Jutro porozmawiamy o twoim pomysłe, bo dzisiaj zwalniam się wcześniej.

W domu wyrzuciła do śmieci wszystkie poradniki i uprzątnęła tajną skrytkę w szafie. Serce jej się ścisnęło, gdy wyrzucała książkę o ciąży, poradnik dla karmiących matek i śliczne dziecięce ubranka, którym nie zdołała się oprzeć. Najgorsze były malutkie żółte buciki. Takie małe i śliczne. Kiedy je kupowała, nie mogła się nadziwić, że są na świecie nóżki na tyle małe, by się w nie zmieścić. Od dawna ich nie oglądała. Spojrzała na nie przelotnie i spakowała do worka. Oliwka dla niemowląt, którą zmywała makijaż, wylądowała w koszu na śmieci. Zataszczyła worek z ubrankami do samochodu, pojechała do organizacji charytatywnej Oxfam, zostawiła wszystko na progu i uciekła. Wracała do domu z płaczem. To takie ostateczne. Nie ma dla niej żadnej nadziei, niepotrzebnie się dręczyła, wmawiając sobie, że jest inaczej. I najwyraźniej dręczyła także innych. Nie może mieć dziecka i tyle. Po co niszczyć życie sobie i Petowi na dodatek?

Pojechała do supermarketu po zakupy. Dziwne uczucie, robić zakupy w środku dnia. Zazwyczaj jeździła do supermarketu w weekend albo wieczorem. Wtedy przeważały tam zdenerwowane kobiety ciskające do wózków gotowe dania. Teraz było inaczej, w powietrzu unosił się inny stres: zmęczone matki pchały wózki z zakupami i starały się upilnować rozwrzeszczane dzieci w szkolnych mundurkach, jednocześnie uspokajały szlochające bobasy.

Emma podeszła do kasy, gdzie była najkrótsza kolejka. Przed nią stała drobniutka Chinka z malutkim dzieckiem w nosidełku. Emma starała się nie patrzeć na malucha, gdy kobieta wykładała towary przy kasie. Nie mogła się jednak powstrzymać. Ciemne skośne oczka patrzyły na nią poważnie z małej buzi w różowym kapelusiku.

Dziecko pomachało jej, zwracało na siebie uwagę. Malutkie paluszki z maciupenkimi paznokietkami. Emma zawsze się dziwiła, że tak mała istotka jest doskonałą kopią dorosłego człowieka, ma paluszki, paznokcie i mały zadarty nosek, w tej chwili zmarszczony żałośnie, bo nikt nie zwraca na nią uwagi.

- Śliczna, prawda? - odezwał się głos za jej plecami.
- Drobna staruszka z prawie pustym koszykiem uśmiechała się do dziecka.
- W tym wieku są najładniejsze - zwróciła się do Emmy.
- Tak - burknęła. Nie ma co, atak z każdej strony.
- Ma pani dzieci? - zainteresowała się staruszka.

Gdybym za każde takie pytanie dostała pensa, byłabym bogata, pomyślała Emma ze złością. Pomyślała także, jaką wywołałaby sensację, gdyby wrzasnęła: Nie, nie mam jestem bezpłodna, ty wścibska stara babo! Ale przecież nie powie tego, zwłaszcza nie do miłej staruszki, która pewnie jest samotna i szuka kontaktu z ludźmi.

- Niestety, nie.

Staruszka uśmiechnęła się ciepło.

- Masz jeszcze dużo czasu, moja droga, jesteś taka młoda.
- Proszę, może pani pójdzie pierwsza - zaproponowała Emma. - Pani ma tylko kilka rzeczy, a ja cały wózek.
- Dziękuję, kochana. Bolał mnie ręce od koszyków, zawsze biorę wózek, choćbym robiła małe zakupy. - Wyprzedziła ją i zaraz wdała się w rozmowę z matką dziecka. Emma wzięła z półki gazetę, której wcale nie chciała kupić, i zaczęła czytać. Nie obchodziło jej za grosz, jak na nowo urządzić dom, ale wołała to niż gawędzić o dzieciach.

W domu rozpakowała zakupy i zabrała się za sprząatanie. Wyszorowała wannę, umyła podłogę i akurat taszczyła odkurzacz do salonu, gdy zadzwonił telefon. Hanna.

- Cześć - zaczęła Hanna ostrożnie. - Jesteś chora? Dzwoniłam do pracy i dowiedziałam się, że wyszłaś wcześniej.
- Nie, wszystko w porządku. A co u ciebie? Nic się nie zmieniło? Spotykamy się w przyszłym tygodniu?

Umówiły się do teatru na *Niebezpieczne związki*.

- Tak - Hanna mówiła powoli. - Ale chciałam ci coś powiedzieć. Wołałam nie czekać do przyszłego tygodnia.

Emma się zaciekawiła.

- Feliks zagra Valmonta? - Zdziwiałe, że w obecnym stanie może jeszcze żartować. - A może wygrałaś w Lotto?
- Nie. - Hanna był bardzo poważna.
- Więc co?
- Jestem w ciąży. Wołałam ci powiedzieć to sama, niż żeby wyręczyła mnie Leonie. Bo wiem, że będzie ci ciężko...

Emma prychnęła, ale udało jej się zmienić to w śmiech.

- Dlaczego ma mi być ciężko, Hanno? Cieszę się. Pewnie jesteście z Feliksem w siódmym niebie? Kiedy?

Słowa stawały jej w gardle, ale wiedziała, że musi coś powiedzieć, Hanna to jej przyjaciółka.

- Na początku grudnia. Szczerze mówiąc, umieram ze strachu - przyznała. - Wiem, to okropne, ale nigdy nie myślałam, że będę miała dziecko a teraz... cieszę się i w ogóle, ale... jestem przerażona. A jeśli będę złą matką? Okropną? Wszystkim się wydaje, że to takie naturalne, ale to bzdura.

- Nie panikuj - uspokoiła ją Emma. - Hanno, jesteś inteligentna, doskonale sobie radzisz w pracy i poradzisz sobie w każdej sytuacji. Chcesz powiedzieć, że zemdlejesz na widok pieluchy albo na myśl o tartej marchewce?

Hanna roześmiała się wbrew sobie.

- To nic strasznego - ciągnęła Emma. - To będzie twoje dziecko i zaraz je pokochasz. Być może nie będziesz taką matką, która uprawia rabarbar w domowym ogródku, ale poradzisz sobie.

- Chyba tak. Tylko że Feliks już teraz traktuje mnie jak Madonnę ze średniowiecznego obrazu. Chyba już mu się nie podobam - przyznała.

- To też normalne. Niektórzy faceci sobie z tym nie radzą. Wiesz, to odwieczny paradoks kobiety - kochanki i madonny. Byłaś kochanką, a teraz jesteś matką dziecka, więc nie sprofanuje cię seksem.

- Nadajesz się na psychiatrę - stwierdziła Hanna. - A ja myślałam, że Feliks znowu ma jakieś pretensje.

- No co ty, jesteś jego narzeczoną. Ty powinnaś wiedzieć najlepiej. Być może za dużo się naczytałam poradników - stwierdziła Emma sucho. Pomyślała o stercie, którą niedawno wyrzuciła.

- Jesteś wspaniałą przyjaciółką - odezwała się Hanna. - Tak się bałam powiedzieć ci o tym. Posłuchaj, muszę kończyć. Muszę pokazać dom dwójce kretynów, którzy nie wiedzą, czego chcą. Zobaczymy się w przyszłym tygodniu, dobrze?

- Dobrze. - Emma odłożyła słuchawkę.

Dobrze, że wyrzuciła wszystkie dziecięce rzeczy. Chwilami miała wrażenie, że sobie z niej drwią. Nie mogła jednak powstrzymać się od łez. Co za ironia losu. Hanna, która nie chce dzieci, nieoczekiwanie zaszła w ciążę. A ona... Po co znowu to wałkować? Przynajmniej udało się jej skutecznie okłamać Hannę co do swoich uczuć.

Psychiatra. Dlaczego nie pójdzie do terapeuty? Teraz wszyscy to robią. Może by pomogło? Nie dawała sobie już rady z natłokiem uczuć, nie umiała uciec od bolesnych myśli. Oczywiście, może nic z tego nie wyjdzie, ale warto spróbować.

Otworzyła książka telefoniczną na długim spisie nazwisk. Wybrała tych, którzy mieszkali najbliżej.

Elinor Dupre. Nazwisko brzmiało obco, z francuska. Może nie mówi po angielsku. Co za skuteczna terapia, gdzie nikt nikogo nie rozumie. Wykręciła numer. Spodziewała się usłyszeć automat albo sekretarkę, tymczasem odebrała kobieta z czystym brytyjskim akcentem.

- Elinor Dupre, słucham.

- Ja... eee... dzień dobry, nazywam się Emma Sheridan, znalazłam panią w książce telefonicznej - wybałała Emma. - Muszę mieć skierowanie od lekarza czy... - urwała.

- Nie, nie musi pani. Ale proszę powiedzieć, czemu chce się pani ze mną spotkać. Nie wiadomo, czy będę w stanie pani pomóc.

Miała spokojny kojący głos. Emma odczuła głupią potrzebę, by opowiedzieć wszystko przez telefon, ale ograniczyła się do stwierdzenia:

- Nie mogę mieć dzieci i to rujnuje mi życie, to wszystko.

- To poważny problem - odparł spokojny głos. Wydawało się, że Elinor Dupre wszystko rozumie. - I nie zbyłabym tego, mówiąc: to wszystko - dodała delikatnie. - Kiedy chciałaby się pani ze mną spotkać?

Emma rozpląkała się, sama nie wiedziała dlaczego.

- Przepraszam - chlipnęła - To głupie, nie wiem, czemu płaczę.

- Bo nadeszła odpowiednia pora - usłyszała. - Podjęła pani decyzję i odczuła ulgę. Jeden z pacjentów odwołał dzisiaj wizytę o wpół do siódmej. Może być?

- Tak, proszę. - Emma nie wiedziała, czy wytrzyma do wpół do siódmej. Nagle rozmowa z kimś, kto zrozumie, wydała się najważniejszą rzeczą na świecie.

Elinor Dupre mieszkała w wysokim wiktoriańskim domu na końcu wąskiego zaułka. Gabinet mieścił się w suterenie, Emma widziała światła, zanim wysiadła z samochodu. Nie zdążyła zapukać, a drzwi już się otworzyły.

- Proszę bardzo. - Elinor Dupre uśmiechnęła się ciepło. Zbliżała się do sześćdziesiątki, miała długie ciemne włosy upięte w kok i piękną, barwną szatę. Jediną ozdobę stanowił zegarek na łańcuszku na szyi.

Zaprowadziła Emmę do przestronnego pokoju z kominkiem i dwoma fotelami. Przy jednym stało pudełko chusteczek.

Elinor usiadła w drugim fotelu, otworzyła notes i czekała, aż Emma umości się w fotelu bliżej chusteczek.

Emma poprawiła poduszkę za plecami, rozglądała się nerwowo. Nagle nie chciała spojrzeć Elinor w oczy. Kiedy już tu przyszła, nie wiedziała, co ma powiedzieć. Czy to nie marnowanie czasu i pieniędzy?

I dlaczego Elinor nic nie mówi? Dla niej to normalka, to jej praca, wie, co będzie dalej. Emma nie miała pojęcia.

Jakby czytając w jej myślach, Elinor odezwała się w końcu:

- Nasze spotkania nie mają żadnych zasad - wyjaśniła. - Teraz może wyda ci się to dziwne, ale psychologia nie działa w ten sposób. Przyszłaś tu, bo potrzebujesz...

- Twojej pomocy - Emma wpadła jej w słowo.

- Właściwie, Emmo, sama sobie pomożesz - poprawiła Elinor poważnie. - Są różne rodzaje psychoanalizy. Ja uprawiam terapię kognitywną, a to znaczy, że sama rozwiązujesz swoje problemy. Ja jestem przewodnikiem, pomocnikiem, i tyle. Czasami będę zadawała pytania, które pomogą mi zrozumieć, ale przez cały czas ty siedzisz za sterami.

Emma parsknęła gorzkim śmiechem.

- A to coś nowego - syknęła.

Elinor nic nie powiedziała, ale lekko przechyliła głowę, jakby chciała zapytać, dlaczego.

- Nie wiem, czemu to powiedziałam - Emma wycofała się szybko.

- Bo czujesz, że to prawda? - podsunęła Elinor.

- No... tak... czasami... Nie wiem - Emma błędziła wzrokiem po pokoju. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Nie ma odpowiedzi dobrych i złych - powiedziała Elinor. - Mów, co czujesz? Kiedy, dlaczego twoim zdaniem nigdy nie siedzisz za sterami?

- Bo nikt mnie nigdy nie słucha! - wybuchła, zdumiona gwałtownością w swoim głosie. - Nikt! Nie, Pete owszem, ale tylko on. Matka, ojciec, Kirsten - nigdy! Ojciec uważa, że jestem głupia. Nienawidzę go!

Umilkła, zaszokowana. Powiedziała to i nie trafił jej grom z jasnego nieba, świat się nie zawalił, nikt nie patrzył na nią z wyrzutem i nie krzyczał, że powinna się wstydzić. Elinor słuchała spokojnie, jakby przywykła, że pacjenci mówią okropne rzeczy o tych, których powinni kochać.

- Nie wierzę, że to powiedziałam - stęknęła Emma.

- Ale chciałaś tego? - dopytywała się Elinor cichym, spokojnym głosem.

- Tak. Nawet nie wiesz, jak to jest, mieszkać z nimi. Kocham Kirsten, naprawdę, ale jest ich oczkiem w głowie. Nie jestem o nią zazdrosna, to nie o to chodzi - tłumaczyła mętnie, chcąc wszystko wyjaśnić. - Kirsten jest wspaniała, taka zabawna i pełna życia, i wcale jej tego nie zazdroścę. Ale sama już nie wiem, co mam zrobić, żeby mnie zaakceptowali taką, jaka jestem. Żeby ojciec na mnie nie krzyczał, nie poniżał mnie... Czy to ma sens?

Elinor tylko skinęła głową.

- Mam trzydzieści dwa lata, a nadal traktują mnie jak dziecko, i to głupie dziecko. Nie mogę się wyzwolić. Wiesz - Emma utkwiała wzrok w obrazie na przeciwległej ścianie - zazdroszczę ludziom, którzy emigrują, bo zostawiają wszystko za sobą. Nikt ich nie traktuje jak dzieci, inni szanują ich zdanie. Zastanawiałam się już, czy nie zaproponować Petowi, to mój mąż, żebyśmy wyjechali, nie wiem, do Australii albo do Ameryki. Ale to byłoby nie w porządku. Bo on kocha swoją rodzinę. Ja moja też - dodała pospiesznie. - Tylko że...

- Nie musisz się z niczego tłumaczyć - Elinor wpadła jej w słowo - o tej godzinie ten pokój jest twój, mówisz tu, co tylko zechcesz.

- Nigdy tego nie robię - wyznała Emma. - Chyba że w pracy, ale tam jestem kimś innym. Ale nie wyobrażam sobie, żebym mogła powiedzieć rodzicom, co naprawdę myślę, nigdy. Jestem taka głupia.

Rozpłakała się. O dziwo, nie było jej wstyd, że płacze przy obcej osobie. Teraz zrozumiała, po co były chusteczki przy fotelu.

Po godzinie Emma była w rozsypce. Siedziała cicho, a Elinor szukała w kalendarzu terminu na następne spotkanie.

- Dzisiaj ktoś odwołał wizytę - tłumaczyła - w przyszłym tygodniu musimy się spotkać w innym terminie. Pasuje ci wpół do szóstej w poniedziałek?

Emma wyszła na ulicę, wstrząśnięta do głębi. Spędziła godzinę w towarzystwie Elinor, ale niczego się o niej nie dowiedziała. Tymczasem sama opowiedziała wszystko. Elinor wyciągała z niej informacje bez wysiłku, nie naciskała, nie wypytywała, ale Emma miała wrażenie, że musi powiedzieć. Czasami Elinor coś notowała, ale robiła to na tyle dyskretnie, że Emma nie zwracała uwagi.

Dziwne, wcale nie mówiła o dziecku, o tym co najważniejsze, przecież właśnie dlatego zdecydowała się na terapię. A nawet nie poruszyła tego tematu.

Wracała do domu wyczerpana jak nigdy dotąd. Nie miała nawet siły na ulubiony serial w telewizji. Była słaba. I smutna. To też dziwne. Myślała, że terapia uwalnia od demonów przeszłości i człowiek staje się wolny, a ona jest ledwo żywa i nieszczęśliwa. Od tej pory może już być tylko lepiej.

Było gorzej. W następnym tygodniu wiedziała już, czego się spodziewać u Elinor i postanowiła, że nie będzie płakać. Przecież to śmieszne, żeby szlochać jak dziecko. Marnuje cenny czas, zamiast starać się rozwijać swój charakter.

- Chodzi o siłę - stwierdziła. - Mam siłę, ale nie używam jej, pozwalam, żeby mi ją odebrali.

Elinor przekrzywiła głowę. Często to robi, zauważyła Emma. To oznacza: rozwiń tę myśl.

- Mogłabym powiedzieć ojcu, żeby się odczepił, ale tego nie robię, bo ilekroć go widzę, czuję się, jakbym znowu miała cztery latka.

- A poczułabyś się lepiej, gdybyś mu powiedziała, żeby się odczepił? - zapytała Elinor.

Emma nerwowo kręciła stopą, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Może tak. Wpadłby w szal, ale chyba warto byłoby... Ojciec mojej przyjaciółki Hanny jest alkoholikiem i nieraz mu powiedziała, żeby się odpieprzył, ale to co innego.

- Hanna to jedna z przyjaciółek z urlopu? - Elinor szykowała się do notowania.

- Tak. Jest w ciąży.

I wtedy zaczęła płakać. Nie szlochała histerycznie, nie spazmowała, tylko łkała cicho, jakby słowo „ciąża” otwierało śluzę. - Nie wiem, czemu płaczę - powiedziała głupio. - Oczywiście, wiedziała.

Elinor milczała długo, aż w końcu zapytała:

- Czy płakałaś już przy kimś z tego powodu?

- Przy Hannie i Leonie, wtedy, na urlopie. Byłam pewna, że jestem w ciąży... Wszyscy pytają, kiedy będziemy mieć dzieci - szepnęła. - W zeszłym tygodniu zapytała mnie staruszka w supermarkecie. W niedzielę krewna dopytywała się, kiedy pomyślę o dzieciach. Mam tego dosyć. Chcę im powiedzieć, żeby się odpieprzyli.

- Musisz popracować nad mówieniem, czego chcesz - powiedziała powoli Elinor. - Musisz być na tyle pewna siebie, żeby powiedzieć: tak, tego chcę, a jeśli innym to się nie podoba, to ich sprawa. Twoja sprawa to to, jak ty się czujesz. A ich reakcje to ich sprawa. Nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za uczucia innych.

Emma milczała. Nigdy nie mówiła, co czuje. Uznała, że musi powiedzieć to głośno.

- Nigdy nie mówię, co czuję, no, bardzo rzadko i tylko nielicznym. Nie wiem dlaczego.

- Chcesz, żeby cię aprobowano - wyjaśniła Elinor. - Milczysz nawet w sprawach dla ciebie ważnych. Czekasz i oceniasz, co inni chcą usłyszeć, i dopasowujesz się do nich. Ale dlaczego? Dlaczego podporządkowujesz się oczekiwaniom innych? Spójrz na to z tej strony: czy znasz kogoś, kto zawsze mówi, co myśli, nie zważając na nic? Kogoś, komu nawet do głowy nie przyjdzie napić się białego wina, bo akurat otworzono tę butelkę, jeśli ma ochotę na czerwone?

- Kirsten. To Kirsten wypisz wymaluj.

- Ludzie ją akceptują?
- Tak, wszyscy ją uwielbiają. Zawsze mówi, czego chce.
- Czyli ty także możesz to robić i być lubiana. Dlaczego nie? Myślisz, że jesteś gorsza od Kirsten? Że jej się to udaje, ale tobie nie?
- Tak. Właśnie tak - przyznała Emma. - To źle, prawda?
- Nie wdawajmy się w rozważania, co jest dobre, a co złe - ucięła Elinor. - Powiedz mi jedno: lekarze potwierdzili twoją bezpłodność?

Emma znieruchomiała.

- Nie byłam u lekarza - wyznała.
- Nie? - Elinor zdawała się prowadzić nic nieznaczącą towarzyską rozmowę.

- No, po prostu nie chciałam z nikim o tym rozmawiać - zaczęła Emma.

Elinor nadal patrzyła wyczekująco.

- Nikt nigdy nie stwierdził, że jestem bezpłodna - powiedziała Emma w końcu. - Wiem to i już. Niektóre kobiety od razu wiedzą, że zaszły w ciążę - ja wiem, że to się nigdy nie stanie.

- I dlatego nie poszłaś do lekarza? - dopytywała się Elinor. - Bo wiesz bez badań?

- To oczywiste, że nie mogę mieć dzieci — upierała się Emma.

- Dlaczego?

- Bo nie, bo od lat nie zaszłam w ciążę, dlatego - wybuchła Emma. - Elinor, nigdy niczego nie wiedziałaś tak ód razu?

- Czasami - przyznała Elinor. - A tobie to się często zdarza?

- Nie - przyznała Emma. Irytowała ją ta rozmowa. Oddałaby wszystko za dziecko, ale przecież wie, że nie będzie go miała. Miała wrażenie, że Elinor kwestionuje jej słowa.

Zegar wybił godzinę. Czas minął. Dzisiaj cieszyła się, że już wychodzi.

W drodze do domu analizowała całą sesję. Uderzyło ją, że kiedy pojawił się temat dziecka, Elinor nie krzyknęła: Eureka! Wreszcie dochodzimy do sedna sprawy.

Chyba uznała, że chodzi o coś więcej. Emma westchnęła. Ci, którzy twierdzą, że psychoanaliza to frajda, mają nierówno pod sufitem.

Powiedziała Petowi o terapii w następną niedzielę, gdy jechali do jej rodziców na obiad.

- Nie chcę, żebyś pomyślał, że mi odbija czy coś - zakończyła, wpatrzona w czerwone światło.

Puścił dźwignię skrzyni biegów i zacisnął dłoń na jej ręce. Odważnie uścisk.

- Nie myślę, że ci odbija - powiedział spokojnie. - Zdaję sobie sprawę, że żyjesz w wielkim stresie... w związku z matką i... innymi rzeczami.

Nawet teraz nie rozmawiali o jej pragnieniu dziecka. Nie wiedziała, które z nich jest gorsze - ona, że wpadła w obsesję, czy Pete, że do tego stopnia boi się ją zdenerwować, że nigdy nic nie mówi na ten temat.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa, skarbie. Jeśli terapia ci pomaga, doskonale. Boję się tylko, że nie chcesz ze mną rozmawiać. Jesteś dla mnie najważniejsza na świecie, kocham cię.

Puścił jej rękę, żeby zmienić biegi. Emma tylko skinęła głową, zbyt wzruszona, żeby mówić.

- Chcę z tobą rozmawiać, Pete - wykrztusiła w końcu. - Po prostu są pewne sprawy, które łatwiej przedyskutować z kimś obcym, kto mnie nie zna. Nie złość się na mnie. Tu nie chodzi o nas. Kocham cię, wiesz o tym.

Znowu nakrył jej dłoń swoją.

- Wiem, głuptasie. Gdybym choć przez chwilę pomyślał, że mamy problem, już siedzielibyśmy w poradni małżeńskiej. Nie pozwolę ci odejść, Em. Wiem, że ci trudno, z rodzicami i... - urwał - z ciążą.

- Skąd wiesz? - zapytała cicho.

- Musiałbym być ślepy, żeby nie zauważyć, jak chcesz mieć dziecko. Ale to musi trochę potrwać.

Skinęła głową, nie wiedząc, czy jej ulżyło, czy nie. Pete wiedział, że pragnie dziecka, ale na pewno nie zdawał sobie sprawy z intensywności jej uczuć. Ani z tego, że ona nigdy nie będzie miała dziecka. Nie chodzi o to, że muszą jeszcze poczekać - jest bezpłodna, jałowa, do niczego jako kobieta. Wiedziała jedno: nie może z nim o tym rozmawiać, jeszcze nie teraz.

- Pete - odezwała się - musimy o tym porozmawiać, ale jeszcze nie jestem na to gotowa. Niedługo, ale jeszcze nie.

- Jeśli tego chcesz, w porządku. Ale musimy o tym pogadać, Em. Jesteśmy młodzi, mamy mnóstwo czasu.

Milczała. Zacisnęła usta w wąską kreskę. Nie do wiary, że rozmawiają na ten temat. Petowi wydaje się, że wie, co ona czuje, ale jest w błędzie. Stara się, lecz zrozumie ją tylko druga kobieta. I na tym polega cały dramat.

Pocałowała go w policzek.

- Dziękuję. Nie wiem, czym sobie na ciebie zasłużyłam.

Matka polerowała mosiężną klamkę przy drzwiach wejściowych, gdy przyjechali.

- Witajcie, kochani - mruknęła i ponownie zajęła się pracą.
Pete i Emma spojrzeli na siebie znacząco.

Emma zdziwiła się, widząc w środku Kirsten, choć nie zdziwiło jej, że siostra rozwała się na kanapie i czyta dodatek o pielęgnacji urody. Jej siostra z własnej woli nie zajrzy do kuchni, trzeba ją tam zapędzić. Pieczeń spali się na wiór, zanim Kirsten raczy zajrzeć do pieca.

- Cześć - oderwała się od lektury.

- Widziałas, co robi mama? - zapytała Emma.

- Coś poleruje, prawda? - Kirsten ponownie wsadziła nos w gazetę.

- Poleruje klamkę w drzwiach wejściowych, Kirsten, co jak na nią jest bardzo dziwne, zważywszy, że jest niedziela. W niedziele mama nigdy nie sprząta, tylko gotuje. Nie wydaje ci się, że to dziwne?

Kirsten westchnęła głośno i odłożyła gazetę ze zboląłą miną.

- Szczerze mówiąc, nie. Wiesz, że ma fioła na punkcie czystości. Nie dziwi mnie, że sprząta.

Emma powoli traciła cierpliwość.

- Kirsten, czy ty kiedykolwiek zauważasz coś, co ciebie nie dotyczy?

Siostra prychnęła.

- Nie wiem, o co ci chodzi, Emmo. Akurat teraz mam masę kłopotów.

- Jak to? - Emma przysiadła na kanapie.

- Kłóczę się z Patrickiem. Co za drań. Nawet nie wiesz, jaka z ciebie szczęściara - Kirsten znacząco spojrzała na Peta, który wziął kawałek gazety i udawał, że czyta.

- Co się stało? - zapytała Emma cicho. Dzisiaj nie ma siły na dramaty Kirsten. Pewnie Patrick skomentował niebotyczne rachunki za ciuchy. Nigdy nie tracił panowania nad sobą, godne podziwu osiągnięcie, zwłaszcza jeśli się mieszka z Kirsten. - Pewnie znowu przepuściłaś fortunę na ciuchy? Gucci powinien udzielać ci rabatu.

- Żartuj sobie, ale tym razem to poważna sprawa - burknęła Kirsten.
- bardzo poważna.

Emma nie wierzyła własnym uszom.

- Co rozumiesz przez „poważna”?

- Chce się wynieść do swojego brata na jakiś czas.

- O cholera! - Emma była wstrząśnięta.

- Można tak powiedzieć ~ Kirsten wstała z kanapy i wyszła.

Emma poszła za nią.

- Gdzie tata?
- Coś się stało u ciotki Petry. Pewnie odkryła szczątki gazownika, którego dziesięć lat temu przez pomyłkę zamknęła w garażu. Mam nadzieję, że ojciec zaraz wróci, umieram z głodu.

Zajrzała do pieca. Wyglądała przy tym jak wiktoriańska dama, zagubiona na statku kosmicznym.

- W kuchni jesteś do niczego, Kirsten. - Emma sprawdziła pieczeń, zmniejszyła płomień i zabrała się za warzywa.

- Więc może powinnam się nauczyć. Patrick stwierdził, że nie pozwoli mi dłużej na taki styl życia i że mam iść do pracy. Dokładnie rzecz biorąc, do choleralnej pracy, jak się wyraził.

- Co mu zrobiłaś?

Kirsten zamruwała szybko.

- Przespałam się z innym facetem.

- Aha. Kochasz go? - zapytała Emma z wahaniem.

- Nie. Byłam pijana i tyle. To był błąd. No, nie do końca, facet był świetnym kochankiem — dodała po chwili namysłu.

- Ty idiotko! - Emma była wściekła. Biedny Patrick.

- Czego oczy nie widzą i tak dalej - odparła Kirsten. - Zresztą co ty o tym wiesz? - rzuciła złośliwie. - Idealna zoneczka! To, że ty nigdy nie masz ochoty na skok w bok, nie znaczy, że wszyscy są tacy sami!

- Nie jestem idealna - krzyknęła Emma. - Złoszczę się, bo lubię Patricka, a tobie wcale nie zależy na tamtym facecie. Gdybyś go kochała, poparłabym cię, ale to był szybki numerek po pijaku, prawda? Nic cię nie obchodzą uczucia innych, prawda, Kirsten?

Zaczęło się. Emma nie mogła się powstrzymać. Z jej ust padały wszystkie gorzkie słowa, które chodziły jej po głowie, odkąd Kirsten zaczęła chować głowę w piasek w związku z chorobą matki. Razem mogłyby porozmawiać z ojcem o swoich obawach, lecz bez Kirsten Emma bała się zrobić pierwszy krok. - Samolubna to za mało powiedziane! Masz obsesję na swoim punkcie! - syknęła.

Patrzyły na siebie wrogo.

- A ty myślisz, że jesteś taka rozsądna i obowiązkowa, co? - wrzasnęła Kirsten. - Tylko że rozsądna znaczy w twoim wypadku uległa!

- Nie chciałbym przerywać meczu sezonu w wadze ciężkiej, ale musicie sprowadzić matkę do środka - Pete ostrożnie zajrzał przez drzwi, jakby się obawiał, że oberwie talerzem w głowę.

- A co robi? - Emma zapominała o kłótni.

Pete się skrzywił.

- Posłuchajcie-powiedział tylko.

I usłyszały, jak matka krzyczy, a właściwie wrzeszczy na całe gardło:

- Wynocha, dranie! Wynocha!

- Jezu - szepnęła Kirsten.

* _^d

- Chciałem wprowadzić ją do domu, ale mnie nie słucha - powiedział Pete.

Wybiegli na zewnątrz. Anne-Marie stała przy furtce i groziła pięścią rozbawionym przechodniom.

- Wynocha!

- Jezu, nie mogę na to patrzeć! - Z tymi słowami Kirsten uciekła do domu.

Pete położył żonie rękę na ramieniu. Razem podeszli do Anne-Marie.

- Chodź, mamó - poprosiła Emma, najdelikatniej jak umiała. - Zaparzemy sobie herbatki.

Hanna od miesiąca ćwiczyła, co powie Davidowi.

- Odchodzę, bo jestem w ciąży, więc, niestety, nie mogę przyjąć rewelacyjnej oferty pracy w Wicklow. I dziękuję, że we mnie wierzyłeś, że pozwoliłeś na tak szybki awans.

Nieważne, jak to powie, brzmi okropnie. Głupio i niewdziecznie.

Powoli przyzwyczajają się do myśli, że jest w ciąży i w głębi ducha bardzo cieszyła na dziecko. Czytała książki o ciąży i sumiennie zażywała wapń, starała się właściwie odżywiać. Feliks w kółko podsuwał jej wino i nie rozumiał, czemu nie wolno mu przy niej palić. Najtrudniej przychodziło jej mówić ludziom. Hanna, zawsze taka zorganizowana, nieoczekiwanie zaszła w ciążę. Nieplanowana ciąża pasuje do głupiutkiej trzpiotki, która dryfuje z prądem zamiast sterować.

Matka nie posiadała się z radości. Czekwała ich jeszcze wizyta w Connemara, gdzie jej ojciec pożre biednego Feliksa żywcem.

- Ojciec będzie zachwycony - powtarzała Anna Campbell przez telefon. - Przepada za dziećmi.

Feliks nalegał na ślub przed wizytami u krewnych. Hanna, która już widziała oczyma wyobraźni, jak jej ojciec piekli się nieziemsko, że ominęło go wesele jedynej córki, zgadzała się z nim. Anna Campbell też nie będzie miała nic przeciwko temu. Hanna bardzo chciała poznać rodzinę Feliksa, ale on był bardzo skryty. Nie nalegała więc.

Zanim jednak dojdzie do ślubu i rodzinnych spotkań, musi powiedzieć szefowi. Nie wiedzieć czemu, bardzo nie chciała tego robić.

Zebrała się na odwagę w piątkowe popołudnie. Zaraz po rozmowie ucieknie z biura i nie będzie musiała patrzeć na rozczarowanie Davida.

- Możemy porozmawiać? - zapytała o wpół do szóstej.

- Pewnie. Przyjdź do mnie za pięć minut.

Rozmawiał przez telefon, gdy weszła. Czuła się jak uczennica, która czeka na burę, bo po raz trzeci w tym miesiącu udawała, że ma okres, żeby nie ćwiczyć na wuefie.

David przywitał ją uśmiechem i dał znak, żeby usiadła. O Boże. Czuła się fatalnie. Przepełniało ją poczucie winy. Ale niby dlaczego? Jest w ciąży i zaręczona. Co w tym złego? Nic, absolutnie nic!

David odłożył słuchawkę i przeciągnął się z głośnym westchnieniem.

Hanna skoczyła od razu na głęboką wodę.

- David, jestem w ciąży. Wychodzę za Feliksa i wyjeżdżam do Londynu. - Proszę, powiedziała to.

- Aha. - Tylko tyle. Spodziewała się czegoś więcej, nie wiedziała czego, ale czegoś więcej...

- Więc nie mogę przyjąć oferty pracy w Wicklow, choć byłeś tak uprzejmy i mi ją zaproponowałeś - mówiła dalej, chcąc stąd uciec jak najszybciej.

David złożył dłonie i intensywnie wpatrywał się w swoje palce, jakby szukał tam natchnienia.

- Szkoda - stwierdził, nie patrząc na nią. - Będzie nam tu ciebie brakowało, zresztą miałem co do ciebie różne plany. Doskonale sobie radzisz w zawodzie.

- Przykro mi - mruknęła. Wbiła wzrok w swoje dłonie. Szkoda, że nie założyła pierścionka zaręczynowego, dodałby jej odwagi, ale nie chciała nosić go do pracy, póki wszystko nie będzie wiadome.

- Szczęściar z tego Feliksa - dodał lekko. - Zaprosicie mnie na ślub? W końcu dzięki mnie się poznaliście.

Hanna wyczuła instynktownie, że obecność na ich ślubie to ostatnie, na co David ma ochotę.

- Chyba pobierzemy się za granicą- odparła, nie patrząc mu w oczy. - Oczywiście, będę pracowała do końca miesiąca, zgodnie z warunkami wypowiedzenia.

- Oczywiście - powtórzył. - Hanna...

Sposób, w jaki wypowiedział jej imię, łagodny, czuły, zmusił ją, by podniosła wzrok. Zazwyczaj siedział wyprostowany jak trzcina. Teraz jednak, kiedy tak ciężko opierał się na biurku, wydawał się starszy. Potrzebne mu wakacje, pomyślała nagle. Dużo pracuje, nigdy nie odpoczywa. Kilka tygodni w słońcu, z dala od trosk - oto czego mu trzeba. Ale jej już tu nie będzie, nie proponuje na wpół władczo, na wpół troskliwie, żeby wyjechał.

- Nie traćmy kontaktu - poprosił. Patrzył na nią smutno, niemal z rozpaczą.

- Dobrze.

Wstała, więc także się podniósł, odprowadził ją do drzwi.

Po wpływem impulsu objęła go. Nigdy dotąd nie byli tak blisko, poza tym samym lunchem, gdy wziął ją za rękę. Przyciągnął ją do siebie.

Nagle pochylił głowę i delikatnie pocałował ją w usta. Czują jego zarost na policzku. Nie całował jej mocno, zmysłowo, jak się tego spodziewała, a jednak i bez tego było to bardzo przejmujące. Jego pocałunek mówił o tęsknocie. Nie wiadomo dlaczego chciała, żeby trwał bez końca, chciała, żeby silne dłonie Davida otaczały ją w talii, jakby była drobną figurką, chciała ukryć palce w jego włosach przyprószonych siwizną. Chciała zabrać go do domu i zatroszczyć się, żeby odpoczął...

Odsunął się powoli.

- Mówiłem poważnie - powiedział. - Nie traćmy kontaktu. Jestem twoim przyjacielem, Hanno, możesz na mnie liczyć. Zawsze czeka tu na ciebie praca.

Skinęła głową i wybiegła. Bała się, że jeśli zostanie, powie coś, czego potem pożałuje.

- Co miał na myśli mówiąc: praca tu na ciebie czeka? - Akurat tak się dziwnie złożyło, że Gillian stała przy kserokopiarce, tuż koło gabine- tu Davida. Przez jedną straszną chwilę Hanna obawiała się, że widziała pocałunek, ale nie, żaluzje zasłaniały przeszklone ściany.

- Odchodzę, Gillian - oznajmiła radośnie, choć wcale się tak nie czuła.

- Odchodzisz? - Donna przestała sprzątać swoje biurko.

Hanna skinęła głową.

- Pobieramy się z Feliksem. I tak mieliśmy to w planach - zerknęła kątem oka na Gillian - ale jestem w ciąży, więc zrobimy to szybciej.

Gillian pozwoliła sobie na wielkoduszność; jej najgorszy wróg odchodzi, może okazać odrobinę sympatii.

- Kiedy nastąpi wielki dzień? Ślub, ma się rozumieć. - Zachichotała jak pensjonarka.

- Dziecko urodzi się w grudniu, ale jeszcze nie ustaliliśmy daty ślubu.

Na szczęście w tym momencie zadzwonił telefon Gillian, więc Han- nie oszczędzono dalszych pytań.

Donna uściskała ją i pogratulowała, nie mówiła jednak szczerze.

- Uważasz, że robię błąd, prawda? - zapytała cicho Hanna.

Donna wzruszyła ramionami.

- Jesteś zakochana, zaręczona i w ciąży. Co w tym złego? - wykręciła się.

- Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy - zaczęła Hanna z wahaniem - ale właściwie dlaczego rozstałaś się z ojcem Tani? Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz.

- Byłam z nim przez pewien czas - Donna mówiła cicho, żeby Gillian ich nie słyszała. - Uznałam, że trzeba spróbować, w końcu jest ojcem mojego dziecka, ale nie był tego wart. Tania tak, on nie. Popełniłam błąd, więc odeszłam. Tani i mnie lepiej bez niego.

- Czy myślisz, że tak samo będzie ze mną i z Feliksem? - W głosie Hanny słychać było obawę.

Donna pokręciła głową.

- Nieważne, co ja myślę, Hanno. Jesteś dorosła. Szanuję cię i twój wybór. Postąpisz tak, jak uznasz za słuszne. Powiedz, dasz się namówić na lampkę wina? Dolejesz sobie wody mineralnej i możesz sączyć przez cały wieczór.

Niestety, plany miłego wieczoru diabli wzięli. Umówiła się z Donna za pół godziny w McCormack's, zadzwoniła do Feliksa i zostawiła mu wiadomość, że tym razem ona się spóźni. Ledwie otworzyła drzwiczki samochodu, ktoś powiedział:

- Cześć, Hanno.

Odwrociła się gwałtownie. Zobaczyła ostatnią osobę, której się spodziewała: Harry'ego.

- Jak śmiesz się tak skradać! - krzyknęła, przestraszona i zła.

- Nie chciałem cię przestraszyć - tłumaczył. - Chciałem tylko porozmawiać, a bałem się, że jeśli wejdę do biura, twój narzeczony - ostatnie słowo wypowiedział bardzo ironicznie - zechce się ze mną bić, jeśli po ciebie przyjedzie.

- Odważny jak zawsze, co?-syknęła.

Przez chwilę zastanawiała się, co takiego Feliks zrobił, że Harry się go bał. Pewnie zacytował jakiś film gangsterski i zagroził Harry'emu, że sprawi mu buty z betonu, jeśli jeszcze raz się do niej zbliży.

- Nie bądź taka, Hanno. Chciałem tylko porozmawiać - Harry przybrał minę niewinnego chłopczyka. Odrzucił grzywkę do tyłu, uśmiechnął się rozbijająco.

Nie podziałało.

- Dlaczego? - zapytała znużona. - Umówiłam się. Jestem zmęczona, nie mam siły się z tobą kłócić, Harry. Chyba ci powiedziałam, że nie chcę cię więcej widzieć.

- Jesteś zmęczona - stwierdził.

Łypnęła na niego groźnie.

- Uroczy jak zwykle. Inni mogliby się od ciebie uczyć - rzuciła zgrzyliwie.

- Nie o to mi chodziło.

Chciała jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. Nie chciała rozmawiać z kimś, przez kogo tyle wycierpiała. Harry należy do przeszłości. Przed nią przyszłość, a w niej Feliks i dziecko; starała się zapomnieć o pocałunku z Davidem Jamesem.

- Tak, jestem zmęczona. To się nazywa ciąża - oznajmiła chłodno. Niech się tym udławi.

Harry otworzył usta tak szeroko, że widziała jego plomby. Dużo, zauważyła. Zawsze miał słabe zęby. Uśmiechnęła się pod nosem. Traciła głowę z rozpaczy, kiedy ją rzucił, a teraz chłodnym okiem ocenia stan jego uzębienia. Czas i miłość nowego mężczyzny uleczą wszystkie rany.

- W ciąży? - powtórzył.

- W ciąży, Harry. Straszne, prawda? - syknęła. - Dziecko to ostatnie stadium, jak to określiłeś? Stagnacji, o tak. Masz szczęście, udało ci się, że nie wpadłam z tobą. Wtedy dopiero miałbyś mnie na karku.

Przestał silić się na chłopięcą pozę.

- Chyba naprawdę mnie nienawidzisz, Hanno - stwierdził cicho.

Oparła się o samochód. Nie szkodzi, że jest zakurzony i ubrudził jej kostium.

- Nie, Harry, nie nienawidzę cię - oparła. - Już dawno dałam sobie z tym spokój. To zbyt męczące. Zaczęłam nowe życie i czas, żebyś zrobił to samo. Czemu ciągle za mną łazisz? Jestem z Feliksem, to się nie zmieni. Chciałabym móc się przyjaźnić z byłym facetem, ale nie potrafię. Widzę wszystko w czerni albo bieli. Przecież ode mnie odszedłeś, i to w taki sposób... Mam swoją dumę.

Harry uśmiechnął się złośliwie.

- Tak, oczywiście, na przykład umawiasz się z facetem, który cię rzucił. - syknął. - Ale było nam dobrze razem, prawda? - dodał nostalgicznie.

- Świetnie. - Hanna przypomniała sobie, jaki z niego leń. Zrobił jej przysługę, rzucając ją. Gdyby nie to, do dzisiaj byłiby razem. Harry snułby wielkie plany napisania wiekopomnego dzieła, a ona, wiecznie zakochana, prałaby, sprzątała, gotowała i podsycała jego ego.

- Muszę lecieć - rzuciła. - Uważaj na siebie, Harry. - Cmoknęła go w policzek, wsiadła do samochodu i odjechała. Widziała w tylnym lusterku, jak powoli oddala się ulicą. Nie okłamała go: naprawdę nie czuje

do niego nienawiści. Harry odszedł z jej życia, podobnie jak David James, upomniała się stanowczo. Był to dzień pożegnań. Ostatecznych.

Początkowo spotkanie egipskie miało się odbyć w nowej restauracji japońskiej. Żadna z nich jeszcze tam nie była, a krytycy zachwycali się nią we wszystkich gazetach. Dzień wcześniej, we wtorek, Hanna proponowała zmianę lokalu - uznała, że surowa ryba może zaszkodzić dziecku.

- Zaszkodzić dziecku - mruzczała Emma gorzko. Szła od przystanku do włoskiej knajpki, gdzie się w końcu umówiły. Niewiele czasu trzeba było, żeby Hanna przeszła transformację z zabieganej kobiety sukcesu w troskliwą mamuszkę, co? Jeszcze niedawno obawiała się, jak dziecko zmieni jej życie, a teraz papla o ciąży, jakby była pierwszą kobietą na świecie w tym stanie. Emma przyspieszyła kroku.

Wcale nie musiała się spieszyć, ale złość dodawała jej sił. Obiecała ojcu, że przez dwa najbliższe dni zajmie się matką wieczorami. Miała wyrzuty sumienia, bo wolałaby spędzić ten czas z Petem, a nie chodzić za matką krok w krok i po niej sprzątać. Dzisiaj miała za sobą ciężki dzień w pracy, KrisisKids organizowało w piątek całodniową konferencję w Burlington. Miała ochotę zaszyć się w domu, a będzie musiała uśmiechać się i gadać. Nie było jej na ostatnim spotkaniu, więc dzisiaj musiała przyjść. Leonie byłoby bardzo przykro, gdyby się nie zjawiła.

Przyszła jako pierwsza. Z głośników płynęły arie z *Traviaty*, w powietrzu unosił się zapach czosnku, obrusy w czerwoną kratę i świeczniki z butelek sprawiały, że poczuła się jak we Włoszech. Zamówiła kieliszek wina w nadziei, że alkohol pomoże jej się uspokoić. Tego właśnie jej trzeba.

Wypiła połowę i poczuła, że zaczyna działać. Nie oddychała już tak szybko, odprężyła się powoli. Leonie i Hanna weszły razem, roześmiane i pogodne. Emma nie widziała Hanny od sześciu tygodni i ze zdumieniem stwierdziła, że już widać ciążę. Jest chyba w trzecim miesiącu. Emma myślała, że jeszcze nic nie będzie widać, a jednak. Oliwkowozielona spódnica i dobrana bluzka podkreślały mały brzuszek. Emma skręcała się z zazdrości, gdy obserwowała, jak kelner gratuluje Hannie i prowadzi ją do stolika, jakby się obawiał, że urodzi lada moment.

- Cześć, Emma! - Hanna pocałowała ją w policzek.
- Cześć, malutka - Leonie pochyliła się nad stołem, żeby ją pocałować, i o mały włos nie spaliła sobie przy tym swetra.
- Przepraszamy za spóźnienie.

- Moja wina - przyznała się Hanna. - W końcu musiałam spojrzeć prawdzie w oczy - nie można nosić zwykłych ciuchów, jeśli się tyje tak szybko jak ja. - Uśmiechnęła się błogo. - Miałam włożyć dzinsy i sweter, ale nie mogłam się w nich dopiąć. Biedna Leonie czekała, a ja szukałam czegoś, w co się jeszcze mieszczę.

Emma zacisnęła dłonie w pięści, wbiła paznokcie w skórę. Wszystko, byle nie powiedzieć czegoś przykrego.

Hanna promieniała. Wydawało się, że emanuje wewnętrznym światłem. Ciemne włosy lśniły, wyglądała, krótko mówiąc, na kobietę bardzo zakochaną. Emma z przerażeniem złapała się na tym, że jest na nią zła. To ona powinna być w ciąży, nie Hanna.

W końcu opanowała się na tyle, że zaczęła rozmowę:

- Rzeczywiście nieco się zaokrągliłaś od naszego ostatniego spotkania - starała się mówić uprzejmie i lekko. - Nie myślałam, że już będzie tak widać.

Hanna jęknęła.

- Ja też nie. Feliks mówi, że czuje się, jakby sypiał ze słońcem.

Przez cały posiłek, po długiej dyskusji, co Hanna może, a czego nie może zjeść, rozprawiły o jej ciąży. Emma bez apetytu grzebała widelcem w talerzu. Zdażyła się dowiedzieć, że Hanna nie ma porannych nudności, że poza dwoma tygodniami, kiedy była zmęczona i nie miała siły rano wstać z łóżka, czuje się znakomicie. Paznokcie rosną jej fantastycznie, postanowiła sobie, że nie będzie miała rozstępów i jak wariatka naciera się różnymi kremami, a Feliks przechodzi samego siebie, wymyślając dla dziecka najdziwniejsze imiona.

- Naprawdę! - chichotała. - Wyobrażacie sobie, ostatnio zaproponował Pętali Płatek'. Moja biedna matka padłaby trupem, gdybym tak ochrzciła jej wnuka. Ale Feliksowi się podoba. To wariat.

Emma miała wrażenie, że wybuchnie, jeśli usłyszy jeszcze jedno słowo. Wydawało się jej, że sama się leczy u lekarza Hanny, a po długiej szczegółowej rozmowie na temat rozmiarów ubrań, wyobrażała sobie ciało przyjaciółki: pełne, nabrzmiałe piersi i beczenną wypukłość brzucha, w którym rośło dziecko.

Hanna, ze szczęścia skupiona tylko na sobie, ciągle rozwodziła się nad swoim stanem.

- Nie przypuszczałam, że tak to będzie - zwierzała się. - Nigdy nie doświadczyłam niczego podobnego. Przez pół dnia zamartwiam się, że czymś zaszkodzę dziecku, przez drugie pół wariuję z radości.

Leonie uśmiechnęła się do niej. W tym momencie zobaczyła twarz Emmy. Była blada jak śmierć, z jasnej twarzy wyzierały puste, ciemne

oczy. Biedactwo. Hanna zapomniała, jakie to dla Emmy bolesne. I ona także. Do tego stopnia pochłonęła je paplanina o dziecku, że nie pomyślały, jak przy tym cierpi ich przyjaciółka. Zrobiło jej się wstyd.

- Dziewczynki, mało brakowało, a zapomniałabym na śmierć! - oznajmiła radośnie. - Niedawno Hugh zaprosił mnie do siebie i przygotował rewelacyjną kolację: na przystawkę placki krabowe, potem stek, faszerowane bakłażany, na deser... - dramatycznie zawiesiła głos. - Fantastyczny tort czekoladowy. Kiedy go jadłam, miałam chyba wielokrotny orgazm.

Wyznanie odniosło zamierzony efekt. Obie się roześmiały.

- No tak, u ciebie czekolada zawsze wywołuje orgazm - chichotała Emma, zadowolona ze zmiany tematu.

- Tylko czekolada - poprawiła Leonie. - Zapomniałam już, co to seks. Dla mnie rozkosz to porządna książka i pół butelki wina.

- Jak to? Jeszcze nie poszłaś z nim do łóżka? - dziwiła się Hanna. ~ Spotykać się od tak dawna...

- W moim wieku nie skacze się do łóżka tak od razu - wyjaśniła Leonie. - Najpierw musisz poczekać, aż zadziała krem na cellulitis i dietetyczne obiady Strażników Wagi.

- Nie rozumiem, czemu nalegasz, żeby wszyscy zaraz szli do łóżka, Hanno - wtrąciła się Emma zapalczywie. - Nie wszyscy są tacy jak ty. W życiu liczy się coś więcej niż seks.

- Wiem. Żartowałam, po prostu...

- Nie wszystkie żarty ci się udają - ucieła Emma i pobiegła do łazienki.

Hanna z trudem powstrzymała łzy. Ostatnio reagowała bardzo emocjonalnie.

- Co ja takiego powiedziałaś? - zdziwiła się.

Leonie z westchnieniem poklepała jej dłoń.

- Nie chodzi o to, co powiedziałaś, Hanno. Bardzo się cieszę, że jesteś w ciąży, wiesz o tym, ale Emmie jest trudno. Uwielbia cię, ale cierpi, widząc, że ty będziesz miała dziecko, a ona nie.

- To nie moja wina - Hanna nie dawała za wygraną. - Przecież nikt jej nie broni coś z tym zrobić. Pewnie nadal nie powiedziała Peterowi, że sądzi, że jest bezpłodna. Jest tyle możliwości leczenia.

- Tak, tak, ale Emma nie chce o tym myśleć. Wiesz, jak rozumuje - jeśli testy wykażą, że jest bezpłodna, straci resztki nadziei.

- To nie tłumaczy, dlaczego nie rozmawia o tym z Petem - upierała się Hanna.

- Masz rację. Ale nie utrudniajmy jej życia i porozmawiajmy też o czymś innym, nie tylko o dziecku.

- Nie musiała przychodzić, jeśli nie chciała. - Hannie było przykro, że Emma razem z nią nie cieszy się na dziecko. Wie, jak to jest, pragnąc czegoś i nie mieć tego, ale ona nie miałaby do Emmy pretensji, gdyby była w jej sytuacji. Przecież kiedy Feliks odszedł, nie zazdrościła Emmie Pete'a, choć sama miała tylko pilota od telewizora i samotne kolacje. Jak Emma śmie teraz jej zazdrościć?

- Nie denerwuj się - prosiła Leonie, widząc gniew w ciemnych oczach przyjaciółki. - Bardzo chętnie słucham twoich opowieści. Emma też, ale przy tym cierpi. W głębi serca o tym wiesz. Dobrze, zmienimy temat, wraca.

- Opowiedz coś więcej o wspaniałym Hugh - poprosiła Emma cicho.

Hanna milczała, zacisnęła usta w wąską kreskę. Leonie modliła się, żeby nie skoczyły sobie do oczu.

- Hugh - zaczęła pogodnie. - Jest wspaniały...

Zazwyczaj spotkania egipskie trwały do późnej nocy, lecz tym razem kelner ledwie zdążył podać dzbanek kawy bezkofeinowej, a Emma już oznajmiła, że na nią czas.

- Mam jutro ciężki dzień - wyjaśniła. - Muszę się zająć dwoma mówcami na konferencji.

Szybko dopiła kawę, zostawiła pieniądze na rachunek i wstała.

Hanna uśmiechnęła się chłodno i nadstawiła policzek. Cmoknęły powietrze, nawet się nie dotykając.

- Cześć, Leonie. - Emma uściskała ją serdecznie.

Niemal wyrwała płaszcz kelnerowi, chciała wyjść jak najszybciej, obawiała się, że zacznie płakać albo wrzeszczeć. Nie wiedziała, co zwycięży: rozpacz czy gniew. Kiedy czekała na autobus, zastanawiała się, jak wyjaśnić Pete'owi wcześniejszy niż zwykle powrót do domu. Na pewno zauważy, że ta kolacja była o połowę krótsza od poprzednich. Niedawno nawet żartował na ten temat, zaklinał się, że jeśli znowu wróci pijana, nie będzie jej rozbierał i kładł do łóżka.

- Jeśli tak dalej pójdzie, na urodziny zafunduję ci kurację w klinice Betty Ford - śmiał się, słyszała to nawet przez komórkę. - Wiem, o co ci chodzi, tak naprawdę podrywasz tam facetów, znam takie jak ty, pani Sheridan, chowasz obrączkę do torebki i...

- Świnia - zachichotała do słuchawki. - Muszę lecieć. Masz pizzę w lodówce. Do zobaczenia, Pete.

Ciężko oparła się o słup na przystanku. Nie mogła patrzeć na Hannę, taką szczęśliwą, w ciąży... Ale tego, oczywiście, Pete'owi nie powie. Co

by sobie o niej pomyślał, gdyby wiedział, że zwija się z zazdrości, widząc zaokrąglony brzuch przyjaciółki? Przez cały wieczór musiała patrzeć w inną stronę albo zagryzać usta, żeby nie okazać swoich uczuć. Było jej wstyd. Co z niej za przyjaciółka? Kiedy przyszło co do czego, okazało się, że jest najbardziej samolubna z nich wszystkich. Zawstydzona, obiecała sobie, że jutro zadzwoni do Hanny i ją przeprosi. Musi. Przecież są przyjaciółkami.

Weszła do domu. W holu było ciemno. To dobrze, Pete jeszcze nie wrócił. Wspominał, że może wyskoczy z Mikem na drinka. Przynajmniej będzie mogła się położyć, a kiedy on wróci po kilku drinkach, nie zauważy, że jest cicha i zgaszona.

Zapaliła światło w korytarzu i poszła na górę, do sypialni. Udało jej się nawet zdjąć bluzkę, zanim dopadła ją rozpacz. Usiadła na łóżku, ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się. Szlochała głośno, spazmatycznie łapiąc powietrze, i już po chwili była czerwona i spuchnięta od płaczu. Czy kiedyś pogodzi się z bezpłodnością? Nie zastanawiała się już, czy będzie miała dziecko; to beznadziejne. Chciała tylko jakoś uśmierzyć ból.

- Co się stało?

Zaskoczona, uniosła głowę. Pete, w starej skórzanej kurtce i spranych dżinsach, stał w progu.

W pierwszej chwili chciała skłamać. A potem usłyszała w głowie Elinor Dupre: Co złego w tym, że powiesz, co czujesz?

Elinor ma rację. Nie może tego dłużej ukrywać.

- Hanna jest w ciąży. Nie mogę na nią patrzeć. Nie mogę się pogodzić z myślą, że nigdy nie będę miała dzieci. Chyba jestem bezpłodna - powiedziała jednym tchem.

- Och, Em. Tak mi przykro. - Patrzył na nią bezradnie, na pogodnej zazwyczaj twarzy malowała się rozpacz.

Nagle pożałowała, że mu powiedziała. Nie dość, że sama jest zdenerwowana, teraz wciągnęła w to i Pete'a.

- To nie ma znaczenia - wycofała się. - Zapomnij, że to powiedziałam.

- Zapomnieć? - powtórzył z niedowierzaniem. - Niby dlaczego miałbym zapomnieć? To dotyczy także mnie, na wypadek gdybyś zapomniała. Wiesz, jesteśmy małżeństwem i jest nas dwoje. Wiesz, co mnie najbardziej wkurza? Twoje przekonanie, że musisz się ze wszystkim uporać sama - powiedział gwałtownie. - Nie pozwalasz, żebym się sprzeciwił twojemu ojcu, chociaż traktuje cię okropnie. Trzymasz wszystko w sobie, ale nie ma rzeczy, której nie wybaczyłabyś Kirsten. Nie chcesz, że-

bym ci pomógł. Dlaczego mnie odtrącasz, do licha? Na wypadek gdybyś nie zauważyła, niszczysz nasze małżeństwo. Nie wykluczaj mnie z twojego życia!

Nigdy nie widziała go tak rozgniewanego. Złapała ją za ramiona, potrząsała.

- Nie widzisz, że cię kocham? Kocham ciebie! - wrzasnęła. - Nie osobę, którą twoim zdaniem powinnaś być, żeby zasłużyć na miłość.

- Wiem - wyjąkała. - Nie chciałam ci powiedzieć...

- Bo się bałaś, że będę zły? - dokończył gniewnie. - Jak twój cholerny ojciec?

Skuliła się, słysząc złość w jego głosie.

- Nie - zaprotestowała. - Nie dlatego. Dlatego że... - urwała.

Czekał.

- Dlatego że bałam się, że jeśli coś powiem, to się stanie rzeczywiste, nie tylko w mojej głowie: naprawdę nie będę nigdy mogła mieć dzieci.

- Jezu, Emma, co za głupota - widziała, jak gniew znika z jego oczu. - Przecież to przesady. Naprawdę myślałaś, że jak powiesz, to zapeszysz? Bo jeśli tak, nie ma sensu, żebyśmy szli o lekarza, lepiej od razu do wróżki albo czarownicy. Albo mam lepszy pomysł: Kupię tarota i karty nam powiedzą, czemu nie zaszłaś w ciążę.

- Tarota nie można sobie kupić - zauważyła cicho. - Działa tylko, jeśli się go dostanie. Czytałam gdzieś.

Pete roześmiał się i przyciągnął ją do siebie.

- Skoro tyle czytasz, czytałaś też pewnie coś o leczeniu bezpłodności? - zapytał.

Skinęła głową.

- To dobrze. Jeśli klonują owce, świnie i Bóg jeden wie co jeszcze, chyba pomogą nam mieć dziecko? Bezpłodność jest moim zdaniem mniej skomplikowana niż klonowanie, może mamy szansę. Jesteśmy młodzi i zdrowi, prawda?

- Nie chciałam cię zmuszać, żebyś się poddał badaniom - mruknęła z twarzą ukrytą na jego ramieniu.

- Zaraz, zaraz, mówisz o przyjemnej sesji w małym pokoiku, sam na sam z papierowym kubeczkim i stertą „Hustlerów”? - zażartował. - Cóż, może będę przy tym potrzebował twojej pomocy, ale uda nam się. Posłuchaj, nic nie wiadomo, może oboje jesteśmy zdrowi. Może niepotrzebnie panikujesz. Wiesz, dziecka nie robi się tak od razu.

- To już ponad trzy lata - przypomniała mu. - Długo, zwłaszcza że nie stosujemy żadnej antykoncepcji.

- Dobrze dobrze, może coś jest nie tak, a może nie. Najpierw musimy się upewnić, a dopiero potem wyciągać wnioski. Jutro zapiszemy się do lekarza, niech nam poleci jakiegoś specjalistę.

- Ty... nie masz nic przeciwko temu?

Pete wziął jej twarz w dłonie i spojrzał głęboko w niespokojne jasne oczy.

- Kocham cię, Emma. Chciałbym, żebyśmy mieli dzieci. Jeśli to na razie niemożliwe, niech nam pomogą. Ale kiedy nic się nie uda, świat się nie zawali. Mam ciebie, mamy siebie nawzajem. Prawda?

Skinęła głową.

- Obiecuj mi jedno, Em. Nie miej więcej sekretów przede mną. Myślałem, że zwariuję, wiedziałem, że coś cię gryzie, ale nie mogłem się do ciebie zbliżyć.

- Obiecuję. Po prostu nie mogłam ci tego powiedzieć... o tym mówić. Chciałam zachować to dla siebie...

- To nie pomaga, Emmo - wpadł jej w słowo. - Od miesiący się zamartwiałem, widziałem, jak coraz bardziej zamykasz się w sobie, myślałem, że to moja wina, że już mnie nie kochasz?

- Przecież wiesz, że cię kocham - sprzeciwiła się.

- A skąd mam to wiedzieć, skoro ukrywasz przede mną najważniejszą rzecz? - zdziwił się. - Przykro mi, Em, nie umiem czytać w myślach. Musisz być ze mną szczerą. Wiesz, byłem o krok od rozmowy z Leonie. Przecież jej mówisz więcej niż mnie. - Słyszała gorycz w jego głosie.

- Och, Pete - zmęczyła ją ta rozmowa. - Kocham cię. I nieprawda, nie mówię Leonie więcej niż tobie. Tak, powiedziałam jej o moich obawach - przyznała. - I tylko to. Nie wiem, czemu nie mogłam ci powiedzieć. - Westchnęła ciężko. - Zawsze jestem wszystkiemu winna. Pomyślałam, że i teraz...

- Przystań pieprzyć - rzucił ostro. - Jakbym słyszał twójego cholernego ojca. Chciałby zwalić wszystko na ciebie, ale to nie znaczy, że naprawdę jesteś wszystkiemu winna. To wredny sukinsyn, chce cię kontrolować i dlatego gra na twoim poczuciu winy. Jeśli chcesz, żeby terapia przyniosła skutki, niech ta kobieta przeprowadzi egzorcyzmy i wyrzuci ci z głowy tego potwora!

- Nie wiedziałam, że tak to odbierasz - ze zdumienia otworzyła szeroko oczy.

Uśmiechnął się po staremu, jak zwykły pogodny Pete.

- Więc oboje się dzisiaj czegoś dowiedzieliśmy. Najważniejsze, że musimy trzymać się razem. Zgadzasz się?

Skinęła głową.

- Wiesz co? -jej oczy lśniły od łez. - Kocham cię, Pete.

Kiedy zakochujesz się na starość, problemem nie są rodzice ukochanego, rozważała Leonie. Nie obawiasz się wrednej teściowej, tylko jego dzieci. Miała poznać dwoje dzieci Hugh. Tyle o nich słyszała, że teraz czuła się jak pacjent na stole operacyjnym. Przerażona to za mało powiedziane.

Pewnie Fliss czuła się tak samo przed spotkaniem z Mel, Abby i Danym, przemknęło jej przez głowę, gdy szykowała się na sobotnie popołudnie. Chociaż może jej będzie łatwiej. Sama jest matką i wie, jak zaborcze potrafią być dzieci; nienawisć w ich oczach spali cię na popiół, jeśli nie polubią nowego „przyjaciela”, którego mamusia przyprowadziła do domu. Może osoby bezdzietne, jak Fliss, mają o dzieciach mylne przekonanie - wyobrażają je sobie jako cudowne małe stworzenia *zbyt* zajęte własnymi problemami z płcią przeciwną, by zawracać sobie głowę poczynaniami pomarszczonych rodziców. Błąd. Dzieci, które poczują się odstawione na boczny tor, stają się gorsze niż zgorzkniali, porzuceni małżonkowie.

Na szczęście dla Fliss, dzieciaki za nią przepadały. No, ale też Fliss jest zbyt pewna siebie, żeby się obawiać opinii nastolatków. Nie miały wyjścia, musiały ją pokochać.

W każdym razie teraz ją kochają, to pewne. Zresztą kto by nie pokochał macochy, która porywa na weekend do Cannes? I kupuje tyle ciuchów, ile tylko Mel zapragnie?

Ray przez cały tydzień namawiał Leonie, żeby puściła dzieci.

- Będziemy we Francji przez dwa tygodnie. To bez sensu, być tak blisko i nie zabrać dzieciaków chociaż na tydzień - tłumaczył.

- Mel i Abby chodzą do szkoły - przypomniała mu. - Nie mogą tak po prostu urwać się na tydzień w środku maja. Za miesiąc zaczną się wakacje. A Danny ma niedługo egzaminy, musi się uczyć. - Nie wspomniała, że Danny jest święcie przekonany, że obleje i zawali rok.

- Więc chociaż na weekend - Ray nie dawał za wygraną.

Leonie pracowała w czwartek do późna i nie mogła odwieźć dzieciaków na lotnisko. Chciała zamówić im taksówkę, ale Doug zaferował, że je podrzuci.

- Pod warunkiem, że dostanę w prezencie kubek ze 101 dalmatyńczykami - zaznaczył w rozmowie z bliźniaczkami.

Przynajmniej będzie wolna w weekend, nawet *jeśli* tym sposobem dzieci jeszcze bardziej pokochają macochę.

Leonie zastanawiała się, jak ją ocenią dzieci Hugh.

- Polubią cię - zapewnił, organizując spotkanie we czwórkę.

Mimo jego słów przeczuwała, że spotkanie skończy się źle. Nie chodziło tu o Stephena, z opowieści Hugh wynikało, że jest podobny do Danny'ego: ta sama miłość do gier komputerowych i przekonanie, że najlepszym sposobem na spędzanie czasu wolnego jest leżenie w łóżku i szukanie nowych znaczeń w tekstach zespołu Oasis. Za to Jane, piękna, zdolna Jane wydawała się niebezpieczna. Leonie nie wiedziała, skąd to przecucie; może zaniepokoił ją sposób, w jaki Hugh opowiadał o dwudziestodwuletniej córce? Zawsze z najwyższym uznaniem i czcią, jakby to była Matka Teresa, Maria Skłodowska-Curie i Julia Roberts, wszystko w jednym. Nie trzeba niebosiężnego ilorazu inteligencji, żeby się domyślić, że Jane jest doskonała i nieomylna. A to oznacza, że jeśli nie polubi nowej przyjaciółki tatusia, Leonie może zejść ze sceny.

Umówili się w sobotnie popołudnie, w National Gallery. Bardzo niewinne miejsce.

Leonie wyobraziła sobie, jak Fliss rozegrałaby tę partię. Po namyśle ubrała się jak co dzień - błękitna jedwabna koszula, czarne aksamitne spodnie i haftowany szal z angory - wynalazła go w sklepie z używanymi ciuchami w Dun Laoghaire. Musi być wyluzowana i spokojna. Nie ma sensu starać się za bardzo, to byłby błąd, zarówno ze względu na nią, jak i na Hugh. Bardzo chciała, żebyjego dzieci ją polubiły i zaakceptowały, ale muszą ją przyjąć taką, jaka jest.

Nie chciała udawać kogoś innego tylko po to, żeby zdać egzamin w oczach nastolatka i niewiele starszej pannicy. Tak przynajmniej sobie powtarzała.

To będzie tylko „jeden drink, żebyś poznała dzieciaki”, jak zapewnił Hugh. Nie przesłuchanie w Sądzie Najwyższym. Niestety, nie wierzyła w to i denerwowała się coraz bardziej. Boże, przecież sama ma dzieci, tłumaczyła sobie, i umie sobie z nimi radzić. Skoro przeżyła tyle lat z wybuchową mieszanką pod tytułem Abby i Mel, Jane to bułka z masłem. Jest przecież starsza i bardziej dojrzała, prawda?

Hugh czekał w restauracji w National Gallery. Leonie wpadła zdyszana, zła na siebie, że nigdy nie przychodzi tu w innym celu niż spotkania w kawiarni. Musi się bardziej postarać i wprowadzić w swoje życie trochę kultury. Hugh nie siedział sam, zauważyła od razu. Towarzyszyła mu młoda kobieta w dżinsach.

Ale to nie mogła być Jane.

Jane była, jeśli wierzyć słowom ojca, piękna, olśniewająca, i Leonie widziała ją oczyma wyobraźni: ciepłe, serdeczne spojrzenie ojca i smukłość gazeli.

Przysadzista młoda kobieta w nieładnie opiętej dżinsowej kurtce to na pewno nie Jane. Krótkie, brudne, ciemne włosy, pospolite rysy, małe oczka pod przesadnie wydepilowanymi brwiami... Nie ma w niej nic z gazeli, chyba że gazele rzucają podejrzliwe spojrzenia i robią grymasy.

- Leonie! - Hugh zerwał się na równe nogi i pomachał do niej, jakby była starą znajomą, którą spotkał przez przypadek i po intensywnym poszukiwaniu odnalazł w pamięci jej imię. Mocno poklepał ją po plecach. Zazwyczaj ją całował.

- Poznaj Jane, moją dumę i radość. Jane, to moja znajoma, Leonie.

Bardzo rzadko się zdarzało, żeby Leonie zapomniała języka w gębie. Takie rzeczy nie spotykają kobiety, która do tego stopnia nienawidzi przerw w rozmowie, że papie jak nakręcona tylko po to, żeby zagłuszyć ciszę. A teraz gapiła się pustym wzrokiem na Hugh i jego córkę i głowiła się, jakim cudem nawet zaślepiony ojciec mógłby określić Jane mianem „olśniewającej”. No, ale z drugiej strony, jest niesprawiedliwa, oceniając bidułę na pierwszy rzut oka. Może Jane promieniuje wewnętrznym światłem, ledwie otworzy usta?

- Dużo o tobie słyszałam, tak się cieszę, że wreszcie mogę cię poznać. - W końcu odzyskała głos. Serdecznie uściśnęła rękę Jane.

- Tak? A ja nic o tobie - odparła Janet grzecznie i łypnęła na Hugh z ukosa.

Nie powinna tak zaciskać ust, przemknęło Leonie przez głowę. Na starość będzie miała okropne zmarszczki.

- Ojej. - Starła się obrócić wszystko w żart. - Czyżbym była tajemnicą twojego ojca?

Kolejne mordercze spojrzenie na Hugh.

- Chyba tak - burknęła Janet.

Hugh uśmiechnął się bezradnie.

- To żadna tajemnica - oznajmił dzielnie, ze sztucznym entuzjazmem człowieka, który bohatercko rezygnuje z przepaski na oczy, stojąc przed plutonem egzekucyjnym.

- Leonie to moja nowa przyjaciółka, chciałem, żebyście ją poznali. To proste. Umówiliśmy się dopiero trzy razy, ale wiem, że chcesz wiedzieć, co się dzieje w moim życiu, Jane. - Spojrzał na nią błagalnie.

Leonie uznała, że to nieodpowiednia chwila, żeby prostować pewne fakty - umówili się nie trzy razy, a dziesięć, co więcej, zaliczyli też ostrą sesję erotyczną na kanapie w mieszkaniu Hugh. Posunęliby się dalej, ale

Leonie powstrzymała myśl o nieefektywnej bieliźnie i miesiączce. Zanim pójdzie z Hugh do łóżka, zaplanowała długi seans kosmetyczny z woskiem do depilacji i samoopalaczem, żeby złota opalenizna zamaskowała bardziej obwisłe części ciała. W tej chwili te plany wydawały się mrzonką.

Przez telefon ciągle szeptał czułe słówka i zapewniał, że jest cudowna. Teraz, w obecności Wielkiego Inkwizytora, wyparłby się romansu z samą Michelle Pfeiffer, byle córeczka nie zmieniła o nim zdania. Leonie poczuła się zdradzona. Co więcej, miała ochotę odejść i zostawić ich samych. Ale nie zrobi tego, to nie fair. Sama jest matką, wie, jak trudno wyznaczyć granicę między poświęceniem dla dzieci a oddaniem im całego życia. Jest pewna różnica i biedny Hugh musi ją w końcu zauważyć.

Pomoże mu, choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobi.

- Nie wygłupiaj się, tatusiu - odezwała się Janet. - Wiem, co się dzieje w twoim życiu, i znam wszystkich twoich znajomych. Gdybym wiedziała, że umówiłeś się z koleżanką z pracy, nie zawracałabym sobie głowy. W jakim dziale pracujesz? - zwróciła się do Leonie.

Ostatnie dwa zadania wszystko wyjaśniły. Hugh nie powiedział dzieciom, kim jest i że mają się dzisiaj spotkać. Albo to, albo Jane uparcie negowała obecność jakiegokolwiek kobiety w życiu ojca i dlatego wmawia sobie, że Leonie jest brzydką koleżanką z pracy, z którą Hugh co jakiś czas umawia się z litości. I do tego zwraca się do niego „tatusiu”! Zazwyczaj dzieci rezygnują z tego w wieku szkolnym, wołają bardziej do- rośle brzmiące „tato”.

Uśmiechnęła się do Hugh.

Patrzył na nią błagalnie, z nadzieją, że podtrzyma linię kłamstw, jak się domyślała.

- Pracuję w klinice weterynaryjnej. I nie jestem znajomą taty, tylko jego przyjaciółką - powiedziała grzecznie.

- Och. - Janet zacisnęła usta w wąską linię.

- Ojciec dużo o tobie opowiadał - ciągnęła Leonie. - Podobno doskonale sobie radzisz w pracy i niedługo awansujesz. Moje gratulacje.

- Tatusiu! - syknęła Jane wściekle. - To sprawy prywatne.

- O, spójrzcie - Hugh nie wiedział, co ze sobą zrobić. - Idzie Stephen.

Wysoki i silnie zbudowany jak ojciec, Stephen miał uśmiech na twarzy i wyglądał, jakby po przebudzeniu ubierał się w pośpiechu. Chyba wiedział, kim jest Leonie.

- Cieszę się, że w końcu cię poznałem - oznajmił. - Najwyższy czas, żeby staruszek sobie kogoś znalazł. Zamówiliście już? Mają tu pyszne ciastka.

Janet łypnęła teraz na niego.

- Mogłeś mnie uprzedzić - warknęła. - Czuję się oszukana.

Tym razem Hugh i Stephen wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Co za rodzinka! Mogliby rozmawiać, zamiast tylko się na siebie gapić. W domu Delaneyów wszyscy mówili, co im leży na sercu, zwłaszcza Mel, która chyba najprędzej miałaby coś przeciwko Hugh.

Ale Mel przynajmniej postawiłaby sprawę jasno, i to z mocą co najmniej osiemdziesięciu decybeli. Nie siedziałyby w milczeniu, naburmuszona i zła.

~ Nie wygłupiaj się, siostrzyczko - zaczął Stephen. - O co tyle hałasu? Mówiłem ci, że poznamy Leonie. W czym problem? Zamówimy coś? - Zwrócił się do Leonie. - Umieram z głodu. Masz ochotę na kawę z ciastkiem?

Miły, zdecydowała. Widząc, że siostra jest wściekła, stara się rozładować atmosferę.

- Tak, chodź, pomogę ci przynieść. Kawy, Hugh? - zapytała słodko. Oby jej mina nie zdradzała, co sądzi o tym, że Hugh daje się wodzić za nos okropnej Jane.

- Tak, proszę. - Po raz pierwszy tego dnia spojrzał jej w oczy.

Leonie i Stephen z zainteresowaniem studiowali ciastka na ladzie. W innych okolicznościach Leonie nie jadłaby słodczy, ale dzisiaj nie chciała sobie niczego odmawiać.

- Ślinka mi leci na widok tego tortu - mruknęła do Stephena, pokazując smakowite ciasto. Prawdopodobnie zawierało mniej więcej tyle kalorii, ile potrzeba maratończykowi na tydzień biegania,

- Mnie też - zgodził się. - Janet też pewnie miałyby na nie ochotę. Co prawda jest na diecie beztłuszczowej, ale zazwyczaj udaje mi się ją przekonać, żeby chwilowo dała sobie spokój.

- Leonie nie wyobrażała sobie, by ktoś mógł przekonać Janet do czegokolwiek.

- Nic jej nie będzie - Stephen zdawał się czytać w jej myślach. - Jest zaborcza w stosunku do ojca. Córeczka tatusia, ciągle do niej nie dociera, że powinien kogoś mieć.

- Rozumiem - skłamała. - Ale wasza mama ma nowego partnera, prawda? Czy z tym Jane też nie mogła się pogodzić?

Stephen wziął trzy kawałki ciasta.

- Jane ma charakter mamy. Są identyczne. Dlatego Jane wyprowadziła się z domu. Co chwila skakały sobie do oczu. Nie ma nic przeciwko Kevinowi, to nowy facet mamy. - Przesuwali się powoli w stronę ekspresu z kawą. Stephen dołożył sobie jeszcze batonik czekoladowy.

- Martwię się o staruszka. Jest bardzo samotny. Odkąd cię poznał, jest w zdecydowanie lepszym humorze.

- Dziękuję... Cieszę się, że to mówisz. Bardzo lubię twojego ojca i chciałabym, żebyście oboje o tym wiedzieli, ty i Jane. Przykro mi, że jest nastawiona przeciwko mnie.

- To dlatego, że masz dzieci - domyślał się Stephen. - Obawia się, że ojciec pokocha je bardziej niż nas albo że zapisze im coś w testamencie, jeśli się pobierzecie.

- Skąd wiesz? Janet do dzisiaj chyba nie miała pojęcia o moim istnieniu.

- Znam ją - odparł. - I wiedziała o tobie. Domyślałem się, że ojciec stchórzy, więc ja jej powiedziałem, teraz tylko udaje, żeby się na nim odegrać. Nie złość się na nią. Jest bardzo...

Zepsuta, miała Leonie na końcu języka.

- Mało pewna siebie - dokończył Stephen. - Uwielbia ojca, z wzajemnością. Jeśli ty wejdiesz na scenę, zmieni się układ sił.

- Dzięki za szczerość. Jak myślisz, może powinnam teraz iść do domu?

Roześmiał się.

~ Nie wygłupiaj się. Janet się z tym pogodzi... kiedyś.

Wrócili do stolika. Janet i Hugh rozmawiali z ożywieniem, ale umilkli na ich widok. Pili kawę w grobowym milczeniu.

W końcu nie mogła tego dłużej wytrzymać.

- Może pójdziemy do kina? - zaproponowała radośnie. - Wszyscy, oczywiście. - Czy ja naprawdę to powiedziałam? Dziwiła się przerażona. Błagam, nie zgódźcie się.

- Czemu nie? I tak nie mam dziś innych planów - rzuciła Jane bezczelnie.

Leonie, Hugh i Stephen chcieli zobaczyć najnowszy film z Jamesem Bondem, ale Jane uparła się na dzieło niezależnej wytwórni, posępny czarno-biały obraz o młodzieży handlującej narkotykami. Leonie wolałaby strzyc trawnik nożyczkami do paznokci niż oglądać coś takiego. Lecz Jane tak wybrała, a Jane, jak Leonie się przekonała, dostaje to, czego chce.

Przynajmniej mieli o czym rozmawiać, gdy po seansie poszli na pizzę do Tempie Bar. Stephen rozprawiał o filmie z entuzjazmem, natomiast Jane orzekła, że wcale jej się nie podobał.

Leonie swędziała dłoń, żeby wymierzyć jej soczysty policzek.

Po godzinie stało się jasne, że Jane nie pożegna się przed Leonie. Leonie poddała się. Czas na mnie - oznajmiła.

- Odprowadzę cię do samochodu - zaproponował Hugh. Spojrzała na niego z wdzięcznością. Wreszcie sami, bez straszliwej Jane.

- Tatusiu - Jane zaszczebiotała jak mała dziewczynka. - Czy mogę mieć do ciebie prośbę?

- Oczywiście, skarbie.

- Czy możesz zapłacić za moją wycieczkę swoją kartą kredytową? Przekroczyłam limit, a jeśli nie zapłacę w poniedziałek, stracę rezerwację. Oczywiście, oddam ci później - dodała, posyłając mu błagalne spojrzenie.

Leonie zacisnęła dłonie w pięści.

Hugh żartobliwie zwichrzył córce włosy.

- Nie musisz nawet pytać, skarbie, wiesz o tym.

Pierwsze pięć minut pokonali w milczeniu.

Przy Nassau Street Hugh wziął ją za rękę.

- Powiedz, jak poszło? - zapytał z wahaniem.

- Poszłoby lepiej, gdybyś powiedział Jane o mnie - podsunęła Leonie. - Jak myślisz, jak się poczułam, kiedy myślała, że jestem twoją znajomą z pracy? Wiesz, Hugh, myślałam, że jesteśmy razem, ale teraz już nie jestem taka pewna. Słuchając ciebie, można by pomyśleć, że łączy nas platoniczna przyjaźń w oczekiwaniu na darmowe bilety dla seniorów.

- Przepraszam. To trudne, rozumiesz. Jane jest... cóż, jest bardzo wrażliwa.

Mniej więcej tak bardzo jak nosorożec, pomyślała Leonie.

- Powiniennem być jej powiedzieć, wybac, proszę. - Ucisnął jej dłoń.

- Niestety, jestem złym ojcem, rozpieszczam dzieci, pozwalam im na wszystko. Jane nie zadowolili się niczym mniej niż uwielbienie.

- I twoją kartą kredytową - wymknęło się Leonie. - Chyba nie umie obchodzić się z pieniędzmi, jeśli mimo świetnej pracy bierze od ciebie. - Zaraz pożałowała, że to powiedziała. Krytykowanie dzieci to straszne faux pas, mniej więcej tego kalibru co radosne obwieszczenie w towarzystwie, że te okropne hemoroidy ostatnio mniej ci dokuczają. Była na siebie wściekła.

- Przepraszam - rzuciła szybko. - Nie powinnam była tego mówić.

- Myślałem, że akurat ty zrozumiesz - mruknął Hugh. - Dziećmi trzeba się opiekować.

Leonie skinęła głową. A jakże, ma rację. Tylko że Janet nie jest dzieckiem. Jest dorosła i Hugh wcale jej nie pomaga, przymykając oczy na jej manipulacje. Traktuje ją jak rozpieszczone dziecko, a to się może bardzo źle skończyć!

- Wiem, że bardzo kochasz swoje dzieci i przepraszam, że to powie-
działam - wycofała się. - Jestem po prostu zła, bo Jane mnie nie lubi.

- Głuptasie - Hugh się rozpogodził. - Pokocha cię, kiedy cię pozna.
Daj jej trochę czasu.

Gdzie ona to już słyszała?

- Jak poszło? - Hanna zadzwoniła następnego dnia.

- Zbieram dane do książki pod tytułem „Randka z rozwodnikiem” -
oznajmiła Leonie. - Najdłuższy rozdział będzie o spotkaniach ze strasz-
nymi bachorami, które sądzą, że polujesz na pieniądze tatuśka i które nie
robią tajemnicy z tego, że cię nie znoszą.

- Chcesz powiedzieć, że nie zależy ci na jego pieniądzach? - Hanna
starła się obrócić wszystko w żart.

- Hugh ma mniej pieniędzy niż ja - zaperzyła się Leonie. Nie wi-
działa w tym nic zabawnego. - I teraz już wiem dlaczego. Oddaje wszystko
Jane, choć nie pojmuję dlaczego, przecież ona ma dobrą pracę. Wczoraj
miała czelność poprosić go, żeby zapłacił za jej urlop swoją kartą, wy-
obrażasz sobie! Ma dwadzieścia parę lat i dobrą pracę! Skandal!

- Czyli źle poszło? - domyśliła się Hanna.

- Jego syn jest przemiły, ale córka, Jane... - Leonie urwała. - Jest
strasznie zazdrosna. Jakby nie mógł kochać nas obu.

- Może się obawia, że straci źródło gotówki - zauważyła praktycz-
nie Hanna.

- To coś więcej. Ma fioła na jego punkcie, jak małe dziecko.

- Dziewczynki i ich tatusiowie. Była nawet taka piosenka, pamię-
tasz? *My Heart Belongs To Daddy*, moje serce należy do tatusia.

- Nie znam żadnej dorosłej kobiety, której serce należałoby do tatu-
sia - zauważyła Leonie. - Jakim cudem on ma taką córkę?

- A jaka jest jego była?

- Wydaje się zupełnie normalna. Do dzisiaj są w kontakcie, rozstali
się bez kłótni i awantur, po przyjacielsku.

- No cóż, żadne rozstanie nie jest przyjacielskie, to oksymoron. Roz-
stanie i przyjacielskie nie pasują do siebie. Jak myślisz, może to mamu-
sia nastawia małą Jane przeciwko każdej kobiecie, która zechce zająć jej
miejsce?

Leonie roześmiała się gorzko.

- Jane nikt nie musi nastawiać. Jest pełna własnego jadu. Hugh jest
cudowny, ale nie wyobrażam sobie, żebym do końca życia miała znosić
uwagi Jane.

- Hugh uważa, że jesteś cudowna, tylko to się liczy - łągodziła Hanna. - Jane się zmieni, zobaczysz.

Leonie spodobało się mieszkanie Hugh. Był to mały domek na skraju Templelogue, jeszcze nowy, więc farba nie odpadała, po pokojach nie poniewierały się akcesoria nastolatków. Na bladoporóżowych ścianach wisiały stare plakaty filmowe, które zbierał, na regale widniała jego kolekcja dziwnych oryginalnych przedmiotów. Był tam gramofon na korbkę i szachy z marmuru. Leonie nie spodobało się tylko jedno - duża ilość fotografii Jane. Kominiek zmienił się w ołtarz, stało tam siedem zdjęć, a na nich Jane obrażona przy Pierwszej Komunii, naburmuszona jako nastolatka, nadęta przy innych okazjach. Leonie dostrzegła tylko dwie fotografie Stephena. Miała nadzieję, że nie jest mu przykro, choć w głębi duszy wiedziała, że na pewno to przeżywa. Nikt nie jest obojętny na fakt, że rodzice wołają brata lub siostrę. Obiecała sobie, że zrobi co w jej mocy, by jej dzieci tego nie doświadczyły.

Mały ogródek był rozkopany i stratowany jak boisko do rugby - to sprawa Wilbura, Harrisa i Ludluma, psów Hugh. Leonie miała zamiar przyprowadzić Penny z wizytą, ale jakoś nie mogła się na to zdobyć. To zbyt obcesowe, przyprowadzać tu Penny, żeby zobaczyć, czy psy się polubią. Równie dobrze mogłaby otwarcie zapytać, czy zamieszkają razem. A chociaż szalała za Hugh, na to było jeszcze zdecydowanie za wcześnie.

Dzisiaj osiągną ważny punkt, przekroczą pewną granicę w ich znajomości. Pójdą Do Łóżka.

Spotykali się od czterech miesięcy i choć pieścili się często, jak choćby na posepnym kryminale w kinie Savoy albo u Leonie, pod nieobecność dzieci, to nigdy jeszcze nie spali ze sobą.

Nie dlatego, że Hugh się jej nie podobał, wcale nie. Jej zdaniem był bardzo pociągający. Co prawda trochę od niej niższy, ale to nie szkodzi. Był także bardzo męski. Jak bardzo, przekona się dzisiejszej nocy. Nie rozmawiali o tym, ale oboje wiedzieli, że to nastąpi dzisiaj. Leonie poprosiła matkę, żeby przenocowała z dziewczynkami, bo ona wybiera się, jak to określiła, na wycieczkę z Hanną i Emmą.

Claire, która zdaniem Leonie wiedziała doskonale, co się święci, ale była zbyt dyskretna, żeby burknąć: najwyższy czas, do cholery, zgodziła się z przyjemnością.

Mając problem dziewczynek z głowy, Leonie wydała fortunę (której zresztą nie miała) na komplet bielizny z jedwabiu w kolorze kawy. Tak

długo szorowała się w łazience, że samej skóry straciła chyba z pół kilo. Natarła każdy centymetr ciała perfumowanym balsamem.

Nie patrzyła w lustro, nie chciała robić sobie wyrzutów, że znowu zapomniała wcierać w brzuch i uda krem na cellulitis. Ma czterdzieści trzy lata, nie jest modelką. Podoba się Hugh taka, jaka jest. Nie zmieni się, choćby tego bardzo chciała.

Hugh chyba dokładał podobnych starań w kuchni. Kiedy przyszła, trzy psy powitały ją radosnym szczekaniem i zaraz wróciły do kuchni, żeby pilnować smakowicie pachnącego dania.

- Wołowina? - Leonie poczuła kuszący zapach cebuli, czosnku i ziół.

Hugh, bardzo przystojny w kremowym swetrze i spodniach khaki, pocałował ją na przywitanie.

- Niespodzianka - powiedział.

- Uwielbiam niespodzianki.

Pocałował ją w szyję.

- Więc później dostaniesz jeszcze jedną - mruknął, aż zachichotała.

Kolacja była pyszna, ale Leonie nie mogła dużo jeść. Nie chciała, żeby brzuch wylewał się jej z nowych majteczek tylko dlatego, że za bardzo się objadła.

- Nie smakuje ci? - zaniepokoił się Hugh, kiedy nie zgodziła się na dodatkę deseru.

- Och, bardzo - zapewniła. - Jesteś wspaniałym kucharzem. Tylko że... po pysznej wołowinie nie jestem już głodna.

Całowali się przy kawie i tańczyli w kuchni przy akompaniamencie Franka Sinatry. Wtulona w Hugh Leonie rozkoszowała się każdą chwilą.

- Pójdziemy na górę? - zapytał.

Zgodziła się i trzymając się za ręce poszli do jego sypialni. Dotychczas była tam tylko raz, gdy oprowadzał ją do domu. Tym razem panował tam bałagan; najwyraźniej przygotowanie kolacji kosztowało go tyle wysiłku, że na sprzątanie już nie starczyło sił. Na krześle poniewierały się ubrania, ręcznik leżał na podłodze, z jednej szuflady wyglądała skarpetka. Za to na szerokim łóżku widniała świeża pościel, pachniała kwiatowym płynem do płukania tkanin. Leone uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała, gdy zobaczyła stoliczek przy łóżku.

Obok elektronicznego budzika stała niebieska drewniana ramka, z jednej strony ozdobiona drewnianym misiem. A w ramce - Jane. Pasowało to raczej do pokoju dziecięcego, nie do sypialni dorosłego faceta.

- Śliczne, prawda? - stwierdził Hugh z dumą, wędrując za jej spojrzeniem. - Niedawno dostałem to do Jane. Jest taka kochana, ciągle daje mi prezenty.

Leonie zacisnęła zęby i obiecała sobie, że pozbędzie się jakiejś sztuki garderoby w ten sposób, żeby zakryć Jane. Nie mogłaby się kochać z Hugh, patrząc na złośliwie uśmiechniętą twarz jego córki.

Obecność Jane miała i dobre strony. Leonie nie miała czasu się denerwować, gdy Hugh delikatnie zaczął ją rozbierać. Nie myślała o swoich okropnych udach, bo cały czas miała wrażenie, że Jane jest z nimi w pokoju, obserwuje i krzywi się złośliwie.

Kiedy Hugh został w samych bokserkach i pociągnął ją w stronę łóżka, uznała, że musi coś zrobić. Hugh odrzucił kołdrę, a ona odwróciła zdjęcie, tak że Jane patrzyła w drugą stronę. Hugh obserwował ją uważnie.

- Przepraszam, czułabym się jakby ktoś nas podglądał - wyjaśniła nerwowo. - Nie podoba mi się myśl, że patrzają na nas dzieci.

Uśmiechnął się.

- To wszystko?

- Matki bywają bardzo pruderyjne - wyjaśniła.

To, co robili później, wcale pruderyjne nie było. Hugh ukrył twarz na piersiach Leonie, mruzczał z rozkoszy i całował je namiętnie. Leonie przestała się denerwować, a zaczęła dobrze bawić. Podobały jej się pieszczoty Hugh, lubiła słuchać, jak mówi, że jest piękna i że podoba mu się jej seksowna bielizna. Podobało jej się, że znowu pieści mężczyznę, że czuje, jak podnieca się pod jej dotykiem. I była zachwycona, gdy wreszcie w nią wszedł. Przypomniła sobie, jaki wspaniały jest seks i zastanawiała się, czemu tak dużo czasu minęło, odkąd ostatnio to robiła.

- Och, Hugh - jęknęła, gdy przyspieszył tempo.

- Leonie - szepnął ochryple.

Nagle zadrżał i szczytował, krzycząc „O Boże, o Boże”. Ciężko opadł na nią.

Orgazm religijny, pomyślała nieoczekiwanie. Jej podniecenie opadało, Hugh już się nią nie zajmował. Są cztery rodzaje orgazmów, tłumaczyła Hanna ze śmiechem, jeszcze w Egipcie: religijny, pozytywny, negatywny i udawany.

Orgazm religijny to „O Boże” w chwili szczytowania. Pozytywny to „Tak!”, negatywny „Nie!”, a udawany to imię partnera. W jej sytuacji „O, Hugh!”

Czekała. Czekała, aż szepnie, jak mu przykro, że skończył tak szybko, że zaraz to naprawi. Czytała o tym w gazetach: nowocześni mężczyźni wiedzą, jak się zachować w łóżku. Minęły czasy seksu na łapu-capu. Mężczyźni to wrażliwe istoty, bez słów znają pragnienia swoich kobiet. Leonie myślała, że będzie miała wielokrotny orgazm, czytała o tym w pismach kobiecych. Spodziewała się niewysłowionej rozkoszy, myślała, że

będzie kwiczała jak proszę, może nawet zsiusia się w łóżko. W dzisiejszych czasach mężczyźni wiedzą, jak to osiągnąć. Położenie punktu G jest równie powszechnie znane jak zasady piłki nożnej.

Hugh poruszył się. Leonie uśmiechnęła się wyczekująco. Teraz jej kolej. Hugh cmoknął ją w ramię, zsunął się na bok. Nadal trzymał na niej jedną nogę. Jęknął i zachrapał. W ciemności Leonie nie posiadała się ze zdumienia i o mało nie pękła ze złości. Zasnął. Hanna zamorduje ją, jeśli się dowie, że pozwoliła mu spać, choć nawet nie starał się jej zaspokoić. Hanna spotyka się wyłącznie z mężczyznami Nowej Ery, Leonie trafiają się ci z neolitu.

Leżała obok śpiącego Hugh, zła i niezaspokojona.

- Nie martw się, Jane, skarbie - mruknęła do odwróconej fotografii.
- Możesz być dumna ze staruszka. Nie masz mi czego zazdrościć.

Rano było lepiej. Obudziła się, gdy Hugh głąaskał ją po plecach. Przeciągnęła się, ale nie odwróciła w jego stronę. Niech ją rozpali. Nie chciała powtórki z poprzedniego razu.

Tym razem wyprzedziła go. Skupiła się na tym, żeby osiągnąć orgazm. Kiedy krzyknęła, rzucając głową na boki, to Hugh musiał przyspieszyć.

- Było wspaniale - powiedział później.

Leonie tylko się uśmiechnęła.

- Lepiej niż w nocy.

Nie mogła się powstrzymać. Jeśli mają być razem, Hugh musi wiedzieć.

- Wczoraj zasnąłeś, kiedy skończyłeś, a ja nie miałam orgazmu - powiedziała.

Zdziwił się.

- Nie wiedziałem.

Jak mógł nie wiedzieć? Trudno, naucz go.

Przytuliła się do niego.

- ~ Nie martw się, mamy mnóstwo czasu, żeby się poznać w każdy możliwy sposób.

Rozdział 24

Leonie znalazła je przy sprzątanii. Był piątkowy ranek, miała zasłużony dzień wolny. W domu panował bałagan, ale obiecała sobie, że

jeśli upora się z porządkami w dwie godziny, w nagrodę zje lunch na mieście. Pokój Danny'ego to koszmar, ale ograniczyła się do zebrania brudnych ubrań z podłogi. Odkurzyła także nieliczne skrawki dywanu widoczne spod stosu książek, płyt i sprzętu sportowego. Łóżko wyglądało tak, jakby Penny się na nim tarzała po spacerze w wyjątkowo deszczowy dzień.

- Jakim cudem wychowałam takiego niechlujka? - zastanawiała się na głos, zmieniając pościel.

Chomik Herman, który, o dziwo, doskonale funkcjonował w dziwacznym ekosystemie pokoju Danny'ego, nerwowo biegał w kołowrotku, przerażony akcją porządkową.

- Zaraz przyjdzie kolej na ciebie, Herman - ostrzegła Leonie. Herman przyspieszył.

Po pokoju Danny'ego zajęła się łazienką. O wpół do dwunastej dopadło ją zmęczenie. Kusiła wizja lunchu w Delgany Inn z lampką wina. Najpierw jednak odkurzy pokój dziewczynek. Pod wpływem impulsu postanowiła także zmienić im pościel. Zazwyczaj robiły to same, ale skoro już sprząta... Mel nadal nie rozpakowała torby po weekendzie w Cannes. Miała specyficzny sposób na rozpakowywanie - stopniowo wyjmowała te ciuchy, które akurat były jej potrzebne. Z czasem torba będzie pusta.

Włączyła radio, znalazła stację grającą żywą muzykę i zdjęła pościel z obu łóżek. Mel się ucieszy, że dostaje ulubioną różową pościel. Co prawda gryzie się z delikatną koralową tapetą, ale dziewczynkom to nie przeszkadzało. Potem zajęła się łóżkiem Abby. Pochyliła się, naciągając różowe prześcieradło, i wtedy je znalazła: duże czerwone opakowanie środków na przeczyszczenie.

W pierwszej chwili gapiła się na nie, jakby napisy były w suahili, nie po angielsku. Środki na przeczyszczenie. Po co one Abby, do licha?

Odpowiedź przyszła szybko - po nic.

Nie potrzebuje ich ani Abby, ani tysiące nastolatek, które łykają dużo więcej środków na przeczyszczenie, niż powinny. Robią to, żeby schudnąć. Środki na przeczyszczenie w pokoju nastolatki oznaczają jedno - zaburzenia łaknienia.

Leonie ciężko przysiadła na łóżku, jakby nie miała siły stać. Otworzyła opakowanie i przekonała się, że brakuje połowy tabletek. Połowy z dwudziestu czterech. Bóg jeden wie, ile opakowań Abby już zużyła. Bóg jeden wie, ile jeszcze pustych opakowań kryje się pod łóżkiem, żeby Abby mogła je wyrzucić w odpowiedniej chwili, gdy Leonie nie patrzy.

Osunęła się na kolana, podniosła kapę i zajrzała pod łóżko. Stare gazety, kilka piłek tenisowych, niebieski kuferek. Kłębki kurzu i skrawki

papieru stanowiły żyw dowód, że za rzadko tu odkurza. Wyjątkowo nie zwróciła na nie uwagi. Starą rakieta tenisową wygarnęła inne skarby spod łóżka: pluszowy królik, kilka długopisów, pojedyncza niebieska skarpetka. I nic więcej. Sięgnęła po niebieski kuferek. Kiedyś należał do czarnowłosej lalki, ukochanej zabawki siedmioletniej Abby. Leonie przypomniała sobie, jak Mel drwi z siostry, że ma tajną skrytkę, i od razu wiedziała, że chodziło o ten kuferek. Doskonale się nadaje, żeby coś ukryć przed wścibskim wzrokiem.

Otworzyć go to jak czytać cudzy pamiętnik albo podsłuchiwać rozmowę. Psychologowie dziecięcy dopiero mieliby pole do popisu, tłumacząc jej, że to, co chce zrobić, jest błędne i że tym sposobem nadużywa zaufania córki. Jednak w tej chwili Leonie miała w nosie psychologów i ich zdanie. Co oni tam wiedzą. Nie oni dowiedzieli się właśnie, że ich piętnastoletnia córka na zaburzenia łaknienia. Nie oni mają wyrzuty sumienia, bo nie zauważali, co się dzieje.

Otworzyła kuferek Przeraziła się tym, co zobaczyła w środku: puste opakowania po czekokdkach, torebki po chipsach i co najmniej osiem pudełek po środkach na przeczyszczenie, wszystkie puste. Delikatnie musnęła palcem zgniecioną folię. Biedna Abby. Leonie wyobraziła sobie córkę zwijającą się z bólu po zażyciu zbyt dużej ilości środków na przeczyszczenie.

Wyrzuty sumienia nie dawały jej spokoju. Jak mogła tego nie zauważyć? Co z niej za matka? Analizowała ostatnie miesiące, szukała symptomów, dowodów choroby Abby.

Przypomniała sobie, jaka ostatnio stała się wybredna. I schudła. Upierała się, że chce tylko dania wegetariańskie, a ona, Leonie, cieszyła się, że córka zeszczuplała i nie będzie, jak ona, cierpiała, że jest duża i gruba. Cieszyła się, dobre sobie. Abby chudła, bo brała środki na przeczyszczenie i... Leonie pobladła na myśl, co jeszcze mogła robić.

Oby skończyło się na środkach na przeczyszczenie, oby córka nie wpadła w anoreksję czy bulimię.

Zadzwonił telefon. Nie odebrała. Siedziała na podłodze w pokoju bliźniaczek i niewidzącym wzrokiem patrzyła na plakaty boysbandów na ścianach, lecz nie widziała opalonych, umięśnionych chłopców, tylko biedną Abby, jak stara się sama ze wszystkim uporać. Była na siebie wściekła, że niczego nie zauważyła. Do tego stopnia pochłoneńy ją własne problemy, zamartwiała się, jaki wpływ wywrze Fliss na ich życie, zaangażowała się w związek z Hugh, że niczego nie zauważyła.

Doświadczyła w życiu wielu różnych uczuć, ale nigdy nie czuła tego co teraz - że jest złą matką.

Po południu patrzyła, jak dziewczyny, które wcale nie wyglądają jak uczennice, wychodzą z bramy szkoły. Nonszalancko niosły plecaki i torby, wysokie, szczupłe, bardzo dorosłe. Rozpinały żakiety od mundurka, ledwie znalazły się poza zasięgiem sokolego wzroku zakonnic, zakasały błękitne spódniczki. Niektóre paliły, inne malowały się i pudrowały, czekając na autobus. Wszystkie paplały beztrzesko, szczęśliwe, że przed nimi weekend.

Autobus do Bray przyjechał i odjechał, zanim Mel i Abby wyszły w gronie koleżanek z klasy. Chichotały, pochylone nad gazetą.

Mel pierwsza dostrzegła samochód matki. Podbiegła zdziwiona - zazwyczaj wracały do domu autobusem.

- Mamo! Co się stało? Coś z babcią? Czy z Dannym?

- Nic takiego - odparła Leonie.

- Ale przecież już po nas nie przyjeżdżasz... - dziwiła się Mel.

- Musimy porozmawiać.

- Och. - Naburmuszona Mel usiadła obok matki. - Co takiego znowu zrobiłyśmy?

- Cześć. - Abby otworzyła tylne drzwiczki. Najpierw cisnęła plecak, dopiero potem sama wsiadła. - Padam z nóg, mammo. Fajna niespodzianka. Jak ci się udał wolny dzień?

Leonie przyglądała się jej w tylnym lusterku, szukała śladów bulimii albo anoreksji, jakby choroba objawiała się napisem na czole.

- Eee... tak sobie - mruknęła.

- Mamy kłopot, Abby - oznajmiła Mel. - No, mammo, powiedz, co znowu zrobiłyśmy?

Leonie powoli zjeżdżała ze wzgórza. Na dole mało brakowało, a nie zauważyłaby znaku stopu. Jak to powiedzieć? Poczekać, aż wrócą do domu? Porozmawiać z Abby w cztery oczy?

- Kawę na ławę, mammo - niecierpliwiła się Mel. Była ciekawa, za co będzie musiała siedzieć cały weekend w domu.

- Dzisiaj znalazłam w waszym pokoju środki przeczyszczające koło łóżka Abby. - Szczerowość to jedyny sposób. Znowu zerknęła na Abby.

Córka milczała z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Nie szperałam - ciągnęła Leonie. - Zmieniałam wam pościel i znalazłam te środki koło łóżka, Abby.

- I co z tego?

- Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam była tego robić, ale zajrzałam do niebieskiego kufereka i znalazłam pozostałe.

- Co? Nie miałaś prawa! - wrzasnęła Abby. - Jakbyś się czuła, gdyby ktoś grzebał w twoich rzeczach? To moje rzeczy, mam prawo do prywatności.

- Wiem, kochanie - Leonie starała się ją uspokoić - ale martwię się o ciebie. Nie szukałam pamiętnika ani niczego takiego. Chciałam zobaczyć, czy zażyłaś jeszcze więcej tych świństw. Są szkodliwe.

- To moja sprawa, szkodliwe czy nie! - warknęła Abby. - Mam nadzieję, że nie czytałaś mojego pamiętnika.

- Oczywiście, że nie, nawet go nie widziałam. Ale ty jesteś moją sprawą, Abby - odparła zapalczywie - i dlatego to także moja sprawa. Mam prawo wiedzieć co robisz, bo jestem twoją matką i chcę dla ciebie jak najlepiej. Zażywanie środków na przeczyszczenie to zła droga, to głupota. Kochanie jesteś śliczna, nie musisz niczego zmieniać w swoim wyglądzie. A jeśli chcesz zeszczupleć, sana to inne sposoby - łągodziła.

- Ach tak, ty akurat wiesz najlepiej! - syknęła Abby jadownicie.

Nawet Mel, która lubiła awantury i nie zwracała uwagi na obelgi, jęknęła zdumiona.

Leonie złapała się na tym, że rusza ustami jak ryba wyjęta z wody.

- Nie mówiła poważnie, mamó - zapewniła Mel.

- A właśnie że tak! - wrzasnęła Abby.

Leonie w końcu odzyskała głos.

- Jak mogłaś mi powiedzieć coś tak okrutnego? Naprawdę tak o mnie myślisz?

Abby nie odpowiedziała.

Ledwie samochód zatrzymał się na podjeździe, Abby wbiegła do domu. Mel rzuciła się za nią. Wyczerpana Leonie wysiadła ostatnia.

- Abby, musimy porozmawiać - powiedziała głośno, stojąc pod pokojem córek. Słyszała szepty i szlochy. Nie chciała tam wchodzić, ale chyba będzie musiała. - Abby! - krzyknęła jeszcze raz. - Musimy porozmawiać.

Zarumieniona, z podejrzenie błyszczącymi oczami, Abby wyszła, chyba trochę mniej zdenerwowana. Na pewno sprawdzała, czy pamiętnik jest na swoim miejscu. Leonie nawet go nie zauważyła, do tego stopnia pochłonięto ją szukanie środków na przeczyszczenie. Abby trochę ochłoneła.

- Powiedz, kiedy to się zaczęło, Abby. Nie kłam - zaczęła Leonie.

Abby nie patrzyła jej w oczy. Przeszępowała z nogi na nogę.

- Niedawno - mruknęła. - Czytałam o tym, ale one nie działają, zadowolona? To stare opakowania.

- Obiecuj, że już nigdy tego nie zrobisz, proszę - błagała Leonie. - Jeśli chcesz, pójdziemy do specjalisty. Są grupy terapeutyczne dla osób z zaburzeniami łaknienia...

- Nie mam zaburzeń łaknienia - warknęła Abby. - Eksperymentowałam, w porządku? Nie muszę ci wszystkiego tłumaczyć. Nie jestem dzieckiem.

- Wiem, kochanie. - Leonie chciała jej dotknąć, ale Abby się cofnęła. - Nie złość się na mnie. Nie chcę cię traktować jak dziecka, ale to, co robisz, jest niebezpieczne. Jestem twoją matką, muszę się tobą opiekować. Nie mogę beczynnie stać z boku i patrzeć, jak się wyniszczasz. Muszę mieć pewność, że nie będziesz więcej zażywała środków na przeczyszczenie i że nie robiłaś nic innego... - na chwilę zawiódł ją głos - że nie doprowadzałaś się do wymiotów.

- Nie robiłam nic innego - odparła Abby uparcie. - Nie wierzysz? - syknęła.

Leonie przyglądała się jej przez długą chwilę.

- Jeśli przysięgniesz, że mówisz prawdę, uwierzę. Ale jeśli coś robiłaś, razem damy sobie z tym radę. Jesteśmy rodziną. - Miała łzy w oczach, chciała przytulić Abby, tak jak dawnej, gdy bliźniaczki były młodsze. Abby uwielbiała się przytulać. - Zdobędę telefon do poradni i razem uporamy się z tym problemem.

Abby zmrużyła oczy.

- Ja mam inne rozwiązanie - warknęła. - Nie chcę tu mieszkać, zamieszkać z Fliss i tatą. Ucieszą się, dla nich nie będę problemem - rzuciła ostro.

Leonie nie mogła nawet myśleć, tak bardzo zabolowały te słowa. Abby nie powiedziała, że chce zamieszkać z ojcem i Fliss, tylko odwrotnie. Najpierw Fliss, potem Ray. To nie on ciągnął ją do Ameryki, tylko szczupła, elegancka, czarująca Fliss. Leonie nigdy się nie przejmowała, że piękna Amerykanka wyszła za jej byłego męża. Rozeszli się tak dawno, proszę bardzo, niech ma Fliss. Ale zabije się, jeśli Fliss odbierze jej dzieci,

- Nie jesteś dla mnie problemem, Abby - powiedziała cicho. - Kocham cię i nie zniosłabym, gdybyś mieszkała gdzie indziej. Chcę dla ciebie jak najlepiej, nie rozumiesz?

- Daj mi spokój-usłyszała. - Właśnie tak będzie dla mnie najlepiej.

Odwróciła się na pięcie i wróciła do pokoju. Zatrzasnęła za sobą drzwi z taką siłą, że zadrżały framugi.

Leonie machinalnie szykowała kolację. Nie wiedziała, co robić. Nie miała nawet siły zadzwonić do matki albo do Raya, choć wiedziała, że przydałoby się jej wsparcie. Musi najpierw w samotności przemyśleć zachowanie Abby.

Abby wyszła z pokoju dopiero wieczorem. Była bardzo blada, miała zaczerwienione oczy. Leonie wyczuła instynktownie, że córka żałuje tego,

co powiedziała. Odstawiła deskę z siekaną sałatką, podeszła do córki i objęła ją serdecznie.

- Mamo - Abby przywarła do niej z całej siły. - Przepraszam. Nie nawidzę się za to, co ci powiedziałam. Bardzo cię kocham, proszę, uwierz.

- Cicho, cicho - Leonie głaskała ją po głowie. - Ja też cię kocham, Abby. Chcę ci pomóc. Pozwolisz mi? Proszę, nie odpychaj mnie. - Trzymała twarz Abby w dłoniach i przyglądała się jej uważnie. - Obiecasz, że już nigdy nie tkniesz środków na przeczyszczenie?

Abby energicznie skinęła głową.

- Przepraszam, mamo.

Leonie przyciągnęła ją do siebie.

- Już dobrze, kochanie. Razem się z tym uporamy. Wszystko będzie dobrze.

Niestety, nie było. Leonie robiła, co w jej mocy, by przy każdym posiłku nie gapić się na talerz Abby, ale przyciągał ją jak magnes. Ilekroć córka weszła do toalety, nasłuchiwała, czy nie słyszy wymiotów.

- Przestań mnie szpiegować! - syknęła Abby w sobotę wieczorem. Jak zwykle grzebała widelcem w talerzu.

Napięta atmosfera utrzymała się przez cały weekend. Najdziwniejsze że Danny, po uszy pochłonięty nowym projektem na uczelni, niczego nie zauważył. Abby ciągle unikała matki, ale Leonie w końcu udało się zapytać ją na osobności, jak się czuje.

- Świetnie - parsknęła. - Mówiłam ci, już niczego nie biorę, nie możesz tego zaakceptować?

W poniedziałek rano, gdy dziewczynki poszły do szkoły, Leonie zadzwoniła do kliniki i powiedziała, że się spóźni. A potem wykonała inny telefon.

Kobieta, która odebrała telefon zaufania dla anorektyczek i bulimiczek, Brenda, nie po raz pierwszy słuchała takiej historii. Miała cichy, spokojny głos, nie osądzała, nie ferowała wyroków i Leonie poczuła się odrobinę lepiej. Ponieważ obwinała się, że nie zauważyła problemów Abby, myślała, że wszyscy dokoła obarczają winą.

Brenda szybko wybiła jej to z głowy.

- Dobrze, że wiesz, co się z nią dzieje - powiedziała. - Teraz możesz jej pomóc, a przedtem nie mogłaś. Przecież to dobrze.

- No tak - mruknęła Leonie.

- Zaufanie jest na tym etapie bardzo ważne - tłumaczyła Brenda. - Postaraj się nie śledzić Abby czujnym wzrokiem i nie nakładaj jej dużych porcji, bo jeszcze bardziej zamknie się w sobie.

- Więc co mam robić? - jęknęła Leonie. - Chciałabym jej pomóc, ale mnie odpycha.

- To normalne. Nie myśl, że chodzi o ciebie. Ona cierpi. Chce się na kimś zemścić, a jednocześnie chce cię trzymać na dystans, żeby nadal mogła robić to, co robi. Obawia się, że jeśli przestanie się kontrolować, straci panowanie.

- Zawsze była takim dobrym dzieckiem, nie było z nią żadnych problemów - zadumała się Leonie. - Jeśli już któraś z moich córek miałaby zachorować, prędzej podejrzewałabym Melanie, jej siostrę bliźniaczkę. Melanie interesuje się chłopcami, ciuchami i urodą. Jest śliczna i kobieca, a Abby spokojna i poważna.

- Może ma tego dosyć - zauważyła Brenda delikatnie. - I nie chce dłużej żyć w cieniu siostry.

- Tak.

- Wydaje się, że zorientowałaś się we wczesnym etapie, chociaż nigdy nic nie wiadomo. Chorzy na zaburzenia łaknienia doskonale to ukrywają. - Śmiech w słuchawce. - Wiem, co mówię. Przez pięć lat miałam anoreksję, a bulimię przez osiem.

Leonie jęknęła.

- Zdziwiłam cię? Spójrz na to z tej strony - najbardziej efektywnie pomoże ktoś, kto przebył tę samą drogę. Nie zmusisz córki do jedzenia. Na tym etapie musisz zapewnić jej wsparcie. Poradzisz sobie.

Poleciała jej kilka książek i dodała, że najlepiej byłoby, gdyby Leonie namówiła Abby na spotkanie w grupie terapeutycznej.

- Najczęściej dziewczęta, które tu przychodzą po raz pierwszy, umierają ze strachu. Nie znają nikogo, kto czułby to samo co one, myślą, że są same. Na pierwszym spotkaniu zazwyczaj nic nie mówią, tylko siedzą i słuchają, nie mieści im się w głowie, że na sali jest pełno ludzi, którzy doświadczyli tego samego. Postaraj się ją przyprowadzić, Leonie.

- Zrobię, co się da - obiecała.

Nie mogła się skupić na pracy.

- Hugh ci się oświadczył czy co? - zainteresowała się Angie, gdy Leonie przyniosła nie tego królika do kastracji. - To samiczka.

- Przepraszam. - Leonie zabrała zdziwionego zwierzaka. - Migrena i tyle.

- Może chcesz iść do domu? - zaproponowała Angie.

- Leonie energicznie pokręciła głową. Tylko nie to, w domu przez cały czas rozmyślałyby o Abby.

Po lunchu zebrała się na odwagę i zadzwoniła do Raya. Musi mu powiedzieć.

Był w złym humorze. Kiedy fałszywie zapewniła go, że nic się nie stało, przez pięć minut narzekał na pogodę w Bostonie.

- Tak - mruknęła - tutaj też jest zimno. Posłuchaj, Ray - zaczęła ponuro - musimy porozmawiać.

- Czyli coś się stało.

- Nie chciałam zacząć rozmowy od: wiesz, Ray, stało się coś okropnego - powiedziała cicho.

- Mów.

Myślała, że będzie zmartwiony, nawet załamany. Nie spodziewała się natomiast, że będzie na nią wściekły.

- Na rany boskie, Leonie, jak to się mogło stać, że niczego nie zauważyłaś? Tutaj w telewizji w kółko trąbią o anoreksji i bulimii. Rodzice i nauczyciele sana to szczególnie wyczuleni, a ty nie miałaś pojęcia!

- To nie w porządku - zaprotestowała. - Chorzy się doskonale maskują. Kocham dzieci i zrobię dla nich wszystko. Chyba mi nie zarzucasz, że je zaniedbałam.

- Cóż, tym razem się nie popisałaś - warknął.

- Przecież dopiero co wróciły z Cannes, były tam z tobą. A ty coś zauważyłaś? - krzyknęła.

- Cztery dni to tyłe co nic. Muszę kończyć, mam spotkanie o dziesiątej. Wieczorem zadzwonię do Abby. Może powinna przyjechać do nas na jakiś czas, my się nią zajmiemy. Fliss świetnie się z nią rozumie.

Odłożył słuchawkę. Leonie wpadła w panikę.

Spragniona otuchy, zadzwoniła do Emmy, ale odpowiedziała jej automatyczna sekretarka. Sympatyczna recepcjonistka w biurze Hanny powiedziała, że nie ma jej w pracy. Nie dzwoniła do Hugh. Nie będzie z nim rozmawiała na ten temat. Cholerna Jane była, sądząc z jego opowiadań, idealną nastolatką nie zniesie rozmowy z nim na temat Abby.

Nagle poczuła się bardzo samotna. Ukryła twarz w dłoniach i zalała się łzami. Jakim cudem ma się z tym wszystkim uporać? Dlaczego do tego stopnia zajęła się sobą, że nie widziała, co się dzieje z ukochanymi dziećmi? Poszła do domu wcześniej i zabrała Penny na spacer. Nie powstrzymała jej przed tym nawet pogoda - słoneczne majowe popołudnie przeszło w burzę gradową. Leonie to nie przeszkadzało, uważała, że zasłużyła na wicher zacinający gradem w twarz. Złe matki nie mogą liczyć na nic więcej. Penny natomiast była zachwycona. Odchyliła łeb i węszyła entuzjastycznie, łapała zapachy, których nie wyczuje ludzki nos, skakała, wbiegła do kałuży, ciągnęła za sobą skuloną Leonie.

Przy bramie posiadłości Douga Mansella Penny, która przywykła, że spotyka się z dwoma owczarkami collie na wieczornych spacerach, postanowiła złożyć im wizytę. Nie zwracała uwagi na krzyki Leonie, że ma natychmiast wracać, i radośnie biegła na spotkanie z kumplami. Leonie

z jękiem poszła za nią. Może to niegłupi pomysł, pogadać z Dougiem. Wieczorami często spacerowali razem, rozmawiali o wszystkim i o niczym. Doug okazał się wspaniałym, zabawnym towarzyszem. Wiele razy gościł w domu Delaneyów na kolacji, chyba odpowiadała mu swobodna atmosfera. Uczył Danny'ego jeździć swoim dżipem i obiecał, że nauczy także dziewczynki, kiedy osiągną odpowiedni wiek.

Leonie nie powiedziała Hugh o tych kolacyjkach. Obawiała się, że niewłaściwie je zinterpretuje. Niełatwo byłoby wytłumaczyć przyjaźń z Dougiem, bo nigdy nie łączyło jej z nikim coś takiego. Nie był to związek romantyczny, nie, ale... Chodzi o poczucie bliskości. Nie sposób tego wytłumaczyć.

Szła do tylnych drzwi, wiedziała, że albo siedzi w kuchni, albo w atelier obok. Otworzył drzwi, zanim zapukała, zaalarmowało go radosne szczekanie trzech psów.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale Penny uznała, że musi się zobaczyć z Alfie i Jasperem - wyjaśniła.

Doug skrzywił się zabawnie.

- Czyli nie zawracałabyś mi głowy, gdyby Penny nie zatęskniła za kumplami? - zażartował, lecz zaraz spowaźniał, widząc minę Leonie. - Co się dzieje, Leo? - zapytał. Tylko on tak się do nie zwracał. Bardzo to lubiła, było takie osobiste, prywatne.

Powiedziała mu wszystko. Odczuła przy tym ulgę. Nie miała siły rozmawiać z Angie, nie chciała zwierzyć się matce, bo ta bardzo by się przejęła. Ale Dougowi można wszystko powiedzieć. Usadziła ją na najwygodniejszej kanapie w ciepłej kuchni, napoił słodką gorącą herbatą, podsunął włoskie ciasteczka, które chyba zawsze miał pod ręką. Wysłuchał spokojnie całej opowieści, podsuwając przy tym okruszki trzem łakomym psom, i stwierdził, że Ray przesadził i powinien za to oberwać.

- Łatwo kogoś krytykować z odległości trzech tysięcy mil - zauważył. - Ray ma wyrzuty sumienia, bo go nie ma przy dzieciach, i wyżywa się na tobie. Nie przejmuj się tym, Leo.

- Zawiodłam jako matka - szlochała.

Był poważny, ciemne oczy patrzyły niemal surowo.

- Nie zawiodłaś. Masz troje wspaniałych dzieci, ale to nie święci. Popełniają błędy, jak my wszyscy, Leo. Gdyby Mel, Abby i Danny byli święci, zanudziłabyś się z nimi na śmierć. Ale tacy nie są, prawda? Są zabawni, mądry, wrażliwi... nadwrażliwi, przynajmniej Abby - i młodzi. Muszą odnaleźć swoje miejsce w świecie. I nie są już dziećmi. Musisz się z tym pogodzić. Możesz dodawać im otuchy, gdy popełniają błędy, ale nie możesz ich przed tymi błędami powstrzymać. Dobra - mruknał,

widząc, że Leonie zaraz znowu się rozpłacze - koniec wykładu- Wierzę w ciebie, Leo, podobnie jak dzieci. Poszłyby za tobąw ogień. Wiedzą, ile dla nich poświęciłaś. Nie zapominaj o tym.

Skinęła głową.

Doug spojrział na trzy psy. Leżały na podłodze i ciężko dyszały, wyczerpane szaleńczą gonitwą przez cały dom.

- Penny się dzisiaj dość naspac ero wała. Odwiozę cię do domu, pokażesz mi, gdzie trzymasz w zamrażalniku tę pyszną lazanię i przygotuję kolację. Umowa stoi?

- Stoi.

Fliss zadzwoniła późnym wieczorem, gdy Doug już wyszedł, a dzieci poszły spać. Leonie poczuła, że na dźwięk jej głosu jeżając się włosy na karku, zupełnie jak Penny, ilekroć zobaczyła innego kota niż jej współlokatorka Clover.

- Leonie, to straszne. Bardzo ci współczuję.

- Dziękuję bardzo, Fliss - odpowiedziała sztywno, wściekła, że Fliss zna najintymniejsze sekrety rodzinne.

- Ray przyznał, że stracił panowanie nad sobą. Przepraszam za niego, nie miał prawa się tak zachować - ciągnęła Fliss. - Długo o tym rozmawialiśmy i chyba znaleźliśmy rozwiązanie, które wszystkich zadowolili.

- Czyżby?

Nadal spokojnie, mimo ironii Leonie, Fliss tłumaczyła:

- Może byłoby najlepiej, gdyby Abby na jakiś czas zamieszkała z nami. Mel także, ma się rozumieć, chyba nie powinniśmy ich rozdzielać.

- Co? To śmieszne. Przecież dopiero co wróciły do szkoły, już opuściły dwa dni lekcji przez ten wyjazd do Francji. Nie mogą więcej opuszczać. Niedługo mają egzaminy końcowe.

- To się da załatwić. Zresztą i tak miały do nas przyjechać w sierpniu. Przyspieszmy to trochę- Fliss wpadła jej w słowo. - Nie znam się na tyle na prawie rodzinnym, ale wiem, że dzieci często opuszczają szkołę na dwa, trzy miesiące, żeby zamieszkać z drugim rodzicem. Nawet tyle czasu powinno wystarczyć Abby.

- Dwa, trzy miesiące! - stęknęła Leonie. - Myślałam raczej o kilku tygodniach. Załamie się bez nich.

- Tak, spodziewałam się, że tak zareagujesz - Fliss starała się być delikatna. - Nie chcę ci ich odebrać. To twoje córki, kochają cię. Nikt ci tego nie odbierze. Ale teraz chodzi o Abby. Jesteś dla niej najważniejsza,

ale powinna chyba wyrwać się z rutyny, zmienić otoczenie. Wiesz przecież, że ich ojciec bardzo chciałby mieć ją przy sobie. I Mel także.

Leonie wiedziała, że musi skończyć tę rozmowę jak najszybciej, bo zaraz się rozpłaczę.

- Pomyślę o tym, Fliss - powiedziała szybko i odłożyła słuchawkę. I zalała się łzami.

Doug zaproponował, że zawiezie je na lotnisko.

- Ty, Leonie, chyba nie będziesz w stanie prowadzić - stwierdził stanowczo.

Wiedziała, że ma rację. Od trzech dni, odkąd powiedziała dziewczynkom o wyjeździe, nie była w stanie nic robić. Wzięła sobie wolne z obawy, że wskutek jej błędu jakiś biedny zwierzak zakończy żywot. Angie serdecznie jej współczuła, gdy dowiedziała się o Abby.

- Zmiana otoczenia chyba dobrze zrobi wam obu - powiedziała. - Może wyrwiesz się gdzieś z Hugh po wyjeździe dziewczynek? Nie wiem, do Kerry albo Clare, tam, gdzie można nic nie robić, tylko jeść, pić i włączyć się po lesie. Zasłużyłaś na trochę odpoczynku, a jak się będziesz nudziła z Hugh, uciekniesz z przystojnym leśniczym!

Ale Leonie nie była w nastroju do żartów ani nie miała ochoty na żadne wakacje. Najchętniej zaszyłaby się w głębokiej jamie i lizała rany.

Była dziesiąta rano, samolot dziewczynek odlatywał o drugiej. Leonie chciała być na lotnisku dużo wcześniej - formalności ze strony Amerykanów zajmują bardzo dużo czasu. Co za ironia losu, pomyślała, ponagla je, żeby zdążyły na samolot, choć wcale nie chce, żeby wyjechały.

- Gotowe? - zapytała z fałszywą radością.

Mel i Abby wstały o siódmej, jeszcze się pakowały, myły włosy, ba Mel nawet zadzwoniła do swojej głównej rywalki, Dervli Malone, i chwaliła się, że leci do Bostonu, a cała klasa ma dzisiaj francuski i siatkówkę na zalanym deszczem boisku.

- Prawie! - zawołała Mel. - Nie mogę zapiąć walizki. Chodź tutaj i pomóż mi, mammo!

Przewróciła oczami do Douga, który cierpliwie czytał w kuchni gazetę i poszła do pokoju dziewczynek.

- Niespodzianka! - wrzasnęły, wymachując kopertą i dwoma niekształtnymi paczuszkami.

- Wino - wytłumaczyła Mel całkiem niepotrzebnie, bo kształt mówił sam za siebie.

- A to żeby ci nie było smutno, że nas nie ma. - Abby podała jej drugie zawiniątko.

Leonie miała gulę w gardle.

- Och, dziewczynki - szepnęła przez łyzy. - Będę za wami bardzo tęskniła.

Abby rzuciła się jej na szyję.

- Wiem, że to przeze mnie jedziemy, i bardzo się cieszę, że wyjeżdżam, ale tak mi przykro - szlochała.

Tuliły się mocno. Leonie za wszelką cenę starała się nie rozpłakać.

- Nie rozpakujesz prezentów? - niecierpliwiła się Mel.

Leonie wychwalała butelkę wina pod niebiosa. Był to dobry burgund, na pewno strasznie drogi.

- Jakim cudem udało wam się kupić alkohol? - zapytała. - Jesteście za młode.

- Doug nam pomógł. Powiedział, co ci na pewno będzie smakowało i pomógł nam wybrać.

Leonie była wzruszona. Ależ z tego Douga dobry człowiek. Dzieciaki za nim przepadają, obiecał nawet uczyć Abby malować. Niedawno zrywał boki z śmiechu, gdy Mel nietaktownie wyznała, że chciałyby mieć swój portret, ale namalowany nie przez Douga, bo na jego obrazach wszyscy są grubi i brzydki.

Leonie rozpakowała drugi prezent. Była to pluszowa przytulanka z wielkimi brązowymi oczami, jak Penny, i rdzawą sierścią.

- Śliczna - stwierdziła.

- Prawda? - Abby pociągnęła nosem. - Wiedziałam, że będziesz się czuła samotna, żebyś o nas pamiętała.

Leonie pogłaskała ją po policzku.

- Jakbym mogła o was zapomnieć choćby na chwilę - mruknęła. - Dziękuję wam bardzo. A teraz ruszamy, Doug wpadnie w szal, jeśli zaraz nie wyjedziemy.

Abby się uśmiechnęła.

- W Dougu najfajniejsze jest to, że nigdy nie wpada w szal, choćby nie wiem co się działo.

Leonie udało się zapanować nad sobą przez całą drogę na lotnisko i później, w kawiarence.

- Nie zapominajcie, że macie się uczyć. Puścili was ze szkoły tylko pod tym warunkiem. A ty, Abby, masz chodzić na terapię.

Ray zatrudnił prywatnego nauczyciela na najbliższe sześć tygodni, a Abby obiecała, że pójdzie do terapeuty leczącego zaburzenia łaknienia. Dopiero ta obietnica przekonała dyrektorkę szkoły, że dziewczynki mogą pojechać.

- Gdyby były w innej klasie, musiałyby powtarzać rok - tłumaczyła siostra Fidelma. - Zbliżają się egzaminy końcowe. Co prawda uważa się, że w ich klasie to nic trudnego, ale ja tak nie uważam.

Leonie starała się wytłumaczyć, że emocjonalny stan Abby jest ważniejszy niż egzaminy.

- Ministerstwo Edukacji jest innego zdania - zauważyła siostra Fidelma. Mimo wszystko zgodziła się na ich wyjazd. Chociaż, jak mruknęła Leonie do Douga, miała przy tym taką miną, jakbym wysyłała córki na naukę zawodu do tajlandzkiego burdelu, a nie do ich ojca do Bostonu.

- I nie róbcie w kuchni takiego bałaganu jak w domu - upominała teraz. - To nie w porządku wobec Fliss.

- Powinny już iść - zauważył Doug delikatnie.

Leonie tylko skinęła głową, nagle niezdolna cokolwiek powiedzieć. Odprowadzili dziewczynki do barierki, skąd, jako nieletnie, zabierze je przedstawiciel linii lotniczych Aer Lingus i pomoże dopełnić skomplikowanych formalności,

Obie pocałowały Douga na pożegnanie.

- Opiekuj się mamą, dobrze? - poprosiła Abby.

- Oczywiście.

Abby zwróciła się do Leonie.

- Do widzenia, mamó.

- Do widzenia. - Cała siła Leonie znikła bez śladu. Z głośnym płaczem przyciągnęła obie córki do siebie.

Uściskały się serdecznie, aż Mel wyrwała się z jej ramion.

- Nie panikuj, mamó - mruknęła. - Ledwie się obejrzysz, a już wrócimy.

Wzięła Abby za rękę.

- Chodźmy już. Nie lubię pożegnań.

Machały, aż znikły za rogiem. Doug objął Leonie silnym ramieniem.

- Wiesz, to tylko sześć tygodni - zauważył. - Wróć. A teraz chodźmy. Dzisiaj zapraszam cię na kolację, ale najpierw musimy iść z psami na spacer.

Kiedy godzinę później zatrzymał się przed jej domkiem, nie płakała już.

- Wejść, zaparzę ci herbaty - zaproponował.

- Lepiej grzaną whisky - pociągnęła czerwonym od płaczu nosem.

- W porządku.

Doug dotrzymał słowa, zagotował wodę i podał jej pyszną grzaną whisky. Kiedy wypić, wstał.

- Leonie, nie pozwolę ci tu siedzieć i zamartwiać się przez cały dzień. Przebij się, za dziesięć minut wrócę po ciebie z Jasperem i Alfie.

Pójdziemy na spacer Wicklow Way, a kiedy będziesz padała z nóg, zjemy coś w zajeździe U Głodnego Mnicha.

- Ale się rządysz - burknęła.

Poważną twarz rozjaśnił uśmiech:

- To działa, prawda?

Był piękny dzień. Wędrowali wzdłuż żółtych od siarki zboczy niedaleko Wicklow Way. Leonie wciąż była markotna. Odpowiadała monosylabami, póki jej zły humor nie wyprowadził Douga z równowagi.

- Powiem to tylko raz, Leo. Jesteś wspaniałą matką. Dzieci cię kochają. Dorastają po prostu, a to bolesny proces. Więc przestań się mazać i weź się w garść.

- W takim razie dlaczego czuję, że zawiodłam jako matka, co? - zaatakowała go. - Mam straszne wyrzuty sumienia, do jasnej cholery!

Hugh były zbulwersowany przekleństwami, lecz na Dougu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

- A dlaczego?

- Dlaczego? To kretyńskie pytanie, Doug! - syknęła.

- Nie jesteś panem Bogiem - odpowiedział spokojnie. - Są rzeczy, nad którymi nie panujesz, i musisz się z tym pogodzić. Jak ja. Myślisz, że chciałem poparzyć sobie twarz w pożarze? Że chciałem, żeby kobieta, którą kochałem, rzuciła mnie, bo nie wyobrażała sobie życia z oszpeconym facetem? Już nie pupilkiem artystycznego świata?

Leonie była zbyt zaskoczona, by cokolwiek powiedzieć. Do tej pory Doug nigdy nie opowiadał o swojej przeszłości. Wiedziała, że jest znanym, cenionym malarzem, ale nigdy nie rozmawiali na ten temat. Czasami pokazywał jej swoje obrazy. Podobały jej się wszystkie, zwłaszcza dzikie, nieujarzmione pejzaże.

- Nie panowałem nad tym - ciągnął. - I musiałem się z tym uporać. Ty też, inaczej zgorzkniesz. Nie chcę, żeby to cię spotkało, Leo. A teraz chodź, przed nami jeszcze trzy mile.

Trzy godziny później siedzieli w ciemnym kącie zajazdu U Głodnego Mnicha, zjadali bułeczki i pili gin z tonikiem.

- Umieram z głodu - stwierdziła Leonie. Mięśnie bolały ją po sześciomilowej wędrowce, ale po raz pierwszy, odkąd znalazła u Abby środki przeczyszczające, ogarnął ją spokój. - Zmęczenie zdecydowanie lepiej pomaga się odprężyć niż alkohol.

Doug, który studiował kartę win, parsknął śmiechem.

- Zmęczenie i alkohol to dopiero relaks!

Jedli smakowite tłuste maźże, kurczaki i tuczące ziemniaki z serem i śmietaną. Po butelce czerwonego wina zamówili australijskie wino de-

serowe. A na zakończenie Leonie stwierdziła, że ma ochotę na kawę po irlandzku.

- Rano tego pożałujesz - ostrzegął Doug. - Po takiej mieszance będziesz miała straszny kaca.

- Nieprawda! - upierała się, zmęczona fizycznie i lekko przymulona alkoholem. Jeszcze jeden drink i całą noc prześpi jak dziecko, nie będzie się martwiła o córki.

Cudownie wstawiona zdobyła się na odwagę, by zapytać Douga o to, co powiedział wcześniej.

- Nigdy nie pytałam cię o przeszłość - zaczęła. - Ale sam poruszyłeś ten temat. Opowiadaj. Zresztą ty wiesz o mnie wszystko - dodała.

Doug bawił się kieliszkiem.

- Nie lubię o tym rozmawiać z ludźmi - stwierdził ponuro.

- Przecież to tylko ja - zaprotestowała Leonie.

- No właśnie, to ty. A to nie jest opowieść z happy endem.

- Dosyć tego, Mansell - niecierpliwiła się. - Kawę na ławę.

- Zastanawiałaś się nad karierą paparazzi? - zainteresował się.

Parsknęła śmiechem.

- Kiedy masz troje dzieci, musisz się nauczyć wyciągać informacje, inaczej nigdy się nie dowiesz, z kim się przyjaźnią ani dokąd się wybierają

Wyjątkowo Doug nie odpowiedział uśmiechem. Zaczął poważnie:

- Miałem poślubić kobietę, z którą byłem od trzech lat. Wcześniej byłem już w trwałych związkach - wyjaśnił - ale nie chciałem się żenić, póki nie poznałem Caitlin. Była rzeźbiarką. Wydawało się, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Mieliliśmy mieć atelier tuż obok siebie - wspominał. Upił łyk wina. Z jego oczu nie dało się niczego wyczytać. - Pewnego wieczoru byliśmy u znajomego. Mieszkał na drugim piętrze, nad galerią. Było już późno i postanowiliśmy, że u niego przenocujemy. Na dole zapalił się piecyk elektryczny. Obudziłem się, nie mogłem znaleźć Caitlin, wszędzie pełno dymu. Pomyślałem, że może w panice uciekła na dół, chociaż w pokoju były schody przeciwpożarowe. Tam się poparzyłem.

- A co z nią? - Leonie nie ukrywała przerażenia.

Doug wzruszył ramionami.

- Już wcześniej zdecydowała, że jednak wróci do siebie. Zostawiła mi karteczkę, że musi rano wstać, więc wraca. Koło trzeciej. Nie wiem, nie szukasz liścików, gdy pokój jest pełen dymu - dodał ironicznie. - Później nie mogła sobie z tym poradzić. Miała wyrzuty sumienia, że poparzyłem się przez nią. Poza tym kocha piękno. - Powróciła gorycz, której już od dawna nie widziała na jego twarzy. Skrzywił się ponuro. - A ja

już nie jestem piękny. Caitlin uwielbiała dotykać różnych rzeczy; przesuwała dłońmi po mojej twarzy, jakby czytała Braillem. Jako rzeźbiarka widziała rękoma. Nie podobało się jej to, co widziała.

Jakie to okrutne, pomyślała Leonie. Ta Caitlin widocznie go naprawdę nie kochała, skoro odeszła z takiego powodu.

- I wtedy się tu sprowadziłeś - podsunęła.

- Myślałem, że będę żył w odosobnieniu i malował całymi dniami.

Ale potem pewna sąsiadka wywaliła się przed moją bramą i o odosobnieniu mogłem zapomnieć - zażartowałam. - Właściwie nie mogę się jej pozbyć.

Udałam, że się zastanawia.

- Chociaż z drugiej strony to nieprawda. Brakowałyby mi jej. Doprowadza mnie do szału, ale świetnie się rozumiemy.

Leonie zaczerwieniła się.

Doug skinął na kelnerkę.

- Proszę nam wezwać taksówkę, dobrze?

W taksówce Leonie zasnęła. Obudziła się już przed domem, wtulona w ramię Douga.

- Pobudka, śpiochu - potrząsnął nią delikatnie.

- Jezu, przepraszam - mruknęła.

Doug pomógł jej wysiąść.

- Dobrze się czujesz?

Skinęła głową.

- Do jutra. - A potem zrobiła coś głupiego, czego nigdy dotąd nie robiła: wspięła się na palce i pocałowała go. Broda wydawała się dziwna, ale przyjemna. Jak cały Doug. Ciągłe pijana, czule poklepała go po policzku i ruszyła w stronę domu.

Następnego ranka obudziło ją szczekanie Penny. Wydawało się, że suka szczeka przez megafon, i to prosto do ucha.

- Przestań, Penny - jęknęła Leonie i przykryła sobie głowę poduszką. Bolała ją głowa, miała sucho w ustach. Powoli przypomniała sobie ostatni wieczór. Zajazd U Głodnego Mnicha, pyszne jedzenie, Doug, taki miły, jego opowieść o pożarze... o, nie. Usiadła gwałtownie. Pocałowała go na dobranoc. Jakie to straszne. Na pewno był zły, pomyślała, że się do niego dobiera. O, nie! A przecież w jej życiu już jest mężczyzna. Ma Hugh. Więc to nie tak, że desperacko szuka faceta. Nie, ale i bez tego zachowała się jak nimfomanka w średnim wieku, która po pijaku rzuca się na przyjaciół.

Po pewnym czasie pragnienie wypędziło ją z łóżka. Z trudem naciągnęła szlafrok i poczłapała do kuchni. Danny szykował sobie kanapki z serem, słuchał radia na pełny regulator i zaśmiecał całą kuchnię.

Penny miłośnie zaglądała mu w oczy w nadziei, że dostanie coś do jedzenia.

- Strasznie wyglądasz, mamó - powitał ją radośnie.

- Czy mógłbyś ściszyć radio? - poprosiła słabym głosem - i zaparzyć mi herbaty?

- Herbaty? - zarechotał złośliwie. Wiedział, że ma kaca.

Leonie spojrzała na niego morderczym wzrokiem.

- Kiedy następnym razem wrócisz z imprezy zalany w trupa, przypomnę ci, jaki byłeś dla mnie okrutny.

- Tylko żartuję - wycofał się. - Herbatka już się robi.

Przez okno zobaczyła Clover. Kotka miała bardzo niezadowoloną minę. Najwyraźniej jeszcze nie jadła.

- Nakarm zwierzęta - poleciła synowi. - Ja muszę zadzwonić.

Kiedy wybierała numer Douga, krzywiła się na samą myśl o tej rozmowie.

- Byłam wczoraj okropna? - zapytała, gdy tylko odebrał.

Roześmiał się serdecznie.

- Straszna - przyznał. - Musiałem cię siłą powstrzymywać, bo chciałaś tańczyć na stole, że już nie wspomnę, jakie miałaś plany co do bitej śmietany z kawy po irlandzku... Cóż - dodał śmiertelnie poważnie - chyba nigdy już nas tam nie przyjmą.

- O Boże-jęknęła.

- Żartuję, głuptasie. Zachowywałaś się w porządku, dopóki...

Leonie wstrzymała oddech. Zaraz powie: dopóki nie zaczęłaś się do mnie dobierać.

Doug jednak powiedział:

- Dopóki nie musiałem patrzeć, jak się zataczasz do drzwi. Założyłem się z taksówkarzem, ile ci zajmie znalezienie kluczy. Powiniennem być z tobą wysiąść - stwierdził. - Przepraszam.

- Nie ma sprawy - zapewniła go z ulgą. - Niepotrzebnie piłam tę kawę po irlandzku. Wszedł Danny z herbatą.

- Muszę kończyć. Do zobaczenia - rzuciła do słuchawki. - Dzięki za wczoraj.

- Och, zapomniałem. - Danny poczęstował się czekoladowym ciasteczkiem, które dla niej przyniósł. - Dziewczynki dzwoniły rano. Doleciały całe i zdrowe.

- Dlaczego mnie nie obudziłeś?-jęknęła.

- Przecież spałaś - obruszył się.
- Zadzwoń teraz - rzuciła się do telefonu.
- Mel mówiła, że wychodzą - zauważył Danny. - Fliss zabiera je na zakupy. Na jakiś targ czy coś takiego, nie pamiętam. Znasz Mel, ślini się na samo słowo zakupy.

- Rozmawiałaś z Abby? - zapytała cicho.
- Tak. Ona też była jak nakręcona. Wychodzę, mam - dodał. - Pewnie wrócę późno. Na razie.

- Na razie.

Kiedy później zadzwonił Hugh, nie posiadała się z radości, że go słyzy. Czuła się bardzo samotna. Penny robiła co w jej mocy, by ją pocieszyć, towarzyszyła jej wiernie i co jakiś czas wsuwała w dłoń zimny nos, jakby chciała powiedzieć: zobacz, jestem tutaj. Leonie była jednak w tak fatalnym nastroju, że nawet ukochana Penny nie zdołała poprawić jej humoru.

Dlatego tak bardzo ucieszył ją telefon Hugh. Może chce powiedzieć, że nastąpiła zmiana planów i jednak mogą się spotkać?

- I co? Idziesz z Jane do teatru? - zapytała z nadzieją.

- Tak. Bardzo się cieszy. Biedaczka nadal nie doszła do siebie po tym nieszczęściu z chłopakiem.

- Przykro mi - mruknęła nieszczercze. Dlaczego Hugh nie odwoła spotkania z córką? Dzisiaj Leonie bardzo potrzebowała towarzystwa. Cóż, dzieci są najważniejsze, pomyślała smutno. Tyle że Jane nie jest dzieckiem.

- A może Jane ci wybaczy, gdybyś to odwołał i przyjechał do mnie? - zaproponowała śmiało.

Hugh był przerażony.

- Nie mogę, Leonie - wyjaśnił. - Ten drań od dawna jazdradzał. Jest załamana. Potrzebuje mnie.

A co ze mną? Chciała zapytać. Ja też cię potrzebuję. Moje córeczki wyjechały, a są dla mnie ważniejsze niż jakiś dwutygodniowy narzeczoną dla cholery Jane. Ale nic nie powiedziała.

Rozdział 25

Trzy miesiące później

świadczyzny Feliksa narobiły sporo zamieszania w prasie. Romantyczna opowieść, jak to zjawił się na jej progu z pięćdziesięcioma

bukietami (odrobina przesady to normalka w wywiadach, wyjaśnił) i wielkim brylantem, jak to godzinami czekał na ukochaną, i mało nie zamarzł, pasowała do jego wizerunku.

Hanna miała serdecznie dosyć zamieszania wokół nich. Dobrze chociaż, że ich ślub na Karaibach nie stał się tematem wiodącym w „Hello” i nie było ośmiostronicowej wkładki ze zdjęciami, choć podejrzewała, że stało się tak tylko dlatego, że Bill, agentka Feliksa, nie otrzymała wystarczająco dobrej propozycji. Niestety, fotografie pokazały się w wielu niedzielnych dodatkach do dzienników. Hanna nader krytycznie oglądała siebie na zdjęciach. Wystąpiła w prostej długiej sukience Bena de Lisi, z kwiatami w rozpuszczonych włosach. Czuła się gruba i brzydka przy Bill, która paliła jak smok i uważała, że zmarnowała dzień, jeśli komuś nie nawymyślała od pieprzonych idiotów.

Niska, niemal chorobliwie chuda, z szopą włosów w kolorze jeżyn, w kremowym komplecie, to Bill przykuwała uwagę, nie panna młoda. Gdyby nie włosy, mogłaby uchodzić za siostrę Bianki Jagger.

Hanna, która dorastała w przekonaniu, że nie należy konkurować z panną młodą, występując na ślubie w jasnych kolorach, dostała szału. Dopóki nie zjawiła się Bill, była zadowolona ze swego wyglądu.

- Co za krowa - miała ochotę szepnąć komuś do ucha, ale nie było komu. Obecni na ślubie na karaibskiej wysepce Santa Lucia byli: ona i Feliks, ma się rozumieć, Bill, jej asystent - młody, cichy chłopak, który milczał nawet, kiedy na niego wrzeszczała, i urzędnik, który miał udzielić ślubu.

Hanna oddałaby wszystko, byle w ten dzień mieć przy sobie choć jedną przyjazną duszę. Nawet Gillian byłaby mile widziana.

Wersja Feliksa, przedstawiana w wywiadach, była bardzo romantyczna: ledwie podjęli decyzję, już jechali na lotnisko, nawet się nie spakowali (co nie tłumaczyło, skąd Hanna wzięła elegancką kreację, którą zamówiła dwa miesiące wcześniej i którą trzeba było dwukrotnie przerabiać ze względu na coraz większy brzuch).

Zupełnie jak romantyczny bohater, którego gra w najnowszym serialu, Feliks Andretti nie oparł się pokusie, by poślubić swoją narzeczoną, Hannę, w romantycznej scenerii. Zamiast miesiącami planować ślub i wesele, dwa miesiące temu Feliks porwał ciemnowłosą Hannę na Santa Lucia i tam, na brzegu morza, złożyli przysięgę małżeńską w towarzystwie najbliższych przyjaciół jako świadków.

- Chcieliśmy, by odbyło się to prosto i skromnie - tłumaczył Feliks, nie odrywając oczu od pięknej irlandzkiej żony. - Jestem romantykiem, zawsze

wiedziałem, że kiedy poznam odpowiednią kobietę, będę się chciał ożenić jak najszybciej, bez zbędnych ceregieli. Małżeństwo jest dla mnie święte, dlatego tak zachwyciła mnie myślenie o przysięgi na łonie natury; stajesz się jednością z przyrodą i z miłością. Staliśmy boso na plaży. Nigdy tego nie zapomnę.

Młodożeńcy spędzili na wyspie miesiąc miodowy. Feliks uczył się nurkować, a Hanna, która oczekuje ich pierwszego dziecka, opalała się i odpoczywała. Wieczorami spacerowali po plaży przy świetle księżycy.

Zgrzytała zębami, czytając ten reportaż. A jakże, Feliks uczył się nurkować, i całymi dniami miała do towarzystwa tylko Bill. A ponieważ dla Bill dobra zabawa oznacza pochłanianie niezmiernych ilości koktajli na rumie, kiepska z niej towarzyszka.

Czasami Bill nie piła, więc mogła zagrać partyjkę tenisa z hotelowym trenerem, a potem jadła lunch w hotelowej restauracji. Hanna nie opalała się, było dla niej za gorąco, i większość czasu spędzała w klimatyzowanym pokoju, tęsknie patrząc na inne pary.

Była gotowa się założyć, że jest jedyną świeżo upieczoną małżonką, która spędza samotnie swój miesiąc miodowy.

Ostatniego dnia pobytu błagała Feliksa, żeby już nie nurkował, żeby został z nią. Może pojedą na wycieczkę po wyspie?

- Zapłaciłem już! - zaprotestował. - To strata pieniędzy.

- Straciłeś więcej, zabierając mnie ze sobą! Przecież nie spędziłeś ze mną nawet pięciu minut! - wrzasnęła i cisnęła w niego popielniczką.

Feliks uchylił się i popielniczka walnęła w ścianę. Został po niej brzydki ślad.

- Zobacz, co narobiłaś - rzucił zniecierpliwiony.

Hanna załała się łzami.

- Jeśli masz tu teraz szlochać, wychodzę - burknął.

Poszła na masaż do sąsiedniego hotelu, siedziała przy basenie, piła mrożoną herbatę, wybrała się na spacer po plaży. Było za gorąco, żeby długo siedzieć na dworze, więc kupiła sobie kilka gazet i wróciła do pokoju. Położyła się na chwilę i zdrzemnie...

Feliks obudził ją o siódmej.

- Wstawaj, skarbie, idziemy na kolację. Umieram z głodu.

Zdezorientowana, w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest. Ale Feliks tu jest, prawda? Opalony, z włosami rozjaśnionymi słońcem, był jeszcze przystojniejszy niż zwykle. Doskonale wyglądał w lnianej koszuli i spodniach. Białe zęby połyskiwały olśniewająco w opalonej twarzy. Pocałował ją. Hanna poczuła smak wody morskiej i jedyny w swo-

im rodzaju zapach opalanej skóry. Zaspana pozwoliła, by rozpiął jej sukienkę i objął dłońmi nabrzmiałe piersi. Gorący język buszował po jej skórze.

- Później pójdziemy na kolację - zdecydował, zdejmując jej sukienkę.

Na lotnisku Birmingham jakaś kobieta rozpoznała Feliksa. Czekali na swoje bagaże i rozmawiali, czy wyskoczyć gdzieś na lunch czy od razu jechać do matki Feliksa. Zajmie im to co najmniej czterdzieści pięć minut, a oboje umierali z głodu, nie jedli nic, odkąd wysiedli z samolotu z Karaibów. Nawet dla wiecznie odchudzającego się Feliksa paczka krakersów w samolocie z Londynu to trochę za mało. Nagle podbiegła do nich kobieta w średnim wieku, w granatowym żakiecie i kremowej spódnicy.

- To pan! Ten facet z telewizji! *Z Bystanders*, prawda? Gra pan tego stolarza, co mieszka pod dziewczynami.

Feliks uśmiechnął się nieśmiało.

- Tak, to ja.

Kobieta się rozpromieniła i zaraz zawołała koleżankę. Wkrótce we trójkę rozprawiali gorączkowo, Feliks rozdawał autografy ze swobodą starego gwiazdora. Rozmawiał z kobietami, jakby znali się od lat.

Hanna stała z boku i obserwowała to z rozbawieniem. Feliks jest czarujący, pomyślała z dumą. Fanki jedzą mu z ręki.

Pilnowała bagażu i słuchała rozmowy.

- To pana dziewczyna? - zainteresowała się pierwsza kobieta, imieniem Josephine.

Hanna uśmiechnęła się szeroko.

- Nie - odpowiedział z dumą. - To moja żona.

- Ładna - przyznała Josephine.

Hanna napuszyła się z dumy. Dzisiaj wyjątkowo się starała, przecież zaraz pozna matkę ukochanego. Włożyła czerwoną sukienkę od Jaspera Conrana i wysokie zamszowe buty. W rękę trzymała nową torebkę, droższą niż jakakolwiek torebka, którą kiedykolwiek posiadała. Ponieważ sukienka opinała coraz większy brzuch, narzuciła na ramiona piękny biało-czarny szal, który kupiła na Santa Lucia.

W efekcie stanowiła ucieleśnienie elegancji i Feliks był zachwycony. Niestety, ani razu nie powiedział, że jego matka też będzie zachwycona. Właściwie w ogóle niewiele o niej mówił i Hanna denerwowała się coraz bardziej.

- Czas na nas, Josephine, Lizzie - pożegnał się z fankami. - Nasze bagaże już jadą.

Żegnani życzeniami wszystkiego najlepszego zabrali swoje rzeczy i wyszli z lotniska.

- Mama i tak zacznie gotować - Feliks tłumaczył, dlaczego nie pójda najpierw na lunch - zawsze wszystkich karmi, nawet jeśli nie wie, że przyjdą goście.

- Czyli nie spodziewa się nas? - zapytała zdumiona, gdy wsiadła do taksówki. Kiedy Feliks oznajmił, że zabiera ją do matki, była przekonana, że zawiadomił ją o ślubie.

- Nie - burknął. - W naszej rodzinie nie lubimy hucznych zjazdów.

Feliks rzadko opowiadał o rodzinie, Hanna wywnioskowała tylko, że to hiszpańscy imigranci w drugim pokoleniu. Właściwie wyczytała to w gazecie z programem, gdy ruszyły nowe odcinki *Bystanders*. Nigdy o niej nie opowiadał, powtarzał, że nie łączy go z rodziną bliskie stosunki.

- To moja przeszłość - mówił. - Ty jesteś moją przyszłością.

Myślała, że to Hiszpanie wierni tradycji: organizują huczne zjazdy rodzinne i wystawne obiady. A Feliks pewnie się martwi, bo uważają aktorstwo za nieodpowiedni zawód. Teraz zmienia zdanie. Jego kariera nabiera tempa. Może kiedy opowie, jakie sukcesy odnosi, rodzina przyjmie go z otwartymi ramionami. Uśmiechnęła się na tę myśl. W tajemnicy uczyła się nawet z rozmówek angielsko-hiszpańskich.

- Jak mam się zwracać do twojej mamy? - zapytała.

- Vera.

- To nie jest hiszpańskie imię - zdziwiła się.

- Hanno, kochanie, muszę ci coś powiedzieć. Aktorzy przyjmują pseudonimy, wiesz. Cary Grant naprawdę nazywał się Archibald Jakiś tam, a John Wayne miał na imię Marion. Zmieniłem nazwisko, rozumiesz?

- Czyli nie jesteś z pochodzenia Hiszpanem? A tak napisali w gazecie.

- Nie. - Wzruszył ramionami. - Uznałem, że to dobry pomysł, właśnie dlatego, że jestem blondynem. Wiesz, myślałem, że mnie zapamiętają — jasnowłosa Hiszpan. I rzeczywiście tak się stało. Ale naprawdę - ściszył głos do szeptu - nazywam się Loon, nie Andretti.

Hanna otworzyła usta ze zdumienia. Spotykali się do kilku miesięcy, pobrali się, a dopiero teraz poznaje prawdziwego Feliksa. O ile to Feliks. Skrzywiła się na myśl, że zmienił także imię.

- Jak ci na imię? - zapytała po chwili wahania.

- Phil.

- Phil Loon - powtórzyła powoli. - Rzeczywiście, wołę Feliks. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym się do ciebie zwracać inaczej.

- Posłuchaj, nazywam się Feliks Andretti, koniec, kropka- oznajmił zdecydowanie. - Powiedziałem ci to tylko dlatego, że jedziemy do mojej mamy. Nigdy mi nie wybaczyła, że zmieniłem nazwisko. Nie rozumie, że gwiazdor nie może nazywać się Loon.

- Więc jestem panią Loon - rozważała Hanna. Uśmiechnęła się pod nosem.

- Zmieniłem nazwisko oficjalnie - warknął. - Nie żartuj już na ten temat, dobrze?

- A twój akcent? - dopytywała się. - Nie jest angielski. Jest w nim coś... - Urwała. Było w nim coś egzotycznego, jakby Feliks ukończył najlepsze szkoły, ale dzieciństwo spędził w dalekich krajach.

- Lekcje wymowy - wycedził. - Zresztą nigdy nie twierdziłem, że jestem Hiszpanem, tylko sugerowałem, że moja rodzina stamtąd pochodzi. Zawsze mogę twierdzić, że ktoś mnie źle zrozumiał.

Matka Feliksa mieszkała w małym bliźniaku w nowoczesnym osiedlu pod Birmingham. Przy niewielkiej szkole podstawowej tłoczyły się matki z dziećmi w wózkach. Po drugiej stronie jezdni starsze dzieci szalały na zielonym placu zabaw.

- Ładnie tu — stwierdziła Hanna. Podziwiała nowe domki.

- Nie dorastałem tutaj - mruknął. - Mama sprowadziła się tu, kiedy wszyscy wyprowadziliśmy się z domu.

- A twój ojciec?

- Nie żyje.

- Och. - Hanna podniosła swoją torbę. Nagle do niej dotarło, że podczas ostatniej godziny dowiedziała się o mężu więcej niż przez poprzednie miesiące.

Feliks zadzwonił od drzwi. Otworzyła im wysoka, postawna blondynka w granatowym dresie. Zdawała się wypełniać sobą całe drzwi. Miała surową, zaciętą twarz, co jeszcze podkreślały platynowe włosy. Nie, to nie może być jego matka.

- Cześć mamó - zaczął Feliks. - To jest Hanna, niedawno się pobraliśmy. Niedługo znowu będziesz babcią.

- A więc wejdźcie - powiedziała Vera Loon. - June! - wrzasnęła. — Nastaw wodę na herbatę!

June okazała się siostrą Feliksa. Była ciemnowłosą wersjibrata. Szczupła, o takich samych regularnych rysach, mogłaby zrobić karierę jako modelka. Widać było jednak, że każda jej wolną chwilę pochłania opieka nad trzema urwisami, którzy biegali po babcinej kuchni.

- Gratulacje - powiedziała serdecznie, gdy się dowiedziała. - Nasz Phil to milczek, nigdy nic nie mówi.

Nawet tego, że ma na imię Phil, przeszło Hannie przez głowę, ale zachowała ten komentarz dla siebie.

- Chodźcie, chłopcy - zawołała Vera. - Poznajcie nową ciocię. Ależ jesteście opaleni. Byliście za granicą?

Przedstawiono Hannie chłopców, na stole pojawiły się ciastka z herbatą i wszyscy usiedli.

Vera nie jest taka przytłaczająca, kiedy siedzi, stwierdziła Hanna z ulgą.

- Nie wiem, czemu wcześniej cię nam nie przedstawił - westchnęła.
- Strasznie tajemniczy, jak ojciec.

- Pracowałem - burknął Feliks.

Nie pasuje tutaj, pomyślała Hanna. Nie jest typem, który dobrze się czuje w ciasnym bliźniaku ze zwykłą kuchnią i świętym obrazkiem na ścianie. Jest inny, egzotyczny. A może wcale nie? Jest zwykłym facetem ze zwykłej rodziny. Zastanowiło ją, co jeszcze ukrywa przed nią i przed całym światem? Czy w Feliksie Andrettim kryje się coś więcej, niż widać gołym okiem? Czy może mniej?

Piła herbatę, zachwycała się chłopcami, a Feliks nerwowo krążył po pokoju, wyraźnie znudzony. Nie brał udziału w rozmowie, nie bawił się z siostrzeńcami.

- Szkoda, że nie chcieliście nas na ślubie - westchnęła Vera. - Powiedz chociaż, kochana, kiedy urodzi się dziecko?

Hannie ścisnęło się serce. Biedaczka wie, że syn się jej wstydzi. Poklepała ją po ramieniu.

- W grudniu - odparła z uśmiechem. - I nieprawda, że nie chcieliśmy was na ślubie - zapewniła. Zapomniała już, że ona także nie chciała hucznej imprezy rodzinnej. - Wszystko stało się tak szybko, do tego jeszcze dzidzius w drodze, nie mieliśmy czasu nikogo zaprosić. Feliks żałował, że was nie ma.

Kopnął ją pod stołem.

- Pobraliśmy się za granicą - rzucił prędko. - Żeby ograniczyć papierkową robotę. Dzisiaj rano wróciliśmy z Santa Lucia.

- Chciałabym pojechać za granicę. Tak dawno nigdzie nie byliśmy.
- June karmiła najmłodszego synka czekoladowymi ciasteczkami. - Ostatni nasz wyjazd to była podróż poślubna. Do Portugalii - dodała. - Podoobało mi się tam, ale przy trójce dzieci nie stać nas na urlop, zwłaszcza odkąd nie pracuję. Rok po ślubie urodził się Clark, półtora roku później Adam, a potem Tony.

- Czym się zajmowałaś? - zapytała Hanna.
- Jestem fryzjerką.
- Z twoją urodą mogłabyś zostać modelką.

June wzdrygnęła się.

- Żeby wszyscy się na mnie gapili i wrzeszczeli, że jestem za gruba albo za stara? O nie. Phil to lubi, ja nie.

Przeciwieństwa, pomyślała Hanna. Feliks oddałby wszystko, byle się znaleźć w centrum zainteresowania, a jego siostra wzdryga się na samą myśl. Dziwne. Ta sama krew, a tak bardzo się różnią.

- Dlaczego im powiedziałaś, że muszą nas odwiedzić, jak już się przeprowadzimy? - warczał Feliks, gdy kilka godzin później jechali tak-sówką do hotelu.

- To twoja rodzina - obruszyła się. - Nie możesz o nich zapominać.

- Za to ty możesz o swojej - syknął.

- To nieprawda! - oburzyła się. - Wkrótce poznasz moją matkę, a mój ojciec, mówiłam ci to już wiele razy, to alkoholik. Uwierz mi, nie chciał-byś go nigdzie, gdzie dają drinki za darmo.

- Więc nie ma sprawy, jeśli zostawiasz swojego ojca poza nawia-sem, ale ja nie mogę tego zrobić, tak?

Kłócili się przez całą drogę do hotelu. Hanna zauważyła z goryczą, że sprawił matce przykrość, nie chcąc u niej nocować.

- Ma pokój gościnny - tłumaczyła. - Bardzo chciała, żebyśmy zo-stali, zwłaszcza że od dawna nie było cię w domu.

- Nie chciałem tam spać, skoro mogę zanocować w dobrym cztero-gwiazdkowym hotelu - tłumaczył.

- Ale dorastałeś z dala od cholernych czterogwiazdkowych hoteli — zachnęła się.

- To przeszłość, skarbie. Teraz jestem pieprzonym gwiazdorem i mogę robić co mi się podoba.

- Tak? No to jedno ci powiem. Skoro zachowujesz się jak pieprzony gwiazdor, pieprzenia dzisiaj nie będzie, jasne?

Nazajutrz nastąpiło zawieszenie broni. Pojechali do Very na lunch. Hannie kamień spadł z serca, gdy dostrzegła, że Feliks zachowuje się trochę lepiej, posunął się nawet do tego, że zaprosił matkę na weekend do Dublina „kiedyś”.

- Naprawdę chcemy, żebyś do nas przyjechała z June i dziećmi - zapewniła Hanna. ~ Mówię poważnie. Na razie jest u nas ciasno, ale wkrótce się przeprowadzimy i wtedy serdecznie zapraszam.

- Hanno, kochanie, wiem, że mówisz szczerze - Vera się uśmiechnęła. - Opiekuj się moim synem, dobrze? Cieszę się, że w końcu znalazł sobie porządną kobietę. I uważaj na siebie. Nasz Phil to twardy orzech do zgryzienia. Zawsze taki był.

- Twoja mama jest kochana - stwierdziła w taksówce.

- Tak? Spróbuj z nią pomieszkać! - Feliks gapił się w okno.

Hanna przestała się wysilać. Niech się dąsa, jeśli chce. Humor poprawił mu się dopiero w samolocie, kiedy stewardesa poprosiła o autograf „dla siostry”.

Czyli dla siebie, poprawiła Hanna, gdy Feliks posłał stewardesie najbardziej olśniewający uśmiech.

W Dublinie był taki jak zawsze, czarujący i czuły.

- W domu zawsze jestem spięty - przyznał, gdy jechali domieszkania Hanny. - Nie chciałem wyżyć się na tobie, ale... wiesz, rodzina. Myślisz, że jestem draniem, ale nie wiesz, co się działo.

- A skąd mam wiedzieć, skoro mi nie mówisz? - zauważyła. - Nie miej przed mną tajemnic, Feliks.

- To nie tajemnica, to nuda. Zapomnij o tym.

I to musiało jej wystarczyć.

Rozdział 26

Hugh cisnął katalogi biur podróży na niski stolik.

- Przynajmniej rzuć na nie okiem, Leonie - powiedział z irytacją. Zła, podniosła na niego wzrok. Siedziała na fotelu z terierem Harrisem na kolanach.

- Mówiłam już, Hugh - powtórzyła cierpliwie. - Nie mogę teraz wyjechać. Dziewczynki wracają. Będę im potrzebna.

- Nie było ich przez dwa i pół miesiąca, poradzą sobie jeszcze przez tydzień. Twoja matka może się nimi zająć - rzucił od niechcenia.

Harris wiercił się niespokojnie. Leonie głaskała jedwabistą sierść. Ma niesamowite oczka, jak mały diabełek.

- Już nie są dziećmi, dadzą sobie radę - ciągnął Hugh.

Czuła, że powoli traci panowanie nad sobą.

- Od roku nie byłem na urlopie, jak ty - tłumaczył. - To tylko tydzień, najwyżej dwa. Co prawda w sierpniu jest we Włoszech pełno turystów, ale i tak będzie fajnie.

„ - Wiem, że byłoby fajnie - zaczęła. Ciężko jest to mówić, gdy wszyscy dokoła wyjeżdżają na wakacje, a ona nie. Ale nie chciała w tym roku wyjeżdżać sama, a propozycja Hugh pojawiła się w nieodpowiednim momencie. Dziewczynki wracają w przyszłym tygodniu, nie mogła się już doczekać. - Ale nie mogę teraz wyjechać, nie mogę zostawić ich samych - zauważyła.

- Jakoś wytrzymały bez ciebie przez prawie trzy miesiące. Miały wrócić po sześciu tygodniach, pamiętasz? - rzucił ostro.

Zabolało. Fakt, że Mel i Abby chciały zostać u ojca na prawie trzy miesiące bolał bardziej, niż była w stanie przyznać,

- Niech pojedą z nami na rancho Charliego - zaproponował Ray na początku lipca, gdy minęło ustalone sześć tygodni. - Nauczą się jeździć konno, będzie fajnie. To tylko kilka tygodni. Abby rozkwitła. Doskonale sobie radzi. Pozwól im zostać, Leonie.

Mel i Abby błagały, żeby nie kazała im wracać.

Uległa i płakała przez dwa dni. Uznała, że ukochane córki ją zdradziły, już nie chcą mieć z nią nic wspólnego. Danny to co innego. Jest starszy, bardziej samodzielny. Oznajmił, że wybiera się z kolegami na miesięczną wycieczkę po Europie i Leonie nie miała nic przeciwko temu. Och, oczywiście, martwiła się, bała się, że go okradną, pobiją albo że zacznie ćpać. Lecz Danny skończył w maju dwadzieścia lat, był dorosły, sam podejmował decyzje. Bez niego i bliźniaczek dom był jak grobowiec.

Penny chodziła smutna, nawet chomik Herman zmarkotniał, nie biegał już w swoim kołowrotku.

Nawet myśl o Portofino w upalnym słońcu nie zmusiłaby Leonie do wyjazdu tuż przed powrotem bliźniaczek.

- Nie mogę teraz - powtórzyła smutno. - Szkoda, że nie pomyślałaś o tym wcześniej, zdążylibyśmy już wrócić.

- Od dawna jestem wpisany na urlop pod koniec miesiąca - zachnął się Hugh. - Zresztą, nie o to chodzi. Chodzi o Melanie i Abigail. To nie są małe dzieci. Musisz pozwolić im odejść.

- I kto to mówi? - zachnęła się.

- Co masz na myśli?

- Och, daj spokój, nie muszę chyba tłumaczyć? - Nie panowała dłużej nad sobą. - Twoja córka ma dwadzieścia dwa lata, ale gdybyś mógł, do dzisiaj ścieliłbyś jej łóżeczko! Jane jest zepsuta do szpiku kości. Bez przerwy dajesz jej pieniądze, chociaż ma dobrą pracę, i spieszysz na najmniejsze skinienie. Pamiętasz, jak złapała gumę, jadąc na przyjęcie? Zostawiłaś mnie samą w restauracji i pospieszyłeś na ratunek. To nie

jest normalne! Moje córki to nastolatki, nie mają nawet szesnastu lat. To ty traktujesz dorosłą kobietę jak dziecko.

Hugh patrzył na nią wściekle.

- Kocham Jane... - zaczął.

- Też mi nowina! - wrzasnęła Leonie. - To obsesja, to nie jest normalne. A potem zarzucasz mi, że nie pozwałam dzieciom odejść. Przygamął kocioł garnkowi!

- Nie masz prawa tak do mnie mówić. - Poczzerwieniał ze złości.

- Czemu nie? Ty możesz powiedzieć mi wszystko na temat moich dzieci, ale na temat twoich nie wolno mi nawet pisać słówka, tak? Nie, nie na temat obojga - zauważyła nagle. - Tylko Jane. Na biednego Stephena w ogóle nie zwracasz uwagi.

W tej chwili rozległ się dzwonek u drzwi. Hugh wyjrzał przez okno i zaraz się rozpoznał.

- To Jane - syknął. - Możemy zachować tę kłótnię między nami?

- Proszę bardzo - sapnęła Leonie.

Jane wkroczyła objuczona torbami z zakupami.

- Cześć, Leonie - przywitała się niemal przyjaźnie. - Byłam na zakupach w Liffey Valley i pomyślałam sobie, że w drodze powrotnej zajrzę do taty.

Leonie gapiła się na siatki. Pięć toreb wypchanych ciuchami. Kupiła jej kobieta, która nadal nie oddała ojcu za urlop.

- Co kupiłaś? - zapytał Hugh głosem troskliwego tatusia.

Jane rozpromieniła się i wyjęła czarną sukienkę z lycry. Nawet zakonnica wyglądałaby w niej jak dziwka. Leonie usiłowała wyobrazić sobie Janet w czyś takim, ale zawiodła ją wyobraźnia. Janet z maniac-kim uporem kupowała nieodpowiednie ciuchy.

- Bardzo prowokacyjna - stwierdził Hugh. - Pewnie chcesz zwalić wszystkich z nóg na firmowej imprezie?

Oboje zachichotali konspiracyjnie.

- Pamiętasz, jak ostatnio przyjechałeś po nas do Buck's i wszyscy byliśmy zalani w trupa? A kiedy odwiozłeś mnie do mamy, musiałeś mnie zanieść na górę? - zaczęła Jane.

Robiła to, ilekroć spotkała się z Leonie: zaczynała z ojcem rozmowę, w której Leonie nie mogła brać udziału. Jakby chciała powiedzieć: zobacz, my mamy wspólną przeszłość, możemy rozmawiać o rzeczach, o których ty nie masz pojęcia.

Jane paplała i wspominała jeszcze przez kilka minut, co jakiś czas zerkała na Leonie triumfalnie.

Leonie wzięła Harrisa na kolana. Odwdzieczył się, liżąc jej rękę.

- Co za impreza biurowa? - zapytała ze względu na Hugh. Nie obchodziło jej to za grosz, nie chciała też wiedzieć, gdzie rzezoną impreza się odbędzie. Jej zdaniem sukienka Jane nadawała się tylko do jednego lokalu, a mianowicie takiego, gdzie kobiety o określonej profesji tańczą przy rurach na oczach zapitych, zaślinionych facetów.

- Każdego lata organizujemy przyjęcie - Jane, jak zwykle, mówiła do niej wyniosłym tonem profesora tłumaczącego fizykę kwantową trylatkowi. - Dawniej to był tylko grill, ale w tym roku będzie inaczej. - Uśmiechnęła się dumnie. - W hotelu Shelbourne. Nie mogę się doczekać.

Leonie wiele by dała, żeby chociaż zobaczyć zdjęcia. Zdaje się, że hotel Shelbourne i tandetne sukienki z czarnej lycry nie bardzo do siebie pasują.

- Właśnie mieliśmy napić się kawy - powiedział Hugh. - Masz ochotę?

- Tak. - Jane usiadła na kanapie i sięgnęła po katalogi biur podróży.

- Wybierasz się na wakacje, tato? - krzyknęła za nim.

Jakiś złośliwy duszek kazał Leonie podnieść głowę.

- Nie - odparła słodko. - Twój ojciec i ja wybieramy się razem. Chce, żebyśmy pojechali do Włoch, ale termin mi nie odpowiada.

Co za przyjemność patrzeć, jak małe oczka Janet otwierają się szeroko ze strachu.

- Może we wrześniu - ciągnęła z namysłem. - Zawsze chciałam się przejechać włoskim wybrzeżem w sportowym wozie. Ojcu by się to podobało, nie sądzisz?

Z jednej strony miała wyrzuty sumienia, że pastwi się nad dzieckiem, z drugiej jednak, Jane nie jest dzieckiem. Tyle w niej z dziecka, co w dziewczynce z *Egzorcysty*.

- Nie wiem, czy by mu się to spodobało - odparła Jane chłodno. - We wrześniu zawsze jeździliśmy do West Cork, on, ja i Stephen.

- Ale nie byliście tam od lat - dokończyła Leonie - Prawda?

- Gdzie? - Hugh wrócił z tacą zastawioną filiżankami.

- W West Cork - przypomniała mu Jane. - Tatusiu, pojedźmy tam znowu, proszę. Wyjazd z dziewczynami był w porządku, ale żeby naprawdę odpocząć, powinnam wyjechać do Clonakilty. Jedzenie w pubie, spacer po plaży, ludowa muzyka... Proszę, pojedźmy...

Wygląda jak dziecko, pomyślała Leonie, dziecko rozwiedzionych rodziców, które od lat skutecznie manipuluje obojgiem, grając na ich wyrzutach sumienia z wprawą wirtuoza. Obawiała się kiedyś, że tacy staną się Danny i bliźniaczki po jej rozwodzie z Rayem. Na szczęście nie. Za to

Jane miała wszystkie objawy. Tyle że jej rodzice rozstali się, kiedy była prawie dorosła. I nie chciała nimi manipulować, chciała mieć ojca tylko dla siebie.

Hugh rozważał urlop w West Cork.

- Co ty na to, Leonie?

Bez Jane zgodziłaby się chętnie. Bardzo lubiła Stephena i nie miała-by nic przeciwko niemu. Ale nie ten zepsuty bachor.

- Zabiorę Mel i Abby - zastanawiała się na głos.

- Myślałam, że pojedziemy tylko my, tatusiu. - Jane się naburmuszyła.

- Leonie musi odpocząć, skarbie - wyjaśnił czule. - Może dziewczynki zostałyby u babci? - zaproponował.

Leonie patrzyła na niego lodowato.

- Moja rodzina nie nadaje się do West Cork, tak? - Gniew odezwał się znowu ze zdwojoną siłą.

- Nie o to chodzi - tłumaczył. - Tylko domek jest mały.

- I, oczywiście, nie możemy wynająć większego. - Każde jej słowo ociekało jadłem.

- Zawsze mieszkamy w tym samym - wyjaśniła Jane z błyskiem w oku.

Leonie z trudem się pohamowała, by nie dać jej w twarz.

Hugh milczał, ani słowa, że tak, wynajmą większy domek, i co za głupota z jego strony proponować, żeby Mel i Abby zostały z babcią.

- Doskonale. - Leonie zrzuciła z kolan niezadowolonego Harrisa i wstała. Nie zwracała uwagi na Jane, mówiła tylko do Hugh:

- Jedź do West Cork, proszę bardzo. Potrzebny ci urlop. Ja, niestety, z tobą nie pojadę. Zadzwoń. Kiedyś.

Zabrała torebkę i wyszła z całą godnością, na jaką było ją stać.

Hugh i trzy psy wybiegli za nią na małą werandę.

- Nie bądź taka, Leonie - prosił. - Musimy o tym porozmawiać. Może dziewczynki nie zechcą pojechać. Po wakacjach w Bostonie będzie to dla nich nudne.

- Wiesz, Hugh, jesteś zadziwiający. I nie traktuj tego jako komplement. - Akurat dzisiaj miała buty na wysokich obcasach i patrzyła na niego z góry. - Dzieci są dla mnie najważniejsze i jeśli tego nie rozumiesz, w ogóle mnie nie znasz. Jak mogłabym pojechać na rodzinny urlop bez rodziny? Jak śmiałeś to zaproponować? Do widzenia.

Nie czekała, co powie, odwróciła się na pięcie i odeszła. Złościła się całą drogę do domu. Inni kierowcy na autostradzie mieli ją chyba za

wariatkę, cały czas gadała do siebie i groziła komuś pięścią. W domu zadzwoniła do Hanny. Chciała z kimś porozmawiać.

Hanna rozpakowywała się w nowym domu i bardzo ucieszyła z pretekstu do przerwy.

- Nienawidzę tego domu - jęczała. - Kuchnia jest brzydka i ponura, korytarz malowano chyba w latach czterdziestych. Nie chcę być tu sama.

* - A gdzie Feliks?

- Wyszedł. - Hanna spochmurniała. - Opowiadaj, co u ciebie - gwałtownie zmieniła temat. - Bo u mnie fatalnie.

- Witaj w klubie - mruknęła Leonie.

Zrozpaczona, opowiedziała Hannie wszystkie drobiazgi, o których nikomu dotąd nie wspominała. Na przykład, że dla Hugh wielokrotny orgazm oznacza seks trzy raz w ciągu nocy. Albo o tym, jak Hugh odwołał randkę, bo Jane powiedziała mu, że ma bilety na mecz rugby.

- A to wredna świnią - złościła się Hanna. - Takich biletów nie kupuje się w ostatniej chwili! Miała je od dawna, tylko czekała, żeby się z tobą umówił, i dopiero mu powiedziała.

Leonie opowiadała, jak wybrali się z Hugh na uroczystą kolację, żeby uczcić cztery miesiące znajomości, a Jane zadzwoniła do tatusia, szlochając z powodu jakiegoś głupstwa. Zapłacili rachunek, Hugh wsadził ją do kolejki i pospieszył córce na ratunek. Leonie poczuła się wtedy taka upokorzona, nieważna. Wstydziała się nawet o tym opowiadać.

- Powiedz, gdzie popełniłam błąd? - zastanawiała się na głos. - Co zepsułam? Wydawało mi się, że do siebie pasujemy.

- Mnie nie pytaj - zastrzegła się Hanna. - Nie znam się na facetach. Leonie parsknęła śmiechem.

- Akurat. Piękna pani Andretti, gwiazda kroniki towarzyskiej, żona faceta, którego żadna nie zdołała usidlić.

- Zdobyłam Feliksa tylko dlatego, że uznał, że potrzebna mu żona - rzuciła Hanna ostro. - Miał już wszystko inne. A teraz ma żonę w ciąży, jeszcze lepiej, dzięki temu zrobi dobre wrażenie na producentach filmowych. Nie chcą zatrudniać niepoważnych, rozrywkowych narkomanów. Wolą poważnych ojców rodzin z dużymi obciążeniami finansowymi. Taki gość nie zrujnuje budżetu, łądując w więzieniu za pijacką burdę albo posiadanie narkotyków.

- Jak to? - Leonie była przerażona gniewem w jej głosie. To tak, jakby się dowiedziała, że Paul Newman i Joannę Woodward jednak nie są najszczęśliwszą parą w Hollywood. Przecież i Feliks Hanna się kochają. Czy nie?

- Nikt nie zrozumie Feliksa, nie wiedziałaś, Leonie? Powiedział mi to ostatnio - tłumaczyła Hanna z goryczą. - Do tej pory myślałam, że go rozumiem, ale nie. Na przyjęciach przedstawia mnie wszystkim i opowiada, jak bardzo mnie kocha, ale nigdy nie ma go w domu. Przez dwa tygodnie mieszkaliśmy u Bill i przez ten czas prawie nie widywałam obojga. Przeprowadziliśmy się w poniedziałek, a nie rozpakował jeszcze nawet jednego pudła. - Jej głos zadrżał. - Jestem częścią jego publicznego wizerunku, i tyle!

- Nie mówisz poważnie, Hanno - Leonie jak zawsze starała się ją pocieszyć.

- Może i nie, sama nie wiem. Posłuchaj, skoro chcesz gdzieś pojechać, może odwiedzisz mnie z dziewczynkami? - Hanna się ożywiła. - Mel i Abby nie będą miały nic przeciwko spaniu w śpiworach, prawda?

- Nie. - Leonie nie tłumaczyła, że po trzech miesiącach w luksusie śpiwory chyba nie przypadną im do gustu. - To miło, Hanno. Porozmawiam z nimi, kiedy wrócą. Jesteś pewna, że Feliks nie będzie miał nic przeciwko temu?

Hanna znowu spochmurniała.

- Skądże. Przecież nigdy go tu nie ma.

Leonie ze smutkiem odłożyła słuchawkę. Zadzwoiła do Hanny, licząc na słowa pociechy, a koniec końców to ona dodawała przyjaciółce otuchy. Zazwyczaj Hanna tryskała optymizmem, skąd w niej tyle żalu i smutku? To chyba coś więcej niż hormony. Nie po raz pierwszy pożałowała, że Hanna się wyprowadziła.

Zadzwoi do Emmy, może to poprawi jej humor.

Słuchawkę podniosła Kirsten.

~ Cześć. Em jest na górze, zaraz jażawołam.

- Cześć - zaczęła Emma sztucznie pogodnym tonem. - Poczekaj, Leonie, przejdę do drugiego aparatu.

Leonie słyszała trzask zamykanych drzwi.

- Nie mogłam rozmawiać w przedpokoju, bałam się, że Kirsten mnie usłyszy - wyjaśniła Emma szeptem.

- Dlaczego? Co się stało?

- Kirsten odeszła od Patricka.

- Co?

- Dokładnie mówiąc, odeszła, zanim ją wyrzucił. Miała romans i Patrick się o tym dowiedział. Chyba od dawna flirtowała ze wszystkimi naokoło i Patrick to widział. Kłócili się od dawna, a ja nie miałam pojęcia o co. A potem poszła do łóżka z ich wspólnym znajomym. Teraz to już koniec. Dzisiaj rano stanęła u nas na progu z ośmioma walizkami

i ulubioną poduszką, i powiedziała, że jej małżeństwo należy do przeszłości.

- Straszne -jęknęła Leonie. - Przez telefon nie była zbyt zgaszona, ale w końcu nzmawiałam z nią po raz pierwszy.

- Nie jest zgaszona - szepnęła Emma. - Moim zdaniem jest na środkach uspokajających. Albo oczekuje, że lada chwila Patrick wpadnie tu jak burza i powie, że nie może bez niej żyć.

- Myślisz, że to zrobi?

- Nie. Tym razem naprawdę przesadziła. Patrick to cudowny człowiek, ale tego nie zniesie. To straszne - zadumała się. - Był dla niej idealnym mężem. Rozpuszczał ją, ale zawsze był szefem. No, ale jeśli zamieszka tutaj, pomoże mi opiekować się mamą. Nie lubi być sama, ciągle do niej chodzę. Może mnie trochę odciąży. A może nie. Ilekroć mama płacze, Kirsten wychodzi. A biedna mama płacze coraz częściej.

- Niezłe jeteśmy, wszystkie trzy - zauważyła Leonie. - Ja zerwałam z mężczyzną moich marzeń, ty masz na głowie problemy całej rodziny, a Hanna jest w depresji.

- Co z nią? - zapytała Emma sucho. Nie pojmowała, jak Hanna może być w depresji. Przecież jest w ciąży, prawda? Czego jeszcze może pragnąć kobieta? Cała cholerna Hanna - chce mieć ciasteczko i zjeść ciasteczko.

- Ma trochę kłopotów z Feliksem i tyle - mruknęła Leonie, zła, że w ogóle poruszała ten temat. Ostatnio Ernma i Hanna właściwie ze sobą nie rozmawiały. Emma nie mogła znieść widoku rosnącego brzucha przyjaciółki, a Hannę drażniło, że Emma nadal nic nie robi ze swoją bezpłodnością. Leonie musiała ciągle interweniować i łagodzić, co przychodziło jej coraz trudniej.

- Dlaczego?

- Nie pomaga przy przeprowadzce - rzuciła lekko.

- To wszystko? - prychnęła Emma. - Więc nie ma wielu powodów do zmartwień, prawda?

Rozczarowana i tym razem, Leonie uznała, że zostało jeszcze tylko jedno wyjście - odwiedzić Douga.

Wzięła Penny na smycz i pomaszerowała do niego.

Wszedł z pracowni zmęczony, w dżinsach umazanych farbą.

- Maszociotę na spacer? - zapytała.

Uśmiechał się.

- Świetny pomysł. Daj mi dwie minuty i przejdziemy się Wicklow Way.

Kiedy wróciła ze spaceru, lampka na sekretarce automatycznej mru- gała histerycznie. Hugh nagrał się cztery razy, za każdym razem bardziej nerwowo.

- Przepraszam, Leonie. Musimy porozmawiać - powtarzał.

- Porozmawiaj z psychiatrą - syknęła, kasując wiadomości. Spacer z Dougiem i trzema szczęśliwymi psami uspokoił ją, choć nie powiedziała Dougowi, co się stało. Chyba się domyślał, że coś jest nie tak, ale nie pytał.

Hugh zadzwonił wieczorem.

Leonie zdążyła się uspokoić. Żałowała wcześniejszego wybuchu.

- Szanuję to, że masz dzieci - powiedziała, nie dopuszczając go do głosu. - Ale i ty musisz uszanować moją rodzinę.

- Szanuję przecież! - obruszył się.

- Niestety, nie. Zdaję sobie sprawę, że kiedy wiążą się ludzie w naszym wieku, muszą się uporać z wieloma trudnymi sprawami. Nie umiem się dogadać z Janet, a ty z moimi córkami.

- Nieprawda.

- Hugh, nie chciałeś, żeby z nami pojechały. - Nie wyobrażała sobie, by coś mogło ją bardziej zranić. - Jesteśmy rodziną. Chcesz mnie, dostajesz także dzieciaki. To proste.

- Niełatwo jest sobie radzić z cudzymi dziećmi - bronił się. - Zawsze rozumiałem się tylko z Jane. Nawet ze Stephenem było gorzej.

- Bzdura - zachnęła się. - Staralam się zaprzyjaźnić z Jane, chociaż ona mnie nie znosi. A ty nawet nie próbowałeś zbliżyć się do moich dzieci. Ile razy byłeś u nas na kolacji? Raz. Wolałeś spotkania w mieście albo u ciebie i teraz rozumiem dlaczego.

- Nieprawda, że Jane cię nie znosi - wyraźnie zabolowały go te słowa.

Leonie straciła panowanie nad sobą.

- Przejrzyj na oczy, Hugh! Znienawidzi każdą kobietę, do której się zbliżysz! Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że tego nie widzisz?

- Jest wrażliwa.

Gdyby nie była to poważna rozmowa, Leonie parsknęłaby śmiechem. Janet? Wrażliwa?

- Hugh, jeśli twoim zdaniem wynika to z wrażliwości, twoja sprawa. - Ugryzła się w język, by mu nie powiedzieć, że jej zdaniem Janet to wredna mała manipularka. - Moim zdaniem powinniśmy dać sobie trochę czasu, odpocząć od siebie i przemyśleć wszystko.

- Dlaczego? - zdziwił się. - To synonim zerwania, wiesz o tym.

- Nie. Chcę, żebyśmy wszystko przemyśleli. Musisz się zdecydować, czy chcesz się spotykać z kobietą z trójką dzieci, a ja, czy chcę się spotykać z tobą.

Długa cisza.

- Jesteś bardzo surowa, Leonie.

- Nie jestem surowa, tylko patrzę realnie na świat. Wiesz, martwiłam się, czy Penny polubi twoje psy. Powinnam była się głowić, czy ty polubisz Danny'ego, Abby i Mel, a ja Stephena i Janet. I, co najważniejsze, co powiedzą o naszym związku.

- Nie możemy się rozstać przez takie głupstwo - upierał się.

- To nie jest głupstwo, zresztą wcale ze sobą nie zrywamy. Dajemy sobie czas - poprawiła. - Zadzwoń za kilka tygodni, kiedy oboje się uspokoimy.

- A co z urlopem? - zapytał żałośnie.

- Jedź z Jane.

Odłożyła słuchawkę i analizowała swoje uczucia. Czy zaleje się łzami i na oślep ruszy na poszukiwanie ginu? Nie. Uśmiechnęła się ponuro. Hugh był miły: sympatyczny facet na randki, do kina i do łóżka. I nic więcej. Nie rozpałał jej. Gdyby tak było, wypłakiwałyby sobie teraz oczy. Walczyłyby z Janet. A on wiedziałyby, jak bardzo Leonie kocha swoje dzieci. Więc to jednak nie ten jeden jedyny.

Poszła do kuchni i zabrała się za kolację. Biedny Hugh, myślała, siekając warzywa na sałatkę, nigdy nie uwolni się od tej zaborczej Jane. Pragnie miłości, ale jego córka przepłoszy każdą kobietę, która ośmieli się do niego zbliżyć.

Hanna siedziała na podłodze w salonie i ostrożnie odwijiała drobiazgi z bibułki. Uporała się już kuchnią, wyszorowała szafki i kredens, umyła każdą filiżankę, talerzyk i miskę. Teraz kolej na salon. Jeszcze tyle pudeł. Nie wiedziała nawet, że ma tyle rzeczy.

Frontowe drzwi zamknęły się z hukiem. Porcelana zadrżała.

- Hanno! - wrzasnął Feliks. - Gdzie jesteś?

A niby gdzie mam być, zjeżyła się. Nikogo tu nie znam, nie mam samochodu, moi przyjaciele zostali w Irlandii. Gdzie niby miałabym być?

- Tutaj! - zawołała.

W drzwiach pokazały się ręce. Jedna trzymała wielki bukiet lilii, druga różową torbę.

Za nimi pojawił się Feliks z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Prezenty, kochanie. Bo jesteś najwspanialszą kobietą na świecie.

Uśmiechnęła się wbrew sobie. Podeszedł do niej, pochylił się, wręczył bukiet. Ukryła twarz w wonnych kwiatach.

- To nie wszystko - podał jej różową torbę. Wyjęła z niej butelkę szampana.

- Przecież nie mogę pić, głuptasie - przypomniała mu.

- To dla mnie - odparł ze śmiechem. - Dla ciebie reszta.

Reszta, czyli ogromny flakon perfum Allure Chanel, jej ulubionych, i pyszne ręcznie robione pralinki, które zaraz trafią do i tak wielkiego brzucha, pomyślała, i wreszcie skrawek jedwabiu w kolorze bursztynu. Śliczna, kusa koszulka nocna. Na pewno kosztowała majątek. Majątek, którego nie mieli. Upadł projekt filmu, w którym Feliks miał zagrać we wrześnie, i mieli coraz mniej pieniędzy.

- Feliks - szepnęła zachwycona. - Nie stać nas na to.

- A właśnie że tak, najdroższa - usiadł za nią na podłodze. - Znowu mamy kasę. Będzie nowy sezon *Bystanders*. Gaze idą w górę.

- Świetnie - odetchnęła z ulgą, - Bardzo się martwiłam...

- Pieniędźmi i mną - dokończył za nią. - Wiem i przepraszam. Kiedy nie pracuję, jestem nie do wytrzymania. Byłem okropny, ale wynagrodzę ci to, obiecuję. Wybaczysz mi?

Skinęła głową.

Feliks wsunął dłonie pod jej sweter,

- A teraz zobaczymy, jak wyglądasz w tej koszulce - mruknął.

- Nie możemy! - oburzyła się. - Jest jeszcze jasno. Co będzie, jeśli ktoś zajrzy przez okno?

Roześmiał się głośno.

- Będzie zabawnie.

Później zasnął na kanapie. Złote kosmyki rozsypały się w nieładzie. Hannę wiecznie zadziwiała jego zdolność zasypiania we wszystkich okolicznościach. Spał w samolocie, gdy ona umierała ze strachu podczas turbulencji. Ba, kiedyś nawet zasnął na krótkim odcinku w metrze. Przykryła go swetrem i wstała, żeby wstawić kwiaty do wody.

Patrzyła na niego z miłością. Kocha go mimo humorów i nastrojów. Cóż, temperament artysty... Niepewność jutra i konieczność wcielania się w rolę; to się musi odbijać na psychice. Tak, to jest to, stwierdziła. Musi się nauczyć z tym żyć. Nie można być żoną aktora i szlochać, ilekroć mąż ma depresję. Może innym się wydaje, że go nie rozumieją, ale onajest inna. Jest jego żoną, on jej kupuje kwiaty i prezenty. Rozumieją się bez słów.

Na paluszkach, żeby go nie obudzić, poszła do kuchni. Zaraz, zaraz, na pewno wypakowała wazon, ale gdzie on jest?

Rozdział 27

Doug uparł się, że pojedzie z Leonie po Meł i Abby.

- Nie mogę odrywać cię od pracy - tłumaczyła, wiedząc, że musi skończyć ważny dla niego obraz, nad którym ostatnio pracował.

- Uczestniczyłem w pierwszym akcie tego odcinka z życia rodziny Delaneyów, chcę uczestniczyć i w ostatnim - odparł. - Zresztą i tak muszę jechać do miasta, do znajomego z galerii. Chodź ze mną, najpierw zajrzemy do galerii, potem wyskoczymy na lunch i pojedziemy na lotnisko. Upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu.

- Jeśli naprawdę tego chcesz... - wahała się.

- Co ci jest? - zdziwił się. - Przecież powiedziałem. Chyba że wolisz, żeby Hugh z tobą pojechał?

- Nie - mruknęła. Jeszcze nie powiedziała Dougowi, że zerwała z Hugh. Było jej głupio. Doug byłby oburzony, że Hugh nie lubi bliźniaczek. On za nimi przepadał, a nawet nie jest jej facetem. Leonie wzdrygnęła się. Straszne, przez kilka miesięcy umawiała się z kimś, kto nie lubi jej dzieci.

- Więc zobaczymy się o wpół do dwunastej - rzucił Doug.

Prawie go nie poznała, gdy po nią przyszedł. Zawsze nosił stare dzinsy i powyciągane swetry. Dzisiaj wyglądał zupełnie inaczej. Zwichrzone kasztanowe włosy zaczesał do tyłu. Szary garnitur i niebieska koszula doskonale grały z jego włosami. Skromny szary krawat dopełniał stroju. Przyglądała mu się zdumiona. Taki elegancki, taki światowy. Nawet jego blizny nie przyciągały już uwagi, były coraz bledsze. Odkąd wyczytała, że witaminy i mikroelementy przyspieszają proces leczenia, kazała mu co rano łykać garść tabletek. Doug marudził, że grzechoczą mu w brzuchu przy każdym kroku, ale blizny były coraz bledsze, czy to po witaminach, czy z innego powodu.

- Wiesz, nie urodziłem się w ubraniu roboczym - stwierdził z łobuzerskim błyskiem w oku, gdy przyglądała mu się ze zdziwieniem. - Mam też inne rzeczy i czasami nawet je wkładam.

- Ale... wyglądasz zupełnie inaczej!

- Lepiej?

Przechyliła głowę.

- Bardzo dobrze - przyznała - ale lubię twoje zwykłe ciuchy. Gdybyś miał coś takiego na sobie przy naszym pierwszym spotkaniu, nie zachowywałabym się tak swobodnie. Ja, królowa sklepów z używanymi ciuchami, wstydziłabym się rozmawiać z kimś tak eleganckim.

- To ulubiony garnitur Caitlin - zadumał się. - Nie znosiła moich ubrań roboczych, chciała, żebym co wieczór się przebierał. Jej zdaniem garnitury są bardzo seksowne. Hugh nosi garnitury? - zainteresował się nagle.

- Nie wspominaj Hugh, bardzo proszę - mruknęła.

- Pokłóciliście się?

Skinęła głową. Niech tak myśli, lepsze to niż wdawać się w zawiłe wyjaśnienia.

Doug zatrzymał się przed galerią w Ballbridge.

-- Trochę potrwa, zanim wniosę płótna - powiedział. - Wejź do środka i rozejrzyj się.

- Pomogę ci.

- O, nie - sprzeciwił się. - Są ciężkie. No idź, pooglądaj sobie. Zaraz przyjdę.

Doug i pracownik galerii w różowym krawacie wnosili obrazy, a Leonie podziwiała jaskrawe płótna olejne, łagodne pastelowe akwarele i spiczaste, agresywne rzeźby. Wszystko było bardzo drogie, a obrazy Douga będą pewnie jeszcze droższe. Dowiedziała się od Hugh, że płótna Douga Mansella to doskonała inwestycja.

- Kup coś od niego, niech ci obniży cenę - podsunął Hugh. Na myśl o pieniądzach rozbłyły mu oczy. - Za kilka lat sprzedasz to z niezłym zyskiem.

Leonie nie posiadała się z oburzenia: zarabiać na przyjacielu? Nie ma mowy.

Oglądała właśnie wielką współczesną rzeźbę i starała się domyślić, co przedstawia, gdy drzwi trzasnęły głośno. Odwróciła się na pięcie i zobaczyła śliczną drobną blondynkę.

Żywe srebro, tak się określa takie kobiety, przemknęło jej przez głowę. Sama energia. Zza dziwacznej rzeźby Leonie podziwiała jej czerwone spodnie i zakiet, buty na niebezpiecznie wysokich obcasach i krótkie, sterzące włosy. Nie farbuje sama, oceniła fachowo. Kobieta podeszła do Douga, wspięła się na palce, wzięła jego twarz w dłonie i pocałowała.

Leonie szerzej otworzyła oczy ze zdumienia. Nie, to nie może być...

- Witaj, Caitlin. Nie wiedziałem, że tu będziesz - zaczął Doug spokojnie.

- Za to ja wiedziałam, że wpadniesz - mówiła ochryple, jak nałogowa palaczka.

Leonie robiła co w jej mocy, by wtopić się w tło. Podziwiała okropny bohomas i starała się nie podsłuchiwać. Nie mogła jednak. To ta kobieta złamała Dougowi serce. Porzuciła go.

- Jak się masz? - Mała dłoń Caitlin nadal spoczywała na ramieniu Douga.

Była od niego dużo niższa, musiała zadzierać głowę, żeby go widzieć.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała.

- Doprawdy? Nie dzwoniłaś. Wiesz, gdzie mieszkam - mruknął.

Leonie współczuła mu z całego serca. Pragnął Caitlin, a ona go rzucała. Suka.

Caitlin podeszła bliżej, oparła dłoń na klapie jego marynarki. Taki intymny gest.

- Włożyłeś mój ulubiony garnitur - zauważyła miękko, patrząc mu w oczy.

- Tak.

Jedno słowo może tyle zdradzić. Założył go dla Caitlin, domyśliła się Leonie.

Nie zniesie tego dłużej.

- Pa, kochany - pomachała zdumionemu właścicielowi galerii. - Idę na kawę. Niedługo wrócę.

Stanął na wysokości zadania. Posłał jej całusa.

- Dobrze, skarbie. Do zobaczenia.

Wyszła szeleszcząc spódnicą, minęła Douga, jakby się nie znali. Nie może przecież mu wszystkiego zepsuć. Jeśli chce odzyskać Caitlin, może ona nie powinna się dowiedzieć o jego przyjaźni z Leonie.

Nie, rozważała pośpiesznie Leonie nad filiżanką kawy bezkofeinowej i ciastkiem w kawiarni, nie można powiedzieć, żeby łączyło ich coś więcej niż przyjaźń. Machinalnie mieszała kawę. Nagle zdała sobie sprawę, że żałuje, że to nie było coś więcej. Doug jest dobry, kochany, jest jej przyjacielem. Ale chciała, żeby był kimś więcej. I miała szansę, ale ją zaprzepaściła.

Nie bądź głupia, i tak nigdy mu się nie podobałaś, tłumaczyła sobie. Co mogłaby zaoferować mężczyźnie, który poprzednio był z filigranową ślicznotką, której jeszcze daleko do czterdziestki, która robi karierę i na dodatek nie nosi na ogromnych stopach topornych, babciowych butów?

Gotowa się założyć, że w szafie Caitlin nie ma powyciąganych legginsów i starych bluz. Nie, Caitlin ma ciuchy tylko z dwóch kategorii: „Jezu, ale jestem pociągająca!” i „Mój Boże, jestem boska!”.

Popijała kawę, wyglądała przez okno i łudziła się, że Doug zaraz wejdzie i powie, że odesłał Caitlin do stu diabłów. Kończyła drugą filiżankę, gdy zjawił się facet z galerii. Zauważył ją, pomachał energicznie

i podszedł. W świetle jarzeniówek różowy krawat wydawał się fioleto-
wy.

- Leonie? - zapytał.

Skinęła głową.

- Doug prosił, żebym to pani dał. Przeprasza, że nie pojedzie z pa-
nią na lotnisko. - Położył na stole banknot pięćdziesięciofuntowy. ~
Bardzo mu przykro, ale mademoiselle Caitlin wpadła w histerię i stara
się jąspokoić. Ależ z niej primadonna! - Wzdrygnął się obrzydzeniem.
- Najchętniej dałbym jej w twarz, ale Dougowi by się to nie spodobało,
a bardzo go lubię.

Leonie słuchała jednym uchem. Wyłączyła się, gdy usłyszała, że Doug
z nią nie pojedzie, bo pociesza Caitlin. Na Dougu można polegać. Nie
zawiedzie cię w żadnej sytuacji. Chyba że chodzi o jego ukochaną, za
którą tęsknił od lat.

Miała łzy w oczach. Odepchnęła pieniądze.

- Nie, dziękuję - powiedziała najspokojniej jak umiała. - Nie chcę.
Mam dosyć pieniędzy. Doug tylko wyświadczał mi przysługę - dodała.

- Czyżby? - Delikatnie umalowane oczy właściciela galerii patrzy-
ły ciepło i ze zrozumieniem. - Nie bądź głupia, kochana - poradził - ja
kiedyś się wygłupiłem i spojrz tylko - sam jak palec. Powiedz, co masz
do powiedzenia, dobrze ci radzę.

Zostawił pieniądze na stoliku i odszedł.

Leonie porwała banknot i rzuciła się do drzwi. Chciała się znaleźć
jak najdalej od galerii, biegła w sierpniowym słońcu, dyszała ciężko,
mijała samochody w korkach ulicznych. Nie chce widzieć, jak Doug
bierze Caitlin w ramiona. W końcu dobiegła do rogu i skręciła. Gdzieś
tu jest postój taksówek, przypomniała sobie.

Spocona i zgrzana wsiadła do taksówki. Makijaż spływał jej po po-
liczkach, koszula w kolorze bursztynu przywierała do ciała, dezodorant
chyba zupełnie przestał działać. A Leonie nie zwracała na to uwagi. Tę-
pym wzrokiem gapiła się w okno.

Kierowca chciał ją wciągnąć w rozmowę, ale odpowiadała monosy-
labami, więc dał spokój. Już dojeżdżali do lotniska, gdy dotarło do niej,
jak wygląda. Wyjęła kosmetyczkę i szybko naprawiła szkody. Była o go-
dzinę za wcześnie. Siedziała w hali przylotów, przeglądała gazetę, ale
nie była w stanie czytać. Doug. Dlaczego wcześniej tego nie zrozumia-
łam, zamartwiała się. Teraz już za późno.

Większość pasażerów z Bostonu już wyszła, kiedy w rozsuwanych
drzwiach pojawiły się wreszcie Mel i Abby, opalone, roześmiane, ze
stertą walizek i plastikowych toreb.

- Mamo; - wrzasnęły na jej widok.
- Uściskała obie córki, płacząc z radości.
- Tak się cieszę! - śmiała się przez łzy.
- My też!

- Świetnie wyglądacie - zapewniła. Nie przesadzała.

Mel, śliczna jak zwykle, opalona na brąz, spłotła ciemne włosy w war-kocz. Była beztroska i dziewczęca w czarnych obcisłych spodniach, różowej koszulce i swetrze lila, niedbale zawiązanym na biodrach. Ale to na widok Abby matce zaparło dech w piersiach. Urosła, była wyższa od Mel. Dzięki temu zamiast pulchna, była kusząco zaokrąglona. Miała na sobie obcisłe sprane dzinsy i turkusową koszulkę, która podkreślała nie-samowity odcień jej oczu. Na przegubach pobrzękiwały indiańskie bransoletki ze srebra i turkusów, na opalonej szyi miała srebrny naszyjnik. Spłowiełe od słońca włosy opadały swobodnie na plecy. Wyglądała jak jedna z bohaterek filmu *Thelma i Louise*.

- Abby, wyglądasz fantastycznie - Leonie odsunęła się, żeby podzi-wiać swoje brzydkie kaczątko, które wyrosło na pięknego łabędzia.

- I czuję się fantastycznie - odparła córka z uśmiechem. - Jestem sobą i nikim innym.

- Bez przerwy czytała poradniki - zachichotała Mel. - A ja za żad-ne skarby świata nie znajduję w sobie wewnętrznej siły!

- Owszem, na widok przystojniaka - docięła jej Abby.

Jakby na wezwanie, minęła ich grupa przystojnych chłopców z plec-akami. Szacowali dziewczyny wzrokiem. Mel, przyzwyczajona do zachwytów, nadała się uroczo. Lecz Leonie zwróciła uwagę na reakcję Abby. Uśmiechnęła się do mężczyzn, odrzuciła głowę do tyłu, aż rozsypały się włosy, i roześmiała się serdecznie. Emanuje pewnością siebie, oceniła Leonie. Jej córeczka wróciła do domu jako osoba dorosła.

Rozmawiały przez całą drogę.

- Myślałam, że Doug nas odbierze? - zdziwiła się Mel.

- Coś mu wypadło - odparła Leonie lekko. - A teraz opowiadajcie.

W Bostonie było cudownie, ale w Teksasie jeszcze lepiej. Charlie, oj-ciec Fliss, ma ranczo w Teksasie, ale też dom w Nowym Meksyku, w Taos.

- ...takiej ślicznej miejscince, gdzie zimą można jeździć na nartach-rozmarzyła się Mel. - Pełno tam dziwacznych typów New Age. Abby była nimi zachwycona. Z jednym nawet chodziła, miał na imię Kurt.

Dawniej Abby obraziłaby się, że siostra zdradza jej sekrety. Teraz uśmiechnęła się i dotknęła srebrnej bransoletki.

- To tylko przyjaciel, nic więcej. Dla Mel każdy chłopak to zaraz miłość. Zresztą chodzenie jest takie szczeniackie, Mel.

Penny nie posiadała się z radości, jak szalona skakała na dziewczynki i obwąchiwała ich bagaże.

- Tęskniłyśmy za tobą. - Abby usiadła koło niej na podłodze.

Clover zlekceważyła przyjęcie powitalne, siedziała na kredensie w kuchni i obserwowała całe zamieszanie z wyniosłą miną władczyni znudzonych poddanyami.

Leonie podświadomie oczekiwała, że dziewczynki będą rozczarowane powrotem do domu, one jednak cieszyły się wyraźnie. Co chwila powtarzały, jak tęskniły i jak je męczyło ciągłe dbanie o porządek.

- Fliss ma obsesję na tym punkcie - narzekała Mel. - Zwariowała-bys z nią, mamó.

Leonie stłumiła śmiech.

Mel natychmiast złapała za słuchawkę, żeby poinformować swoją przyjaciółkę i rywalkę, jak świetnie się bawiła, jak się opaliła i jakie ma fantastyczne ciuchy, oczywiście takie, jakich w Irlandii nigdzie się nie znajdzie.

Abby wypakowała kilkanaście małych kolorowych pudełeczek z herbatą ziołową i owocową i zaproponowała, że zaparzy matce herbatkę orzeźwiającą. Już nie pije zwykłej kawy i herbaty, wyjaśniła.

- Jesteśmy tym, co jemy - stwierdziła i tłumaczyła, dlaczego świeże produkty są o tyle zdrowsze od konserw. - Cytrynowa stawia na nogi - wróciła do herbat. - Chociaż moja ulubiona to pomarańczowo-borówkowa.

Leonie siedziała przy kuchennym stole i podziwiała swoją wysoką, spokojną córkę.

- Spróbuj - Abby postawiła przed nią parujący kubek.

- Pyszna.

- Źle traktowałam moje ciało - tłumaczyła Abby. - Odżywiałam się niewłaściwie, nie wiedziałam, czego potrzebuję. Stąd depresja i nienawiść do samej siebie. Ale teraz jest dobrze.

Ona promienieje, stwierdziła Leonie. Ma błyszczące oczy, jest taka pewna siebie i spokojna.

Przypomniała sobie gniewną, zagubioną dziewczynkę, która wyjechała zaledwie trzy miesiące temu, i zmówiła modlitwę dziękczynną. I podziękowała także Fliss. Była jej wdzięczna za wszystko, co zrobiła dla Abby.

- Fliss bardzo ci pomogła - powiedziała głośno.

- Nie Fliss - poprawiła Abby. - Ty, mamó. Zawsze byłaś taka silna, a mnie się nie udawało. Zatraciłam siebie, chciałam wyglądać jak ktoś inny. Ja... - zastanowiła się przez chwilę - chciałam wyglądać jak Mel, mówić jak Fliss i być sobą. A to niemożliwe.

Roześmiała się na myśl, jakie to głupie.

- Wszyscy musimy być sobą. Tego się nauczyłam na kursie. Przez pewien czas spotykałam się z terapeutą, to też mi pomogło, ale kiedy przyjechalśmy do Taos, dowiedziałam się o kursie samouzdrawiania. Mel uważa, że to bzdura, ale było mi to potrzebne. Musiałam wyzbyć się błędnych przekonań o sobie i zrozumieć, kim naprawdę jestem. Opowiadaliśmy o tych, którzy są dla nas wzorem i ja, mamó - Abby spojrzała na nią błyszczącymi oczami - opowiadałam o tobie.

Oczy Leonie także lśniły - od łez.

- Opowiadałam, jak byłaś odważna, że rozstałaś się z tatą, bo uznałaś, że tak będzie sprawiedliwie wobec ciebie, taty i nas. I opowiadałam, jak się dla nas poświęcasz. Wiem, że ubierasz się w sklepach z używanymi ciuchami, a my dostajemy najmodniejsze ubrania. Nie myśl, że o tym nie wiedziałam. Po prostu tego nie doceniałam. Dostrzegłam to dopiero z dala od ciebie.

- Och, Abby - Leonie wzięła ją za rękę. - Myślałam, że nie możesz się doczekać, żeby zamieszkać z Fliss.

- Nie mogłam się doczekać, żeby uciec od siebie samej - poprawiła Abby. - Mamó, miałam bulimię. Zmuszałam się do wymiotów. Przepraszam, wiem, że cię okłamałam.

Leonie milczała, tylko mocniej ścisnęła jej dłoń.

- Nie mieści mi się w głowie, że byłam taka głupia - ciągnęła Abby. - To straszna choroba. Niszczy zęby i dziąsła, drażni gardło i żołądek, i nie pomaga. - Głęboko zaczerpnęła tchu. - Trudno było mi to powiedzieć, mamó, bo cię okłamałam. Ale musisz o tym wiedzieć.

Była taka dorosła, taka opanowana.

- Abby, obiecaj, że już nigdy tego nie zrobisz.

Delikatnie objęła matkę ramieniem.

- Obiecuję, mamó. Nie zrobię tego ze względu na ciebie i na siebie, daję ci słowo. Uda mi się. Nie zawsze będzie łatwo, ale z twoją pomocą wszystko mi się uda.

Cały wieczór przesiedziały przy kuchennym stole, rozmawiały, śmiały się, żartowały. Mel, jak zwykle, narobiła mnóstwo zdjęć, i jak zwykle obcięła głowy większości modeli.

Wydaje się młodsza od siostry, dumiała Leonie. Abby dorosła, Mel jeszcze nie musiała. Kiedyś i ona będzie cierpiała, *lecz* wtedy Abby będzie przy niej.

- Mamó, jestem głodna. - Abby myszkowała po szafkach kuchennych. - Mamy sos pesto? Albo orzeszki piniowe?

Leonie roześmiała się głośno.

- Nie, ale jutro pojedziemy na zakupy. Czy twoje zdrowe odżywianie oznacza, że mam gotować ci osobno?

Abby pokazała jej język.

- Zanim się spostrzeżesz, przejdziesz na moją dietę.

- To prawda - włączyła się Mel. - Już mi nie pozwala jeść lodów czekoladowych.

Tej nocy Leonie miała wrażenie, że zdjęto jej z pleców wielki ciężar. Abby ma się dobrze. Właściwie to za mało powiedziane. Rozkwitła. To najważniejsze. Co z tego, że tęskni za Dougiem? Ma córki, ukochane córki. Czego jej jeszcze trzeba? Popełniła błąd, wiążąc się z Hugh i nie zauważyła, co się działo z Abby. To się nie powtórzy. Dla mężczyzny nie ma miejsca w jej życiu, zdecydowała. Zresztą, komu oni potrzebni?

Następnego dnia we trzy wybrały się na zakupy. Za tydzień zaczyna się szkoła, trzeba kupić Mel nowy żakiet, a Abby nową spódnicę do mundurka, stara jest za krótka. Później poszły do kina i na kolację do meksykańskiej restauracji. Z bliźniaczkami Leonie nie myślała o Dougu, lecz po powrocie od domu okazało się, że nagrał się na sekretarce. Miał oddzwonić. Leonie czekała cały wieczór. Nie wyobrażała sobie, jak chce jej to wytłumaczyć, ale tęskniła za jego głosem, chciała jeszcze raz usłyszeć, jak mówi do niej: Leo. Telefony się urywały. Niestety, wszystkie do dziewczynek. Doug nie zadzwonił. Pewnie ze szczęścia u boku Caitlin zapomniał o bożym świecie, stwierdziła ponuro.

Szła do pracy w fatalnym humorze. Powinna skakać z radości; Mel i Abby są w domu, Danny wraca za tydzień. A ona ma łzy w oczach.

- Co z tobą? - zainteresowała się Angie, gdy Leonie cisnęła torebkę i przebrała się w fartuch.

- Nic. - Spojrzała na grafik operacji na dziś. Dwa psy do kastracji. Angie właśnie badała kota, którego podejrzewano, że zjadł szpulkę nici i igłę.

- Chodzi o dziewczynki? - zapytała Angie delikatnie.

- Nie, są kochane. Dobrze się bawiły, ale cieszą się, że wróciły do domu - odparła. - Abby ślicznie wygląda i jest w świetnym humorze. - Umilkła. Nie chciała rozmawiać.

Zajęła się pacjentami. Trzy koty, jeden pod kroplówką, cztery psy, które dzisiaj wrócą do domu po operacji, i Henry, gołąb ze złamanym skrzydłem, oburzony, że się go trzyma w takich warunkach. Wyrażał

swoją opinię na ten temat, ciskając w Leonie ziarnem. Innego dnia roześmiałyby się. Dzisiaj łypnęła na niego groźnie.

- Niegrzeczny Henry - mruknęła.

Angie rozmawiała przez telefon z zaferowaną właścicielką psa, a Leonie, Helen i Louise wyprowadzały psy na spacer.

- Wiem, że to boli, maleństwo - Leonie pocieszała śliczną dziewięciomiesięczną bokserkę po sterylizacji, która z trudem wyszła z klatki. - Dzisiaj wrócisz do domu - szeptała, głaszcząc miękkie uszy.

Kiedy skończyły z psami, zabrały się za koty.

W końcu nadszedł czas otworzyć klinikę. Recepcjonistka się spóźniła, więc Leonie musiała ją zastąpić. Nie znosiła tego. Ludzie i zwierzęta tłoczyli się w ciasnej poczekalni, psy wyły, koty miauczały rozpaczliwie. Leonie zdążyła odebrać cztery telefony, przyjąć dziesięć osób i uspokoić rozhisteryzowaną kobietę z wymiotującym kotem, zanim wreszcie recepcjonistka wpadła zdyszana, tłumacząc, że złapała gumę.

- Nie ma sprawy - burknęła.

Wróciła na salę operacyjną. Angie usuwała wrastający ząb pudlowi. Leonie bez słowa zajęła swoje miejsce i monitorowała oddech zwierzęcia. Język był różowy, znak, że wszystko w porządku.

- Jezu, Leonie, wyglądasz, jakbyś zgubiła stowę i znalazła grosik - mruknęła Angie, nie podnosząc głowy.

- Nic mi nie jest.

- Tak, tobie nic nie jest, a ja jestem królową Persji - prychnęła Angie. - Powiedz, co się dzieje.

- Nie wiem. Jestem w depresji...

- Hugh? - Angie triumfalnie uniosła wyrwany ząb.

- Nie. Tamtego dnia, kiedy pojechałam z Dougiem do miasta po dziewczynki...

- Ach, z tajemniczym Dougiem. Niedawno go widziałam. Niezły, nie wykopałabym go z łóżka za kruszenie na pościel.

- Angie, jesteś okropna! On tyle przeszedł.

- A ty chciałaś go pocieszyć? - domyśliła się.

- Nie. To przyjaciel i tyle.

- Czy to nie Szekspir coś pisał o tych, co nadmiernie protestują? - Angie pochyliła się nad psem.

- Ale to naprawdę tylko przyjaciel.

- Więc dlaczego nie wpadłaś w depresję po rozstaniu z Hugh?

Brak odpowiedzi.

- Opowiadaj - Angie traciła cierpliwość.

Leonie opowiedziała.

- I nie zadzwonił?

Leonie pokręciła głową.

- Wiesz, co masz zrobić, prawda? -1 na wszelki wypadek Angie uściśliła: - Idź do niego i powiedz, co czujesz.

- Nie wygłupiaj się - zaczęła Leonie. Zaraz się wycofała: - Zresztą, nic nie czuję. Po prostu mi przykro, że nie zadzwonił. To znaczy zadzwonił, ale nas nie było i nie oddzwonił.

- Delaney, nie wciskaj mi kitu - warknęła Angie. - Wiem doskonale, że za nim szalejesz. Widzisz się z nim prawie codziennie, bez przerwy pijesz kawę w jego atelier... Nie mów mi, że to nie jest miłość, nawet jeśli sama dopiero co się zorientowałaś. Jezu, przecież widywałaś się z Dougiem dziesięć razy częściej niż z cholernym Hugh. To jasne, że go kochasz.

- Nie wiedziałam o tym - odparła cicho. - Zrozumiałam dopiero, kiedy zobaczyłam go z Caitlin. Byłam na nią wściekła, że go skrzywdziła.

- Więc mu powiedz!

- Jak mam mu powiedzieć, kiedy jest z nią? Co mam zrobić? Wpaść do niego do domu i zażądać, żeby mnie wysłuchał, a ona będzie się śmiała w kułak, że w ogóle o nim pomyślałam? Żałuj, że jej nie widziałas, Angie -jęknęła. - Jest po prostu doskonała.

- Nie, skoro go rzuciła - Angie zaaplikowała pudłowi antybiotyk, żeby zapobiec infekcji i zaniosta do klatki. - Musisz mu to powiedzieć, inaczej będziesz miała do siebie pretensje do końca życia.

- Więc będę miała do siebie pretensje - mruknęła Leonie, sprząając stół po operacji.

W następnym tygodniu wrócił Danny z plecakiem brudów i milionem opowieści z podróży. Bliźniaczki poszły do szkoły. Leonie miała pełne ręce roboty, zaczęła się zwykła poranna krzątanina, poza tym zostawała w pracy po godzinach, bo jedna z pielęgniarek zachorowała i musiały ją zastąpić. Nie miała czasu, żeby myśleć o Dougu, a jednak... Wspominała wspólne spacerunki, długie rozmowy w kuchni Douga i cudowny obiad w zajeździe U Głodnego Mnicha. Przy Hugh nigdy nie była taka swobodna, nawet w łóżku. Czy raczej zwłaszcza w łóżku. Czasami zastanawiała się jakby to było, kochać się z Dougiem, wyobrażała sobie dotyk jego brody na piersiach... Przestań! Wściekła na siebie, brała Penny na długie, męczące spacerunki. Omijała dom Douga, szła w przeciwną stronę. Nie chciała wpaść na niego i Caitlin, zakochanych i szczę-

śiiwych, z Jasperem i Alfie u stóp. Penny tęskniła za kumplami, ale Leonie twardo ciągnęła ją w drugą stronę.

W piątek wieczorem wróciła ze spaceru i zobaczyła na podjeździe dżipa.

- Doug przyjechał! - wrzasnęła Mel zupełnie niepotrzebnie.

- Świetnie - skłamała Leonie. Nie chciała się z nim spotkać, a\ę nie ma wyjścia. Z fałszywym uśmiechem weszła do salonu. Doug i Danny oglądali telewizję.

Doug zerwał się na równe nogi.

- Musimy porozmawiać - zaczął.

- Niestety, nie mam czasu - zaszcebiotała. - Mam randkę z Hugh - skłamała.

- Nieprawda, nie masz... - zaczął Danny.

Leonie posłała mu mordercze spojrzenie.

- Jeśli chodzi o zeszyty tydzień... bardzo mi przykro, Leonie. Caitlin zjawiła się nieoczekiwanie i musiałem z nią porozmawiać...

- Jasne - z uśmiechem szła do drzwi. - Nieważne. Muszę lecieć.

Pa.

Pobiegła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Rzuciła się na łóżko tak jak stała, w ciuchach brudnych po spacerze, i zalała się łzami.

Zadzwoił w sobotę.

- Powiedz, że mnie nie ma - szepnęła Leonie.

- Mówi, że jej nie ma - powtórzył Danny.

Leonie przewróciła oczami. Taktowny ten Danny, nie ma co. No, ale może dzięki temu dotrze do niego, że ich przyjaźń się skończyła. Jeśli chce spędzić resztę życia u boku koszarnej Caitlin, Leonie nie będzie miała z tym nic wspólnego.

W niedzielę spacerowała z Penny, gdy zobaczyła jego dżipa. Chcąc uniknąć spotkania za wszelką cenę, pociągnęła wielce z tego zadowolona Penny na poie. Owce przyglądały im się z przerażeniem.

- My tylko na momencik - wytłumaczyła im Leonie ze swojej kryjówki za furtką.

Życie toczyło się jak zwykle. Abby dopytywała się, czemu Doug ani razu nie był na kolacji od ich powrotu ze Stanów.

- Nie wiem - skłamała Leonie. - Pewnie dużo maluje.

Abby spojrzała na nią znacząco.

- I ja mam w to uwierzyć?

Leonie jęknęła.

- No nie, jeszcze i ty? Czuję się jak w talk-show, gdzie publiczność radzi gościom, co mają robić.

- Nie jesteś szczęśliwa, mam - mruknęła Abby. - Wszyscy to wi-
dzą.

- Jestem zmęczona, Abby, to wszystko. A teraz przepraszam, ale
muszę zrobić pranie.

Minał kolejny tydzień. Leonie robiła wszystko jak automat. W ten
weekend miała dyżur w klinice. W sobotę zaroilo się od ludzi i zwierząt.
Nadzorowała oddech kastrowanego królika, gdy zadzwonił telefon. Do
Angie.

- Popilnuj go, pójde po nią - mruknęła do Louise.

Weszła do sąsiedniej sali operacyjnej i zastygła w drzwiach. Na stole
stał Jasper. Trzymał go Doug. Był zdenerwowany, miał zwichrzone włosy.
Zmęczony. Za dużo seksu, przemknęło jej przez głowę.

- Co z Jasperem? - zapytała.

Widząc starą przyjaciółkę, Jasper niemrawo zamerdał ogonem.

- Biedactwo - pogłaskała go.

- Skaleczył się w łapę, naderwał poduszeczkę. - Angie szykowała
się do znieczulenia.

Jasper zawył z bólu i strachu, gdy do niego podeszła. Angie pachnia-
ła weterynarzem, a wszystkie psy tego nienawidzą.

- Telefon do ciebie - mruknęła Leonie. - Pani McCarthy, w sprawie
kota. To pilne.

- Dobrze. Zaraz wracam.

Angie wyszła.

- Dlaczego mnie unikasz? - zapytał Doug cicho.

Leonie starała się na niego nie patrzeć. Wbiła wzrok w Jaspiera. Nie
wył już, ale patrzył na nią błagalnie, żeby go zabrała z tego strasznego
miejsca.

- Nie unikam cię - odparła. - Po prostu zajęłam się moim życiem,
jak ty.

- Nie miałem czym się zająć - usłyszała. - Jestem samotny i smut-
ny. Nikt do mnie nie wpada, nie wmusza we mnie witamin, nie wyciąga
na spacer, żebym odetchnął świeżym powietrzem. Nikt mnie nie zapra-
sza na domowe kolacje. Z nikim nie żartuję i nie rozmawiam.

Wstrzymała oddech.

- A co z Caitlin? - zapytała. - Kobieta twojego życia wróciła do
ciebie, nie potrzebujesz starej nudziary, żeby ci parzyła kawę. Masz
Caitlin.

Nie zdążył odpowiedzieć. Angie wróciła.

- Przepraszam - powiedziała.

- Muszę iść. - Rzuciła Leonie, błada jak ściana.

Na kilka minut ukryła się w toalecie, wyszła dopiero kiedy uznała, że już się nie rozpłaczę. Wróciła do królika. Mieli dzisiaj za mało rąk do pracy, nie może zwałać całej roboty na Louise i Helen.

Ułożyła królika w klatce i w tej chwili weszła Angie, a w ślad za nią Doug i Jasper. Pies dyszał radośnie i unosił zabandażowaną przednią łapę.

- Nie wolno ci tu wchodzić - burknęła. - Jasper będzie zdrowy. Idź do domu.

Angie wzięła od Douga smycz. Podszedł do Leonie na tyle blisko, że poczuła zapach farby. Na koszuli miał żółtą smugę.

- Pani doktor wyleczyła jego łapę, ale nie moje serce - powiedział. Leonie gapiła się, nic nie rozumiejąc.

Obserwowały ich wszystkie pielęgniarki. Nawet zwierzęta w klatkach się zainteresowały. Ludzkie dramaty są ciekawsze niż widok pielęgniarki ze strzykawką albo termometrem.

- Doug, o co ci chodzi? - desperacko starała się zapanować nad swoimi uczuciami.

- O ciebie. Chodzi mi o ciebie. Unikasz mnie od dwóch tygodni. Nie chodzisz ze mną na spacer, nie wpadasz do atelier na kawę.

- To nie czas ani miejsce na taką rozmowę - pisnęła.

- Nie rozmawiasz ze mną w domu, więc przyszedłem tutaj.

- I specjalnie skaleczyłeś biednego Jaspera? - zmartwiła się.

- Nie, Jasper widział, że jestem w rozpacz, i sam się skaleczył. To akt najwyższego poświęcenia.

Nawet w takiej chwili potrafił ją rozbawić.

- Nie znam nikogo, kto równie szybko jak ty wyciągałby pochopne wnioski, Leonie.

- To prawda - włączyła się Louise.

Leonie była oburzona taką niesprawiedliwością.

- Byłaś przekonana, że owczarek niemiecki złamał sobie nogę, a nie prawda - wyjaśniła Louise.

- To nie są pochopne wnioski, tylko zakładanie najgorszego. Wolę przesadzać niż lekceważyć - wyjaśniła Leonie.

- Więc przesadziłaś, widząc mnie z Caitlin - tłumaczył miękko. - Nie mogłem pojechać z tobą na lotnisko, bo musiałem ją pocieszyć. Wpadła w histerię, chciała, żebyśmy znowu byli razem, a ja powiedziałem, że to nie wchodzi w grę, bo zakochałem się w innej.

Leonie poczuła łyzy po powiekami.

Jasper, znudzony, ziewnął głośno.

- Cicho, Jasper - skarciła go Angie. - To lepsze niż opera mydlana.

Wszyscy się roześmiali. Doug przyciągnął Leonie do siebie.

- Kocham cię, Leonie. Powiem to przy świadkach: szaleję za tobą.
- Podniósł głos. - Ja, Doug Mansell, kocham jak wariat Leonie Delaney, matkę trojga dzieci, straszną beksę i kobietę, która pochopnie wyciąga wnioski.

Publiczność biła brawo, nawet zwierzętom udzieliła się radość; piszczały, czekały, miauczały i trzepotały skrzydłami.

- Naprawdę? - Leonie wtuliła się w niego.

Pocałowała ją w czubek głowy, bo ukryła twarz na jego piersi.

- Naprawdę. Od tygodnia starałem się z tobą porozmawiać. Gdyby nie Abby, milczałbym, bo udawałaś, że nadal jesteś z tym draniem Hugh.

- Abby?

- Spiskowała ze mną. Gdyby Jasper nie wziął sprawy w swoje łapy, i to dosłownie, dzisiaj porwałbym cię z domu. Abby pakuje ci walizkę. Chciałem porwać cię na romantyczny weekend do Kilkenny.

Publiczność westchnęła ze wzruszeniem.

- Uznałem, że tylko siłą coś wskóram, przecież nie chciałaś ze mną rozmawiać.

- Zabiję Abby. Wredna małpa. Powinna była mi powiedzieć.

- Nie zabijesz, obiecała, że zajmie się psami. Pojedziesz?

Leonie wytarła mu farbę z koszuli i pogłaskała go po brodzie.

- Z wielką chęcią.

Znowu westchnienie.

- Nie możemy ich rozczarować - stwierdził Doug z błyskiem w oku.

- Na zakończenie przedstawienia musi być pocałunek. - I pocałował ją tak mocno, że musiała się oprzeć o apteczkę, żeby się nie przewrócić.

Rozdział 28

Siedem miesięcy później

Emma słuchała popołudniowych wiadomości w radiu i kroić pierś kurczaka. Na talerzu były także duszone ziemniaki, bez sosu. Zrobiła sos dla ojca, ale wiedziała, że błędem byłoby podanie sosu matce. Sos lądował tam, gdzie fasolka albo sosy do spaghetti - na Emmie albo na podłodze. Nie wiadomo dlaczego Anne-Marie denerwowała się przy posiłkach tylko przy jednej okazji, a mianowicie jeśli jadła coś, co ro-

biło plamy. Frzy jasnych posiłkach była spokojna i potulna, jadła je sama albo pozwalała się karmić łyżeczką. Jedząc sos bolognese,- wpadła w furie, ciskała widelcem przez cały pokój, chlapała na meble i ściany, aż pomieszczenie przypominało dzieło sztuki współczesnej. To jak karmienie dziecka, myślała Emma nieraz. Dziecka o wzroście i sile dorosłego.

- Mamo - zawołała, stawiając talerz na stole. - Mamo, jedzenie!

Anne-Marie nie przysłała, więc poszła jej szukać. Matka stała w salonie i mocowała się z drzwiami na taras. Oprócz bezcelowych przechadzek po całym domu, było to jej ulubione zajęcie. Tylko dzięki temu, że wszystkie drzwi i okna były zawsze starannie zamknięte, nie udało jej się uciec. Trzy miesiące temu wymknęła się, ale na szczęście znalazł ją sąsiad, zapłakaną i wystraszoną. Od tego czasu Emma nalegała, żeby okna i drzwi były starannie zamknięte. Jimmy, przerażony nagłym zniknięciem Anne-Marie ze wspólnej sypialni o trzeciej nad ranem, zgodził się potulnie.

Teraz dom przypominał małe więzienie. Anne-Marie okazała się zadziwiająco sprytna i sprawna, na przykład wychodziła przez otwarte okna. Jedynym rozwiązaniem były skomplikowane zamki, które pozwalają uchylić okno tylko na kilka centymetrów. Na szufladach i szafach pojawiły się specjalne zabezpieczenia, jak przed dziećmi, na magnetowidzie - plastikowa osłonka, po tym jak Anne-Marie zepsuła poprzedni, bo wsadziła odwrotnie kasetę. W lecie będzie nie do wytrzymania, Emma zdawała sobie z tego sprawę, ale Bóg jeden wie, co się wydarzy do tego czasu. Czy matka nadal będzie w domu? Jej stan pogarszał się w takim tempie, że nawet ojciec nie wytrzyma długo. Co nie znaczy, że teraz dobrze to znosił.

Tego dnia, w chłodny marcowy wieczór, w piątek, Anne-Marie była w dobrym humorze. Poklepała Emmę po ramieniu, gdy razem szły do kuchni. Emma posłodziła jej herbatę i usiadła obok, żeby się przekonać, czy matka potrzebuje jej pomocy czy nie. Dzisiaj odpowiedzią na to pytanie było „nie”. Anne-Marie zajądała z apetytem i patrzyła w przestrzeń pustym wzrokiem. Na żadnej kiedyś twarzy nie widać było żadnych emocji, tylko w dużych oczach czaił się niewypowiedziany strach. Strach był jednym z nielicznych uczuć, których jeszcze doświadczała. Tego dnia jej twarz była jak czyste płótno, oczy puste, bez wyrazu. Dopóki matka nie zachorowała, Emma nie zdawała sobie sprawy, ile uczuć wyraża ludzka twarz. Myślała, że twarz zawsze należy do ciebie, promienieje, kiedy się cieszysz, wyraża twój smutek, ale należy do ciebie, nawet jeśli myślami odpływasz w dal.

Lecz gdy widziała, jak na jej oczach matka ulega chorobie Alzheimera, zrozumiała: najważniejszy jest umysł. Kiedy bezlitosna choroba, zniszczyła umysł, twarz okazała się tylko zwykłą częścią ciała. Bez śladu poczucia humoru i inteligencji. Anne-Marie mówiła coraz mniej, najczęściej mruczała gniewnie pod nosem albo żałośnie wołała Jimmy'ego.

Nadal mówiła ich imiona, poznawała też niektóre osoby - Emmę, Kirsten, Jimmy'ego i zwłaszcza Pete'a. Lecz połączenie twarzy z właściwym imieniem coraz częściej przekraczało jej możliwości. Najczęściej mówiła do Emmy „Kirsten”. Emma nie zwracała już na to uwagi, przygotowywała się wewnętrznie na czas, gdy matka w ogóle nie będzie w stanie nazwać jej jakimkolwiek imieniem.

- Będzie wiedziała, że jest pani ważną osobą w jej życiu, ale nie będzie w stanie uświadomić sobie, kim dokładnie - tłumaczył sympatyczny specjalista od choroby Alzheimera tamtego strasznego dnia trzy miesiące temu, gdy postawił diagnozę.

Z nich wszystkich jego słowa zrobiły największe wrażenie na Jimmy'm. Emma już dawno przeczytała wszystkie możliwe książki o chorobach podeszłego wieku, które wpadły jej w ręce. Poznała wszystkie straszne szczegóły, poczynając od stopniowej utraty pamięci do ostatecznego upokorzenia w postaci, jak to się czasami zdarzało, odżywiania dożylnego, jeśli pacjent zapomniał, jak się łyka. Zmuszała się, by czytać wszystkie bolesne opisy.

Kirsten odmawiała lektury tych książek, a Jimmy rezolutnie dowodził, że Anne-Marie nie jest nic poważnego, wszystko da się wyleczyć.

Operacja, burknął pewnego dnia, załatwi sprawę.

Kiedys zainwestował w klinikę pewnego lekarza, neurochirurga. On im pomoże.

Udali się więc do znanego neurochirurga. Dzielnie spojrzął Emmie w oczy i starał się wyjaśnić Jimmy'emu, że nader wątpliwe, żeby jakąkolwiek operacja poprawiła stan jego żony. Pewnie sam mógł postawić diagnozę, ale skierował ich do sympatycznego, spokojnego specjalisty od choroby Alzheimera, który starał się przekazać przykrą nowinę najdelikatniej, jak umiał.

Tylko autopsja dałaby stuprocentową pewność, tłumaczył, a to ze względu na charakter choroby. On jednak jest przekonany, że Anne-Marie O'Brien cierpi na chorobę Alzheimera. Prędzej czy później będzie potrzebowała całodobowej opieki.

Jimmy miał taką minę, jakby po raz pierwszy w życiu miał się rozplakać. Opuścił szerokie ramiona w poczuciu bezradności, nie był już

groźnym despota, panem i władcą, tylko starym załamany człowiekiem. Kirsten wyglądała przez okno z nieprzeniknioną twarzą. Tylko Emma rozmawiała z lekarzem, jaka kuracja, jeśli w ogóle, pomoże Anne-Marie, czy poleca jakieś domy opieki? Jimmy i Kirsten zaraz wyszli - Jimmy usiadł koło żony, zły, że zostawili ją z pielęgniarką, a sami poszli na płoteczki, a Kirsten wymknęła się na zakazanego papierosa.

Bez nich było Emmie łatwiej rozmawiać.

- Mój ojciec nie może się z tym uporać - wyjaśniła.

- Nikomu nie jest łatwo. Problem w tym, że dopóki inni nie zdobędą się na odwagę i nie spojrzą prawdzie w oczy, ciężar opieki będzie spoczywał na pani. Pani siostra też chyba nie przyjęła tego do wiadomości? - zapytał delikatnie.

Emma tylko skinęła głową. Teraz nie czas na dyskusje o dziwnym pojmowaniu świata przez Kirsten. Była jak małe dziecko, które sądzi, że jeśli zakryje sobie oczy i nic nie widzi, samo staje się niewidzialne. Uważała, że nie ma problemu, dopóki się o nim nie mówi.

- Porozmawiajmy praktycznie. - Emma otworzyła notes, żeby nic jej nie umknęło. - Co teraz? Jak długo mama będzie w obecnym stanie?

Wtedy jeszcze Anne-Marie była często pobudzona, gadatliwa, ale jednocześnie nie pamiętała rozmów, zdarzeń, nawet posiłków. Kilka minut po obiedzie narzekała, że ją głódza i nie dają nic do jedzenia.

Lekarz tłumaczył, że tego nie sposób przewidzieć. Choroba postępuje w różnym tempie. Niektórzy zatrzymują się na jednym etapie na kilka lat, stan innych, jak Anne-Marie, pogarsza się w zastraszającym tempie.

Tłumaczył, że choroba Alzheimera to schody: można długo, długo stać na jednym stopniu, potem zejść o stopień niżej, ale nigdy nie wraca się do góry.

Lekarstwa pomagają we wczesnym stadium choroby, ale tytko opóźniają jej przebieg. Anne-Marie jest młoda, może żyć jeszcze wiele lat. Co więcej, jest pełna energii, może się sama poruszać, a to znacznie utrudni opiekę nad nią. Najlepiej byłoby jej w wyspecjalizowanym zakładzie, ale to, oczywiście, kosztuje. Gdyby zrobiła się jeszcze bardziej nadpobudliwa i aktywna, sugerowałby umieszczenie jej w szpitalu psychiatrycznym i zaproponowałby kurację, po której przesypiałaby większość dnia.

- Niektórzy ciągle chodzą, inni ciągle chcąc, bo zapominają, że już dostali posiłek, i bardzo tyją. Każdy pacjent jest inny. Ale -pochylił się na krzesło - nie tylko pacjent jest chory, rozumie pani? Choroba Alzheimera dotyka całą rodzinę. Rodzina także potrzebuje pomocy, zresztą

to jest najczęstszy problem. Główny opiekun bierze na swoje barki ogromny ciężar. Czy podejmie się pani tego?

- Nie wiem - odparła szczerze. - Pracuję zawodowo, ojciec także, chociaż ostatnio starał się załatwiać wszystko telefonicznie, z domu. Co wieczór odwiedzam ich, żeby zobaczyć, jak sobie radzą. W zeszłym miesiącu ojciec musiał iść na urlop, mama rano nie wypuszczała go z domu.

Specjalista skinał głową.

- Ona się boi. Niech pani to sobie wyobrazi: rozgląda się po swoim domu i czasem nie wie, gdzie jest. Zdaje sobie sprawę, że jest sama, ale nie ma pojęcia, od jak dawna ani kiedy ktoś przyjdzie. To straszne uczucie. Niestety, ktoś musi z nią być.

Od tamtego dnia, od tamtej diagnozy przeszli długą drogę. Przyjaciele i rodzina starali się pomóc. Emma spędzała z matką każdą sobotę, trzy razy w tygodniu przychodziła do rodziców po pracy, gotowała i sprzątała. Ojciec pracował mniej, przekazywał coraz więcej spraw swojemu zastępcy. Dwie sąsiadki pilnowały Anne-Marie przed południem, jeśli musiał jechać do biura.

Kirsten wpadała w niedziele, ale w tygodniu nie mieli co na nią liczyć, bo jak twierdziła, była ledwo żywa po pracy. Od niedawna pracowała jako recepcjonistka w gabinecie dentystycznym. Nawet straszliwa ciotka Petra zjawiała się co piątek, chociaż Emma nie uważała, żeby to był dobry pomysł. Ciotka Petra miała osteoporozę i chore biodro, i Emma się obawiała, że coś sobie złamie, biegając po całym domu za Anne-Marie.

Potrzebowali fachowej pomocy. Matka spała coraz gorzej i wymagała lepszej opieki niż ta, którą zapewniali rodzina i przyjaciele, choćby pełni dobrej woli.

Jimmy nie chciał o tym słyszeć. Zachowywał się, jakby wierzył, że póki nie zapewnią żonie specjalistycznej opieki, okaże się, że tak naprawdę nie jest bardzo chora. Skoro wystarczy pomoc rodziny i przyjaciół, wszystko będzie dobrze, prawda? A jeśli w domu znajdzie się pielęgniarka, będzie musiał spojrzeć prawdzie w oczy i przyjąć do wiadomości, że nie ma światła w tunelu.

Był uparty jak zwykle i wiele razy kłócili się o to z Emmą.

- Nie będzie żadnej pielęgniarki - powtarzał gniewnie. - Nie ma takiej potrzeby Sam się zajmę mamą.

Szkoda, że tego nie robisz, miała Emma na końcu języka. Wszyscy ci pomagają, ale to ciągle za mało. Wściekła na siebie, że nie powiedziała tego na głos, wyszła. Osiem miesięcy psychoterapii nauczyło ją, że jeśli nie jest w stanie czegoś powiedzieć, najlepiej zrobi, wychodząc.

Dzięki temu ojciec wie, że jest zła, nawet jeśli nie zdołała powiedzieć mu tego prosto w oczy.

To jeszcze niewiele, ale już coś. Nalała matce herbaty, pilnując, żeby filiżanka była poza zasięgiem Anne-Marie, póki nie dołała tyle mleka, że napój stał się letni.

Anne-Marie wypiła wszystko duszkiem. Pochlapała przy tym różową bluzeczkę, z której tak się cieszyła, gdy przed laty kupiła ją na wyprzedży.

- Dwadzieścia funtów z pięćdziesięciu! - powtarzała z zachwytem, wymachując bluzeczką z perłowymi guzikami. - Pasuje do mojej szarej spódnicy.

Emma otarła łzy z oczu na wspomnienie tamtych dni. Smutek i zmęczenie walczyły o lepsze. Wygrało zmęczenie. Mama poplamiła dzisiaj już drugą bluzkę. Więcej prania.

Zabierała rzeczy rodziców do siebie i prała, bo Jimmy nie najlepiej radził sobie z pralką. Robiło się tego coraz więcej i Emma nie nadażała. Anne-Marie zawsze była dumna ze swego wyglądu, zawsze czysta, starannie ubrana i umalowana. Emma chciała, żeby tak było dalej, bez względu na wszystko.

Przez chwilę zastanawiała się, czy pielęgniarka będzie nakładała matce makijaż. Pewnie nie. Makijaż będzie na samym końcu jej listy, a przecież jest ważny.

Potrzebna im pielęgniarka, ktoś wykwalifikowany, kto przejmie większość obowiązków. To kosztuje, ale ojciec nie jest biedny. Stać go na to. Zresztą to nie brak pieniędzy leżał u podstaw jego sprzeciwu.

- Halo, jest tam kto? - zawołała Kirsten z przedpokoju. - To ja.
- Jesteśmy w kuchni.

Weszła do kuchni, rzuciła żakiet na krzesło i usiadła obok Emmy. Nie przywitała się z matką.

Ostatnie miesiące bardzo ją zmieniły. Nie była już beztroską żoną bogatego mężczyzny, którą stać na niekończące się zabiegi upiększające i która nie musi pracować.

Dzisiejsza Kirsten pracowała jako recepcjonistka w gabinecie dentyścym i nie miała pieniędzy na manikiur dwa razy w tygodniu i częste wizyty u fryzjera. Nosiła dłuższe włosy, miała odrosty i rozmazany makijaż - w pracy nie ma czasu, żeby co pięć minut latać do łazienki i przegłądać się w lustrze. Po starej Kirsten został tylko pierścionek zaręczynowy i ekstrawagancka torebka z tygryziej skóry.

Patrick walczył o każdego centa ze swego majątku, ale nie zażądał zwrotu pierścionka zaręczynowego.

- Jak tam, siostrzyczko? - zwróciła się do Emmy. - Nie macie przypadkiem zaparzonej herbatki?

- W dzbanku - mruknęła Emma. - Przywitaj się z mamą.

- Cześć, mamó. - Kirsten powiedziała to bez żadnego uczucia. Wstała skrzywiona, jakby przebiegła maraton, i zajrzała do dzbanka. - Zimna - stwierdziła. - Zaparzę świeżej.

- Po co przyszłaś? - zapytała Emma, zirytowana, że Kirsten lekceważy matkę.

- Tak sobie. Pomyślałam, że wpadnę do was, zorientuję się, jakie macie plany na wieczór. Może obejrzymy jakiś film?

Emma powstrzymała się, by nie warknąć, że jeśli Kirsten ma tyle wolnego czasu, mogłaby częściej zajmować się matką. To nie w porządku. Wszyscy mają swoje życie, tylko o matkę nie ma się kto troszczyć.

Od rozpadu małżeństwa Kirsten była bardzo samotna. Nie stać jej było na utrzymywanie starych znajomości. Nie mogła już wyskoczyć na zakupy do Nowego Jorku czy na narty do Meribel, nie mogła sobie pozwolić na długie spotkania w drogich restauracjach. Wstydziała się odnowić stare znajomości z czasów, gdy jeszcze nie obracała się w wyższych sferach, i tak została sama. Coraz częściej odwiedzała Emmę i Pete'a z kasetą wideo i paczką chipsów pod pachą.

- Nie mamy żadnych planów - powiedziała Emma. - Pete pracuje do późna, chcieliśmy zamówić coś na wynos. Dołączysz się?

- Czemu nie?

Emma zaprowadziła matkę na górę. Musiała zmienić jej bluzkę, a było to trudne zadanie. Anne-Marie nie miała nic przeciwko temu, że się ją karmi i czyści zęby, choć większość pasty łykała. Ale przebieranie działało na nią jak płachta na byka. Ledwie Emma rozpięła jeden guzik, matka wpadła w szał, wyrwała się i krzyczała, jakby ją obdzierali ze skóry.

- Jimmy! - wrzeszczała. - Nie pozwól jej!

- Mamó - Emma mówiła najspokojniej, jak umiała i starała się uchylać przed ciosami. - Przecież tylko zmieniam ci bluzkę. Nie lubisz chodzić w brudnych rzeczach...

- Jimmy! - matka krzyczała coraz głośniej.

No tak, kiedy jest potrzebna, cholerna Kirsten przepada jak kamień w wodę, złościła się Emma.

- Jimmy, Jimmy, Jimmy...

Trzaśnięcie drzwi wejściowych i ciężkie kroki na schodach.

- Co ty jej robisz? - Jimmy O'Brien stanął w drzwiach, posępny jak chmura gradowa.

Anne-Marie usłyszała go i darła się jeszcze głośniej.

- Jimmy, Jimmy! Pomocy!

- Jestem tutaj - krzyknął, chciał przytulić żonę. Ona jednak, zdeenerwowana, odepchnęła go.

- Co jej zrobiłaś? - spojrzał na Emmę oskarżycielsko.

Zmęczona długim dniem, ciężko opadła na łóżko.

- Nic - powiedziała cicho. - Chciałam zmienić jej bluzkę, bo ją poplamiła przy jedzeniu.

- Cholerna bluzka nie ma znaczenia! - wrzasnęła.

W Emmie coś pękło. Zwolniła się wcześniej z pracy, żeby ojciec mógł iść do biura. Poprzedniego dnia pracowała do dziewiątej, żeby choć częściowo odrobić dzisiejszą nieobecność. Miała za sobą męczące popołudnie z matką: Anne-Marie udało się rozlać całą butelkę płynu do czyszczenia tkanin.

Producenci kłamią, butelki wcale nie mają zabezpieczeń przed dziećmi.

Kiedy teraz patrzyła na ojca, czuła, jak ogarnia ją wściekłość.

- Bluzka jest bardzo ważna - powiedziała spokojnie, żeby jeszcze bardziej nie zirytować matki. - Mama zawsze starała się ładnie wyglądać. To dla niej ważne. Problem w tym, że nie umiem przebierać chorzych. Tylko wykwalifikowana pielęgniarka poradzi sobie z takim zadaniem, nie irytując jej. I ty dobrze o tym wiesz.

Jimmy chciał jej przerwać.

- Posłuchaj no... - zaczął.

Ale Emma wstała i wyszła, nie zwracając uwagi na wściekłe wrzaski ojca.

- Masz wracać natychmiast, młoda damo, natychmiast, słyszysz?! - ryczał na całe gardło.

Kirsten podsłuchiwała na dole.

- Gratulacje, siostrzyczko. Zakładam, że wychodzimy?

Emma tylko skinęła głową. Nie była w stanie mówić.

Przed domem wysiadła z samochodu i czekała na Kirsten. Czuła, jak narasta migrena. Była na siebie wściekła, że okazała się takim tchórzem, że nie powiedziała ojcu, gdzie może sobie wsadzić swoje złośliwości, złe wychowanie i brak szacunku i wdzięczności za to wszystko, co dla niego robi. Miała okazję, była zła, ale nie zrobiła tego. Jest do niczego. Głupia, słaba, po prostu żałosna. Nie zaimponuje Elinor.

- Strasznie wyglądasz - stwierdziła Kirsten, wysiadając ze swojego wozu. Taszczyła, jak zwykle, wielką torbę chipsów i tabliczkę czekolady.

- Mam nadzieję, że nie zadzwonisz zaraz do taty i nie przeprosisz go, że wyszłaś w połowie jego tyrady. Nie lubi tracić widowni na początku spektaklu. Fe, niegrzeczna córka.

Uśmiechnęła się lekko. Kirsten zawsze złagodzi napięcie swoją bez troską.

- Dzisiaj nie zrobię już nic poza obejrzeniem filmu, który przywiozłaś, i zjedzeniem pizzy.

Pete tylko spojrział na napiętą twarz Emmy i zdecydował, że wszyscy idą na kolację.

- Chrzanić budżet - powiedział, biorąc Emmę w ramiona. - Musisz się odprężyć. Nawet nie pytam, co się stało.

Poszli do małej włoskiej knajpki i zjadali się makaronem domowej roboty, pili pyszne dojrzałe czerwone wino i poprawili darmowym kieliszczkiem grappy - Kirsten robiła do właściciela maślane oczy, aż przysiadł się do nich i gawędził, nie odrywając od niej wzroku.

Kiedy Emma wracała z toalety, poruszając się chwiejnym krokiem, podsłuchiwała fragment ożywionej rozmowy Pete'a i Kirsten. Czekali na rachunek.

- Najchętniej rozkwaśniębym mu nos - mówił Pete z nietypowym u niego jadem w głosie. - Kiedy pomyślę, ile czasu spędza z matką, opiekuje się nią, robi wszystko, do jasnej cholery... Ze względu na Emmę nic nie mówię, niepotrzebny jej jeszcze jeden drań w życiu, ale pewnego dnia wygarnę waszemu ojcu, co o nim myślę!

- Nie mam absolutnie nic przeciwko temu - odparła Kirsten lekko. - Nie wysunęłabym jego kandydatury do Pokojowej Nagrody Nobla, a przecież mnie uwielbia. Problem w tym, że Emma musi sama się z nim zmierzyć. Nie wiem, czemu jeszcze tego nie zrobiła.

Mimo dużej ilości alkoholu Emmie zrobiło się smutno. Nie ma sensu pić, żeby poprawić sobie humor. Tylko się oszukuje. Pomoże jedynie szczerza rozmowa z ojcem. Ale w tej sytuacji nie mogła się z nim kłócić. To byłoby okrutne. W końcu nie jego wina, że przed laty nie zdobyła się na odwagę. Teraz to byłoby jak kopanie leżącego.

- Czy mam wrócić do łazienki, żebyście mogli dalej o mnie plotkować? - zażartowała, wracając do stolika. Pocałowała Pete'a w czubek głowy.

- Przepraszam, kochanie, rozmawialiśmy o twoim cholernym ojcu - Pete skrzywił się skruszony. - Wiem, nie chcesz, żebym się wtrącał, ale chciałbym mu coś powiedzieć. Nie ma prawa tak cię traktować, dłużej tego nie zniosę. Pracujesz jak niewolnica. Najwyższy czas, żeby ktoś mu się sprzeciwił.

- Och, Pete - westchnęła. - Biedny tata ma teraz tyle na głowie, no wiesz, w związku z mamą. Na razie nie można mu nic powiedzieć. Pozwolisz, że ja się tym zajmę?

Kirsten i Pete jednocześnie wzruszyli ramionami.

Następnego dnia Emma niechętnie pojechała do rodziców. Był to piękny słoneczny poranek bez jednej chmury na niebie. W takie dni najchętniej siedzieli z Petem w ogródku, rozkoszowali się słońcem, czytali niedzielne dodatki do gazet i pichcili coś szybko, najczęściej jajecznicę. Albo jechali do sklepu ogrodniczego i wybierali roślinki, które tym razem zamordują. Oboje nie mieli pojęcia o ogrodnictwie; ich małe ogródki były, delikatnie mówiąc, zaniedbany. Nawet petunie, które, jak zapewniał sprzedawca, wszystko zniosą, uschły smętnie. Tylko małe fioletowe kwiatki, jak podejrzewała Emma, chwasty, radziły sobie doskonale: zajęły już skalny ogródek, otoczyły wrzosa i szykowały się do przejęcia następnej grządki.

Ona tymczasem jedzie do rodziców i spędzi trzy godziny z matką, bo ojciec umówił się na lunch ze starym znajomym. Miała wyrzuty sumienia, że myśl o tym dniu napawa ją niechęcią.

Jak sobie radzą pielęgniarzki? Zastanawiała się na czerwonym świetle. Opuściła okno, rozkoszowała się ostatnimi łykami świeżego powietrza - przy Anne-Marie wszystkie okna muszą być szczelnie zamknięte. To straszna praca, zajmować się ludźmi, których umysł zanika, którzy oscylują między euforią a rozpaczą.

Może jest inaczej, kiedy nie jesteś spokrewniona z chorym, rozmyślała. Może nie cierpi się tak bardzo, kiedy krzyczy na ciebie pacjent chory na Alzheimera. Jeśli to tylko pacjent, a nie matka, która opiekowała się tobą w dzieciństwie...

Ojciec czekał przy drzwiach, w płaszczu, z kluczykami do samochodu w garści. Był zły.

- Spóźniłaś się - stwierdził, mijając ją. - Nie dałem jej jeść. Ma zły dzień.

Zły dzień to mało powiedziane. Emma zastała matkę w sypialni. Dookoła wałała się zawartość wszystkich szaf i szuflad. Skarpety, koszule, bluzki, spodnie, chusteczki poniewierały się w całym pokoju. Anne-Marie, ubrana jedynie w majtki i rajstopy, układała na łóżku piramidę z ubrań, ostrożnie kładła jedno na drugim, aż sterta rozwałała się, a ona zaczynała od początku.

Ze spletanymi i brudnymi włosami, bez makijażu i bez biżuterii matka wyglądała okropnie. Nie miała kolczyków ani pierścionka zaręczynowego i obrączki ślubnej, których nigdy nie zdejmowała. Dawniej nie

wychodziła z sypialni bez kolczyków i naszyjnika. A takie zmierzwione włosy Emma widziała tylko raz - gdy matka chorowała na grypą.

Dwie godziny i kilka awantur później Anne-Marie miała na sobie granatową sukienką i makijaż. Jasne włosy lśniły, starannie wyszczotkowane. Podziwiała się w lustrze, a Emma szykowała lunch.

Po złym nastroju Anne-Marie nie został nawet ślad. Śpiewała coś pod nosem, czasami zaglądała do kuchni i czule uśmiechała się do córki. Zjadły lunch i przeszły do salonu. Emma włączyła telewizor. Zaczynał się stary czarno-biały film.

- Chodź, mamó, obejrzymy - poklepała poduszki kanapy obok siebie.

Matka posłusznie usiadła. Coraz rzadziej oglądała telewizję, ale lubiła stare filmy, zwłaszcza musicale. Skuliła się obok Emmy i patrzyła ciekawie.

Gdyby ktoś je teraz zobaczył, uznalby, że to wzruszający widok - matka i córka razem oglądają telewizję, pomyślała Emma z goryczą. A rzeczywistość jest zupełnie inna. Czy koło niej kiedyś usiądzie jej córka? Może nie.

Ale dlaczego? Wyprostowała się gwałtownie. Co ją powstrzymuje? Przecież nie wie, czy jest bezpłodna czy nie. Dopóki się o tym nie przekonają, czemu rozpaczać? Życie jest zbyt cenne, by je marnować. Anne-Marie zanuciła swoją własną piosenkę bez melodii. Emma pogłaskała ją po ramieniu. Jeśli potrzebowała dowodu, że życie jest zbyt cenne, by je marnować, ma go tutaj, w postaci własnej matki. Anne-Marie nie jest stara, mogłaby się cieszyć życiem jeszcze przez wiele lat. Tymczasem stała się więźniem strasznej choroby i jej życie właściwie dobiegło końca.

Emma nie chce zmarnować reszty swojego życia. Nie dopuści do tego. Nagle pełna entuzjazmu, uznała, że musi natychmiast powiedzieć Pete'owi.

Długo trwało, zanim podniósł słuchawkę.

- Zasnąłem nad gazetą - przyznał. - Jestem bardzo zmęczony.

Emma się uśmiechnęła.

- Co jest, Em? - ziewnął. - Coś z mamą?

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, że zrobimy testy, żeby się przekonać, czemu nie zachodzę w ciążę?

- Tak-słyszała wahanie w jego głosie.

- Nadal tego chcesz? - Jej serce waliło coraz głośniej.

- Oczywiście. - Nie pamiętała, by kiedykolwiek mówił równie pewnym głosem.

- W poniedziałek rano idę do lekarza - oznajmiła. - Chcę mieć dziecko, Pete. Byłam głupia, odwlekając to tak długo, ale myślałam, że to nieodpowiedni moment, wobec choroby mamy.

- Och, Em, głuptasie, kocham cię - mruknął. - Czemu zmieniałaś zdanie?

- Dzisiejszy dzień z mamą - wyjaśniła. - Siedzę tu i patrzę, jak ona gaśnie, i nagle zrozumiałam, że życie przecieka mi między palcami, bo bałam się spojrzeć prawdzie w oczy. Jeśli nie mogę mieć dzieci, zaadoptujemy. Wszystko jest lepsze od bezczynności. Byłam taka głupia.

- Nie osądzaj się zbyt surowo, Em - poprosił.

- Nie, ale marnowałam czas. Pomyśl, na adopcję dziecka czeka się kilka lat; zmarnowałam je.

- Najpierw przekonajmy się, czy nie możemy mieć własnego. Czytałam dużo o zapłodnieniu *in vitro*. Szanse powodzenia są w granicach dwudziestu procent, więc jak się nie uda za pierwszym razem, spróbujemy jeszcze raz i jeszcze, do skutku.

- To dosyć drogie - zauważyła.

- Jeśli będzie trzeba, sprzedam swoje ciało - zażartował. - Poważnie, kochanie, jakoś sobie poradzimy. To najważniejsze na świecie. W najgorszym razie się zapożyczymy.

- Jesteś cudowny, wiesz o tym?

- Jasne. Wracaj do domu, muszę przeciwwić trafianie do papierowego kubeczka!

Jimmy wrócił grubo po siódmej. Emma była zmęczona. Nie mogła się doczekać poniedziałku, bardzo chciała wiedzieć, co z nią jest nie tak. Wierzyła, że poradzą sobie z każdą chorobą. Zostaną rodzicami, to jedno jest pewne.

Jimmy był w złym humorze.

- Nie zrobiłaś mi kolacji? - oburzył się, gdy się okazało, że w piecyku nie czeka nic smakowitego.

Emma przyglądała mu się chłodno. Nie do wiary.

- Nie - odparła spokojnie. - Nie zrobiłam ci kolacji, bo myślałam, że wrócisz dużo wcześniej.

- Świetnie. Wychowałem cię, a ty nawet nie zrobisz mi nic do jedzenia. Posłuchaj, moja panno...

- Nie - wpadła mu w słowo. - To ty posłuchaj. Mam wolne popołudnie, ale spędziłam je tutaj, z mamą, a pierwsze, co robisz po powrocie, to na mnie krzyczysz. Tak nie można.

- Nie waż się tak do mnie mówić, młoda damo! - wrzasnął Jimmy.

Po raz pierwszy w życiu Emma się nie przestraszyła. Dzisiaj jest dzień decyzji. Skoro zdecydowała się zrobić coś w sprawie dziecka, zrobi porządek i z tym.

- Nie waż się do mnie mówić takim tonem - oznajmiła lodowato. - Bo jeśli nie przestaniesz, wyjdę stąd i nie wrócę, i wtedy przekonasz się na własnej skórze, ile dla ciebie robię.

- Bzdury!

- Kiedy będziesz musiał sam zajmować się mamą, sprzątać cały dom, gotować, prać i prasować, może wtedy zmienisz zdanie.

- Kirsten mi pomoże! - syknął.

- Kirsten nawet palcem nie kiwnie - przypomniała mu Emma. - Ma swoje życie i już dawno nauczyła się, jak ci odmawiać. Ja dopiero teraz.

Wzięła torebkę.

- Nie wrócę, póki mnie nie przeprosisz.

Jimmy złagodniał.

- A co z mamą?

- Musimy pomyśleć o fachowej opiece, czy ci się to podoba czy nie.

- Nie podoba mi się - burknął. - Taka jest moja decyzja.

- Niestety, to nie zależy tylko od ciebie, także ode mnie i od Kirsten.

Doszliśmy do momentu, kiedy sami nie dajemy sobie rady. Albo sprowadzisz pielęgniarkę do domu, albo oddamy mamę do specjalnego zakładu. I przestań się nade mną pastwić, tato. To już nie działa. - Nie zwracała uwagi na jego gniewne stękanie. - I nigdy więcej nie waż się tak do mnie mówić. Opiekuję się mamą, bo ją kocham, nie ze względu na ciebie.

Wracała do domu szybko, jakby chciała pozbyć się nadmiaru energii.

Czekała, aż pojawią się wyrzuty sumienia, poczucie winy, że zawiodła wszystkich, którzy ją kochają. Dobre córki nie kłócą się z rodzicami. Nie miała jednak wyrzutów sumienia. Była wolna.

Przez całe życie tłumiła gniew i pretensję. Gniew jest zły, mało kobiecy, sprawia, że nikt cię nie lubi. Tak przynajmniej myślała.

Dzisiaj przekonała się, że to nieprawda. Pete, jej ukochany, będzie dumny, że postawiła się ojcu. Czy to ważne, że Jimmy jest na nią zły? Był na nią zły, odkąd się urodziła. Teraz dała mu powód, chyba po raz pierwszy w życiu. Zresztą on potrzebuje jej bardziej niż ona jego. Właściwie wcale nie jest jej potrzebny. Co za ulga.

Pete szykował w kuchni kolację. Rzuciła mu się na szyję.

- Nie zmieniłaś zdania, prawda? - zaniepokoił się.

- Skądże. Co to był za dzień.

Następnego dnia długo leżeli w łóżku.

- Fajnie jest mieć cię tylko dla siebie - Pete przytulił ją.
 - Ostatnio dużo czasu spędzałam z mamą- westchnęła. - Mam nadzieję, że tam wszystko w porządku. Ale trochę mnie sumienie gryzie...
 - Za wszystko odpowiedzialny jest twój ojciec - zauważył Pete. - Doprowadził cię do ostateczności. Może teraz przejrzy na oczy.
 - Nie poradzi sobie, ale nie będzie chciał się przyznać - mruknęła.
 - To już jego sprawa. Emmo, nie możesz brać na siebie problemów całego świata. Przez całe życie byłaś na każde jego zawołanie. To, że chcesz żyć własnym życiem, nie znaczy, że jesteś złą córką.
- Przytuliła się do niego, rozkoszowała jego bliskością.
- To smutne - szepnęła. - Współczuwałabym każdemu na jego miejscu, ale jemu nie mogę.
 - Myśl tylko o mamie - poradził Pete. - Musimy zadbać o dobrą opiekę dla niej. Ale nie pozwól, żeby ojciec tobą manipulował.
 - Nie pozwolę.

Koniec końców w sprawę włączyła się Kirsten.

- Nie mieści mi się w głowie, że to robisz - stwierdziła Emma tydzień później. Jechały do hotelu, na spotkanie z ojcem i kandydatami na opiekunów Anne-Marie.

- Ciągłe do mnie dzwoni - narzekała Kirsten. - Najpierw okazało się, że nie umie obsługiwać pralki. Wczoraj zepsuł odkurzacz, a o kuchence mikrofalowej zapomnij. Powiedziałam, że nie jestem jego służącą i musi się nauczyć radzić sobie sam. I - uśmiechnęła się pod nosem - wygarnęłam mu, co o nim myślę, że cię tak potraktował. Powiedziałam, że byłaś o wiele lepszą córką ode mnie i że nie zasłużył, żebyś się do niego odzywała.

- Naprawdę? - Emma nie ukrywała podziwu. - To miło z twojej strony.

- Przecież jeśli będzie miał ciebie, da mi spokój. Miałam w tym swój interes - wyjaśniła.

Emma parsknęła śmiechem. Kirsten nigdy się nie zmieni.

- Miałam straszny tydzień - oburzyła się Kirsten. - Musiałam się go jakoś pozbyć. W każdym razie udało się. W końcu zrozumiał, że sam nie da sobie rady z opieką nad mamą, przede wszystkim dlatego, że ty tak dużo robiłaś.

Jimmy wydawał się mniejszy i drobniejszy, gdy go zobaczyły w hotelu. Emma poczuła dobrze znane wyrzuty sumienia, że zostawiła go samego z Anne-Marie.

Kirsten dźgnęła ją w bok.

- Nie waż się mazać i go przepraszać - syknęła. - To on ma cię przeprosić, nie ty jego. Choroba mamy nie jest usprawiedliwieniem dla takiego zachowania.

Przepraszenie nie było mocną stroną Jimmy'ego.

- Cześć, dziewczęta - mruknął. - Umówiłem się z nimi w barze. Chodźmy tam.

- Nie masz nic do powiedzenia, tato? - zainteresowała się Kirsten. Po raz pierwszy spojrzął Emmie w oczy.

- Przepraszam - burknął. - Byłem wobec ciebie niesprawiedliwy tamtego dnia.

- Przyjmuję przeprosiny - odparła sucho. Więcej nie dostanie. Ojciec nie jest w stanie zrozumieć, że chodzi o więcej niż tamten dzień. To trochę jej wina, za długo była ofiarą. Pozwalała mu na to. To nic, teraz najważniejsze, żeby się wspólnie opiekowali Anne-Marie.

- Chodźmy do baru - zaproponowała dziarsko. Chciała mieć to już za sobą. Kiedy już załatwiła sprawę z ojcem, nie mogła się doczekać, kiedy zdradzi Kirsten nowinę: starają się z Petem o dziecko i nic ich nie powstrzyma, nic a nic.

Wyniki okazały się zadziwiające. Oboje są zdrowi. Liczba plemników w spermie Pete'a jak najbardziej mieści się w normie, a Emma nie ma zrostów ani żadnych innych powodów, dla których nie mogłaby zająć w ciążę.

- Badania nie wykazały żadnych nieprawidłowości - powiedział lekarz. - Ale to się czasem zdarza, taka niewytłumaczalna bezpłodność.

To było niejasne, nieprzekonujące. Emmie nie mieściło się w głowie, że dzisiaj, gdy przeszczepia się wszystkie możliwe organy, myszom rosną ludzkie uszy na grzbiecie, jest jeszcze coś takiego jak niewytłumaczalna bezpłodność. Lecz miało to i swoją dobrą stronę; nie straciła najcenniejszej rzeczy: nadziei.

- Niektórzy w państwa sytuacji czekają i mają nadzieję, ale ponieważ robili to państwo już dosyć długo, radziłbym spróbować zapłodnienia *in vitro* - poradził lekarz.

Na zewnątrz Pete wziął ją za rękę i ścisnął, aż zabolało. Widziała, jak zagryza usta; bał się na nią spojrzeć, bał się, że wpadnie w rozpacz. A ona odczuła ulgę. Jakby zdjęto jej z pleców wielki ciężar. Nie wiadomo, dlaczego nie może mieć dzieci, to nie jej wina. Takiej powiedzieli mądrzy ludzie. Wszystko rozgrywa się poza nią.

Po latach obaw wreszcie poznała prawdę. I doznała katharsis. Bo niewytłumaczalna bezpłodność daje nadzieję.

- Pete... - spojrzała na niego, pogłaskała po policzkach. - Nie martwię się, skarbie. Naprawdę.

Nie wierzył, widziała to. Nie uśmiechał się, martwił się za nich dwoje. Ale Pete, w przeciwieństwie do niej, nie czytał wszystkich możliwych artykułów i książek o bezpłodności. Myślał, że ten wynik to najgorsze, co mogło ich spotkać. Mylił się.

- Nie rozumiesz, Pete? Możemy zacząć od nowa - tłumaczyła. - Zmarnowaliśmy tyle czasu, nie rozmawiając na ten temat, nie rozmawiając o przyszłości. Ale teraz - uśmiechnęła się radośnie - okazało się, że wszystko jest w porządku. Rozumiesz? To właśnie oznacza niewytłumaczalna bezpłodność. Nic nie widzą. Być może nigdy nie znajdę w ciąży, ale może będzie inaczej. Spróbujmy zapłodnienia *in vitro*. Jak sam mówiłeś, szansa wynosi dwadzieścia procent. Możemy zaryzykować.

Przez chwilę przyglądał się jej, a potem rozpromienił w uśmiechu. Wziął ją na rękę, okręcił, pocałował mocno.

- Kocham cię - krzyknął na cały głos.

Przytuliła się do niego, odrzuciła głowę do tyłu i zawtórowała głośnym śmiechem. Nie przejmowała się gapiami, którzy patrzyli na nich z zaciekawieniem.

- Dokąd mamy się zwrócić? - zapytał Pete. - Chodźmy tam, zaraz, teraz, natychmiast!

Rozdział 29

Claudia rzuciła w Hannę smoczkiem. Hanna, ze słuchawką między ramieniem a uchem, podniosła smoczek, wyparzyła i podała córeczce. Widząc minę matki, Claudia, bardzo mądra jak na czteromiesięczne dziecko, postanowiła nie powtarzać numeru z ciskaniem. Zamrugała tylko rozkosznie i na widok jej brązowych oczu, tak podobnych do oczu ojca, Hannie przeszła cała złość. Zanim Claudia się urodziła, Hanna uważała smoczki za wymówkę leniwych matek. Jej dziecko nie będzie miało smoczka, o nie. Po dwóch miesiącach ciągłych ryków córeczki posłuchała rady miłej sąsiadki, schowała zasady do kieszeni i pobiegła do drogerii po opakowanie liczące sześć sztuk.

- Święty spokój i zasady to dwie zupełnie różne rzeczy - powiedziała sąsiadka. - Ja też się zaklinałam, że nie będę używała smoczków, a proszę spojrzeć na moją gromadkę. Chyba nawet maturę zrobią ze smoczkami w buzi. - Hanna jej posłuchała i od tej pory zapanował spokój.

Claudia ssała smoczek i ciekawie przyglądała się matce.

- Potrzebna nam jeszcze jedna kelnerka - powtarzała do szefa firmy A&E Catering. - Jedna na pewno sobie nie poradzi. Przyjdzie tu dzisiaj pięćdziesiąt osób, doskonale pan o tym wie. Jedna kelnerka to kpina.

Jak zwykle wciskał jej kit. Hanna zamknęła oczy. Nie pojmowała, czemu Feliks się upierał, żeby korzystali akurat z tej firmy cateringowej. Rekomendacja najbliższego przyjaciela, to chyba trochę za mało.

- Hanno, byłem na przyjęciach, które obsługiwali, uwierz mi - powtarzał.

Jako że ona na tych przyjęciach nie była, bo dziewczyna do dziecka nie radziła sobie z chorą Claudią, nie miała wyjścia. *Au pair* prawie z niczym sobie nie radziła. Podobnie jak firma A&E Catering. Feliks z dumą opowiadał o bufecie owoców morza i malinowej tarcie na deser, jak na poprzednim przyjęciu. Niestety, w firmie dowiedziała się, że kobieta od owoców morza jest na urlopie; czy wystarczą im kanapki z serem, szynką i placek z owocami?

Dalej, problem z personelem. Okazało się, że firma przyjęła za dużo zamówień i na ich przyjęcie mogła dostarczyć tylko jedną kelnerkę. Hanna, która uważała, że to wszystko jest i tak za drogie i najchętniej odwołałaby całe przyjęcie, nie miała zamiaru usługiwać gościom, a tak się to skończy, jeśli teraz nie postawi na swoim.

- Proszę posłuchać - rzuciła do słuchawki. - Albo dostaniemy dwie kelnerki, albo rezygnuję z państwa usług.

Odłożyła słuchawkę.

- Mercedes! - wrzasnęła.

Mercedes, francuska niania, wyglądała tak, że nadawała się na okładkę „Vogue'a” i wyraźnie zabijała czas, czekając, aż ktoś ją odkryje. Wysoka, szczupła, miała nogi do samego nieba, platynowe włosy, na których mogła usiąść i błękitne oczy, którymi uwodziła chyba od dnia narodzin. Weszła do kuchni, stukając obcasami, piękna jak marzenie w czarnych dżinsach i różowym sweterku.

- *Ouil* - szepnęła.

- Weź Claudię na spacer - poprosiła Hanna. - Muszę jeszcze zadzwonić w kilka miejsc, a mała się niecierpliwi.

- Ale muszę sobie pomalować paznokcie -jęknęła Mercedes.

Paznokcie Hanny były także niepomalowane i prawdopodobnie takie zostaną, tyle ma jeszcze do zrobienia przed przyjęciem, na które uparł się Feliks, przyjęciem, na które ich nie stać.

- Mercedes, błagam - poprosiła. - Jutro dam ci cały dzień wolny.

Przez chwilę wspominała, jak prowadziła biuro, zwalniała i zatrudniała ludzi wedle własnej woli. A teraz musi błagać dziewczynę do dziecka o pomoc. Mercedes powinna pracować sześć godzin dziennie. Pięć dni w tygodniu. Dni i godziny do ustalenia. Niestety, po pierwszym miesiącu, gdy Hanna pocieszała biedną Mercedes, która tęskniła za Marsylią, przekroczyły granicę i zamiast jak szefową, Mercedes traktowała ją jak matkę i zachowywała się chyba tak jak w domu: godzinami wisała na telefonie, była kapryśna i zmienna, i nie trudziła się zmywaniem. Kochała Claudię, owszem, ale nie znosiła przewijania i karmienia. Przekonanie jej, żeby zabrała małą na spacer, stopniem trudności dorównywało chyba manewrom NATO.

Obietnica wolnej soboty zadziałała. Mercedes niczego tak nie lubiła jak przesiadywać w sobotę w Covent Garden z innymi nianiami, pić kawę i wydawać pieniądze od rodziców na uroczę ciuszki Monsoon.

- *Oui* - zgodziła się niechętnie, ale, ponieważ była dobrze wychowana, zaproponowała: - Idź do fryzjera, Anna. Zajmę się Claudią po południu.

Hanna miała ochotę ją ucałować. Jeśli już Mercedes dała się nakłonić do współpracy, był z niej jakiś pożytek.

Tylko Claudii ten plan nie przypadł do gustu. Skrzywiła, się rozpłakała, cisnęła w Mercedes butelką.

Hanna tuliła ją, aż szlochy ustały. Zadumała się nad siłą swego uczucia do córki. Odkąd Claudia przyszła na świat, pokochała ją całą sobą, miłość wybuchła z siłą wulkanu. Kochała każdy ciemny lok na jej głowce, nasłuchiwała każdego oddechu, czuwała przy jej łóżeczku, jakby jej obecność mogła jąustrzec. Aż dziwne, że Claudia jest takim pogodnym, wesołym dzieckiem. Mimo tej miłości postanowiła, że Claudia nie wyrośnie na rozpuszczonego bachora i mała musi się nauczyć, że czasami mamusia wychodzi bez niej.

Dzisiaj bardzo jej się to nie podobało. Przywarła do Hanny i chlipała cichutko.

- Mam nadzieję że nic jej nie jest - zaniepokoiła się Hanna, już gotowa zrezygnować z wizyty u fryzjera.

- Nie, nie - Mercedes wyjęła małą z ramion matki. - Pójdziemy na łąkę, prawda, *ma cheriel*

Oczka małej rozbłyły.

Jest taka śliczna w czerwonym sweterku i miniaturowych ogrodniczkach.

- Idź z Ruth, dobrze? - poprosiła Hanna. Nigdy nie wiadomo, co za świr może podejść do młodej dziewczyny z wózkiem. Miała obsesję na punkcie bezpieczeństwa i była spokojniejsza, jeśli Claudii i Mercedes towarzyszyła niania z przeciwka i jej podopieczny, roczny Henry, który uczył Claudię, jak urządzać awantury w jednej i uśmiechać się błogo w następnej chwili.

- Może powinniśmy sprawić sobie psa - zaproponowała Feliksowi, kiedy przeprowadzili się do Clapham. Claudia jeszcze się wtedy nie urodziła, Hanna wpadła w panikę po tym, jak przeczytała o kobiecie, która uciekała z parku przed wariatem.

- Ależ z ciebie pesymistka - Feliks poklepał ją po brzuchu. - Przecież my to nie Tom Cruise i Nicole Kidman. Nikt nie porwie naszego dziecka.

Mimo tego Hanna wołała, żeby Mercedes nie wychodziła z Claudią sama. Kiedy ona szła z małą na spacer, nie obawiała się niczego; wiedziała, że poradzi sobie z każdym napastnikiem, człowiekiem czy zwierzęciem. Matczyzna miłość daje czasem straszliwą siłę.

Claudia marudziła trochę, gdy nałożyła jej czerwony płaszczyk i czapkę. Był piękny kwietniowy dzień, ale Hanna bała się przeziębienia, a na łące wieje. Kiedy się upewniła, że Claudia jest ciepło ubrana, pomachała im na pożegnanie, i niech Mercedes dzwoni do fryzjera, gdyby coś się działo.

Kilka minut dla siebie to rzadka przyjemność, westchnęła później, idąc do fryzjera. Słońce rozjaśniało białe domki, zapach żonkili uderzał w nozdrza. Dom nie był bynajmniej przestronną willą, którą obiecywał jej Feliks po przeprowadzce do Londynu. Wysoki i wąski, miał piwnicę, dwa pokoje na parterze i trzy malutkie sypialnie na piętrze. Gdyby nie zaadaptowali strychu, nie miała pojęcia, gdzie Feliks trzymałby swoje ubrania.

Mimo wszystko był to ładny domek, a byłby jeszcze ładniejszy, gdyby mieli pieniądze, żeby go urządzić. Wykleili salon tapetą w zielono-kremowy wzór, na którą Feliks się uparł. Była tak droga, że zabrakło na remont brzydkiej, ciemnej kuchni.

Wszystko sprowadzało się do pieniędzy. Feliks nie pracował od dwóch miesięcy, a ponieważ przedtem żyli rozrzutnie, teraz nie mieli gotówki. Był to jeden z powodów, dla których Hanna nie miała ochoty na dzisiejsze przyjęcie.

- Nie rozumiesz, prawda? - złościł się Feliks. - To niezbędne dla mojej kariery. Bill przyprowadzi znanego specjalistę od castingu. To mi pomoże.

Hanna wiedziała, że przegrała. Kariera Feliksa jest najważniejsza, zwłaszcza że z jej kariery nic nie wyszło. Muszą jednak na czymś oszczędzać. Mogliby na przykład obejść się bez Mercedes. Wcale nie chciała pomocy do dziecka, wolałaby sama zająć się Claudią, ale Feliks upierał się, że ludzie „z ich pozycją” zawsze mają kogoś do pomocy. A ona będzie mogła wrócić do pracy, namawiał.

Niestety, nie chciała rozstawać się z dzieckiem, więc praca skończyła się na dwóch przedpołudniach w tygodniu w sklepie organizacji dobroczynnej. Matka nalegała, żeby się tym zajęła, żeby wyszła z domu.

- Nie zamykaj się w czterech ścianach - ostrzegała. - Bez pracy już dawno bym zwariowała.

Hanna spędziła miłą godzinę u fryzjera, czytała gazety, których normalnie nie kupowała, i sączyła słodką kawę. W małym zakładzie zawsze ładnie ją czesali. Feliks farbował się u Nicky Clarka, ale nie stać ich było na takiego drogiego fryzjera dla dwojga.

- A ja myślałam, że jesteś naturalnym blondynem - zaśmiała się i przeczesła palcami jego włosy tamtego dnia, gdy się dowiedziała, że je rozjaśnia.

- Jako dziecko byłem - obruszył się.

Pocałowała go czule.

- Nikomu nie powiem, masz moje słowo.

Był u fryzjera poprzedniego dnia. Teraz umówił się z Bill w Groucho Club. Udawał, że jest bogaty i spokojny, tymczasem miał debet na koncie i znikome szanse na pracę. Bill bardzo lubił alkohol i Hanna modliła się, by nie zaczęła pić przed przyjęciem. Jeśli przyjdzie pijana, zacznie podszczypywać wszystkich mężczyzn. Bill zużywała mężczyzn szybciej niż Claudia pieluszki. Cóż, przynajmniej jeśli przychodzi z kimś znanym, będzie się kontrolowała. Miejmy nadzieję.

Pod wpływem impulsu Hanna weszła do drogerii i kupiła sobie czerwoną szminkę i lakier do paznokci. Ostatnio bardzo się zaniedbała, chodziła po domu w spranych dżinsach, nie malowała się, nie lakierowała paznokci. Czasami się dziwiła, że ma jeszcze siłę się uczesać. A Feliks jest taki kochany, nigdy nie narzeka, gdy ona kładzie się spać w powyciąganej bluzie, a nie w jedwabnym cudzeńku, zaprojektowanym, by je z niej zerwać.

No, ale wiedział, jak bardzo zmęczyły ją początki. Claudia nie sypiała dłużej niż dwie godziny. Hanna była wykończona.

Tego wieczora przypomni Feliksowi, że ożenił się z piękną, seksowną kobietą. Uśmiechnęła się pod nosem. Po przyjęciu zabierze go na górę i uwiedzie zmysłowo, powoli, jak lubił. Oczywiście, o ile Claudia zaśnie.

- A oni po co? - dziwił się Feliks. Zaciągnął Hannę do kuchni, gdy wpuściła Freddie i Michelle, sąsiadów.

- To nasi sąsiedzi - szepnęła zdenerwowana. - A sąsiadów trzeba zapraszać na imprezy, chyba że chcesz wypowiedzieć im wojnę. Jeśli Bill się zaleje i będzie biegała nago z różą w tyłku i whisky w garści, lepiej mieć ich po naszej stronie, nie uważasz?

Skrzywił się. Nie miał nic do powiedzenia. Bill przyszła z nim z klubu później niż obiecała i bez znanego specjalisty od castingu. Feliks był lekko wstawiony (był zbyt ambitny, by upijać się w trupa), za to Bill ledwo trzymała się na nogach. Hanna była ekspertem w tych sprawach, Podałajej mocną kawę, wysłała do ogrodu i kazała Feliksowi nakarmić ją hiszpańską szynką, którą właśnie przywiozła firma cateringowa. Od tego czasu minęła godzina. Powoli schodzili się goście. Najpierw zjawili się sąsiedzi, wszyscy mieli małe dzieci i przychodzili wcześniej - maluchy lubią płakać o piątej nad ranem, więc do tego czasu rodzice muszą się choć trochę wyspać.

- Porozmawiaj % nimi - syknęła Hanna do męża, który podziwiał swoją urodę w srebrnym półmisku.

- Moich jeszcze nie ma - szepnął, poprawiając kołnierzyk brązowej koszuli, która podkreślała odcień jego oczu i złotą opaleniznę.

- Chcesz powiedzieć, że nudni sąsiedzi to moi goście, a twoi to cudowna brać aktorska? - zachnęła się.

- Nie denerwuj się. Porozmawiam z nimi. Ale obiecaj, że w odpowiedniej chwili pospieszysz mi na ratunek.

Hanna poszła za nim z winem i obserwowała, jak wita się z Freddie i Michelle, jakby byli najbardziej oczekiwanymi gośćmi na przyjęciu. Michelle zarumieniła się, kiedy pocałował ją w policzek, jakby była ładniejszą siostrą Claudii Schiffer, a nie szeregową pracownicą banku, która skarżyła się Hannie, że już nie może patrzeć na niskokaloryczne spaghetti.

- Freddie! - uśmiechnął się Feliks. - Kiedy w końcu zagramy w squash? Obiecałeś, że się umówimy.

Jest taki czarujący, przemknęło jej przez głowę. Wszyscy go lubią, zdaje się rozświetlać cały pokój, nie mówiąc już o oczach kobiet. Nic dziwnego, że takie wrażenie robi na ekranie.

Jak to ujęto w jednej recenzji, w której sceptycyzm mieszał się z pochwałami:

Feliks Andretti przyciąga jak magnes, ilekroć pojawia się na ekranie. Ma zadatki na gwiazdora, ale czy na aktora? Czas pokaże. W każ-dym razie miejcie go na oku.

Hanna była załamana tą recenzją. Bała się. Od początku obawiała się, że Feliks jest tak przystojny, że osiągnie pewien szczebel kariery i nie pójdzie ani kroku dalej po prostu dlatego, że jest kiepskim aktorem mimo urody idola nastolatków. A przecież marzy mu się sukces komercyjny i artystyczny. Ta recenzja potwierdzała jej obawy, ale Feliks i Bill nie posiadali się z zachwytem.

- Co tam aktorstwo - zachnęła się Bili, gdy oblewali recenzje w drogiej knajpie na King's Road. - Będziesz gwiazdą, mały. A o to w tym chodzi.

Hanna stała w progu i obserwowała, jak jej mąż świeci gwiazdorskim blaskiem.

Freddie i Michelle chichotali jak nastolatki z jego dowcipów, pozostali goście ciągnęli do niego jak ćmy do ognia.

- Komu pani niosła to wino? - zainteresowała się kelnerka.

A&E Catering załatwili jednak dwie kelnerki - jedną sympatyczną i profesjonalną, druga nadętą, obrażoną dziewczynę, która zachowywała się, jakby oderwano ją od szczególnie zabawnego odcinka *Przyjaciół*.

Odezwała się ta pochmurna.

- Poradzę sobie - Hanna uśmiechała się w nadziei, że kelnerka odpowie tym samym. - Zaniosę je.

- Proszę bardzo - burknęła kelnerka i odeszła.

- Kochanie! - Feliks posłał jej błagalne spojrzenie. - Chodź tutaj, bo umrzemy z pragnienia.

Podeszła do małej grupki. Feliks wręczył wszystkim kieliszki i objął ją ramieniem.

- Czy nie jest piękna? - zapytał dumnie. - Nie wiem, co bym bez niej zrobił.

- Piękna, piękna - zawtórowali akolici.

Zarumieniła się. Nie znosiła, kiedy to robił, czuła się wtedy jak przedmiot. Kiedyś na przyjęciu, gdy była w zaawansowanej ciąży, Feliks obnosił się z nią jak z amuletem, jakby chciał powiedzieć: Widzicie, jaki ze mnie dobry mąż i ojciec? Jak się troszczę o moją żonę?

Oczywiście, naprawdę wcale tego nie robił. Była wtedy w złym stanie psychicznym, jej hormony szalały.

Teraz znowu miała takie wrażenie, że jest tylko częścią, jego życiorysu, tak samo jak występy w mało znanych teatrach, rok w Ameryce i współczesny *Hamlet* w Chicago. Ma swoje miejsce w jego CV - jest śliczną irlandzką żoną, która zajmuje się ich córeczką i dba o piękny przytulny domek w Clapham. Wszyscy aktorzy mają taki azyl, bez którego „po prostu nie daliby sobie rady”, jak powtarzają wszystkim dziennikarzom.

- Ktoś dzwoni - rzuciła pośpiesznie.

- Naprawdę? - Michelle się zdziwiła. - A ja nic nie słyszałam.

Na szczęście dzwonek rozległ się w tym momencie.

- O, znowu - skłamała Hanna.

Freddie śmiał się z żony.

- Dać jej kieliszek wina i już nie wie, co się dokoła niej dzieje!

Hanna uciekła, przywitała nowych gości i pobiegła na górę, do łazienki. Oparła rozpalone czoło o chłodne kafelki. Co się z nią dzieje? Zajrzała do Mercedes i Claudii. Mała spała jak aniołek.

- Jesteś głodna? - zapytała opiekunkę. Mercedes była wręcz oburzona tym pomysłem.

Po dziewiątej wieczorem nic nie jadła. Pewnie dlatego jest taka chuda, pomyślała Hanna, dotykając brzucha, który ciągle nie był tak płaski jak przed narodzinami Claudii.

Szwedzki stół spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem, podobnie jak niezliczone butelki wina. Brać aktorska zjawiła się tłumnie, rzucili się na jedzenie jak szarańcza. Zwłaszcza przypadł im do gustu szampan, który Feliks zamówił, nie informując o tym Hanny.

- Dobry alkohol świadczy o klasie przyjęcia - wybełkotał jeden ze znajomych Feliksa i napełnił szampanem kieliszek do wina.

Co za marnotrawstwo, stwierdziła, ze znużeniem rozglądając się po pobojowisku w kuchni. I tyle ich to kosztowało. Ilekroć strzelał korek od szampana, krzywiła się i myślała o debecie w banku. Zniosłaby to lepiej, gdyby Bill przyszedł z tym słynnym specjalistą od castingów, ale teraz, po jedenastej, chyba już raczej nie przyjdzie.

Większość gości stanowiły młode talenty, nie szare eminencje spoza sceny. Osoba, która miała największe wpływy, była pewna starsza aktorka. Wystąpiła chyba we wszystkich brytyjskich filmach z ostatnich dziesięciu lat. Przysłała, bo wyraźnie podobał jej się Feliks.

Ku uldze Hanny, nie był nią zainteresowany, zauważył nawet złośliwie, że zabójczo przystojny młody mąż aktorki jest gejem.

- W jej wieku na nic lepszego nie może liczyć - mruknął pogardliwie.

Ulżyło jej, że nie interesuje go inna kobieta, nie zwróciła nawet uwagi na mało tolerancyjny wydźwięk jego słów.

Zauważyła za to z niepokojem, że mąż dużo czasu spędza w towarzystwie Sigrid, duńskiej aktorki, która miała małą rolę w jego ostatnim serialu. Była to wysoka, szczupła brunetka z krótkimi sterczącymi włosami. Choć nie patrzyli sobie w oczy, wydawało się, że coś ich ku sobie przyciąga. Rozmawiali głośno.

Hanna gawędziła z innymi gośćmi, śmiała się ze starych dowcipów, nalewała wina i cały czas kątem oka obserwowała męża. On i Sigrid nadal na siebie nie patrzyli, ale między nimi coś jest, wyczuwa się, że łączy ich coś więcej niż znajomość zawodowa. Ale przecież się nie dotykają. Może sobie to tylko wmawia?

Nawet kiedy ktoś wylał czerwone wino na poduszkę z kanapy, nie przejęła się. Za bardzo zaabsorbowało ją obserwowanie Feliksa.

Po akcji ratunkowej na poduszce - zużyła na nią chyba flint soli - wróciła do pokoju. Feliks stał już w innym kącie, obejmował ramieniem kobietę, której, jak wiedziała, nie lubił. Więc może to tak, zrozumiała nagle.

Publicznie dotyka tych, których nie darzy sympatią, a ostentacyjnie unika osób, które lubi.

Ulżyło jej, kiedy Sigrid wyszła niewiele później ze swoim towarzyszem. Ale niepokój pozostał.

- Wszystko w porządku, skarbie? - Feliks poklepał ją po ramieniu.
- Tak.

Uśmiechnął się jak wariat; ona pada z nóg, a on był w swoim żywiole, upajała go świadomość, że ci wszyscy ludzie przyszli do niego, zachłystnęła się mieszanką alkoholu i podniecenia.

Cmoknął ją w policzek i już go nie było, flirtował, czarował, zachwycał wszystkich.

Dziesięć po dwunastej Hanna była kompletnie wyczerpana. Grała dobrą gospodynią i cały wieczór martwiła się, że hałas zbudzą Claudię. Większość gości już poszła, została aktorska brać - ci przywykli nie spać pół nocy. Siedzieli w kuchni przy stole i pili whisky, którą Bill znalazła w kuchennej szafce.

Hanna zajrzała do kuchni, gdy pożegnała się z innymi gośćmi. Aktorzy wieszali psy na serialu, w którym żadnemu z nich nie zaproponowano roli.

- Szmira - prychnął ktoś.
- Nie znoszę tych kostiumowych bzdur - burknęła Bill. - No bo jak, w czasach Jane Austen nie było seksu?

Ciekawe, czy zauważą, jeśli się położy, zastanawiała się Hanna.

Claudia przespała całe przyjęcie, czyli obudzi się jak zwykle o wpół do szóstej. Feliks nie będzie miał siły, żeby do niej wstać, a Mercedes była taka kochana przez cały wieczór, nawet zabrała łóżeczko małej do swojego pokoju. Należy jej się wolny dzień.

Tak, zdecydowała. Pójdzie do Mercedes i powie, że zabierze Claudię rano, żeby dziewczyna mogła się wyspać. Feliks chyba jest w toalecie, ale domyśli się, że poszła spać i sam zajmie się swoimi gośćmi.

Na palcach poszła na górę, wdzięczna losowi, że przyjęcie się skończyło. Kosztowało ją wiele wysiłku i planowania, głównie ze względu na niepoważną firmę cateringową. Poza tym od tygodnia sprzątała cały dom. Mercedes zupełnie się na tym nie znała.

Biedna Mercedes. Będzie jej brakowało jej galijskiego uroku.

W myślach obliczała, ile zaoszczędziliby, rezygnując z opiekunki do dziecka. Zatrzymała się pod pokojem Mercedes. Zza drzwi dochodziły stłumione odgłosy. Pewnie Claudia się obudziła. Hanna zapukała i nie czekając na zaproszenie, nacisnęła klamkę. Zdawała sobie sprawę, że Mercedes ma prawo do prywatności, ale tego wieczoru po raz pierwszy zostawiła córeczkę w pokoju opiekunki.

Tylko że w łóżku Mercedes wcale nie leżała zapłakana Claudia.

Nie Claudia, tylko Feliks. Miał na sobie jedynie bokserki. Z Next, zauważyła, zdumiona, że w takiej chwili zwraca uwagę na takie szczegóły.

Nie okazał skruchy. Wręcz przeciwnie, wydawał się lekko zdziwiony, jakby obudził się w ich małżeńskim łóżu, a obok niego leżała Hanna, a nie Mercedes w pięknej białej kołdrze koloru kości słoniowej.

Claudia na szczęście spała smacznie, ścisnęła w pulchnej łapce czarną owieczkę, bez której nie zasypiała. Hanna nie wybaczyłaby Feliksowi, gdyby pieprzył się z opiekunką na oczach dziecka. To byłoby absolutnie niewybaczalne. Co nie znaczy, że mogła mu wybaczyć obecną sytuację.

- Anna, przepraszam -jęknęła Mercedes. - Nie chciałam, bardzo cię lubię, uwierz mi. Niczego nie planowaliśmy... Po prostu tak wyszło.

Ciekawe, ile razy tak wyszło, pomyślała zdenerwowana.

- Jak wyszło? - zapytała chłodno. Patrzyła na Feliksa, nie na Mercedes. Koniec końców, to tylko dziesięcioletnia dziewczyna. Nie można jej obwiniać za zdradę Feliksa.

Z jego twarzy nie dało się niczego wyczytać, była jak czyste płótno, na którym dopiero namaluje odpowiednie uczucia. Teraz czekał, jaką linię ataku obierze żona, i wtedy zareaguje.

- Słucham. Wyjaśnij mi to.

Jakby zdał sobie sprawę, że obciążenie winą „tej drugiej” nic tu nie da, zrobił odpowiednio skruszoną minę.

- Przepraszam, Hanno. Byłem pijany. Zajrzałem do Cłaudii, Mercedes się na mnie rzuciła...

- Nieprawda! - zaperzyła się Mercedes. - Uganiałeś się za mną, odkąd tu przyjechałam! Zgodziłam się tylko dlatego, że nie dawałeś mi spokoju!

- Kłamliwa suka! -syknął. - Nie wierz, jej, Hanno-zaklinał. -Od początku była jak kotka w rui.

W tym momencie Claudia się obudziła i natychmiast zaczęła płakać. Mercedes spojrzała na Hannę pytająco, jakby nie wiedziała, czy ma ją wziąć. Hanna pokręciła przecząco głową i wyciągnęła ręce do córeczki,

- Jak się ma moja kruszynka? - zapytała czule. Nie do wiary, po tym wszystkim jest w stanie normalnie mówić. Mała płakała dalej.

- Feliks, zanieś jej łóżeczko do naszej sypialni.

Triumfalnie zerknął na Mercedes. Wygrałem, zdawał się mówić. Uwierzyła mi. Mercedes wygięła usta w podkówkę.

Hanna nie zwracała na to uwagi, zabrała Claudię do ich sypialni. Feliks przeniósł łóżeczko i przysiadł na szerokim łóżku z żółtą narzutą.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegła Hanna cicho, żeby nie denerwować córki. - Dzisiaj śpisz gdzie indziej. Nie wiem, która cię przyjmie, jeśli nie Mercedes, to może Sigrid.

Gwałtownie podniósł głowę i spojrzał na nią czujnie. Nie wiedział, co wie, a czego się domyśla.

- Masz mnie za idiotkę? - zachnęła się. - Nie, nie odpowiadaj, wiem, że jestem głupia. Nie widziałam, co się święci pod moim dachem. Nie widziałam, że posuwasz połowę aktorek w Londynie.

- Ja nie... - zaczął.

- Nie trudź się wymyślaniem wymówek - spacerowała po pokoju, kołysząc Claudię. - Idź do swoich gości.

Wiedział, że przegrał. Wyszedł. Kilka minut później rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

- Anno, czy mogę ci to wytłumaczyć? - szepnęła Mercedes.

- Idź spać, wytłumaczysz mi rano.

Pół godziny później Hanna zeszła do kuchni po mleko dla małej. Goście przenieśli się do salonu. Z tego, co słyszała, grali w kalambury. Sądząc po odgłosach, odgadywali tytuły filmów porno.

Hanna podgrzała mleko dla córki i dla siebie. Miała ochotę na gorące mleko. Może dlatego, że to ulubione lekarstwo jej matki. Na żołądek mama podawała mleko z imbirem. Na przeziębienie - z czarnym pieprzem. Trudno powiedzieć, czy to skutkowało, ale ciepłe mleko kojało się z bezpieczeństwem, niosło ukojenie.

Claudia w końcu zasnęła, a Hanna leżała w samych majteczkach i piła mleko. Majteczki były czarne, nowe, założyła je w związku z planowanym uwodzeniem Feliksa. Co za ironia; ona myślała, jakby tu przypomnieć ukochanemu mężowi ich dawne udane życie erotyczne, a on myślał, jak tu zaciągnąć nianię do łóżka. Starła się nie myśleć o nich, swobodnych i pięknych jak modele z reklam Calvina Kleina.

Nie chciała myśleć o tym, co się stało, o gorzkiej pigułce, którą musi przełknąć. Chciała porozmawiać z Leonie, Emmą albo matką. Potrzebowała więcej pociechy niż takiej, jaką może dać gorące mleko.

Nie wiadomo dlaczego pomyślała o Davidzie Jamesie. Przypomniała sobie jego twarz i mocne ramiona. Na takim ramieniu można się wypłakać, ukryć na nim twarz i pozwolić, by silne, delikatne ręce objęły cię czule. Nie tak jak z Feliksem. Z obawy, że skończy umięśniony jak Schwarzenegger, omijał łukiem hantle, nie chciał być silny i męski, tylko szczupły i zadbany. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby płakać w jego ramionach. Płacze się za Feliksem, nie z nim.

David ją ostrzegał, ale nie posłuchała. I co teraz?

Po długiej męczącej nocy w końcu nadszedł ranek. Wyjątkowo Hanna wstała przed Claudią. Spała może trzy godziny, a i tak budziła się co jakiś czas złana potem na wspomnienie ostatniej nocy. Dręczyły ją niespokojne sny; widziała w nich Feliksa w ramionach innych kobiet; czasami Sigrid, czasami Mercedes i innych, których ciał nie znaczyły rozstępy.

Ubrała rozbawioną Claudię, włożyła stare dzinsy i wyciągniętą szarą bluzę. Umyła zęby, przeczesała włosy szczotką. Po co się starać, skoro maż ma to w nosie?

Zajrzała do salonu. Feliks spał na kanapie. Sukinsyn.

W kuchni przygotowała butelkę dla Claudii. O wiele łatwiej było, kiedy karmiła piersią, ale po miesiącu straciła pokarm i butelka okazała się jedynym rozwiązaniem.

- Będę ci więcej pomagał - zaferował się wówczas Feliks. Kpina w żywe oczy. Pomoc Feliksa ograniczała się do przewijania Claudii w obecności fotografów. Poza tym bawił się z nią czasami, kiedy mała się kąpała. Karmienie to dla niego za nudne.

Hanna zdążyła zaparzyć sobie kawy i zrobić grzanekę między sprzątaniem a karmieniem małej. Dwukrotnie napełniła zmywarę, zanim do kuchni weszła Mercedes.

Najwyraźniej i ona kiepsko spała, było to widać po szarej cerze i cieniach pod oczami, których nie ukrył nawet podkład od Diora. Mimo tego

wyglądała ślicznie, czerwona chusteczka w groszki ożywiła surowy biało-czarny strój.

- Anno, tak mi przykro, proszę, uwierz. - Nerwowo wykręcała ręce.

Naprawdę jej przykro. Dziwne, ale dziewczyna do dziecka chyba bardziej przejmowała się uczuciami Hanny niż jej własny mąż.

Gdyby mu na niej zależało, błagałby teraz, żeby od niego nie odchodziła. Jakby miała dokąd, pomyślała zrozpaczona.

- Mercedes, powinnaś wrócić o domu. Zadzwoń do twoich rodziców...

- Nie! - krzyknęła. - Nie mów im!

- Nie powiem - uspokoiła ją Hanna. - Powiem tylko, że musimy cię odesłać i kiedy przylecisz. Czy Feliks użył prezerwatywy? - zapytała prosto z mostu. Nie chciała odsyłać dziewczyny w ciąży. To na pewno narusza zasady współpracy między opiekunką a pracodawcą.

Zarumieniła się.

- Tak.

- Mam nadzieję, że nie zajdziesz w ciążę. - Hanna westchnęła. - Po powrocie zaraz idź do lekarza. - Dziwne, zachowuje się, jakby rozmawiała o seksie z obcym mężczyzną, a nie z jej mężem.

- Nic się nie stanie - bąknęła czerwona Mercedes.

- To dobrze. Mamy wystarczająco dużo komplikacji. - Hanna otworzyła książkę telefoniczną i poszukała linii lotniczych. Podała słuchawkę Mercedes. - Pan Andretti bez wątpienia zapłaci ci za bilet, przynajmniej tyle może dla ciebie zrobić. Idziemy na spacer - dodała i wyszła z Claudią na rękę.

Kiedy wróciła, nie było już Mercedes ani jej rzeczy, została tylko kartka, że bardzo, bardzo jej przykro.

Hanna złożyła ją starannie i schowała do kieszeni. Polubiła Mercedes.

Feliks siedział w salonie, oglądał mecz w telewizji i sączył czerwone wino. Coś takiego, po przyjęciu został jeszcze jakiś alkohol? Myślała, że Bill wykryje nawet najmniejszą butelkę.

- Cześć, kochanie - mruknął Feliks beztrósko, gdy Hanna ułożyła Claudię w koju.

Nie odrywał oczu od ekranu. Hanna poczuła, jak narasta w niej złość. Od wczoraj działała automatycznie, starała się uporać ze zdradą Feliksa najspokojniej, jak mogła. Ale jego obojętność łamała jej serce. Jak może siedzieć jak gdyby nigdy nic, jakby nie pieprzył się z opiekunką do dziecka na oczach małej? Jakby praktycznie nie przyznał, że sypiał z innymi?

- Nie masz mi nic do powiedzenia? - zapytała gorzko.

Wzruszył ramionami i odgarnął z czoła złoty kosmyk, jakby chciał powiedzieć: o czym?

- Jak mogłeś? - wrzasnęła. Straciła panowanie nad sobą. - Jak mogłeś z nią spać? Kocham cię. Czy to ci nie wystarcza?

- Nie bądź taka cholernie drobnomieszczańska - warknął. - Wszyscy to robią.

- Drobnomieszczańska! - pisnęła. - Czyli dla ciebie wierność jest drobnomieszczańska? Jeśli tak, to nie ma większej mieszczki ode mnie!

- Nie wciskaj mi kitu! - skrzywił się. - Nie powiesz mi, że z nikim nie sypiałaś. Zanim się zaręczyliśmy, miałaś romans z Davidem Jamesem, może nie? Nie kłam, wiem, że tak było. Kazał mi trzymać się od ciebie z daleka.

- Co?

Feliks roześmiał się jej w twarz.

- Spuszczasz z tonu, co, Hanno? David powiedział, że mnie zabije, jeśli cię skrzywdzę. Może nie należę do Mensy, ale wiem, co chciał przez to powiedzieć.

Zaniemówiła.

- Ale, ale... - wybąkała. - To nie tak, my nigdy...

- Och, oczywiście.

- Naprawdę - upierała się. - Nawet nie wiedziałam, że mu się podobam.

- A jak myślisz, dlaczego awansowałaś? Bo jesteś taka zdolna? Czy raczej dlatego, że chciał ci wskoczyć do łóżka?

Skuliła się, słysząc okrutne słowa. To cały Feliks: kopie leżącego.

- Więc twoim zdaniem mój awans nie miał nic wspólnego z moimi umiejętnościami. Twierdzisz, że David mnie cynicznie wykorzystywał, i że wróciłabym na dawne stanowisko, gdyby mnie zaliczył - powtórzyła spokojnie. Nienawidziła go za to, co powiedział. - Jakie to miłe z twojej strony. Cieszę się, że doceniasz mój talent i umiejętności. Pomyśleć, że zrezygnowałam z pracy, żeby wyjść za faceta, który uważa mnie za idiotkę. - Posłała mu lodowate spojrzenie, które opanowała przed laty. - Ale to ty wykorzystujesz innych, Feliks. Ożeniłeś się ze mną, bo uznałeś, że przyda ci się ciężarna żona.

Czekała, aż zaprzeczy, ale nie zrobił tego. Przyglądał się jej obojętnie.

Claudia rozpłakała się, słysząc głośne krzyki. Hanna wzięła ją na rękę, tuliła i uspokajała szeptem.

- Skoro nie dochowałeś mi wierności nawet do pierwszej rocznicy ślubu, powiedz, czemu właściwie się ze mną ożeniłeś? - zapytała cicho.

- Mercedes nie była pierwsza, prawda? Po co ci inne? Myślałam, że ci wystarczam.

Przewrócił oczami.

- Daruj sobie te psychologiczne bzdury, Hanno. Jesteśmy małżeństwem, koniec, kropka. Ludzie śpią z innymi, to nie koniec świata. Wiesz, życie to nie *Przeminęło z wiatrem*. Nie zawsze kończy się tak, że żyli długo i szczęśliwie.

- W *Przeminęło z wiatrem* nie żyli długo i szczęśliwie - zauważyła dziwnym wysokim głosem.

- Wszystko jedno. Wyszłaś za mnie i już. Taki jestem. Nie zmienię się.

- Ale myślałam, że mnie kochasz - powtarzała uparcie.

- Kocham, kocham, ale chcę się pieprzyć z innymi - wyjaśnił. - Nigdy nie miałaś na to ochoty?

- Nie - szepnęła. - Ty mi wystarczysz.

- Jezu, o co ci chodzi?! - zachnął się. Podniósł kieliszek wina. - Spójrz, to jak z winem. To, że lubię czerwone, nie znaczy, że czasami nie mam ochoty na whisky albo szampana.

- W takim razie czym ja jestem? Tanim sikaczem? - zapytała przez łyż. Feliks dopił wino jednym haustem i podszedł do drzwi.

- Jeśli masz się tak zachowywać, wychodzę. Zatrzymam się na kilka dni u Bill, może ci przejdzie.

Chciała go błagać, żeby został, ale nawet teraz wiedziała, że nie może się aż tak poniżyć. Słyszała, jak pakuje się na górce. Dziesięć minut później już go nie było i Hanna rozpłakała się na głos. Claudia jej zawtórowała.

Kiedy obie ucichły, Hanna czuła się, jakby przepłynęła pięćdziesiąt długości basenu. Zaparzyła sobie herbatę i zastanawiała się, co robić.

Chciała zadzwonić do Leonie, wysłuchać jej mądrych, rozsądnych rad. Leonie będzie wiedziała, co zrobić, jak zawsze. Ale nie mogła. Za bardzo cierpiała, rany były zbyt świeże. Zamiast tego posprzątała cały dom, szorowała, myła, drapała, aż bolały ją wszystkie mięśnie. Claudia drzemała, budziła się co jakiś czas i obserwowała matkę przy pracy. Hanna usiadła na kanapie. Obejrzy *Randkę w ciemno*. Ledwie włączyła telewizor, zadzwonił telefon. Rzuciła się do słuchawki w nadziei, że to Feliks, który chce przeprosić i wyznać jej wieczną miłość, jedno i drugie mało prawdopodobne. To była jej matka. Anna Campbell zawsze dzwoniła w sobotę wieczorem, przed grą w bingo.

- Witaj, Hanno - zaczęła spokojnie. Nie w jej stylu powitania typu „kochanie”.

Hanna zalała się łzami.

- Chodzi o Feliksa, prawda? - zapytała matka rzeczowo.

Hanna szlochała coraz głośniej. Minęło kilka minut, zanim uspokoiła się na tyle, żeby opowiedzieć całą historię. Niczego nie ukryła. Resztki dumy opuściły ją, jak Feliks.

- Wracaj do domu, Hanno - zaproponowała Anna Campbell, gdy już wszystko wiedziała. - Walisz głową w mur. Wracaj. Odejdź do niego. Przed laty powinnam była zrobić to samo, ale nie zdobyłam się na odwagę. Jesteś młoda, masz córeczkę, o którą musisz dbać. Odejdź od niego.

Hanna oparła głowę o ścianę.

- Nie mogę tak po prostu odejść - powiedziała cicho.

- Dlaczego nie? Bo jest wszystkim, czego pragnęłaś? - zdziwiła się Anna ironicznie. - A co zrobisz następnym razem? Bo sama wiesz, że będą następne.

- Co mam robić? - zapytała zagubiona.

- Twój dawny szef znowu cię przyjmie, prawda? - podsunęła Anna.

- Zawsze mówiłaś, że na nim można polegać w każdej sytuacji.

- David James? - Zamyśliła się. Nie może przecież poprosić Davida, nie jego! Szalał za nią, a ona odwróciła się do niego plecami. Ba, zaproponował jej awans i karierę, kiedy nie miała dosłownie nic, a ona odrzuciła i to. Robił co w jego mocy, by ją chronić przed Feliksem. Kochany David. Nie, do niego akurat nie może zadzwonić, nawet gdyby chciała. A chciała.

- Zadzwoń do niego, Hanno. Na kilka dni zatrzymasz się u mnie, staniesz na nogi, a potem wrócisz do pracy. Leonie na pewno przyjmie cię na jakiś czas, albo ta miła Donna, o której tyle opowiadałaś. Szybko znajdziesz mieszkanie i żłobek dla Claudii. Nie wiem, czemu uważasz, że to niemożliwe.

- Nie wiem, nie umiem tego wytłumaczyć - jęknęła Hanna. Była zbyt załamana, żeby myśleć logicznie, a co dopiero podejmować taką decyzję. - Nie mogę - powiedziała znużona. Usłyszała, że kończy się *Randka w ciemno*. Rozmawiały przez godzinę.

- Zapłacisz horrendalny rachunek, mamó. I przegapisz bingo. Zadzwoń jutro.

- Co tam bingo - odparła matka.

- Zadzwoń jutro - powtórzyła. Nie chciała, żeby ktokolwiek mówił jej, co ma robić. Musi w spokoju wylizać rany.

Na opakowaniu było napisane, że kulka zawiera wyciąg z wanilii, ylang ylang, i odrobinę masła kakaowego, które zmiękcza skórę.

Hanna wrzuciła kulkę do wanny. Po chwili powietrze wypełnił rozkoszny zapach wanilii; przywodził na myśl świeżo upieczone ciasteczka. Westchnęła głośno. Miała wielką ochotę na kąpiel. Claudia była tak absorbującym dzieckiem, że Hannie ledwo starczało czasu na prysznic, a co dopiero długą kąpiel. O nałożeniu maseczki na twarz nawet nie miała co marzyć. Od kilku tygodni nie nakładała na włosy odżywki, tylko dlatego, że to za długo trwa. Wczoraj fryzjerka kręciła głową, podcinając jej końcówki. Wczoraj, przed przyjęciem, a wydaje się, jakby to było sto lat temu.

Otworzyła drzwi, cichutko poszła do sypialni i zajrzała do łóżeczka. Claudia spała jak aniołek, na plecach, odkryta, z piąstką przy okrągłej buzi. Ciemne loczki otaczały anielską twarzyczkę. Kiedy nie spała, robiła wszystko, żeby postawić na swoim i obdarowywała wszystkich cudownym uśmiechem, jeżeli osiągnęła swój cel. Hanna poczuła przypływ miłości. Nie wierzyła, że można kogoś tak bardzo kochać. Nie wyobrażała sobie rozłąki z Claudią. Mogła się z nią bawić godzinami, cierpliwie pokazywała zabawki i obrazki, a Claudia gaworzyła radośnie, jeśli udało jej się coś zabrać i wsadzić sobie do buzi. Gryzła wszystko, co wpadło jej w ręczki, miała też zadziwiająco silne łapki jak na czteromiesięczne dziecko. Hanna coraz częściej obawiała się, że prędzej czy później ogon kotka znajdzie się w jej rączkach i żadnemu z nich, ani Claudii, ani kotu, to doświadczenie nie przypadnie do gustu. Uwielbiała kociaka, ale była zła na Feliksa, że go przyniósł do domu. Małe dzieci i kotki to niezbyt dobrani współlokatorzy. Ale Feliksa nie obchodziło, jakie są skutki jego działań; robił co chciał, niech inni się martwią.

Zadowolona, że Claudia śpi, Hanna zdjęła dzinsy i bluzę, i z ulgą weszła do wanny. Odprężyła się w gorącej kąpeli, pozwoliła myślom odpłynąć i spojrzała prawdzie w oczy. Feliks ją zdradził i prawdopodobnie zrobi to ponownie. Wybierając Mercedes, okazał Hannie pogardę.

Wtedy to zrozumiała, w jednej bolesnej chwili. Jeśli zostanie, postąpi jak jej matka. Będzie cierpiała ze względu na dziecko. Czy nie złościła się na Annę właśnie za to? Wściekała się, że podtrzymuje istniejący stan rzeczy bez względu na wszystko, bez względu na cenę. Odkąd sięga pamięcią, słyszała, jak ojciec przewraca meble, pijany jak bela. Często się zastanawiała, czemu matka od niego nie odeszła albo nie wyrzuciła go z domu. Lecz kobiety z pokolenia Anny Campbell nie

uznawały takich rozwiązań. Małżeństwo było na całe życie. Dożywcie. A Hanna chciała przed tym uciec, chciała kontrolować swoje życie. Kariera i niezależność były jedyną ucieczką, a jednak poszła w ślady matki: związała się z dwoma mężczyznami, którzy ją wykorzystali, odebrali wiarę w siebie i porzucili, pustą i załamana. Najpierw Harry, potem Feliks. Gdyby Harry nie odszedł, nadal byłaby z nim. Łudziłaby się, że się pobiorą i ustatkują, choć Harry nie jest do tego zdolny.

A teraz Feliks ją poniżył. Jeśli zostanie, nadal będzie to robił, przekonany, że wszystko ujdzie mu na sucho, że Hanna będzie wiernie czekała, słodka żoneczka, która nic mu nie powie. Nie, pomyślała z przerażeniem, nigdy. Jest tylko jeden sposób, żeby przerwać zakłęty krąg - wziąć własne życie w swoje ręce i odejść od Feliksa. Nieważne, że to boli, nieważne, że będzie za nim tęskniła. Kochała go, pragnęła go fizycznie, chciała z nim być. Ale to jednostronne. W każdym związku jedna osoba kocha bardziej i ta osoba nie ma kontroli nad niczym. Feliks to wykorzysta. Chyba że od niego odejdzie. Jeśli nie, będą cierpiały obie, ona i Claudia. Nie pozwoli, żeby córka dorastała w rodzinie, w której szacunek jest pustym słowem. Wyobraziła sobie dwudziestoletnią Claudię, jak wspomina, że tatuś sypiał z innymi kobietami, kiedy mamy nie było w domu i myślał, że Claudia jest za mała, żeby to zauważyć.

Wyszła z wanny, owinęła się niebieskim szlafrokiem. Claudia gaworzyła coś radośnie, obudziła się i żądała towarzystwa. Hanna wzięła ją na ręce. Z twarzy cherubinka patrzyły na nią oczy Feliksa. Zawsze będzie częścią jej życia ze względu na Claudię. I dobrze. Nie chce go oddzielać od dziecka. Ale nie będzie częścią jej życia, już nie.

- Co powiesz na wyjazd do Connemara? - zapytała córeczkę. Claudia uśmiechnęła się szeroko.

Leonie myła włosy, gdy zadzwonił telefon. Byle jak owinęła głowę ręcznikiem i biegiem rzuciła się do telefonu. Może to Doug. Przez cały dzień był w Dublinie i bardzo się za nim tęskniła. Nadal ją dziwiło, jak pragnie jego bliskości. Zaplanowali spokojny sobotni wieczór z bliźniaczkami, filmem na wideo i pizzą na telefon. Nie mogła się już doczekać.

- Halo? - sapnęła w słuchawkę.

- Cześć, Leonie, tu Emma. Możemy porozmawiać? - usłyszała zachrypnięty głos.

- Oczywiście. Jak się masz? - Leonie wytarła kark rogiem ręcznika. Przysiadła na stołeczku koło telefonu. Włosy mogą poczekać. Nie rozmawiała z Emmą od co najmniej tygodnia.

- Dobrze - odparła - a nawet bardzo dobrze, wspaniale. Nie uwierzysz, co się stało.

- Co?

- Siedzisz?

- Tak. - Leonie zaczynała się denerwować. - To dobra nowina, prawda?

- Najlepsza. - Nawet przez telefon słyszała triumfalną nutę w głosie Emmy. - Jestem w ciąży.

- O mój Boże! - Leonie zerwała się na równe nogi. - To cudownie! Tak się cieszę!

Miała łzy w oczach. Kochana Emma od tak dawna pragnęła dziecka. I na pewno będzie doskonałą matką.

- Tak się cieszę, to cudowna wiadomość.

- Tak. - Emma także była bliska płaczu. - Nie wierzyłam już, że to się kiedyś stanie. Myślałam, że nigdy nie zajdę w ciążę. Nawet kiedy zdecydowaliśmy się na zapłodnienie *in vitro*, nie wierzyłam, że coś z tego będzie.

Kiedy mówiła, odruchowo gładziła swój jeszcze płaski brzuch.

- Od dawna? zainteresowała się Leonie.

- Sześć tygodni. Wyobrażasz sobie, ja w szóstym tygodniu ciąży i nic o tym nie wiedziałam! - roześmiała się. - Zaraz ci wszystko powiem.

W przyszłym miesiącu mieli się stawić w klinice leczenia niepłodności i Emma pochłaniała książki i artykuły na temat zapłodnienia *in vitro*. Chciała wiedzieć wszystko, więc czytała o stresujących zabiegach, zastrzykach hormonalnych, pobieraniu komórki jajowej. Wydało się to bardzo przygnębiające.

Poradniki polecały zacząć działania w czasie, kiedy nie jest się zbyt obciążonym pracą. W KrisisKids od dawna nie było takiego zamieszania: przenosili się do większego biura, a telefony się urywały w związku z głośną sprawą o molestowanie dzieci.

Dziennikarze nie dawali im spokoju. Finn zachorował, więc Emma wykonywała swoją i jego pracę. W czwartek rano nie miała siły wstać z łóżka, gdy budzik zadzwonił o wpół do siódmej.

- Jeszcze nie - mruknęła do Pete'a, przytuliła się do niego, rozkoszowała się bliskością jego ciepłego ciała. Na dworze było zimno, drżała na myśl o kąpieli.

- Pięć minut - mruknął Pete i przyciągnął ją do siebie.

Pasowali do siebie idealnie. Wsunął dłonie pod jej koszulkę, żeby dotkać nagiej skóry. Nie był to gest erotyczny, raczej chciał dodać jej otuchy.

Dotknął jej piersi. Głaskał je powoli, muskał brodawki, nagle bardzo wrażliwe.

- Znowu robiłaś ćwiczenia na biust? - zażartował. - Chyba na starość rosną ci piersi.

- Co? - Emma miała wrażenie, że układała puzzle i nagle ostatni kawałek trafił na miejsce. Usiadła gwałtownie. Nawet nie poczuła chłodu.

- Tylko żartuję - zapewnił Pete pospiesznie. - Wydają się większe, i tyle.

- Ale... ale one są większe - wymamrotała, gdy ściągnęła koszulkę i spojrzała na swoje piersi. Dotknęła ich. Nie ma wątpliwości, większe i bardziej wrażliwe.

- Są większe? - dopytywała się.

Pete podniósł się na łokciu.

- Nie wiem, nie widać tego, ale są inne w dotyku - stwierdził. - Dlaczego?

Emma odparła spokojnie:

- Powiększone, bardziej wrażliwe piersi to jeden z objawów ciąży.

Pete objął ją mocno.

- Emma! - krzyknął.

- Nie, poczekaj - uciszyła go. - Nie popełniamy błędu, który w kółko robię. Znam to już. Najpierw się upewnijmy.

Z bijącym sercem poszła do łazienki. Na dnie szafki, w starej reklamówce, był test ciążowy.

- Skąd to masz? - zdziwił się Pete. Opierał się o drzwi do łazienki.

- Z poprzedniej wersji mojego życia - mruknęła.

Razem przeczytali instrukcję. Jedna niebieska kreska oznacza, że nie jesteś w ciąży, dwie, że tak.

- Trzymajmy kciuki, żeby wyszły dwie - poprosił Pete z błyszczącymi oczami.

Emma objęła go mocno.

Nasiusiała na test. Zostawili go w łazience, a sami usiedli na łóżku. Byli zbyt zdenerwowani, żeby się myć czy ubierać. Emma nie patrzyła na zegarek, sekundy wlokły się niemiłosiernie. Trzy minuty. Najdłuższe trzy minuty w jej życiu.

- Już - powiedział w końcu Pete. Żadne z nich nie ruszyło się z łóżka.

- Ja nie spojrzę - szepnęła. - Pragnę tego od tak dawna, nie mogę. Objął ją mocno, aż zabołało. Czuła bicie jego serca przez cienki podkoszulek. Był równie spięty jak ona.

- Ja pójdę - zaproponował dzielnie.

Skinęła tylko głową, bała się odezwać.

Powoli poszedł do łazienki.

Czekała, wstrzymując oddech. Jezu, ile to trwa. Wpatrywała się w jego szerokie plecy.

- Pete?

- Dwie kreski! - wrzasnął. Odwrócił się i zobaczyła, że płacze. - Dwie niebieskie kreski! Emma, kochanie, będziemy mieli dziecko!

Leonie wytarła oczy rękawem.

- To cudownie, Emmo - chlipnęła. - Tak się cieszę.

- Dziękuję - Emma promieniała. - Musiałam ci powiedzieć. Na razie zachowamy *to* dla siebie. Lekarz twierdzi, że to już sześć tygodni, za następne sześć powiem, że jestem w ciąży. Jestem taka szczęśliwa, muszę się pilnować, żeby się nie śmiać do siebie, bo ludzie wezmą mnie za wariatkę.

- Śmiej się, ile chcesz - poradziła Leonie. - Zasłużyłaś na to. Kiedy przyjdziecie na kolację? Trzeba to uczcić.

- Chyba w przyszłym miesiącu - zachichotała Emma. - Pete zabrał się za remont całego domu, przede wszystkim szykuje pokój dziecienny. Już kupił farby i tapety.

Leonie roześmiała się pogodnie.

- Może wpadniecie do nas z Dougiem w przyszły weekend? - zaproponowała Emma.

- Bardzo chętnie. Szkoda, że nie będzie Hanny - dodała Leonie. - Wtedy miałybyśmy prawdziwe spotkanie po Egipcie.

- Mam wyrzuty sumienia - przyznała się Emma. - Nie mogłam się pogodzić z tym, że zaszła w ciążę i byłam dla niej niemila. Kiedy zadzwoniłaś, że urodziła się Claudia, zalałam się w trupa - przyznała. - Pete dosłownie musiał mnie zanieść do łóżka.

- Hanna to rozumiała - zapewniła Leonie. - Wiedziała, jak bardzo chcesz mieć dziecko. Zresztą - dodała energicznie - to już przeszłość. Mam pytanie? Kiedy idziemy na zakupy? Przecież potrzebne ci ubrania ciążowe!

Emma westchnęła z zadowoleniem.

- Może w sobotę?

Rozdział 30

We wtorek firma zajmująca się przeprowadzkami spakowała wszystko w cztery godziny. Pracowali bardzo efektywnie, ale też nalegała na szybkie załatwienie sprawy, gdy zamówiła ich w poniedziałek. Nie skomentowali, że przeprowadza się w takim tempie. No, ale pewnie nie po raz pierwszy są świadkami rozpadu małżeństwa, przemknęło Hannie przez głowę.

Posmutniała, wspominając, jak siedem miesięcy wcześniej pakowała swoje rzeczy. Była wtedy pewna, że czeka ją świetlana przyszłość u boku Feliksa. A teraz łączy ich tylko Claudia. Biedna kochana Claudia. Hanna bardzo chciała, żeby córeczka wychowała się w pełnej rodzinie. Wiedziała, jak trudno jest Donnie wychowywać samotnie Tanie, jak ciężko bywało Leonie. Niełatwo jest być samotną matką, jednak lepsze to niż związek, w którym z czasem gorzkniejesz. Tak będzie lepiej dla Claudii. Przynajmniej nie będzie świadkiem awantur rodziców.

Ciężarówka jeszcze nie odjechała, a Hanna już obeszała dom po raz ostatni. Zostawiła łóżko i meble z jadalni. Feliks je kupił. Kanapa, stół kuchenny i większość drobiazgów przyjechały razem z nią. Michelle zaadoptowała kotka.

Hanna uznała, że nie poradzi sobie w samolocie z małym dzieckiem i klatką z kotem. Gdyby zostawiła zwierzaka w domu, prawdopodobnie zginąłby śmiercią głodową.

Zadzwoiła po taksówkę i dwadzieścia minut później jechała na lotnisko Heathrow, obładowana dwoma ciężkimi walizkami, torbą z akcesoriami dla dziecka, wózkiem Claudii i plecakiem. Taksówkarz pomógł jej to wszystko załadować, ale na lotnisku ograniczył się do wstawienia bagaży na wózek. Została sama.

Przypomniała sobie, jak lecieli do Paryża, kiedy Claudia miała zaledwie miesiąc. Wybrali się na premierę filmu, który Feliks kręcił w Irlandii, gdy się poznali. Lecieli pierwszą klasą i wszyscy służyli pomocą: stewardesy, dziennikarze, filmowcy, wszyscy zachwycali się Claudią i chcieli ją potrzymać. Wtedy, dzięki miłości i pomocnikom, prawie nie zauważyła podróży.

Teraz była świadoma każdej minuty. Claudia darła się na całe gardło przy odprawie biletowej. Rozdarła się głośniej na widok strażników w mundurach. Hanna planowała wcześniej, że ją nakarmi i uśpi. Nic z tego, ryki Claudii niosły się echem po całym lotnisku. Objuczona wózkiem, plecakiem i torbą, powłokła się do sali odlotów.

- Czy tatuś uczył cię emisji głosu? - zapytała córkę, gdy Claudia wrzasnęła tak, że słyszano ją w stanowiskach 82-90.

Darła się przez całe pięćdziesiąt pięć minut lotu. Hanna zdążyła upić łyk wody, zanim mała przewróciła szklankę.

- Proszę, nie płacz już, skarbie - błagała, sama ze łzami w oczach. Co za koszmar. Skąd jej przyszło do głowy, że poradzi sobie sama? Trzeba było zadzwonić do Leonie. Przyleciałyby do Londynu i pomogła. Albo chociaż czekałaby z *Dongiem* na lotniska.

Ale ty jesteś na to zbyt dumna, co, Campbell? Nie powiedziała nikomu, że wraca, za bardzo się wstydziła. Wstydziła się, bo wszyscy mieli rację, tylko ona się pomyliła. Emma od początku przejrzała Feliksa, podobnie jak David James. Tylko wieczna romantyczka Leonie naprawdę wierzyła, że prawdziwa miłość może się narodzić z namietności. No i Hanna, ma się rozumieć. I teraz może mieć pretensję tylko do siebie.

Właśnie dlatego pojedzie taksówką do hotelu, zamiast spotkać się z przyjaciółmi.

Claudia rozpromieniła się, ledwie samolot wylądował.

- Cieszy się, że wraca do domu - uśmiechnął się starszy pan.

- Urodziła się w Londynie - wyjaśniła Hanna. - Nigdy nie była w Irlandii.

- Wraca do kraju matki - upierał się staruszek.

Hanna tylko skinęła głową. Claudia umilkła, chyba tylko dlatego, że nie miała siły dłużej szlochać.

Jeszcze dwadzieścia minut czekania na bagaż i Hanna wyszła do hali przylotów, zataczając się jak pijana, gdy pchała ciężki wózek. Koncentrowała się na tym, żeby nikogo nie potrącić i mało brakowało, a nie zauważyłaby wysokiego mężczyzny, który jej wypatrywał.

- Hanna! A to mała Claudia!

Zdumiona, cofnęła się o krok i wpadła na inny wózek.

- Przepraszam - mruknęła. David uśmiechał się promiennie. W rdzawej marynarce i džinsach był zarazem znajomy i obcy. Przywykła do szczupłego ciała Feliksa; David wydawał się wielki i solidny. Szpakowate włosy były starannie zaczesane, w wąskich oczach czaiła się niepewność, jakby nie wiedział, jak zareaguje na jego widok. Coś takiego.

- Twoja mama dzwoniła i powiedziała, że ktoś musi cię odebrać z lotniska-zaczął.

Hanna uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia.

- Stanowcza kobieta z twojej matki - dodał.

- Niewiarygodna - przyznała.
- Pozwól. - David wziął wózek bagażowy. Nie odzywali się w drodze do parking. Hanna, bo była zbyt zmęczona. Szybko załadowali bagaże do samochodu. Hanna usiadła z Claudią na tylnym siedzeniu, bo David nie miał fotelika dla dziecka. Mała obudziła się i ziewnęła szeroko. Uśmiechnęła się bezzębnymi ustami.

- Śliczna dziewczynka - pogłaskał ją po główce. - Jesteś cudowna, wiesz?

Uśmiechnęła się szerzej.

- Gotowe do drogi? - zapytał.
- Tak - odparła Hanna. - Mam rezerwację w hotelu Jury's.
- Zmiana planów. Masz rezerwację u twojej przyjaciółki Leonie - poprawił.

Zaniemówiła.

- Moja mama? - zapytała po chwili.
- Jeśli ta kobieta szuka pracy, zatrudnię ją z miejsca - stwierdził David. - Potrzebny mi ktoś z taką siłą perswazji.

Hanna parsknęła śmiechem.

- Pewnie już odwołała mi rezerwację w hotelu.
- Nie zdziwiłbym się - mruknął.

Claudia była w doskonałym humorze. Gaworzyła radośnie przez całą drogę do Wicklow. David nie pytał o Feliksa ani dlaczego Hanna tak nagle sama wróciła do Irlandii. Matka na pewno coś wspomniała, ale nie pytał. Jest na to zbyt uprzejmy. Hanna przyglądała mu się ukradkiem. Nie miał urody Feliksa. O ile Feliks przypomina rzeźbę z włoskiego marmuru, David jest z granitu, surowy i nieustępliwy. Bardzo męski w porównaniu z niemal kobiecą urodą Feliksa. I pociągający, bardzo pociągający. Hanna złapała się na myśli, że powinna była się przebrać. Brudne dżinsy i stary fioletowy płaszcz to niezbyt elegancki strój.

- Rozmawiałeś z Leonie? - zapytała.
- Tak. Ma nadzieję, że nie jadłaś, szykuje dla nas ucztę.
- Przepraszam, że zostałeś w to wciągnięty. Zmarnowałeś już pół dnia.

- Nie zmarnowałem - odwrócił się, uśmiechnął ciepło. Hanna się odprężyła. Przypomniała sobie cudowne chwile w jego biurze, gdy chichotali jak dzieci i zjadali zakazane ciasteczka. Przy Dayidzie czuła się bezpieczna. Przy Feliksie miała wrażenie, że stoi na krawędzi lodowca i zaraz runie w dół, w przepaść. David dawał poczucie bezpieczeństwa. Być z nim to jak siedzieć w ciepłej górskiej chacie przy kominku i słuchać zawieruchy na dworze.

Nastawił radio, znalazł jakąś muzykę klasyczną. Wkrótce zasnęły obie, Claudia i Hanna.

Obudziło je wariackie szczekanie Penny. Przed domem Leonie czekał cały klan Dełaneyów: Mel, śliczna jak marzenie w szkolnym mundurku, Abby w ogrodniczkach umazanych farbą, i jeszcze Leonie, Danny, Doug i dwa psy, zapewne słynne Alfie i Jasper.

- Hanno, kochanie, jak się cieszę! - zawołała Leonie. Po chwili Hanna znalazła się w jej ramionach. Poczowała zapach perfum Opium i wiedziała, że wróciła do domu.

- Niech nie szczekają, Danny - mruknęła Leonie. - Przestraszą Claudię.

Ale Claudia, na rękach u Abby, wcale się nie bała. Rozglądała się tylko wielkimi oczami, radośnie wymachiwała rączkami i zerkała na trzy psy. Gdy Penny obwąchała jej stopy, zanosła się głośnym śmiechem.

- Lubimy pieski, tak, kochanie? - mruzczała Abby.

Kiedy już wszyscy wyściskali Hannę i orzekli jednogłośnie, że Claudia jest najpiękniejszym dzieckiem na świecie, weszli do domu. W powietrzu unosił się smakowity zapach.

- Doug gotuje - oznajmiła Leonie z dumą. - Robi rewelacyjne jagnię w rozmarynie.

- Artysta w kuchni i w atelier - przedstawił się Doug ze śmiertelnie poważną miną. Objął Leonie od tyłu. Ze śmiechem przywarła do niego. Pocałował ją w policzek. Przymknęła oczy, rozkoszując się jego bliskością.

Wystarczyło na nich popatrzeć, by odzyskać dobry humor. Są tacy szczęśliwi. Ilekroć się dotykali, dosłownie promienieli radością. A dotykali się *cały czas, były to drobne gesty, świadczące o ich miłości. Szczęście* odjęło Leonie lat - wyglądała o dziesięć lat młodziej.

Leonie pożyczyła dla Claudii dziecinne łóżeczko i kojec. Zająły się z Hanną urządzeniem kąpielicy dla małej, a reszta rodziny niecierpliwie czekała na obiad.

- Czy to naprawdę koniec z Feliksem, czy tylko przejściowe ochłodzenie? - zapytała Leonie. Hanna przewijała Claudię.

- Koniec - odparła. - Koniec czegoś, co właściwie nie powinno się było zacząć. Jesteśmy zupełnie różni. Nie wiem, czemu się w nim zakochałam. - Znowu się rozpłakała. To już koniec. Odeszła do Feliksa. Wróciła do domu. Już po wszystkim. Była w szoku, jak rozbitkowie, gdy już ucichną krzyki i szlochy.

Leonie tuliła ją, szeptała słowa otuchy. W końcu Hanna się uspokoiła.

- Obiad gotowy! - krzyknął Doug.
- Najwyższy czas! - skomentował Danny.
- Nie powinnam była nikogo zapraszać - Leonie miała wyrzuty sumienia. - Nie jesteś jeszcze gotowa.

Hanna pokręciła głową.

- Odwrotnie, właśnie tego mi trzeba, naprawdę. Zapomniałam już, jak się rozmawia z ludźmi. Feliks w kółko chodził na przyjęcia. Najczęściej zabierał Bill, swoją agentkę. Ja tam nie pasowałam. Jego przyjaciele nie byli moimi przyjaciółmi, to nie moje życie. Brakowało mi tych, których kocham.

- Przepraszam - zaczęła Leonie. - Zawiodłam cię. Powinnam była cię odwiedzić, domyślić się, przez co przechodzisz...

Claudia zanosła się płaczem, zła, że sieją tak długo ignoruje. Hanna wzięła ją naręce.

- Nie mogłabyś nic zrobić, Leonie - zapewniła. - Nie byłam szczęśliwa, ale zostałam z Feliksem bez względu na wszystko. Ocknęłam się dopiero, kiedy nakryłam go w łóżku z opiekunką do dziecka. Ale co to było za przebudzenie!

Leonie była przerażona.

Hanna uśmiechnęła się, widząc jej minę.

- Nie uwierzyłybyś, gdybyś o tym przeczytała - mruknęła. - Chodźmy, bo wystygnie pyszny obiad Douga. Umieram z głodu. Później opowiem ci wszystko ze szczegółami.

Jagnię było wyśmienite. Hanna siedziała koło Davida i zajadała z apetytem. Claudię podawano siebie z rak do rak, jak śliczną lalkę, wszyscy ją całowali i pieścili. Bardzo jej się to podobało, na przemian chichotała i wymachiwała tłustymi łapkami. Doug dolewał wszystkim wina i wody mineralnej, a Danny nakładał im na talerze ogromne porcje puree z ziemniaków.

- Nie mogę więcej, pękam - protestowała Hanna, gdy chciał jej nałożyć trzecią dokładkę,

- Sam robiłem - zachęcał. - To mój tajemny przepis.

- Ciesz się, że nie widzisz, ile w tym masła - zaśmiała się Abby. - Pół na pół, masło i ziemniaki.

- Oj, muszę się obejść bez masła - Hanna poklepała się po brzuchu.

- Bzdura, musimy cię utuczyć - sprzeciwił się David. - Poczekaj tylko, aż wrócisz do biura. Będę w ciebie wmuszał ciasteczka z czekoladą.

Hanna gapiła się na niego szeroko otwartymi oczami.

- Jak to? - spytała.
- Przecież wracasz do mnie do pracy, prawda?
- Nie wiem... nie zastanawiałam się., - wyjąkała.
- Myślisz, że pozwolę ci odejść, żeby konkurencja cię przechwytiła? - powiedział głośno, a ciszej dodał: - Proszę, Hanno. Potrzebujemy cię... ja przede wszystkim.

Pod stołem wzięła go za rękę. Odwzajemnił uścisk.

- Dziękuję - szepnęła.

- Nie dziękuj - odparł. - Kierują mną bardzo egoistyczne pobudki.

Hanna nie znajdowała słów, więc tylko trzymała go za rękę. Puściła dopiero wtedy, kiedy Claudia wróciła do Davida.

- Cześć, łobuziak-u-powitał ją.

Beknęła głośno i uśmiechnęła się do niego.

- Wiem, co zrobimy - poinformował ją David. - Zatrudnię cię i twoja mamusia też przyjdzie, żeby się tobą zająć. Oczywiście, ty będziesz szefem, pomożesz mamie uczyć się do egzaminów.

Claudia zaczęła się ślinić.

Hanna parsknęła śmiechem.

- Zazwyczaj kiedy to robi, zastanawia się, czy na ciebie zwymiotować czy nie.

David przytulił jej córeczkę.

- Nic nie szkodzi, prawda, skarbie?

Emma zdążyła na kawę.

- Nie dałam rady wcześniej - zwróciła się do Leonie, zanim uściłaskała *Hannę*. Wzięła Claudia od Davida.

- Jaka śliczna - zachwyciła się. - Część, kochanie, jestem ciocia Emma, przyjaciółka mamusi.

Claudia miała zdziwioną minę. Po chwili troszeczkę zwymiotowała. Emma parsknęła śmiechem. Claudia jej zawtórowała.

- Jesteś taka ładniutka - chwaliła Emma. - Wiesz, Hanno, ma włosy po tobie - zauważyła.

Chyba o czymś nie wiem, stwierdziła Hanna ze zdumieniem. Emma uwielbia dzieci, to wiedziała. Ale dzieci innych boleśnie przypominały jej o bezpłodności. A tymczasem śmieje się i bawi z Claudią i wcale nie wygląda na zgaszoną czy smutną.

- Dziewczyny, idźcie do salonu na plotki - zaproponował Doug. - My pozmywamy. - Nie oparł się pokusie, żeby pocałować Leonie na pożegnanie.

- Gruchające gołąbki - zażartowała Emma.

Leonie aż promieniała z radości.

- Ty też nie wyglądasz na smutną - zagaiła Hanna.

Tym razem to Emma się rozpromieniła,

- Cóż, Hanno, ja też mam pewną nowinę - zaczęła. - Zdecydowaliśmy się z Petem na zapłodnienie *in vitro*, mieliśmy zacząć w przyszłym miesiącu. Łykałam posłusznie tabletki, ćwiczyłam jogę, robiłam wszystko co trzeba - uśmiechnęła się. - Byłam najlepiej przygotowaną kandydatką na świecie. Ale wiesz co? Nie uwierzysz. - Urwała.

Hanna czekała z niedowierzaniem. Leonie uśmiechała się szeroko, widać było, że wie, co Emma zaraz powie.

- Jestem w ciąży! - oznajmiła Emma radośnie. - W szóstym tygodniu. Wyobraź sobie, że dopiero co się zorientowałam. Znasz mnie, okres opóźnia mi się o jeden dzień i kupuję test ciążowy. Ale akurat nie tym razem. Nawet mi to nie przyszło do głowy. Ale moje piersi nagle stały się bardzo wrażliwe. Taki osobisty test ciążowy.

- Cudownie - Hanna miała łzy w oczach. - Tak się cieszę.

- Dziękuję - Emma promieniała. - Wiem, co się stało. Uspokoiłam się. Mieliśmy się poddać zapłodnieniu *in vitro*, więc odpuściłam sobie, przestałam tak obsesyjnie wszystko kontrolować. I miałam nadzieję. Czytałam, że wiele par zachodzi w ciążę po nieudanym sztucznym zapłodnieniu. To coś podobnego.

Elinor, moja terapeutka, twierdzi, że miałam tyle nierozwiązanych problemów, że sama się blokowałam, dosłownie. Kiedy przeszły, zaszłam w ciążę, ot, tak. - Wzięła Claudię na ręce. - Tak się cieszę. Szkoda tylko, że mama nie pozna pierwszego wnuka.

Zamilkły riał dłuższą chwilę.

- A jak ona się ma? - zapytała Hanna. Miała wyrzuty sumienia, że nie wiedziała, co u Emmy. Wiedziała tylko, że Anne-Marie jest chora, że zajmuje się nią pielęgniarka, ale nic więcej.

- Ma lepsze i gorsze dni - odparła Emma. - Dostaje nowe lekarstwo, nawet jej pomaga. Poznaje nas i jest dużo spokojniejsza, ale to nieodwracalna choroba. - Posmutniała. - Trzeba się nauczyć z tym żyć. To straszne. Ale zarazem przez to moje dziecko jest jeszcze bardziej wyjątkowe. Stopniowo tracimy mamę, i jednocześnie zyskujemy nowego członka rodziny. Śmierć i narodziny, odwieczny cykl życia.

- Mówisz jak Abby - zauważyła Leonie.

- Kiedy zmagasz się z chorobą, zaczynasz filozofować - mruknęła Emma. - Albo to, albo wariujesz, zadając sobie pytania: dlaczego ona, dlaczego my? Trzeba się z tym pogodzić i żyć dalej.

- Przykro mi, że się z tobą nie kontaktowałam - Hanna dotknęła dłoni Emmy. - Przeszłaś tak dużo, a ja ci nie pomogłam.

Emma poklepała ją serdecznie.

- Jesteśmy przyjaciółkami, nie bliźniętami syjamskimi - odpowiedziała. - Zresztą, to także i moja wina - przyznała. - Nie mogłam się pogodzić, że jesteś w ciąży z tą ślicznotką. - Pocałowała Claudię w główkę. - To straszne, co mówię, ale uważam, że trzeba mówić, co się ma na sercu. Terapia nadaje się do tego doskonale. Tej nocy, kiedy urodziłaś Claudię, Leonie do mnie zadzwoniła. Sama wypijałam całą butelkę wina. W pewnym sensie wyrzuciłam cię z mojego życia, Hanno. Nie podoba mi się to, ale próbuję ci to wynagrodzić.

- Nie musisz - zapewniła Hanna szczerze. - Ale możesz mnie wykorzystać. Mam sporo ślicznych ubrań ciążowych.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę je nosić - Emma westchnęła. - Co chwila staję bokiem i sprawdzam, czy już widać brzuch. Chcę nawet mieć rozstępy. Tak długo czekałam na to dziecko, cieszę się każdą chwilą.

- A Pete? Też szaleje z radości? - zainteresowała się Hanna.

- Już urządził pokój dziecienny - Emma uśmiechnęła się szeroko. - Nie, żartuję. Ale kupił farbę i tapety.

Roześmiały się.

- Jeśli chcesz mieć szlaczek egipski, służę pomocą - zażartowała Leonie.

- Nie omieszkać cię poprosić! - zapewniła Emma. - Nikt jeszcze nie wie, oprócz Kirsten. Ogłosimy to po trzecim miesiącu.

- Claudia musi mieć przyjaciół, skoro tu zamieszka. - Hanna wzięła *małą* od Emmy, - Mam nadzieję, że *zaprzyjaźni* się z twoim maleństwem.

- Jeśli to dziewczynka, na pewno - zapewniła Emma żarliwie. - Przyjaciółki są potrzebne. Gdzie ja bym była bez moich?

- W egipskim więzieniu za zamordowanie własnego ojca? - podsunęła Leonie.

- Nie przypominaj mi - jęknęła Emma. - Chociaż ostatnio jest dla mnie bardzo miły. Jak twierdzi Kirsten, tylko ze strachu, że przestanę mu prac, ale dobre i to na początek.

- Może powinniśmy znowu razem gdzieś pojechać - zaczęła Leonie z namysłem. - Doug chce, żebyśmy się gdzieś wyrwali.

- Do Włoch - zaproponowała Emma. - Moglibyśmy wynająć w lecie dom. Wyjdzie tanio na tyle osób. Pete i ja musimy, niestety, zacisnąć pasa.

- Ja też - mruknęła Hanna. - Nie wyobrażam sobie, żeby Feliks regularnie płacił alimenty,

- David jest zamożny, prawda? - zapytała Emma od niechcenia. Hanna posłała jej mordercze spojrzenie.

- Dopiero co odeszłam od męża - zauważyła. - Nie swataj mnie jeszcze. To trochę za wcześnie.

Emma i Leonie spojrzały na siebie porozumiewawczo.

- Chyba zapytam tego Davida, czy ma już plany na wakacje - mruknęła Emma, - Im więcej osób, tym taniej. Na pewno ktoś go przenocuje w swoim pokoju.

Hanna cisnęła w nią poduszką.

- Przysięgam, nigdzie z wami nie pojedę - zaklinała się.

Następnego ranka świeciło słońce, ale powietrze było rześkie i ostre. Żwir chrzęścił pod kołami, gdy David odjeżdżał spod domu Leonie.

- Nie powinieneś tego robić - martwiła się Hanna. - Do Connemara jest bardzo daleko, stracisz cały dzień.

- Najwyżej cztery godziny. - Nie odrywał oczu od szosy. - Jest dopiero wpół do dziewiątej, dojedziemy na lunch.

- W jedną stronę. Mam straszne wyrzuty sumienia. Powinnam była jednak pojechać pociągiem. Claudia jest urodzoną podróżniczką - skłamała.

- Chciałem cię odwiedzić - powiedział.

- Nie musiałeś.

- Hanno, jak myślisz, dlaczego to robię? - zapytał. - Dlaczego wyszedłem po ciebie na lotnisko? Bo za tobą szaleję, rozumiesz?

- Zatrzymaj się - poleciła.

Zdumiony, zjechał na pobocze.

Claudia do tej pory spała w foteliku, który Leonie wygrzebała na strychu, ale teraz zaniosła się głośnym płaczem.

- Przyzwyczaisz się do tego - mruknęła Hanna. Wrzaski narastały. A potem pochyliła się i pocałowała Davida w usta. W jednej chwili otoczył ją ramionami i odwzajemnił pocałunek. Całował cudownie, zupełnie inaczej niż Feliks. Był opiekuńczy i ciepły, tak jak się spodziewała. Jego usta były miękkie, ale zaborcze, całował z pasją, intensywnie. Poczuli, jak wtapia się w jego ramiona.

Odsunęła się niechętnie.

- To potrwa - ostrzegła uczciwie. - Odeszłam do Feliksa, ale to nie koniec. Nie zapomnę o nim z dnia na dzień.

- Nie będziemy się spieszyć. - David czule błędnął wzrokiem po jej twarzy.

- Naprawdę nie będziemy się spieszyć - powtórzyła.

- Naprawdę. - Przyciągnął ją do siebie. Claudia wrzeszczała coraz głośniej.

- Masz rację - stwierdził ze zdziwieniem, zanim zamknął jej usta pocałunkiem. - Rzeczywiście można się do tego przyzwyczaić.